

MISTRZOWIE SF I FANTASY

Harry Turtledove

Wojna światów: w równowadze

Alternatywna historia II wojny światowej



CO MOGŁO SKŁONIĆ HITLERA, STALINA,
ROOSEVELTA, CHURCHILLA
I HIROHITO DO ZAWARCIA SOJUSZU?

Harry Turtledove

Wojna światów: w równowadze

Przekład: Antoni S. Kowal AMBER
Tytuł oryginału: WORLD WAR: IN THE BALANCE
Ilustracja na okładce: LARRY ROSTANT
Redakcja merytoryczna: ALICJA MAKOWSKA
Redakcja techniczna: LIWIA DRUBKOWSKA
Korekta: HANNA RYBAK

Copyright 1994

by Harry Turtledove

For the Polish edition

Copyright 1997

by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7169-253-

WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o.o.

00-108 Warszawa, ul. Zielna 39, tel. 620 40 13, 620 81 62

Warszawa 1997.

Wydanie I Druk: Elsnerdruck Berlin

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

[Rozdział XVIII](#)

[Rozdział XIX](#)

[Rozdział XX](#)

Rozdział I

Pan floty Atvar wszedł różnym krokiem na stanowisko dowodzenia statku flagowego „127-my cesarz Hetto”. Na jego widok oficerowie zastygli w bezruchu na swoich miejscach. Po tym jednak, jak poruszały się jego oczy – jedno w lewo, drugie w prawo – widać było, że ich zignorował. Niechby jednak który był takim durniem, żeby zapomnieć okazania mu szacunku – na pewno spostrzegłby to. I zapamiętał.

Pan statku Kirel stanął wraz z nim przy projektorze. Malowidła na ciele kapitana były w rysunku nieco mniej skomplikowane niż te, które nosił jego zwierzchnik. Atvar, jak co rano, rzekł:

– Przypatrzmy się celowi.

Kirel nacisnął wskazującym szponem panel kontrolny. Zobaczyli kulę w kolorach błękitu, szarości i bieli, doskonały przykład dryfującego w przestrzeni życionośnego świata. Wszyscy oficerowie skierowali wzrok na hologram. Atvar, jak to było w jego zwyczaju, obszedł projektor dookoła, by przyjrzeć się obrazowi z wszystkich stron. Kirel podążał za nim. Kiedy wrócili na miejsce, Atvar wysunął rozwidlony język.

– Wygląda to na zimne miejsce – powiedział.

– Zimne i wilgotne.

– A jednak będzie służyć Rasie i cesarzowi – odparł Kirel.

Kiedy wymawiał te słowa, pozostali oficerowie powrócili do swoich zadań. To był koniec porannego rytuału.

– Szkoda, że taka gorąca biała gwiazda jak Tosev, wysiedziała takie chłodne jajo – ciągnął Kirel.

– Doprawdy, szkoda – zgodził się Atvar.

Ten zimny świat okręzał gwiazdę ponad dwa razy większą od słońca, pod którym się wychował. Niestety, tor planety biegł po zewnętrznej granicy biosfery. Tosev 3 miał nie tylko za dużo wody, ale gdzieś tam leżały na nim połacie lodu. W trzech światach, należących do imperium, zamarznąła wodę rzadko kiedy widywało się poza laboratorium.

– Jeśli nawet Tosev 3, biorąc pod uwagę przeciętną, jest chłodniejszy od tego, do czego przywykliśmy, to nie powinno być wielkiego kłopotu z zamieszkaniem tutaj, a w niektórych częściach tego świata może być nawet przyjemnie. – Otworzył lekko szczęki i ukazał małe, ostre, równe zęby.

– Tubylcy nie powinni stanowić dla nas kłopotu.

– Na cesarza, to prawda. – Chociaż jego suweren był odległy o lata świetlne, Atvar automatycznie opuścił na chwilę oczy. Tak samo postąpił Kirel. Potem Atvar również otworzył szczęki, dzieląc rozbawienie z panem statku.

– Pokaż mi jeszcze raz te obrazy zebrane przez sondę.

– Tak jest. – Kirel delikatnie wykonał kilka ruchów przy panelu kontrolnym projektora.

Tosev 3 zniknął. Zastąpił go obraz przedstawiający typowego mieszkańca planety: dwunożną istotę o czerwono-brązowej skórze, nieco wyższą od przeciętnego samca Rasy. Dwunożna istota owinięta była w połowie tułowia kawałkiem tkaniny, niosła łuk i kilka strzał z kamiennymi grotami. Z czubka jej głowy wyrastało czarne futro. Dwunożny zniknął. Jego miejsce zajął inny. Obleczony był od stóp do głów w szatę z brudnej, szarawej garbowanej skóry. Z pasa zwisał mu zakrzywiony żelazny miecz. Obok stało brązowe, pokryte futrem zwierzę z długą szyją i garbem na grzbiecie. Atvar wskazał na włochatego stwora, a potem na szatę dwunożnego.

– Nawet tubylcze istoty muszą chronić się przed okropnym klimatem Tosev 3. – Przejechał dłonią po gładkich, lśniących łuskach na swoim ramieniu.

W projektorze holograficznym ukazało się więcej dwunożnych istot; niektóre miały czarną skórę, inne złoto-brązową, inne znów jasnoczerwoną, prawie różową. Kiedy obrazy się zmieniały, Kirel ponownie otworzył szczęki w rozbawieniu. Pokazał na projektor.

– Uwaga. Teraz! Straszliwy wojownik z Tosev 3.

– Zatrzymaj ten obraz. Niech każdy mu się przyjrzy dokładnie – rozkazał Atvar.

– Tak jest. – Kirel wyłączył zmianę obrazów.

Wszyscy oficerowie znajdujący się na stanowisku dowodzenia skierowali po jednym oku na hologramy, ale drugim patrzyli na swoją pracę. Atvar roześmiał się cicho, studiując postać tosewickiego wojownika. Tubylec należał do rasy różowej. Można to było rozpoznać tylko po jednej dłoni i twarzy. Ochronny ekwipunek pokrywał niemal całkowicie resztę jego ciała, podobnie jak szaty spowijające poprzedniego dwunoga. Spiczasty żelazny hełm z kilkoma wgłębieniami tkwił na czubku jego głowy. Nosił podrdzewiałą kolczugę, która sięgała mu niemal do kolan i ciężkie skórzane buty. Cienki płaszcz z błękitnej materii osłaniał kolczugę przed słońcem. Zwierzę, na którym jechał dwunożny – trochę zgrabniejszy kuzyn garbatego stwora – wyglądało na znużone tym, co się wokół niego dzieje. Z siedzenia dwunożnego wyrastała zakończona żelaznym ostrzem włócznia. Jeździec był uzbrojony jeszcze w prosty miecz, nóż i tarczę z namalowanym krzyżem.

– Czy myślicie, że jego rodzaj będzie w stanie przeciwstawić się pociskom, opancerzonym wozom bojowym i samolotom? – Pytanie Atvara było retoryczne.

Oficerowie roześmieli się. Oczekiwali łatwego podboju, w wyniku którego dołączą czwartą planetę i układ słoneczny do włości imperatora. Kirel nie chciał być gorszy w okazywaniu entuzjazmu od swojego dowódcy i dodał:

– To są ostatnie obrazy; pochodzą zaledwie sprzed około tysiąca sześciuset lat. – Przerwał i postukał w kalkulator

– To będzie około ośmiuset obrotów Tosev 3. A jak dalece, moi bracia-wojownicy, jak bardzo może się zmienić świat w ciągu zaledwie ośmiuset obrotów?

Oficerowie roześmieli się znowu, tym razem głośniej. Atvar śmiał się wraz z nimi. Historia Rasy sięgała stu tysięcy lat wstecz; przez prawie połowę tego czasu – odkąd wypracowano technikę zapewniającą męskich potomków – na tronie zasiadała dynastia Ssumaz. Dwadzieścia osiem tysięcy lat temu, za panowania cesarza Ssumaz, Rasa podbiła Rabotev 2, a osiemnaście tysięcy lat później zajęła Halless. Teraz przyszła kolej na Tosev 3. Atvar pomyślał, że podbojów dokonuje się coraz szybciej.

– Wykonujcie dalej swoje obowiązki, słudzy cesarza – powiedział pan floty.

Oficerowie znieruchomieli po raz drugi, kiedy opuszczał stanowisko dowodzenia. Wrócił do swojej kajuty. Zajmował się właśnie uciążliwą robotą papierkową, która towarzyszy czynnościom dowódczym, gdy zapiszczał sygnał przy drzwiach. Zaskoczony, podniósł wzrok znad ekranu komputera. O tej porze nikt nie powinien, według rozkładu dnia, przerywać mu pracy. Rasa nie tak łatwo zrywa z rutyną. Alarm w przestrzeni kosmicznej był raczej nieprawdopodobny, a więc kto ośmieliłby się przerywać mu pracę w związku ze sprawą o mniejszym znaczeniu?

– Wejść – warknął.

Młody oficer, który wszedł do kajuty, wyglądał na zdenerwowanego. Koniuszek ogona poruszał mu się, rozglądał się na wszystkie strony, jakby w przeczuciu niebezpieczeństwa czającego się w pomieszczeniu.

– Dostojny panie floty, krewniaku cesarza. Jak wiesz, zbliżyliśmy się bardzo do układu Tosev – powiedział ledwie słyszalnym szeptem.

– Dobrze, że mi o tym mówisz – odparł Atvar z nutą sarkazmu w głosie.

– T... tak, dostojny panie floty. – Oficer wyglądał tak, jakby miał ochotę uciec, ale opanował się i mówił dalej:

– Dostojny panie floty, jestem wodzem drugiej rangi w wydziale łączności. W ciągu kilku ostatnich dni pokładowych odkryłem niezwykłą transmisję radiową dochodzącą z tego układu. Wygląda na wysłaną przez inteligentne istoty i... i – spodziewając się wybuchu gniewu Atvara zmusił się, by kontynuować – sądząc z niewielkich przesunięć w widmie, pochodzi ona z Tosev 3. Pan floty był zbyt zaskoczony, żeby odczuwać wściekłość.

– To śmieszne – stwierdził. – Śmiesz twierdzić, że te ujeżdżające zwierzęta dzikusy, które zostały sfotografowane przez nasze sondy, zdołały w przeciągu dziejowego mgnienia oka odkryć elektronikę? Na osiągnięcie takiego stopnia rozwoju potrzebne są tysiąclecia.

– Dostojny panie floty, ja niczego nie twierdzę – powiedział drżącym głosem Erewlo. – Ja tylko przedstawiłem ci raport o anomaljach, które mogą okazać się ważne dla naszej misji, a w konsekwencji – dla Rasy.

– Wynoś się – powiedział Atvar stłumionym głosem, w którym czaiło się śmiertelne niebezpieczeństwo.

Erewlo szybko się wycofał. Pan floty patrzył w ślad za wychodzącym oficerem. Raport był śmieszny. Rasa podlegała przemianom, ale powolnym. Zmiany były niewielkie, ledwie wyczuwalne. Chociaż zarówno mieszkańcy Rabotev, jak i Halless ulegli podbojowi zanim wynaleźli radio, mieli za sobą względnie długi powolny rozwój. To była, z pewnością, norma wśród ras inteligentnych. Atvar zwrócił się do komputera. Dane, o których wspominał wódz drugiej rangi, pojawiły się na ekranie. Zaczął je studiować i zapytał komputer o ich znaczenie. Znaczenie było takie, jak powiedział Erewlo: z prawdopodobieństwem prawie równym jedności, były to sztuczne sygnały radiowe dochodzące z Tosev 3. Pan floty wywarczał polecenie, którego komputer, ze względów technicznych, nie był w stanie wykonać. Jeśli tubylcy z Tosev 3 jakimś trafem byli w posiadaniu radia, to co jeszcze potrafią? O ile hologram Tosev 3 wyglądał jak planeta dryfująca w przestrzeni, to sam glob, widziany przez szybę pancerną, wyglądał jak holograficzny obraz. Teraz, by przemieścić się na jego drugą stronę, pan floty Atvar musiał czekać, aż „127-my cesarz Hetto” zakończy pół obiegu orbity. Pan floty wpatrywał się w przemykającą pod statkiem planetę. Przyglądał się jej od czasu, kiedy flota przybyła na miejsce. Nikt w długiej historii Rasy nie stawał wobec takiego dylematu. Zebrani panowie statków czekali stojąc, aż Atvar wyda im rozkazy. To on ponosił odpowiedzialność i zbierał nagrody, ale również i ryzykował.

– Tubylcy z Tosev 3 są bardziej zaawansowani technicznie niż nam się zdawało, gdy podejmowaliśmy tę wyprawę – powiedział, przypatrując się, czy to proste stwierdzenie wywoła jakąś reakcję.

Jak jeden mąż pochylili głowy na znak zgody. Atvar zacisnął szczęki – gdyby im mógł poprzegryzać karki! Ani trochę nie mieli zamiaru mu pomóc. To on ponosi odpowiedzialność. Nie może nawet poprosić cesarza o instrukcje. Przesłanie dotarłoby do rodzimej planety za dwadzieścia cztery lata. Drugie tyle należałoby czekać na odpowiedź. Siły inwazyjne mogłyby przez ten czas hibernować, ale kto wie, co tymczasem wynaleźliby Tosewici?

– Wydaje się, że obecnie Tosewici prowadzą między sobą kilka wojen. Jak uczy nas historia, brak jedności działa na naszą korzyść – powiedział Atvar.

Historia starożytna – pomyślał. Cesarstwo rządzone jest centralnie od tak dawna, że nikt nie ma doświadczenia w rozgrywaniu polityki „dziel i rządź”. Ale podręczniki mówią, że taka okoliczność może się zdarzyć. A podręczniki zazwyczaj się nie mylą. Kirel skłonił się na znak szacunku. W ten uprzejmy sposób dawał znać, że chce przemówić. Atvar zwrócił na niego oboje oczu z ulgą, że ktoś

powie przynajmniej część tego, co myśli.

– Czy to pewne, że jesteśmy w stanie pokonać Tosewitów, panie floty? Poza radiem i radarem mają własne samoloty, a także opancerzone wozy bojowe, nasze sondy jasno to pokazały – powiedział pan statku „127-my cesarz Hetto”.

– Ale ich broń jest znacznie gorsza niż nasza podobnego typu. Sondy również dokładnie to pokazały – dodał Straha, pan statku „206-ty cesarz Yower”.

Wśród panów statków miał rangę niższą jedynie od Kirela i chciał go pewnego dnia prześcignąć. Kirel znał ambitne plany Straha. Porzucił pełną szacunku postawę i groźnie spojrzął na rywala.

– Ogromna ilość tej broni jest w akcji i stale wytwarzana jest nowa broń. Natomiast nasze zapasy są ograniczone do tych, które przywieźliśmy ze sobą przez lata świetlne.

– Czy Tosewici mają broń atomową? – szydził Straha.

– Jeśli zawiodą inne środki, możemy ich zbombardować i wymusić posłuszeństwo.

– W ten sposób zmniejszymy wartość planety dla kolonistów, którzy przylecą za nami – powiedział Kirel.

– Co zatem proponujesz? – spytał Straha.

– Czy mamy powrócić nie osiągnąwszy niczego?

– Taka decyzja leży w kompetencjach pana floty – powiedział Kirel z uporem.

Miał rację; decyzja o rezygnacji z inwazji należała do Atvara. Nie zostanie potępiony, jeśli się wycofa – to znaczy, nie zostanie potępiony oficjalnie. Jednak zamiast zostać zapamiętanym na wieki jako Atvar Zdobywca Światów – tylko dwóch wodzów nosiło ten przydomek przed nim – zostanie zapisany w annałach jako Atvar Uciekinier. Byłby pierwszym noszącym takie miano. Ale mało komu zależałoby na tak wątpliwym zaszczycie. To on ponosił odpowiedzialność. W końcu, nie miał wyboru.

– Czy przebudzenie i orientacja żołnierzy przebiegła pomyślnie? – zapytał panów statków.

Nie potrzebował ich potwierdzającego syku, żeby znać odpowiedź na to pytanie; śledził raporty komputera zanim jeszcze flota weszła na orbitę Tosev 3. Broń i wojownicy cesarza byli gotowi.

– Wykonać – powiedział. Panowie statków ponownie zasyczeli.

– Dalej, Joe! – Sam Yeager ryknął do swojego pitchera – gracza serwującego.

– Jeszcze jeden raz. Dasz radę. Mam nadzieję, dodał w myśli.

Joe Sullivan ruszył do akcji, okręcił się, podał. Czego można wymagać od siedemnastoletniego dzieciaka, pomyślał Yeager. Ale dzisiaj piłka poleciała wielkim łukiem i uderzyła w zewnętrzny róg. Ręka sędziego uniosła się. Kilkunastu ludzi w kilkusetosobowym tłumku zaczęło wiwatować. Sullivan strzelił jeszcze raz. Wielki, leworęczny baseman – gracz na pierwszej bazie, o nazwisku Kobeski, odwrócił się za późno i pozwolił, żeby piłka przeleciała z lewej strony.

– Cholera! – powiedział na głos i zdegustowany rzucił kij na ziemię.

Yeager odsunął się do tyłu o kilka kroków. Kiedy piłka uderzyła go w rękawicę, nakrył ją natychmiast drugą ręką. Potem pobiegł w stronę szatni przeznaczonej dla gości. To samo zrobiła reszta drużyny Decatur Commodores.

– Wynik końcowy, Decatur 4, Madison – powiedział spiker do obdrapanego małego mikrofonu. – Zwycięża Sullivan, przegrywa Kovacs. Springfield Brownies rozpoczynają rozgrywkę ligową z Blues tutaj, w Breese Stephens Field jutro. Mecz rozpoczyna się w południe. Mam nadzieję, że się znowu spotkamy.

Yeager, ledwie dobiegł do szatni, wyciągnął z bocznej kieszeni aksamitnego dresu paczkę cameli. Zapalił, zaciągnął się głęboko i z zadowoleniem wydmuchnął obłoczek dymu.

– Tak to się robi, Joe – krzyknął do Sullivana, który szedł przed nim tunelem prowadzącym do szatni gości.

– Piłkę puszczaj nisko i z dala od takiego wielkiego byka jak Kobeski.

– O tak, dzięki Sam – powiedział zwycięski pitcher przez ramię.

Zdjął czapkę i wytarł rękawem spocone czoło. Zaczął rozpinąć koszulę. Yeager gapił się na plecy Sullivana. Zdziwiony wolno pokręcił głową. Ten dzieciak nawet nie wie, co zrobił; przypadkowo postąpił tak jak trzeba. Ma tylko siedemnaście lat, przypomniał sobie Yeager. Większość zawodników Commodores była w wieku Joego – dzieciaki za młode na pobór. Yeager czuł się przy nich staro nawet jak na te trzydzieści pięć lat, które miał naprawdę. Jego „szatnią” był gwóźdź wbity w ścianę. Usiadł na zydlu i zaczął ściągać ubranie. Bobby Fiore opadł ciężko na stołek obok. Drugi baseman też był weteranem walk i współlokatorem Yeagera.

– Staję się za stary na to – powiedział krzywiąc się.

– Co proszę? Masz dwa lata mniej niż ja – stwierdził Yeager.

– Chyba tak, coś koło tego – okolona brodą, ciemna, pociągła twarz Fiorego przypominała maskę o smutnym wyrazie. Stanowiła ostry kontrast w stosunku do Yeagera, którego jasne, rumiane oblicze nasuwało natychmiast skojarzenie, że jego właściciel pochodzi ze wsi.

Ponury Fiore ciągnął dalej:

– Jaki jest, do cholery, sens gry w tej zakichanej drugiej lidze w naszym wieku? Ciągłe ci się wydaje Sam, że będziesz wielkim zawodnikiem?

– Kto wie? Wojna trwa już dość długo. Mogą wziąć do wojska każdego, a mnie nie pozwolili tknąć karabinu. Pół roku temu chciałem się zaciągnąć na ochotnika, to było zaraz po ataku na Pearl Harbor.

– O Jezu, ty przecież masz sztuczną szczękę – powiedział Fiore.

– To nie znaczy, że nie mogę jeść albo strzelać – odparł Yeager.

O mało nie umarł w czasie epidemii grypy w 1918 roku. Zęby, osłabione gorączką, spróchniały mu w dziąsłach i wypadły w ciągu następnych kilku lat. Zanim jeszcze zaczął się golić, nosił już pełny sztuczny garnitur w górnej i dolnej szczęce. Jak na ironię, jedyne własne zęby, jakie mu zostały były to zęby mądrości, właśnie te, które wszystkim innym sprawiają tyle kłopotu. Wyrznęły się w doskonałym stanie, długo potem, kiedy wszystkie inne mu wypadły. Fiore tylko parsknął i wszedł pod prysznic. Yeager poszedł za nim. Umył się szybko; woda była zimna. Mogło być gorzej, myślał, kiedy wycierał się do sucha. W niektórych trzecioligowych szatniach nie ma nawet natrysków dla drużyn gości. Chciał uniknąć powrotu do hotelu w lepiącym się, cuchnącym dresie, co było zwyczajem ligi „krzakowej”. Wrzucił dres do płóciennej torby razem z kolcami i rękawicami. Kiedy zaczął się przebierać w codzienne ubranie, podjął rozmowę z Fiore.

– To co mam zrobić Bobby, zrezygnować? Za długo już się tym zajmuję. Poza tym, niewiele więcej potrafię poza grą w piłkę.

– A co musisz umieć, żeby dostać pracę w zakładach zbrojeniowych? Zarobisz więcej niż tu – zapytał Fiore.

– A dlaczego ty tego nie zrobisz, skoro ci to wszystko wychodzi bokiem? – odparł Yeager. Fiore odchrząknął.

– Zapytaj mnie tego dnia, kiedy nie zdobędę ani jednego punktu. Dziś miałem dwa z czterech. – Przewiesił niebieską torbę przez ramię i wyszedł z szatni, przepychając się przez tłumek.

Yeager poszedł wraz z nim. Kiedy przechodzili, gliniarz stojący przy wejściu dla zawodników dotknął palcami czapki. Sądząc po jego białych wąsach, mógł być ochotnikiem podczas wojny hiszpańsko-amerykańskiej. Obaj zawodnicy równocześnie głęboko odetchnęli i uśmiechnęli się do

siebie. W powietrzu czuć było słodki zapach bułek i chleba dochodzący z piekarni Gardnera po drugiej stronie ulicy przy parku.

– Mam kuzyna, który prowadzi małą piekarnię w Pittsburghu. U niego tak ładnie nie pachnie – powiedział Fiore.

– Następnym razem, jak będę w Pittsburghu, powtórzę twojemu kuzynowi, co powiedziałeś – odparł Yeager.

– Nie pojedziesz ani do Pittsburgha, ani do żadnego innego pierwszoligowego miasta, nawet gdyby wojna miała potrwać do roku 1955 – odgryzł się Fiore.

– Jaka jest najlepsza liga, w której kiedykolwiek grałeś?

– Grałem przez pół sezonu dla Birmingham w 1933 – odparł Yeager. – Southern Association, klasa A-1. W drugiej grze w czasie święta 4 Lipca złamałem nogę w kostce i wypadłem z obiegu do końca roku.

Wiedział, że spadł o stopień, może o półtora stopnia, kiedy wrócił w następnym sezonie. Wiedział też, że jeśli kiedykolwiek miał prawdziwą szansę na zrobienie kariery, to przepadła ona wraz ze złamaną nogą.

– To mnie wyprzedzasz. Grałem przez trzy tygodnie w Albany – Eastern League, klasa A – ale jak popełniłem trzy błędy w jednej grze, wyrzucili mnie natychmiast. Skurwiele. – Fiore powiedział to bez większego zapamiętania. Jeśli skrewisz, na twoje miejsce zawsze znajdzie się chętny zawodnik. Kto tego nie rozumie, nie ma po co grać za pieniądze.

Yeager zatrzymał się przy kiosku za rogiem hotelu i kupił magazyn.

– Coś do poczytania w pociągu do Decatur – powiedział, wręczając facetowi w budce ćwierć dolara.

Rok temu dostałby parę centów reszty. Teraz nic nie dostał. Kiedy się ma trzecioliigowe zarobki, liczy się każdy cent. Fiore aż ściągnął wargi, kiedy zobaczył, co kupił Yeager.

– Możesz czytać te bzdury Bucka Rogersa?

– Lubię to – Yeager kurczowo złapał nowe wydanie „Astounding”.

– Kto by kilkadziesiąt lat temu uwierzył w bombardowania, lotniskowce, albo w czołgi? A oni tu pisali o tym wszystkim już dawno temu.

– No tak, żałuję, że się nie pomylili – westchnął Fiore; Yeager nie potrafił tego skomentować.

Kilka minut później dotarli do hotelowego holu. Recepcjonista włączył radio, żeby złapać popołudniowe wiadomości. Pełen godności, głęboki głos H. V. Kaltenborna mówił o walkach w północnej Afryce, w pobliżu Ghazali, o wojnie w Rosji, na południe od Charkowa, o lądowaniu Amerykanów na wyspie Espiritu Santo w archipelagu Nowych Hebrydów. Yeager przypomniał sobie, że Espiritu Santo leży gdzieś na południowym Pacyfiku. Nie miał jednak pojęcia gdzie dokładnie. Nie mógłby też znaleźć Ghazali albo Charkowa bez dużego atlasu i sporej dozy cierpliwości. W czasie tej wojny wymieniano jedną po drugiej miejscowości, o których nigdy nie uczył się w szkole. Słyszał jak Kaltenborn mówił dalej: „Dzielni patrioci czescy dokonali pod Pragę zamachu na Reinharda Heydricha, zastępcę „Protektora Czech i Moraw”, współorganizatora eksterminacji ludności w krajach okupowanych przez III Rzeszę. Utrzymują, że go zabili. Radio niemieckie obwinia za zamach „zdradzieckich Brytyjczyków” i twierdzi, że Heydrich żyje.

– Miło słyszeć, że gdzieś posunęliśmy się naprzód, nawet, jeśli nie potrafię wymówić nazwy tego miejsca – powiedział Yeager.

– To znaczy „Duch Święty” – podpowiedział mu Fiore. – To musi być po hiszpańsku, ale brzmi wystarczająco podobnie do włoskiego, żebym zrozumiał.

– O.K. – powiedział Yeager, zadowolony, że go oświecono.

Podszedł do schodów, za nim szedł Fiore. Windziarz uśmiechał się szyderczo. To nieodmiennie powodowało, że Yeager czuł się jak sknera, ale był tak przyzwyczajony do tego uczucia, że nie przejmował się tym zbyt. Hotel i tak był tani, miał tylko jedną łazienkę przy końcu korytarza na każdym piętrze. Otworzył drzwi, rzucił torbę na łóżko, wyjął walizki i położył je obok torby. Zaczął automatycznie przekładać ubrania z torby i z szafy do walizek tak, jak odbijał piłki. Gdyby myślał o tym, co robi, zajęłoby mu to dwa razy tyle czasu, ale w małomiasteczkowych hotelikach spędził połowę życia. O czym tu należało jeszcze myśleć? Na drugim łóżku, Fiore pakował się z tą samą bezmyślną zręcznością. Prawie jednocześnie skończyli i znieśli bagaże na dół. W holu pojawili się jako pierwsi, bo dla większości kolegów z drużyny, z braku wprawy, pakowanie się nie było tak łatwe.

– Jeszcze jedna podróż zakończona – powiedział Yeager. – Ciekawe, ile mil przejechałem przez te wszystkie lata.

– Nie wiem – odpowiedział Fiore.

– Ale jakbym znalazł używany samochód z takim przebiegiem mil na liczniku, to za żadne skarby bym go nie kupił.

– Idź do diabła – roześmiał się Yeager.

Używany samochód z takim przebiegiem najprawdopodobniej w ogóle nie nadawałby się do użytku. Pojedynczo i parami reszta graczy Commodores zeszła na dół. Paru wyszło, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, reszta skupiła się w małe grupki. Związki młodości były silniejsze niż więzy łączące drużynę. Yeager posmutniał, ale rozumiał to. Dawno temu, w 1925 roku, kiedy zaczynał grać zawodowo też nie miał śmiałości, żeby podejść do weteranów drużyny. Wojna pogorszyła tylko sprawę, zabierając prawie wszystkich młodszych od niego i Fiore, a starszych od tych dzieciaków. Menażer, Pete Daniels (powszechnie zwany Mutt) uregulował rachunki u recepcjonisty, potem odwrócił się do swojego oddziału i oznajmił:

– Chodźcie, chłopaki. Musimy złapać pociąg o piątej. – Kiedy mówił, przeciągał i łączył słowa typowo dla człowieka, który wychowywał się na farmie gdzieś nad Missisipi.

Przed trzydziestu laty załapał się na prawie dwa sezony z Cardinals, kiedy ten zespół był prawie na samym dole listy. Potem, przez długi czas, grywał w drugorzędnych drużynach. Yeager zastanawiał się, czy Mutt nadal marzył o tym, by być menażerem w pierwszej lidze. Nigdy nie miał śmiałości, żeby o to zapytać, ale wątpił w to: wojna nie otworzyła mu drogi do kariery. Najprawdopodobniej Daniels był tutaj, bo nie widział dla siebie niczego lepszego do roboty. Byłoby to zatem coś, co ich łączyło.

– No, to chodźmy – powiedział Daniels jak tylko recepcjonista wręczył mu rachunek.

Wyszedł sam na ulicę. Commodores podreptali za nim. W ubiegłym roku wpełznąliby się do trzech albo czterech taksówek i pojechali na stację. Ale w związku z trudnościami w zaopatrzeniu w benzynę i opony, taksówki wymiotło z ulic. Zawodnicy czekali na skrzyżowaniu aż nadjedzie autobus. Potem wrzucili po parę centów do automatu biletowego i weszli do wozu. Autobus pojechał wzdłuż Washington Avenue. Na skrzyżowaniach z ulicami biegnącymi z północy na południe Yeager mógł po obu stronach zobaczyć wodę; Madison położone było na wąskim pasie ziemi między jeziorami Mendota i Monona. Autobus okrążył Capitol Park, wrócił na Washington Avenue i pojechał dalej na stację Illinois Central. Nad niską zabudową miasta dominował Kapitol; zwieńczony granitową kopułą biały marmurowy budynek wznoszący się na planie greckiego krzyża. Autobus zatrzymał się dokładnie na wprost dworca. Mutt Daniels machał biletami na pociąg. Trzymał rękę na pulsie podczas objazdu czterech miast w Illinois, Iowa i Wisconsin; następne cztery miesiące Commodores spędzą w Fan's Field. Przez ten czas będzie się musiał martwić najwyżej o ustawianie zawodników

na boisku. Ciemnoskóry bagażowy podjechał wózkiem. Dotknął palcami daszka czapki, uśmiechnął się i pokazał garnitur złotych zębów

– Witam, panowie – mówił z akcentem południowym, jeszcze silniejszym niż menażer.

Yeager pozwolił, żeby facet postawił jego bagaże na wózku i dał mu parę centów, co wywołało promienny uśmiech na jego twarzy. Fiore usiadł w wagonie obok Yeagera.

– Kiedy mój tatuś po raz pierwszy przyjechał ze starego kraju do Nowego Jorku, wsiadł tam do pociągu do Pittsburgha, gdzie mieszkał już wujek Joe. Pierwszy czarny, jakiego w życiu zobaczył, to był kelner. I też miał złote zęby, tak jak ten bagażowy.. Przez całe miesiące mój stary myślał, że kolorowi mają taki zwyczaj wstawiania sobie złotych zębów – powiedział.

Yeager roześmiał się zanim odpowiedział:

– Do diabła, wychowałem się między Lincoln a Omaha i nie widziałem ani jednego białego, zanim nie zacząłem grać w piłkę. Parę razy byłem w objazdach, gdzie grywałem przeciwko drużynom kolorowych, żeby zimą zarobić dodatkowe pieniądze. Niektórzy z tych chłopaków, gdyby byli biali, mogliby grać wszędzie.

– To chyba prawda – powiedział Fiore. – Ale nie są biali.

Pociąg ruszył. Fiore zaczął wiercić się, żeby usiąść wygodniej.

– Chcę się trochę przespać, potem, jak tłum się przeredzi, pójdę do restauracyjnego.

– Jeśli nie obudzisz się przed ósmą, dam ci szturchańca w zębra – stwierdził Yeager.

Fiore pokiwał głową z zamkniętymi oczami. Dobrze mu się zawsze spało w pociągu, lepiej niż Yeagerowi, który wyjął „Astounding” i zaczął czytać. Najnowsza powieść w odcinkach autorstwa Henleina skończyła się przed miesiącem. Ale było tam wiele opowiadań Asimova, Roberta Moore Williamsa, del Reya, Hubbarda i Clementa. Było co czytać. W ciągu kilku minut znalazł się o miliony mil i tysiące lat od doczesnej rzeczywistości i pociągu jadącego z Illinois Central przez płaską prerię ciągnącą się pomiędzy miastami Środkowego Zachodu. Kuchnia polowa podjechała do kompanii czołgów znajdujących się gdzieś na południe od Charkowa. Po kilku tygodniach przemieszczania się czołgów w różnych kierunkach w celu powstrzymania natarcia Rosjan, a potem, wciągnięcia ich w pułapkę, major Heinrich Jager nie byłby w stanie precyzyjnie określić, gdzie się znajduje bez kontaktu z pododdziałem łączności Szesnastej Dywizji Pancerniej. Właściwie, ta kuchnia polowa nie należała do ich kompanii. Podobnie jak pozostałe dwa pododdziały, z których składał się drugi pułk czołgów, miała ona własną zmotoryzowaną kuchnię. Teoretycznie, powinna być na miejscu. Ta, która właśnie przybyła ciągnięta była przez zaprzęg konny. Jagerowi to nie przeszkadzało. Zatrzymał woźnicę machnięciem ręki i krzyknął do swoich załóg czołgowych. Niektórzy ludzie nie przerywali snu w swoich czołgach albo pod nimi. Jednak magiczne słowo jedzenie i smakowity zapach, unoszący się znad kotła z gulaszem, podniósł wielu na nogi.

– Co macie dla nas? – Jager zwrócił się do kucharza i woźnicy.

– Gotowaną kaszę, panie majorze, z cebulą i mięsem – odpowiedział kucharz.

Zanim jego dywizja pancerna nie przebiła się w lipcu do południowej Rosji, Jager nigdy nie jadł kaszy gryczanej. Nie była to w najmniejszym stopniu jego ulubiona potrawa, ale przyjemnie zapełniała brzuch. Wolał nie pytać o mięso – końskie, ośle, może psie? Nie chciał wiedzieć. Gdyby to była wołowina albo baranina, kucharz by się tym pochwalił. Wyjął swoją menażkę i stanął w kolejce. Kucharz nałożył mu dużą porcję gulaszu. Zaatakował ją z zapałem. Żołądek przez moment stawiał opór; major nie był przyzwyczajony do tego rodzaju posiłków o tak wczesnej porze. Potem stwierdził, że lepiej być najedzonym do syta i postanowił sprzątnąć wszystko. Gdzieś, w oddali zaczął terkotać karabin maszynowy, po kilku sekundach dołączył następny. Jager nadal jedząc skrzywił się. Sądzono, że w tych okolicach Rosjanie są już wyparci od kilku dni. Ale nie pożyje

długo ten, kto za wcześnie przestaje się liczyć z Rosjanami pomyślał Jager. Dowiodła tego poprzednia zima. Jak przyciągany magnesem, Jager wbił wzrok we wrak T-34, który osiadł ze skrzyconą wieżą o jakieś pięćdziesiąt metrów od niego. Zniszczony czołg wyglądał w ciemnościach jak zamazany kształt, ale nawet rzut oka spowodował, że major zaczął się pocić ze strachu.

– Gdybyśmy tylko mieli takie czołgi – powiedział półgłosem.

Włożył łyżkę w gulasz i pogłaskał czarną baretkę odznaczenia otrzymanego za ranę. To przez T-34 będzie miał bruzdę na łydce aż do śmierci. Reszta załogi czołgu Panzer III, w którym był, wtedy nie miała takiego szczęścia. Wydostał się z niego tylko jeszcze jeden człowiek. Jest teraz w Niemczech, gdzie składają go w szpitalu do kupy. Porównując oba czołgi, trzeba przyznać, że Panzer III, nawet z nowym pięćdziesięciomilimetrowym działem, nie dorównywał T-34. Rosyjski czołg odznaczał się półtora raza większym działem, grubszym pancerzem, tak nachylonym, aby odbijał pociski i silnikiem o większej mocy od tego, w który wyposażony był Panzer III. Na dodatek, był to diesel, więc nie stawał w płomieniach tak łatwo, jak niemieckie silniki benzynowe Maybach.

– Nie jest tak źle, panie majorze. – Wesoły głos za plecami należał do jego zastępcy, kapitana Ernsta Riecke.

– Ha! Słyszałeś jak mruczę do siebie, co? – powiedział Jager.

– Tak jest. Z czołgami jest tak samo, jak z rypaniem, panie majorze.

Jager uniósł brwi.

– A to ciekawe.

– No cóż, w obu przypadkach Liczy się bardziej to, że się wie, co robić z tym, co się ma, niż jak to jest duże.

Dowódca kompanii parsknął. Riecke miał rację. Bolszewicy nawet po roku bolesnej szkoły, jaką dawali im Niemcy, nadal mieli zwyczaj rozpraszenia swoich sił pancernych zamiast użyć je w sposób zmasowany dla osiągnięcia maksymalnego efektu. To wyjaśniało, dlaczego teraz martwy T-34 popadł w tarapaty: obijał się po okolicy bez wsparcia, został namierzony i zniszczony przez trzy czołgi Panzer III. Ale...

– Pomyśl, jak by to było dobrze mieć dużego i wiedzieć, jak się to robi.

– To miłe, panie majorze – powiedział Riecke z zadowoleniem.

– A może pan znowu mówi o czołgach?

– Jesteś niepoprawny – stwierdził Jager, a potem zaczął myśleć, czy tak jest dlatego, że kapitan nadal ma niewiele ponad trzydzieści lat.

Na froncie rosyjskim awanse następowały szybko. Dobrzy oficerowie znajdowali się na czele swoich oddziałów, a nie na tyłach, żeby wysyłać rozkazy. To znaczyło, że dobrzy oficerowie częściej ginęli. Ta odwrotna selekcja naturalna martwiła Jagera. Czuł na barkach każdy rok ze swoich czterdziestu trzech lat. Walczył w okopach we Francji, w roku 1918, uczestniczył w ostatnim ataku na Paryż, a potem w tragicznym odwrocie nad Ren. Wtedy po raz pierwszy zobaczył czołgi, niezdarne potwory, których użyli Brytyjczycy. Od razu wiedział, że jeśli wojna miałaby się powtórzyć, chce je mieć po swojej stronie. Ale zakazano ich posiadania powojennej armii niemieckiej. Jak tylko Hitler zdjął białe rękawiczki i rozpoczął remilitaryzację, Jager zgłosił się do broni pancernej. Zjadł kilka łyżek gulaszu i zapytał:

– Ile czołgów mamy na chodzie?

– Jedenaście, odpowiedział Riecke – może będziemy mieli jeszcze jeden na chodzie do rana, jeśli skombinujemy przewód paliwowy.

– Nieźle – stwierdził Jager, chcąc zarówno pocieszyć siebie, jak i podbudować morale Rieckiego.

Na papierze jego kompania miała dwadzieścia dwa czołgi Panzer III. W rzeczywistości, gdy Rosjanie rozpoczęli natarcie, miała ich dziewiętnaście. Na froncie wschodnim posiadanie takiej liczby maszyn, bliskiej oficjalnie przypisanej, było nie lada osiągnięciem.

– Czerwoni też nie mogą być w najlepszym stanie – powiedział Riecke. W jego głosie przez moment słyhać było niepokój.

– Prawda?

– Upolowaliśmy ich sporo przez ostatnie trzy tygodnie – odparł Jager.

To była prawda. Kilkaset tysięcy Rosjan powlokło się do niewoli, kiedy Niemcy zlikwidowali wyrwę we froncie. Wróg porzucił ponad tysiąc czołgów i dwa tysiące dział. Straty bolszewików z poprzedniego lata były nawet jeszcze większe. Zanim jednak Jager przeszedł granicę między Rumunią a Rosją, nie wyobrażał sobie nawet, jak ogromny jest ten kraj, którego równiny zdawały się rozciągać bez końca; w jak cienką linię może się rozciągnąć dywizja, korpus, armia, tylko po to, żeby utrzymać front, nie mówiąc już o posuwaniu się do przodu. Z tych bezgranicznych równin zdawały się wylewać bez końca rzeki ludzi i czołgów. Wszyscy walczyli zaciekle, choć bez większej wprawy. Jager wiedział doskonale, że Wehrmacht miał ograniczone rezerwy. Jeśli każdy żołnierz niemiecki zabiłby dwóch czerwonoarmistów, jeśli każdy czołg rozbiłby dwa T-34 czy KW, to i tak Rosjanie będą górą. Riecke zapalił papierosa. Ogień zapalki na krótko oświetlił jego poraną bruzdami ze zmęczenia twarz. Miesiąc wcześniej nie miał jeszcze tych zmarszczek. Nadal jednak wyglądał chłopięco. Jager zazdrościł mu tego; sam siwiał w takim tempie, że niedługo będzie wyglądał jak dziadek. Kapitan podał mu paczkę papierosów. Wziął jednego i nachylił się bliżej po ogień.

– Dziękuję – powiedział, zasłaniając jedną ręką płomyk; nie było sensu pokazywać celu snajperowi.

Riecke też zasłaniał żar papierosa. Gdy przydeptali niedopałki, Riecke odezwał się nagle:

– Czy dostaniemy wkrótce nowy model, panie majorze? Co mówi pański brat?

– Nie mówi nic, czego nie powinien, a to znaczy, że ja nie wiem niczego na pewno – odpowiedział Jager.

Jego brat, Johann, pracował jako inżynier u Henschla. Listy od Johanna były zawsze cenzurowane ze szczególną uwagą, na wypadek, gdyby miały wpaść w ręce wroga podczas długiej drogi z Niemiec do jednostki stojącej gdzieś na południe od Charkowa. Ale bracia mieli sposoby, których cenzorzy nie znali. Po chwili Jager dodał

– Być może, że coś otrzymamy, ale sądziłem, że rozmiar jest dla ciebie bez znaczenia...?

– Och, dam sobie radę z tym, co mamy – młody człowiek odparł beztrąsko.

I tak nie ma wyboru, pomyślał Jager. Riecke mówił dalej:

– Ale jak pan major powiedział, byłoby miło być i lepszym i większym jednocześnie.

– I tak będzie

Jager wlał odrobinę wody z manierki do menażki i wyrwał trochę wiosennej, świeżej trawy, by ją choć trochę oczyścić. Potem ziewnął.

– Spróbuję się przespać do wschodu słońca. Obudź mnie, jakby miary być jakieś kłopoty.

Taki rozkaz dawał Rieckemu chyba ze sto razy. Kapitan, jak zwykle, skinął głową. Wibracja czterech merlinów sprawiała, że plomby w zębach porucznika lotnictwa Georga Bagnalla zachowywały się, jakby miały ochotę wpaść. Lancaster podskakiwał w powietrzu od wybuchów. Pociski artylerii przeciwlotniczej rozrywały się dookoła, wypełniając nocne powietrze obłoczkami dymu. Inżynierowi pokładowemu kojarzyły się one absurdalnie z pierożkami. Smugi światła reflektorów wbijały się w niebo, próbując nadziać bombowiec jak chrząszcza na szpilkę. Brzuch lancastera był matowoczarny, ale nie miałyby to znaczenia, gdyby trafił w niego któryś ze strumieni

światła. Na szczęście, Bagnall był zbyt zajęty śledzeniem temperatury silnika, obrotów, zużycia paliwa, ciśnienia oleju, hydrauliki i innych skomplikowanych systemów, które musiały działać, żeby lancaster mógł lecieć, by bać się tak, jak gdyby był tylko pasażerem. Ale nawet człowiek-maszyna nie potrafiłby patrzeć wyłącznie na wskaźniki i tarcze urządzeń i nie zwrócić uwagi na widowisko, które rozgrywało się za grubą szybą z perplexu. Bagnall patrzył jak w Kolonii widać było coraz więcej ognia. Niektóre miały białoniebieski połysk, jaki dają materiały łatwopalne, inne były czerwone – rozszerzające się bąble zwyczajnego ognia. Nieco niżej, około 800 metrów od samolotu Bagnalla, jakiś bombowiec przechylił się i zanurkował. Jedno skrzydło pokryte miał płomieniami. Dreszcz, który przeszedł inżyniera, nie był wywołany przez zimne powietrze, w którym unosił się jego lancaster. Siedzący obok niego pilot, Ken Embry chrząknął:

– Do Kolonii poleciało cholerne tysiąc bombowców – powiedział.

– Teraz zobaczymy, ile cholernych maszyn wróci. Jego głos brzmiał metalicznie w słuchawkach interkomu.

– Adolf nie jest z nas zadowolony tej nocy, prawda? – odparł Bagnall, żeby nie dać się przyjacielowi prześcignąć w cynizmie i lekceważeniu.

Pod nimi, w dziobie samolotu, Douglas Bell wydał głośny okrzyk.

– Tam jest stacja kolejowa! Trzymaj równo, równo... teraz! – krzyknął celowniczy.

Lancaster drgnął ponownie. Tym razem w inny sposób. Zagłada spadła na niemieckie miasto nad Renem.

– To za Coventry – powiedział spokojnie Embry. Półtora roku temu, podczas niemieckiego nalotu na to angielskie miasto, stracił siostrę.

– Za Coventry i trochę więcej – przytaknął Bagnall. Niemcy nie są w stanie posłać na nas tylu samolotów co my na nich. I nie mają bombowca, który mógłby się równać z lancasterem. – Czule położył dłoń w rękawicy na desce z instrumentami.

Pilot odezwał się ponownie.

– Oni zabijają naszych cywilów, a my zabijamy ich cywilów. Tak samo jest z żołnierzami na pustyni, tak samo jest w Rosji. Japończycy ciągle posuwają się naprzód na Pacyfiku, a Szwaby zatapiają za dużo statków na Atlantyku. Gdybym nie wiedział, jak jest naprawdę, powiedziałbym, że przegrywamy tę cholerną wojnę.

– To byłaby przesada – odparł Bagnall po kilku sekundach namysłu.

– Zdaje się, że raczej nastąpił stan równowagi, prawda? Wcześniej albo później, któraś strona uczyni jakieś wielkie głupstwo. I na tym sprawa się skończy.

– Dobry Boże, jesteście straceni, jeśli tak ma być – wykrzyknął Embry.

– Czy możesz sobie wyobrazić kogoś głupszego niż rozwścieczony Anglik?

Bagnall podrapał się po policzku pod okularami lotniczymi. Był to jedyny fragment ciała nie przykryty jedną, albo kilkoma – zazwyczaj kilkoma – warstwami odzieży. Policzek miał całkowicie odrętwiały. Szukał jakiejś riposty, ale nic mu nie przychodziło do głowy; tym razem musiał oddać przewoźnikowi w cynizmie pilotowi. Miał tylko kilka sekund, żeby odczuć porażkę. Krzyki dobiegające od strony tylnego strzelca i z górnej wieżyczki zadźwięczały w jego uszach i nieomal go ogłuszyły.

– Nieprzyjacielski myśliwiec w dole od sterburty! Bandyta! Bandyta! Pierdolony bandyta!

Zaczęły jazgotać karabiny maszynowe. Ken Embry pochylił lancastera i wymknął się niebezpieczeństwu. Prowadził wielki, niezgrabny samolot, jakby to był myśliwiec. Kadłub zaprotestował z jękiem. Jak każdy rozsądny pilot, Embry zignorował to. Bardziej prawdopodobne było, że zabije go Niemiec, niż że bombowcowi odpadną skrzydła. Dodał mocy silnikom po jednej

stronie, odjął ją z drugiej. Lancaster spadał jak kamień. Bagnall zatkał rękawicą usta, jakby chciał przytrzymać żołądek, który podpełzał mu do krtani. Krzyki strzelców wzrosły. Mimo lodowatego powietrza, oblany nagle potem, Bagnall poczuł uderzenia pocisków – pierwsze, drugie, trzecie – w skrzydło i w bok kadłuba. W szybie owiewki ukazał się dwusilnikowy samolot i z rykiem zniknął w ciemnościach ścigany seriami z karabinów lancastera.

– Messerschmitt-110 – powiedział Bagnall drżącym głosem.

– Dobrze, że mi powiedziałeś – odparł Embry.

– Byłem zbyt zajęty, żeby zauważyć. – Podniósł głos.

– Wszyscy obecni i przytomni?

Dobiegły ich piskliwe odpowiedzi siedmiu członków załogi. Byli wszyscy. Embry zwrócił się do Bagnalla:

– A co z naszym poczciwym gratem? Bagnall odczytał wskaźniki.

– Wszystko wydaje się... w normie.

Zdziwiło go zaskoczenie w jego własnym głosie. Dodał z ożywieniem i nieco żartobliwie.

– Bylibyśmy w nieco większym kłopotcie, gdyby Szwab zechciał nas zestrzelić zanim pozbyliśmy się ładunku.

– Prawda – stwierdził pilot.

– Skoro się go już pozbyliśmy, nie widzę naglącej przyczyny, dla której mielibyśmy zwlekać.

Panie Whyte, czy zechciałby pan podać nam kurs powrotny?

– Z przyjemnością, proszę pana – odparł Alf Whyte zza czarnej zasłony, która oddzielała go od światła kokpitu.

– Przez moment myślałem, że próbujesz mnie wyrzucić za burtę. Kurs dwa-osiem-trzy, powtarzam dwa-osiem-trzy. To pozwoli nam wylądować w Swinderby za około cztery i pół godziny.

– Oby przynajmniej gdzieś w Anglii – zauważył Embry; długodystansowa nawigacja w nocy była odległa od naukowej precyzji.

Kiedy Whyte wydał pełne oburzenia parsknięcie, pilot dodał – może i powinienem wyrzucić cię za burtę; z równym powodzeniem moglibyśmy powrócić, podążając za rzuconymi po drodze okruskami chleba.

Mimo tych połajanek, Embry wprowadził bombowiec na kurs, który podał mu nawigator. Bagnall uważnie śledził panel ze wskaźnikami, ciągle zaniepokojony, czy nie został uszkodzony jakiś przewód. Ale wszystkie wskazówki znajdowały się na właściwych miejscach; cztery merliny ciągnęły lancastera z szybkością powyżej 320 kilometrów na godzinę. Lancaster to twarda sztuka, szczególnie w porównaniu z blenheimami, na których zaczęli wojnę. A poza tym – mieli szczęście. Zerknął przez owiewkę. Czarne kontury innych lancasterów, sterlingów i manchesterów odcinały się na tle ciemnego nieba; gazy wylotowe jaśniały czerwienią. Gdy zniknął obraz płonącej Kolonii, poczuł, że strach łagodnieje. Najgorsze było za nimi. Prawdopodobnie przeżyje, żeby polecieć w następną misję – i znowu się bać. Załoga gawędziła, w słuchawkach słyszał tę samą ulgę, którą on odczuwał.

– Cholernie mocno przetrzepaliśmy skórę Szwabom – ktoś powiedział.

Bagnall zorientował się, że kiwa potakująco głową. Była artyleria przeciwlotnicza i były myśliwce, przez moment wydało mu się, że widzi Me-110; bywało już jednak gorzej; tym razem ogromny nalot na wpół sparaliżował obronę przeciwlotniczą Kolonii. Większość jego przyjaciół – a przy odrobinie szczęścia wszyscy – wróci do Swinderby. Poprawił się na siedzeniu, żeby ułożyć się wygodniej. Teraz z góry, pomyślał. Ludmiła Gorbunowa leciała niecałe sto metrów nad ziemią. Jej dwupłatowy U-2 wyglądał nieomal jak zabawka. Każdy myśliwiec z ostatnich dwóch lat poprzedniej

wojny mógłby stracić kukuruźnika bez trudu. Ale maszyna nie służyła wyłącznie do celów szkoleniowych; sprawdziła się jako samolot bojowy już w pierwszych dniach wielkiej wojny ojczyźnianej. Mała i cicha, była stworzona do tego, by przemykać się niezauważalnie nad liniami wojsk niemieckich. Przyciągnęła drążek, by zyskać na wysokości. Nie pomogło. Na obszarze, który początkowo był rosyjską pozycją wyjściową do ataku, później rosyjskim punktem oporu, a wreszcie, co upokarzające – rosyjską enklawą otoczoną przez faszystów, nie było widać rozbłysków ognia artyleryjskiego. Poprzedniej nocy również nikt nie meldował o ogniu dział w enklawie, podobnie było także wcześniej. Szósta armia była bez wątpienia martwa. Ale dowództwo lotnictwa frontu, jakby nie chcąc w to uwierzyć, nadal wysyłało samoloty z nadzieją, że armia w jakiś cudowny sposób ożyje. Ludmiła leciała bez przeszkód. W jej oczach, za okularami lotniczymi, pojawiły się łzy. Ofensywa była z początku tak obiecująca. Nawet faszystowskie radio potwierdziło, że Sowieci mogą odbić Charków. Ale Ludmiła nie była pewna, co stało się później, chociaż przez cały czas odbywała loty zwiadowcze. Niemcom udało się załatać wyrwę, którą w ich pozycjach uczynili Sowieci i bitwa zakończyła się zagładą. Jej dłoń w rękawicy zacisnęła się na drążku jakby to był kark faszysty. Przypomniła sobie jak wydostała się razem z matką z Kijowa na kilka dni przed otoczeniem miasta przez Niemców. Obaj jej bracia i ojciec byli w wojsku, od miesięcy nie przychodziły od nich listy. Czasem, choć było to wysoce niewłaściwe dla sowieckiej kobiety urodzonej pięć lat po Rewolucji Październikowej, żałowała, że nie umie się modlić. W dali zajaśniał ogień. Skierowała samolot w jego stronę. Według tego, co do tej pory widziała, ktokolwiek zapalał światła w nocy, musiał być Niemcem. Gdyby jakiś oddział sowiecki uszedł z okrążenia, nie ośmieliłby się ściągać na siebie uwagę. Zniżyła lot kukuruźnika do wysokości drzew. Czas przypomnieć faszystom, że nie powinno ich tutaj być. Kiedy ogień rozjaśnił się przed nią, jej odwaga zmalała. Zagryzła mocno dolną wargę, aby bólem zwalczyć strach.

– Nie boję się, nie boję się, nie boję się – powtarzała.

Bała się jednak za każdym razem, kiedy leciała. Nie było już czasu, by pozwolić sobie na luksus strachu. Figurki ludzi w kręgu światła w ciągu chwili powiększyły się do rozmiarów naturalnych. To na pewno byli Niemcy, w brudnych mundurach feldgrau i hełmach w kształcie nocnika. Rozbiegli się moment wcześniej zanim nacisnęła kciukiem guzik spustu zamontowany na szczycie drążka. Do klekotu pięciocyndrowego gwiazdźstego silnika dołączył grzechot dwóch karabinów maszynowych przymocowanych pod dolnym skrzydłem dwupłatu. Ludmiła strzelała przez cały czas, gdy samolot nadlatywał nad ognisko. Gdy zniknęło za nią, popatrzyła przez ramię, żeby zobaczyć, czego dokonała. Kilku Niemców leżało rozciągniętych na ziemi, jeden z nich nie poruszał się. Inni wili się pod wpływem bólu.

– Charaszo – powiedziała miękko Ludmiła.

Uczucie triumfu zdominowało strach.

– Oczeń charaszo.

To było dobre. Każdy cios w faszystów pomagał ich odeprzeć – a przynajmniej nie pozwalał im pójść dalej do przodu. Rozbłyski w ciemności, z dwóch miejsc, potem trzech; to nie ognisko, to ogień z karabinów. Strach powrócił. Ludmiła uruchomiła całą niewielką moc, jaką dysponowała maszyna. Kula karabinowa świsnęła koło jej głowy, obrzydliwie blisko. Rozbłyski z luf nie ustawały, ale w ciągu kilku sekund znalazła się poza zasięgiem ognia. Pozwoliła dwupłatowi wzbić się, żeby wypatrzeć następny cel. Wiatr świszczący nad owiewką otwartego kokpitu osuszał pot na jej czole. Kłopot z Niemcami polegał na tym, że byli za dobrzy w swym fachu morderców i niszczycieli. Mieli tylko kilkusekundowe ostrzeżenie, zanim jej samolot znalazł się nad ich głowami, ale zamiast uciekać i szukać kryjówki, rozbiegli się, a potem zaczęli strzelać – i o mały włos jej nie zabili. Zadrzała

znowu, chociaż pozostawiła ich już parę kilometrów za sobą. Kiedy zdradziecko zerwali pakt o pokoju i przyjaźni i najechali Związek Radziecki, była pewna, że Armia Czerwona szybko ich odeprze. Ale następowały kolejne klęski i odwroty. Nad Kijowem pojawiły się bombowce – szerokoskrzydłe heinkle, chude jak latające ołówki dornieri, zgrabne junkersy-88, stukasy-jastrzębie, które, nurkując nad celem, wyły jak dusze potępieńców. Panowały na niebie. Nie zagroził im żaden radziecki myśliwiec.

Kiedy Ludmiła znalazła się po ucieczce z Kijowa poza zasięgiem Niemców, w Rossoszu, przypadkiem wspomniała udręczonemu urzędnikowi, że przechodziła trening lotniczy. Dwa dni potem była już żołnierzem radzieckich sił powietrznych. Do tej pory zastanawiała się czy ten człowiek zrobił to dla ojczyzny, czy też dlatego żeby pozbyć się kłopotu ze znalezieniem dla niej miejsca do spania. Teraz jest już za późno, żeby zaprzętać sobie tym głowę. Cały pułk kobiecy latał na nocne misje, żeby osłabiać siły faszystowskich najeźdźców.

Pewnego dnia, pomyślała Ludmiła, stanę się pilotem prawdziwego myśliwca, a nie tego U-2. Kilka kobiet zostało asami myśliwskimi. Każda z nich straciła ponad pięć niemieckich samolotów. Na dziś jednak wystarczy jej stary, dobry kukuruźnik. W oddali spostrzegła jeszcze jedno ognisko. Dwupłatówiec pochylał się, lecąc w jego kierunku. Samoloty przelatywały z rykiem nisko ponad głowami. Znaki czerwonego słońca pod skrzydłami i na bokach kadłubów wyglądały jakby namalowano je krwią. Karabiny maszynowe pluły ogniem. Kule podnosiły kurz i rozchłapywały wodę, jak czyniły to pierwsze wielkie krople nadchodzącej ulewy. Liu Hań kąpała się i pływała, gdy usłyszała japońskie myśliwce. Z okrzykiem przerażenia zanurkowała. Jej palce wbiły się w muliste dno strumienia. Wstrzymywała oddech dopóki brak powietrza nie zmusił jej do wypłynięcia na powierzchnię, szybko zaczerpnęła tchu i zanurkowała powtórnie. Kiedy znowu się wynurzyła, potrząsnęła głową, żeby odgarnąć z oczu długie, czarne włosy. Rozejrzała się dookoła. Myśliwce zniknęły równie szybko jak się pojawiły. Ale wiedziała, że japońscy żołnierze muszą być niedaleko. Chińskie oddziały przechodziły przez jej wioskę poprzedniego dnia. Wycofywały się w kierunku Hanko w. Po kilku szybkich ruchach zbliżyła się do brzegu strumienia. Wyszła z wody, osuszyła ciało szorstkim bawełnianym ręcznikiem, włożyła ubranie i sandały i odeszła kilka kroków od strumienia. Znów buczenie motorów, tym razem wyżej i dalej niż myśliwców i świst, którego nie potrafiłby wydać żaden ptak... Bomba wybuchła o niecałe sto metrów od Liu. Podmuch uniósł ją jak kukielkę i cisnął na powrót do strumienia. Oszołomiona, na wpół ogłuchła, miotała się w wodzie. Nałykała się jej sporo. Kaszłąc, krztusząc się, wymiotując, podniosła wysoko głowę, by odetchnąć cennym powietrzem. Na wydechu wyszeptała modlitwę do Buddy:

– Amitufo, pomóż mi!

Wokół spadły następne bomby. Fontanny ziemi były tak doskonałe i piękne, że prawie zapomniała o zniszczeniu, które niosły. Huk eksplozji uderzał ją w twarz. Odczuwała go fizycznie, bardziej jak podmuch niż jak dźwięk. Dziko wyły przelatujące odłamki metalu. Kilka z nich uderzyło w wodę obok Liu. Jęknęła powtórnie. W ubiegłym roku odłamek rozszarpał jej ojca na dwoje. Eksplozje przesunęły się dalej, w stronę wioski. Podpłynęła niezgrabnie do brzegu. Ubranie przylegało jej do ramion i nóg utrudniając ruchy. Jeszcze raz wdrapała się na brzeg. Nie było sensu wycierać się teraz. Mokry ręcznik pokryty był ziemią. Machinalnie podniosła go i poszła do domu. Znów modliła się do Amidy Buddy, żeby dom jeszcze stał. Leje po bombach upstrzyły pole. Tu i tam leżały obok nich ciała mężczyzn i kobiet, rozdarte i skręcone. Polna droga była nietknięta. Bombowce nie zniszczyły jej, żeby mogła z niej skorzystać japońska armia. Chciało jej się palić. W kieszeni miała paczkę papierosów, ale teraz nasiąknięte były wodą. Krople spływały jej z włosów do oczu. Kiedy zobaczyła słupy dymu wznoszące się w niebo, zaczęła biec. Sandały uderzały o pięty. Od

strony wioski słyszała krzyki i wrzaski, ale nieustający szum w uszach uniemożliwiał jej zrozumienie słów. Ludzie spoglądali na nią kiedy biegła. Nawet teraz, pośrodku zniszczeń, jej pierwszą myślą było zakłopotanie, że mokre ubranie przylega jej do ciała. Widać było nawet niewielkie, nabrzmiałe sutki. „Płacić za ujrzenie kobiecego ciała” był to eufemizm, którym określano wizytę u dziwki. Nikt nie musiał płacić, żeby zobaczyć teraz ciało Liu. Ale w chaosie, który powstał po japońskim ataku, ciało kobiety nie było warte większego zainteresowania. Niektórzy wieśniacy, zamiast lęku, który odczuwała Liu, zupełnie bezsensownie hasali wokół, jakby to było jakieś święto.

– Czy wszyscy tu poszaleli, stary Sunie? – krzyknęła.

– Nie, nie – odkrzyknął krawiec.

– Czy wiesz, co zrobiły bomby wschodnich diabłów? Czy domyślasz się? – W wielkim uśmiechu odsłonił prawie bezzębne dziąsła.

– Myślałam, że chybili celu, ale... – Liu przerwała, wskazując na unoszący się dym. – Zdaje się, że jest inaczej.

– Doskonale – stary Sun zatarł ręce z zadowoleniem.

– Nie, nawet lepiej niż doskonale. Prawie wszystkie ich bomby spadły prosto na yamen. Yamen? – Liu otworzyła usta, potem sama zaczęła się śmiać.

– Och, jaka szkoda!

Otoczony murem yamen mieścił rezydencję szefa powiatu, salę posłuchań, areszt i sąd, skarbiec i inne biura rządowe. Tang Wen Łan, szef powiatu, był powszechnie znany ze swojej korupcji, tak jak większość jego urzędników, sekretarzy i służących.

– Czyż to nie smutne? Myślę, że pójdę do domu i przebiorę się na biało na pogrzeb Tanga – powiedział stary Sun.

– Nie żyje? – wykrzyknęła Liu.

– Myślałam, że tak zepsuty człowiek będzie żył wiecznie.

– Nie żyje – potwierdził stary Sun. Duch Przemiany Życia właśnie zabiera go do innego świata – o ile posłaniec śmierci zbierze wszystkie kawałki Tanga. Jedna bomba trafiła wprost w urząd, w którym brał łapówki. Nikt już nie będzie nas oskubywał. Jakże smutno, jak okropnie!

Jego wyrazista twarz wygięła się w maskę żałoby z teatru pantomimy. Yi Min, miejscowy aptekarz, był mniej optymistyczny niż stary Sun.

– Poczekajcie, aż nadejdą wschodnie chochliki. Japończycy sprawią, że głupi, martwy Tang Wen Łan wyda się księciem wielkoduszości. Musiał zostawić nam dosyć ryżu, żebyśmy przetrwali do następnego roku i żeby znów nas mógł oskubać. Japończycy wezmą wszystko dla siebie. Im wszystko jedno – żyjemy, czy umieramy. Spora część Chin zdążyła się już o tym przekonać. Rząd Czang-Kai-szeka był żarłoczny i nieudolny, ale miejscowości znajdujące się pod okupacją japońską cierpiały jeszcze gorzej. A to dlatego, jak powiedział Yi Min, że najeźdźcy brali dla siebie to, na co mieli ochotę, a podległym ich władzy Chińczykom zostawiali tylko to, czego sami nie chcieli. I jeszcze dlatego, że byli żarłocznymi, ale nie byli nieudolnymi. Byli jak szarańcza. Gdy już oczyszczali prowincję z ryżu, to robili to do czysta.

– Więc powinniśmy uciekać? – zapytała Liu.

– Chłop bez ziemi jest niczym – powiedział stary Sun. – Jeśli mam już umrzeć z głodu, to wolę umrzeć w domu niż gdzieś na drodze, z dala od grobów moich przodków.

Kilku innych wieśniaków zgodziło się z nim.

– A co zrobić, jeśli ma się wybór między życiem na drodze a umieraniem przy grobach przodków. Co wtedy, stary Sunie? – zapytał Yi Min

Podczas gdy mężczyźni sprzeczekali się, Liu Hań weszła do wsi. Było tak, jak powiedział stary

Sun. Z yamenu pozostała dymiąca ruina. Mury były obalone, jakby kopał w nie olbrzym. Maszt złamał się jak witka; flaga Kuomintangu – biała gwiazda na czerwonym i błękitnym tle – leżała złachmaniona w kurzu. Liu Hań spojrzała przez dziurę w murze na biuro Tang Wen Lana. Jeśli szef powiatu był w środku, kiedy uderzyła bomba, to stary Sun ma rację twierdząc, że zginął. Z budynku pozostała tylko dziura w ziemi i trochę słomy zdmuchniętej z dachu. Inna bomba uderzyła w areszt. Bez względu na rodzaj przestępstwa, za które siedzieli w nim więźniowie, wszyscy ponieśli najwyższą karę. Krzyki wskazywały, że niektórzy jeszcze żyją. Wieśniacy już byli w yamenie, zabierali co się dało i wyciągali ciała. Ciężki odór krwi mieszał się z dymem i zapachem świeżo rozgrzebanej ziemi. Liu Hań wzdrygnęła się na myśl, jak łatwo mógł to być zapach jej własnej krwi. Jej dom stał o kilka przecznic za yamenem. Spostrzegła dym wznoszący się w tamtej okolicy, ale nie skojarzyło się to jej z niczym. Nikt nie jest skłonny uwierzyć, że może go dotknąć nieszczęście. Nawet wtedy, gdy minęła róg ostatniego domu i zobaczyła dymiący lej w miejscu, gdzie stał jej dom, nie uwierzyła własnym oczom. Z domu zostało jeszcze mniej niż z biura szefa powiatu. Nie mam domu. Minęło kilka sekund nim dotarło to do jej świadomości. Prawie nie była w stanie tego zrozumieć, mimo że wypowiedziała te słowa. Wbiła wzrok w ziemię, zastanawiając się, co teraz zrobić. Coś małego i brudnego leżało przy jej lewej stopie. Rozpoznała to w ten sam powolny, leniwy sposób, jak wcześniej stwierdziła, że nie ma domu. To była ręka jej synka. Nic więcej nie pozostało. Nachyliła się i podniosła rączkę, tak jakby to był chłopczyk, a nie tylko oderwana kończyna. Ciało było jeszcze ciepłe. Usłyszała głośny krzyk. Zabrało jej to chwilę, zanim zorientowała się, że wydobywa się on z jej gardła. Krzyk trwał, jakby był niezależny od ciała. Chciała go powstrzymać, ale stwierdziła, że nie jest w stanie. Bardzo powoli przestawał być jedynym dźwiękiem. Przerywały go inne: wesole trach, trach, trach, jak trzeszczenie płonących sztucznych ogni. Ale to nie były sztuczne ognie. To były strzały karabinów. Nadchodzili japońscy żołnierze. David Goldfarb wpatrywał się w zielonkawy poblask ekranu radaru w stacji Dover, czekając na rój przesuwających się iskerek obwieszczających powrót armady brytyjskich bombowców. Odwrócił się do kolegi siedzącego obok.

– Cholera, wolę oglądać nasze bombowce wracające do domu niż, jak przed rokiem, czekać aż wszyscy Niemcy z całego świata urządzą sobie spotkanie nad Londynem.

– Oby się to nie powtórzyło.

Jerome Jones przetarł zmęczone oczy.

– Mieliśmy trochę przerwy, prawda?

– Tak, troszeczkę.

Goldfarb rozparł się w niewygodnym krześle, zgarbił ramiona. Coś chrupnęło mu w karku. Odchrząknął z ulgą. Potem chrząknął jeszcze raz, myśląc o tym, co powiedział Jones. Przez całe swoje dwadzieścia trzy lata żył otoczony przez brytyjskich rezerwistów, nauczył się nawet ich naśladować, ale ten styl wciąż wydawał mu się nienaturalny. Jego rodzice, jako nowożeńcy, uciekli do Londynu tuż przed pierwszą wojną, by ująć pogromom. Opanowanie nie było częścią skąpego bagażu, który z sobą przywieźli; krzyczeli na siebie nawzajem, a także na Davida, jego braci i siostrę, czasem ze złością, częściej z uczuciem, ale zawsze wyrażali głośno swe emocje. W domu nie nauczył się powściągliwości w okazywaniu uczuć. Tym trudniej było mu wśród obcych. Uśmiech wywołany wspomnieniami szybko zgasł. Z informacji, które do nich docierały, wynikało, że sytuacja Żydów pod okupacją niemiecką stawała się coraz gorsza. Kiedy Hitler anektował ziemie czeskie, Saul Goldfarb napisał do swoich braci, sióstr i kuzynów w Warszawie, żeby wyjeżdżali z Polski.. Nikt go nie posłuchał. Kilka miesięcy potem było już za późno. Rozbłysk na ekranie wyrwał go z zadumy.

– Kurczę – powiedział Jones, porzucając w zaskoczeniu literacką angielszczyznę.

- Patrz, dokąd ten palant się pcha.
- Widzę – odpowiedział Goldfarb. Przyglądał się dopóki obiekt nie zniknął. Trwało to krótko.

Westchnął:

- Teraz musimy napisać raport o zjawach.
- Trzeci w tym tygodniu – zauważył Jones.
- Te cholerne zjawy stają się coraz aktywniejsze, czymkolwiek by były.
- Czymkolwiek by były – powtórzył Goldfarb.

Przez ostatnie kilka miesięcy radary w Anglii i, jak się dowiedział nieoficjalnie, w Stanach Zjednoczonych pokazywały fantomy samolotów lecące nieprawdopodobnie wysoko i szybko; 28000 m i ponad 3200 km na godzinę – te dane słyszał najczęściej.

– Zdawało mi się, że to jakieś zwarcie w obwodach. Ale widziałem już wystarczająco wiele, żebym teraz miał w to uwierzyć – powiedział Goldfarb.

– A co to może być innego?

Jones nadal należał do szkoły wyznającej teorię zwarć w obwodach. Wytoczył najcięższe działa logicznej argumentacji.

– Nie są nasze. Nie należą do Jankesów. A gdyby były szwabskie, to zrzucałyby nam to i owo na głowy. Co więc pozostaje? Marsjanie?

– Śmieć się jak chcesz – odparł z uporem Goldfarb.

– Jeśli w bebechach tych urządzeń jest coś nie w porządku, to dlaczego jajogłowi nie znaleźli tego jeszcze i nie zreperowali?

– Też mi coś. Nawet nie przypuszczam, żeby mądrale, którzy wynaleźli to pudło, wiedzieli, jakie są jego możliwości – odparował Jones.

Była to, nie dająca się zakwestionować, prawda, więc Goldfarb nie odpowiedział wprost. Wymyślił inną ripostę:

– To dlaczego aparatura wykrywa zjawy dopiero teraz? Dlaczego nie pojawiały się na ekranach od pierwszego dnia?

– Jeśli jajogłowi tego nie wiedzą, to skąd ja mam wiedzieć? – powiedział Jones.

– Wyciągnij ten cholerny formularz, – dobrze? Przy odrobinie szczęścia wypełnimy go zanim namierzemy bombowce i do jutra nie będziemy się musieli o nic martwić.

– Jasne

Goldfarb myślał czasem, że gdyby Niemcom udało się przekroczyć kanał i najechać Wielką Brytanię, to Brytyjczycy otoczyliby ich zwałami papieru i pogrzebali w urzędowych formularzach. Przegródki pod konsolą, przy której siedział, zawierały wystarczającą ilość nakazów, dyrektyw i raportów, żeby na lata unieszkodliwić nawet bardziej wyrafinowanego biurokratę. Raport o zjawach, niedbale wydrukowany na szorstkim, tandetnym papierze, był właśnie taki. Nosił zupełnie inną nazwę oficjalną. RAF wydał dokument zatytułowany PRZYPADKI POZORNYCH ANOMALII W WYKRYWANIU SUPERSZYBKICH CELÓW NA WYSOKIM PUŁAPIE. Gdyby formularz wpadł w ręce Niemców, nigdzie nie było wspomniane, że te anomalie w wykrywaniu, pozorne anomalie, poprawił się w myśli Goldfarb, dokonane były przy użyciu radaru. Jakby Szwaby nie wiedziały, że go mamy, pomyślał. Znalazł ogryzek ołówka, wpisał nazwę stacji, datę, czas, wysokość i namierzoną szybkość kontaktu, potem wetknął formularz do koperty przyklejonej taśmą z boku ekranu radaru. Oficer kontrwywiadu bazy napisał na kopercie RAPORTY O ZJAWACH. Z takim podejściem do sprawy, oficer kontrwywiadu może się pożegnać z awansem. Jones chrząknął z zadowoleniem, jakby to on sam wypełniał raport.

– Jutro trafi do Londynu – powiedział.

– Tak. I porównają go z innymi, które dostali. Będą mogli odczytać z danych wysokość i inne rzeczy – odparł Goldfarb.

– Nie robiliby sobie z tym takiego kłopotu, gdyby to były tylko obwody, no nie?

– Nie pytaj mnie, co oni tam robią w Londynie – rzekł Jones. Goldfarb uznał, że chłopak ma właściwy stosunek do sprawy. Jones kontynuował:

– Byłbym szczęśliwszy, gdybym wiedział, że te zjawy są prawdziwe. Ale ktoś musiałby je widzieć nie tylko tutaj – wskazał na ekran radaru.

– Ja też – zgodził się Goldfarb.

– Ale pomyśl, jaki kłopot mieliśmy nawet z Ju-86. Te bombowce rozpoznawcze latały nad południową Anglią od miesięcy, zazwyczaj powyżej 12000 m – myśliwce Spitfire miały ogromne problemy z wspięciem się na taką wysokość i przechwyceniem samolotów wroga. Jerome Jones nie był przekonany.

– Junkers 86 to po prostu szwabski grat. Owszem, ma dobry pułap, ale jest powolny i łatwo go zestrzelić, kiedy tylko się do niego bliżej podejdzie. To nie jest tak, jak z supermanem w jankeskich komiksach, co to jest szybszy od kuli.

– Wiem. Mówią tylko, że nie widzimy samolotu lecącego tak wysoko, a jeśli leci szybko, to nawet obserwator z lornetką ma mało czasu, żeby go znaleźć, zanim odleci. Przydałyby się lornetki przy radarach, tak, żeby wiedzieć, w którą stronę patrzeć.

Goldfarb zastanawiał się, czy to praktyczne rozwiązanie. A jeśli tak, to co zrobić, żeby je wprowadzić w życie. Tak głęboko zamyślił się nad własnym planem, że przez moment nie zauważył rozbłysków na ekranie radaru.

– Znowu zjawy – powiedział Jones. Radar pokazywał więcej tajemniczych celów. Głos Jonesa zmienił się.

– Dziwnie się zachowują.

– Prawda. – Goldfarb wlepił wzrok w ekran, wyobrażając sobie samoloty. Zastanawiał się, czy Jones, który uważa, że zjawy to coś, co się dzieje wewnątrz aparatu, ma podobne wyobrażenia.

– Są powolniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

– I jest ich więcej – dodał Jones.

– Znacznie więcej. Odwrócił się do Goldfarba. Nikt nie ma zdrowej cery w zielonkawej poświacie lampy katodowej, ale teraz jego kolega był szczególnie blady. Od białej skóry twarzy o ostrych rysach odcinał się mały wąsik.

– David, myślę, że one są prawdziwe. – Goldfarb rozpoznał ton, który pojawił się w głosie Jonesa. To był strach.

Rozdział II

O łód męczył Mosze Rusiego. Myślał, że chude łąta i posty religijne nauczyły go, co znaczy brak jedzenia, ale te doświadczenia nie przygotowały go do życia w warszawskim getcie. Jego długi czarny płaszcz łopotał jak fragment nocy. Przebiegał z jednego ciemnego zaułka w drugi. Było już dawno po godzinie policyjnej, która zaczynała się o dziewiątej. Gdyby zobaczył go Niemiec, Rusie pożyłby nie dłużej niż trwałby dobry humor oprawcy. Strach rozszerzał mu nozdrza przy każdym oddechu. Wciągał w płuca wielkie hausty cuchnącego powietrza getta. Ale głód był silniejszy od strachu. Zresztą, Rusie i tak mógłby się stać obiektem niemieckiej agresji o każdej porze dnia i nocy bez względu na powód. Zaledwie cztery dni temu Niemcy rzucili się na Żydów, którzy przyszli do sądów na Lesznie, żeby uiścić podatki, które okupanci sami na nich nałożyli. Zrabowali Żydom nie tylko to, co ci musieli zapłacić, ale w ogóle wszystko, co ze sobą mieli. Rabowali, kopali, bili, jakby chcieli im przypomnieć, w czyje łapska wpadli.

– Nie potrzebują mi przypominać – szepnął do siebie Rusie.

Mieszkał na ulicy Wołyńskiej, w getcie był od jego utworzenia przez Niemców. Niewiele przeżyło te dwa i pół roku piekła. Zastanawiał się, jak długo jeszcze pożyje. Przed wrześniem 1939 roku był studentem medycyny, potrafił teraz rozpoznać u siebie objawy: chwiejące się zęby, wrażliwe dziąsła zapowiadały początki szkorbutu, słaby wzrok w nocy oznaczał brak witaminy A, biegunka mogła mieć tuzin przyczyn. I nie trzeba było biegłości w medycynie, żeby rozpoznać głód; setki tysięcy Żydów upchniętych na obszarze czterech kilometrów kwadratowych zdążyło go dobrze poznać. Jedyna korzyść, jaka z tego wynikała, że był taki chudy, iż mógł się prawie dwa razy owinąć płaszczem. Gdy znalazł się w pobliżu muru, skradał się jeszcze ostrożniej. Czerwone cegły ułożone były na wysokość dwóch ludzi. Na górze rozpięty był drut kolczasty, który miał powstrzymywać śmiałków przed przechodzeniem na drugą stronę. Ale nie to było celem Rusiego, choćby tego bardzo pragnął. Zaczął kręcić wokół siebie workiem, jak młociarz na olimpiadzie. Przerzucił go na polską stronę. Worek przeleciał przez mur. Z bijącym sercem Rusie nasłuchiwał jak upada. Owinął srebrny świecznik szmatami, toteż ładunek stuknął głucho o ziemię nie wydając metalicznego dźwięku. Napiął uwagę, żeby usłyszeć kroki po drugiej stronie. Był teraz zdany na łaskę Polaków. Jeśli jakiś jegomość będzie chciał ukraść świecznik, może to po prostu zrobić. Jeśli będzie miał nadzieję na dalszy handel – dobije targu. Sekundy oczekiwania rozciągały się jak drut kolczasty na murze. Rusie, choć natęzał uwagę, nie słyszał niczego po drugiej stronie. Może Niemcy aresztowali Polaka. Wtedy cenny świecznik leżałby porzucony, dopóki jakiś przechodzień by go nie znalazł... a Rusie zmarnowałby jeden z ostatnich swoich skarbów. Na bruk nie opodał upadło coś z łagodnym stuknięciem. Rusie rzucił się w tę stronę. Szmaty, którymi owinął strzepy butów, tłumili odgłos kroków. Jedną ręką przytrzymał kapelusz. Kiedy schudł, nawet głowa mu się jakby zmniejszyła. Schwycił torbę i śmignął z powrotem w ciemność. Ciężki, odurzający zapach mięsa opanował jego zmysły, usta napętniły mu się śliną. Rozplatał sznurek ściskający worek, sięgnął do środka. Jego pajęczochude palce zacisnęły się wokół ochłapu. Szacował ciężar i wielkość. To nie było obiecane pół kilograma, ale i tak mięso ważyło niewiele mniej. Sądził, że zostanie bardziej oszukany; cóż Żyd mógłby na to poradzić? Może by naskarżył do SS? Roześmiał się w duchu ponuro. Wyciągnął rękę, polizał sól i tłuszcz, które do niej przywarły. Do oczu napłynęły łzy. Jego żona Ryfka, ich syn Reuben, i, przy okazji, on sam będą mogli pożyć trochę dłużej. Za późno dla ich małej Sary, za późno dla rodziców jego żony i ojca Rusiego. Ale ich troje jeszcze da sobie radę. Oblizwał usta. Poczł słodki smak na języku. Po części dlatego, że ochłap był nieco nadpsuty, ale teraz jadał już znacznie gorsze rzeczy, na przykład słoninę. Rabini w getcie już dawno znieśli zakaz spożywania

niekoszewnej żywności, ale Rusie czuł się winny, ile razy wkładał ją do ust. Niektórzy Żydzi woleli raczej umrzeć niż złamać zakaz. Gdyby był sam, też by tak postąpił. Ale musiał się opiekować bliskimi, więc żył. Omówi tę sprawę z Bogiem, jeśli mu to będzie dane. Jak najlepiej wykorzystać słoninę, zastanawiał się. Zupa – to była jedyna odpowiedź; w ten sposób żywność przetrwa kilka dni, a zgniłe ziemniaki i zepsuta kapusta łatwiej dadzą się przełknąć; tylko niektórzy z nich pamiętali te odległe, przedwojenne czasy, kiedy to z pogardą odwróciliby się od zgniłych ziemniaków i zepsutej kapusty. Teraz pochłaniali je i pragnęli jeść więcej niż mieli. Sięgnął do kieszeni płaszcza. Mokra od śliny dłoń ścisnęła zwitek banknotów. Wystarczy, żeby przekupić żydowskiego policjanta, jeśli będzie trzeba. Pieniądze prawie nie nadawały się do czego innego; rzadko kiedy za nędzne złotówki można było kupić żywność w getcie.

– Muszę wracać – powiedział do siebie pod nosem.

Jeśli nie stawi się przy swojej maszynie do szycia w kwadrans po zakończeniu godziny policyjnej, jakiś inny Żyd będzie chwalił Boga, że dał mu szansę na zajęcie miejsca Rusiego. A jeśli będzie zbyt zmęczony, żeby wyrobić normę w szyciu spodni do niemieckich mundurów, nie pozostanie długo przy swojej maszynie. Jego szczupłe, sprawne dłonie stworzone były do badania puls, usuwania wyrostka robaczkowego, ale teraz ich zręczność w posługiwaniu się igłą i nicią utrzymywała jego samego i część jego rodziny przy życiu. Myślał, ile mu jeszcze życia zostało w tym piekle. Nie to, że bał się przypadkowej śmierci czającej się w getcie. Ale właśnie tego dnia od warsztatu do warsztatu w fabryce rozniosła się szeptem wieść. Głosiła, że lubelskie getto przestało istnieć: zabrano tysiące Żydów i... każdy dopowiadał coś od siebie, podobne do koszmarów, które go dręczyły. To, co przychodziło na myśl Rusiemu, przypominało fabrykę konserw. Tyle że zamiast bydła wchodził do niej ludźmi. Modlił się, żeby to była nieprawda. Bóg przecież nie mógłby dopuścić do takiej potworności. Ale widocznie niewiele modlitw dotarło do celu, ponieważ zbyt wielu martwych Żydów leżało na chodnikach, dopóki nie zabrano ich, jak drewno, na opał.

– Panie Abrahama Izaaka i Jakuba – mruzczał cicho.

– Proszę, daj mi znak, że nie opuścisz Twego ludu wybranego. Podobnie jak dziesiątki tysięcy towarzyszy niedoli słał w niebo tę modlitwę we dnie i w nocy. Był bezsilny, nie mógł uczynić niczego innego, żeby poprawić swój straszny los.

– Proszę cię, Panie – modlił się.

– Daj mi znak.

Nagle, w środku nocy, w warszawskim getcie stało się jasno jak w południe. Mosze Rusie patrzył w osłupieniu na jaskrawy jak słońce punkt światła gorejący na ciemnym niebie. Flara spadochronowa, pomyślał, wspominając niemieckie bombardowania miasta. Ale to nie była flara. Cokolwiek by to było, na pewno było większe i jaśniejsze od flary. Zalało światłem dnia całe getto – być może całą Warszawę albo całą Polskę. Wisiało bez ruchu na niebie. Flara spadałaby. Powoli, powoli, powoli punkt światła stawał się plamą, zaczynał blednąć; od rażącego w oczy fioletu przechodził do bieli, żółci i odcienia pomarańczy. Blask południa ustępował zachodowi słońca, a potem zmierzchowi. Dwa albo trzy zaskoczone ptaki, które zaczęły śpiewać, umilkły, jakby zawstydzone, że dały się oszukać. Ich słodkie trele i tak zostałyby zagłuszone krzykami dochodzącymi z getta i okolic, krzykami zaskoczenia i strachu. Rusie słyszał głosy Niemców. Był w nich strach. Odkąd hitlerowcy zapędzili Żydów do getta, nie słyszał strachu w głosach Niemców. Nie wyobrażał sobie nawet, że coś takiego usłyszy. Te głosy wydały mu się słodkie jak słowicze trele. Z jego oślepionych oczu płynęły łzy. Spływały po brudnych, zapadniętych policzkach, po kręconej brodzie. Oparł się o ścianę, na której wisiał podarty plakat z napisem: „Piwo”. Pomyślał, kiedy to ostatni raz piwo było w getcie. Ale to nie miało znaczenia. Poprosił Boga o znak. I Bóg dał mu znak! Nie

wiedział, jak mógłby za to podziękować Panu, ale postanowił, że resztę życia spędzi na zastanawianiu się nad tym, jak to zrobić. Pan floty Atvar stał przed holograficznym obrazem Tosev 3. Patrzył, jak świetlne punkciki rozbłyskują tu i ówdzie nad śmiesznie małymi kontynentami tego świata. Zastanawiał się, czy wtedy kiedy Tosev 3 dostanie się już we władzę Rasy, manipulowanie tektoniką płyt pozwoli na uzyskanie większej powierzchni terytoriów nadających się do użytku. Ale to była sprawa przyszłości odległej o pięćset, pięć tysięcy albo dwadzieścia pięć tysięcy lat. Kiedy wszystko będzie już przesądzone i zaplanowane do ostatniego szczegółu, Rasa przystąpi do działania. Tak było od wieków. Atvar miał świadomość, jak bardzo brakuje mu czasu. Sądził, że operacja przebiegnie pomyślnie, ale Tosewici, którzy z wyjątkowym pośpiechem rozwinęli podstawy cywilizacji przemysłowej, stanowili dla jego sił poważniejsze wyzwanie niż ktokolwiek mógłby przewidzieć na rodzimej planecie; jeśli nie sprostą temu wyzwaniu, zostanie zapamiętany jako winowajca porażki.

– Czy urządzenia zostały właściwie rozmieszczone? – zwrócił się z troską w głosie do pana statku Kirela.

– Tak jest, panie floty – odparł Kirel.

– Wszystkie pojazdy, które się tym zajmowały, meldowały o sukcesie. Wszystkie też wróciły bezpiecznie do bazy. Instrumenty potwierdzają właściwe umiejscowienie urządzeń termonuklearnych oraz ich symultaniczny zapłon nad głównymi ośrodkami komunikacji radiowej Tosev 3.

– Doskonale – Atvar wiedział, że Tosewici nie są w stanie osiągnąć nawet ułamka wysokości, na której poruszały się pojazdy rozmieszczające urządzenia. Ale i tak wysłuchanie raportu, że wszystko przebiega według planu sprawiło mu ulgę.

– więc ich system musi być całkowicie zdezorientowany.

– Jest tak, jak powiedziałeś, dostojny panie floty – zgodził się Kirel.

– Ale byłoby lepiej, żeby większą część tego systemu zniszczyć raz na zawsze. Nie chronione tranzystory i mikroprocesory są wybitnie podatne na pulsację elektromagnetyczną. Tosewici nie znają energii nuklearnej, więc nie mają powodu, żeby stosować ekranowanie.

– Doskonale – powtórzył Atvar. Nasze ekranowane samoloty urządzają sobie polowanie, a oni będą się więc jak jaszczurka z przetrąconym krzyżem. Nie powinniśmy mieć kłopotów z oczyszczeniem obszarów lądowania, a kiedy już nasze oddziały znajdą się na ziemi, podbój będzie nieunikniony. – Wypowiedzenie tych słów na powrót natchnęło dowódcę zaufaniem we własne siły. Nic bardziej nie pokrzepiało na duchu członków Rasy niż kiedy widzieli, jak ich plany wcielają się w życie bez przeszkód.

– Może spodoba się dostojnemu panu floty, żebyśmy po wylądowaniu nadali komunikat z żądaniem poddania się. Powinny go złapać odbiorniki, które pozostaną nietknięte po naszym ataku. To nie należało do pierwotnego planu. Rzecz jasna, podstawy pierwotnego planu zostały sformułowane, gdy nikomu się nie śniło, że Tosewici mają jakąkolwiek godną wzmianki technikę. Mimo wszystko, Atvar czuł instynktowną niechęć do jakichkolwiek zmian.

– Nie, niech oni do nas przyjdą. Poddadzą się, jak tylko poczują siłę naszych argumentów na karku – odrzekł.

– Stanie się tak, jak życzy sobie dostojny pan floty – powiedział uprzejmie Kirel.

Atvar wiedział, że pan statku żywi własne ambicje i że będzie dokładnie przyglądał się wszelkim błędom i porażkom, szczególnie w sprawach, w których wyraził odmienne stanowisko. Niech Kirel robi, co chce. Atvar był pewien, że nie popełnia błędu. Dowódca eskadry Teerts wlepiął z niedowierzaniem i zaskoczeniem wzrok w obraz, który pojawił się na ekranie wewnątrz kokpitu. Na ćwiczeniach wyobrażał sobie środowiska do tego stopnia wypełnione celami. Ogromne

stado tosewickich samolotów przesuwało się z przodu, nieco poniżej jego maszyny. Były rozkosznie nieświadome faktu, jak głęboko wdarł się w ich system słoneczny. Głos pozostałych dwóch pilotów zadźwięczał w słuchawce przymocowanej do jego błony słuchowej:

– Szkoda, że nie mamy w tym rejonie więcej niszczycieli. Mieliby ubaw.

Teerts sprawdził częstotliwość nadawania, zanim odpowiedział. Zgodnie z rozkazem nie był to jeden z kanałów używanych przez Tosewitów. Odprężył się i stwierdził: Przejmujemy cały ten świat, Rolvar; nie mamy tylu niszczycieli, żeby od jednego uderzenia stracić cały ten ich złom. Musimy zrobić co się da za pomocą tego, czym dysponujemy. Pokazał, co ma na myśli. Jego sześć pocisków już namierzyło sobie cele w stadzie. Wystrzelił je jeden po drugim. Niszczyciel lekko drgał, kiedy pociski odrywały się od niego. Ich raketowe silniki rzygnęły pomarańczowym płomieniem; pociski runęły w dół, ku niezdarnym, latającym machinom Tosewitów. Gdyby nawet tubylcy wiedzieli, że zostali zaatakowani, niewiele byliby w stanie przeciwdziałać. Pociski Teerts'a były dziesięć razy szybsze od ich maszyn. Ekran w kokpicie pokazał, jak salwa, którą oddała eskadra, trafia w cel. Nagle Teertsowi przestał być potrzebny ekran, żeby zobaczyć, co się dzieje. Bąble ognia wypełniły niespodziewanie ciemność. Rolvar ryknął w słuchawkę Teerts'a:

– Patrz, jak spadają! Każdy strzał celny!

Pilotów niszczycieli dobierano ze względu na agresywność. Teerts uzyskał tatuaż dowódcy eskadry, bo wykazał się również umiejętnością obserwowania szczegółów. Zerknął na obraz i powiedział:

– Tylko siedemnaście trafień. Albo jeden pocisk był uszkodzony, albo dwa trafiły w ten sam cel.

– Co za różnica? – powiedział Gefron, trzeci członek eskadry. Z Gefrona nie będzie dowódcy, nawet gdyby żył tysiąc lat, choćby liczyć je według podwójnej, tosewickiej, miary. Ale dobry był z niego pilot.

– Mamy jeszcze działka. Wypróbujmy je.

– Słusznie – Teerts zniżył lot, żeby podejść na odległość strzału.

Tubylcy nadal nie wiedzieli, co się dzieje, poza tym, że stało się coś strasznego. Rozproszyli się jak stado latających jaszczurek ogarniętych paniką. Robili, co w ich mocy, żeby umknąć niebezpieczeństwu. Ale ich możliwości były niewielkie. Teerts otworzył szczęki w rozbawieniu. Doprawdy, niewielkie były ich możliwości. Silniki jego myśliwca-niszczyciela zmieniły tonację, gdy wszedł w bardziej gęstą atmosferę. Serwomechanizmy zapiszczały dostosowując nachylenie skrzydeł do nowych warunków. Prędkość była niewiele większa od naddźwiękowej. Cel wypełnił owiewkę. Nacisnął guzik spustowy pazurem kciuka. Na moment dziób jego maszyny zniknął w rozbłysku ognia wydostającego się z lufy. Gdy widoczność wróciła, tosewicki samolot z rozerwanym skrzydłem spadał w nie kontrolowanym korkociągu w stronę ziemi. Nigdy w życiu nie był otoczony przez tyle samolotów naraz. Odciał jeszcze trochę gazu, żeby uniknąć zderzenia. Następny cel, następny wybuch, następne strącenie. W kilka chwil później jeszcze jeden i jeszcze jeden. Odwrócił oko i spostrzegł krótkie języki ognia. To ostrzeliwał się tosewicki samolot. Poczł rodzaj podziwu dla odwagi tubylców. Kiedy się ich spacyfikuje, dobrze będą służyli Rasie. Byli nawet niezłymi pilotami, jeśli wziąć pod uwagę, jakimi gratami były ich maszyny. Manewrowali na wszystkie sposoby, żeby tylko oderwać się i uciec. Ale to on był panem sytuacji. Zestrzeleń dokonał w przedniej części ławicy samolotów. Zaczął zataczać koło, żeby dostać się na tyły. Podczas tego manewru błysk zmusił go do spojrzenia na ekran. Z głębi nocy leciał w jego kierunku tubylczy samolot. Był szybszy i zwrotniejszy od innych maszyn. Eskortujący myśliwiec-niszczyciel? Nieprzyjaciel, który uznał go za dobry cel? Teertsowi było to obojętne. Kimkolwiek był ten tubylec, musi zapłacić za swoje zuchwalstwo. Działka Teerts'a naprowadzane były przez radar. Odpalił serię.

Z tosewickiej maszyny buchnęły smugi ognia. W tym samym momencie wystrzeliła do niego serię. Strzały były za krótkie. Tubylec w płomieniach ognia nurkował w kierunku ziemi. Teerts dwukrotnie przeleciał przez spłoszone stado samolotów, zanim zaczęła mu się kończyć amunicja. Rolvar i Gefron też dokonali dzieła zniszczenia, na jakie tylko było ich stać. Wznosili się na niską orbitę, żeby dać się zabrać do bazy. Wkrótce będą mieli lądowiska na ziemi. Wtedy dokonają prawdziwej rzezi wśród tosewickich samolotów.

– Są łatwi, jak samica w połowie rui – krzyknął triumfalnie Gefron.

– Ale są dosyć odważni – powiedział Rolvar.

Para ich myśliwców-niszczycieli leciała prosto na mnie; mogę mieć nawet jedną czy dwie dziury. Nie jestem pewien, czy strąciłem oba. Są takie małe i powolne, ale znacznie zwrotniejsze niż moja maszyna.

– Ja swojego trafiłem – odparł Teerts.

– Teraz trochę się zdrzemniemy, a potem wrócimy i zrobimy to jeszcze raz.

Jego koledzy-piloci zasyczeli z uznaniem. Lancaster, który przed sekundą płynął spokojnie po niebie na prawo w dół od samolotu Bagnalla eksplodował w powietrzu. Przez moment Bagnall widział, jak ludzie i części maszyny zawisły jak na sznurkach spuszczonej z przestworzy. Potem zniknęły.

– Jezu! – krzyknął rozgorączkowany.

– Zdaje mi się, że cały ten świat zwariował. Najpierw to wielkie światło na niebie...

– Oświetliło nas jak miliard pocisków zapalających naraz, prawda? – zgodził się Ken Embry. Zastanawiam się, jak Szwabom się to udało zrobić? Jeśli paliłoby się dłużej, to każdy pieprzony hitlerowski myśliwiec na kuli ziemskiej mógłby nas tu wyśledzić. W pobliżu wybuchł jeszcze jeden lancaster

– Co to było? – zapytał Bagnall.

– Czy ktoś widział szwabski samolot? Strzelcy pokładowi nie odpowiedzieli. Celowniczy też się nie odezwał. Embry zwrócił się do radiooperatora:

– U ciebie coś było, Ted?

– Nic a nic – odpowiedział Edward Lane. Odkąd zapłonęło to światło, nie odbieram niczego poza szumem na wszystkich częstotliwościach.

– Cholerne skurwysyństwo, ot co – powiedział Embry.

Jakby na potwierdzenie tych słów, jeszcze dwa bombowce stanęły w ogniu. Jego głos podniósł się prawie do wrzasku:

– Jak to się dzieje? Jeśli to nie artyleria przeciwlotnicza i nie samoloty, to co to jest, do diabła?

Bagnall, siedzący obok pilota, trząsł się w swoim fotelu. Lot bojowy nad Niemcami był już wystarczająco straszny, ale kiedy lancastery zaczęły bez powodu eksplodować w powietrzu... Serce podeszło mu do gardła. Kręcił głową na wszystkie strony, starając się wypatrzyć, co to za diabeł morduje jego przyjaciół. Noc za wypolerowaną szybą była nieprzenikniona. Potem wielki, ciężki lancaster zatrzęsł się przez chwilę w powietrzu jak listek płynący potokiem. Nawet przez huk czterech merlinów Bagnall usłyszał skrzeczący ryk, który sprawił, że włosy zjeżyły mu się na głowie. Dojrzał smukły kształt przypominający sylwetkę rekina. Był niesamowicie szybki i poruszał się z nieprawdopodobną gracją. Dysze dwóch wielkich silników jarzyły się jak czerwone oczy drapieżnika. Jeden ze strzelców miał dosyć przytomności umysłu, by oddać serię w to coś, ale kształt znikł w mgnieniu oka.

– Czy... widziałeś to?

– Ken Embry zapytał słabym głosem.

– Chyba... chyba tak – odpowiedział ostrożnie Bagnall. Nie był całkiem pewny, czy wierzy w to niesamowite zjawisko, które zobaczył.

– Jak Niemcom udało się to zrobić?

– To nie mogli być Niemcy – odparł pilot.

– Wiemy, co mają, tak samo jak oni wiedzą o nas. Mój tatuś, latający nad Sommą w samolocie Spitfire, byłby bardziej prawdopodobny niż Szwab w... tym.

– Jeśli to nie Niemiec, to kto to jest, do diabła? – zapytał Bagnall.

– Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem. I nie mam zamiaru tu się szwendać, żeby się dowiedzieć, bo może mu przyjść do głowy, żeby wrócić.

Embry nachylił samolot i zleciał z toru, którym przeleciał ten niesamowity myśliwiec.

– Artyleria przeciwlotnicza... – powiedział Bagnall, obserwując wysokościomierz. Embry zignorował go.

Zamilkł i poczuł się głupio. W porównaniu z potworem, który zmiata bombowce z nieba jak sprzątaczką rozsypaną sól, artyleria przeciwlotnicza to kaszka z mlekiem. Ból w skaleczonym kciuku Jensa Larssena pulsował. Paznokcie już poczerniał; podejrzewał, że go straci. Nachmurzył się, na ile pozwalała mu na to jego zawsze jasna, promienna twarz. Był fizykiem, do cholery, a nie cieślą. Bardziej niż okaleczony palec bolały go kpinki ze strony smarkaczy, którzy stanowili większość załogi wykonującej dziwne konstrukcje na zachodnim skraju Stagg Field. Szedł wzdłuż Pięćdziesiątej Siódmej ulicy w kierunku Quadrangle Club. Słońce grzało go w plecy. Nie miał już takiego apetytu, jak wcześniej, zanim rozwalił sobie palec, ale jedzenie i kawa utrzymywały go na chodzie i zastępowały sen. Po przełknięciu posiłku, natychmiast wracał do pracy. Tym razem używał młotka ostrożniej i z większym szczęściem. Wciągnął w płuca duszne chicagowskie powietrze. Urodził się i wychował w San Francisco i dziwił się, że trzy miliony ludzi postanowiło mieszkać w okolicy, gdzie przez pół roku jest za ciepło i za wilgotno, a przez następne pół – za zimno.

– Musieli zwariować – powiedział na głos.

Przechodzący obok student rzucił mu zdziwione spojrzenie. Larssen poczuł, że się rumieni. Miał na sobie brudną podkoszulkę i bawełniane portki. Nie wyglądał na kogoś, kto mieszka na kampusie Uniwersytetu Chicagowskiego, a już na pewno nie na kogoś z grona profesorskiego. Przyglądali mu się także w Quadrangle Club. Tym gorzej dla profesorów języków klasycznych w ich nadjeżdżonych przez mole tweedowych marynarkach, pomyślał. Przeszedł obok Cobb Gate. Groteskowe płaskorzeźby na wielkim kamiennym gmachu, który stanowił północne wejście do Hull Court, za każdym razem wywoływały jego uśmiech. Staw, otoczony z trzech stron laboratoriami biologicznymi Hulla, był miłym miejscem. Kiedy miało się czas, można było tu sobie usiąść i poczytać. Ostatnio jednak niezbyt często miewał wolne chwile. Zbliżał się do Mitchell Tower, gdy jego cień zniknął. Najpierw był przed nim, wydłużony jak trzeba, a potem zniknął. Mitchell Tower naśladująca wieżę Magdalen College w Oksfordzie została nagle oblana ostrym, białym światłem. Larssen spojrzał w niebo. Widniała na nim jarząca się plama. Rosła, przygasła i zmieniała kolory, gdy na nią patrzył. Wszyscy wokół wskazywali ją i krzyczeli:

– Co to jest? Co to takiego? Czy widziałeś kiedy coś podobnego?

Ludzie wystawiali głowy przez okna i wybiegali na ulicę, żeby zobaczyć. Fizyk wpatrywał się w nią jak wszyscy inni. Powolutku światło przygasło i cień Larssena przybrał swoje poprzednie kształty. Kiedy oprzytomniał, zakręcił się na pięcie i zaczął biec z powrotem. Wyminął kilkanaścioro ludzi, którzy nadal stali i wybałuszali oczy.

– Hej, facet, gdzie się pali? – ryknął jeden z nich.

Nie odpowiedział. Pobiegł jeszcze szybciej w stronę Stagg Field. Na niebie jarzył się ogień.

Wiedział, jaki mógł to być rodzaj ognia: płomień, który on i jego koledzy usiłowali wydobyć z atomu uranu. Jak do tej pory, w żadnym stosie atomowym w Stanach Zjednoczonych nie udało się wzbudzić nawet połowicznej samopodtrzymującej się reakcji łańcuchowej. Załoga Stagg Field próbowała właśnie zbudować stos, w którym udałoby się to osiągnąć. Nikt, nawet w najokropniejszych koszmarach, nie wyobrażał sobie, że Niemcy są w stanie zbudować nie tylko stos, ale i bombę, chociaż atom uranu po raz pierwszy rozszczepiono w Niemczech w 1938 roku. Biegając, Larssen zastanawiał się, jak hitlerowcom udało się eksplodować bombę nad Chicago. O ile wiedział, ich samoloty nie były w stanie dotrzeć nawet do Nowego Jorku. Zastanawiał się też, dlaczego Niemcy spowodowali wybuch na takiej wysokości; za wysoko, żeby eksplozja mogła dokonać jakichś szkód. Może wsadzili ją na pokład transoceanicznej rakiety, takiej, o jakich pisywano w tandetnych magazynach. Ale i to było pewne, że Niemcy nie byliby w stanie tego zrobić. A więc wariant z bombą nie miałby sensu. Ale tam, wysoko, było coś strasznego i to coś musiało być niemieckie. Z pewnością nie angielskie i nie amerykańskie. Larssen pomyślał o czymś jeszcze bardziej koszmarnym. A jeśli to Japończycy? Nie sądził, żeby Japonce mieli know-how dotyczące budowy bomby, ale wcześniej również nie przypuszczał, że zbombardują Pearl Harbor, albo zajmą Filipiny, Guam albo Wake, czy zabiorą Brytyjczykom Hongkong, Singapur i Birmę, albo wyrzucą Royal Navy z Oceanu Indyjskiego, albo... Im dalej biegł, tym bardziej wydłużała się smutna wyliczanka.

– Może to są ci cholerni Japonce – powiedział do siebie i zaczął biec jeszcze szybciej. Sam

Yeager zasłonił od swojej strony okno w przedziale, żeby promienie zachodzącego słońca nie obudziły Bobbiego Fiore. Gdyby był młodszy, byłoby mu szkoda; jako chłopiec nie podróżował dalej niż o parę dni drogi od farmy swoich starych. Gorąco pragnął zobaczyć jak najwięcej, kiedy zaczął grać w piłkę. Okna pociągu i autobusu to były jego okna na szeroki świat.

– Widziałem już ten kraj, wystarczy – mruknął do siebie.

Przemierzył każdy jego skrawek, robił wypadki do Kanady i Meksyku. Wyciąganie szyi, żeby zobaczyć jak najwięcej płaskich pól Illinois, nie miało już dla niego takiego znaczenia jak niegdyś. Przypominał sobie słońce wznoszące się nad bezleśnymi zboczami gór w pobliżu Salt Lake City, blask jeziora i białe połacie soli, których widok oślepiał. To była sceneria, na którą warto było popatrzeć; zabierze ten obraz ze sobą do grobu. Pola, stodoły i stawy nie mogły z tym konkurować, chociaż nie chciałby mieszkać w Salt Lake City nawet za pieniądze, które zarabiał Joe DiMaggio. No cóż, może za jego pieniądze zdecydowałbym się tam zamieszkać, pomyślał. Większość Commodores poszła do wagonu restauracyjnego. Po drugiej stronie przejścia między siedzeniami, Joe Sullivan gapił się przez okno z ciekawością, którą Yeager znał ze swoich młodych dni. Wargi pitchera poruszały się wolno, gdy odczytywał napis na jakimś szyldzie fryzjera. Na ten widok Yeager się uśmiechnął. Sullivan potrzebował golenia najwyżej dwa razy na tydzień. Nagle ostre światło spłynęło przez okno na część przedziału, w której siedział pitcher. Wyciągnął szyję.

– Coś śmiesznego jest na niebie – powiedział.

– Wygląda jak fajerwerk na 4-tego Lipca, ale jest jaskrawe jak cholera. Mutt Daniels siedział po tej samej stronie przedziału co Sullivan.

– Jaskrawe jak sto choler – powiedział menażer.

– Nigdy, jak żyję, czegoś takiego nie widziałem. Wisi tam u góry i wcale się nie rusza. Całkiem fajne, faktycznie.

Światło zmieniało kolor z białego w żółty, potem pomarańczowy i czerwony. W ciągu kilku minut powolutku przygasło. Yeager pomyślał, że należałoby wstać i zobaczyć, skąd się brało. Pewnie by to zrobił, gdyby Sullivan nie porównał światła do czegoś, co widuje się na 4-tego Lipca. Odkąd w to święto złamał nogę w kostce, nie gustował szczególnie w fajerwerkach. Z powrotem wetknął nos

w „Astounding”. Wschodzące słońce wślizgnęło się pod powieki Heinricha Jagera i sprawiło, że otworzył oczy. Jęknął, strząsnął kilka nici babiego lata z głowy i powoli się podniósł. Poruszał się, jakby zardzewiały mu wszystkie stawy. Stał w kolejce po śniadanie. Nos mu podpowiedział, że znowu będzie gulasz z kaszą. Wzdrygnął się. Przynajmniej napełni żołądek.

– Nie było więcej światła na niebie? – zapytał Ernsta Rieckiego, który wyglądał na równie zmęczonego jak on sam.

– Nie, panie majorze – odpowiedział kapitan.

– Nie wiem, czy powinienem panu zawracać głowę, ale...

– Zrobiłeś, co trzeba – odparł Jager, a w myśli dodał, nawet jeśli kosztowało mnie to jedną godzinę snu.

– Nie wiem, co to było za diabelstwo. Przypominało to flarę, ale było milion razy większe i jaśniejsze. I nie spadało. Tkwiło w jednym miejscu dopóki nie zgasło. Ciekawe, co to mogło być.

– Może jedna ze sztuczek Iwana – odpowiedział Riecke.

– Może – ale Jager sam w to nie wierzył.

– Jeśli to było coś od nich, to powinni potem atakować. A tu ani bombowców, ani artylerii.

Jeśli Rosjanie próbowali coś zrobić, to nie udało im się. Jager jadł gulasz tak jak wszyscy jego czołgiści. Kiedy skończyli, niechętnie pozwolił odjechać kuchni polowej. Nie lubił myśleć, że musi się z nią rozstać, ale nie nadażyłaby za czołgami. Jeden po drugim, czołgi Panzer III zapuszczały silniki. Cała kompania zaczęła wiwatować, gdy zaskoczyła maszyna dwunastego czołgu. Jager wznosił radosne okrzyki wraz z innymi. Nie sądził, żeby dzisiaj mieli napotkać broń pancerną przeciwnika, ale w Rosji nigdy nie wiadomo. A jeśli dziś nie spotkają czołgów, to pewnie niedługo i tak na nie trafią. Wspiął się do wieży czołgu, którym dowodził osobiście, wywołał przez radio dowództwo dywizji, żeby się dowiedzieć, czy od wczoraj nie zmieniły się rozkazy.

– Nie, nadal masz przesunąć się do kwadratu B-9 – odpowiedział porucznik ze sztabu.

– Przy okazji, jak mnie słyszysz?

– Bardzo dobrze – odparł Jager.

– A co?

– Wcześniej mieliśmy trochę kłopotów – odparł łącznościowiec.

– Po tym wybuchu na niebie, odbiór poszedł na chwilę do kibla. Miło słyszeć, że nie masz z tym kłopotów.

– Mnie również miło – rzekł Jager.

– Bez odbioru.

Rozwinął mapę i zaczął ją studiować. Jeśli był tam, gdzie być powinien, to jego czołgi muszą przejechać jakieś dwadzieścia kilometrów, żeby się dostać do miejsca przeznaczenia. Nachylił się w głąb czołgu i zawołał do kierowcy:

– Jedziemy. Wschód.

– Jest wschód – Dieter Schmidt wrzucił pierwszy bieg.

Ryk silnika Maybach HL120TR zmienił ton. Czołg zaczął się toczyć przed siebie, żłobiąc dwie bruzdy w porośniętym trawą stepie. Ryk maszyny wznosił się i opadał w miarę, jak kierowca zmieniał biegi. Ochronna kopułka z tyłu wieży dawała całkiem niezły widok, nawet gdy była zamknięta. Jak każdy dowódca czołgu godny nosić czarny uniform, Jager otwierał ją i stawał wyprostowany, kiedy tylko się dało. Mógł widzieć więcej niż przez peryskop, a poza tym oddychał świeżym, chłodniejszym powietrzem, a hałas był tu mniejszy, a przynajmniej inny. Zamiast łoskotu silnika, słyszał rumor żelastwa i grzechot zapasowych kół i gąsienic przytroczonych z tyłu czołgu. Zasepił się na chwilę. Gdyby niemieckie linie logistyczne były lepiej prowadzone, nie musiałby

wozić ze sobą części zapasowych, żeby być pewnym, że będą w razie potrzeby na miejscu. Ale front wschodni rozciągał się na ponad trzech tysiącach kilometrów od Bałtyku po Morze Czarne. Przypuszczać, że sztabowe szychy, które nie narażają się na żadne niebezpieczeństwo, zatroszczą się o jakiegoś dowódcę czołgu, byłoby naiwnością. Czołgi jechały przez pobojuwisko, mijaly groby pośpiesznie wykopane w urodzajnym ukraińskim czarnoziemiu, nie pogrzebane, śmierdzące, pokryte krwią zwłoki Rosjan, rozbite ciężarówki i czołgi Wehrmachtu, i Armii Czerwonej. Niemieccy technicy kłębili się przy nich, zabierając, co się tylko nadawało do wzięcia. Jak okiem sięgnąć, wokół rozciągał się łagodnie pofałdowany teren. Nawet rany wojny nie zeszpeciły go zanadto. Czasem, gdy Jager spoglądał na ten ocean zieleni, wydawało mu się, że jego czołgi są zupełnie osamotnione. Uśmiechnął się, gdy w oddali dojrzał kompanię niemieckiej piechoty. Raz, czy dwa nad głowami przeleciały z warkotem samoloty. To sprawiło, że uśmiechnął się jeszcze szerzej. Gdzieś na wschód od Izjum dla Iwana szykuje się krwawa łaźnia. Rozmyślenia przerwał nagle huk jakby świat się rozpadał; odległy o jakieś dwieście metrów czołg zamienił się w kulę ognia. Tam, gdzie przed chwilą jechał, strzelały teraz czerwone i żółte płomienie, a w niebo wznosił się słup czarnego, tłustego dymu. W chwilę później rozległy się odgłosy wtórnych eksplozji, gdy zaczęła wybuchać amunicja. Pięciosobowa załoga na pewno nie dowiedziała się nigdy, co ich trafiło. Jager zanurkował w głąb wieży.

– Co to było, do kurwy nędzy? – zapytał Georg Schultz. Działonowy usłyszał wybuch przez gruby pancerz i huk motoru własnego czołgu.

– Czołg Joachima po prostu wyleciał w powietrze – odpowiedział Jager.

– Musiał trafić na minę. Co prawda nie spodziewaliśmy się, że Iwany położą miny w tej okolicy – dodał.

W jego głosie brzmiało powątpiewanie. Eksplozja była zbyt gwałtowna jak na minę. Może wybuch uderzył prosto w zbiornik benzyny – pomyślał. Ledwie ta myśl przemknęła mu przez głowę, gdy następny czołg wyleciał w powietrze. Detonacja była nawet głośniejsza od poprzedniej.

– Jezu! – krzyknął Schultz.

Gapił się, przerażony, na metalową podłogę czołgu, jakby zastanawiał się, kiedy buchnie przez nią biały strumień ognia. Jager złapał radio, które łączyło go z resztą kompanii. Nastawił ogólnie dostępną częstotliwość.

– Wszystkie maszyny, stać – wrzasnął.

– Trafiliśmy na miny.

Wykrzyknął rozkaz do Dietera Schmidta, potem stanął w otwartej kopule, żeby się upewnić, czy wszyscy posłuchali.

Dziesięć czołgów, które pozostało w kompanii, zatrzymało się. Inni dowódcy, tak jak Jager, wytknęli głowy z wieżyczek, próbując zobaczyć, co się stało. Ale poza dwoma płonącymi korpusami maszyn nie było niczego nadzwyczajnego. Jager już miał połączyć się z dowództwem, żeby prosić o pododdział saperów, kiedy ognisty szyplet rozdarł niebo i zmiotł ze szczętem wieżyczkę jednego ze stojących czołgów. Umazany ropą korpus szybko zajął się płomieniem. Przeklinając swój błąd, Jager rzucił się w głąb wieży. Chwycił za radio i wrzasnął:

– Ruszać się! To są rakiety, a nie miny. Iwany musiały w jakiś sposób zamontować katusze na samolotach szturmowych. Jeśli zostaniemy na miejscu wystrzelają nas jak siedzące kaczki.

Tym razem nie musiał powtarzać rozkazu Schmidtowi; jego panzer III z rykiem silnika natychmiast skoczył do przodu. Dopiero, gdy z powrotem wszedł do kopuły, uświadomił sobie, że płomień nadleciał z zachodu, od tyłu.

– Odwrócić wieże – ryknął przeklinając hydraulikę, kiedy ciężka stalowa kopuła zaczęła

powoli zmieniać położenie.

Dwaj inni dowódcy byli trochę czujniejsi. Wieże ich czołgów były już dawno w ruchu. Jager odwrócił się. W tym momencie czwarty czołg dostał w przedział maszynowy. Zaczęły się z niego wydobywać płomienie. Włazy wieży otworzyły się i zaczęli się z nich wytaczać ludzie. Jeden, drugi, trzeci... dowódca, działonowy, ładowniczy. Ogień ogarnął cały czołg. Kierowca i drugi działonowy nie mieli już szans. Dowódca kompanii w pośpiechu rozglądał się po niebie. Gdzie był ten szturmowik? Opancerzony rosyjski samolot szturmowy, który najlepiej nadawałby się do przenoszenia pocisków katuszy? Serce podskoczyło mu do gardła, kiedy spostrzegł lecący kształt. Sprężone karabiny maszynowe kaliber 7,92 mm czołgu, który, najszybciej zareagował, zaczęły pluć ogniem w kierunku intruza. Nie były w stanie go dosięgnąć, ale mogły powstrzymać pilota od dokonania nalotu koszącego. Nie powstrzymały. Nadlatywał. Jager przygotował się do odskoczenia w głąb wieży i czekał na chwilę, kiedy działka szturmowika zaczął strzelać. Gdy samolot zbliżył się, zobaczył, że to nie szturmowik. A kiedy oddał salwę, cały dziób maszyny pokrył się żółto-białym odbłaskiem ognia działek. Ziemia wystrzeliła w powietrze w pobliżu dwóch czołgów. Oba stanęły jak martwe. Zaczął się z nich wydobywać dym. Razem z odorem płonącej benzyny, oleju i kordy tu nozdrza Jagera poczuły swąd palącego się ludzkiego ciała. Samolot przeleciał nad głową tak nisko, że nieomal można było go dotknąć. Mimo wszystko, Jager przyglądał się maszynie z niedowierzaniem. Była prawie wielkości średniego bombowca i nie miała widocznego śmigła. Nie nosiła na burtach i skrzydłach ani niemieckiego krzyża, ani sowieckiej gwiazdy; nie miała w ogóle żadnych oznakowań. I nie wydawała ryku, jak wszystkie inne samoloty, które kiedykolwiek widział, raczej ostry gwizd, jakby napędzały ją dusze potępieńców. Potem zniknęła na wschodzie szybciej niż najszybszy myśliwiec. Przyglądał się jej z otwartymi ustami, zupełnie nie tak jak przystało na oficera. Jeden przelot i połowa jego kompanii stanęła w ogniu. Czołg Ernsta Rieckiego też przetrwał tę rzeź. Podjechał z grzechotem gąsienic. Riecke stał wyprostowany w wieży. Na jego twarzy, podobnie jak u Jagera, malował się wyraz osłupiałego niedowierzania.

– Co... – Rieckie zająknął się, zanim wydobył z siebie pytanie.

– Co to było za draństwo?

– Nie wiem

Jager zadał sobie groźniejsze pytanie.

– Co będzie, jeśli to wróci.

Japończycy łupili wioskę. Zastrzelili już dwoje ludzi za to, że protestowali, gdy rabowano ich własność. Ciała, jak nieme ostrzeżenie, leżały na placu przylegającym do zburzonego muru yamenu. Jakby tego było mało, zdobywcy chodzili butnie z bagnetami na karabinach, gotowi zabić każdego, kto osmieliłby się zuchwale na nich spojrzeć. Liu Hań starała się zejść Japończykom z oczu. Wiedziała, w jaki sposób prowadzą rekrutację do swoich domów publicznych dla żołnierzy. Przysypała włosy popiołem, żeby uzyskać efekt siwizny; pomazała sobie twarz węglem drzewnym. Dzięki temu twarz miała nie tylko brudną, ale i pobrużdżoną. Wyglądała na starą kobietę. Smutek ułatwił jej przyjęcie zgarbionej postawy staruszki. Błądziła bez celu wokół wsi, nie tylko po to, by uniknąć żołnierzy, a również dlatego że straciła rodzinę i dom. Trzymała się z dala zarówno od żołdaków, jak i ludzi z wioski, toteż była jedną z pierwszych osób, które usłyszały dziwny dźwięk unoszący się w powietrzu. Podniosła z przerażeniem głowę – czy to następne bombowce? Z pewnością nie, mogły to być bombowce, jeżeli wieś znalazła się już w rękach okupanta. A może to chińskie samoloty? Jeśli Kuomintang chciał utrzymać Hankow, musiał kontratakować wszystkimi dostępnymi środkami. Hałas narastał od południa! Strach i podniecenie ogarnęły Liu Hań. Chciała, żeby Japończycy zginęli, ale czy pragnęła umrzeć wraz z nimi? Pomimo smutku, postanowiła żyć

dalej. Zapomniała, że powinna się garbić, pobiegła w stronę drzew; im dalej od wioski, kiedy zaczęły padać bomby, tym lepiej. Buczenie nadlatujących samolotów narastało. Rzuciła się na ziemię w kępę krzewów i paproci. Tymczasem samoloty przelatywały prawie nad jej głową. Popatrzyła na nie przez gałęzie drzew. Mimo smutku i strachu, rozwarła szeroko oczy. Samoloty, do których przywykła, miały wdzięczne ptasie kształty. Te latające stwory przypominały raczej ważki. Były kanciaste. Dziwaczne podwozia wystające z ich cielsk wyglądały jak odnóża owada. I nie miały skrzydeł! Jeśli coś innego niż magia utrzymywało je w powietrzu, to były to wirujące dyski znajdujące się nad każdą z maszyn. Zawisły w powietrzu jak ważki. Liu Hań nigdy nie słyszała o samolocie, który byłby w stanie to zrobić, ale wszystko, co dotąd wiedziała o samolotach, to to, że niosą śmierć i zniszczenie. Pod tym względem ogromne ważki nie stanowiły wyjątku. Wisząc w powietrzu, ostrzelały seriami z karabinów maszynowych i raketami jej biedną, krwawiącą wioskę. Wrzaski przebijały się przez grzechot karabinowego ognia i huk eksplozji. Słysząc też było gardłowe, szorstkie krzyki japońskich żołnierzy. Liu zdrząła na ich dźwięk; przypominały jej wycie wilków. Patrząc, jak najeźdźcy biczowani są bezlitosnym ogniem, omal nie zapomniała o zniszczeniu jakiego dokonano w jej wiosce. Z głębi ruin yamenu rozległ się terkot karabinu maszynowego. Japończycy ostrzeliwali się jak mogli. Pociski smugowe znaczyły swój lot w kierunku samolotów ważek. Dwie rakety śmignęły w stronę ziemi. Ryk, błysk i karabin maszynowy ucichł. Zapominając o ukryciu, Liu Hań krzyknęła z radości. W tym ogólnym zamieszaniu, któż usłyszy jeszcze jeden krzyk? Dwa samoloty-ważki opuściły się na ziemię. Szybowały w powietrzu z lekkością płatków śniegu unoszonych przez wiatr. Gdy wylądowały, po obu ich bokach otworzyły się drzwi. Liu Hań spostrzegła wewnątrz ruch. Wstrzymując oddech czekała aż wyskoczą żołnierze i dobiją Japończyków. Czy to rzeczywiście mogli być ludzie Kuomintangu? Liu Hań nie wyobrażała sobie, żeby jej kraj mógł się poszczycić takimi cudownymi samolotami. Może przybyły z Ameryki? Sądziło się, że Amerykanie technicznie są najzręczniejsi ze wszystkich zagranicznych diabłów – i też walczyli przeciw Japończykom. Liu Hań widziała raz Amerykanina, wielkiego grubego misjonarza chrześcijańskiego, który posługiwał się łamaną chińszczyzną. Jego kazania, jak pamiętała, były wygłaszane w sposób niezwykle gwałtowny. Wyobraziła sobie wielkich, grubych, amerykańskich żołnierzy wyskakujących z samolotu-ważki, każdy z długim, błyszczącym bagnetem. Na samą myśl o tym z radości zatarła ręce. Żołnierze w hełmach zaczęli wyskakiwać z samolotu. To nie byli wielcy, gwałtowni Amerykanie. Nie byli to także Chińczycy. W ciągu sekundy radość Liu Hań zamieniła się w przerażenie. Chińczycy mieli w zwyczaju pospolicie nazywać cudzoziemców diabłami; właśnie przed chwilą Liu Hań myślała o amerykańskich diabłach. Ale to były prawdziwe diabły! Diabły nie poruszały się jak ludzie. Liu Hań skojarzyła ich raczej z jaszczurami; ruchy diabłów miały w sobie coś zbliżonego do jaszczurczego chodu. A kiedy stanęły, były całkowicie nieruchome, tak że nawet medytujący mnich nie byłby w stanie im dorównać. Nie zachowywały się jednak jak mnisi. W rękach trzymały coś, co przypominało karabiny. To były karabiny, którymi zaczęły ostrzeliwać wioskę. Jaka to była broń! Zamiast strzelać zwyczajnie: trach, trach, trach, diabelski oręż wypluwał strumienie kul jak karabin maszynowy. Mimo ognia zaporowego, rakiet i kul z samolotów-ważek, japońscy żołnierze w wiosce nie przestawali strzelać. Diabły nacierały na Japończyków. Niektóre biegly naprzód, inne kryły je ogniem. Liu Hań wiedziała, że gdyby zaatakowały ją takie potwory, to albo poddałaby się natychmiast, albo by uciekła. Japończycy byli inni. Walczyli, aż legli zabici. Nie trwało to długo. Zanim potyczka się skończyła, cała wieś stanęła w ogniu. Wyglądając zza krzaków, Liu Hań zobaczyła, jak wieśniacy, którzy przeżyli, rozbiegają się we wszystkie strony. Tylko w jej kierunku nikt nie biegł; samoloty-ważki, które wylądowały blisko niej na ziemi, przekonały uciekających, żeby nie szukać tu drogi ratunku. Po kilku minutach dwoje wieśniaków, popędzanych przez diabły z

karabinami, podbiegło do samolotów-ważek. Jeden z diabłów leżał na trawie tuż przed domami. Krew, która spryskała jego pokrytą łuską skórę, była czerwona jak krew ludzka. Liu Hań przetarła oczy. Nie sądziła, że diabły mogą krwawić. Kilka z wiszących w powietrzu samolotów-ważek odleciało na północ. Wkrótce znowu zaczęły strzelać. Dobrze, pomyślała Liu Hań. Zabijają Japończyków. Po stłumieniu oporu i zniszczeniu wioski, małe, łuskoskóre | diabły zaczęły szperać po okolicy, jakby chciały się upewnić, czy w pobliżu nie czai się jakiś wróg. Jeden z nich podszedł w jej kierunku. Liu Hań rozpaczliwie starała się zagrzebać pod liśćmi i gałęziami. Jeśli Amida Budda będzie łaskaw, diabeł jej | nie zobaczy. Ale współczujący Budda musiał być zajęty czymś innym. Pokryty łuską diabeł zawył coś w diablím języku. Liu Hań zadrżała, ale nie wyszła z ukrycia. Potem przemówił karabin diabła. Kule zaświstały w gałęziach drzew. Diabeł zawył znowu. Wiedziała, że mógłby ją teraz zabić, więc może chce, żeby się poddała. Wstała, podniosła ręce.

– P... proszę, nie strzelaj do mnie, panie diable – wyjąkała.

Kiedy diabeł przemówił ponownie, zobaczyła, że ma mnóstwo ostrych zębów i rozdwojony język, jak jaszczurka. Jedno z jego oczu patrzyło na nią. Drugie spokojnie przyglądało się otoczeniu. Gdy Liu Hań zrobiła krok w kierunku diabła, odskoczył do tyłu i uniósł ostrzegawczo karabin. Uświadomiła sobie, że sięga jej zaledwie do ramienia.

– Czy boisz się mnie? – zapytała.

Myśl, że diabeł może się bać była tak absurdalna, że zachciało jej się śmiać mimo wszystkich nieszczęść, które przyniósł ten straszny dzień. Pokryty łuską diabełek był jednak bardzo poważny. Karabinem wskazał drogę do samolotów-ważek. Na pokładzie było już kilku innych wieśniaków. Liu Hań wiedziała, że nie ma wyboru. Musi pójść, gdzie jej kazano. Kiedy przechodziła obok diabła, odsunął się, żeby nie znaleźć się w zasięgu jej ramienia. Liu Hań nie rozumiała, dlaczego jest taki ostrożny, skoro się jej nie boi. Zanim wspięła się na pokład samolotu-ważki, inny diabeł związał jej z przodu ręce. Poszedł za nią i karabinem wskazał miejsce, gdzie miała usiąść. Siedzenie było niewygodne. Miało nieodpowiednio wygięte oparcie i było za małe. Musiała podciągnąć kolana do podbródka, żeby zmieścić się na przestrzeni, która diabłowi wystarczała na zajęcie wygodnej pozycji. Miejsce obok niej zajmował Yi Min. Wyglądał na bardziej skrupowanego niż ona. Kiedy usiadła, aptekarz popatrzył na nią odruchowo. Na twarzy miał krew od rozcięcia pod okiem.

– Więc i ciebie złapali – powiedział.

– Tak – odpowiedziała Liu Hań.

Według wioskowych norm, Yi Min był człowiekiem wykształconym, więc zwróciła się do niego z pytaniem.

– Jaki to rodzaj diabłów? Nigdy nie słyszałam o czymś takim.

– Ja też nie – odrzekł.

– Mówiąc prawdę, to niezbyt wierzyłem w diabły... Myślałem, że to przesady. One...

Mały diabeł z karabinem powiedział coś. Położył jedną rękę na lufie i zamknął pełne zębów szczęki. Potem pokazał na Liu Hań i Yi Min. Powtórzył to ze dwa, trzy razy. Zrozumiała, że nie chce, żeby rozmawiali. Położyła rękę na ustach. Diabeł wydał dźwięk jak sagan z gotującą się wodą i usiadł. Liu Hań pomyślała, że go usatysfakcjonowała. Silnik samolotu-ważki zaryczał. Płaty, które sterczały na górze maszyny, zaczęły się obracać. Najpierw powoli, potem coraz szybciej i szybciej, aż zaczęły przypominać jeden z migoczących dysków, które Liu Hań zauważyła, gdy jeszcze ukrywała się w lesie. Maszyna, bez ostrzeżenia, uniosła się. Żołądek Liu Hań podskoczył. Wydała przerażony, bezwolny krzyk. Mały łuskoskóry diabeł zwrócił na nią oczy.

– Przepraszam, panie diable – powiedziała.

Gapił się nadal. Zdała sobie sprawę, że popełniła nowy błąd. Położyła rękę na ustach, żeby go

naprawić. Diabeł wydał znów ten bulgoczący dźwięk. Jego oczy powędrowały gdzie indziej. Gdyby miała więcej miejsca, mogłaby rozluźnić się. Spojrzała na zewnątrz przez okienko obok Yi Mina. Zobaczyła przez nie, przerażająco nisko, płonące ruiny wioski. Potem samolot-ważka skręcił i odleciał zabierając ją ze świata, który знаła. Pociąg jechał na południe, mijając właśnie Dixon, kiedy zaczęło się piekło. Sam Yeager przeczytał ostatni list w „A-stounding” i położył magazyn na siedzeniu; Bobby Fiore obudził się i poszedł do wagonu restauracyjnego. Yeager miał nadzieję, że wkrótce wróci. Teraz on poczuł się śpiący, ale jak tu spać, skoro jego kumpel wracając będzie nad nim przechodził. Może go nadepnąć. Nagle bez konkretnej przyczyny wygasła kłótnia prowadzona przez drużynę Decatur Commodores o pochodzeniu światła, które ukazało się na niebie. Kilku zawodników spało. Niektórzy naciągnęli sobie czapki albo kapelusze na oczy. Yeager ziewnął, przeciągnął się i pomyślał, że może zrobić to samo. Może zaśnie zanim Bobby wróci. Właśnie postanowił się przespać, kiedy coś przemknęło z rykiem nad pociągiem. Hałas był tak wielki, że obudził wszystkich. Yeager nachylił się i rozpląszczył nos na szybie, sądząc, że zobaczy samolot spadający w płomieniach. Ryk zdawał się dochodzić tuż znad dachu pociągu. Nigdy nie słyszał, żeby sprawny silnik wydawał taki dźwięk. W chwilę potem z przodu pociągu dobiegł wielki huk, później drugi, jeszcze głośniejszy.

– Jezu – powiedział cicho Yeager.

Siedzący po drugiej stronie przedziału Joe Sullivan przeżegnał się. W głowie Yeagera jeszcze szumiało od huku, kiedy pociąg zaczął ostro hamować. Piłkarz uderzył o siedzenie naprzeciwko. Zazgrzytało żelazo trących o szyny kół. Iskry wzniosły się tak wysoko, że zobaczył je przez okno. Hamowanie jednak nie pomogło. Wagon pasażerski runął nagle na bok. Yeager upadł jak długi i wylądował na Sullivanie. Pitcher wrzasnął, Yeager także, kiedy głową uderzył w przeciwną ścianę przedziału. Potem znalazł się na podłodze. Zęby wbiły mu się w wargi. Gorący, metaliczny smak krwi wypełnił mu usta. Przesunął po nich językiem. Na szczęście, nie złamał protezy. Poprzez krzyki zawodników i reszty pasażerów słyszał, jak wykoleja się reszta składu pociągu. Seria trzasków i łomotów przywiodła mu na myśl trzęsienie ziemi. Wygrzebał się spod Joe Sullivana i sprawdzał, czy ma całe kości.

– W porządku, chłopcze? – zapytał.

– Nie wiem. Moje ramię...

Sullivan złapał się za bolesne miejsce. Oczy miał szeroko rozwarte ze strachu i bólu. To było ramię, którym miotał piłki.

– Myślę, że będzie lepiej, jak się stąd wydostaniemy. Do dzieła. – Yeager w ciemnościach przedostał się przez rozbite okno na tył wagonu.

Sullivan nie poszedł za nim. Yeager nie zauważył tego. Starał się iść tak ostrożnie, jak tylko mógł. Nie chciał sobie skaleczyć nogi o odłamki szkła z wybitych szyb.

– To ty, Sam? – zapytał Mutt Daniels, gdy przechodził koło niego.

– Tak, to ja.

Yeager przysłuchiwał się jękom. Jakaś kobieta przeraźliwie krzyczała.

– Myślę, Mutt, że mamy tu trochę rannych.

– Chyba masz rację – odparł menażer.

– Jak, do diabła, postawimy jutro zespół na nogi, kiedy przytrafił się taki gówniany wypadek?

– Ty tylko o baseballu, Mutt – powiedział Yeager.

Kraksa pozbawiła go troski o losy jutrzejszej rozgrywki. Postanowił nie mówić Danielsowi o ramieniu Joe Sullivana. Biedny Mutt i tak się o tym wkrótce dowie. Rozsuwane drzwi do następnego wagonu wypadły z prowadnicy, kiedy pociąg wyskoczył z szyn. Były otwarte na oścież. Yeager

przepchnął się do przejścia. Wystawiwszy głowę na zewnątrz, pociągnął nosem. Nie poczuł dymu. Nie zobaczył też ognia. Dzięki i za to, pomyślał, zwłaszcza, że ktoś na przedzie wagonu krzyczał:

- Ktoś tu jest ciężko ranny w kark!
- Nie ruszaj go – powiedziało trzech ludzi naraz.

Mutt Daniels gramolił się za Yeagerem. Menażerowi przychodziło to z większym trudem; był niższy i bardziej zaokrąglony od swojego zawodnika.

- Ciekawe, w co się wpakowaliśmy.
- Jeśli to był ten samolot, to będzie się paliło – Yeager wskazał głową do góry.

Skrzekliwy ryk nadal dochodził z góry, co znaczyło, że samolot jednak nie spadł. Ale, jeśli tak było, to skąd się wzięły wybuchy? Skrzeczenie stało się głośniejsze, jakby zwariowany samolot wracał. Kiedy Yeager chciał krzyknąć, usłyszał nowy rodzaj hałasu, głębokie szybko powtarzające się warknięcia. Wykolejony wagon zatrzęsł się pod nogami Yeagera i Daniela, kiedy trafiły w niego pociski. Brzęczało szkło, wrzaski się wzmogły.

- Święty Boże, to Niemońce nas ostrzeliwują! – krzyknął menażer. Nie wiedział, co powiedzieć
- Niemcy, czy Japonce – więc połączył krzyżąc oba wyrazy naraz.

Zza balustrady na małej platformie między wagonami Yeager obserwował jak samolot, obojętnie czyj był, przemknął nad ich głowami. Leciał tak szybko, że wyglądał jak pasemko na niebie. Ryk silnika omal nie zrzucił Yeagera z nóg, potem dźwięk przycichł... i ponownie stał się głośniejszy.

- Wraca – powiedział piłkarz.

Starał się przekrzyć wrzaski rozlegające się w pociągu. Ale wydał z siebie zaledwie szept, jakby bał się, że gdy powie to głośniej, jego słowa staną się rzeczywistością. Powiedział to na tyle głośno, żeby przekonać Mutt Daniela. Menażer wsadził głowę z powrotem do wagonu i wrzasnął:

- Lepiej wychodźta, póki możeta!

Potem zastosował się do własnej rady i wyskoczył z pociągu. Rozległo się szuranie na żwirze nasypu, potem kroki stały się cichsze, kiedy wbiegł na miękką ziemię pola. Yeager wahał się chwilę dłużej, ale narastające wycie w powietrzu skłoniło go do działania. Zeskoczył, ciężko wylądował. Przez moment myślał, że przewróci się przez tę swoją kostkę, ale udało mu się zachować równowagę i stanąć. Młode sadzonki kukurydzy obijały się o jego nogi, gdy biegł między brzdami. Słodki, wilgotny zapach przypominał mu dzieciństwo. Mutt Daniels złapał go i przewrócił na ziemię. Położył się na nim.

- Co ty do diabła wyprawiasz, Mutt? – zapytał z oburzeniem.

– Jeśli zawróci, nie staniesz się dla niego ruchomym celem, żeby sobie postrzelał – odparł Daniels.

– Nauczyłem się tego we Francji w osiemnastym. Nie myślałem o tym przez dwadzieścia parę lat, ale smród krwi i gówna w tym tam wagonie przypominał mi o tym.

- Aha.

A więc Yeager nie był jedynym, w którym zapachy wzbudzają wspomnienia. Tyle, że fragment, który on wyłowił z pamięci, był szczęśliwszy niż wspomnienie Daniela. Odezwały się działka samolotu, które osmagały wykolejony pociąg jeszcze jedną falą ognia. Yeager wcisnął twarz w chłodną, wilgotną ziemię. Leżący obok niego Daniels zachowywał się tak samo. Samolot nieprzyjaciela odleciał, zostawiając za sobą smugę spalin. Tym razem dźwięk nie wskazywał na to, że ma zamiar powrócić.

- Jezu – powiedział Mutt, ostrożnie stając na czworakach.

- Nigdy nie myślałem, że jeszcze kiedyś będę pod ogniem, chociaż to była zaledwie sikanina w

porównaniu z tym, co Niemcy rzucali na nas.

Yeager wpatrywał się w menażera. Nie mógł sobie wyobrazić, że może być coś gorszego, niż to, co właśnie przeżył. Usiłował się opanować.

– Musimy iść, wyciągnąć z tego ludzi, Mutt – powiedział.

Nogi trzęsły się pod nim, kiedy stanął. Zdenerwowało go to; nigdy przedtem nie był pod ostrzałem. Nie wiedział, co to znaczy odreagowanie.

– Chyba masz rację – powiedział Daniels.

– Tylko cud boski sprawił, że cały pociąg się nie zapalił.

Popatrzył na ręce.

– Sukinsyn... trzęsę się. Ód osiemnastego nie przeżyłem tego.

Yeager popatrzył na swoje ręce. Teraz były spokojniejsze. Pociąg się nie palił, ale horyzont od północy stał w płomieniach. Dwie wielkie cementownie w Dixon pochłaniał ogień. Wyglądało na to, że pali się też większa część miasta. W migocącym, czerwonym świetle Yeager ujrzał, jak coraz więcej ludzi wpełzało z wykolejonego pociągu. Inni stali na polu, jak on i Mutt. Popatrzył w stronę lokomotywy i natychmiast zrozumiał, dlaczego pociąg się przewrócił: parowóz i węglarka stoczyły się w lej po bombie. Spojrzenie Mutta Daniela też przesunęło się z niedowierzaniem z północy na południe.

– Często widywałem podobne rzeczy we Francji. Mój dziadziuś opowiadał, jak to było w czasie wojny secesyjnej. Ale nigdy nie myślałem, że Stany tak oberwą. Yeager nie pomyślał jeszcze o całych Stanach Zjednoczonych. Zniszczony pociąg, który leżał przed nim, był dla niego wystarczającym nieszczęściem. Ruszył w jego kierunku powtarzając:

– Musimy pomóc tym ludziom, Mutt. Daniels poszedł za nim dwa kroki, potem złapał go za rękaw i powstrzymał.

– Słyszę samoloty. Lepiej nie podchodzić do takiego wielkiego celu.

Rzeczywiście, słychać było znowu jakieś buczenie. Dźwięk wydawało kilka obiektów. Przypominało to bzyczenie roju pszczół. Nie był to już skrzek wydawany przez potwora, który zbombardował tory i ostrzelał pociąg.

– Może to nasi – powiedział Yeager z nadzieją.

– Może – buczenie stało się głośniejsze.

– Możesz robić, co ci się podoba, Sam – kontynuował Daniels – ale ja nie wyjdę na otwartą przestrzeń, dopóki nie zobaczę, jakie znaki mają wymalowane na skrzydłach. Jak już raz do ciebie będą kropić z powietrza, to całe życie będziesz to pamiętał.

Menażer ukucnął i zanurzył się w kukurydzy. Yeager podszedł trochę bliżej do pociągu. Z każdym krokiem szedł coraz wolniej. Nadal pragnął ratować ludzi, ale ostrzeżenie Daniela wydawało się mieć sens... a im głośniejsze stawało się buczenie maszyn, tym mniej przypominało dźwięk wydawany przez samoloty, które Yeager znał. Padł na brzuch. Jeśli nie ma racji kryjąc się, będzie to kosztowało – jego i rannych w wagonach – najwyżej minutę, dwie zwłoki. Ale jeśli ma rację... Przetoczył się na bok, żeby spod zielonych liści kukurydzy widzieć, co się dzieje. Sądząc po dźwięku, zbliżające się samoloty prawie się nie przesunęły, a raczej – w ogóle się nie poruszały. To przecież niemożliwe, pomyślał Yeager. Wtedy, na tle nieba oświetlonego łuną pożaru cementowni w Dixon, zobaczył jeden z samolotów. Krótki rzut oka potwierdził, że to nie jest amerykańska maszyna. Prawie w ogóle nie przypominała samolotu, raczej latającą kijankę. Yeager spostrzegł nad nią obracający się dysk. Przypominał sobie zawieszony w powietrzu żyroskop w powieści Henleina „If This Goes On”. Ale co te latające cudaki z powieści science fiction robią tu i teraz w Illinois? Odpowiedź przyszła w chwilę później, kiedy otworzyły ogień. Hałas karabinów maszynowych

brzmiał jak dźwięk rozdzieranego płótna. Nie wystawił głowy, żeby stwierdzić, co się stało z ludźmi stojącymi w kukurydzy. Dziękował swojej szczęśliwej gwiazdzie i Muttowi Danielsowi, że nie jest jednym z nich. Trzymając się jak najbliżej ziemi, popętnął w głąb pola. Miał nadzieję, że potrącane przez niego rośliny nie zdradzą, że tu jest. Jeśli miałyby być inaczej, chciał, żeby koniec był szybki i bezbolesny. Zastanawiając się, pełznął dalej, aż wpadł na Mutta Danielsa. Dwa żyra siadły na ziemi, po obu stronach pociągu. To, które wylądowało od wschodu, znalazło się na wprost Yeagera. Ciekawość zmagala się w nim z rozsądkiem. Wystawił głowę na tyle wysoko, żeby móc zobaczyć: chciał wiedzieć, kto zaatakował Stany Zjednoczone. Czy to Niemcy, czy Japończycy; jeszcze tego pożałują. Widoczność miał tak ograniczoną przez rośliny, że minęła minuta, zanim ujrzał pierwszego najeźdźcę. Pomyślał, że to musi być Japoniec, był za mały na Niemca. Potem, Yeager lepiej przypatrzył się ruchom postaci przy pociągu, kształtowi jej głowy... Odwrócił się i popętnął przez pole najszybciej, jak mógł. Miał ochotę wstać i pobiec, ale to na pewno przyciągnęłoby uwagę najeźdźców. Nie miał teraz śmiałości, by to uczynić. Nieomal wpętnął na Mutta Danielsa, który czołgał się powoli i ostrożnie, głową do przodu.

– Uważaj, chłopcze – syknął Daniels.

– Chcesz, żeby obu nas zabili?

– Widziałem ich, Mutt. – Yeager musiał użyć całej siły woli, żeby mówić szeptem, i by nie zacząć krzyczeć.

Zmusił się do zaczerpnięcia głębokiego oddechu. Powoli wypuścił powietrze. Mówił dalej:

– Widziałem, kto wyszedł z tych żyropłatów.

– No, kto? – zapytał menażer, kiedy Yeager przerwał.

– To byli Niemcy, czy cholerni Japonce?

– Ani jedni, ani drudzy.

– Muszą być albo jedni, albo drudzy – stwierdził Daniels. Potem lekko się roześmiał.

– Chcesz mi powiedzieć, że to makaroniarze? Yeager pokręcił głową. Żałował, że zostawił „Astounding” w pociągu.

– Pamiętasz to słuchowisko radiowe Orsona Wellesa na Zaduszki, trzy, cztery lata temu? To o Marsjanach? Ludzie tak się wtedy wystraszyli, że o mało nie narobili w portki?

– Pewnie, że pamiętam. Sam nie słyszałem, ale mówili mi o tym później. Ale co to ma do rzeczy...

Daniels przerwał i wytrzeszczył oczy.

– Chcesz, żebym uwierzył...? – Mutt, klęnąc się na Boga, że to prawda.

Marsjanie wylądowali. Tym razem naprawdę. Bobby Fiore jadł ciekawą zupę warzywną w restauracyjnym. Nie miał o niej najlepszego zdania. W porządku, trwa wojna, więc nie można za wiele wymagać; na przykład mięsa, albo kurczaka. Ale zupa warzywna nie powinna składać się z pomysł i rozmoczonego selera. Jakby jego matce dać trochę cukini, marchewek, może parę ziemniaków i troszeczkę przypraw wiecie, tylko troszeczkę, to dopiero by zupę zrobiła! Z kucharza był fuszer albo leń, albo i jedno, i drugie. Nagle, wszystko rozpadło się na kawałki. Fiore usłyszał to samo skrzeczące zawrosczenie na niebie, co Yeager. Zobaczył te same podwójne ognie wylotowe. Wtedy pociąg zaczął hamować i wypadł z torów. Fiore uderzył skronią o kant stołu. Przed oczami wybuchło mu srebrne światło, a potem wszystko zawirowało i zapadła ciemność. Kiedy się obudził, pomyślał, że umarł i poszedł do piekła. Czuł pulsowanie w głowie, wzrok miał mglisty i zmacony, a twarz, którą zobaczył, przypominała diabła. To pewne, jak wszyscy diabli, wyszeptał w duchu, że nie była to twarz ludzka. Stwór miał mnóstwo ostrych zębów. Za nimi wił się rozdwójony jak u węża język. Miał też rozbieżne oczy, podobne do tych, które Bobby widział u kameleona, kiedy jako dziecko

zwiedzał zoo w Pittsburghu. Każde umieszczone było na malej stożkowej kopulce. Jedno mogło patrzeć na północ, gdy drugie spoglądało na południe. Wspomnienie kameleona sprawiło, że Fiore zaczął wątpić, czy naprawdę trafił do włości szatana. Diabeł powinien być j bardziej nadprzyrodzony i nie przypominać jaszczurki, choćby to była jaszczurka afrykańska. Zauważył, że nadal znajduje się w przewróconym wagonie restauracyjnym. Na jego brzuchu leżał nóż do masła, a jeden z jego butów był obsypany ziarenkami sezamu. Doszedł więc do wniosku, że w piekle są gorsze katownie niż wagon restauracyjny, jeśli nawet serwowano w nim najgorsze zupy. Ten, cóż, jeśli to nie diabeł, to nazwijmy go stworem, a więc ten stwór, wycelował coś, co przypominało karabin w nóż do masła leżący obok guzika na brzuchu Fiorego. Bobby zrozumiał, że jeśli jeszcze nie jest w piekle, to szybko się tam może znaleźć. Uśmiechnął się jak pies do kija.

– Chcesz, żebym się z tym ostrożnie obchodził – powiedział z nadzieją, że o to właśnie chodziło stworowi.

Stwór syknął coś w odpowiedzi. Czternaście lat gry w piłkę w całych Stanach Zjednoczonych z zawodnikami, których rodzice pochodzili z wszystkich krajów Europy i Ameryki Południowej, nauczyło Fiore rozpoznawać kilkanaście języków i przeklinać w kilku z nich. Ale tego języka nie znał. Stwór przemówił znowu i poruszył lufą karabinu. To było zrozumiałe. Fiore wstał chwiejnie, zastanawiając się, czy rozbita głowa nie odpadnie mu od tego wysiłku. Stwór nawet nie próbował mu pomóc. Przeciwnie, odskoczył na wypadek, gdyby Fiore chciał go dosięgnąć.

– Jeśli myślisz, że blefuję, to musiałeś zvariować – rzekł Fiore.

Stwór zignorował go. Sięgał mu tylko do połowy klatki piersiowej, toteż jego nerwowość była uzasadniona, chociaż Fiore wątpił, czy w stanie, w jakim się znajduje, byłby zdolny prześcignąć ślimaka, nawet, gdyby dostał fory. Na drugi znak dany lufą, Fiore zaczął iść. Po trzech, czterech krokach natknął się na ciało czarnego kelnera. Facet miał w plecach swojej białej marynarki dziurę, przez którą kot mógłby się prześlizgnąć. W dziurze widać było kawałki wnętrza. Żołądek Fiorego mało nie wywrócił się na drugą stronę. Ale lufa za plecami sprawiła, że piłkarz opanował się. Tłumiąc odruch wymiotny poszedł dalej. W restauracyjnym było tylko kilkoro ludzi, kiedy pociąg się wykoleił. Fiore stwierdził, że był jedyną osobą, która pozostała przy życiu; stworza nie liczył za osobę. Bok wagonu, teraz zamienił się miejscami z dachem, był podziurawiony przez kule w kilkunastu miejscach. Fiore wzdygnął się. Tylko ślepy traf sprawił, że ten sam los nie spotkał go, kiedy leżał nieprzytomny. Stwór zmusił go, żeby się wygramolił z wagonu. Na zewnątrz czekało więcej podobnych istot. To wystraszyło piłkarza jeszcze bardziej – trudno mu było wyobrazić sobie, może być ich więcej. Stwierdził, że nie jest jedynym człowiekiem, którego zagarniają do jakichś dziwacznych maszyn stojących na ziemi przy pociągu. Dopiero, gdy jedna z nich przeleciała z hukiem nad głowami, zrozumiał, że są to maszyny latające. Nigdy wcześniej takich nie widział. Jeden ze schwytanych próbował uciekać. Fiore też myślał o tym. Miał szczęście, że tylko myślał. Stwory, nadal nie wiedział, jak je nazywać, strzeliły uciekinierowi w plecy. Ich broń wydawała odgłos jak karabiny maszynowe. Słyszał je kilka razy na pokazach, na targach, niedługo po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Uciekać, kiedy strażnicy mają karabiny maszynowe, nie było mądrym pomysłem. Tak więc Fiore pozwolił się zapędzić do maszyny latającej i zmusić do zajęcia miejsca na za ciasnym ; siedzeniu. Wsiadło więcej łuskoskórych stworów, ale człowieka nie f było ani jednego. Maszyna wystartowała. Żołądek podskoczył mu do gardła w inny sposób niż wtedy, gdy nadepnął na zwłoki kelnera. \Nigdy wcześniej nie podróżował nawet normalnym samolotem. Gdy lecieli pod nocnym niebem, stwory porozumiewały się między sobą. Fiore nie miał pojęcia, dokąd zmierzają. Co : chwilę spoglądał na swoich strażników. Po około dwóch godzinach ciemności, za małym okienkiem zaczęło się przejaśniać. To nie była jutrzeńka. Świeciły małe punkciki, jak lampki

porozwieszane na drzewach w parku w czasie święta. Ale lampki nie oświetlały sceny, lecz, Fiore nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa, statki kosmiczne, a może rakiety. To musiało być coś podobnego. Sam Yeager wiedziałby na pewno, pomyślał i nagle poczuł się zawstydzony, że wyśmiewał przyjaciela ze względu na jego pasję do tych głupich magazynów science fiction. Okazało się, że wcale nie są takie głupie. Potem pomyślał, czy Sam Yeager jeszcze żyje. Jeśli tak, to dowie się o inwazji Marsjan.

Rozdział III

Silnik kukuruźnika rzeźił w rozrzedzonym powietrzu. Cztery tysiące metrów to było znacznie powyżej wysokości przelotowej samolotu, prawie na granicy jego osiągow. Płuca Ludmiły Gorbunowej pracowały równie ciężko. Mały dwupłatowiec nie był wyposażony w aparat tlenowy; samo siedzenie w kok-picie powodowało, że czuła się, jakby właśnie ukończyła bieg na dwadzieścia kilometrów. Ale mimo to, gdyby mogła, wspięłaby się na jeszcze większą wysokość. Na czterech kilometrach jej U-2 wyglądał jak plamka na niebie. Niestety, jaszczury dowiodły, że w namierzaniu i strącaniu takich plamek są bardziej uzdolnione niż faszyci. Ludmiła nawet nie próbowała przelecieć bezpośrednio nad bazą najeźdźców. Samoloty, które to robiły, po prostu nie wracały z misji. Sama baza, wielka nadżerka na gładkiej skórze stepu, była widoczna nawet z ukosa i przy dużej wysokości. Policzyła ogromne latające wieże, wyznaczające granice bazy, potrząsnęła głową i policzyła jeszcze raz. Było ich dwadzieścia siedem. To znaczy, że o cztery więcej niż zauważyła przy poprzednim przelocie. Z wysokości czterech tysięcy metrów, większość obiektów na ziemi miała rozmiary mrówek. Ale wieże mimo dystansu były ogromne. Ich cień obejmował znaczne połacie stepu. Wylewały się z nich potoki śmiercionośnych samolotów i czołgów. Te niesamowite maszyny zdobyły wielkie obszary, pokonując nie tylko Rosjan, prawowitych właścicieli tej ziemi, ale także Niemców. Ludmiła nadal nie wiedziała, jak ma się do tego ustosunkować. Nienawidziła Niemców z całej duszy, ale walka przeciwko nim pozwalała żywić nadzieję na zwycięstwo. Jakże zwyczajni ludzie mogliby się mierzyć z jaszczurami i ich cudami wojennej techniki? Zwyczajni ludzie nie ustawiali w wysiłkach. Nawet teraz, o ile można ufać radiu, radzieckie kolumny pancerne wiązały w bitwach czołgi jaszczurów i zmuszały je do odwrotu w rozsypce. Ludmiła zastanawiała się, czy ktoś jeszcze w to wierzy. W ubiegłym roku rozgłosnie doniosły, że Niemcy zostali wyparci z Mińska, potem, że z Kijowa, później ze Smoleńska... To były niebezpieczne myśli. Ludmiła wiedziała o tym. Czystki lat trzydziestych przeszły przez Kijów i przez cały Związek Radziecki. Jednego dnia nauczyciel przychodził do szkoły, na drugi dzień znikał. Trzeba się było nauczyć nie zadawać pytań, co się z nim stało, chyba że chciało się pójść w jego ślady. Ludmiła potrząsnęła głową, jakby chciała się pozbyć tych myśli. Znowu spojrzała na ziemię. Zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. Zobaczyła w oddali pióropusz kurzu... jeszcze bardziej przymrużyła oczy.

– Tak, pod spodem są czołgi, niech je porwie prababka diabła – powiedziała.

Odkąd Ludmiła przeszła z nocnych nalotów do rozpoznania, w kukuruźniku zamontowano radio. Nie używała go. Samoloty, w których posługiwano się radiem w okolicy, gdzie przebywały jaszczury, zazwyczaj długo nie latały. Jej informacja, choć bardzo ważna, nie wydawała się warta tego, by za nią umierać. Skręciła w bok, oddalając się od bazy jaszczurów. Zastanawiała się, czy jej własna baza będzie tam, gdzie ją zostawiła kiedy startowała. Nowi najeźdźcy, podobnie, jak i starzy, bombardowali każdy pas startowy, który udało im się znaleźć. Ale ten tak zwany pas startowy był po prostu kawałkiem, równego stepu i gdyby to było konieczne, mogłaby znaleźć inny. U-2 nie potrzebował zbyt wiele miejsca do lądowania. Nawet, kiedy nadleciała nad lądowisko, musiała je dwukrotnie okrążyć, żeby się upewnić, czy dobrze trafiła. Sieci maskujące i dachy z darniny maskowały te kilka budynków, które tam stały. O kilka kilometrów dalej był pas zakamuflowany trochę gorzej. Jaszczury bombardowały go już dwa razy. To dobrze, nawet lepiej niż dobrze. Samoloty, które tam stały, były atrapami, a budynki, choć naprawiano je co noc, nie były zamieszkałe. Zacisnęła zęby, kiedy kukuruźnik zatrzymał się z podskokiem. Ludmiła zeszła na ziemię zanim śmigło przestało się obracać. Ledwie zastopowało, obsługa naziemna lotniska zarzuciła na maszynę sieć pokrytą trawą i odholowała samolocik, by ukryć go pod następnymi warstwami sieci

osłaniającymi ziemne wały przeciwwybuchowe. Ludmiła podniosła róg sieci maskującej, która pokrywała chatę dowództwa i weszła pospiesznie przez pozbawiony drzwi otwór. Wnętrze chałupy było ponure – sieci zasłaniały wszystkie okna.

– Wróciłam, towarzyszeko major – zameldowała.

– Więc jesteś, towarzyszeko pilocie – powiedziała major Jelena Popowa.

– Masz najwięcej rozumu albo najwięcej szczęścia, albo obie te rzeczy naraz. – Od powitań natychmiast przeszła do spraw służbowych.

– Mów natychmiast, co widziałas. Major Popowa jęknęła, gdy jej podwładna wspomniała o czterech nowych wieżach:

– Te stwory najechały ziemię rodziny jak szarańcza.

– Tak jest, towarzyszeko major. I pożerają wszystko, co im wpadnie w oczy. Jak szarańcza. – Ludmiła opisała kolumnę czołgów, którą zauważyła.

Dowódca eskadry zmarszczyła czoło. Nigdy nie była zadowolona, wszyscy się jej bali.

– To jest niezwykle istotna informacja. Wierchuszka musi się o tym natychmiast dowiedzieć. Muszę użyć radia. Powtórz, co powiedziałaś, żebym mogła złożyć dokładny raport.

Ludmiła powtórzyła, a major Popowa spisała to i przeczytała jeszcze raz jej słowa. Kiedy Ludmiła skinęła, że wszystko się zgadza, major podeszła do radia. Razem z bateriami było schowane na taczce i przykryte słomą. Jelena wyjechała taczka na dwór i skierowała się w stronę atrapy lądowiska. Ktokolwiek by na nią patrzył z samolotu – na przykład jaszczur – wzięłby ją za wieśniaczkę. Ludmiła patrzyła w ślad za nią. Mała figurka zniknęła w jednej z potiomkinowskich chat. Wyłoniła się kilka minut później. Tym razem posuwała się znacznie szybciej. Rakietą, wystrzeloną jakby znikąd, uderzyła w pustą chałupę. Strzeliły płomienie. Ludmiła pomyślała, że drużyna obsługująca lotnisko-atrapę będzie miała w nocy dużo pracy. Po wybuchu major Popowa znów zwolniła tempo. Ludmiła nie ganiła jej za to. Taczka, wyładowana radiem i bateriami, była ciężka.

– Te jaszczury są bardzo dobre w namierzaniu sygnałów radiowych – powiedziała major, kiedy przybyła już na prawdziwe lotnisko.

Otarła czoło. Rękaw ściemniał od potu. Ale jej wąskie, czarne, tatarskie oczy błyszczały triumfalnie. Mimo że wiał chłodny wietrzyk, kierowca krążownika gąsienicowego Ussmak wolał jazdę w otwartym wozie, kiedy tylko mógł sobie na to pozwolić. Peryskopy nie zapewniały takiej widoczności, jaką miał, kiedy wystawiał głowę na zewnątrz. Ponadto, zamknięty przedział kierowcy za bardzo przywodził mu na myśl trumnę hibernacyjną, w której przeleżał lata dzielące rodziną planetę od Tosev 3. Słuchawkę miał przytwierdzoną do jednej błony słuchowej.

– Schowaj się lepiej, Ussmak – powiedział Yotal, dowódca krążownika.

– Zwiad lotniczy sygnalizuje, że przed nami są krążowniki gąsienicowe Wielkich Brzydali.

– Tak jest – odpowiedział Ussmak i ześlizgnął się do wnętrza.

Zatrzasnął właz nad głową i pomyślał, czy warto robić o to tyle hałasu. Wielkie Brzydale, szczególnie ten ich rodzaj, który jako godła używa czerwonej gwiazdy, mają mnóstwo krążowników gąsienicowych. Ale nie są to dobre maszyny i nie używa się ich właściwie. Ale dowódca wydał mu rozkaz, więc trzeba było posłuchać. Wpajano to w niego, odkąd się wykuł.

– O co się założysz, że nawet nie będziemy mogli się z nimi zabawić? – zapytał działonowy Telerep.

– Nasze samoloty zmiotą ich zanim zdołamy podejść na odległość strzału.

– Może być trochę roboty – odparł Yotal.

– Im dalej jesteśmy od bazy, tym słabszą mamy osłonę z powietrza. I...

Podniósł głos do krzyku.

– Samolot Wielkich Brzydali! Ussmak usłyszał w słuchawce, jak dowódca daje nura i w głąb wież krążownika.

Ryk nad głowami, pociski odbijające się od metalowego i ceramicznego pancerza, i samolot tubylców odleciał muskając niemal brzuchem trawę. Dwa krążowniki wystrzeliły w jego kierunku. Był szybki, ale , pociski były szybsze. Zwalił się na dół. Z bruzd wyoranych przez niego w trawie podniósł się pył. Odważny, pomyślał ! Ussmak. Odważny, ale głupi. Tacy byli ci Tosewici.

– Krążowniki lądowe Tosewitów! – powiedział Telerep.

– Wygląda na to, że miałaś rację, dowódco.

– Widzę ich – odpowiedział Yotal. Ussmak nadal niczego nie spostrzegł. Siedział nisko, na dnie kadłuba. Nie szkodzi. Yotal powiedział mu, co ma robić:

– Kurs 22, Ussmak.

Ussmak zaczął skręt z północy na zachód. Tak, były tam. Tosewici, sami wielcy i niezdarni, budowali wielkie i niezdarne maszyny, chociaż ich krążowniki gąsienicowe nie miały złych kształtów balistycznych w porównaniu z niektórymi innymi, o których mówiono załogom. Przynajmniej wieża miała opływowy kształt... ale i tak im to teraz nie pomoże.

– Działonowy! – rzekł głośno Yotal.

Namierzył cel. Był to jeden z krążowników, które blokowały mu drogę. Chwilę później powiedział

– Podkalibrowy!

– Jest, podkalibrowy! – odparł Telerep.

Automatyczny podajnik podniósł pocisk do zamka działa. Ussmak słyszał to nie tylko przez słuchawkę, ale odbierał całym ciałem – trach, trach! Inny metaliczny dźwięk obwieścił, że zamek jest przygotowany do strzału.

– Gotowe! – zameldował Telerep.

– Krążownik lądowy z przodu!

To znaczyło, że Yotal ma cel w zasięgu wzroku.

– Zidentyfikowany.

Telerep też go dojrzał. Lufa działa przesunęła się lekko nad głową Ussmaka, kierując się w stronę nieprzyjaciela.

– Ognia! Przez peryskop

Ussmak zobaczył, jak z wylotu lufy bucha płomień. Pancerz chronił go przed hukem wybuchu. Odrzut sprawił, że krążownik zdawał się przez chwilę wahać. Aluminiowe osłony odpadły z wolframowego rdzenia penetrującego. Tego Ussmak nie mógł oczywiście zobaczyć. W chwilę później ujrzał, jak odskakuje wieża tosewickiego czołgu.

– Trafiony! – ryknął razem z Yotalem i Telerepem.

Zniszczyli jeszcze jednego Tosewitę. Tym razem towarzyszył temu pirotechniczny spektakl wybuchającej amunicji. Wielkim Brzydalom nie udało się utrzymać szyku. Niektóre z ich maszyn przystanąły, jakby chciały dokładniej wycelować. Stłuczemy ich jak jaja, pomyślał Ussmak z chłodnym uśmiechem. Nietrudno było ich trafić kiedy jechali. A teraz stanęli...

– Krążownik z przodu! – powiedział Yotal.

– Zidentyfikowany – odpowiedział Telerep.

Kiedy szczęknął automatyczny podajnik, tosewicki krążownik bryztał ogniem. Ussmak rozwarł szczęki ze śmiechu. Jeszcze jeden skasowany, pomyślał i zaczął się zastanawiać, który to z krążowników jego oddziału zaliczył trafienie. Nagle – bach! Coś grzmotnęło w płytę czołową. Było

to jak kopnięcie w zęby.

– Ussmak! – zawołał Votal.

– U ciebie w porządku?

– T... tak – odpowiedział kierowca, ale nadal nim trzęsło.

– Nie przebiło. Chwała imperatorowi.

– Jakby przebiło, to rozsmarowałyby mnie po całym przedziale, dodał w myśli do siebie.

Wielkie Brzydale kontratakowały jak mogły najlepiej. Na szczęście dla Ussmaka, owo najlepiej nie było jeszcze wystarczająco dobre. Musiał być nazbyt ogluszony, bo nie słyszał dłużej serii rozkazów. Działo wystrzeliło. Odczuł satysfakcję, widząc, jak krążownik, który mało go nie zabił, zaczął płonąć. Zastanawiał się, czy ktoś z załogi zdołał się wydostać. W pewnym sensie byli to jego koledzy po fachu, więc zasługiwali na szacunek. Jednocześnie byli tylko Wielkimi Brzydalami i nie znali cesarskiego imienia. Kiedy większość tosewickich krążowników była już rozbita, pozostałe zaczęły się wycofywać. Ussmak znów się roześmiał. Nie uciekną przed pociskami. W jego słuchawce rozległ się śmieszny dźwięk, coś jak mokre pacnięcie. Potem usłyszał krzyk niedowierzania i wściekłości wydany przez Telerepa:

– Yotal! Vo... Zabili dowódcę!

Ussmak poczuł w brzuchu dziwną pustkę, jakby nagle zaczął spadać w otchłań.

– Jak im się to udało? – zwrócił się do działonowego.

– Niszczymy ich krążowniki. Prawie nie stawiają już oporu. To snajper, jeśli się nie mylę – odparł Telerep.

– Nie potrafią nam stawić czoła w otwartej bitwie, więc czają się w zasadzkach.

– Cóż, zapłacą nam za to – stwierdził gniewnie Ussmak. Zmarli cesarze wywołali imię Yotala.

Jest teraz z nimi.

– Jasne, że tak – odparł działonowy.

– Teraz się zamknij i prowadź, dobrze? Muszę zająć się tym krążownikiem i jednocześnie obsługiwać działo. Nie mam czasu na pogawędki. Będę miał teraz więcej roboty niż jednoręki samiec, którego śwędzi pod łuskami.

Ussmak pojechał. Kiedy przed laty wszedł do statku kosmicznego i zawiesił ryszunek obok swojej trumny hibernacyjnej, był pewien, że Rasa podbije Tosev 3 nie tracąc ani jednego samca. Okazało się, że to nie takie proste. Walka z Wielkimi Brzydalami, które wiedzą więcej niż ktokolwiek przypuszczał, jest trudną sprawą. Ale i tak wiedzą za mało. Rasa nadal jest w stanie dać sobie z nimi radę równie łatwo, jak on prowadzi swój krążownik gaśnicowy. Sygnał z wieży:

– Kurs 25, Ussmak! – krzyknął Telerep.

– Widziałem błysk!

Kierowca posłusznie skręcił na zachód. Następnym dźwiękiem. Tym razem to płyta czołowa. Po trafieniu z działka krążownika, Ussmak ignorował małych natrętów. Przycisnął gaz do końca. Teraz zauważył również błysk wystrzału z karabinu. Jechał prosto w tamtym kierunku. Wielki Brzydał strzelił raz jeszcze; bez skutku, potem obrócił się i próbował uciec. Telerep skosił go ogniem z karabinu maszynowego. Ussmak przejechał po ciele, wgniatając je w trawę i glebę. Otworzył szeroko szczęki. Votal był pomszczony. Formacja krążowników gaśnicowych toczyła się dalej po stepie. Nawet najmniejszy hałas, albo błysk na niebie, przyciągał całą uwagę Heinricha Jagera. Dowódca był bardzo skoncentrowany, a przy tym zbyt uparty, żeby uznać, że się boi. Ale teraz była to tylko makolągwa. Zaćwierkała, kiedy przelatywała nad nimi. Tym razem. Zostały mu trzy czołgi i grupa bojowa piechoty. Grupa bojowa, to nazwa wymyślona przez Wehrmacht dla niedobitków z różnych formacji zebranych do kupy w nadziei, że coś z tego wyjdzie. Czasami dawało to nawet jakiś

efekt, ale wtedy zazwyczaj grupa ulegała zagładzie. Jeszcze jeden ruch na niebie. I tym razem był to ptaszek. Jager potrząsnął głową. Czuł, że staje się nerwowy. Ale samoloty jaszczurów nie muszą być nad głowami, żeby zabijać. Jego kompania też o tym wiedziała. Zdobył się na coś pośredniego między śmiechem a kaszlem, nachylił się w głąb wieży:

– Ciekaw jestem, czy Iwany czuły się łyso, jak im rozbiliśmy tyle samolotów na ziemi w ubiegłym roku.

– Jeśli się tak czuli, to cholernie dobrze to ukrywali – odpowiedział działonowy. Georg Schultz też nosił odznakę za odniesioną ranę.

– Mam nadzieję, że i nam się to uda – stwierdził Jager.

Drużyna piechoty stacjonowała na pagórku o kilkaset metrów przed czołgami. Jeden z żołnierzy piechoty odwrócił się i gwałtownie zamachał. Ten sygnał mógł znaczyć tylko jedno: czołgi jaszczurów jadą przez step. Schultz popatrzył na przerażonego Jagera. Działonowy był brudny i nie ogolony.

– Musimy spróbować – powiedział. Za ojczyznę.

– Za ojczyznę – powtórzył Jager.

Jeśli alternatywą było porzucenie czołgu i przedzieranie się na piechotę przez Ukrainę pełną jaszczurów i partyzantów, to walka za ojczyznę wydawała się lepszym wyborem. Nachylił się do wieży i zawołał do Dietera Schmidta:

– Na przygotowaną pozycję.

Panzer III powoli potoczył się do przodu. Za nim ruszyły dwa ocalałe z kompanii czołgi. Z wykopów w stoku pagórka wystawały im szczyty wież. Jager stanął we władze z lornetką polową. Był ostrożniejszy niż w walce przeciwko Rosjanom. Gałązki przywiązane do skórzanego hełmofonu rozmazywały kontur jego postaci; wolną ręką osłaniał lornetkę, żeby słońce nie odbijało się w soczewkach. To na pewno były jaszczury. Miały osiem albo dziesięć czołgów. Za nimi jechały inne pojazdy z zaopatrzeniem. Jager rozpoznał maszyny z małymi wieżami. To były transportery piechoty podobne do niemieckich SdKfz 251, ale znacznie groźniejsze. Spokojnie mogły się mierzyć z jego czołgami. Co dotyczy czołgów jaszczurów...

– Wiesz, co w tym jest śmiesznego, Georg? – zapytał pochylając się jeszcze raz.

– Powiedz mi coś śmiesznego o jaszczurach, Herr Major – warknął działonowy.

– Będę się śmiał, przyrzekam. – Są cholernie słabymi, zawszonymi czołgistami – powiedział Jager.

On też był zawszonym czołgistą, ale tylko w dosłownym sensie tego słowa. Nikt, kto był zawszony w przenośni, nie byłby w stanie przetrwać prawie rok na froncie wschodnim. Schultz roześmiał się:

– Ale byli wystarczająco dobrzy, żeby kopnąć nas w dupę.

– To ich czołgi, a nie załogi – upierał się Jager. Mają lepszy pancerz od naszego, lepsze działa i Bóg jeden wie, co robią, żeby ich silniki nie dymiły. Ale taktyka – tfu! – Wydał wargi na znak lekceważenia.

– Rosjanie mieli większe wyczucie. Ci tylko jeżdżą i strzelają do wszystkiego, co im wejdzie w drogę. Nawet nie spojrzą, chociaż to oczywiste, że w takim miejscu mogą być kłopoty. Głupcy!

– Bez wątpienia kurs w dywizji szkoleniowej Panzer Lehre podniósłby ich umiejętności, Herr Major – powiedział oschle Schultz.

– Ale jeśli same czołgi są aż tak dobre, to po co im tacy świetni czołgiści?

Jager chrząknął. To było przekonujące. W czołgach Panzer III małe chłopaczki z Hitlerjugend mogłyby rozbijać całe dywizje brytyjskich czołgów z pierwszej wojny światowej: te romboidalne

monstra były za wolne i zbyt lekko opancerzone, żeby nadawały się do walki. Z kolei on sam myślał, że Panzer III to wspinały czołg, dopóki nie natknął się na swojego pierwszego T-34. A i potem uważał, że ma niezły czołg. Teraz, z równym powodzeniem, mógłby walczyć w tych przestarzałych brytyjskich romboidach.

– Zrobimy, co będziemy mogli, Georg – powiedział; działonowy skinął głową.

Jager jeszcze raz wystawił głowę z kopułki. Jaszczury jechały sobie beztrąsko wzdłuż jego umocnionej pozycji, w odległości niecałych pięciuset metrów. Nie miały pojęcia, że tam jest. Spojrzał na Ernsta Riecke i Uwe Tannenwalda, dowódców czołgów, którzy przeżyli i podniósł jeden palec. Obaj czołgiści pomachali na znak, że zrozumieli. Zwlekanie po oddaniu jednego strzału do jaszczurów było jak zaproszenie na pogrzeb. Dowódca kompanii wskazał jeden z transporterów opancerzonych.

– Tego, Georg – powiedział spokojnie.

– Jawohl – odrzekł działonowy i zwrócił się do ładowniczego – przeciwpancernym.

– Jest przeciwpancerny – powtórzył Stefan Fuchs.

Wyciągnął pocisk z czarnym czubkiem ze skrzyni z amunicją, załadował go do działa kaliber 50 mm i zatrzasnął lek.

Działonowy obrócił wieżę o kilka stopni. Lufa wycelowana była teraz wprost w transporter. Odwrócił na chwilę wzrok od pola bitwy, żeby sprawdzić, czy Fuchs jest poza zasięgiem rzutu działa, potem znowu spojrzął przez peryskop i niemal tej samej chwili nacisnął na spust. Armata ryknęła. Jager zobaczył przez lornetkę, że w burcie isportera pojawiła się dziura.

– Trafiony! – krzyknął.

Transporter obrócił się wokół osi stanął. Płonął. Z tyłu otworzył się właz. Zaczęły z niego zeskakiwać jaszczury. Niemiecka piechota otworzyła ogień, widywała je, jednego po drugim.

– Do tyłu! – rozkazał Jager.

Gdyby czekał, żeby zobaczyć, jak sobie radzi piechota, jaszczurze czołgi rozniosłyby go kawałki. Już teraz ich wieże w zatrważającym tempie leniały położenie, żeby skierować działa w jego stronę. Dieter Schmidt odwrócił czołg nieomal w miejscu. Maszyna toczyła w dół zbocza. To samo zrobił sierżant Tannenwald. Riecke spóźnił się o ułamek sekundy. Jager patrzył przerażeniem, jak wieża czołgu kapitana wylatuje w powie-i miądzdy żołnierza piechoty usiłującego uciec w bok. Później będą rozpaczał, powiedział sobie w duchu Jager. zatem, że będzie dla niego później. Na razie to założenie wyglądało najlepiej. W walce z Rosjanami nauczył się, że trzeba mieć przygotowane więcej niż jedno stanowisko ogniowe. Teraz było to podnóże wzniesienia.

– Może zrobimy im niespodziankę, majorze? – powiedział Schultz.

Razem z Fuchsem załadował już następny awpancerny. Lufę naprowadzili na krawędź wzniesienia, tam najprawdopodobniej pojawią się czołgi jaszczurów. Dwóch żołnierzy piechoty rzuciło się naprzód z ładunkami puchowymi. To znaczyło, że czołgi były blisko. Zawarczały furia karabiny maszynowe. Wybuch podniósł fontannę dymu i ziemi. Potem był drugi wybuch. Jager żywił nadzieję, ci odważni ludzie nie oddali życia na próżno. Potem nie było już czasu na nadzieję i strach. Dokładnie tam, gdzie i spodziewał, wyrósł na horyzoncie czołg jaszczurów; jaszczury, jako icerniacy, były rzeczywiście do bani. Działo jego czołgu ryknęło w momencie, kiedy miał wydać rozkaz otwarcia ognia. Schultz był wirtuozem artyleryjskim. Wpakował przeciwpancerny dokładnie w środek cienkiego pancerza podwozia wystawionego na strzał, kiedy czołg nieprzyjaciela forsował grzbiet wzgórza. Ich płyty czołowe były nie do ugryzienia nawet dla wzmocnionych pocisków pięćdziesięcimilimetrowych. Pancerz podwozia był cieńszy, podobny do pancerza czołgów używanych przez ludzi. Pocisk przebił go. Czołg stanął. Kierowcę będą musieli zeskrobywać łyżką,

pomyślał Jager. Dwa jaszczury wyskoczyły z wieży. Skosił ich czołgowy kaem wozu Jagera Tannenwaldowi powiodło się prawie tak dobrze, jak dowódcy kompanii. Jego pierwszy strzał zerwał gaśienicę z kół maszyny wroga. Trafiony czołg wymknął się kierowcy spod kontroli. Podbiegł do niego piechur i rzucił ręczny granat do otwartej kopułki. Tuż po mniejszym wybuchu nastąpił większy, kiedy wyleciała w powietrze amunicja czołgowa.

– Jeszcze do tyłu! – krzyknął Jager do Schmidta.

Udało im się teraz zniszczyć jaszczury w większym stopniu niż kiedykolwiek wcześniej. Ryk z powietrza... a więc śmierć przyjdzie stamtąd. Samoloty jaszczurów były równie śmiertcionośne jak ich czołgi. Jager poczuł się zrezygnowany. Bomby zaczęły wybuchać po drugiej stronie wzniesienia, nadal forsowanego przez czołgi nieprzyjaciela.

– Stukasy! – Georg Schultz wrzasnął głosem skazańca, który usłyszał o odroczeniu egzekucji.

– Tak, na Boga – powiedział Jager.

On, inaczej niż kierowca, mówił cicho. Trudno mu było uwierzyć, że pożyje jeszcze trochę. Jaszczury zebrały krwawe żniwo zarówno pośród Luftwaffe, jak i Wehrmachtu, ale temu pilotowi udało się jakoś wystartować swoim bombowcem nurkującym i nie zabrakło mu odwagi, żeby rzucić się najeźdźcom do gardeł. Bomby spadały jedna za drugą. Co prawda tylko bezpośrednie trafienie może zniszczyć czołg, ale nawet doświadczony pancerniak zawaha się, zanim wejdzie w taką niespodziewaną burzę eksplozji. Stukas był niecałe sto metrów nad ziemią, gdy nagle wyszedł z nurkowania. Dwa czołgi jaszczurów wystrzeliły w niego rakiety kierowane, ale pociski chybiły. Samolot przeleciał nieomal muskając kołami kołyszącą się trawę stepu.

– Wyprowadź nas stąd – powiedział Jager do Dietera Schmidta.

Silnik ryknął. Jager poczuł swędzenie między łopatkami. Pomyślał, że jego komendy nie mają większego sensu. Zginie, nawet nie wiedząc o tym, jeśli dopadnie go jakiś pocisk wroga. Odwrócił się i popatrzył w stronę wzniesienia. Jeśli jego czołg zdoła się przedostać za następny pagórek zanim jaszczury pokonają najbliższe wzgórze i będą mogły go dostrzec, naprawdę będzie miał szansę ujść z życiem. Nie wierzył to, kiedy zaczynał walkę, ale tak było naprawdę. Poczuł przypływ dumy, że jego żołnierze zadali straty jaszczurom. Niewiele oddziałów może się tym pochwalić. Gott mit uns Bóg z nami, możemy to zrobić jeszcze raz, pomyślał. Dwa czołgi jaszczurów przejechały nad wzniesieniem. Jego własna maszyna była dopiero w połowie zbocza następnego wzgórze. Wzniósł oczy do nieba, szukając następnego stukasa. Modlił się o niego. Ale Bóg musi się zajmować tylu maszynami naraz... Jaszczury nie musiały nawet zwalniać, żeby idąc strzał. W mgnieniu oka, po tym, jak przemówiło ich wielkie działo, lager poczuł, że dostał potężnego kopa w dupę. Jego wierny czołg, który tak długo dobrze mu służył, zmienił się pod nim kupę złomu. Dym wydostawał się przez wentyle tylnego przedziału.

– Z wozu! Z wozu! Z wozu! – wrzeszczał.

Mało nie rzuciło go głową w dół. Tylko dwie pancerne ściany masa wozu powstrzymały pociski przed spenetrowaniem działu bojowego. Ale kiedy już zaczęło się palić, nic nie powstrzyma pożaru. Kule z kaemów świstały w powietrzu wokół niego, kiedy wyskakiwał z kopułki i nurkował w trawę. Otworzyły się inne włazy. Załoga wytaczała się za nim. Kula uderzyła z mokrym kłaśnięciem. Ktoś wrzasnął. Nozdrza Jagera wypełnił czysty, zapach zielonych ziół. miał przed sobą dwa sprzeczne cele. Chciał, żeby korpus ego zniszczonego czołgu Panzer III znalazł się między a nadjeżdżającymi jaszczurami, ale jednocześnie chciał jak najszybciej oddalić się od kadłuba. W każdej chwili mogła wybuchnąć znajdująca się wewnątrz amunicja, a jaszczury nie były chyba dobrze usposobione do niemieckich pancerniaków, szczególnie zaś do załogi, której udało się zniszczyć jedną z ich wymyślnych maszyn. Jeszcze jeden pocisk uderzył w Panzer III i wybuchnął z rykiem. Głupcy,

pomyślał Jager. Głupcy i marnotrawcy. Czołg był już martwą kupą złomu. Tymczasem, kule z karabinów maszynowych przeszukiwały trawę. Wydawały ciche, szepczące dźwięki, gdy uderzały w szerokie źdźbła. Jager zastanawiał się, jaki dźwięk wydałaby kula, gdyby uderzyła w niego. Czołg jaszczurów przetoczył się majestatycznie w odległości niecałych pięćdziesięciu metrów. Jager leżał na ziemi bez ruchu, twarzą w dół. Jeśli wróg go dostrzeże, może pomyśli, że nie żyje... Czołg nieprzyjaciela był nie tylko szybszy niż Panzer III i T-34, ale jechał również bezszelestnie. Sto metrów dalej zaczął strzelać MG-34. Kule rykoszetem odbijały się od pancerza maszyny wroga, która odpowiedziała ogniem. Czołg odjechał w kierunku pozycji niemieckiego kaemu. Jager czołgał się w przeciwnym kierunku. Niemal wpadł na Georga Schultza. Mężczyźni uśmiechnęli się do siebie.

– Dobrze, że pana widzę, majorze – powiedział ładowniczy, szeroko się uśmiechając.

– Dobrze, że jesteś – odparł Jager.

– Widziałeś Fuchsa? Schultzowi uśmiech zniknął z brudnej twarzy.

– Nie udało mu się wydostać.

– Więc to był ten krzyk – powiedział Jager.

Działonowy przytaknął.

Jager pytał dalej – co z tymi dwoma z przodu maszyny?

– Nie wiem.

Kilka minut później znaleźli Dietera Schmidta. Klaus Bauer, ładowniczy, zaginął.

– Wydostaliśmy się obaj – twierdził Schmidt

– Nie wiem, co się z nim później stało.

– Nie dodał nic dobrego, ale słowa te zawisły w powietrzu.

– Mieliśmy szczęście, że nie wylecieliśmy w powietrze, kiedy nas trafiło – rzekł Jager. Ku jego zaskoczeniu, Schmidt roześmiał się.

– Szczęście, do diabła, panie majorze. Prawie nie mieliśmy już paliwa. Ot, co. Moglibyśmy ujechać jeszcze kilometr albo dwa i koniec.

– Aha – powiedział Jager.

Sam zaczął się śmiać, choć sytuacja nie była wesoła. Dopiero co stoczył bój. Była to jedna z najlepszych akcji, jakie małe jednostki przeprowadziły przeciwko jaszczurom. I jaki osiągnął skutek? Kompletne zniszczenie swojej kompanii czołgów. Ile takich działań mógłby podjąć Wehrmacht, dopóki całkiem się nie wykruszy? Ale akcja jeszcze nie była skończona. Za czołgami posuwała się piechota jaszczurów. Jager miał w kaburze pistolet, z którego od miesiący nie strzelał. Schultz i Schmidt ściskali swoje osobiste szmajsery. Pistolety maszynowe to lepsze niż nic, ale nie mają one zasięgu porównywalnego z bronią piechoty.

– Co teraz, panie majorze? – zapytał Schultz.

– Teraz wydostaniemy się z tego bagna – odparł Jager.

– O ile nam się to uda.

Mosze Rusie trzymał Biblię i czytał na głos z Księgi Uozuego:

– „Tedy krzyczał lud, gdy zatrąbiono w trąby, albowiem gdy usłyszał lud głos trąb, krzyczał lud wielkim głosem, i upadł mur na miejscu swym, i wszedł lud do miasta...”

Tłum Żydów zgromadzonych za nim wiwatował. Stojąca przy jego boku żona, Ryfka, patrzyła na niego z promiennym uśmiechem. Jej ogromne brązowe oczy błyszczały w wychudzonej twarzy. Ich syn, Reuben, był jeszcze chudszy, miał oczy większe od oczu matki. Głodujące dziecko jest w stanie wzbudzić trwogę i litość w każdym dorosłym, być może z wyjątkiem ludzi z warszawskiego getta, gdzie widok głodującego dziecka spowszedniał do tego stopnia, że nie budził już żadnych uczuć.

– Co teraz, rebe Mosze? – ktoś zawołał.

- Nie jestem rebe – odpowiedział patrząc skromnie w dół.
- Nie? – zawołało ze zdziwieniem kilku ludzi. Jeden nich dodał:
- A kto, jeśli nie ty prosił Pana o znak i uzyskał i odpowiedź?

Ta opowieść zaczęła krążyć po getcie zanim jeszcze cudowne światło na niebie zdążyło zgasnąć. Każda opowieść zawierająca ziarno nadziei rozchodziła się tu bardzo szybko. Żydów utrzymywała przy życiu tylko nadzieja.

Jakaś kobieta powiedziała:

– On nie jest rebe; on jest prorokiem. Jak Jozue, którego Księgę czytał, sprawia, że mury się wala.

Żydzi znów zaczęli wiwatować. Rusie poczuł, że uszy mu czerwienieją. Nie sprawił, że mury getta padły. Wiedział o tym doskonale. Uczyniły to bomby, które spadły z nieba i rozbiły cegły na pył. Zrzucili je ci sami ludzie, a może potwory, którzy rozpalili światło na niebie. To światło, które wziął za znak dany z wysokości. Jedyne informacje o wybawicielach docierały do getta w postaci zniekształconych plotek. Z zasłyszanych pogłosek Mosze, dziwiąc się ich nazwie, dowiedział się, że jaszczury jednak bombardowały fortyfikacje na całym świecie. Nigdzie indziej ich materiały wybuchowe nie uczyniły jednak więcej niż w Warszawie. Czyżby jaszczury przypuszczały, że Niemcy oblegają w sercu miasta jakichś swoich szczególnych wrogów? Bez względu na powody, zniszczyły mur w niecały tydzień po tym, jak ujawniły swoją obecność. Rusie pamiętał, jak niemieckie bombowce prawie bez wyboru celu zrzucały bez końca swój śmiertelny ładunek na Warszawę. Nalot jaszczurów był inny. Ich bomby trafiły w mur i tylko w mur, tak jakby nie zrzucali je człowiek, czy nawet jaszczur, ale ręka Wszechmocnego. Ryfka uśmiechnęła się do Moszego:

– Pamiętasz, jak drżeliśmy pod kocami, kiedy zaczęły się wybuchy?

– Nie zapomnę tego chyba nigdy – odpowiedział Rusie.

Od kapitulacji Warszawy, w getcie nie słyszano odgłosów prawdziwej wojny. Straszny huk bomb przypominał każdemu, kto przetrwał od 1939 roku, że są inne sposoby zabijania niż głód, choroby i bicie.

– A kiedy zniesiono godzinę policyjną... Och, kiedy zniesiono godzinę policyjną – ciągnął Rusie.

Bomby, czy nie bomby, gdyby nie stanął o czasie przy maszynie do szycia, straciłby pracę. Wiedział o tym, więc się spieszył. Ulice pełne były tego ranka zatykającego dech w piersiach pośpiechu. Ludzie spieszyli się jak zwykle. Nikt, kto miał pracę, nie mógł ryzykować jej utraty, a bezrobotni nie chcieli zrezygnować z szansy na znalezienie jakiegoś zajęcia. Ale mimo to, każdy przeznaczał chwilę, by stanąć chociaż parę sekund i popatrzeć przez jedną albo przez kilka dziur wybitych w murze, który oddzielał warszawskie getto od reszty miasta. Przed jedną z dziur stał Rusie. Była to trzymetrowa przestrzeń, gdzie runął mur. Wszedł do leja po bombie. Okręcone szmatami podeszwy jego stóp czuły każdy odłamek cegły. Nie zwracał na to uwagi. Ciągłe trzymając przed sobą Pismo, przeszedł przez płytki krater i znalazł się poza gettem. Odwrócił się i powiedział:

– Mury Jerycha nie były w stanie powstrzymać Hebrajczyków, a mury getta nie powstrzymają nas. Pan nas oswobodził!

Tłum jeszcze raz podniósł radosny okrzyk. Upajał się krzykami: rebe Mosze, rebe Mosze! Im więcej ich słyszał, tym bardziej mu się podobały. W końcu to jemu Bóg dał znak.

– Możliwe, że Pan nas oswobodził, ale czy pofatygował się, żeby powiedzieć o tym hitlerowcom? – zapytał ktoś z tłumu.

Samo to słowo wystarczyło, żeby ludzie zaczęli się rozglądać ze strachem. Rusie też się obejrzał. Niemcy mogli odciąć od miasta getto nawet bez muru. Wystarczyło, żeby postawili karabiny

maszynowe na otaczających je ulicach. Nie zrobili tego, co Rusie uznał za jeszcze jeden znak boskiej interwencji. Zacerpnął trwożliwie tchu. Nadchodziło dwóch Niemców, i jakby samo słowo wystarczyło, żeby ich wywołać. Tłum zaczął topnieć.

– Mosze, wracaj! – powiedziała nagłaco żona.

Za późno. Jeden z Niemców, oficer, sądząc po wygiętej czapce, wskazał na Rusiego. Ty, Żydzie chodź tutaj – rzekł stanowczym tonem.

Jego towarzysz, szeregowiec, miał karabin. Gdyby Rusie zaczął uciekać, mógłby strzelić i nie zwracałby uwagi na to, czy trafił w tego, do którego mierzył, czy w innego uciekającego Żyda. Rusie zdjął kapelusz przed oficerem. Z ulgą stwierdził, że to oficer armii, a nie SS. Niektórzy żołnierze byli względnie przyzwoici. Mimo to, nieokazanie szacunku, którego domagali się hitlerowcy, było zbyt niebezpieczne. Gdyby nie fakt, że nie stał na chodniku, zszedłby na jezdnię. Skłonił głowę i powiedział:

– Tak jest. Czego pan sobie życzył – mówił dobrą niemczyzną, której nauczył się na studiach: nie chciał wzbudzać w tamtym człowieku gniewu, odzywając się po żydowsku albo po polsku.

– Co zrobiliście z... tym – oficer, major, jak stwierdził Rusie patrząc na dystynkcje, wskazał w kierunku zburzonego muru getta.

Rusie milczał przez chwilę. Analizował ton, którym zadane zostało pytanie. Niemcy, jak wszyscy inni ludzie, lubili tylko takie odpowiedzi, które były zgodne z ich zdaniem. Tylko niektórzy pytają, żeby dowiedzieć się czegoś nowego. Najbezpieczniej było nic nie mówić i zrobić to w uprzejmy sposób. Najbezpieczniej? Tak, ale Mosze pojął, że nie będzie już w stanie ograniczyć się do zachowania bezpieczeństwa. A na pewno już nie wobec Niemca, który pyta jego, Żyda, tak jakby odpowiedź była dla niego ważna. Rusie wyciągnął przed siebie Biblię, którą niósł z sobą.

– To jest znak, że Bóg o nas nie zapomniał.

Brwi żołnierza ściągnęły się z gniewu pod okapem stalowego hełmu. Ale major pokiwał głową powoli i w zamyśleniu.

– Może masz rację. Doprawdy, będzie wam potrzebna pomoc Boga, żeby ujść z naszych rąk.

– Wiem o tym

Rusie nie dbał o to, żeby ukryć gorycz. Cały świat przewrócił się do góry nogami. Jakoś nie wydawało się dziwne, że więzień mówił co myśli do swojego dozorca. Niemiecki major znów pokiwał głową, jakby myślał w ten sam sposób.

– Czy wiesz, Żydzie, że jaszczury, które zbombardowały te mury, nie są ludźmi, ale istotami z innego świata?

Rusie wzruszył ramionami.

– Co nas, zamkniętych tutaj, może to obchodzić? – odwrócił się lekko i wskazał podbródkiem na getto.

– I co to może obchodzić was, Niemców? Nazwaliście nas Untermenschen – podludźmi. Jaka jest różnica między podludźmi a istotami z innego świata? – powtórzył sformułowanie majora, nie zdając sobie sprawy, co ono naprawdę znaczy.

– Jaka jest różnica? Powiem ci, jaka. Jaszczury są tak brzydkie, że mogą być Untermenschen, ale walczą jak te bermenschen – nadludzie.

– To samo robią Rosjanie – powiedział Rusie. Sam fakt, był po drugiej stronie muru dodał mu odwagi.

Udało mu się. Żołnierz jeszcze bardziej się nachmurzył, ale major zaakceptował kpinę. Z nieomal brytyjską wyrozumiałością stwierdził:

– Kłopot z jaszczurami jest nieco gorszy. Dobrze, pomyślał Rusie. Jeśli te tajemnicze jaszczury

pojawią się kiedykolwiek w Warszawie, Żydzi przyjmą je z otwartymi ramionami. Nie powiedział tego na głos.

- A co wy macie zamiar z tym zrobić? – zapytał.
- Nie zdecydowaliśmy się jeszcze – odpowiedział major.
- Jak dotąd nie mam rozkazów.
- Aha – mruknął Rusie.

W czasie walk Niemcy pozbawieni rozkazów byli równie niebezpieczni, jak Niemcy otrzymujący rozkazy. Ich żołnierze byli systematycznie szkoleni, żeby reagować i przejmować inicjatywę, kiedy to tylko możliwe. (Jednak w sprawach politycznych, Niemcy bez rozkazów byli bezradni jak dzieci. Bali się podejmowania jakichkolwiek decyzji. Dziwni ludzie, pomyślał Rusie, i dlatego jeszcze bardziej niebezpieczni.

- A więc nie macie rozkazów, żeby powstrzymać nas od i wychodzenia z getta, nicht wahr?
- Zgadza się – przyznał major pozbawionym barwy głosem człowieka, który przeżył zbyt wiele wydarzeń jednocześnie.
- W każdym razie, odkąd jaszczury założyły bazę I w Generalnej Guberni, nasz Wehrmacht ma większe zmartwienia na głowie niż pilnowanie Żydów. Dziękuję panie majorze – Rusie odetchnął.

Jego własna jej szczerłość zaskoczyła go. Po chwili także rozgniewała; niby dlaczego ma dziękować temu hitlerowcowi za to, że raczył S zezwolić mu na to, co jest przyrodzonym prawem każdego człowieka? Dobrze zrobisz, jeśli będziesz pamiętał, że SS nie ma większych zmartwień na głowie niż wy, Żydzi.

- Bądź ostrożny. – powiedział major. Bądź bardzo ostrożny, zdawały się mówić szare, zimne oczy milczącego żołnierza. Bądź bardzo ostrożny... Żydku.
- Nauczyliśmy się ostrożności – odparł Rusie.
- Inaczej wszyscy bylibyśmy już martwi.

Zastanawiał się, jak major na to zareaguje. Zaledwie skinął głową, jakby potwierdzając prosty fakt. Podniósł ramię w niemieckim pozdrowieniu

- Heil Hitler! Rusie pomyślał, że oficer rozmawiał z nim jak z człowiekiem, a nie jak oprawca z ofiarą.
- Niech pana Bóg chroni przed jaszczurami, majorze – powiedział.

Niemiec znów skinął głową, tym razem szorstko, przybrał marsowy wyraz twarzy i odszedł. Żołnierz poszedł za nim. Mosze Rusie nadal stał na zewnątrz getta.

- Mosze, czy nic ci się nie stało? – zawołała jego żona z drugiej strony muru.
- Nie uciekła, ale nigdzie nie było widać Reubena – niepokoiła się, ponieważ był wszystkim, co im zostało.

- Nic mi się nie stało – odpowiedział ze zdziwieniem w głosie i powtórzył te słowa głośniej.
- Wszystko w porządku. Stał, ot tak, na zalanej światłem ziemi zakazanej. To upajało jak wódka w purim. Ryfka nieśmiało przebrnęła przez lej po bombie i dołączyła do niego po tamtej stronie muru.
- Rozmawiali z tobą i nic ci się nie stało – była równie zaskoczona, jak i on.
- Może nawet oni poczuli, że Bóg użył cię jako swego narzędzia.
- Może – odparł Rusie i objął ją ramieniem.

Jeszcze godzinę temu zachnąłby się na myśl, że on – student medycyny, który je słonię, kiedy jest bardzo głodny – mógłby w jakiś sposób zostać prorokiem. Teraz zaczął się nad tym zastanawiać. Bóg nie wkraczał osobiście od czasów biblijnych w sprawy ludu wybranego. Ale kiedy to od tamtych dni Jego lud był w takim niebezpieczeństwie? I dlaczego Bóg miałby wybrać właśnie jego?

Potrząsnął głową.

– Kimże ja jestem, by Mu się sprzeciwić? – powiedział. Stanie się zadość Jego woli.

– Tak – rzekła z dumą Ryfka.

– Za twoją sprawą.

Na widowni Mills and Petrie Memorial Center zgasło światło; elektryczność stała się kapryśna, odkąd samoloty jaszczurów zaczęły przemierzać niebo nad Środkowym Zachodem. Ponura widownia była jednak przepełniona. Siedziała na niej młodzież i mężczyźni z Ashton oraz uchodźcy tacy, jak Sam Yeager i Mutt Daniels. Yeager czuł, że od paru dni nosi to samo ubranie, że nie prał bielizny i nie mył się przez ten czas, że ostatnio dużo chodził, biegał i ukrywał się. Widok innych mężczyzn tak samo brudnych, którzy nie przejmowali się tym, przynosił mu ulgę. Ubrany w mundur khaki mężczyzna o ponurej twarzy wszedł na scenę i zatrzymał się na środku. Hałas ucichł jak nożem uciął.

– Dziękuję za przybycie – powiedział mężczyzna.

– Chciałbym, żebyście wszyscy wstali i podnieśli prawą rękę.

Yeager już stał; na widowni było więcej ludzi niż miejsc. Podniósł prawą rękę. Mężczyzna w khaki powiedział:

– Powtarzajcie za mną. Ja – tu wasze nazwiska...

– Ja, Samuel Yeager – powtórzył Yeager – obywatel Stanów Zjednoczonych oświadczam niniejszym, że ósmego dnia, miesiąca czerwca 1942 roku zaciągnąłem się ochotniczo do Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych Ameryki na okres czterech lat albo na czas trwania tej wojny zgodnie z przepisami ustanowionymi przez prawo, chyba że wcześniej zostanę zwolniony przez właściwe władze. Zgadzam się na przyjęcie od Stanów Zjednoczonych płacy, dodatków, racji żywnościowych i odzieży, w myśl tego, co przewiduje prawo. I uroczyste przysięgam – równy rytm głosów załamał się na chwilę, bo kilku ludzi powiedziało: potwierdzam – że będę wierny Stanom Zjednoczonym, że będę im wiernie i uczciwie służył w walce przeciwko wszystkim ich wrogom i że będę posłuszny rozkazom prezydenta Stanów Zjednoczonych i moich dowódców zgodnie z przepisami i artykułami kodeksu wojskowego.

Yeager rozciągnął twarz w szerokim uśmiechu. Potrzeba było aż inwazji z Marsa, czy diabli wiedzą skąd, żeby mógł się zaciągnąć do wojska.

– Kiedy dostaniemy karabiny? – krzyknął ktoś z tłumu.

Yeagera rozpierał ten sam entuzjizm. Nie był jeszcze na wojnie, j jeśli nie liczyć ostrzelania pociągu, którym jechał. Ale wtedy nie mógł odpowiedzieć ogniem. Obok niego stał w milczeniu Mutt Daniels. Nie entuzjasmował się; już to przeżył. Ponury sierżant na scenie, o nazwisku Schneider, uniósł oczy do milczących niebios.

– Żołnierze, nie mamy tylu karabinów, żeby dać każdemu. Ani mundurów. I w ogóle nie mamy niczego za wiele. Tworzyliśmy armię, żeby walczyć za morzem, odkąd napadli na nas Japonce, a teraz musimy bronić wszystkich naszych zasranych ziem na naszym własnym podwórku...

– Aha – mruknął Mutt Daniels.

– To samo robili za poprzedniej wojny. Łapali ludzi zanim mieli co im dać do rąk.

– Macie się ustawić w dwóch kolejkach – powiedział sierżant Schneider.

– Jedna kolejka z tej strony, dla weteranów wielkiej wojny, druga tutaj, dla wszystkich pozostałych.

Daniels ustawił się wraz z częścią ludzi z widowni „z tej strony”, w kolejce do stołu, przy którym siedział kapral – młody człowiek w khaki. Yeager stanął „tutaj”, w dłuższej kolejce do stołu, przy którym rezydował osobiście Schneider. Podejrzewał, że Mutt i inni weterani dostaną pierwszy sort karabinów, jak tylko będą dostępne. To byłoby fair. Oni wiedzieli najlepiej, jak posługiwać się

bronią. Jego kolejka posuwała się znacznie wolniej. Gawędził z ludźmi, którzy stali przed nim i za nim. W drodze do Ashton przechodził przez wioskę o nazwie Franklin Grove i słyszał zachęcającą do walki mowę Roosevelta, z pewnego miejsca w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

– Dobrze mówił – stwierdził człowiek stojący przed Yeagerem.

– Ta ziemia jest nasza, ten naród jest nasz. Nikt nam tego nie zabierze, tak mi dopomóż Bóg.

– Właśnie to powiedział – rzekł z podziwem Yeager.

– Jak ci się udało zapamiętać to słowo w słowo?

– Jestem reporterem, to zawodowe – odparł mężczyzna.

Miał około trzydziestu lat, twarz o ostrych lisich rysach, cienki wąsik, błękitne oczy i jasne gładko zaczesane włosy. Wyciągnął rękę.

– Nazywam się Pete Thomsen. Pracuję dla „Rock-ford Courier-Journal”.

Yeager potrząsnął podaną mu dłoń i przedstawił się. Tak samo uczynił człowiek stojący za nim, łysy muskularny mężczyzna o nazwisku Otto Chase.

– Właśnie jechałem do cementowni w Dixon, kiedy zaczęli rzucać bomby. Stąd to mam – grubym palcem wskazującym delikatnie dotknął szramy na czubku głowy.

Wreszcie Yeager stanął przed sierżantem Schneiderem. Sierżant zrobił sobie przerwę, żeby naostrzyć scyzorykiem ołówek, potem zapisał nazwisko i datę urodzenia Yeagera.

– Żonaty? – zapytał.

– Nie, panie sierżancie. Rozwiedziony – powiedział Yeager i spochmurniał.

Louise w końcu miała dosyć jego koczowniczego trybu życia, a kiedy nie chciał nigdzie osiąść na stałe...

– Dzieci?

– Nie ma, panie sierżancie – odpowiedział. Schneider zrobił znaczek ołówkiem, potem zapytał:

– Zawód?

– Piłkarz

Schneider podniósł wzrok znad formularza. Yeager mówił dalej.

– Gram, a raczej grałem, w drużynie :atur Commodores. Tam stoi mój menażer.

Wskazał na utta Danielsa, który już się zarejestrował i gadał z kilkoma innymi weteranami pierwszej wojny. Sierżant potarł podbródek.

– Na jakiej pozycji grałeś? Jesteś pitcherem?

– Nie, panie sierżancie. Lewoskrzydłowym... przeważnie.

– Hm. Więc całkiem nieźle rzucasz.

– Tak jest. Ramię mam w porządku – powiedział Yeager bez fałszywej skromności.

Nie był szybki, nie był najlepszym zgrywającym, słabo mu szło na linii autu, ale na Boga, rzucać to on potrafił.

– Okay – rzekł Schneider. Spodziewam się, że będziesz stanie miotać granaty dalej niż inni. Coś sobie zapisał, potem pokazał na Mutta.

– Idź do tamtych facetów. Mamy trochę granatów, a będziemy mieli ich więcej – jeśli jaszczury nie rozwalą ciężarówek. No, idź.

Sierżant podniósł głos:

– Następny!

Yeager podszedł z pewnym wahaniem do grupki, w której tał Daniels. Czuł się wśród nich jak odmieniec. Ci mężczyźni niektórzy z nich grubi, inni łysi, siwi – widzieli rzeczy, których mu się nie śniło. Nagle to, co oni widzieli, znów stało się potrzebne. On sam zetknął się z wojną dość postronnie, w czasie ucieczki od śmierci nadlatującej z nie-. jak tłumy uchodźców, ofiar

bombardowania w Europie. Mutt trochę mu pomógł przedstawiając go stojącym wokół. Okazało się, że jeden z tych grubych i siwych, facet o nazwisku Fred Walters grał przez kilka tygodni w klasie D. Było to około 1912 roku.

– Nie dawałem sobie rady, więc mnie zwolnili – powiedział.

– Grasz zawodowo od siedemnastu lat? To niezłe. Jego podziw sprawił, że Sam poczuł się trochę mniej skrępowany. I oczywiście, wszyscy zaczęli rozmawiać o wojnie, a raczej o wojnach.

– Czy wojując z jaszczurami, nadal walczymy z Niemcami i Japończykami? – zapytał Yeager.

– Od wysłuchania mowy Roosevelta, kiedy się tu wczoraj dostałem, nie wiem, co się nowego wydarzyło.

– Ja też

Mutt Daniels przygładził ręką złachmanione portki i brudną marynarkę.

– Byliśmy w drodze przez ostatnie kilka dni.

Wywołało to wśród niektórych uśmieszek. Kilku ze stojących w pobliżu mężczyzn było jeszcze bardziej obdartych. Wyróżniał się Fred Walters, który był czysty i „odprasowany”. Mieszkał w Ashton.

– Prawda jest taka, że nikt nie wie naprawdę, co się u diabła dzieje. Ale słyszałem, że flota Japończyków płynąca w kierunku Hawajów zawróciła do Kraju Wschodzącego Słońca, kiedy jaszczury zbombardowały Tokio – powiedział Walters.

– Rąbnęli w Tokio – ucieszył się Yeager.

– To pierwsza dobra rzecz, którą usłyszałem.

– Zbombardowali też Berlin – dodał Walters – i mnóstwo innych miejsc.

– To załatwia przynajmniej jedno – odezwał się człowiek, którego nazwiska Yeager nie dosłyszał.

– Ustawa Lendlease definitywnie się skończyła. Odkąd te cholerne jaszczury stanęły tutaj, w Stanach Zjednoczonych, nam samym wielu rzeczy nie starcza, nie mówiąc o pomocy dla innych.

– Ciężkie czasy przyjdą dla Angoli i Rosjan – zauważył Daniels.

– Martwmy się najpierw o nas samych – powiedział ktoś.

Wszyscy pokiwali głowami, Yeager też. Człowiek mówił dalej:

– Nam samym brakuje wielu rzeczy, to prosty fakt. Gdyby było inaczej, nie szukaliby tych, którzy wiedzą jak walczyć, żeby dać im karabiny w pierwszej kolejności.

– Sierżant Schneider powiedział mi, że nie starczy karabinów dla wszystkich – stwierdził Yeager.

– Mamy kłopoty, panowie. To oczywisty fakt – stwierdził Daniels.

Znowu wszyscy przytaknęli. Coś szybko przeleciało. David Goldfarb spostrzegł ruch i przeklął, że znowu będzie alarm. Podniósł szybko lornetkę | do oczu, popatrzył uważnie i odetchnął.

– To tylko mewa – powiedział z ulgą w głosie.

– Jaki gatunek? – zainteresował się Jerome Jones.

Wydarzenia kilku ostatnich dni uczyniły z niego gorliwego obserwatora ptaków.

– Z czarną głową – odparł obojętnie Goldfarb; jego zainteresowanie ptakami ograniczało się do drobiu.

Siedział na chwiejącym się składanym płóciennym krzeselku o kilka kroków od urwiska skalnego Dover, gdzie Anglia kończy się jak nożem uciął. W ten sam sposób mógł siedzieć obserwator ćwierć wieku temu, z tą samą lornetką, może nawet na tym samym składanym krzeselku. Siedział i patrzył w stronę Europy, z nadzieją, że uda mu się wysledzić zeppelin. Tylko model telefonu polowego przy krzeselku był nowocześniejszy niż w 1917 roku. Jerome Jones roześmiał się,

gdy Goldfarb powiedział to na głos.

– Krzeselko jest prawdopodobnie to samo, a formularze dotyczące tego, co nowe nie dotarły jeszcze do właściwego urzędu.

Roześmiał się jeszcze raz, tym razem ponuro.

– Tak samo jak te cholerne raporty o zjawach.

– A nie mówiłem, że to nie była usterka radaru – powiedział Goldfarb.

– Owszem, ale jeśli będziesz ciągle powtarzał, a nie mówiłem, unieszczęśliwisz pewnego dnia jakąś miłą dziewczynę – odparł Jones.

– Przy okazji czy nie wolałbyś nie mieć racji?

Goldfarb po raz drugi naraził się na kpinę kolegi, więc odpowiedział tylko chrząknięciem. Powędrował wzrokiem do ruin stacji radarowej, którą teraz zastąpili obserwatorzy uzbrojeni zaledwie w lornetki polowe. Nie zostało z niej nic, tylko gruzy i lekki odór przypominający zapach zepsutego mięsa. Goldfarb mógł teraz tu siedzieć i patrzeć na ruiny, dzięki temu, że nie był na służbie, kiedy uderzyła rakietą wystrzelona przez jaszczury. Podobnie wyglądało całe angielskie wybrzeże: gdziekolwiek znalazł się aktywny radar, nadlatywała rakietą i dokonywała zniszczenia. Mogło to znaczyć tylko jedno: rakiety były w stanie kierować się promieniami radarów, nawet tych nowych, krótkofalowych, których istnienia Szwaby nadal się nie domyślały.

– Kto mógł pomyśleć, że jaszczury są sprytniejsze od Niemców? – stwierdził Goldfarb.

Bez względu na to, jak bardzo nienawidził Hitlera i hitlerowców, miał szacunek dla technicznych zdolności wroga po tamtej stronie kanału. Radiostacja podała, że straciliśmy kilka ich samolotów nad Londynem – zauważył z nadzieją Jones.

– Dobrze – odparł Goldfarb; każda taka nowina podnosiła na duchu.

– Ile maszyn straciliśmy?

– Komentator nie podał pełnego wyniku meczu. – Stwierdził Jones.

– Wojskowe środki bezpieczeństwa, nie wiedziałeś? Ach, prawda – stwierdził Goldfarb.

– Pewnie to jest jak porównanie wyniku meczu w siatkówkę z meczem w piłkę nożną.

– Nie próbowali tutaj wylądować – odparł Jones. Nadal był optymistą.

– To tylko bardzo mała wysepka.

Goldfarb wyobraził sobie kulę ziemską i natychmiast zobaczył, jak mała musi być Wielka Brytania widziana z kosmosu.

– Nie tak mała, żeby to ich powstrzymało od bombardowania nas – zaprzeczył z goryczą Jones.

Obaj pokiwali głowami. Pomogli krajowi odeprzeć największą ofensywę lotniczą, jaką świat widział, potem pomagali odpłacać Niemcom pięknym za nadobne. Teraz znów ich atakowano. To nie było za bardzo w porządku.

– Jest coś! – krzyknął Goldfarb, wskazując ręką w górę.

Obaj nakierowali lornetki na przesuujące się po niebie plamki. Te plamki – nawet przez szkła polowe były niewiele większe od punkcików – leciały na południe.

– Chyba nasze – powiedział Goldfarb – lecą nad macecznik jaszczurów we Francji.

– Jaszczury i żabojady – Jones roześmiał się z własnego dowcipu, ale szybko spoważniał.

– Zastanawiam się, ilu z tych nieszczęsnych, dzielnych sukinsynów wróci po wykonaniu lotu.

Mówią, że to gorsze niż artyleria przeciwlotnicza nad Berlinem.

– Zastanawiam się, czy Szwaby też walczą z jaszczurami.

– Goldfarbowi przysłała do głowy pewna myśl.

– Gdyby ich loloty i nasze jednocześnie próbowały dołożyć jaszczurom, czy strzelalibyśmy do

siebie nawzajem?

– Mam nadzieję, że nie – wykrzyknął Jones.

– Poinioby się wszystko, prawda?

– Prawda – przyznał Goldfarb.

– Mam również nadzieję, że tak by się nie stało. Roześmiał się nieszczercze.

– Po raz pierwszy od wieków życzyłem Niemcom czegoś innego niż prędkiej jazdy do piekła.

– Niemcy to ludzie. Postaw ich naprzeciwko stworów Marsa, a zobaczysz, kogo wybieram – powiedział Jones.

Goldfarb chrząknął. Niechętnie ustępował w sprawie hitlerowców. Całkowicie zgadzał się z dowcipem Churchilla, że gdyby szatan wypowiedział wojnę Hitlerowi, to on poświęciłby co najmniej życzliwą wzmiankę diabłowi w Izbie Gmin. Ale dowcipy łatwo powstają. Teraz cały świat stanął w obliczu diabła, którego do tej pory nie znał. Wielka Brytania zawarła (sojusz z czerwoną Rosją, kiedy Niemcy dokonały najazdu: Niemcy były gorsze. Jeśli jaszczury były gorsze od Niemców, to może znowu nastąpi odwrócenie przymierzy? Zasepił się.

– Niech mnie diabli, jeśli chciałbym, żebyśmy się kochali z hitlerowcami – pomyślał znowu o losie swoich krewnych w Polsce.

– Wolałbyś raczej kochać się z jaszczurami? – zapytał Jones.

Zanim zaczęła się sprzeczka, dodał

– Jeśli chodzi o mnie, to wolałbym raczej kochać się z tą barmanką z „White Horse”. To wystarczyło, żeby Goldfarb zmienił temat.

– Z którą? – zapytał.

– Daphne, czy Sylwią? – Wolałbym Daphne. Mam słabość do blondynek, a ona ma to i owo.

– Jones zilustrował gestem, o które części ciała mu chodzi.

– Ale, oczywiście, gdyby Sylvia uśmiechnęła się do mnie... rude są interesujące, bo są niezwykle, co?

– Obie uwielbiają pilotów – powiedział Goldfarb z przygnębieniem. Uciekały przed jego zalotami, jak w przypadku niejednego zapewne żołnierza obsługi naziemnej RAF-u. To samo dotyczyło Jerome Jonesa.

– To nie jest zabawne – stwierdził Goldfarb.

I, jakby przecząc własnym słowom, zaczął się śmiać. Zakrztusił się. Coś z wyciem przeleciało tuż nad czubkami drzew. Chwycił telefon polowy, zakręcił korbką. Tymczasem, ponad jego głową samoloty jaszczurów śmigwały na pomocny, zachód. Wykrzyczał ostrzeżenie tak głośno, by usłyszano go mimo wycia silników.

– Znowu Londyn. Te sukinsyny będą tam za minutę.

Jones krzyczał z całych sił. Z równym powodzeniem mógł szeptać. Goldfarb i tak czytał jego słowa z ruchu warg.

– Niewiele czasu zajmie, żeby podnieść eskadry spitfire'ów

Goldfarb starał się być optymistą. Może, ale i tak nie potrafimy doścignąć ich maszyn, nawet jeśli nasze wystartują.

– Najlepiej opłaca zacząć się przy ich trasach powrotu i uderzyć, kiedy przelatują.

– Unik i cios

Jones mówił już ciszej, bo samoloty oddaliły się. Goldfarb podniósł brwi. Jego przyjaciel kontynuował:

– Obok matmy studiowałem w Cambridge trochę historii. Starzy Bizantyjczycy pozwalali Arabom wdzierać się do Azji Mniejszej, a potem czekali na nich na przełęczach, kiedy będą wracali

z łupami.

– Aha – powiedział Goldfarb.

– I co, działało?

– Czasem. Ale nawet wtedy Azji Mniejszej garbowano skórę.

– Tak. Cóż, już nieraz zdarzyło nam się garbowanie skóry. Mam nadzieję, że przetrwamy następne – stwierdził Goldfarb.

– Chyba nie mamy wyboru.

Niewiele potem rozmawiali. Goldfarb wpakował sobie palec do ucha starając się pozbyć dzwonienia. Nie powiodło mu się – samoloty jaszczurów były trochę za głośne. Myślał, czy RAF-owi poszcęściło się i marzył, żeby móc samemu znaleźć się w samolocie Spitfire. Ale nie miał tego rodzaju uzdolnień. Pocieszał się myślą, że to on spostrzegł bombowce. Patrzył na południe, na kanał La Manche. Wiosenne powietrze – przypomniał sobie, że była to już prawie zima – było łagodne i czyste. Francuski brzeg rysował się jak ciemna smuga na horyzoncie. Podniósł lornetkę do oczu. Francja przybliżyła się. Trzy lata temu ten brzeg był tarczą Anglii. Potem, w przerażająco niespodziewany sposób, z tego właśnie brzegu wymierzono cios w serce Anglii. A co teraz? Jeszcze jeden cios zadany Anglii, ale także i Niemcom. Goldfarb życzyłby sobie, żeby jaszczury zostawiły spokoju jego kraj i rzuciły wszystkie siły do walki przeciwko Niemcom. Ale życzenia nie zmieniają faktów.

– Dziwny jest ten świat – westchnął.

– O, tak

Jones popatrzył na zegarek.

– Nasi zmiennicy winni tu być lada chwila. Mamy wolne. Wybierzemy się do „White Horse”? To, co nazywają tam najlepszym browarem, zeszło na psy odkąd trwa wojna, ale zawsze można się pogapić la Daphne, a może nawet pogawędzić z nią.

– Dlaczego nie?

Goldfarb zamierzał jeszcze raz spróbować z Sylvia, lubił rude. Nie była Żydówką, żeby można ją było przyprowadzić do domu i przedstawić rodzinie, dużo o czymś takim myślał, odkąd wojna się zaczęła, ale też nie miał zamiaru jej poślubić. Niemniej, konsekwencje takiego związku mogły być całkiem atrakcyjne. Roześmiał się. Gdyby Sylvia się nim zainteresowała, byłby Eto prawdziwy cud.

– Powinniśmy być wdzięczni jaszczurom – powiedział Jones.

– Gdyby nie zniszczyli radaru, spędzilibyśmy przy nim na próżno całe godziny, zamiast gonić za spódniczkami. Radary są świetne, ale muszą ustąpić pierwszeństwa spódniczkom...

– Jasne – zgodził się Goldfarb.

Pokazał za siebie – nadchodzą Reg i Steven. Chodźmy już.

– Mógłbyś mi pożyczyć dziesięć szylingów? – zapytał Jones wstając z płóciennego krzeselka.

Goldfarb popatrzył na niego. Jones uśmiechnął się zwyczajnie. Goldfarb wyjął portfel i wręczył mu banknot.

– Jeśli będziesz taki bezczelny w stosunku do Daphne, jak byłeś do mnie...

– Z dziesięcioma szylingami w kieszeni może i będę.

– Chodźmy już.

Trwała wojna, a od paru zwariowanych dni nawet dwie wojny, ale życie szło naprzód. Goldfarb pośpiesznie złożył raport zmiennikom i podążył z Jerome Jonesem do gospody „White Horse” Lecę na spotkanie śmierci, George Bagnall myślał tak za każdym razem, gdy lancaster odrywał się niezgrabnie od płyty lotniska by polecieć nad Niemcy. Teraz, podczas lotów przeciwko jaszczurom, niebezpieczeństwo było bardziej skoncentrowane. Owszem, wcześniej śmierć też czaiła

się nad Niemcami, ale była to śmierć zadawana na oślep: pocisk przeciwlotniczy, który wybuchł właśnie tam, gdzie się znajdowałeś, nocny myśliwiec, który zauważył płomień gazów wydechowych twojego samolotu. Jaszczury nie uderzały na ślepo. To była trzecia misja Bagnalla nad Francją. Widział, jak to się rozgrywa. Jeśli jaszczury wybiorą twój samolot, na pewno będziesz strącony. Ich rakiety goniły za celem, jakby znały adres. Nie było ucieczki; strzelanie do pocisków nie dawało skutku. Bagnall miał ochotę gdzieś się schować. Popatrzył na Kena Embry'ego. Pilot miał zacięty wyraz twarzy, skóra napinała mu się na kościach policzkowych, blade usta wyglądały jak szrama. Lecieli nisko, zbyt nisko, by zakładać aparat tlenowy, więc widział jego całą twarz. Lot na dużej wysokości sprawiał, że stawali się lepszym celem. Ta nauka dużo kosztowała RAF.

– Szkoda, że nie możemy wylądować z jakąś awarią iskrownika, co? – westchnął Bagnall

– To ty jesteś inżynierem, panie Bagnall – powiedział Embry.

– Planowanie wygodnych usterek mechanicznych należy do twojej specjalności.

– Szkoda, że nie pomyślałem o tym przed kontrolą techniczną – mruknął Bagnall.

Embry odpowiedział na uśmiech kolegi i szerzej rozciągnął usta, ale to nie spędziło z jego twarzy wyrazu determinacji. Podobnie, jak Bagnall, wiedział, jakie mają szansę. Dwa razy mieli szczęście – trzy razy, jeśli liczyć dziką szarpaninę nad Kolonią; tę potyczkę zaczęto już nazywać „nocą lądowania Marsjan”. Ale na jak długo wystarczy im szczęścia?

– Dziwnie się czuję, kiedy nie lecę w formacji – powiedział Embry.

– To wygląda raczej, jak klucz kaczek, które mają być zestrzelone jedna po drugiej – odparł Bagnall.

Pierwszy atak na jaszczury – na szczęście ich lancaster nie brał w nim udziału – stał się tak straszną porażką, że zmusił dowództwo bombowców do pośpiesznej zmiany taktyki. Czegoś takiego mechanik pokładowy nie był w stanie sobie wcześniej wyobrazić. Atakowanie z małej wysokości i w rozproszonym szyku okazało się lepsze niż z wysoka, w ścisłej formacji. Jaszczury podobne były do Niemców, których można pokonać tylko /agą liczebną. Bombowcowi Bagnalla udało się dwukrotnie wrócić do Anglii z takiej wyprawy.

– Osiem kilometrów do celu – zameldował nawigator intercom.

– Dziękuję, Alf – powiedział Embry.

Przed nimi, z ziemi zaczęły podnosić się smugi płomieni. Wylądowane po brzegi bombowce wybuchły w powietrzu jeden po drugim, jak wielkie pomarańczowe chryzantemy ognia na tle nocnego nieba. Byłby nawet piękny widok, gdyby nie oznaczał śmierci tylu ludzi. Bagnall czekał, aż jedna z tych smug ognia dosięgnie jego bombowca. Jeszcze się to nie zdarzyło, jeszcze nie, ale... Embry sapnął, uderzył się pięścią w udo.

– Widziałeś? O kurwa, widziałeś? Jedna chybiła, ktoś robił unik.

– Rzeczywiście, jedna z rakiet leciała coraz wyżej. Areszcie wybuchła, jak ognie sztuczne na 4 Listopada. Embry szybko spochmurniał.

– Ale tyle nie chybiło celu.

– Nadlatujemy nad coś, co wygląda na własność jaszczurów – odezwał się Douglas Bell ze swojego oszklonego stanowiska w spodniej części dziobu samolotu.

To wystarczyło Embry'emu.

– Podchodzimy do bombardowania pod twoją komendą, panie celowniczy.

– Doskonale – odparł Bell.

– Kurs lekko na zachód, stronę tego... do diabła, nie wiem, co to jest, ale to nie pochodzi z Ziemi.

– Lekko na zachód. Kurs na obiekt z przodu – potwierdził pilot.

Przez szybę Bagnall zobaczył teraz przed sobą ogromną mżę rysującą się na tle horyzontu. Wyglądała jak rozdęty wieżowiec, ale słynny jankeski Empire State Building był mały porównaniu z nią. Na pewno nie była elementem krajobrazu Francji. Nie była to też jedyna wieża w okolicy, Bagnall pomyślał, lepiej pasowałoby określenie statek kosmiczny. Jaszczury prowadziły ich coraz więcej. Bezpośrednie atakowanie statków kosmicznych oznaczało niechybną śmierć. Nikomu nie udało się zniszczyć czegoś takiego. Nikomu też nie udało się wrócić po takiej próbie. Celowniczy był odważnym człowiekiem; to oczywiste, |w końcu był tutaj, ale nie próbował popełnić samobójstwa.

– Trochę bardziej na zachód, jeśli łaska, proszę pana, mniej więcej o trzy stopnie. Myślę, że to jest park czołgowy, tak jak nam mówili na odprawie, prawda?

Embry i Bagnall pochylili się, żeby zobaczyć. Pod spodem było coś dużego i uporządkowanego. Jeśli to coś nie było niemieckie, to musiało należeć do jaszczurów. A jeśli było niemieckie, to tym gorzej dla Szwabów. Bagnall mrugnął do Embry'ego. Pilot skinął głową i powiedział:

– Chyba masz rację, celowniczy. Wykonać.

– Doskonale – powtórzył Bell. Stały kurs, stały...

Jego głos podniósł się do krzyku

– Bomby rzuć!

Kadłub zagrzechotał i zajęczał, gdy bomby zaczęły wypadać nad celem. Bagnall przez moment pożałował biednych francuskich wieśniaków. To byli przecież ich sojusznicy, którzy teraz cierpieli pod podwójnym jarzmem – niemieckim i jaszczurzym. Pewnie niektórzy z nich zginą w tym bombardowaniu, które jest jedyną nadzieją na odzyskanie wolności. Lancaster zachwiał się w powietrzu. Przez straszliwy moment Bagnall pomyślał, że dostali. Ale to była tylko turbulencja wywołana wybuchami bomb.

– Zjeżdżamy stąd

Embry nachylił bombowiec i skierował dziób maszyny na Anglię.

– Podaj kurs do domu, panie Whyte.

– Kurs na północ. Na razie; za moment podam detale – odparł nawigator.

– Jest kurs na północ. Zastanawiam się, ilu wyląduje – powiedział Embry.

Zastanawiam się, czy nam starczy szczęścia, żeby wylądować, pomyślał Bagnall. Nie chciał, kusić licha, więc nie wypowiedział tych słów na głos. Zielonożółte smugi przemknęły koło owiewki. Za blisko, żeby poczuć się bezpiecznie. Obok rakiet jaszczury mogły się poszczycić doskonałą artylerią przeciwlotniczą. Embry przerzucił lancastera z uniku w unik, aż załozde dzwoniły zęby.

– Mamy myśliwca ze sterburty. Zbliża się – zawołał tylny strzelec.

Bagnall poczuł, że mu zaschło w ustach. Spojrzał na prawo. Ale to nie był samolot jaszczurów, a tylko – tylko! – fockewulf 190. Pomachał skrzydłami do lancastera i śmignął dalej. Brytyjski bombowiec nie miałby szans, by mu dorównać. Bagnall stwierdził, że na chwilę zapomniał oddychać. Odezwała się jeszcze jedna bateria przeciwlotnicza jaszczurów. Z odgłosem, jakby olbrzym walił pięścią w cynowy dach, pociski uderzyły w lewe skrzydło lancastera. Ogień buchnął z obu silników z tamtej strony. Bagnall, ku swemu zaskoczeniu, postępował tak, jak go uczono. Rzut oka na wskaźniki upewnił go, że te merliny nie nadają się już do użytku. Wyłączył je, zamknął dopływ paliwa, złożył płaty śmigieł.

– Klapy steru wysokości z tamtej strony nie reagują – powiedział Embry wykrzywiając się.

– Brak ciśnienia – odparł Bagnall, jeszcze raz sprawdziwszy instrumenty, patrzył, jak pilot usiłuje odzyskać kontrolę.

Lancaster próbował wejść w korkociąg.

– Zdaje się, że mamy problemy.

– Tak, male – potwierdził Embry kiwając głową.

– Szukaj pola albo drogi. Spróbuję go posadzić.

Jego słowa brzmiały uspokajająco.

– Trzeba będzie wybrać nowy samolot, co?

– Na to wychodzi – zgodził się Bagnall.

Słowa pilota potwierdzały to, co wyczytał na instrumentach kontrolnych: maszyna nie zdoła wrócić do Anglii. Wskazał ręką:

– Tu jest jakaś autostrada. Pusto, bo jest wojna – nie przejedziemy Citroëna wujka Pierra.

– Dobrze – Embry podniósł głos.

– Załoga, przygotować się do awaryjnego lądowania. Panie Bagnall, proszę, jeśli łaska, wypuścić podwozie. Prawe koło wyszło gładko; lewe ani drgnęło. Bagnall zakręcił ręczną korbą.

Dolny strzelec zawołał ze swojej wieżyczki:

– Wyszło. Widzę je.

– Jedno zmartwienie mniej – zauważył Embry z nutką humoru w głosie. Potem dodał – zostało zatem jakieś dwieście albo trzysta tysięcy zmartwień, chyba że pomyliłem się w rachunkach.

– Mogliśmy to robić w Normandii, a tam wzdłuż dróg rosną żywopłoty – powiedział pocieszająco Bagnall.

– Dwa zmartwienia mniej – poprawił się Embry.

– Tak mi ulżyłeś, George.

– Miło mi, że mogłem ci pomóc – odpowiedział Bagnall.

Łatwiej było dowcipkować niż tak po prostu siedzieć i czekać na to, co ma się zdarzyć. Przymusowe lądowanie uszkodzonym samolotem na francuskiej drodze w środku nocy i bez świateł nie było tematem, który można by rozważać zachowując zimną krew. Jakby chcąc to podkreślić, Embry powiedział:

– Załoga może skakać, jeśli uzna to za lepsze rozwiązanie niż próba lądowania. Spróbuję utrzymać się w powietrzu jeszcze minutę albo dwie, żeby umożliwić skorzystanie z okazji. Gdyby przydarzyło nam się to miesiąc temu, wyskoczyłbym sam i pozwolił samolotowi się rozbić, żeby nie wpadł w ręce Niemców. Ale jak sami widzieliście tego wieczoru, sytuacja uległa zmianie. Jeśli macie zamiar skakać, proszę, żebyście mi o tym powiedzieli teraz.

W słuchawkach intercomu nastała cisza aż ktoś z tyłu samolotu odezwał się:

– Sprowadź pan nas na dół jak trzeba.

– Miejmy nadzieję, że to wzruszające zaufanie zainwestowane zostało właściwie – odparł Embry.

– Dziękuję panom, wszystkim naraz i każdemu z osobna. Życzę szczęścia.

Popchnął drążek do przodu i zredukował obroty pozostałych dwóch merlinów. Droga, szara strzała przecinająca ciemne pola, wydawała się być tak blisko, że wystarczy sięgnąć ręką, żeby jej dotknąć. Embry podniósł trochę dziób lancastera i jeszcze bardziej zmniejszył obroty. Bombowiec siadł z hałasem na drodze, ale Bagnall miał za sobą gorsze lądowania w Swinderby. W słuchawkach słyhać było wiwaty. Potem, gdy lancaster prawie się zatrzymał, jego prawe skrzydło zaczepiło o słup telegraficzny. Maszyna zrobiła koło. Lewym bokiem zjechała z asfaltu na miękką glebę. Samolot przechylił się. Lewe skrzydło odłamało się w miejscu uszkodzonym przez pociski. Kikut zarył w ziemię. Dźwigary zawyły. Bagnall pomyślał, że samolot się przewróci. Nie przewrócił się. Jeszcze, kiedy obracał się wokół słupa Embry wyłączył silniki. Zapadła nagła cisza. Wdarły się w nią kolejne wiwaty.

– Dziękuję przyjaciele – powiedział Embry.

Dopiero teraz, gdy nie miało to już znaczenia, pozwolił sobie na ton wyczerpania w głosie. Zwrócił się do Bagnalla ze zmęczonym uśmiechem:

– Est-ce que vous parlez français, monsieur?

– Nie, do diabła – odparł Bagnall. Obaj roześmiali się jak uczniacy.

Rozdział IV

Metaliczny łoskot odbijał się echem w „127-mym cesarzu Hetto”, kiedy śluzy powietrzne promu łączyły się z kołnierzem cumowniczym statku flagowego. Głośnik cicho zabrzączał w gabinecie pana floty Atvara.

- Tosewita jest już tutaj, dostojny panie floty – poinformował młodszy oficer.
- Dajcie go tutaj – powiedział Atvar.
- Tak jest.

Atvar zawisł w przestrzeni, w oczekiwaniu na tosewickiego dyplomata. Kiedy zaczął przyjmować tubylców, rozkazał, żeby zatrzymać obroty statku flagowego. Był przyzwyczajony do stanu nieważkości i chociaż niezbyt go lubił, znosił go bez ; kłopotu. Podobnie jego załoga. Tosewici natomiast nie mieli doświadczenia w podróży kosmicznych. Kiedy stwierdzą, że ich ciała są nieważkie, będą speszeni. To może zadziałać na ich niekorzyść. Atvar żywił przynajmniej taką nadzieję. Otworzył w rozbawieniu szczękę, kiedy przypomniał sobie nieszczęsnego tubylca z cesarstwa zwanego Deutschland – Niemca, który zrzucił całą zawartość żołądka; na szczęście był wtedy jeszcze w promie kosmicznym. Ten biedny oszołomiony Ribben – jak mu tam, nie był w stanie nawet spróbować negocjowania warunków poddania swojego cesarstwa. Otworzyły się drzwi gabinetu. Oficer obarczony zadaniem I nauczania się odpowiedniego języka Tosewitów wpłynął wraz z tubylcem, któremu miał służyć za tłumacza. Dostojny panie floty – powiedział oficer.

– Przedstawiam ci wysłannika cesarstwa zwanego Sojuz Sowieckich Socialistycznych Republik – SSSR w skrócie. Nazywa się Wiaczesław Michajłowicz Mołotow.

– Przekaż mu moje uprzejme pozdrowienia – odparł Atvar, myśląc o tym, że tosewickie cesarstwo jest za małe, by zasługiwać na tak długą nazwę.

Ale, jak większość Tosewitów, sam wysłannik był znacznie wyższy od pana floty. Tłumacz zaczął mówić łamanym językiem używanym przez Mołotowa. Problem częściowo polegał na tym, że tosewickie języki niezbyt pasowały do budowy jamy ustnej członków Rasy: dla Atvara wszyscy Tosewici mówili tak, jakby usta wypełnione mieli papką. Języki tosewickie były trudne również dlatego że były tak oszłamiająco nieregularne. Nie były przez millenia wygładzane, by osiągnąć pożądaną racjonalność. Nawet i bez takich trudności, języków tych nie dało się do końca opanować oficerom wyznaczonym do ich nauczania się. Od lądowania na Tosev 3 mieli do dyspozycji tylko transmisje radiowe, których sens zaczęli pojmować bardzo powoli, mimo użycia komputerów dedukujących statystycznie prawdopodobne znaczenie słów. Była to pierwsza przydatna rzecz, jaka dla Atvara wynikała z faktu posiadania przez Tosewitów radia. Mołotow wysłuchał powitania pana floty, po czym odpowiedział na powitanie. W przeciwieństwie do Tosewity z Niemiec miał dość rozsądku, by mówić powoli, tak, żeby nie zalać tłumacza potokiem słów. A także – również inaczej niż tamten Tosewita, nie okazał, że czuje się zbity z tropu, przebywając po raz pierwszy w życiu poza rodzimą planetą i to w stanie nieważkości. Ekran ukazywał hologram Tosev 3 w takim kształcie, w jakim było ją widać ze „127-ego cesarza Hetto”, ale Mołotow nawet na to nie spojrział. Przez szkła korekcyjne przymocowane przed płaskimi, nieruchomymi oczami spoglądał wprost na Atvara. Panu floty spodobało się to. Nie sądził, że wśród tych ogromnych barbarzyńców znajdzie kogoś mającego tak silną wolę w dążeniu do wyznaczonego celu. Mołotow zabrał głos ponownie – mówił wolno i niezbyt głośno. Tłumacz, w zakłopotaniu, zwrócił dwoje wylupiastych oczu na Atvara. Pierwsze pozdrowienia należały się panu floty, ale co Wielki Brzydał może wiedzieć o protokole?

- Mniejsza o jego maniery. Tłumacz, co powiedział.
- Tak jest dostojny panie floty. Wiaczesław Michajłowicz, jest to uprzejma forma zwracania się

do Tosewitów, którzy mówiąc po rusku używają własnego imienia i imienia ojca. Ten Tosewita domaga się natychmiastowego, bezwarunkowego wycofania wszystkich naszych sił z Ziemi i obszaru powietrznego należącego do cesarstwa SSSR.

– Och, doprawdy, doprawdy? – pan floty rozwarł szczęki w rubasznym uśmiechu.

– Przypomnij mu, że w jego położeniu nie stawia się żądań. Gdyby okupował naszą rodzimą planetę, miałby prawo naginać nas do swojej woli. Ale teraz dyskutujemy nie o naszej kapitulacji, ale o poddaniu się SSSR.

Mołotow wysłuchał tłumacza nie zmieniając wyrazu twarzy. W oczach Atvara, Tosewici, których spotkał lub widział, mieli nadzwyczaj ruchliwe rysy; skóra i muskulatura jego własnej głowy była znacznie mniej giętka. Ale ten tubylec był jakby wyrzeźbiony z kamienia. Nadal uparcie ignorując okoliczności, odparł po chwili zastanowienia:

– Nie poddamy się. Powstrzymaliśmy hitlerowców – czyli niemieckich Tosewitów, jak wyjaśnił tłumacz – kiedy przypuszczali, że złamali nasz opór. Nasz kraj jest ogromny, nasze zasoby wielkie. Nie jest łatwo nas pokonać.

– Powiedz mu, że to jego wielkie cesarstwo – Atvar wypowiedział te słowa z pogardą – stanowi niemal pyłek w porównaniu z trzema światami naszego

Cesarstwa. Mołotow znów wysłuchał, pomyślał i odpowiedział:

– Tych trzech waszych światów nie macie tutaj ze sobą, a chcecie przecież podbić nie tylko SSSR, ale cały nasz świat. Rozważ, czy nie przeceniliście swoich sił. Atvar wlepił wzrok w niewzruszonego Tosewite. Tubylec mógł być barbarzyńcą, ale nie był głupcem. Cała planeta – nawet taka jak Tosev 3, ze zbyt dużą ilością wody – była wielkim obszarem, większym, niż pan floty był w stanie objąć wyobraźnią, zanim zaczął tę kampanię. Nie spodziewał się też oporu stawianego na poziomie cywilizacji przemysłowej. Niemniej, Rasa też miała pewne mocne punkty. Powiedział to Mołotowowi bez ogródek:

– Będziemy w was uderzać według naszego upodobania, a wy pożałujecie każdego przeciwuderzenia. A kiedy wszystkie wasze fabryki zostaną zburzone, to jak przeprowadzicie kontratak? Poddajcie się teraz, a nie zniszczymy was całkowicie.

Mołotow ubrany był w niewygodne odzienie, które nosiła większość Tosewitów. Twarz miał wilgotną i lśniącą od wody wydzielanej jako metaboliczny środek chłodzący; na „127-mym cesarzu Hetto” utrzymywano temperaturę odpowiednią dla członków Rasy, ale niezbyt dostosowaną do potrzeb organizmów tubylców. Mołotow zachował jednak śmiałość.

– Mamy wiele fabryk. Mamy wielu ludzi. Wygrywaliście z nami bitwy, ale nadal daleko wam do ostatecznego zwycięstwa. Będziemy walczyć dalej. Nawet hitlerowcy zachowali resztki rozsądku i nie poddali się wam.

– Właśnie, ostatnio rozmawiałem z ministrem spraw zagranicznych cesarstwa Deutschland – powiedział Atvar.

Nie dodał jednak, że Tosewita był zbyt uparty, żeby się poddać, dopóki nie zetrze się na proszek jego cesarstwa, ale Mołotow nie powinien o tym wiedzieć. Tubylec obserwował bacznie pana floty:

– I co powiedział?

SSSR i Deutschland były w stanie wojny zanim jeszcze Rasa dotarła na Tosev 3, nie mieli powodów, żeby ufać sobie nawzajem.

– Omawialiśmy ewentualność uznania przez cesarstwo Deutschland władzy naszego cesarza – odparł Atvar.

Mówiąc o swym suwerenie opuścił na chwilę oczy. Tak samo uczynił tłumacz.

– Cesarza, powiadasz? Chcę mieć pewność, że dobrze zrozumiałem – rzekł Mołotow.

– Zatem na czele twojego... narodu stoi osoba, która panuje, ponieważ jest członkiem rodziny sprawującej władzę od wielu lat? Czy o to chodzi?

– Tak, zgadza się – powiedział Atvar, zaskoczony, że Tosewita przyjął to z takim zdumieniem.

– Któż inny mógłby rządzić cesarstwem, jeśli nie cesarz? O ile wiem, Tosewita imieniem Stalin jest cesarzem twojego SSSR.

Mołotow nie zmienił wyrazu twarzy. Mówił nadal monotonnym głosem. Ale to, co powiedział, sprawiło, że tłumacz zasyczał z wściekłości i zaskoczenia i nawet zaczął machać kikutem ogona, jakby w śmiertelnej walce. Oficer opanował się, powiedział coś w języku Mołotowa. Ten odpowiedział. Tłumacz zadrżał. Znow się opanował. Powoli odwrócił się w stronę Atvara. Zawahał się, zanim przemówił:

– Co powiedział Wielki Brzydal? – dopytywał się Atvar.

– Dostojny panie floty – wyjąkał tłumacz.

– Ta... ta tosewicka kreatura chce, żebym ci powiedział, że lud... lud SSSR... że oni stracili... zamordowali... swojego cesarza i całą jego rodzinę dwadzieścia pięć lat temu. To będzie około pięćdziesięciu naszych lat. Zamordowali swojego cesarza, a ten Stalin, ten ich przywódca, to nie jest cesarz, ale herszt bandy, która zabiła cesarza.

Atvar był dojrzałym, zdyscyplinowanym samcem, więc nie ujawnił sykiem swoich uczuć, jak tłumacz, ale szok, który przeżył wstrząsnął nim do głębi. Nieomal ponad jego możliwości było wyobrażenie sobie rządów bez cesarza. Rodzima planeta była zjednoczona od dziesiątków tysięcy lat, a nawet w tych odległych czasach przed zjednoczeniem panowali cesarze, chociaż walczyli oni ze sobą o władzę. Halless 1 było jednym cesarstwem, kiedy podbiła je Rasa; Rabotey 2 było, co prawda, podzielone, ale między konkurujące cesarstwa. Czyż można inaczej zorganizować życie istot inteligentnych? Pan floty nie był w stanie wykonypować niczego innego.

– Powinieneś wiedzieć, najeżdźco z innej planety – powiedział Mołotow – że w Niemczech też nie ma cesarza, podobnie Stany... – tłumacz musiał porozmawiać chwilę z Tosewitą, po chwili wyjaśnił.

– On ma na myśli cesarstwo – powinien powiedzieć nie-cesarstwo w północnej części małej masy lądu.

– Ci Tosewici są do cna opanowani przez szaleństwo – wybuchnął Atvar.

– Nie musisz tego tłumaczyć. Ale tak z nimi jest. Na cesarza! – samo wypowiedzenie tego słowa sprawiało ulgę.

– To musi mieć jakiś związek z wstrętym klimatem tego świata i nadmiarem wody.

– Tak, dostojny panie floty – powiedział tłumacz.

– To możliwe. Ale co mam powiedzieć tej kreaturze?

– Nie wiem

Atvar odczuwał wstręt na samą myśl o rozmowie z kimś obcym – mniejsza o to jak się nazywa – kto był wplątany w zabójstwo cesarza, zbrodnię, której istnienia nie podejrzewał aż do tej chwili. Nagle atomowe bombardowanie Tosev 3 zaczęło mu się wydawać atrakcyjne. Ale flota ma ograniczoną liczbę głowic, a sposób prowadzenia wojny przez Tosewitów sprawiał, że użycie tej broni było niepotrzebne. Nadto, powierzchnia lądów Tosev 3 była tak ograniczona, niszczenie jej części było sprzeczne z poczuciem zdrowego rozsądku.

Postarał się opanować:

– Powiedz temu Mołotowowi, że to, co on i jego bandyci zrobili przed przybyciem Rasy, nie ma dla nas znaczenia. Chyba, że odmówią poddania się i tym samym zmuszą nas, żebyśmy wzięli pod uwagę ich postępek. Jeśli zajdzie potrzeba, pomścimy ich zamordowanego cesarza.

Myśl o zamordowanym cesarzu sprawiła, że pan floty po raz pierwszy poczuł litość dla jakiegoś Tosewity. Jeśli groźba przstraszyła Mołotowa, to nie dał tego po sobie poznać; ten tubylec miał tak nieruchome oblicze, jakby należał do Rasy.

– Czy kiedy mówicie o cesarstwie, to macie na myśli dosłowne, literalne znaczenie tego słowa: cesarza, dwór i ceremoniał z przebrzmiałej przeszłości? – zapytał.

– Oczywiście, że tak – odparł Atvar.

– Cóż innego miałoby to znaczyć?

– Oświecony lud SSSR wyrzucił władzę despotów na śmietnik historii – rzekł Mołotow. Atvar roześmiał mu się prosto w jego płaską twarz:

– Rasa rozkwitała pod rządami cesarzy przez sto tysięcy lat Cóż ty wiesz o historii, skoro byliście jeszcze dzikusami, kiedy ostatnim razem oglądaliśmy tę waszą parszywą małą planetę?

Pan floty z całego serca żałował, że Tosewici nie pozostali dzikusami do tej pory.

– Rozwój historii może być powolny, ale jest nieunikniony – odparł z uporem Mołotow.

– I dla waszego ludu nieuchronnie nadejdzie dzień rewolucji. Podyktują to warunki ekonomiczne. Sądzę, że to już niedługo. Jesteście imperialistami, a imperializm to ostatnie stadium kapitalizmu, jak dowiedli Marks i Lenin.

Tłumacz miał problem z przetłumaczeniem ostatniego zdania:

– Mam kłopoty z tłumaczeniem terminów religijnych tubylców w naszym języku, dostojny panie floty. Marks i Lenin są bogami albo prorokami w SSSR.

– Przez chwilę rozmawiał z Mołotowem i dodał

– Są prorokami. Wiaczesław Michajłowicz osobiście znał tego Lenina.

– Lenin stanął na czele rewolucji, która obaliła naszego cesarza i ustanowiła rządy chłopów i robotników SSSR. Z dumą mogę powiedzieć, że pomagałem w tym zaszczytnym dziele – stwierdził Mołotow. Atvar patrzył na Tosewitę z obrzydzeniem. Zwrócił się do tłumacza:

– Przekaż temu bandycie, że nie mam mu nic więcej do powiedzenia. Jeśli on i jego szajka morderców nie poddadzą się, tym surowsza będzie kara.

Oficer powoli, z potknięciami tłumaczył szorstkie słowa na kleisty język tubylców.

Mołotow odpowiedział jednym słowem:

– Niet.

Pan floty spojrzał przelotnie jednym okiem na tłumacza, by sprawdzić, czy dobrze zrozumiał. Nie pomylił się.

– Zabrać go ze statku – sapnął Atvar.

– Żałuję, że przybył tu jako poseł. Inaczej, dostałby to, na co zasłużył.

Pomysł obrzydliwego zamordowania cesarza – nawet jeśli był to tosewicki cesarz – wywoływał w nim atawistyczną chęć ukąszenia czegoś: najchętniej Mołotowa, ale Wielki Brzydał nie wyglądał zbyt apetycznie. Drzwi gabinetu Atvara otworzyły się z sykiem. Tłumacz odepchnął się od krzesła, które trzymał za oparcie i wypłynął za próg. Za nim, niezdarnie, podążył Mołotow. Powiewało na nim błazeńskie odzienie. Ledwie wyszedł, Atvar zamknął za nim drzwi. Ostry zapach ciała Tosewity unosił się w powietrzu jak nieprzyjemne wspomnienie. Pan floty włączył odświeżacz powietrza, by się go pozbyć. Nie czekając aż powietrze się oczyści, wywołał Kirela. Na ekranie pojawiła się twarz pana statku.

– Przyjdź niezwłocznie do mojej kwatery – powiedział Atvar.

– Tak jest, dostojny panie floty

Kirel znikł z ekranu. Prawie natychmiast stanął się przed gabinetem. Atvar wpuścił go i zamknął drzwi.

– Jak potoczyły się rozmowy z Tosewitami, dostojny panie floty? – zapytał Kirel.

– Gorzej niż się spodziewałem

Atvar wyraził frustrację wydechając z sykiem powietrze.

– Ich największe cesarstwa nadal odmawiają uznania chwały naszego cesarza.

Opuścił oczy zgodnie z rytuałem. Nie powie Kirelowi, co usłyszał od Mołotowa. Jeszcze nie teraz. Ból był zbyt świeży, żeby go odnawiać.

– Zadanie jest trudniejsze, niż myśleliśmy, gdy wyruszaliśmy z rodzimej planety – rzekł Kirel.

Pan statku potrafił zachować się taktownie. Unikał wypominania Atvarowi, że proponował wysunięcie żądania kapitulacji, zanim rozpoczną się walki.

Po chwili dodał – zbyt wiele pokoleń minęło od czasu, kiedy Rasa prowadziła prawdziwą wojnę.

– Co masz na myśli?

Atvar starał się nie ujawnić nagłego przyływu podejrzeń, bo z taktem, czy bez taktu, Kirel żądny był malowideł pana floty.

– Wyszkolono nas do wykonania tej misji najlepiej jak to było możliwe.

– Zgadza się – przytaknął ponuro Kirel. Podejrzenia Atvara wzrosły.

– Ale Tosewici, poza tym, że są wyszkoleni, mają doświadczenie. Jeśli chodzi o broń przewyższamy ich, ale w podstępach na polu walki są od nas lepsi. Ciągłe zadają nam straty.

– Wiem. Są trudniejszymi przeciwnikami niż myśleliśmy początkowo, nawet po tym, jak dowiedzieliśmy się o ich anormalnym skoku technicznym. Są nie tylko podstępni, jak powiedziałeś, ale są jeszcze uparci. Miałem pewność, że załamą się, gdy zdadzą sobie sprawę z przewagi, jaką mamy nad nimi. Ale oni nadal walczą jak szaleni.

– Tak jest – powiedział Kirel.

– Może to, że wcześniej zwarli się w walce pomiędzy sobą, narzuciło im tę dyscyplinę, którą wykorzystują teraz przeciwko nam. Są uparci, dobrze wyćwiczeni i uzdolnieni. Możemy jeszcze długo zadawać im straty. Jeden nasz krążownik gąsienicowy, jeden samolot, warte są od dziesięciu do dwudziestu pięciu ich maszyn. Ale nasze zapasy są ograniczone. Jeśli nie uda się nam wzbudzić w nich w jakiś sposób, przerażenia możemy znaleźć się w trudnej sytuacji. W najzimniejszych snach widzę, jak niezgrabny krążownik tosewicki niszczony jest przez ostatni nasz pocisk, a tymczasem z fabryki wytaczają się na nas następne ich maszyny.

– To był bardzo zimny sen – zakończone pazurami ręce Atvara zadrgały, jakby rozszarpywał stojącego przed nim wroga.

– Powinieneś zostawić go w trumnie hibernacyjnej zaraz po przebudzeniu. Jak wiesz, w paru miejscach osadziliśmy nasze statki fabryczne. Jak tylko zdobędziemy surowce, będziemy w stanie zwiększyć rezerwy.

– Tak, dostojny panie floty – odparł Kirel.

Nie dodał, bo nie było potrzeby, gdyż Atvar nie mógł przecież o tym nie wiedzieć, iż fabryki te, pracując nawet na najwyższych obrotach, nie są w stanie z dziennej produkcji pokryć części strat ponoszonych w ciągu doby przez siły zbrojne Rasy. Na rodzimej planecie nikt nie przypuszczał, że armada będzie zużywała tyle sprzętu i materiałów.

Jakby chcąc odegnąć od siebie te nieprzyjemne myśli, Atvar powiedział:

– Przy całej fanfaronadzie, wysłannicy Wielkich Brzydali pokazali, że mogą jednak być skłonni do paktowania. Samiec z cesarstwa o nazwie Deutschland, pomimo torsji, wykazał pewne zrozumienie dla naszej potęgi. Nagle, przypomniał sobie, co powiedział Mołotow – że Deutschland to nie-cesarstwo. Myśl, że ich cesarz też mógł zostać zamordowany przyprawiała go o mdłości.

– Deutschland? – zapytał pan statku Kirel.

– Ciekawe. Czy mogę użyć twojego ekranu, żeby pokazać ci obraz, który wychwycił wczoraj satelita zwiadowczy?

Atvar otworzył dłonie na znak zgody. Kirel wystukał polecenia dla systemu przechowywania danych statku. Ekran ukazał zielony ląd i szarawe morze. Na skraju lądu, nie opodal grupy dużych drewnianych budynków, ukazała się ognista plamka. Ogień nagle się rozszerzył i pojaśniał, potem powoli przygasł.

– Jedno z naszych bombardowań? – zapytał Atvar.

– Nie. Pozwól, że ci pokażę jeszcze raz, tym razem w zwolnionym tempie, przy maksymalnym powiększeniu i z komputerowym przetworzeniem obrazu. Na ekranie pojawiły się szczegóły. Atvar wbił w nie wzrok. Potem popatrzył na Kirela.

– To jest rakietą – powiedział oskarżycielskim tonem, jakby to była wina pana statku. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył przed chwilą.

– Tak, dostojny panie floty – rzekł Kirel.

– To jest rakietą, a przynajmniej coś, co miało być rakietą. Wybuchła na wyrzutni, toteż nie jesteśmy w stanie niczego powiedzieć o jej zasięgu albo systemie naprowadzania, jeśli takowy posiadała. Ale sądząc z jej rozmiarów, można stwierdzić, że jest to raczej rakietą strategiczną niż taktyczną.

– Przypuszczam, że zrównaliśmy to miejsce z ziemią? – rzekł Atvar.

– Tak jest, dostojny panie floty – odparł Kirel.

Zbolały głos pana statku powiedział Atvarowi to, co sam już wiedział: nawet jeśli ta wyrzutnia przestała istnieć, nie sposób było sprawdzić, ile podobnych miejsc znajduje się w Deutschland – aż do momentu, kiedy tosewickie rakiety pomkną z rykiem ku ich statkom. A strącanie rakiet stanowiło znacznie trudniejsze zadanie niż zajmowanie się powolnymi, niezgrabnymi samolotami Tosewitów. Tymczasem, nawet samoloty wroga zadawały od czasu do czasu straty wojskom Atvara, bo Wielkie Brzydale wysyłały je bez ustanku, mimo zadawanych im strat. Miał rację Kirel, mówiąc, że odwaga i dzielność Tosewitów pozwalały im nadrobić nieco braku w technice.

– Musimy zniszczyć fabryki, w których produkuje się tę broń – powiedział Atvar.

– Dobrze, dostojny panie floty – odparł Kirel. Mówi się – tak jest, pomyślał Atvar.

Z lotu ptaka wszystkie fabryki były podobne. Zniszczenie ich było niesłychanym zadaniem. W porównaniu z rozmiarami planety, Deutschland było małym cesarstwem, ale nawet małe cesarstwa, jak zdążył przekonać się Atvar, zajmowały duże powierzchnie lądu. W innych tosewickich cesarstwach też są fabryki. Ile im brakuje do tego, żeby zacząć wytwarzać rakiety? Pan floty zrobił, co w jego mocy, żeby spojrzeć na sprawę z jaśniejszej strony:

– Ich niepowodzenie ostrzegło nas. Nie damy się wziąć przez zaskoczenie, nawet jeśli uda się im wystrzelić rakiety. – Powiedział to takim tonem, jakby miał nadzieję, że im się nie uda.

– Podjęliśmy stosowne przygotowania – rzekł Kirel.

Starał się utrzymać rzeczowy, wojskowy ton, ale w jego głosie była nutka zrozumiała dla Atvara: jeśli to jest ta jaśniejsza strona, to nie warto sobie nią zaprzętać głowy. Pociąg zatrzymał się gdzieś w stepie na południu Rosji; ludzie w mundurach feldgrau wyskoczyli z wagonów i wzięli się z zapalem do pracy. Karl Becker pomyślał, że zapal byłby większy, gdyby zezwolono im postępować jak zwykle. Ale to był rozkaz Fihrera.

– Podłoże nie będzie przygotowane tak jak trzeba, Karl – powiedział ze smutkiem Michael Arenswald.

Obaj należeli do pododdziału saperskiego batalionu ciężkiej artylerii Dora.

– To prawda – odparł Becker, potakując z rezygnacją – ale ile strzałów oddamy, zanim jaszczury nie zrzucą nam czegoś na głowę?

Znajdowali się o sześćdziesiąt kilometrów od bazy jaszczurów. Samolotem, szczególnie samolotem najeźdźców z kosmosu, tę odległość można było przebyć w mgnieniu oka. Karl Becker nie był głupi; wiedział, że bierze udział w samobójczej misji. Jeśli Arenswald też o tym wiedział, to nie ujawnił tego.

– Moglibyśmy oddać nawet ze sześć strzałów zanim zorientowaliby się, co się dzieje.

– Och, auatschl – zaklął pochodzący z Berlina Becker. Dźgnął przyjaciela palcem.

– Jesteś martwy. I ja jestem martwy. Wszyscy jesteśmy martwi, cały batalion. Jedyne pytanie, to czy zabierzemy ze sobą tyle jaszczurów, żeby nasza śmierć była coś warta.

– Wcześniej czy później, wszyscy będziemy martwi – roześmiał się Arenswald. Tak, czy inaczej zrobimy im niespodziankę zanim nas szlag trafi.

– Może nam się udać, jeśli będziemy mieli szczęście – zgodził się Becker.

– My... – przerwał i zaczął kaszleć.

W batalionie był pododdział chemiczny. Jego zadaniem było stawianie zasłony dymnej, która miała ich ukryć podczas przygotowywania akcji. Część dymu pochodziła po prostu z kubłów wypełnionych olejem napędowym. Wdychanie tego paskudztwa nie służyło płucom Beckera. Ale od tego się nie umiera; znajdują się inne przyczyny. Becker znów zakaszał, ale przestał na to zwracać uwagę. Ludzie kłębili się przy pociągu jak mrówki. Dla batalionu ciężkiej artylerii położono specjalne tory. Były to cztery szyny lekko wygięte po linii łuku. Dwie wewnętrzne oddalone były od siebie dokładnie o sześć metrów. Załogi zaczęły przysuwać specjalne dźwigi dieslowskie do następnej pary szyn, żeby pomóc w dalszym montażu.

Arenswald, patrząc na tę zapobiegliwą krzątanicę, roześmiał się znowu:

– Nie jest tak źle, biorąc pod uwagę siły.

Dym zdążył już usmolić mu twarz.

– Większość tych ludzi i tak nie jest potrzebna. Nie pobędziemy tu przecież długo.

Kiedy batalion ciężkiej artylerii Dora przybył do Rosji, towarzyszył mu oddział ubezpieczający w sile trzystu żołnierzy i policjantów z psami. Do tego dochodził liczący czterystu ludzi batalion artylerii przeciwlotniczej. Ani jedna, ani druga jednostka nie miały teraz znaczenia. Jeśli jaszczury nadejdą, niemiecka piechota nie powstrzyma ich, a batalion przeciwlotniczy nie odpędzi ich samolotów. Jedyne nadzieja, że Dora będzie w stanie coś zdziałać polegała na tym, że zanim batalion nie przystąpi do akcji, wróg jej nie zauważy. A jeśli wziąć pod uwagę, czym była Dora... Becker roześmiał się. Arenswald przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Utrzymanie Dory w tajemnicy

Becker wyjaśnił przyjacielowi – to tak, jakby zabrać słonia z klatki w berlińskim JIergarten i wyjść z nim z zoo nie zwracając uwagi dozorczy.

– Coś w tym jest – Arenswald zaczął się oganiać przed coraz gęstszym dymem.

– Ale widzisz, Karl, mamy całkiem niezłą kryjówkę.

– I bardzo dużego słonia

Becker zeskoczył z wagonu i poszedł wzdłuż dwóch środkowych szyn, tych, które miały utrzymać ciężar Dory. Szyny połączone gęstą siecią podkładów, żeby wzmocnić podłoże, ponieważ ziemia w tym miejscu była za mało kamienista. Miałoby to ogromne znaczenie, gdyby Dora została tu na dłuższy czas. Dla tych paru strzałów, które miała oddać, podłoże nie miało większego znaczenia. Następne parę dni upłynęło pod znakiem szaleńczej pracy, z drzemkami ucinanymi o najdziwniejszych porach, często pod wagonami, które miały dawać jakąś osłonę, gdyby nadleciały

samoloty jaszczurów. Podręczniki głosiły, że Dorę składa się przez tydzień. Powodowany obawą o przyszłość ojczyzny, batalion ciężkiej artylerii wykonał to w cztery i pół dnia. Dwie dalsze części łoża działa postawiono na środkowych szynach i połączono ze sobą. Spoczywały one na dwudziestu wózkach kolejowych. Chodziło o to, by ogromną masę Dory jak najbardziej rozłożyć. Becker należał do zespołu poziomującego hydraulicznie dolną część konstrukcji. Dźwigi dieslowskie postawiły belki kratownic na podstawie, potem założyły dwie górne części łoża. Na tej górnej części łoża spoczywał zespół ładujący Dorę i podpory pod zawieszenie obrotowe lufy działa. Obie części łoża były połączone tuzinem ciężkich sworzní. Becker z jednej strony, a Arenwald z drugiej sprawdzali, czy wszystkie złącza są w porządku. Kiedy się spotkali, uśmiechnęli się, wymienili rysunkami i poszli wzdłuż łoża. Tym razem każdy sprawdzał stronę przyjaciela. Montaż odbywał się szybciej, kiedy złożono już łoża. Czopy zawieszenia działa, zamek i sekcje lufy zostały osadzone na właściwych miejscach. Wreszcie Dora była zmontowana. Becker podziwiał monstrualne działo przez kłęby dymu. Łoże i armata kalibru 800 mm miały pięćdziesiąt metrów długości i jednaście wysokości. Sama lufa mierzyła trzydzieści metrów. Gdzieś wysoko, nad chmurą dymu, Becker usłyszał świst przelatującego samolotu jaszczurów. Zgarbił się i zacisnął pięści w bezsilnej złości.

– Nie, na Boga – wypowiedział tonem groźby – nie teraz, kiedy jesteśmy tak blisko celu.

Michael Arenwald poklepał go po ramieniu:

– Przelatywali nad nami już wcześniej, Karl. Wszystko będzie w porządku, zobaczysz.

Bomby nie spadły, rakiety nie wybuchły przy łożu. Dźwig podniósł z ciężarówki siedmiotonowy pocisk, powoli wsunął wielki gruby na prawie metr nabój o ponad pięciometrowej długości do zespołu ładowniczego. Pocisk nie przypominał naboju armatniego, kojarzył się z dinozaurem w artyleryjskiej reinkarnacji. Zamek zatrzaśnięto z hukiem. Cały batalion zaczął wiwatować, gdy lufa powoli się uniosła. Jej koniec wystawał teraz na pewno ponad baldachim dymu.

– To wygląda jakby stawał największy w świecie kutas – powiedział ze śmiechem Arenwald.

Lufa osiągnęła kąt nieomal czterdziestu pięciu stopni i zatrzymała się. Becker, jak wszyscy wokół, odwrócił się, zakrył uszy i otworzył usta. Nastąpił trudny do wyobrażenia wybuch. Wyszał Beckerowi całe powietrze z płuc, potrząsnął nim; oszołomiony żołnierz zachwiał się, potknął i usiadł twardo na ziemi. W głowie mu huczało. Zastanawiał się, czy będzie w stanie jeszcze cokolwiek usłyszeć przez ten ocean huku. Ale wzroku nie stracił. Zobaczył, jak leżący obok na ziemi Arenwald podnosi do góry kciuk. Technik radarowy na stojącym na ziemi transportowcu „67-my cesarz Sohrheb” wpatrywał się w ekran. Nagle zasyczał przerażony.

Automatyczny alarm zaczął zawodzić zanim Breltan zdołał wydać z siebie wrzask:

– Nadlatuje pocisk!

Ostrzegano ich, że Wielkie Brzydale coś majstrują przy rakietach, ale nie spodziewał się, że tak szybko trafi na jedną z tych zabawek. Wzniósł obydwójce oczu ku sufitowi w skrajnym zdziwieniu. Te Wielkie Brzydale były inne niż Rasa, zawsze się śpieszyły. Ich pocisk też się śpieszył, pożerał odległość dzielącą go od stojących na ziemi statków. Breltan otworzył szczęki. Tym razem był rozbawiony. A więc Tosewici odkryli, że są rakiety? Doskonale, ale nie wiedzą jeszcze, że rakiety też można zniszczyć. Ledwie to sobie pomyślał, kiedy radary ukazały wystrzelone przeciwrakiety. Miały uczynić miazgę z intruza. Breltan znów się roześmiał.

– Musisz się lepiej postarać, Wielki Brzydalu – powiedział. Rakieta jest z reguły wykonana z cienkiego, delikatnego materiału, dodatkowy ciężar zmniejszałby jej możliwości bojowe. Jeśli inna rakieta, a choćby fragment rozerwanej wybuchem głowicy uderzy w nią, zniszczy ją prawie na pewno.

Ale pocisk z Dory musiał być opancerzony, żeby wytrzymać gigantyczną siłę wyrzutu.

Przeciwrakieta wybuchła o parę metrów od niego. Odłamki odbiły się od jego mosiężnego pancerza. Inna przeciwrakieta trafiła bezpośrednio, ześlizgnęła się, wybuchła i rykoszetowała w bok. Pocisk leciał dalej. Breltan przerażony i zafascynowany patrzył w ekran radaru.

– To niemożliwe – powiedział.

Ale to było możliwe. Tosewicki pocisk odbijał wszystko, co Rasa przeciw niemu rzucała i parł naprzód; leciał wprost na Breltana. Cesarzu zbaw mnie – wyszeptał i zanurkował pod krzesło przyjmując wyuczoną pozycję obronną wobec ataku z powietrza. Pocisk uderzył w odległości dziesięciu metrów przed „67-ym cesarzem Sohrheb”. Niósł prawie tonę materiałów wybuchowych. Skorupa pocisku w ciągu mikrosekundy zamieniła się w chmurę ostrych jak nóż, rozgrzanych do czerwoności odłamków o różnych kształtach i rozmiarach. Jak wszystkie statki kosmiczne floty inwazyjnej, „67-my cesarz Sohrheb” zasilany był energią ze stosu atomowego i jak większość statków, które wylądowały na Tosev 3, używał sporej części tej energii do elektrolizy wody, w celu uzyskania tlenu i wodoru. Oba te gazy stanowiły napęd samolotów i pojazdów Rasy. Wybuch sięgnął nieba. Po Breltanie i jego krześle nie został nawet ślad. Kula ognia była widoczna nawet z odległości sześćdziesięciu kilometrów. Kiedy wybuch rozświetlił północny horyzont, żołnierze batalionu ciężkiej artylerii Dora zaczęli krzyczeć z radości. Karl Becker słyszał ich, mimo że jeszcze był ogłuszony.

– Trafiony! Trafiony! Trafiony! – krzyczał i tańczył niezgrabnie z Michaeliem Arenwaldem.

– To był dopiero orgazm! – ryknął Arenwald. Brygadier dowodzący batalionem wspiął się na ogromne łoże z megafonem w ręku.

– Do działa! – ryknął do rozdokazywanej załogi.

– Uderzymy jeszcze raz, zanim nas dostaną.

Nic nie mogłoby bardziej podziałać, żeby batalion rzucił się do roboty na pełnych obrotach. W przeciwieństwie do działa czołgowego, Dora nie mogła się obracać w poziomie. Lokomotywa przyczepiona z przodu łoża przesuwała się o kilka metrów do przodu, ciągnąc ważące niemal tysiąc pięćset ton działo po zakrzywionych torach na następne stanowisko ogniowe. Zatrzymano maszynę dokładnie w miejscu, gdzie na szynach wymalowany był znak. Jednocześnie Becker podbiegł, żeby się upewnić, czy łoże nie pochyliło się do przodu po ostatnim strzale i przesunięciu. Bąbelki powietrza w poziomnicach zamontowanych na czterech rogach łoża nie poruszyły się nawet o milimetr.

– Zrobić miejsce, tam w dole! – krzyknął operator dźwigu.

Ludzie rozproszyli się. Łuska spadła z łoskotem na ziemię przy łożu. Nie było to zgodne z instrukcją obsługi, ale szybsze. Dźwig przesunął się, żeby podnieść nowy pocisk. Karl Becker popatrzył na zegarek. Dwadzieścia dziewięć minut po oddaniu pierwszego strzału Dora przemówiła ponownie. Krefak czuł żar promieniujący z płonącego „67-ego cesarza Sohrheb”, chociaż jego bateria rakiet stała dosyć daleko od nieszczęsnego statku. Był z tego powodu bardzo zadowolony; podmuch wybuchu zniszczył kilka baterii stojących bliżej. Krefak widział też wściekłość swego dowódcy, któremu nie udało się zestrzelić pocisku Wielkich Brzydali. Wszystko zrobił jak trzeba. Jego bateria przynajmniej dwukrotnie trafiła. Dowodzą tego taśmy zapisu radarowego. Ale co powiedzieć teraz, gdy z dumnego statku kosmicznego zostały tylko dymiące zgliszcza? Jeden z samców przy ekranie radarowym wydał syk przerażenia.

– Te żyworodne kreatury wystrzeliły jeszcze jeden! – krzyknął.

Krefak otworzył usta, zaskoczony. Jednej takiej katastrofy było aż nadto... Nie mógł sobie wyobrazić drugiej. Skrzekliwym głosem rozkazał:

– Zestrzelić!

Ryk wyrzutni powiedział mu, że komputery nie czekały na jego rozkaz. Podbiegł do ekranu i patrzył na lot raket. Tak jak poprzednio trafiły prosto w cel, wybuchły... i na tym koniec. Pocisk Tosewitów leciał dalej, po tym samym torze. Nie zbaczając z kursu zbliżał się nieubłaganie. Przed ekranem, który rejestrował lot pocisku, znajdował się drugi oficer, oceniający, w jaki obiekt pocisk uderzy.

– Och, niemożliwe – powiedział łagodnie.

– Na cesarzy, wystrzelić więcej przeciwraket.

– Bateria wystrzeliła wszystko, co było na wyrzutniach, panie – odpowiedział bezsilnie samiec.

– Uzupełnienia są w drodze. Potem przyjrzał się, dokąd zmierza pocisk Tosewitów.

– Leci na „56-ego cesarza Jossano” – jego szypułki oczne zadrżały ze strachu, kiedy spojrzął na Krefaka.

– Tak, a oni mają na pokładzie większą część naszej broni jądrowej. Niech piekło pochłonie kolonizowanie tej śmierdzącej planety; powinniśmy ją wysterylizować, żeby pozbyć się Tosewitów raz na zawsze. Powinniśmy...

Jego głos zginął wśród huku eksplodującego pocisku i w znacznie większym ryku wybuchu, który nastąpił ułamek sekundy później. „56-ty cesarz Jossano” wyleciał w powietrze w taki sam sposób jak „67-my cesarz Sohrheb”. Broń jądrowa zgromadzona była w samym sercu statku, w silnie opancerzonej komorze. Ale to jej nie uratowało. Kiedy statek wybuchł i ogarnął go ogień, zapalniki bomb jądrowych zaczęły eksplodować jak amunicja w płonącym czołgu. Same bomby nie wybuchły, bo urządzenia zapłonowe nie zadziałały w odpowiedniej kolejności i z odpowiednią siłą. Ale korpusy bomb uległy zniszczeniu; odłamki plutonu pokryły znaczny obszar tosewickiego stepu. Byłyby to prawdopodobnie najbardziej wartościowe kawałki metalu na powierzchni Ziemi, gdyby ktokolwiek z ludzi wiedział, gdzie ich szukać i jaki z nich uczynić użytek. Na razie nie wiedział o tym żaden człowiek. Załoga Dory znów zaczęła krzyczeć. Nie tracili jednak czasu na taniec zwycięstwa na tle rozjaśnionego wybuchami horyzontu, lecz natychmiast wzięli się do ponownego ładowania osiemsetmilimetrowego działa.

– Sześć! Mówię ci, że będzie sześć! – Michael Arenswald ryczał do ucha Beckera.

– Dwa razy mieliśmy szczęście – powiedział Becker.

– To więcej niż się spodziewałem. Może uda nam się jeszcze raz. Do trzech razy sztuka, powiadają.

O sekundę za długo wydawało mu się, że ryk, który słyszy w górze rozlega się w jego głowie jako następstwo drugiego strzału z działa-potwora. Lokomotywa właśnie przeciągnęła Dorę na następne stanowisko ogniowe oznaczone farbą na torach. Becker podbiegł do łoża, żeby jeszcze raz sprawdzić poziomnice. Pierwszy wybuch bomby, parę metrów za nim, rzucił go twarzą o metalową ścianę. Poczł jak łamią mu się kości: nos, policzek, kilka żeber, biodro. Otworzył usta, żeby krzyknąć. Wybuchła następna bomba, ta upadła jeszcze bliżej. Mieszkanie Jensa Larssena położone było o kilka przecznic na zachód od Zjednoczonych Stocznii. Sąsiedztwo nie było najlepsze, ale zdziwiło go, jak niski jest tu czynsz. Kiedy je wynajmował niez mordowany chicagowski wiatr wiał wówczas z zachodu. Kilka dni później powiał znad jeziora Michigan i wtedy zrozumiał. Było już jednak za późno, ponieważ podpisał umowę najmu. Wiatr wiał od jeziora również w dniu, kiedy do miasta przybyła jego żona, Barbara. Nadal pamiętał, jak szeroko otworzyła oczy i pociągnęła nosem.

Odór skwitowała uniesieniem jednej brwi i trzema słowami:

– Smród wystraszonej krowy.

Tej nocy wiatr wiał od jeziora, ale Larssen prawie nie czuł odoru nawozu. Człł zapach własnego strachu. I strachu Barbary. Samoloty jaszczurów znów pojawiły się nad Chicago. Słuchał

kiedyś Edwarda R. Murrowa w przerywanej trzaskami audycji z Anglii na falach krótkich. Zapamiętał ten głęboki, szorstki głos i słowa spikera: „Tu mówi Londyn”. Magia audycji sprawiła, że był w stanie wyobrazić sobie, co to znaczy być londyńczykiem podczas nalotów. Teraz wiedział to jeszcze lepiej. Przeleciało z rykiem więcej samolotów; upadły następne bomby. Niektóre z nich, sądząc po odgłosie wylatujących szyb z okien, wybuchły niedaleko. Przywarli do siebie pod kuchennym stołem. W Chicago nie było schronów.

– Znowu trafili w stocznię – powiedziała mu do ucha. Pokiwał głową:

– Bombardują tam, gdzie są tory.

Jaszczury były niesłychanie metodyczne w niszczeniu węzłów kolejowych takich jak Chicago. Miasto było także położone niedaleko lądowisk, które najeźdźcy założyli w Illinois, Missouri i Kentucky. Te dwie przyczyny powodowały, że miasto przeżywało ciężkie bombardowania. W sypialni paliło się kilka świec. Ich światło nie przenikało przez koce przypięte do ram okiennych w charakterze zaciemnienia. Może koce przepuszczałyby światło elektryczne, ale w ciągu ostatnich kilku dni prądu i tak najczęściej nie było. Larssen po raz pierwszy cieszył się z posiadania staromodnej skrzynki z lodem, a nie nowoczesnej lodówki elektrycznej. Dopóki handlarz lodu przychodził regularnie – to znaczy dopóki ciągle miał lód, jego żywność się nie zepsuje. Działa przeciwlotnicze, bardzo nieliczne i żałośnie nieskuteczne, dodały do kakofonii dźwięków swoje warknięcia. Szrapnele spadały na dachy jak gorący metalowy grad. Zawodziły syreny alarmów przeciwlotniczych. Po jakimś czasie Larssen stwierdził, że nie słyszy już samolotów jaszczurów, chociaż nadal trwały fajerwerki artylerii przeciwlotniczej.

– Myślę, że już po wszystkim – powiedział.

– Tym razem – odszepnęła Barbara.

Czuł, jak drży w jego ramionach. On sam też był nieźle wystraszony. Syreny umilkły jedna po drugiej.

– Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam – mówiła do niego żona. Jej głos wibrował od ukrytego napięcia.

– Anglicy do tego przywykli – powiedział, przypominając sobie znowu Murrowa.

– Bóg wie jak – stwierdziła.

– Ja nie przywykłam.

Przycisnęła go jeszcze mocniej, niż wtedy, gdy padały bomby. Jako rozumny młody człowiek właśnie otworzył usta, żeby jej wytłumaczyć, że Londyn był gorzej doświadczany, naloty trwały tam dłużej, i że – przynajmniej jak na razie – jaszczury bombardują bardziej wybiórczo niż hitlerowcy, nie niszcząc obiektów cywilnych. Ale jej sprężyste ciało przywiodło mu na myśl co innego. Zamiast więc wdawać się w racjonalne tłumaczenia, pocałował ją. Trafił na otwarte usta, jęknęła cicho. Gorącą dłonią przycisnęła jego włosy. Przetoczył się na wierzch. Uważał przy tym, żeby nie uderzyć głową o blat stołu. Kiedy przerwali pocałunek, wyszeptał:

– Czy pójdziemy do sypialni? – Nie – odpowiedziała. Był zaskoczony. Wtedy zachichotała.

– Zróbmy to tutaj, na podłodze. To mi przypomina czasy, gdy robiliśmy to na tylnym siedzeniu twojego chevroleta.

– Dobrze – powiedział.

W podnieceniu było mu obojętne, gdzie to robią. Uniósł ciało.

– Podnieś się trochę.

Kiedy przesunęła się, odpiął guziki na plecach jej bluzki i rozpiął jedną ręką stanik. Nie próbował tego od czasu, gdy byli małżeństwem, ale łatwość, z jaką mu się to udało, wskazywała, że ręka nie wyszła z wprawy, od czasu gdy robili to na tylnym siedzeniu chevroleta. Odrzucił bluzkę i

stanik na bok.

– Podnieś się jeszcze – powiedział.

Powoli ściągał rajstopy z nóg Barbary. Zadarł jej spódnicę zamiast ją zdjąć. Roześmiali się oboje. Całowała go długo i powoli. Jego ręce błądziły po całym jej ciele. Potem rozpięła mu pasek, odpięła guziki przy spodniach i zamek błyskawiczny. Opuścił spodnie tyle, ile było potrzeba. Oboje się przy tym śmiali. Ciągłe się śmiejąc wszedł w nią. Cała groza świata została na chwilę poza nimi.

– Powiniennem zdjąć koszulę – powiedział, kiedy już skończyli.

– Teraz przesiąknęła potem.

– A co powiesz o mnie?

Barbara oparła obie ręce na jego piersi jakby chciała go odepchnąć. Podniósł się na czworakach. Tym razem stuknął głową o blat kuchennego stołu. Zaklął, najpierw po angielsku, a potem po norwesku. Tego języka nauczył się trochę od swojego dziadka. Barbara – jej panięskie nazwisko brzmiało Baker – miała kilku praprapradziadków, którzy walczyli w rewolucji amerykańskiej, zawsze uważała, że język norweski to najśmieszniejszy język w świecie.

– Nie masz prawa się śmiać, dziewczyno – powiedział i połaskotał ją po obnażonych żebrach.

Linoleum zaczęło pisać, kiedy usiłowała mu się wywinąć. Znowu wybuchnął śmiechem, złapał ją. Mogliby zrobić to jeszcze raz, ale zadzwonił telefon. Larssen uniósł się zaskoczony – nie sądził, że telefon jest czynny – i jeszcze raz uderzył się w głowę. Tym razem zaczął przeklinać po norwesku. Z opuszczonymi spodniami płaczącymi mu się przy kostkach pokuśtykał do sypialni.

– Halo? – burknął, wściekły, jakby to była wina dzwoniącego, że nabił sobie guza.

– To ty, Jens? Czy nic ci się nie stało? Co z Barbarą?

Głos, który odezwał się po drugiej stronie linii, podzielał na niego jak zimny prysznic.

– W porządku, doktorze Fermi – powiedział i pośpiesznie zaczął podciągać spodnie.

Oczywiście, Fermi nie mógł go widzieć, ale Larssen czuł się skrępowany. Nie chciał rozmawiać z wybitnym włoskim fizykiem mając opuszczone spodnie.

– Jesteśmy bezpieczni. Dziękuję.

– Bezpieczni? – powtórzył Fermi z gorzką ironią.

– To słowo nie ma w dzisiejszym świecie żadnego znaczenia. Sądziłem, że jest pełne treści, kiedy z Laurą przybyłem tutaj cztery lata temu, ale myliłem się. Mniejsza o to. Powód, dla którego dzwonię, jest następujący: Szilard mówi – i ma rację – że musimy spotkać się wszyscy jutro rano. O siódmej. Powiedziałyby o szóstej, gdyby mógł.

– Przyjdę – obiecał Larssen.

– Co się stało?

– Chodzi o jaszczury. Ruszyły na Chicago. Wydawało się, jakby te słowa zawisły w powietrzu.

– Ależ one nie mogą – powiedział Jens, chociaż wiedział doskonale, że mogą. Co u diabła zrobić, żeby je zatrzymać?

Fermi rozumiał, co Larssen miał na myśli.

– Masz rację – nie można im pozwolić. Jeśli tu nadejdą, to wszystko, co osiągnęliśmy jest stracone. Ogromna strata czasu; czasu, którego nie możemy marnować w walce z Niemcami, a tym bardziej – z jaszczurami.

– Niemcy – głos Larssena pozbawiony był wyrazu.

Ulżyłoby mu, gdyby okazało się, że bomba atomowa zdetonowana nad Chicago nie miała na korpusie wymalowanej swastyki. Nadal jednak nie miał pojęcia, jak daleko hitlerowcy posunęli się w swoich badaniach nad bombą atomową. Byłaby to piekielna historia, gdyby los ludzkości w walce z jaszczurami uzależniony był od broni, którą posiadają naziści. Zastanawiał się, co by wolał: żeby

Ziemię podbiły jaszczury, czy żeby Hitler okazał się zbawicielem. Fermi chrząknął. To spowodowało Larssena na ziemię.

– Przyjdę – powtórzył.

– Dobrze – odparł Fermi.

– Muszę dodzwonić się do innych, póki telefony działają. Zobaczymy się jutro rano.

Odłożył słuchawkę bez pożegnania. Larssen usiadł na łóżku i zaczął intensywnie myśleć. Spodnie znów ześlizgnęły mu się do kostek. Nawet nie zauważył. Barbara weszła do sypialni. Oświetlała sobie drogę świecą. Za oknami słychać było syreny wozów strażackich. Ich załogi tłumiły pożary wzniecone przez bombardowanie.

– Co się stało? – zapytała. Wrzuciła bluzkę i bieliznę do kosza na brudne rzeczy.

– Jutro duża narada – odpowiedział i powtórzył ponurą nowinę, którą przekazał mu Fermi.

– To niedobrze – stwierdziła.

Nie wiedziała, czym Larssen zajmuje się w Stagg Field; ona sama studiowała średniowieczną literaturę angielską, kiedy spotkali się w Berkeley. Ale zdawała sobie sprawę, że jest to ważny projekt.

– Jak ich powstrzymamy? – zapytała.

– Jeżeli odpowiesz na to pytanie, wygrasz sześćdziesiąt cztery dolary. Uśmiechnęła się, postawiła srebrny świecznik na komodzie; był to prezent ślubny, Larssen nie sądził, że kiedyś go użyją. Zdjęła spódnicę i wrzuciła ją też do brudów. Spojrzała na niego.

– Nadal nie podciągnąłeś spodni.

– Rzeczywiście – powiedział i dodał nieprzekonująco – musiały znowu opaść.

– To jak, czy mam założyć teraz koszulę nocną?

Zastanowił się. Spotkanie było wyznaczone na wczesną godzinę, ale jeśli napije się kawy, da sobie z tym radę... a Barbara, obnażona, w świetle świecy, sprawiała, że chciał zapomnieć o dniu jutrzejszym.

– Nie – powiedział.

– Dobrze. Tym razem zdejmij koszulę.

Następnego ranka, gdy Larssen zmierzał do Uniwersytetu Chicagowskiego, nic nie kursowało. Ani autobusy, ani tramwaje. Nic. Tylko gdzieś tam przemykały się ostrożnie nieliczne samochody. Było ich bardzo mało, ponieważ brakowało benzyny, a drogi były zatarasowane przez rumowiska. Uzbrojony w karabin strażnik w płaskim brytyjskim hełmie i z opaską Obrony Cywilnej skinął przechodzącemu obok niego Jensowi. Strażnicy rozplenili się jak chwasty po suszy w pełnych paniki tygodniach, które nastąpiły po Pearl Harbor, potem zniknęli niemal równie szybko, bo ich służba okazała się niepotrzebna. Ale w tych dniach byli naprawdę potrzebni. Ten wyglądał, jakby nie spał od miesiąca. Policzki miał pokryte siwawym zarostem; niedopałek papierosa zwisał mu z kącika ust. Ale, jak wszyscy, robił dobrą minę do złej gry. Po godzinie żwawego marszu Larssen dotarł na uniwersytecki kampus. Pomyślał, że warto byłoby mieć rower. Im wcześniej tym lepiej, zanim wszyscy wpadną na ten pomysł i ceny skoczą pod niebo. Nie musiałby spędzać dwóch godzin w drodze do pracy i z powrotem. Eckart Hali stał w południowo-wschodnim narożniku Quadrangle. Był to nowy budynek, otwarty w 1930 roku. Nowy, ale brakowało mu klimatyzacji; okna sal były otwarte, żeby świeższe, lecz gorące parne powietrze z dworu mogło wyprzeć zastale, gorące parne powietrze z pomieszczeń. W związku z wczesną godziną, ktoś postawił garnek z kawą i tacę ze słodkimi bułkami na stole pod oknem. Larssen podszedł prosto do stołu, nalał sobie gorącej czarnej kawy do papierowego kubka, przełknął ją, chwycił bułkę i nalał sobie drugi kubek. Kofeina zaczęła działać, więc drugą porcję pił już wolniej. Niosąc kawę i słodkie bułki, zastanawiał się, jak długo takie

rzeczy będą jeszcze dostępne w Chicago. Kawa była, rzecz jasna, importowana, podobnie jak niektóre składniki bułeczek, choćby cynamon. Jak długo handel wytrzyma, nawet na wojennym poziomie, skoro jaszczurze bazy rozrastają się na powierzchni Stanów Zjednoczonych jak złośliwy nowotwór. Skinął głową Enrico Fermiemu, który jako jeden z nielicznych przyszedł przed nim na spotkanie. Włoski fizyk wycierał sobie usta papierową serwetką.

– Cieszymy się życiem, póki możemy – powiedział jeden z obecnych i zaczął dyskusję.

Fermi pokiwał głową. Cofnięta linia włosów i owalna głowa czyniły z niego jajogłowego w dosłownym sensie tego słowa. Sprawiały też, że wyglądał na starszego niż był. Miał czterdzieści jeden lat. Uśmiechał się teraz smutno.

– Mój świat już raz przewrócił się do góry nogami. Drugi raz już tak bardzo nie boli. I wątpię, czy jaszczury są tak bardzo zainteresowane wyznaniem mojej żony.

Jensa, wychowanego w luteranizmie, w kraju, gdzie nie znano przesądów religijnych, nigdy nie obchodziło cudze wyznanie. Ale Laura Fermi była Żydówką w faszystowskich Włoszech. Włosi nie zwariowali na tym tle tak jak Niemcy, ale na tyle wystarczająco uprzykrzali Fermim życie, że skłonili ich do emigracji.

– Zastanawiam się, jak daleko w badaniach nad bombą posunęłyby się kraje Osi, gdyby Hitler miał na tyle rozsądku żeby zostawić w spokoju kilku najlepszych fizyków – powiedział Larssen.

– Nie jestem homo politicus w żadnym calu, ale zawsze mi się wydawało, że faszyzm i rozsądek nie mają ze sobą nic wspólnego – odparł Fermi.

Podniósł głos na powitanie nowo przybyłego.

– Prawda, Leo? Leo Szilard był niski, grubawy i nosił marynarkę z wy-watowanymi ramionami, podkreślającą jego przysadzistą sylwetkę.

– Co mówiłeś, Enrico? – zapytał. Fermi powtórzył. Szilard wykrzywił w zamyśleniu swoją szeroką mięsistą twarz.

– Autorytaryzm w żadnej formie nie służy nauce, jak mniemam, bo jego postulaty nie są racjonalne. Dotyczy to, oczywiście, nazistów. Ale każdy, kto sądzi, że rząd amerykański – a więc i jego projekty, a w tym nasze tak zwane Laboratorium Metalurgiczne – nie podlegają tym niemądrym uprzedzeniom, sam jest idiotą.

Larssen energicznie pokiwał głową na takie dictum. Gdyby Waszyngton naprawdę wierzył w to, co robi Laboratorium Metalurgiczne, to od dnia, kiedy Einstein po raz pierwszy postawił hipotezę, że możliwe jest wybuchowe uwolnienie energii atomowej, dalby na badania trzy razy więcej pieniędzy i poparcia. Potakiwanie pomogło też Jensowi zachować poważny wyraz twarzy. Szilard był inteligentny i kulturalny i wyrażał się jak przystało na człowieka posiadającego obie te zalety. Ale akcent węgierskiego naukowca nieodmiennie przywodził Larssenowi na myśl „Drakulę” Beli Lugosiego. Zastanawiał się, czy Szilard widział ten film, ale brakowało mu odwagi, żeby zapytać. Pojedynczo i parami zaczęli się schodzić ludzie. Szilard co kilka minut patrzył na zegarek, jakby bombardowanie przez stwory z innej planety nie było wystarczającym usprawiedliwieniem spóźnienia na ważne zebranie. Wreszcie, dwadzieścia pięć po siódmej, stwierdził, że nie można dłużej czekać.

– Staaliśmy dziś wobec pewnego problemu – powiedział głośno.

– Co powinniśmy zrobić w świetle faktu, że jaszczury ruszyły na Chicago? Czy powinniśmy zaprzestać prowadzenia badań tutaj i poszukać sobie jakiegoś nowego, bezpieczniejszego miejsca, by je kontynuować, akceptując przy tym stratę czasu, energii i prawdopodobnie materiału? Czy też należałoby wpłynąć na rząd, żeby ze względu na nas bronił tego miasta ze wszystkich sił, zdając sobie przy tym sprawę, że wojsko może ulec jaszczurom, tak jak w wielu innych miejscach?

Panowie, rozpoczynam dyskusję. Pierwszy zabrał głos Gerald Sebring

– Bóg wie, jak bardzo potrzebny mi jest pretekst, żeby wydostać się z Chicago...

Przerwał mu wybuch śmiechu. Sebring planował na czerwiec powrót do Berkeley, by przeprowadzić pewne badania, a przy okazji, poślubić sekretarkę innego fizyka. Przybycie jaszczurów zmieniło jego plany, jak i plany wielu innych ludzi, jak na przykład Laury Fermi, która wciąż przebywała w Nowym Jorku. Sebring poczekał, aż chichoty ucichną i mówił dalej.

– Niemniej to, co robimy tutaj, wkrótce zapewne wyda owoce. Stracilibyśmy rok, może więcej, gdybyśmy teraz przzerwali. Myślę, że nie możemy sobie na to pozwolić. Nie sądzę, żeby Ziemia mogła sobie na to pozwolić.

Kilku obecnych pokiwało głowami. Larssen podniósł rękę. Leo Szilard zauważył to i wskazał w jego kierunku grubym palcem.

– Uderza mnie, że nie przedstawiono właściwej alternatywy – powiedział.

– Możemy przecież kontynuować wiele prac tutaj, a zarazem przygotowywać się do szybkiego odwrotu, jeśli to będzie potrzebne.

– Stwierdził, że trudno mu było dodać: jeśli jaszczury zajmą Chicago.

– To ma sens i jest praktyczne dla niektórych naszych projektów – zgodził się Szilard.

– Na przykład, chemiczne ekstrahowanie plutonu, chociaż wymaga największego spokoju, może być prowadzone gdziekolwiek. Między innymi dlatego, że mamy bardzo niewiele plutonu. Jednak inne kierunki badań, a wśród nich stos, który pomagasz budować...

– Rozbieranie go teraz byłoby najgorszym pomysłem, tym bardziej, gdyby okazało się niepotrzebne – powiedział Fermi. Współczynnik k powinien wynosić już nieco powyżej jedności, być może doszedł do 1,04. Byłoby bardzo źle, gdybyśmy przerywali pracę teraz, kiedy jesteśmy na granicy uzyskania zawieszanej reakcji łańcuchowej.

Jego szerokie, ruchliwe usta wykrzywiły się, by podkreślić jak bardzo by to było źle.

– Poza tym – odezwał się Sebring – gdzie do diabła, będziemy bezpieczni od jaszczurów?

Sebring nie był przystojnym mężczyzną. Poza tym miał pociągłą twarz, szerokie brwi i końskie zęby. Przemawiał zazwyczaj z siłą i przekonaniem.

– Czy jesteśmy zatem zgodni co do tego, żeby, jak powiedział Jens, podjąć wszelkie środki ostrożności i pozostać przy tym w Chicago, dopóki to będzie możliwe? – zapytał Szilard.

Nikt się nie odezwał. Szilard cmoknął. Mówił dalej ze złością.

– Nie jesteśmy dyktatorami. Ktokolwiek sądzi, że mądrzej byłoby odejść stąd, niech powie, dlaczego tak sądzi. Przekonajcie nas jeśli potraficie. Gdyby się okazało, że macie rację, wyświadczylibyście nam wielką przysługę.

Arthur Compton, który kierował Laboratorium Metalurgicznym, zabrał głos:

– Myślę, że Sebring wyłożył to najlepiej, Leo: dokądkolwiek się udamy, jaszczury pójda za nami.

Znów nie było sprzeciwu. Nie dlatego że Compton był kierownikiem; również nie ze względu na jego wspaniałą sylwetkę – był wysoki, szczupły i przystojny, przypominał aktora, a nie laureata Nagrody Nobla, którym w istocie był. Utalentowana załoga była zbyt niezależna, by pójść za szefem, tylko dlatego że nim jest. Po prostu wszyscy doszli do tego samego wniosku. Szilard dostrzegł to.

– Skoro zostało postanowione, że Chicago musi być utrzymane – powiedział – to należy teraz przekonać armię, jak ważne jest to zadanie.

– Tak czy inaczej będą walczyć o utrzymanie Chicago – stwierdził Compton.

– Od tego zależą losy Stanów Zjednoczonych. Wiedzą o tym.

– Sprawa jest znacznie poważniejsza – rzekł spokojnie Fermi. W związku z tym, co tu robimy,

od utrzymania Chicago zależą losy świata. Armia o tym nie wie. Musimy kogoś wysłać, żeby im to uświadomił.

– Musimy wysłać dwie osoby – stwierdził Szilard i w tym momencie Larssen upewnił się, że obaj z Fermim uzgodnili tę strategię jeszcze przed zebraniem.

– Musimy je wysłać oddzielnie, na wypadek, gdyby którejs z nich przydarzyło się po drodze nieszczęście. Ta wojna dotarła do nas i jest to całkiem możliwe.

Teraz, oczywiście, zabrał głos Fermi, jakby wypowiadał następną linię dialogu z greckiej tragedii:

– Musimy wysłać rodowitego Amerykanina; oficerowie wysłuchają go z większą uwagą niż cudzoziemca pochodzącego z wrogiego państwa, jakiegoś obcego, któremu nie można w pełni zaufać nawet obecnie, kiedy przybyli prawdziwi obcy – jaszczury.

Larssen potakiwał przytłoczony logiką Fermiego, choć zasmucała go rzeczywistość, którą usłyszał w wypowiedzi Włocha. Nagle Gerald Sebring podniósł rękę i powiedział

– Ja pojadę.

– Ja też – Larssen usłyszał własny głos.

Zamrugnął zaskoczony; nie wiedział, że ma zamiar zgłosić się na ochotnika, dopóki nie wypowiedział tych słów. Ale wypowiedź miała sens.

– Walt Zinn mógłby trzymać w cuglach tę bandę chuliganów, która buduje stos.

Zinn przytaknął:

– Dopóki uda mi się nie dopuścić, żeby poszli do pudła, dam sobie radę.

– Jego akcent zdradzał kanadyjskie pochodzenie.

– A więc ustaliliśmy.

Szilard zatarł ręce z radości. Fermi też wyglądał na zadowolonego.

– Wybierzcie się jak najszybciej – mówił Szilard. Jeden z was pojedzie samochodem. Larssen, to będziesz ty. Gerald, myślę, że powinieneś wybrać się pociągiem. Mam nadzieję, że obaj dotrzecie do Waszyngtonu cali i zdrowi. Mam też nadzieję, że Waszyngton nadal będzie w rękach ludzi, kiedy tam dotrzecie.

Ostatnie słowa nieprzyjemnie zmroziły Larssena. Nie wyobrażał sobie jaszczurów maszerujących Pennsylvania Avenue obok Białego Domu. Ale skoro mogły ruszyć na Chicago, mogą równie dobrze zaatakować Waszyngton. Zastanawiał się czy najeźdźcy z innej planety wiedzieli, że to stolica Stanów Zjednoczonych. Patrząc na zadowolony z siebie wyraz twarzy Szilarda, zrozumiał, że Węgier osiągnął dokładnie to, czego chciał. Przy całym swoim oddaniu dla demokracji, Szilard manipulował zebraniem jak chicagowski mąż zaufania komisji wyborczej. Larssen zachichotał. No cóż, jeśli to nie jest demokracja, to czym ona jest? Na to pytanie w Chicago lepiej nie odpowiadać. Chichot zamienił się w rozbawienie, które Larssenowi szczęśliwie udało się opanować. Jeśli trochę poprzestawiać litery w nazwisku doktora Szilarda... Larssen zastanawiał się, czy Szilard sam to zauważył i jak jest po węgiersku jaszczur.

– Mogę zameldować, że jedna zagadka została rozwiązana, dostojny panie floty – powiedział Kirel.

– To miła nowina – burknął Atvar. Im dłużej zmagął się z Tosev 3, tym stawał się drażliwszy.

Ale nie mógł sobie pozwolić na denerwowanie Kirela. Wszyscy kłaniają się cesarzowi. To prawda, ale też wszyscy poniżej najwyższej godności konkurują ze sobą. Intrygi oficerów były rzeczą powszechnie znaną. Więc Atvar złagodził swój głos.

– Jakich nowych rzeczy dowiedziałeś się zatem od Wielkich Brzydali?

– Nasi technicy odkryli, dlaczego podczas wstępnego bombardowania, stratosferyczne wybuchy

atomowe nie zniszczyły ich systemu łączności.

Kirel skinął na jednego z tych techników, który wpłynął do gabinetu pana statku ze zdobytym aparatem radiowym Tosewitów. Atvar otworzył szczęki w szyderczym śmiechu:

– Wielkie, brzydkie i niezgrabne, jak sami Tosewici.

– Prawdę mówisz, dostojny panie floty – powiedział technik.

– Niezgrabne i prymitywne. Nie ma tu nawet elementów elektroniki ciała stałego, jak w naszych urządzeniach przez prawie cały okres spisanej historii. Tosewici używają niekształtnych, prymitywnych tub próżniowych.

Technik zdjął tylną ściankę odbiornika, żeby pokazać części, które miał na myśli:

– Jak widać, zajmują dużo miejsca, a ilość niepotrzebnego ciepła, które wytwarzają, jest zatrważająca. Są nad wyraz niewydajne. Ale właśnie dlatego, że są takie wielkie i takie... nieporadne, jeśli wolno mi będzie użyć tego nieprecyzyjnego słowa, są znacznie mniej podatne na pulsację elektromagnetyczną niż nie ekranowane obwody scalone.

– Dziękuję, techniku drugiej rangi – powiedział Atvar.

– Twoje dane są cenne. Ku chwale cesarza. Technik opuścił oczy na znak szacunku dla suwerena, zabrał radioodbiornik, odepchnął się i wypłynął z gabinetu.

– Jak widzisz, dostojny panie floty, tosewicki system łączności zachował swoją użyteczność tylko dlatego że jest taki prymitywny – powiedział Kirel.

– Ich radia są prymitywne, a w rezultacie okazuje się to korzystne. Nie wiedzą jeszcze jak wytwarzać przyzwoite rakiety, więc wystrzelują przerośnięte naboje armatnie, a w rezultacie zyskują na tym. Teraz próbują zbudować prawdziwe rakiety. Kiedy to się skończy, panie statku?

– Jak zwyciężymy – odparł zdecydowanie Kirel.

Atvar popatrzył na niego z wdzięcznością. Być może jedynym powodem, dla którego Kirel zachowywał się tak lojalnie było to, że nie chciał obejmować komendy, gdy zanosilo się na kłopoty zamiast chwały. W tej chwili Atvara to nie obchodziło. Sam fakt, że jest ktoś, komu można się wyżalić przynosił ulgę. Więc żalił się:

– Kiedy Tosewici nie są prymitywni, też zadają nam straty. Na pamięć wszystkich starożytnych cesarzy, któż byłby tak szalony, żeby wyobrazić sobie wielkie łodzie, z których mogą startować samoloty? Któż, poza Wielkimi Brzydalami? Planeta rodzinna, Rabotev 2 i Halless 1 miały zasoby wodne, owszem, ale w formie rzek, stawów i jezior, Rabotev 2 miała nawet kilka małych mórz. Ale na żadnym z tych światów nie było kłopotu z ogromnymi obszarami oceanów, jak na Tosev 3. I ani Rasa, Rabotewici, czy Hallessjanie nie wykorzystywali swoich wód w takim stopniu, w jakim robiły to Wielkie Brzydale. Ich samoloty pojawiały się znikąd, tak jak wtedy, gdy zbombardowały bazę na chińskim wybrzeżu. To była nieprzyjemna niespodzianka. To samo było ze statkami uzbrojonymi w wielkie działa, które ostrzeliwały bazy położone blisko morza.

Kirel poruszył ręką na znak lekceważenia.

– Teraz, kiedy wiemy, że prowadzą wojnę na morzu, możemy zatapiać ich wielkie łodzie i to szybciej, niż są w stanie je budować. Te łodzie są trudne do wykrycia. Wkrótce problem będzie rozwiązany.

– Oby tak się stało.

– Ale skoro Atvar już raz zaczął się martwić na głos, nie było tak łatwo go uspokoić.

– A te rakiety, które usiłują zbudować? Czy mamy sposób na to, żeby je strącać? Przybyliśmy tu z zamiarem prowadzenia walki przeciwko dzikusom, którzy dysponowali tylko jednego rodzaju pociskami – wystrzeliwanymi z łuku. Wiesz, jakie są najnowsze informacje?

– Powiedz mi, dostojny panie floty – odparł Kirel tonem samca, który wie, że we własnym

interesie powinien uważnie słuchać.

– W ciągu kilku minionych dni, z Brytanii i kraju Deutschland, przeciwko naszym maszynom wystartowały po raz pierwszy samoloty odrzutowe. Nadal są znacznie gorsze od naszych – szczególnie te z Brytanii – ale już nie tak, jak te prymitywne pudła z obracającymi się śrubami powietrznymi, z którymi do tej pory mieliśmy do czynienia.

– Ja... nie wiedziałem o tym jeszcze, dostojny panie floty.

Teraz Kirel naprawdę słuchał uważnie tego, co mówi Atvar. Po chwili pan floty kontynuował.

– Poczekaj trochę. Deutschland i Brytania były wrogami zanim wylądowaliśmy. Prawda?

– Tak, tak. Brytania i USA, i SSSR, i Chiny przeciwko krajom Deutschland i Italia; Brytania, USA i Chiny przeciwko Nippon, ale dla jakiegoś powodu Nippon nie wystąpił przeciwko SSSR. Gdyby Tosewici nie wymyślali ciągle różnych broni przeciwko nam, to przysięgłbym na imię cesarza, że poszaleli. Chwileczkę, dostojny panie floty. Jeśli Deutschland i Brytania były wrogami póki nie przybyliśmy, to niezbyt prawdopodobne jest, żeby wspólnie pracowały nad odrzutowcami, nieprawda?

– Trudno powiedzieć. Kto jest w stanie przewidzieć, co zrobią Wielkie Brzydale? Może to wynika z faktu, że mają tyle różnych cesarstw na tak małej powierzchni lądów. To sprawia, że są tacy, jacy są. Mętna, zawikłana metoda, według której Tosewici rozgrywali swoje gry polityczne, sprawiała, że nawet intrygi na dworze cesarskim zdawały się być zabawą dla przedszkolaków. Kontakty z tosewickimi oficjelami sprawiały, że Atvar czuł się zdezorientowany. Podręczniki zalecały, żeby wygrywać jednych przeciw drugim, ale pan floty uważał się za szczęśliwca, że Tosewici jeszcze nie zdołali tej zasady wprowadzić w życie wobec jego floty.

Kirel nadal był zatroskany sprawą odrzutowców:

– Dostojny panie floty, jeśli nie pracowali wspólnie nad odrzutowcami, to znaczy, że rozwinęli technikę niezależnie od siebie. Są jak złośliwy wirus; podlegają mutacjom, nie fizycznym, ale technicznym co jest jeszcze gorsze. I postępuje to zbyt szybko, być może nie będziemy w stanie nad tym zapanować. Czy nie powinniśmy wysterylizować planety? Pan floty zwrócił oczy na podwładnego. Coś takiego mówi samiec, który namawiał, żeby dać Wielkim Brzydalom szansę na kapitulację zanim zdławi się ich system łączności?

– Sądzisz, że stanowią dla nas tak wielkie niebezpieczeństwo, panie statku?

– Tak, panie floty. Znajdujemy się na wysokim poziomie cywilizacyjnym. Trwamy na nim od wieków. Oni są niżej, ale wspinają się szybko. Musimy ich zniszczyć, póki jesteśmy w stanie.

– Gdyby tylko te plugawe kreatury nie trafiły w „56-go cesarza Jossano” – powiedział Atvar żalobnym tonem. Gdybyśmy nie trzymali tylu bomb na pokładzie tego statku, dodał w myśli.

Ale nie, nie winił się za to; starożytna doktryna polecała, żeby powierzać wielkie składy broni atomowej tylko zaufanym panom statków. Jak każdy oficer należący do Rasy postępował według tego, co nakazywała starożytna doktryna. Nikt nie powinien źle o nim pomyśleć z tego powodu, ale czyniąc tak odniósł ogromne straty. Sposób, w jaki starożytna doktryna zawodziła przy każdej okazji, kiedy dotyczyło to spraw tosewickich, martwił go nawet bardziej, niż przebieg walk na powierzchni planety.

– Ciągłe mamy jeszcze bomby atomowe – upierał się Kirel.

– Może Wielkie Brzydale będą bardziej skłonne do poddania się, kiedy zobaczą, co możemy zrobić z ich miastami. Atvar odrzucił w tył głowę na znak, że się nie zgadza.

– Nie niszczy się świata, ku któremu zbliża się już flota osadników. Tak mówiła starożytna doktryna oparta na doświadczeniach wyniesionych z podboju Rabotewitów i Hallessjan.

– Dostojny panie floty, Tosev 3 wydaje mi się niepodobny do światów podbitych w

poprzednich kampaniach – stwierdził Kirel najuprzejmiej jak było można.

– Tosewici mają większą zdolność do stawiania oporu, niż inne podległe nam rasy. To więc wymaga zastosowania surowszych metod. Dotyczy to w szczególności ludu Deutsche. Dostojny panie floty, działo, które zniszczyło „56-tego cesarza Jossano” należało do nich, mimo że stało na ziemi SSSR, podobnie jak rakieta, którą Wielkie Brzydale próbują wystrzelić i samoloty odrzutowe, o których mi mówiłeś.

– Nie – odparł Atvar. Starożytna doktryna głosiła, że nowe planety nie mogą być niszczone przez skażenie radioaktywne, które utrzymywało się długo po podboju. W końcu, Rasa będzie zamieszkiwała tę planetę w nieskończoność, włączając Tosev w tkankę cesarstwa... A lądu tu niewiele na dobry początek. Było natomiast sporo szczególnie kłopotliwych tubylców. Właśnie przed chwilą pan floty myślał o tym, jak słabo starożytna doktryna sprawdza się w stosunku do Wielkich Brzydali. Perspektywa odejścia od doktryny wystraszyła jednak pana floty jak nic dotąd. Było to, jak odcięcie od cesarskiej łaski – życie smutne i w odosobnieniu. Ale czy zasłużyłby na łaskę cesarza, gdyby poprowadził Rasę do jeszcze gorszych nieszczęść?

– Zaczekaj, panie statku... Zmieniłem zdanie – powiedział Kirelowi, który już miał odejść.

– Zrób to w ... jak się to miejsce nazywa?

– Berlin, dostojny panie floty – odparł Kirel.

– Tak będzie.

Rozdział V

– Paryż – powiedział zmęczonym głosem Bagnall.

– Byłem tutaj na wakacjach kilka lat przed wybuchem wojny. To nie to samo miasto.

– Nic nie jest takie samo jak przed wojną – odparł Ken Embry.

– Do diabła, nic nie jest takie samo, odkąd przybyły jaszczury, a to zdarzyło się zaledwie kilka tygodni temu.

– Ma to i dobrą stronę. Inaczej bylibyśmy już jeńcami, siedzielibyśmy za drutami i czekalibyśmy na następną paczkę Czerwonego Krzyża – powiedział Alf Whyte.

Nawigator roześmiał się kwaśno:

– Gdybyśmy byli jeńcami i dostawali paczki Czerwonego Krzyża, to pewnie mielibyśmy lepsze żarcie niż to, które teraz ludzie nam dają.

– Obaj macie rację – powiedział Bagnall.

Niemieccy okupanci północnej i środkowej Francji już dawno mogli zgarnąć angielskich lotników, ale nie zawracali sobie tym głowy. Niektórzy nawet pozdrawiali ich, choć w innych okolicznościach mogliby ich zastrzelić. Francuscy chłopcy dzielili się tym, co mieli z Anglikami. Ale mieli tylko ziemniaki i zieleninę

– Spójrzcie na te jaszczury – powiedział Ken Embry.

– Nie zostawiły z Berlina kamienia na kamieniu.

Kto by pomyślał, że sprawi mi to przykrość? Francuskie gazety, nadal kontrolowane przez Niemców, nie wspominały przez ostatnich parę dni o niczym innym. Była tam mowa o kuli ognia, która pochłonęła miasto, rozpaczano nad niewiarygodnymi zniszczeniami, szlochano nad setkami tysięcy ofiar. Bagnall rozumiał większość z tego, co pisały dzienniki; jego francuszczyzna była lepsza niż to okazał w momencie ulgi, kiedy ich lancaster zdołał wylądować.

– Nie uroniłbym łzy – powiedział – gdyby udało im się upiec Hitlera razem z innymi.

– Ani ja – zgodził się Embry.

– Nie miałem też nic przeciwko zrzucaniu tych cholernych, wielkich bomb na Kolonię. Tak było dopóki sprawa była jasna: albo my albo hitlerowcy. Ale jaszczury skomplikowały wszystko.

– I dobrze.

Bagnall spojrział zmęczonym wzrokiem w niebo, gdyby wypatrywał samolotu jaszczurów. Ale nawet, jakby go zobaczył, to nic by to nie dało, jeśli maszyna miałaby w lukach superbombę podobną do tej, którą zrzucono na Berlin. Jeśli wierzyć gazetom – a to we Francji, szczególnie po 1940 roku ryzykowna sprawa – jedna bomba zrównała z ziemią obszar kilkunastu kilometrów kwadratowych. Przed taką bombą nie można nawet uciec. Jaki jest zatem sens w obserwowaniu nieba? Bagnall przeniósł wzrok na ziemię. Popatrzył na wyblakły, poszarpany plakat propagandowy rządu Yichy. Chociaż na tych terenach rząd ten nie miał żadnej władzy, nie był to pierwszy, napotkany po drodze plakat. Głosił on trójkolorowymi literami: LABOURAGE ET PATURAGE SONT LES DEUX MAMELLES DE LA FRANCE. Pod spodem ktoś pieczołowicie dopisał komentarz: Merde. Inżynier pokładowy zafascynowany obserwował napis. Dziwił się, że ktoś mógł to ułożyć, wydrukować, a potem rozpowszechnić. Ale hasło było – wypisane dziesięciocentymetrowymi literami i tak skomponowane, żeby wyglądało patriotycznie. Nie mógł się powstrzymać. Ryknął śmiechem.

– Co cię tak cholernie rozśmieszyło? – zapytał Joe Simpkin, tylny strzelec lancastera.

Bagnall nadal nie był w stanie mówić. Pokazał tylko na plakat Yichy. Przyciągnęło to ich uwagę. Embry i Alf Whyte też zaczęli się śmiać. Simpkin zachował powagę. Nie znał francuskiego, chociaż poznał kilka słów – nie wszystkie parlamentarne – od czasu kiedy bombowiec awaryjnie

wylądował. Zrozumienie wymowy plakatu pozostawało jednak poza jego znajomością języka. Nachmurzył się i zapytał:

– Co tam jest napisane?

– Coś jakby „Praca i gospodarka to dwa cycki Francji” – odparł Bagnall między jednym a drugim sapnięciem.

Przetłumaczenie hasła na angielski spowodowało, że wszyscy znów wybuchnęli śmiechem. Chudy Francuz w obszarpanej marynarce i czarnym berecie zmarszczył brwi na widok siedmiu ludzi – najwyraźniej cudzoziemców – pękających ze śmiechu na środku ulicy. Ponieważ było ich siedmiu, ograniczył się do zmarszczenia brwi.

– Cycki, naprawdę? – zapytał Simpkin.

Pochodził z Gloucester i mówił z zachodnioangielskim akcentem.

– Francja ma lepsze cycki, nie mówiąc o nogach.

Jakby na potwierdzenie jego słów, śliczna dziewczyna przejechała na rozklekotanym rowerze. Gruchot był prawdopodobnie starszy od niej. Spod sukienki było widać długie opalone nogi. Bagnall słyszał grzechotanie ogniw łańcucha na kole zębatym. Za rogiem słysząc było inne przejeżdżające rowery, kopyta koni i rumor żelaznych obręczy uderzających o bruk, kiedy ciągnięty przez konie wóz z mozołem jechał w górę ulicy. Rozlegał się terkot maszyny do szycia o ręcznym napędzie; jakaś stara kobieta przywoływała kota o imieniu Claude, mówiła do niego, że jest okropnym typkiem. Bagnall miał wrażenie, że słyszy całe miasto.

– Paryż nie jest już ten sam bez hordy samochodów, które wszystkie starały się cię przejechać – powiedział.

– Zgadza się. Ale przynajmniej jest czyściej – odparł Embry.

– Czujesz, jakie świeże jest powietrze. Jakbyśmy nadal byli na wsi. Kiedy byłem tu ostatni raz, smród benzyny był taki jak w Londynie.

– Nie ma co się teraz martwić o smród benzyny – stwierdził Bagnall.

– I w ogóle nie ma co się martwić o benzynę – Szwaby zabrały ją do swoich samolotów i czołgów.

Kroki zbliżające się zza rogu powiedziały im, że ktoś nadchodzi. Ich stukot mówił, że idący jest niezłym waźniakiem. Kilka sekund później zobaczyli go. Był lepiej ubrany i odżywiony niż większość Francuzów. Coś błyszczało w jego klapie. Kiedy się zbliżył, Bagnall dostrzegł spinkę w kształcie topora z podwójnym ostrzem francisque, symbol Yichy i kolaboracji. Mężczyzna chciał pójść dalej, ale widok ludzi w nieznanych mundurach – choć brudnych i obszarpanych – wzbudził jego ciekawość.

– Pardonnez-moi, messieurs, mais... etes-vous allemands? – zwrócił się do nich, potem zapytał po niemiecku.

– Sind sie Deutsche!

– Non, monsieur, nous sommes anglais – odparł Bagnall. Francuz szeroko otworzył oczy.

Jego lewa ręka, jakby sama z siebie, uniosła się w stronę znaczka w klapie, jakby chciał ukryć francisque. Bagnall zastanawiał się, co ten człowiek teraz myśli, co czuje, po tym jak dostosował się do niemieckiego jarzma, a tu nagle spotyka ludzi z wolnego kraju. Okazało się, że mówi po angielsku:

– Cały świat należy dzisiaj do gatunku ludzkiego.

Skinął głową i przeszedł bokiem koło Anglików; oddalał się szybko, oglądając się kilkakrotnie przez ramię.

– Oślizgły żebrak – mruknął Alf Whyte.

– Chętnie dałbym mu kopa w zadek.

– Ja też – stwierdził Bagnall.

– Ale, do diabła, on ma rację. Jak myślisz, czy inaczej długo włóczylibyśmy się tutaj w battledressach RAF-u? Znaleźlibyśmy się w obozie jenieckim szybciej niż zdążyłbyś powiedzieć ręce do góry!

– Może i tak, ale ja takich gnojków nie zaliczam do gatunku ludzkiego – powiedział Whyte.

– Jakby w Paryżu były jaszczury, to przysłałby się do nich, jak teraz do Niemców.

Nawigator mówił tak głośno, że Francuz usłyszał, drgnął, jakby go użądliła pszczoła i przyspieszył kroku. Ken Embry cmoknął:

– Musimy brać pod uwagę okoliczności. To nie my musieliśmy żyć przez ostatnie dwa lata pod szwabskim buciorem. Śmiem twierdzić, że gdyby Hitlerowi udało się inwazja, to znalazłby w Anglii zastęp kolaborantów, a znacznie więcej takich, którzy robiliby, co im się każe, żeby ocalić życie.

– Nie miałem na myśli tych ostatnich – powiedział Bagnall. Trzeba żyć, a to znaczy, że trzeba zatroszczyć się o pracę i w ogóle o wszystko. Ale niech mnie diabli, jeśli któryś z nas nosiłby srebrny kamasz, czy to co tam nosi Mosley i jego zwolennicy. Jest różnica między koniecznością znoszenia sytuacji a jej wykorzystywaniem. Nikt nie każe mu przecież nosić w klapie francisque; nosi, bo chce.

Reszta załogi przytaknęła. Szli dalej przez Paryż. Nie tylko prawie puste jezdnie wydawały się dziwne Bagnallowi. Kiedy był tu poprzednim razem, trwał Wielki Kryzys; jednego czego nigdy nie zapomni, to mężczyźni – niektórzy przyzwoicie ubrani – schylający się, żeby podnieść niedopałek papierosa z rynsztoka. Ale dobrze ubrani mężczyźni w Londynie robili wtedy to samo. Tyle że Francuzom udawało się nawet robić to z wdziękiem.

– Tego mi brakowało! – wykrzyknął Bagnall zadowolony ze swego odkrycia, jak eksperymentujący fizyk. Towarzysze popatrzyli na niego, więc mówił dalej:

– Co zawsze przychodzi nam do głowy, kiedy myślimy o Paryżu?

– Folies Bergere – odpowiedział natychmiast Embry. – jak ona się nazywa, ta Murzynka

– Josephine Baker – co występowała w spódniczce z kilku skórek od banana. A wszystkie dziewczyny z baletu ubierają się nawet jeszcze bardziej skąpo. Nikt w ogóle nie zwraca uwagi na grę orkiestry, choć gra głośno.

– Podoba mi się to – stwierdził Joe Simpkin.

– Jak się tam idzie? Bagnall, z pewnym wysiłkiem, zignorował pytanie strzelca:

– Niezupełnie to miałem na myśli, Ken, ale byłeś blisko. Paryż kojarzy się z dobrym życiem. Zawsze się wydaje, że ci, co tu mieszkają, wiedzą lepiej od ciebie, jak się zabawić. Bóg wie, czy to prawda, ale zawsze się tak myśli.

– Trudno być wesołym, kiedy jest się głodnym i okupowanym – powiedział Alf Wythe

– Rzeczywiście okupowanym – powiedział cicho Ken Embry. Trzymać się chłopaki, oto nadchodzi Szwab we własnej osobie. Niech wie, że ma do czynienia z żołnierzami. Dobrze?

Niemiecka piechota na zdjęciach propagandowych przypominała raczej maszyny niż ludzi; same linie proste i kanty, wszystkie ruchy identyczne, twarde, pozbawione wyrazu twarze pod podobnymi do garnków hełmami. Patrol, który spokojnym krokiem szedł ulicą w kierunku załogi bombowca, bardzo odstawał od ideału Herr Goebbelsa. Kilku było grubych, a jeden nosił siwe wąsy. Niektórzy mieli porozpinane górne guziki kurtek. Za taki wygląd goebbelsowski ideał musiałby zostać rozstrzelany. Paru nawet pogubiło guziki; większość nosiła buty, które nie znały pasty ani szczotki. Trzecia linia, pomyślał Bagnall, może nawet czwarta. Prawdziwa armia niemiecka przez cały poprzedni rok zajęta była walką z Rosjanami, albo przeorywaniem w obie strony Sahary. Pokonanej Francji dostały się wojskowe odpady. Bagnall zastanawiał się, jak tym wojownikom uśmiecha się

wojna z jaszczurami, przeciwnikiem gorszym niż Armia Czerwona. Myślał też o czymś, co bardziej ich dotyczyło: czy milczący rozejm brytyjsko-niemiecki w równym stopniu obowiązuje na ziemi, co w powietrzu. Zbliżający się mogli być grubi i starzy, ale wszyscy nosili karabiny Mausery, w porównaniu z którymi pistolety lotników wyglądały jak zabawki. Feldwebel z wielkim brzuchem, dowodzący patrolem, podniósł rękę, żeby zatrzymać swoich ludzi. Potem sam podszedł do grupy Anglików. Miał trzy podbródki i wyłupiaste, ale niegłupie oczy; Bagnall nie usiadłby z nim do stolika karcianego.

– Sprechen sie Deutsch? – zapytał sierżant. Anglicy popatrzyli jeden na drugiego. Wszyscy pokręcili głowami, że nie.

– Czy któryś z twoich ludzi mówi po angielsku? – zapytał Ken Embry.

– A może parlez-vous français – Feldwebel pokręcił głową, aż zatrząsnęły mu się podbródki.

Ale, jak podejrzewał Bagnall, był to pomysłowy chłop. Wrócił do patrolu i coś burknął do swoich ludzi. Rozbiegli się do sklepików przy bulwarze. W niecałą minutę jeden z żołnierzy wyłonił się ciągnąc chudego, wystraszonego Francuza z ogromnymi uszami, które wyglądały tak, jakby za chwilę miały ulecieć na wietrze wraz ze swym właścicielem. Okazało się, że sklepikarz mówi nie tylko po francusku, ale włada też płynną niemczyzną. Feldwebel użył go jako tłumacza:

– W Cafe Wepler, przy placu Clichy jest Soldatenheim, kantyna wojskowa. Tam przyjmuje się angielskich lotników. Proszę, pójdziecie z nami.

– Czy jesteśmy jeńcami? – zapytał Bagnall.

Francuz przełożył pytanie niemieckiemu sierżantowi. Był teraz bardziej rozluźniony, kiedy stwierdził, że ma tylko służyć jako tłumacz.

– Nie, nie jesteście jeńcami – odpowiedział sierżant.

– Jesteście gośćmi. Ale to nie jest wasz kraj i pójdziecie z nami. To nie zabrzmiało jak prośba.

– Czy mam mu udowodnić, że to nie jest również jego kraj? – zapytał Embry po angielsku.

Bagnall i reszta załogi przemyśleli to. Niemcy mieli nad nimi przewagę w ludziach i sile ognia. Nikt się nie odezwał. Pilot westchnął i przeszedł na francuski:

– Powiedz sierżantowi, że pójdziemy z nim.

– Gut, gut – odparł z ulgą sierżant kołysząc wielkim brzuchem.

Rozkazał Francuzowi, by też poszedł z nimi i dalej tłumaczył. Jegomość rzucił tęskne spojrzenie na swój sklepik, ale nie miał wyboru. Droga była długa. Soldatenheim mieścił się na prawym brzegu Sekwany, na północny wschód od Łuku Triumfalnego. Zarówno Niemcy, jak i Anglicy mieli szacunek dla paryskich pomników. Jaszczury nie żywiły podobnych skrupułów; w Łuku była szczyrba, która wyglądała jak dziura w zepsutym zębie. Wieża Eiffla nadal stała, ale Bagnall zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie dominowała nad miastem. Z całej wyprawy do kantyny inżynierowi pokładowemu najbardziej wbił się w pamięć jeden epizod: staruszek z krzaczastymi wąsami spacerujący powoli po ulicy. Na pierwszy rzut oka przypominał marszałka Petaina, albo jakiegoś miłego dziadziunia. Miał laskę, nosił melonik i elegancki dwurzędowy garnitur w prążki. Jego spodnie zaprasowane były na kant. Do lewej kieszonki marynarki przyszyta była żółta sześcioramienna gwiazda z jednym tylko słowem: Juif. Bagnall przeniósł wzrok ze starego Żyda na tłustego feldwebla i francuskiego tłumacza. Otworzył usta i znów je zamknął. Co mógłby powiedzieć, żeby nie pogorszyć sprawy i, co najbardziej prawdopodobne, dla Żyda? Nie znalazł odpowiednich słów, ale swoje milczenie odczuł jak bolący ząb. Niemieckie znaki wojskowe – białe drewniane strzałki z kanciastymi czarnymi literami – wyrosły jak grzyby po deszczu na każdym paryskim skrzyżowaniu. Brytyjscy lotnicy mogliby zapewne znaleźć drogę do kantyny bez eskorty, ale Bagnall pomyślał, że nie można winić sierżanta, iż się nimi zajął. Jeśli nie byli wrogami w dosłownym

znaczeniu słowa, to nie byli też przyjaciółmi. Na kantynie widniał wielki napis, który głosił, że tu jest: Soldatenheim Kommandantur Gross-Paris. Na drugiej części tablicy wymalowany był czarny krzyż w kole. Z bramy wchodzili i wychodzili ludzie w mundurach feldgrau. Ci, którzy rozpoznali lotnicze mundury RAF-u, stawali, żeby im się przyjrzeć. Nie robili nic więcej, tylko przyglądali się, za co Bagnall był im wdzięczny. Feldwebel zwolnił tłumacza tuż przed wejściem, nie dając mu nawet napiwku. W czasie półtoragodzinnego marszu facet nie przetłumaczył więcej niż kilka zdań, w większości banalnych. Teraz czekała go równie długa droga powrotna. Ale odszedł bez słowa skargi, nawet nie oglądając się za siebie, jakby samo pozbycie się tego towarzystwa było wystarczającą zapłatą. Niedaleko wejścia ustawiono stół i tablicę z napisami po niemiecku i angielsku. Tekst angielski głosił: DLA WOJSKOWYCH BRYTYJSKICH. PUNKT REPATRIACYJNY Z FRANCJI. Za stołem siedział oficer w okularach ze stalową oprawką; złota rozetka na naramienniku mówiła, że jest podpułkownikiem. Niemiecki sierżant zasalutował i mówił przez kilka minut w swoim języku. Oficer skinął głową, zadał kilka pytań, skinął jeszcze raz i odprawił feldwebla kilkoma słowami, potem zwrócił się do Anglików

– Powiedzcie mi panowie, jak trafiliście do Paryża.

Jego angielski był precyzyjny i prawie wolny od akcentu.

– Nazywam się podpułkownik Maximilian Hócker, jeśli znajomość mojego nazwiska do czegoś wam się przyda.

Ken Embry, jako pilot, wystąpił w imieniu całej załogi. Szczegółowo opowiedział o ataku na instalacje naziemne jaszczurów, ale – jak zauważył Bagnall – nie podał nazwy bazy, z której wystartował lancaster. Jeśli Hócker również to zauważył – a prawdopodobnie tak, bo wyglądał na bystrego – puścił to mimo uszu. Otworzył szerzej oczy, kiedy Embry opisywał przymusowe lądowanie na francuskiej drodze.

– Jest pan wielkim szczęściarzem, poruczniku i bez wątpienia bardzo uzdolnionym pilotem.

– Dziękuję panie pułkowniku

Embry podjął opowiadanie, omijając nazwiska Francuzów, którzy pomagali załodze. Znali ich zresztą niewiele, były to same imiona. Mimo to, Embry ich nie wymienił I znów Hócker nie naciskał.

– A potem znalazł nas wasz sierżant i przyprowadził tutaj. Sądząc z tego, co tu jest napisane, nie macie zamiaru brać nas do niewoli, więc mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe, jeśli zapytam, co z naszą podróżą do domu.

– Ależ skądże – Niemiec uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały ponure, a może spowodował to refleks światła w jego okularach.

Nadal mówił uprzejmym tonem:

– Możemy wyprawić was wieczornym pociągiem do Cala-is. Jeśli Bóg i jaszczury pozwolą, będziecie w domu już jutro.

– To nie może być aż tak łatwe – wymknęło się Bagnallowi.

Po trzech latach wojny z hitlerowcami i po tym, jak widział starego Żyda z żółtą gwiazdą, nie był w stanie zaufać Niemcowi.

– Nie ma problemu – Hócker podniósł ze stołu siedem egzemplarzy formularza i wręczył Embry'emu, żeby rozdał załodze.

– Musicie to tylko podpisać i wysyłamy was w drogę.

Formularz, niedbale wydrukowany na najtańszym papierze, zatytułowany był ZOBOWIĄZANIE. Były na nim wydrukowane dwie równoległe kolumny tekstu, jedna po niemiecku, druga po angielsku. Angielska wersja była szczytowym osiągnięciem biurokratycznego bełkotu, doprawiona tu i ówdzie niemieckim szykiem zdań. Z treści wynikało, że podpisujący obiecuje zaprzestać walki przeciwko

Niemcom dopóki Londyn lub kraj, którego stolicą był Berlin – pozostaje w stanie wojny z jaszczurami.

– Co się stanie, jeśli tego nie podpiszemy? – zapytał Bagnall. Nikły uśmiech, który pojawił się na twarzy podpułkownika Hóckera, w tym momencie zniknął zupełnie.

– Wtedy też was zapakujemy do pociągu, ale nie pojedziecie do Calais.

– A co się stanie – zapytał Embry – jeśli podpiszemy, a potem będziemy walczyć przeciwko wam?

– W tych okolicznościach radziłbym unikać schwywania.

Twarz Hóckera była zbyt okrągła i łagodna, żeby pasowała do stereotypu niemieckiego oficera; wyglądał raczej na bawarskiego chłopca niż na pruskiego arystokratę. Ale swoim słowom nadał tak groźny wyraz, że starczyłoby tego dla trzech filmowych Hunów.

– Czy otrzymaliście jakiś komunikat od RAF-u, albo rządu jego królewskiej mości zezwalający nam na podpisywanie takiego dokumentu? – zapytał Embry.

– Nie – odparł Hócker.

– Z formalnego punktu widzenia, nadal jesteśmy w stanie wojny. Daję wam jednak słowo honoru, że nie słyszałem o żadnej karze, która spotkałaby kogokolwiek, kto to podpisał.

– Zechce pan być tak uprzejmy, by sporządzić pisemne oświadczenie, które przedstawimy naszym zwierzchnikom. Gdyby pańskie zapewnienie okazało się fałszywe, uznamy nasze zobowiązanie za nieważne, a na wypadek, gdybyśmy zostali schwytani na prowadzeniu działań wojennych przeciwko pańskiemu krajowi, nie powinny być wobec nas stosowane żadne sankcje.

– Dobrze, Ken – wyszeptał z zachwytem Bagnall.

Hócker zanurzył pióro w atramencie i szybko coś napisał na odwrocie czystego formularza. Wręczył kartkę pilotowi.

– Mam nadzieję, że to pana uspokoi, panie poruczniku.

Formy grzecznościowe miał opanowane, jak rodowity Anglik. Embry przeczytał oświadczenie. Zanim odpowiedział, podał je Bagnallowi. Hócker wysławiał się po angielsku znacznie lepiej niż pisał. Jego tekst był pełen germanizmów; inżynier pokładowy musiał domyślać się treści. Ale było tam wszystko, czego zażyczył sobie Embry. Bagnall dał to Alfowi Whyte. Niemiec czekał cierpliwie, aż kartkę przeczyta cała załoga lancastera.

– I jak, panowie? – zapytał, gdy oświadczenie wróciło do Embry'ego. Pilot popatrzył na swoich towarzyszy. Nikt się nie odezwał. Embry westchnął, i zwrócił się do Hóckera:

– Daj mi pan to cholerne pióro.

Podpisał formularz kilkoma zygzakami.

– Masz pan.

Hócker uniósł brwi:

– Nie podoba się panu ten układ?

– Nie podoba mi się – odparł Embry.

– Gdyby nie jaszczury, walczylibyśmy przeciwko sobie. Ale jaszczury są i nic na to nie poradzę

– Niech mi pan wierzy, panie poruczniku, że żywię dokładnie takie same uczucia – odpowiedział Niemiec.

– Miałem w Berlinie siostrę i dwóch siostrzeńców. Muszę zatem odroczyć mój spór z panem na jakiś czas. Byś może powinniśmy go podjąć w bardziej sprzyjającym momencie.

– Coventry – odparł Embry.

– W porównaniu z Berlinem, Englander – odparł Hócker

– Coventry to jak stłuczone kolanko berbecia.

Niemiec i Anglik patrzyli sobie w oczy przez prawie minutę. Bagnall wziął pióro, podpisał się na formularzu:

– Jeden wróg naraz – powiedział.

Pozostali członkowie załogi też się podpisali. Kiedy Hócker wzywał eskortę, żeby odprowadziła Anglików na stację, Bagnall myślał o tym, ilu siostrzeńców ma stary Żyd z żółtą gwiazdą i jak im się powodzi. Patrol diabłów szedł główną ulicą obozu. Liu Hań, jak wszyscy, którzy stali przy drodze, ukloniła się nisko. Nikt nie wiedział, co się stanie, jeśli któryś z więźniów odmówi pokrytym łuską diabełkom zewnętrznych objawów szacunku. Nikt, a już najmniej Liu Hań, nie chciała tego sprawdzać. Kiedy diabły przeszły, do Liu Hań podszedł jakiś mężczyzna i coś powiedział.

– Przepraszam – dziewczyna potrząsnęła głową – ale nie rozumiem twojego dialektu.

On jej też nie rozumiał. Uśmiechnął się, rozłożył ręce i odszedł. Westchnęła. Prawie nikt tutaj nie mówił jej dialektem, poza kilkoma wieśniakami, których schwytano wraz z nią. Łuskokóre diabły zebrały w swoich obozach ludzi z całych Chin; albo nie wiedziały o różnicach, jakie między nimi zachodzą, albo ich to nie obchodziło. Dla ludzi wykształconych, tych, którzy potrafili czytać i pisać, brak wspólnego języka nie był przeszkodą. Rozmawiali ze sobą za pomocą pędzelka i papieru, bo wszyscy Chińczycy używali tych samych znaków. Demony tak dalece niczego nie pojmowały, że w tym samym obozie umieścili także kilku Japończyków. Żaden z nich nie przeżył. Niektórzy zabili się sami z rozpacz, że ich schwytano, a ci, których rozpacz nie była tak głęboka, kolejno musieli się rozstać z życiem. Liu Hań nie wiedziała, jaki koniec ich spotkał. Wystarczyło jej, że nie żyją, a małe diabły niczego się nie dowiedziały. O dwie przecznice od ulicy najczęściej patrolowanej przez diabły, powstało targowisko. Ludzie trafiali do obozu zazwyczaj tylko z tym, co mieli na grzbiecie, ale i tak wkrótce zaczęli handlować, czasem jakiś mężczyzna sprzedawał złotą obrączkę, a kobieta miała przy sobie sakiewkę wypchaną monetami. Wraz z upływem czasu pojawiły się kurczaki, a nawet prosięta, jako dodatek do ryżu wydzielanego przez diabły. Na ziemi siedział łysy mężczyzna z wąsami jak wiązka siana. Przed nim leżał denkiem do dołu słomiany kapelusz, w nim trzy piękne jaja. Gdy zobaczył, jak Liu Hań im się przygląda, skinął głową i zagadał. W końcu sięgnął po jedno i zapytał:

– Ile dasz za to?

Czasem nawet znajomość języka nie pomaga.

– Przykro mi – powiedziała.

– Nie mam nic, żeby dać.

W jej wiosce byłby to początek targów, które zajęłyby większą część poranka. Tutaj była to szczerza prawda. Jej mąż i dziecko zginęli z rąk Japończyków. Jej wioska została zniszczona, najpierw przez wschodnich barbarzyńców, potem przez diabły w samolotach-ważkach. Wszystko to było stracone na zawsze. Mężczyzna przechylił głowę w bok i uśmiechnął się po kupiecku.

– Piękna kobieta zawsze ma coś, co może dać – powiedział.

– Może pozwolisz mi za te jajka obejrzeć twoje ciało?

– Nie – Liu Hań odparła krótko i odeszła.

Łysy roześmiał się. Nie był pierwszym na targowisku, który chciał od niej takiej zapłaty. Wróciła do namiotu, który dzieliła z Yi Minem. Aptekarz stał się ważną osobistością w obozie. Małe łuskokóre diabełki często go odwiedzały, by uczyć się chińskich hieroglifów i dialektów, w których mówił. Czasami sugerował im, jak należy załatwiać różne sprawy. Często go słuchały, co sprawiało, że cieszył się poważaniem. Jeśli zachciałoby mu się jajek, mógł je kupić za swoje wpływy. Mimo wszystko, Liu Hań żałowała czasem, że nie zamieszkała z innym więźniem z jej wioski, albo z kimś, kogo wcześniej nie знаła. Ale to właśnie z Yi Minem znalazła się w brzuchu tego samego samolotu-

ważki. Poza tym, aptekarz przypominał jej stare dobre czasy – więc zgodziła się z nim zamieszkać. Był bardzo nieśmiały, gdy ją o to poprosił. Teraz nieśmiałość mu minęła. Podniosła połę namiotu. Powitał ją zaskoczony syk. Ukłoniła się prawie dwa razy niżej niż zazwyczaj.

– Bardzo przepraszam, szanowny panie diable. Nie chciałam przeszkadzać – rzekła szybko. Za szybko. Demon odwrócił się do Yi Mina, z którym rozmawiał, kiedy go zaskoczyła.

– Ona powiedziec... co? – zapytał w bardzo kiepsko wymawianej chińszczyźnie.

– Ona przeprasza... mówi, że jest jej przykro... za to, że przeszkadza – Yi Min musiał to powtórzyć kilka razy, zanim mały diabeł zrozumiał. Wtedy wydał dźwięk jak kociolatek z wrzącą wodą.

– Czy to tak się mówi w twoim języku? – zapytał znów przechodząc na chiński. Łuskoskóry diabeł syknął w odpowiedzi.

Lekcja języka trwała nadal. Yi Min i diabeł zignorowali Liu Hań, traktując ją, jakby była matą, na której siedzieli. Wreszcie mały diabeł wybełkotał coś, co musiało być pożegnaniem, stanął na swych pazurzastych stopach i wyszedł z namiotu. Otarł się o Liu Hań bez słowa. Yi Min był w doskonałym nastroju.

– Będę bogaty – zarechotał.

– Rasa... – Co takiego? – zapytała Liu Hań. – Rasa.

Tak diabły nazywają siebie samych. Będą potrzebowali ludzi, którzy by im służyli, żeby stali się ich wicekrólami, ludzi, którzy nauczą ich języka i będą rozumieli ich obrzydliwą mowę. Jest trudna, ale Ssofeg – diabeł, który wyszedł przed chwilą – mówi, że uczę się jej szybciej niż ktokolwiek w całym obozie. Nauczę się jej i pomogę diablom. Zostanę wielkim człowiekiem. Jesteś mądra, że trzymasz się mnie, Liu Hań, naprawdę – jesteś mądra. Odwrócił się do niej i pocałował ją. Nie odpowiedziała, ale prawie tego nie zauważył. Wepchnął język w jej usta. Usiłowała go powstrzymać, ale jego ciężar złamał jej opór. Przycisnął ją do maty. Szarpał jej bluzkę. Westchnęła i poddała się. Leżała gapiąc się w szary materiał dachu namiotu. Miała nadzieję, że szybko skończy. Wydawało mu się, że jest dobrym kochankiem. Robił wszystko, co dobry kochanek robić powinien: pieścił ją, wkładał twarz między jej nogi. Ale Liu Hań nie chciała ani jego, ani jego karesów; nie udało mu się jej podniecić. Yi Min tak był przy tym zajęty sobą, że jej odpowiedź – a raczej brak odpowiedzi – nie dotarła do niego. Była pewna, że gdyby jej tu nie było, zrobiłby to sam, ręką. Ale była tu, więc zamiast tego, wziął ją.

– Popróbujmy dzisiaj unoszącego się motyla – powiedział, co miało znaczyć, że chce, żeby była na wierzchu.

Znowu westchnęła. Nie daje jej nawet szansy, żeby poleżeć bezwładnie. Zaczęła żałować, że łuskoskóre diabły nie zapędziły do samolotu-ważki kogoś innego zamiast Yi Min. Nie wiedziała, dlaczego uległa mu za pierwszym razem. Może sprawił to fakt, że był jedynym ogniwem łączącym ją ze światem, który już nie istnieje, a do którego tak przywykła? Gdy już raz uległa, trudniej jej było powiedzieć – nie – przy następnych okazjach. Patrzyła w bok, żeby nie widzieć jego zaczerwienionej, tłustej twarzy. Dosiadła go okrakiem, pochyliła się. Wypełnił ją, ale to było wszystko, co czuła: nie było w tym przyjemności, którą przeżywała, gdy współżyła z mężem. Ruszała się energicznie, żeby to się tylko szybciej skończyło. Rzucił się pod nią jak karp na haczyku, kiedy ktoś podniósł połę namiotu. Sapnęła i chwyciła swoje bawełniane spodnie. W tym samym momencie Yi Min, nieczuły na wszystko inne poza sobą, jęknął z rozkoszy. Liu Hań chciała umrzeć. Jak teraz pokaże w obozie twarz, kiedy widziano jej nagie ciało? Czuła, że byłaby w stanie zabić Yi Mina za te wszystkie upokorzenia. Może zrobi to w nocy, kiedy zaśnie... Syknięcie wytrąciło ją z jej morderczych fantazji i przywróciło rzeczywistości. To nie człowiek widział jej hańbę, to był

łuskoskóry diabełek. Stoczyła się z Yu Mina. Wkładała na siebie pośpiesznie bluzkę i spodnie, zastanawiając się, czy to lepiej, czy gorzej. Pomyślała, że lepiej; człowiek z pewnością zacząłby o niej plotkować, a łuskoskóry diabeł chyba tego nie robi. Diabeł syknął i wybełkotał coś w diablím języku. Potem popróbowwał mówić po chińsku:

– Co ty robić?

– Radowaliśmy się chwilą chmur i deszczu, potężny panie diable Ssofeg – odpowiedział Yi Min z takim spokojem, jakby mówił, piliśmy właśnie zieloną herbatę.

– Nie spodziewałem się, że tak szybko wrócisz. Zaczął się ubierać, ale znacznie wolniej niż Liu Hań.

– Chmury i deszcz? Nie rozumieć – powiedział diabełek o imieniu Ssofeg.

Liu Hań też niewiele z tego rozumiała.

– Prędzej można by się spodziewać, że zwierciadło uwięzi odbijający się w nim księżyc, niż diabełek pojmie sens poezji – Yi Min powiedział to szybko, półgębkiem do Liu Hań.

Odwrócił się do Ssofega.

– Bardzo przepraszam potężny panie diable. Powinienem mówić prostymi słowami, tak żebyś zrozumiał: uprawialiśmy miłość, robiliśmy to, z czego się biorą dzieci, parzyliśmy się, tarzaliśmy na matach, pieprzyliśmy, pierdoliliśmy się. Czy rozumiesz któreś z tych słów?

Liu Hań pragnąc, by wszystko, co robi Yi Min stało się dla niej wstrętne, słuchała uważnie. Musiała przyznać, że umiał używać prostych słów, nawet całej ich wiązanki, żeby diabeł mógł zrozumieć choć jedno.

– Robić dzieci?

Ssofeg pojął o co chodzi.

– Tak, zgadza się – powiedział z entuzjazmem Yi Min.

Uśmiechnął się szerokim, sztucznym uśmiechem i zaczął robić dziwaczne gesty, żeby pokazać, jaką mu to sprawiło przyjemność. Łuskoskóry diabełek próbował powiedzieć coś po chińsku, ale brakło mu słów. Przeszedł na własny język. Teraz Yi Min musiał chwytać znaczenie słów. Ssofeg też był cierpliwy. Mówił powoli, używając zwyczajnych zwrotów, tak jak przed chwilą robił to aptekarz. W pewnym momencie wskazał pazurastą łapą na Liu Hań. Odskoczyła przerażona, ale łuskoskóry diabeł po prostu zadawał pytanie. Po chwili Yi Min sam o coś zapytał. Ssofeg odpowiedział kilkoma krótkimi słowami. Yi Min bez uprzedzenia wybuchnął śmiechem.

– Czy wiesz, co myśli ten głupi żółw? – wydobył z siebie między atakami śmiechu.

– Domyślasz się? Nie domyślisz się, choćbyś myślała tysiąc lat.

– Więc mi powiedz – domagała się Liu Hań, bojąc się, że dowcip zwróci się przeciw niej.

Ale nic takiego się nie stało. – Ten łuskoskóry diabełek chciał się dowiedzieć, czy to jest okres twojej rui, czy co jakiś czas dostajesz ciecзки jak lisica albo owca. Jeśli dobrze go zrozumiałem, tak funkcjonują samice jego gatunku, a kiedy nie mają rui, on sam nie odczuwa pożądania.

Aptekarz znów się roześmiał.

– Biedaczysko!

– To dziwne – przyznała Liu Hań. Do tej pory nie zastanawiała się nad życiem miłosnym łuskoskórych diabłów. Były tak brzydkie, że nawet nie myślała, że mają jakieś. Teraz, prawie wbrew swojej woli, zaczęła się uśmiechać.

Biedaczyska. Yi Min znów zwrócił się do Ssofega. Mieszał chiński z językiem diabłów, żeby wyjaśnić, że kobiety są zdolne do uprawiania seksu przez okrągły rok. Ssofeg syknął i zapiszczał. To samo zrobił Yi Min. Potem powiedział po chińsku:

– Przysięgam, panie diable, że powiedziałem prawdę. Ssofeg znów pisnął, zanim wypróbował

swoją chińszczyznę:

– Tak robić wszystkie kobiety? Nie tylko – wskazał na Liu Hań – kobieta tutaj?

– Tak robią wszystkie kobiety – powiedział uroczyście Yi Min, ale Liu Hań spostrzegła w jego oku błysk rozbawienia. Żeby nie upokorzyć własnej płci dodał.

– Tak robią też wszyscy mężczyźni – ludzie. Nie mają stałego sezonu. Mogą parzyć się z kobietą w ciągu całego roku. Ssofeg zaczął znowu wydawać bulgoczące odgłosy. Nie zadając już więcej idiotycznych pytań, diabełek zakręcił się i wypadł z namiotu. Liu Hań słyszała odgłos jego pazurzystych stóp, gdy oddalał się w dzikim pędzie.

– Cieszę się, że już poszedł – powiedziała,

– Ja też – odparł Yi Min.

To daje mi do myślenia. Jak obrócić na moją korzyść tę dziwną i smutną przypadłość łuskoskórych diabłów? Gdyby byli po prostu mężczyznami, sprzedałbym im odpowiednie lekarstwo na podniesienie mocy ich filarów. Ale jeśli dobrze zrozumiałem Ssofega, bez samic swojego gatunku zarówno on, jak i całe to bractwo są jak eunuchy, chociaż podobno nawet eunuchy miewają żądze. Hmm... Nie minęło pięć minut odkąd esencja jego yang zmieszała się z yin Liu Hań, a zachowywał się, jakby zapomniał, że dziewczyna jest w namiocie. Dla Yi Mina liczył się tylko Yi Min. Wszystko inne, wszyscy inni ludzie byli klockami, które należało ułożyć tak, żeby jemu to odpowiadało. Usiadł teraz ze skrzyżowanymi nogami na macie, przymknął oczy i zaczął snuć gorączkowe plany, jak zamienić niemoc płciową diabłów na pieniądze albo wpływy. Nagle wydał okrzyk tak przenikliwy, jak wówczas, gdy przeżywał z Liu Hań chwile rozkoszy.

– Mam! – krzyknął.

– Będę...

Liu Hań nie dowiedziała się, jaki był najnowszy plan Yi Mina. Zanim zdążył go wypowiedzieć, do namiotu wpadł Ssofeg, tuż za nim trzy inne łuskoskóre diabełki. Miały ze sobą broń. Liu Hań poczuła, że robi się jej niedobrze. Yi Min zaczął beczeć jak owca na widok noża rzeźnika

– Litości, łaskawy diable! – zawodził. Ssofeg wskazał na zewnątrz, potem pokazał na Yi Mina.

– Ty idź – powiedział po chińsku.

Yi Min był tak wystraszony, że miał kłopoty z podniesieniem się. Wyszedł potykając się z namiotu na sztywnych, zdrętwiałych nogach. Dwa uzbrojone diabły stanęły po dwóch jego stronach. Liu Hań patrzyła w osłupieniu na Ssofega. Diabełek dał jej to, czego najbardziej pragnęła – uwolnił ją od Yi Mina. Skoro go już nie ma, to będzie miała ten piękny namiot tylko dla siebie. Byłaby za to gotowa pocałować Ssofega. Gdyby nie to, że miał paszczę pełną zębów, a obok niego stała uzbrojona asysta, pewnie by to zrobiła. Diabeł wskazał na nią.

– Ty pójść też – rozkazał.

– Ja?

Jej nadzieje runęły.

– Och, nie łaskawy diable, nie chcesz mnie, nie potrzebujesz mnie. Jestem tylko biedną kobietą, która nie zna świata.

Wiedziała, że mówi za szybko, żeby głupi diabełek ją zrozumiał i w miarę jak mówiła, pociała się ze strachu. Ssofeg nie zwracał większej uwagi na jej prośby niż Yi Min, kiedy ją rozebrał, żeby zaspokoić swoje żądze.

– Ty pójść też, kobieta – powiedział.

Łuskoskóry diabeł stojący za nim podniósł karabin i wycelował w nią. Diabły nie były przyzwyczajone do odmowy. Jęcząc podążyła za Yi Minem. Ludzie gapili się, pokazywali palcami, wykrzykiwali, kiedy diabełki prowadziły ją w ślad za aptekarzem. Usłyszała kilka uwag.

– Oj', to nie wygląda dobrze! Ciekawe, co przeskrobali.

Liu Hań też się zastanawiała, co takiego zrobiła, nie licząc tego, że była tak głupia, żeby pozwolić się wykorzystać Yi Mingowi. Ale co to mogło obchodzić łuskokóre diabły? Ludzie nie reagowali. Tylko przyglądali się i wykrzykiwali. Diabły były małe, ale potężne. Wystarczyło tych trzech z karabinami, by zabić wielu Chińczyków, a nawet gdyby udało się ich jakoś pokonać, to pozostałe diabły zniszczyłyby obóz ogniem ze swych samolotów-ważek. Liu Hań widziała, co zrobił taki ogień z Japończykami w jej wiosce, a oni przecież mieli broń, żeby się bronić. Ludzie w obozie byli całkowicie bezbronni.

– Niech mi ktoś pomoże! – ryknął Yi Min.

– Nic nie zrobiłem. Uratujcie mnie przed strasznymi diabłami!

Liu Hań parsknęła wzgardliwie i popatrzyła na plecy aptekarza. Nie obchodziło go, co się stanie z innymi, jeśli miałyby to uratować jego bezwartościowe życie. Parsknęła jeszcze raz. Już dawno przejrzała go na wylot. Mimo jego ryków ludzie nie uczynili niczego. Liu Hań była z tego powodu zadowolona, ale poczuła się bardzo samotna, kiedy uzbrojona eskorta diabłów wyprowadziła ją poza obóz w stronę samolotu-ważki.

– Wejść! – powiedział Ssofeg.

Nie mając wyboru oboje usłuchali. Kilka minut później maszyna wzbijała się w powietrze. Chociaż żołądek z każdą zmianą wysokości podchodził jej do gardła, nie była już tak przerażona jak za pierwszym razem, kiedy małe łuskokóre diabełki zmusiły ją do wejścia na pokład jednej ze swoich latających maszyn. W końcu, kilka diabłów było tu wraz z nimi i bez względu na to, jak mało dbali o jej życie, wiedziała, że o własną skórę potrafią się troszczyć.

– To wszystko twoja wina! – krzyknął do niej Yi Min.

– Gdybyś tak nie wystawiała się na pokaz w moim namiocie, nigdy bym się nie znalazł w takich opałach.

Oskarżenie było tak niesprawiedliwe, że odjęło jej mowę. Zanim była w stanie odpowiedzieć, jeden z diabłów wydał ostrzegawczy syk. Aptekarz przestał mówić, ale nadal wpatrywał się w nią. Odpowiedziała mu spojrzeniem. Po około półgodzinnym locie samolot-ważka wylądował w pobliżu znacznie większych maszyn. Diabły z karabinami kazały im obojgu wysiąść. Poprowadziły ich do jednej z tych maszyn, a potem kazały wejść po drabinie do jej brzucha. Inaczej niż w samolotach-ważkach siedzenia tutaj były wyściełane, ale nadal za małe. Przy siedzeniach były zamontowane pasy. Diabełek, który na nich czekał, zapiął pasy tak, że Liu Hań nie mogła dosięgnąć zapięcia bez względu na usiłowania. Strach powrócił. Yi Min kręcił się nawet bardziej niż ona. Drzwi na zewnątrz zatrzęsły się. Diabeł przesunął dźwignię i upewnił się, czy są dobrze zamknięte, po czym wspiął się po drabinie do wyżej położonego pomieszczenia, pozostawiając dwoje ludzi samotnych i bezsilnych.

– Twoja wina – powtórzył Yi Min.

Przez jakiś czas gadał w kółko to samo. Liu Hań przestała go słuchać. Najwidoczniej nic nigdy nie działo się z jego winy. Jeśli ktoś w to nie wierzył, wystarczyło aby go zapytał. Maszyna drgnęła pod nimi bez ostrzeżenia.

– Trzęsienie ziemi – wrzasnęła Liu Hań.

– Zmiażdży nas, zabije...

Nigdy w życiu nie słyszała takiego ryku towarzyszącego nie kończącym się wstrząsom. Poczowała się nagle tak, jakby dwóch albo trzech ludzi – albo ceglany mur obalony przez trzęsienie ziemi – runęły na nią. Próbowwała krzyknąć, ale wydobyła z siebie tylko charkot; straszliwy miażdżący ją ciężar nie pozwalał oddychać. Po chwili hałas ucichł. Pozostał tylko przytłumiony łoskot i niezbyt

głośne mechaniczne stuki.

– Co się z nami dzieje Yi Min? – szepnęła.

Chociaż nie znosiła go z całego serca, był jedyną ludzką istotą znajdującą się oprócz niej w tej diabelskiej pułapce. Ponadto, był wykształcony. Mógł znać odpowiedź.

– Jeździłem koleją – odparł.

Jego głos wydobywał się w serii pełnych napięcia jęków.

– Kiedy pociąg rusza, czujesz jak coś wciska tobie plecy w oparcie. Ale nie tak mocno jak tu.

– Pewno, że nie jak tu. To nie jest pociąg – powiedziała pogardliwie Liu Hań.

Jego słowa nie usatysfakcjonowały jej bardziej niż jego ciało. Łoskot gwałtownie ustał. W tym samym momencie zniknął również nacisk przytłaczający klatkę piersiową Liu Hań. Wydawało się jej, że jest lekka jak piórko. Gdyby nie pasy, które ją trzymały, byłaby w stanie odpłynąć z krzesła, a nawet popfrunąć jak sroka. Przeniknęła ją radość, której wcześniej nie знаła.

– To cudowne – krzyknęła.

Jedyną odpowiedzią Yi Mina był ohydny bulgotliwy odgłos, który kojarzył się jej z rybą usiłującą zaczerpnąć powietrza po wyciągnięciu z sadzawki. Przekręciła głowę, żeby na niego popatrzeć. Twarz miał bladą jak prześcieradło.

– Nie będę wymiotował – szeptał z zapalem, jakby chciał zmusić się do wiary we własne słowa.

– Nie będę wymiotował.

Na policzki i czoło wystąpiły mu grube krople potu. Trząś się, próbując opanować zbuntowany żołądek. Liu Hań przyglądała się zafascynowana, jak kropla potu oderwała się od jego skóry i nie spadła. Zawisała prawie bez ruchu w powietrzu, jakby przytwierdzona do sufitu niewidzialną nicią pajęczą. Ale tu nie było przecież pajęczyn. Yi Min wydał jeszcze jeden bulgot, głośniejszy niż poprzednie. Liu Hań miała nadzieję, że mężczyzna nie będzie wymiotował. Jeśli jego wymiociny zawisną w powietrzu tak jak kropla potu, to prawdopodobnie go zaduszą, a jeśli popłyną, to mogą zadusić ją.

– Po... popatrz na diabła, Liu Hań – powiedział drżącym głosem aptekarz.

Liu Hań zwróciła głowę w stronę drabinki, po której niedawno wspiął się łuskoskóry diabełek. Stał tam znowu. Przyglądał się dwojgu ludziom swoimi przerażającymi, ruchomymi oczami. Ale te oczy były jedyną przerażającą rzeczą w całej diabelskiej postaci. Jaszczur szybował głową w dół o kilka metrów nad Liu Hań. Stopami i dłońmi nie dotykał niczego. Nie spadał – tak jak kropla potu Yi Mina. Kiedy stwierdził, że ludzie nie mogą uciec, przekręcił się w powietrzu nogami w ich stronę. Ten manewr wyglądał jak taniec w trzech wymiarach. Liu Hań po raz pierwszy pomyślała, że diabły mogą mieć wdzięk. Jaszczur wyciągnął rękę, chwycił za szczebel drabinki i odepchnął się. Tak, jak spodziewała się Liu Hań, popłynął w górę, w stronę swojej kabiny.

– Czyż nie jest to najbardziej niesamowita rzecz, jaką widziałeś w życiu? – zapytała.

– To niemożliwe – stwierdził Yi Min.

– Kto wie, co jest możliwe dla diabłów? – zapytała Liu Hań.

Mimo mdłości Yi Min popatrzył na nią. Nie od razu zrozumiała jego wyraz twarzy. Pojęła, że nie myśląc o tym, zwróciła się do niego jak do równego sobie. Choć to nie wypadało, to tutaj w szponach diabłów byli sobie równi. Byli równi w nieszczęściu. A z ich dwojga ona lepiej dawała sobie radę w tym dziwnym, chciałoby się rzec, nieprawdopodobnym miejscu. Gdyby Yi Min dał jej reprimendę, wskazał, gdzie jest jej miejsce, które zajmowała przez całe dotychczasowe życie, to zapewne przyjęłaby to bez mrugnięcia okiem. Ale nie zrobił tego; był zbyt zajęty mdłościami i za bardzo wystraszony. Z tego powodu pewne sprawy w ich stosunkach zmieniły się na zawsze w ciągu

kilku minut milczenia. Nie wiedziała jak długo już przebywają w stanie, w którym nie czuje się własnego ciężaru. Podobało się jej to bardzo. Chciałaby tylko móc sobie poszybować w powietrzu i wykręcać ciało tak, jak to zrobił łuskokóry diabełek. Yi Min leżał bezwładnie na swoim siedzeniu. Co chwila wydawał z siebie dźwięki, jakby miał zamiar wymiotować. Liu Hań robiła co mogła, żeby się z niego nie śmiać. Słyszała odgłosy w samolocie, którym lecieli: stuki i syki, na które Liu Hań nie zwracała większej uwagi. Ale nie można było zignorować dochodzącego po pewnym czasie metalicznego łoskotu i tarcia.

– Czy to katastrofa? – zapytała.

– Skąd mam wiedzieć? – Yi Min odpowiedział słabym głosem, po raz kolejny pomniejszając swe znaczenie w jej oczach.

Nie było katastrofy. Jeszcze dziwniejsze odgłosy zaczęły dobiegać z przodu samolotu, potem doszły do ich uszu chropawe dźwięki mowy łuskokórych diabłów. Trzy diabły wpłynęły do przedziału, w którym siedziała Liu Hań. Strach powrócił, bo dwa demony nosiły noże tak długie, że przypominały miecze. Wcześniej wyobrażała sobie wymioty Yi Mina szybujące w powietrzu jak śmierdząca mgła. Teraz, w wyobraźni dojrzała czerwoną mgielkę jej własnej krwi wypełniającą pomieszczenie. Przeszedł ją dreszcz, skuliła się jak mogła. Diabeł z nożem-mieczem spłynął ku niej i sięgnął ręką w jej stronę. Znowu zadrżała. Nawet pieszczoty Yi Mina były tysiąc razy lepsze niż dotknięcie pokrytego łuską diabła. Ale stwór odpiął tylko pasy, którymi przywiązana była do fotela. Potem to samo zrobił przy fotelu aptekarza. Kiedy oboje byli wolni, diabeł wskazał kierunek, skąd przybył wraz z towarzyszami. Nagle, w niemal oślepiającym momencie, Liu Hań pojęła, że uzbrojone diabły były tu po to, żeby chronić inne demony przed nią i Yi Minem. Tak, jak nie była w stanie wyobrazić sobie, że może rozmawiać z Yi Minem jak równy z równym, nie wyobrażała też sobie, że zwyczajny człowiek może być niebezpieczny dla diabłów. I znowu coś zmieniło się na lepsze w jej spojrzeniu na świat Yi Min z wahaniem wybełkotał coś w języku diabłów. Ten, który go uwolnił, odpowiedział.

– Co on powiedział? – zapytała Liu Hań tonem, który wskazywał, że ma prawo wiedzieć.

– Żebyśmy poszli tędy – odparł Yi Min pokazując tę samą stronę, co diabełek.

– Powiedział, że nie zrobią nam krzywdy, jeśli będziemy ich słuchać.

Liu Hań odepchnęła się od ramion fotela. Wzleciała do góry. Była lżejsza niż piórko. Łuskokóry diabeł schwycił ją, ale tylko po to, żeby zmienić tor jej lotu. Yi Min podążył za nią. Ciągle miał odruch wymiotny. Pomieszczenie, z którego wyszły diabły, nie było mniejsze niż to, w którym więzili ludzi. Jedna ściana pokryta była tarczami zegarów, guzikami i ekranami. Unosił się przed nimi łuskokóry diabeł z mieczykiem. Syknał na Liu Hań, jakby ostrzegając ją, żeby się nie zbliżała. Chciało się jej z niego śmiać; wcale nie miała zamiaru się zbliżyć. Małe ciało diabła nie zasłaniało wszystkich ekranów. Jeden z nich ukazywał przesuwające się powoli błękitne i brązowe kształty. Wyglądały tak, jakby widziane były z oddali. Piękne kolorowe plamy miały ostre, wyraźne krawędzie; ponad nimi była tylko czerń.

– Patrz Yi Min – powiedziała Liu Hań.

– Jakie ładne obrazki robią. Ciekawe, co to jest?

Yi Min popatrzył na obraz, pokazał go palcem i zapytał w języku diabłów jednego z pilnujących ich strażników. Odpowiedź była dość długa. Yi Min przerywał kilkakrotnie nowymi pytaniami.

– To Ziemia, która obraca się wiele kilometrów pod nami – powiedział aptekarz.

– Liu Hań, to nasz cały świat. Zachodnie diabły, z którymi studiowałem, miały rację, świat jest naprawdę okrągły jak piłka.

Liu Hań zachowała swój pogląd na to dla siebie. Świat zawsze wydawał się jej płaski. Ale

rzeczywiście, wyglądał tak, jakby był okrągły. Nie było teraz czasu, żeby się nad tym zastanawiać; były inne, ważniejsze problemy. Łuskokóry diabeł syknął ponagłajaco i pokazał mieczem kierunek. Schwyciła za coś, co wyglądało jak poręcz i przeszła przez następny otwór. Inne dwa uzbrojone diabły czekały w znacznie większym pomieszczeniu po drugiej stronie. Wskazały w stronę okrągłego przejścia w wypukłej ścianie. Liu Hań posłusznie poszybowała w tym kierunku. Dookoła przejścia umieszczone były poręcze dla tych, którzy mieliby kłopot z utrzymaniem równowagi. Liu Hań nie miała. O mały włos nie zderzyła się z diabłem czekającym wewnątrz tunelu. Yi Min nie trafił w otwór i musiał skorzystać z poręczy. Gdy wyszedł z przejścia, trzymał się za zwichnięty przegub ręki i przeklinał pod nosem. Za nim płynęły dwa diabły. Przeprowadzenie korytarzem była najdziwniejszą podróżą w życiu Liu Hań, przewyższającą nawet lot ryczącym samolotem, w którym ciało nic nie ważyło. Im bardziej oddalała się od wejścia do tunelu, tym bardziej jej ciało stawało się cięższe. Najpierw szybowała, potem skakała, wreszcie szła długimi krokami, by skończyć idąc zwyczajnie. Wtedy jej ciało ważyło mniej więcej tyle, ile powinno.

– Jak oni to robią? – zapytała Yi Mina; był, w końcu, jedynym człowiekiem tutaj, mógł też o to zapytać diabłów w ich własnej mowie.

Liu Hań tego nie potrafiła, ale zaczęła się zastanawiać, czemu właściwie nie miałyby się nauczyć diabelskiego języka. Mówił, słuchał, mówił, słuchał, wreszcie dał za wygraną.

– Nie rozumiem, to ma coś wspólnego z kręceniem się dookoła, ale w jaki sposób wpływa to na wagę naszych ciał? – wytarł spocone czoło rękawem.

– Tu jest za gorąco.

– Rzeczywiście – powiedziała Liu Hań.

Było gorąco jak w środku lata, ale nie było tak wilgotno. To trochę pomagało. Diabłom upał służył. Przypomniała sobie, jak rozgrzana była mata, na której siedział diabeł, odwiedzający ich parę godzin temu w namiocie. A ten chrześcijański kaznodzieja, którego spotkała dawno temu, mówił, że diabły żyją w gorących miejscach. Nie wzięła tego na serio, ale jak widać wiedział, o czym mówił. Być może, jako że sam był zachodnim diabłem, miał więcej wspólnego z diabłami niż zwyczajny Chińczyk. Uzbrojone demony wprowadziły dwoje ludzi do innego korytarza. Obok przemykały się inne diabły. Niektóre z nich kierowały swoje oczy w stronę Liu Hań i Yi Mina. Większość ignorowała ich obecność. Eskorta zaprowadziła Liu Hań i Yi Mina do dużego pokoju. W środku było kilka diabłów pokrytych malowidłami bardziej fantastycznymi niż u innych demonów. Mata, na której siedziały, nie była przykryta zwyczajną bawełnianą tkaniną, ale gładkim lśniącem materiałem, wykonanym najwyraźniej w jakiejś diabelskiej fabryce. Jeden z obecnych tu diabłów zaskoczył Liu Hań odzywając się po chińsku. To, co powiedział, zaskoczyło ją jeszcze bardziej.

– Wy dwa pieprzyć się teraz.

Gapiła się na niego, zastanawiając się, czy dobrze zrozumiała; diabeł bowiem mówił z koszmarnym akcentem; a czy demon wie, co mówi? Z pewną ulgą spostrzegła, że Yi Min jest również zaskoczony i zbity z tropu jak ona. Wycierpieli tyle strachu i zobaczyli tyle dziwów, żeby na końcu drogi dowiedzieć się, że mają spółkować. Zaczęła myśleć o małych łuskokórych diabłach w sposób, który wcześniej się jej nie zdarzał.

– Wy dwa pieprzyć się teraz – powtórzył diabeł.

– Nie – odparła. Słowo wyleciało jej z ust zanim pomyślała o konsekwencjach.

– Nie – powtórzył jak echo Yi Min, co jej bardzo nie zdziwiło.

Dopiero co ją miał. Niewielu mężczyzn chciałoby tego spróbować ze świadomością, że może im się nie udać.

– Nie pieprzyć się, nie wyjść – rzekł łuskokóry diabeł.

Liu Hań i Yi Min patrzyli na siebie w przerażeniu. Mniejsza o to, jak interesująca była dotychczasowa podróż, Liu Hań nie chciała spędzić reszty swego życia w towarzystwie diabłów i Yi Mina. Ale nie chciała się też obnażać wobec diabłów.

– Jesteście zboczeńcami, jeśli myślicie, że zrobimy dla was przedstawienie – wybuchła.

– Odejdźcie i zostawcie nas samych, wtedy zobaczymy.

– Nie możesz do nich tak mówić – szepnął strachliwie Yi Min.

Ale diabeł, który znał chiński, zasyczał coś do pozostałych. Jeden za drugim wyszli z komnaty. Ostatni zamknął drzwi. Trzasnął zamek. Diabły, ku jej zdziwieniu, zostawiły ich samych, ale nie zmieniły zamiarów. Liu Hań rozejrzała się. Po wyjściu łuskoskórych diabłów, komnata była zupełnie pusta: ani jedzenia, ani wody, ani nocnego naczynia. Tylko ta przeklęta błyszcząca mata. Przeniosła wzrok z maty na Yi Mina. Chciałaby myśleć inaczej, ale była przekonana, że drzwi nie otworzą się ponownie, dopóki nie zrobi z aptekarzem tego, czego zażyczyły sobie diabły. Zrezygnowana zaczęła ściągać z siebie ubranie.

– Co robisz? – zapytał Yi Min.

– A jak myślisz? Chcę to mieć za sobą. – odparła.

– Jeśli mam wybór między tobą a diabłami, to wolę już ciebie. Ale jeśli wrócimy do obozu, więcej mnie nie dotkniesz.

To ostrzeżenie było blefem i wiedziała o tym. W obozie nie miała rodziny, która obroniłaby ją przed aptekarzem, a on był większy i silniejszy od niej. Ale Yi Min nie sprzeczał się.

– Będzie jak chcesz – mruknął i zaczął rozpinać spodnie.

Opadły na metalową podłogę komnaty. Tym razem nie poszło mu łatwo. Musiała mu pomagać ręką, a potem ustami, zanim doznał wzwołu. Poruszał się w niej powoli i ostrożnie. Oszczędzał siły. Zajął mu bardzo wiele czasu, zanim doznał wytrysku. Może właśnie fakt, że tak długo to trwało pozwolił Liu Hań osiągnąć tym razem moment deszczu i chmur. Później jednak pomyślała, że powód był inny – po raz pierwszy uprawiali seks dlatego, że sama chciała, a nie dlatego, że ją zmuszono. To prawda, że wybór nie był wielki – Yi Min albo diabły – ale jej własny. A to wielka różnica. Aptekarz nadal sapał, mimo że już się z niej stoczył

– Zastanawiam się, co znaczy to mrugające światełko, tam w rogu pod sufitem – powiedział, pokazując palcem.

– Nie zauważyłam – przyznała.

To ją zdenerwowało. Jak do tej pory bardziej ją w takich momentach interesowało otoczenie niż to, co z nią robił Yi Min. Teraz, gdy znaleźli się w nowym i fascynującym otoczeniu, głupie ciało nie pozwoliło jej podziwiać wszystkiego, co było godne podziwu. Spojrzała na sufit.

– Nie ma go tam teraz.

– Było – powiedział Yi Min. Liu Hań ubrała się, podeszła do drzwi i zapukała w nie kilka razy.

– Dotrzymaliśmy swojej części umowy – powiedziała.

– Teraz wy, diabły, dotrzymajcie swojej.

Czy to z powodu hałasu, jakiego narobiła, czy też dla innej przyczyny, drzwi otworzyły się parę minut później. Otworzył je diabeł, który mówił po chińsku.

– Wy iść – powiedział wskazując na nią i Yi Mina.

Poszła bez sprzeciwu; wszystkie inne możliwości wyglądały gorzej. Yi Min szedł tuż za nią. Skinęła powoli głową, gdy to spostrzegła. Tutaj ona przejęła prowadzenie, jak w dopiero co zakończonej kopulacji, jakby do tego miała prawo. Zastanawiała się, czy zawsze odbywa się to w tak prosty sposób. Z pewnością nie tak łatwo było z łuskoskórymi diabłami, szczególnie tutaj, w ich mateczniku. Była świadoma faktu, że jest w ich mocy. Schyliła się, żeby przejść do komnaty, do

której zaprowadził ją diabeł. To samo zrobił Yi Min; był wyższy, więc musiał się niżej pochylić. Gdyby dłużej mieli zabawić w tym dziwnym miejscu, zapewne ciągle nabijaliby sobie guzy przechodząc przez drzwi. Diabły, które przyjęły ich w poprzedniej komnacie, a przynajmniej ta sama ilość diabłów, Li u Hań nadal niezbyt je rozróżniała, zgromadziły się teraz wokół czegoś, co wyglądało jak wysoki piedestał bez pomnika. Odwróciły głowy, kiedy wprowadzano ludzi. Rozwarły szczęki niemal jednocześnie. Liu Hań nie podobał się widok tyłu ostrych zębów naraz.

– Ty patrzeć, ty pieprzyć – powiedział łuskoskóry diabeł, który znał chiński.

Liu Hań nie rozumiała. Zwróciła się do Yi Mina:

– Co ten diabełek usiłuje nam powiedzieć? Spróbuj się dowiedzieć, skoro mówisz ich językiem.

Yi Min wydał z siebie kilka syczących i bulgoczących dźwięków. Liu Hań słuchała stropiona. Jakże łatwo było wymóc na nim, co się chciało, wystarczyło powiedzieć mu stanowczym tonem, żeby to zrobił. W tym niesamowitym miejscu jego męska arogancja gdzieś się ulotniła; nie był tu już panem i wiedział o tym.

– Diabeł powiedział, że zobaczymy siebie w trakcie stosunku – oznajmił Yi Min po parominutowej wymianie zdań.

– To jest tak samo w jego mowie, jak po chińsku. Jest pewien. On... Aptekarz wreszcie się zamknął.

Jeden z diabłów znużony całą tą gadaniną włożył pazurzasty palec w zagłębienie u szczytu piedestału. Ponad nim ukazał się obraz: dwoje ludzi uprawiających miłość na lśniącej macie w komnacie, z której przyszli. Liu Hań wpatrywała się. Kilka razy wydała trochę miedziaków, żeby obejrzeć ruchome obrazy, ale to, co teraz widziała nie było zwyczajnymi ruchomymi obrazami. Zamiast różnych odcieni szarości widziała perfekcyjnie oddane kolory ciała, poza tym obraz był trójwymiarowy a nie płaski, a kiedy postąpiła o krok, odkryła, że widok zmieniał się w zależności od tego, z której strony patrzyła. Obeszła piedestał i obejrzała siebie i Yi Mina ze wszystkich stron. Diabły przypatrywały się jej, a nie obrazowi. Znowu rozwarły szczęki. Była pewna, że śmieją się z niej. I nie było się czemu dziwić; oto leżała tu w miniaturze i robiła publicznie to, co jak sądziła, odbywało się prywatnie. Trzecia różnica między tym, co teraz widziała a zwyczajnymi ruchomymi obrazami to fakt, że oglądała samą siebie. Znienawidziła diabełki za obrażające ją zachowanie.

– Wy ludzie, wy pieprzyć się każdy czas, nie ma sezon? – zapytał chińskojęzyczny diabeł.

– Tak robić wszyscy ludzie?

– Oczywiście, że tak – wysapała Liu Hań.

Yi Min nic nie powiedział. Patrzył, jak jego mięsiste pośladki poruszały się w górę i w dół, przechylał głowę, żeby lepiej wszystko zobaczyć. Był zdania, że to fantastyczna rzecz zostać bohaterem filmu.

– Każdy mężczyzna pieprzyć kobieta kiedy chce? – zapytał diabeł.

– Tak, tak, tak – Liu Hań krzyczała na tę wstrętą małą kreaturę.

Czy nie wie, co to przyzwoitość? Ale któż może wiedzieć, co jest przyzwoite dla diabła? Diabły zaczęły gadać między sobą. Co chwila któryś wskazywał na dwoje ludzi. Denerwowało to Liu Hań. Diabły mówiły coraz głośniej.

– Kłóć się. Niektóre nam nie wierzą – powiedział Yi Min.

– Jakie to może mieć dla nich znaczenie? – odezwała się Liu Hań

Aptekarz pokręcił głową. Też nie wiedział. Ale mówiący po chińsku łuskoskóry diabeł wkrótce wyjaśnił im o co chodzi:

– Może to pieprzenie robić, że wy Wielkie Brzydale być takie inne niż Rasa. Może pieprzenie o każdy czas, każdy mężczyzna, każda kobieta robić, że wy tacy... – musiał naradzić się trochę z Yi

Minem zanim znalazł właściwe słowo.

– Tacy postępowi. Tak. Postępowi.

Liu Hań rozumiała słowa i zdania, ale nie chwyciła myśli w nich zawartej. „Postępowy” – to było dla niej słowo z propagandy komunistycznej, które znaczyło tyle, co „wspólny cel”. O ile zdążyła zauważyć, ludzie i łuskokóre diabły nie miały żadnego wspólnego celu. Raczej przeciwnie, słowo „postępowy” użyto dla określenia zupełnie sprzecznych celów. Nie mogła zapytać diabłów, bo znowu zaczęły się kłócić. Potem ten, który mówił po chińsku powiedział:

– Sprawdzić, czy mówisz prawdę. Zrobić test. Zrobić... – znowu, wspólnie z Yi Minem, zaczął szukać odpowiedniego słowa.

– Zrobić eksperyment. Przyprowadzić dla mężczyzna wiele kobieta tutaj, dla kobieta, wiele mężczyzn. Zobaczyć, czy pieprzyć cały czas.

Kiedy Yi Min zrozumiał sens tych słów, poprawił jego błędy gramatyczne, pokrętną składnię i uśmiechnął się rozanielony. Liu Hań patrzyła z przerażeniem i niedowierzaniem na małego diabła, który wyglądał jakby był zadowolony z własnego sprytu. Wcześniej zastanawiała się, co byłoby gorsze niż przebywanie w tym obcym, nieprzyjemnym miejscu. Teraz wiedziała. Bobby Fiore podniósł kamień i cisnął nim w stronę zmiętego kawałka papieru leżącego o kilka centymetrów. Roześmiał się gorzko. Rzucił kamienie odkąd schwytały go jaszczury, bo to najbardziej przypominało mu baseball. Nie ośmieliłby się robić tego w pobliżu granicy obozu. Kiedy ostatnio ktoś rzucił kamieniem w jaszczura, natychmiast zastrzelono pięciu ludzi. Wtedy rzuty kamieniem ustały. Jeden z żyroplanów jaszczurów nadleciał z północnego zachodu. Wylądował w obozie tuż przy płocie postawionym w poprzek półwyspu, na którym znajdowało się miasto Cairo, stan Illinois. Fiore znalazł jeszcze jeden kamień. Cisnął nim i znów gorzko się roześmiał. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek wróci do Cairo, albo w jego pobliże. Grał tu w Kitty League, klasa D. To był 1931, a może 1932 rok. Niewiele sobie przypominał z tamtych czasów. Pamiętał tylko, że miasteczko było zabawne. I takie pozostało. Okręzał je wał ziemny zapobiegający wylewom Missisipi i Ohio; miasteczko leżało u zbiegu tych rzek. Na szczycie bariery położonej od wschodu rosły magnolie i rododendrony. Nadawały Cairo atmosferę Południa, która w Illinois wydawała się trochę nie na miejscu. Także to poczucie, że żyje się w dawnych dobrych czasach miało w sobie coś południowego. Miasteczko miało ambicję, by stać się głównym portem dla parostatków kursujących po Missisipi. Nie doszło do tego. Teraz zyskiwało sławę jako obóz jeniecki urządzony przez jaszczury. Fiore pomyślał, że pomysł był dobry. Z trzech stron otaczała ich woda, jaszczury zniszczyły tylko most na Missisipi i wzniosły parkan wzdłuż nasady półwyspu Cairo Point. Nie miały kanonierek na rzece, ale ustawiły swoich żołnierzy z karabinami maszynowymi i rakietami na wale ziemnym, i na drugim brzegu. Można było przyjąć, że paru łodziom uda się prześliznąć pod osłoną nocy, ale znacznie więcej zostanie zatopionych. Fiore włóczył się, aż dotarł do parkanu. To nie był klasyczny drut kolczasty. Wyglądał raczej jak długie taśmy wąskich, obosiecznych brzytw. Spełniały swe przeznaczenie równie dobrze jak drut. Po drugiej stronie płotu – po stronie wolności – jaszczury wzniosły wieże strażnicze. Wyglądały prawie tak samo jak w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Żołnierz stojący na najbliższej, właśnie wycelował lufę karabinu maszynowego w Fiorego.

– Precz! Precz! Precz! – krzyknął.

Było to prawdopodobnie jedyne słowo, jakie znał po angielsku. Póki miał ten kaem, było to jedyne słowo, jakiego potrzebował. Bobby poszedł precz, precz, precz. Polecen strażnika obozowego nie wykonuje się tylko raz w życiu. Fiore przygarbił się, gdy szedł drogą nr 51 w głąb obozu. Stany Zjednoczone przygotowywały się do tego, żeby skopać tyłki Japonii i Niemcom. Każdy

to wiedział. Każdy to popierał. A potem, nagle, bez ostrzeżenia, w samym sercu USA powstał obóz koncentracyjny. Prawdopodobnie takich obozów było mnóstwo. Nie w tym rzecz, że wydawało się to nie na miejscu. Chodzi o to, że wyglądało to wręcz nieprawdopodobnie: Upaść tak nisko, żeby siedzieć w obozie jak jakiś Polak, Włoch albo Rosjanin, albo nawet nieszczęsny Filipinczyk! Amerykanie nie byli stworzeni do czegoś takiego. I oto dopadło to ich we własnym kraju. Dreptał środkiem autostrady. Myślał o tym, gdzie są jego rodzice. Z Pittsburgha nie docierały do niego żadne wieści, odkąd pojawiły się jaszczury. Kiedy dotarł do Cairo, droga nr 51 zmieniła nazwę na ulicę Sykomoro w. Fiore szedł po białej linii wymalowanej pośrodku asfaltu. Nie było samochodów. Pozostało po nich wspomnienie w postaci kilkunastu wypalonych karoserii. To były te wozy, które próbowały wyjechać z miasta. Tylko garstka ludzi – dziewięćdziesięciolatek – pamiętała, kiedy ostatni raz wojna była prowadzona na amerykańskiej ziemi. Teraz wojna toczyła się tu znowu. Zupełnie nie chciana wojna. Ulicą, w stronę Fiorego, zbliżał się kolorowy. Facet pchał dziecięcy wózek. Dzwonek, który noszą krowy przymocowany do wygiętego wieszaka na ubrania, ogłaszał jego przybycie. Jakby to nie wystarczyło, kolorowy wykrzykiwał śpiewnie co kilka kroków:

– Placki meksykańskie! Gorące placki meksykańskie!

– Ile dzisiaj kosztują? – zapytał Fiore, gdy sprzedawca gorących placków podszedł bliżej.

Murzyn zmarszczył czoło:

– Dolar od sztuki będzie w sam raz.

– Jezu. Jesteś cholernym zdziercą i dobrze o tym wiesz! – wrzasnął Fiore.

Sprzedawca placków spojrzał na niego tak, jak nigdy do tej pory Murzyn nie ośmieliłby się na niego patrzeć. Odpowiedział chłodnym, pełnym dystansu głosem:

– Jak ty nie kupisz, przyjacielu, to znajdzie się cała kupa innych chętnych.

– Cholera.

Fiore odpiął kieszeń i wyciągnął portfel.

– Daj mi dwa.

– Okay, szefie – powiedział kolorowy, ale dopiero, gdy banknoty znalazły się w jego ręce.

Otworzył wieczko i za pomocą szczypiec wyciągnął placki. Zanim podał je Fioremu, dmuchnął na nie. Za coś takiego, przed wojną, kontrolerzy Ministerstwa Zdrowia rzuciliby się na sprzedawcę jak sępy. Bobbiemu też się nie podobało, że Murzyn dmucha na jego gorące placki, ale nic nie powiedział. Był zadowolony, że ma pieniądze, aby je kupić. Kiedy jaszczury wypchnęły go ze swego żyropłatu, miał w kieszeni dwa dolary dwadzieścia siedem centów, wliczając w to jego szczęśliwą ćwierćdolarówkę. Wystarczyło, żeby zagrać w pokera. Ciągące się w nieskończoność godziny podróży pociągiem i autobusem od miasta do miasta wyrobiły u Bobbiego zdolności do hazardu. Zawsze był lepszy od miejscowych, z którymi zasiadał do gry. W portfelu szeleściły mu teraz nowe banknoty. Wgryzł się w placek z mięsno-warzywnym nadzieniem. Żuł powoli, starając się rozpoznać zawartość farszu. To nie była wołowina ani mięso z kurczaka, jak w plackach, które kupował kilka dni temu. Smakowało inaczej, jakby ostrzej, prawie jak cynaderki, ale to nie było to. Do głowy przyszło mu powiedzonko, którego przed laty używał ojciec: „czasy są ciężkie, będziemy musieli jeść króliki z dachu”. Nagle, jego podejrzenia nabrały konkretnego kształtu:

– Ty sukinsynu! – ryknął krztusząc się jedzeniem.

– To kocie mięso! Sprzedawca placków nie zaprzeczył:

– I co z tego? – powiedział.

– To jedyne dostępne mięso. Chyba pan zauważył, że nikt nie dostarcza żywności do Cairo w ostatnich czasach?

– Powinienem zbić cię na kwaśne jabłko za to, że dajesz białemu kocie mięso – wykrztusił

Fiore.

Byłby to pewnie zrobił, gdyby nie fakt, że w obu rękach trzymał po placku. Ta groźba powinna wystarczyć, żeby Murzyn dostał gęziej skórki. Cairo nie tylko wyglądało jak miasto Południa. Panowały tu także południowe obyczaje. Żywa była tutaj pogarda dla Murzynów. Dzieci kolorowych chodziły do odrębnych szkół. Ich matki pracowały jako służba domowa, a ojcowie byli tragarzami na przystaniach albo niewykwalifikowanymi robotnikami w fabrykach. Woleli nie burzyć porządku, który zastali. Ale sprzedawca placków był inny. Popatrzył przeciągle na Bobbiego Fiore.

– Panie, nie mogę sprzedać czegoś, czego nie mam. A jeśli mnie pan uderzy, to może panu nie oddam, chociaż nie wyglądasz pan na takiego wielkiego twardziela. Ale wiesz pan, co zrobię? Powiem wszystko jaszczurom. One wszystkich tutaj traktują jak czarnuchów. Biały, czy czarny, to dla nich żadna różnica. Nie jesteśmy wolni, ale przynajmniej jesteśmy równi.

Fiore gapił się na niego z szeroko otwartymi ustami. Murzyn odpowiedział mu spojrzeniem. Potem skinął głową tak przyjacielsko, jakby rozmawiali właśnie o pogodzie i zaczął dalej pchać swój wózek ulicą. Zabrzęczał dzwonek.

– Gorące placki meksykańskie! Kupujcie gorące placki!

Fiore popatrzył na dwa placki, które przed chwilą kupił. Jego ojciec wiedział, co to są ciężkie czasy. Jemu też się wydawało, że wie, ale się mylił. Ciężkie czasy są wtedy, kiedy jesz kocie mięso i jesteś z tego powodu szczęśliwy. Zjadł oba placki i z rozmysłem oblizał palce. Poszedł do centrum miasta. Usłyszał za sobą szuranie jaszczurzych pazurów na asfalcie. Obrócił się, żeby spojrzeć. To był błąd. Jaszczury wycelowały w niego karabiny. Jeden z nich wykonał gest – podejdź tutaj. Podszedł, przełykając ślinę. Jaszczury otoczyły go. Żaden z nich nie sięgał mu do ramienia. Ale to nie miało znaczenia – były uzbrojone. Doprowadziły go do parkanu. Kiedy przechodził obok sprzedawcy placków, tamten tylko się uśmiechnął.

– Dopadnę cię, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu! – krzyknął Fiore.

Sprzedawca roześmiał się na głos.

Rozdział VI

Warszawa znowu była świadkiem działań wojennych. Słyszeć było stukot karabinów, chrapliwe szorstkie niespodziewane ryki haubic, świst i wycie nadlatujących pocisków, huk kiedy uderzały, a potem łoskot powoli łamiących się murów. Mosze Rusie prawie tęsknił za czasami, gdy w odciętych od świata getcie śmierć przychodziła powoli, a nie jak teraz – znienacka. Chociaż trudno to było nazwać prawdziwą tęsknotą. Jak na ironię, Żydzi mogli chodzić po całym mieście teraz, gdy całe miasto stało się polem bitwy. Tak jak wcześniej Polacy walczyli do upadłego przeciwko przeważającym siłom niemieckim, tak teraz Niemcy bronili Warszawy przed siłami jaszczurów. Jaszczurzy samolot przeleciał z wyciem nad głowami. Był tak nisko, że nieomal można było go dotknąć. Leciał jednak za szybko, żeby działka przeciwlotnicze mogły mu coś zrobić. Jedną za drugą spadły bomby. Wybuchy, które nastąpiły w chwilę potem, były zbyt silne, żeby ich przyczyną były same bomby. Jaszczury musiały namierzyć niemieckie składy amunicji.

Jak każdy w Warszawie – Polak, Niemiec czy Żyd – Rusie stał się znawcą rodzajów eksplozji.

– Co mamy robić rebe Mosze? – zajączał mężczyzna w schronie.

Tak naprawdę, to siedzieli w pokoju na parterze solidnie zbudowanego domu, ale jak wie każdy kabalista, w nazwach tkwi siła, więc mówili o nim schron.

– Módl się – odparł Rusie.

Przyzwyczał się już do tytułu, którym uporczywie obdarzała go większość warszawskich Żydów. Znowu usłyszeli wybuchy.

Przez ich huk przedarł się głos mężczyzny:

– Za kogo mam się modlić? Za Niemców, którzy by nas zabili, czy za jaszczury, które zabijają każdego, kto stanie na ich drodze, to znaczy – zniszczą całą ludzkość?

– Co za pytanie, Icchaku? – włączył się inny człowiek.

– Jak rabin ma odpowiedzieć na takie pytanie? Żydowska żyłka do prowadzenia dyskusji zwyciężyła nawet w obliczu śmierci.

– A po co jest rabin, jeśli nie po to, żeby odpowiadać na takie pytania?

Rzeczywiście, pytanie dotyczyło najważniejszej w tym momencie sprawy. Rusie wiedział o tym doskonale. Znaleźć satysfakcjonującą odpowiedź było trudno, bardzo trudno. Przy kakofonii dźwięków: ryku, huku i wyciu samolotów, pocisków, i bomb, ludzie tulili się do siebie, i żeby zapomnieć o strachu klócili się.

– Dlaczego mielibyśmy cokolwiek robić dla zasranego hitlerowców. Chcą nas wymordować dlatego że jesteśmy Żydami.

– I tak są lepsi od jaszczurów, które chcą nas wymordować dlatego, że jesteśmy ludźmi. Pamiętaj o tym, co stało się z Berlinem. W jednej chwili tyle cierpienia, ile my doznaliśmy dotąd od Niemców w ciągu trzech lat.

– Zasłużyli na to. Bóg uczynił z Niemców naszą plagę, a z jaszczurów – plagę na Niemców.

Bliskie uderzenie bomby spowodowało, że z sufitu posypał się tynk na głowy ludzi siedzących w schronie. Ktoś zmienił temat dyskusji:

– Bóg stworzył jaszczury? Nie mogę w to uwierzyć. – Jeśli nie Bóg, to kto? – odparł ktoś.

Rusie wiedział, co by odpowiedzieli Polacy żyjący za zrujnowanym murem getta. Ale mniejsza o to, co myślą sobie goje. Żydzi nie nadawali wielkiego znaczenia diabłu. Jakże Bóg mógłby mieć rywala? Ale dopasowanie jaszczurów do Boskiego planu było trudną sprawą. Nawet jeśli je uznać za jedną z Jego plag. Niemcy okleili Warszawę plakatami przedstawiającymi żołnierza Wehrmachtu ponad nagimi, nadpalonymi trupami leżącymi w rumach Berlina. Podpis po niemiecku, polsku, a

nawet po żydowsku głosił: „On broni cię przed tym”. Był to skuteczny plakat. Rusie uznałby go za jeszcze bardziej skuteczny, gdyby nie to, że w getcie ciągle jeszcze leżało na ulicach dużo nagich trupów żydowskich. Trupów, ludzi, którzy zmarli z głodu, chorób i zginęli z rąk Niemców. Mimo to powiedział:

– Będę się modlił za Niemców tak jak za każdego wielkiego grzesznika.

Jego słowa spotkały się z sykami i drwiącymi okrzykami. Ktoś, Mosze pomyślał, że to Icchak, krzyknął:

– Ja też będę się modlił za Niemców. Będę się modlił, żeby ich cholera wzięła.

Rozległy się głośne okrzyki wyrażające aprobatę. Brzmiała w nich nuta profanacji. Nie jest to nastrój właściwy do modlitwy, pomyślał z goryczą Mosze.

– Dajcie mi dokończyć – zawołał Rusie.

Wrzawa nie ucichła, ale przynajmniej zrobiło się trochę ciszej. Zawdzięczał to faktowi, że uznano go za rabina, człowieka, którego słów warto słuchać.

– Będę się modlił za Niemców, ale im nie pomogę. Chcą nas zetrzeć z oblicza ziemi. Bez względu na to, jak źle te jaszczury potraktowały ludzkość, nie potraktują nas gorzej od innych. Toteż widzę w nich sąd Boski, który może jest surowy, ale nigdy nie jest niesprawiedliwy.

Żydzi zgromadzeni w schronie słuchali słów Rusiego, ale nie wszyscy go rozumieli. Dyskusja, przerywana dochodzącymi z zewnątrz odgłosami wybuchów, trwała dalej. Ktoś poklepał Rusiego po ramieniu. Był to gładko wygolony młodzieniec w czapce z daszkiem i obszarpanej tweedowej marynarce. Rusie był pewien, że jest o kilka lat młodszy od niego, dwudziestosześcioletka, a brak brody sprawiał, że nieznajomy wydawał się jeszcze młodszy.

– Czy nie zechciałbyś zrobić czegoś więcej, niż tylko stać z boku, kiedy jaszczury walczą z Niemcami, rebe Mosze? – zapytał.

Czekał na odpowiedź, wpatrując się uporczywie w Rusiego spod poplamionego daszka czapki.

– Cóż więcej mógłbym uczynić? – zapytał ostrożnie Rusie.

Chciał się odsunąć. Od czasów ostatniego egzaminu ustnego przed wojną, a może jeszcze wcześniej, nie był poddawany tak intensywnej obserwacji. Ten młody Żyd, wyglądający na niezbyt bogobojnego, miał oczy kłujące jak odłamki szkła.

– A kim ty jesteś?

– Jestem Mordechaj Anielewicz – odpowiedział młodzieniec.

Zdawkowy ton sprawiał, że nazwisko wydawało się nieistotne.

– A w sprawie tego, co mógłbyś zrobić...

Zbliżył głowę do Moszego. Rusie pomyślał, że to chyba nie dlatego, żeby ktoś mógł ich podsłuchać w hałasie, jaki panował w schronie.

– A to, o czym wspomniałem.. Mógłbyś nam pomóc, kiedy uderzymy na Niemców.

– Kiedy co zrobicie?

Rusie otworzył szeroko oczy.

– Kiedy uderzymy na Niemców – powtórzył Anielewicz.

– Mamy granaty, pistolety, kilka karabinów, a nawet jeden karabin maszynowy. Armia Krajowa ma tego znacznie więcej. Jeśli razem powstaniemy, to Niemcy nie będą w stanie walczyć jednocześnie przeciwko nam i jaszczurom, i Warszawa padnie. A my będziemy mogli się zemścić.

Jego wyraz twarzy – wychudzonej i bladej, jak twarze wszystkich Żydów, wyrażał nadzieję i oczekiwanie.

– Nie... nie wiem – Rusie zająknął się..

– Dlaczego sądzisz, że jaszczury będą lepszymi władcami niż Niemcy?

– A mogą być gorsi? – zapytał Anielewicz.

– Tego nie wiem, ale po wszystkich okrucieństwach, które widzieliśmy, kto wie, co może się zdarzyć? – powiedział Rusie.

– A Polacy czy naprawdę będą walczyć razem z wami, czy może staną z boku i pozwolą, żeby Niemcy urządzili wam rzeź?

Anielewicz wzruszył ramionami, jakby ten argument znany mu był od dawna:

– Większość z nich nienawidzi Niemców bardziej niż Żydów. A jeśli chodzi o tych, którzy żywią inne uczucia... cóż, są i tacy. Jeśli będziemy walczyć przeciwko Niemcom, wielu Polaków zmieni swój stosunek do nas. No, dalejże rebe Mosze. Dopiero co powiedziałaś, że jaszczury są narzędziem w ręku Boga, którym posłuży się, żeby uwolnić nas od Niemców. Powtórz to, kiedy zaczniemy powstanie. Wzmocnisz naszego ducha i przyciągniesz nowych bojowników naszej sprawy.

– Ale jaszczury to nawet nie są ludzie – powiedział Rusie.

– A hitlerowcy są ludźmi?

Anielewicz zmroził go wzrokiem.

– Tak – odparł po chwili Rusie.

– Są złymi ludźmi, ale jednak ludźmi. Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Ja...

Rusie przerwał, potrząsnął głową w rozpacz. Od kiedy Bóg dał mu znak, odkąd jaszczury przybyły na Ziemię, uważano go za kogoś ważnego, za kogoś, którego opinia się liczy. Mówili o nim rebe. Nawet Anielewicz tak mówił. Teraz doszedł do wniosku, że wraz ze wzrostem znaczenia pojawia się odpowiedzialność; od jego decyzji zależeć będzie życie setek, a nawet tysięcy ludzi. Nagle zaczął żałować, że nie jest już po prostu głodującym byłym studentem. Ale tego rodzaju życzeń Bóg nie spełniał. Rusie starał się odwlec moment rozstrzygnięcia.

– Do kiedy muszę podjąć decyzję? – zapytał.

– Uderzamy jutro w noc – odpowiedział Anielewicz.

Kilkoma szybkimi ruchami wśliznął się w tłum wypełniający schron. Rusie stracił go z oczu. Po chwili nastąpiła cisza. Nie zawyły syreny odwołujące alarm, ponieważ nalot bombowców jaszczurzych mógł się powtórzyć. Ludzie skorzystali jednak z ciszy, żeby wyjść ze schronu i poszukać najbliższych. Rusie, przepychając się wraz z innymi do wyjścia, szukał wzrokiem Anielewicza. Nie znalazł go. Każdy obszarpany Żyd wygląda tak samo, szczególnie, od tyłu. Rusie wyszedł na ulicę Glinianą, o kilka przecznic od przepelnionego cmentarza żydowskiego. Spojrzał w stronę kirkutu. Niemcy ustawili tam kilka dział przeciwlotniczych kalibru 88 milimetrów; długie lufy sterczały wśród poprzewracanych nagrobków jak monstrualne trąby słoni. Rusie widział żołnierzy chodzących wokół dział. Słońce odbijało się od matowej powierzchni ich hełmów. Hitlerowcy są przyczyną nędzy, śmierci i zniszczenia, pomyślał. Byli hitlerowcami, ale byli też ludźmi. Czy życie stanie się lepsze pod rządami stworów zwanych jaszczurami?

– Daj mi znak, Boże – błagał w milczeniu, jak w noc, kiedy przybyły jaszczury.

Jeden z artylerzystów stanął w rozkroku. Rusie zorientował się, co ten człowiek robi: oddaje moc. Śmiech Niemców dotarł do uszu Rusiego. Przepelniła go wściekłość, jak ten hitlerowiec śmie bezcześcić groby i rechotać. Zrozumiał, że to był właśnie znak. Oficer wywiadu położył przed Atvarem nowy stos dokumentów. Pan floty, zgodnie ze swoim zwyczajem przeglądał papiery, dopóki nie znalazł czegoś, co przyciągnęło jego uwagę. Tym razem procedura nie trwała długo. Przeczytał dokładnie już drugi z przedstawionych mu raportów, po czym zwrócił jedno oko w stronę samca, oficera wywiadu.

– Czy ten raport jest dokładny i potwierdzony?

– Który, dostojny panie floty? – oficer zerknął w dół, żeby zobaczyć, co Atvar trzyma w ręku.

– A, ten. Tak, dostojny panie floty. Nie ma możliwości pomyłki. Wielkie Brzydale w pewnym mieście cesarstwa Deutschland walczą pomiędzy sobą i to zażarcie.

– A nasłuchy radiowe? Też są godne zaufania? Oficer wywiadu nerwowo zamachał kikutem ogona.

– W tym wypadku nie jesteśmy już tacy pewni, dostojny panie floty. Jeden z tych języków zdaje się być bardzo podobny do niemieckiego, drugi nieco przypomina rosyjski – ci przekłęci Tosewici mają za dużo języków. Ale jeśli dobrze zrozumieliśmy przesłanie tych audycji, to jedna z walczących w mieście stron chce uzyskać naszą pomoc przeciwko drugiej.

– Czy to na pewno nie Niemcy wzywają naszej pomocy?

– Na cesarza, nie, dostojny panie floty – powiedział oficer wywiadu.

– Wzywają nas inni, ci, którzy z nimi walczą. Według naszych danych, obecne cesarstwo Deutschland można porównać do tandetnej budowli. Większość jego ziem została przyłączona w wyniku wojny, którą toczyli ze sobą Tosewici, gdy przybyła nasza flota. Niektórzy z mieszkańców są krnąbrni wobec sprawujących kontrolę samców Deutsche.

– Rozumiem – odparł Atvar, choć nie bardzo wiedział, co rozumie.

Był wytworem cesarstwa – tego jedyne – które trwało od tysięcy lat. Czasem czuł, że nie jest w stanie pojąć, jak można zbudować cesarstwo mając do dyspozycji tylko kilka lat, a w większości przypadków nie mając do dyspozycji nawet symbolu – cesarza – który łączyłby wszystkich poddanych.

Tosewici walczący przeciwko Deutsche zdają się być licznie reprezentowani w zdobytym przez nasze wojska obozie położonym na wschód od miasta, w którym trwają działania zbrojne.

– O jaki obóz chodzi? – zapytał Atvar; życie pana floty pełne było drobnych, fragmentarycznych informacji, które trudno zapamiętać.

Za chwilę syknął.

– Tak, przypominam sobie. To ten obóz. Jak się nazywa? Oficer wywiadu musiał sprawdzić w komputerze zanim odpowiedział.

– Nazywa się Treblinka, dostojny panie floty.

Tosewickie słowo, nawet w ustach samca należącego do Rasy, brzmiało chrapliwie i strasznie.

– Czy życzysz sobie obejrzeć hologramy, które nagrały nasze grupy uderzeniowe, kiedy zdobyły to miejsce?

– Nie, na cesarza! – odparł szybko Atvar.

– Raz wystarczy.

Rzeczywiście; raz było aż nadto. Atvar sądził, że jest zahartowany na okropności wojny. Odporności nie uzyskał w łatwy sposób; jego własne wojska odnosiły znacznie większe straty niż to przewidywano w najbardziej ponurych szacunkach, zanim flota opuściła rodzimą planetę. Ale wtedy nikt nie przypuszczał, że Tosewici zdolni są do prowadzenia wojny ery przemysłowej. To, co odkryły wojska pancerne Rasy w Treblince, nie było jednak wojną ery przemysłowej. Tu nie było nawet przemysłowego wykorzystania siły roboczej przestępców i jeńców. Rasa ma podobne obozy na wszystkich swoich planetach, a na Tosew 3 zdobyła takich wiele; szczególnie dużo było ich w SSSR; we wszystkich obozach warunki były nieporównywalnie gorsze niż w obozach prowadzonych przez Rasę; nie pozwoliłby na to w swej łaskawości cesarz Rasy. Ale Treblinka... panu floty nie był potrzebny komputer, żeby przywołać widok Treblinki. Nie mógł oderwać się od strasznych obrazów, które stanęły przed jego oczami. W Treblince nie było ani wojny ery przemysłowej, ani przemysłowej eksploatacji. Treblinka to był mord przemysłowy – masowe groby pełne Tosewitów zabitych strzałem w głowę. Zaprojektowano także ciężarówkę, których trujące wydzieliny

doprowadzane z silników do uszczelnionych komór, zbudowanych wcześniej przez Deutsche, mogły naraz mordować masy Wielkich Brzydali. Wywoływało to przekonanie, że starali się usilnie pozbyć za jednym zamachem jak największej liczby innych Wielkich Brzydali. Jeśli nawet Treblinka była tylko przykładem tego, jak jedni barbarzyńcy potrafią zadrzeć na śmierć innych, to było tego zbyt wiele; już sam widok tego wywoływał u Atvara mdłości. Skłoniło go to również do przemyśleń.

– Mówisz, że Tosewici, którzy teraz walczą z Deutsche w mieście należą do tej samej grupy, którą Deutsche mordowali?

– Analiza lingwistyczna i wstępne przesłuchania na to wskazują, dostojny panie floty – odpowiedział oficer wywiadu.

– Więc obiecujemy im pomoc i dostarczymy im jej – rzekł Atvar.

– Będzie tak, jak sobie dostojny pan floty życzy.

Ten oficer zasługuje na wyższy stopień, pomyślał Atvar. Starał się domyśleć z tonu odpowiedzi swego podwładnego, co sądzi o jego rozkazie. Bez względu na to, czy się z nim zgadza, czy uważa go za szaleństwo i tak go wykona. Samce Rasy były wdrażane do posłuszeństwa odkąd opuściły skorupy jaj.

– Mamy wreszcie okazję, żeby posłużyć się Wielkimi Brzydalami jako narzędziem, którym będziemy kierować. Pomimo strat, ich największe cesarstwa nie chcą się nam poddać. Italia się waha, ale...

– Tak, ale w Italii jest zbyt wielu żołnierzy Deutsche, żeby mogła działać samodzielnie – dodał samiec z wywiadu.

Był nie tylko posłuszny, ale i bystry. Atvar był zadowolony. Oficer miał rację, więc pan floty przebaczył, że wszedł mu w słowo.

– Właśnie o to mi chodziło. Może powinniśmy się wmieszać i przyjść z rychłą pomocą tym... tym...

– Polska i Żydzi – podpowiedział samiec.

– Dziękuję, tych Wielkich Brzydali miałem właśnie na myśli – powiedział Atvar.

– Nasza pomoc nie powinna być też skąpa. Jeśli zapewnią nam bezpieczną strefę, z której będziemy mogli zaatakować bez wahania zarówno Deutsch-land, jak i SSSR, wyciągniemy z tego ogromne korzyści. Możemy im obiecać wszystko, czego zażądatają. A kiedy już Tosev 3 znajdzie się w pełni pod naszą kontrolą... no cóż, oni nie należą do Rasy.

– Nie są nawet Rabotewitami albo Hallessjanami – dodał oficer wywiadu.

– Otóż to. To są dzikusy, więc nie mamy wobec nich zobowiązań innych, niż te, które sami podejmiemy.

Atvar przypatrzył się dokładnie samcowi.

– Jesteś bystry. Przypomnij mi swoje imię, żebym mógł zapamiętać twoją pilność.

– Jestem Drefsab, dostojny panie floty – odpowiedział oficer.

– Drefsab. Nie zapomnę.

Georg Schultz uniósł się na łokciach, żeby popatrzeć na pola dojrzałego owsa, pszenicy i żyta. Skrzywił się.

– Zbiory w tym kołchozie będą tego roku gównie warte – powiedział z pewnością człowieka, który pochodził ze wsi.

– W tej chwili to najmniejszy z twoich problemów – odparł Heinrich Jager.

Ujął szmajsera, który wcześniej należał do Dietera Schmidta. Były właściciel peemu od dwóch dni leżał pod grubą warstwą ukraińskiego czarnoziemiu. Jager miał nadzieję, że wraz z Schultzem wykopali na tyle głęboki grób, że dzikie psy nie rozerwą ciała zmarłego kolegi, ale nie był tego

pewien. Bardzo się spieszyli.

– Ja, wyglądamy jakbyśmy wyszli z wyprzedaży rzeczy używanych – w żarcie Schultza było trochę goryczy.

– Mów do mnie jeszcze – odparł Jager.

Obaj nosili zebrane na poboju hełmy piechoty i mundury feldgrau zamiast czarnych pancerniackich uniformów. Schultz miał też karabin żołnierza piechoty. Jagera kłuła rosnąca broda. Schultz narzekał na to samo. Gdyby ich zobaczył pierwszy lepszy żandarm, zamknąłby ich w wartowni a klucz wyrzucił daleko. Czołgiści są zazwyczaj pedantycznie czysti. Dbają o siebie i sprzęt. Brudny i źle utrzymany czołg, musi wkrótce zostać zniszczony. Sam Jager był zaniedbany odkąd udało mu się wydostać z płonącego Panzer III. Czyścił szmajsera i pistolet. O resztę nie dbał. Żył, a dla Niemca na południoworosyjskim stepie nie było to łatwe. Żołądek mu zaburczał, jakby chciał przypomnieć o swoim istnieniu. Po raz ostatni był pełny w noc przed bitwą z jaszczurami, kiedy Jager najadł się do syta gulaszu i kaszy. Ostatnio major nie jadł nic. To samo dotyczyło Schultza.

– Musimy zdobyć coś do jedzenia w tym kołchozie – powiedział.

– Możemy to zrobić siłą, możemy podkraść się w nocy, możemy wreszcie wyżebrać. Wszystko mi jedno, jak to zrobimy, ale musimy mieć jakieś żarcie.

– Niech to cholera, nie mam ochoty zostać złodziejem kur – powiedział Schultz. Potem, bardziej pragmatycznym tonem, dodał.

– Nie powinno być kłopotu. Większość mężczyzn jest na froncie.

– Prawda – odparł Jager; prawie na wszystkich polach widzieli pracujące tam kobiety.

– Ale pamiętaj, że to Rosja. Tu nawet baby noszą karabiny. Wolałbym dostać coś po dobroci niż uciekać się do kradzieży. Z tymi jaszczurami w pobliżu, pomoc Iwanów może nam być potrzebna.

– To ty jesteś oficerem – stwierdził Schultz, wzruszając ramionami.

Jager wiedział, co to znaczy: tobie płacą za myślenie. Kłopot polegał na tym, że major nie bardzo wiedział, co ma myśleć. Jaszczury były w stanie wojny zarówno z Rosją, jak i z Rzeszą, co znaczyło tyle że miał z tymi kołchoźnikami wspólnego wroga. Nie słyszał jednak o tym, żeby Niemcy i Związek Radziecki przestały walczyć ze sobą. Prawdę mówiąc, odkąd zniszczono jego czołg nie znał najnowszych wiadomości. Wstał. Step wydawał się niesamowicie wielki, kiedy przemierzał go czołgiem. Teraz, kiedy szedł pieszo, miał wrażenie, że mógłby iść bez końca po łagodnie pofalowanej bezkresnej równinie.

– Jesteśmy jak żuczki, które chodzą po talerzu – powiedział stojący obok majora działonowy Schultz.

Wieśniacy spostrzegli obu Niemców niemal natychmiast. Jager widział, że ruchy kołchoźników stały się gwałtowne, zanim jeszcze czołgiści zaczęli się do nich zbliżać. Szedł w kierunku pokrytych strzechami drewnianych budynków, które stały pośrodku kołchozu. Peem trzymał nisko.

– Postarajmy się, żeby to wypadło pokojowo.

– Tak jest – powiedział Schultz.

– Jeśli nam się nie uda, to bez względu na to, co teraz zabierzemy Iwanom, może się zdarzyć, że wyśledzą nas w trawie i zabiją.

– To właśnie myślałem – zgodził się Jager.

Pracujący w polu odwrócili się w stronę Niemców. Nie odłożyli motyk, szpadli i innych narzędzi. Kilkoro z nich, młode kobiety i starzy mężczyźni, nosiło broń: pistolety zatknięte za pasy, kilka karabinów na ramieniu. Niektórzy mężczyźni, sądząc po wieku, musieli walczyć podczas poprzedniej wojny. Jager pomyślał, że razem z Schultzem i tak mogliby unieszkodliwić wielu z nich,

gdyby do tego doszło, ale nie chciał uciekać się do ostateczności.

– Znasz choć trochę rosyjski? – zwrócił się do działonowego

– Ruki w wierch! I tyle. A jak tam pański rosyjski, panie majorze?

– Trochę lepiej, ale nie bardzo.

Niski brzuchaty facet podszedł marszowym krokiem do Jagera. To rzeczywiście był marsz: głowa podniesiona, ręce i nogi wyrzucane miarowo. Przewodniczący kołchozu, pomyślał Jager. Powiedział szybko kilka zdań, które dla majora mogłyby być z równym powodzeniem powiedziane po tybetańsku. I tak niczego nie rozumiał. Jager znał tylko jedno użyteczne w tej sytuacji słowo:

– Chlieb – potarł brzuch ręką, w której nie trzymał szmajsera.

Wszyscy kołchoźnicy zaczęli mówić naraz. W gadaniu powtarzało się często słowo „Fryc” – jedno z nielicznych słów, które Jager potrafił wychwycić. Rozśmieszyło go to, był to bowiem rosyjski odpowiednik niemieckiego określenia Iwan.

– Chlieb, da – powiedział przewodniczący z szerokim uśmiechem ulgi na spoconej twarzy.

Dodał jeszcze coś po rosyjsku, ale Jager nie rozumiał tego słowa. Wzruszył ramionami i nie zmienił wyrazu twarzy. Przewodniczący spróbował jeszcze raz. Tym razem użył łamanej niemczyzny:

– Ty, Milch?

– Spasibo, da – odrzekł Jager. – Mleko?

– Schultz zrobił grymas.

– Jeśli chodzi o mnie, to raczej napiłbym się wódki; to jeszcze jedno słowo, jakie znam po rosyjsku.

– Wódka?

Szef kołchozu znowu się uśmiechnął i wskazał palcem na jedną z chałup za sobą. Coś powiedział, ale za szybko, żeby Jager go zrozumiał, ale jego gesty były jasne: jeśli Niemcy chcą wypić, to kołchoz zorganizuje dla nich co trzeba.

– Niet, niet – Jager pokręcił głową.

– Mleko. Nie chcę, żebyśmy się tu spili. Można się po nich spodziewać wszystkiego. Poczekają, aż zaśniemy i poderzną nam gardła – zwrócił się do działonowego.

– Prawdopodobnie ma pan rację, panie majorze – powiedział Schultz.

– Ale mleko? Czuję się, jakbym znów miał sześć lat.

– To pij wodę. Nażłopaliśmy się jej już dosyć i jakoś nie dostaliśmy od niej jeszcze biegunki.

Jager cieszył się, że nie doszło do tego. Pomocy medycznej byli pozbawieni od czasu bitwy; major uważał, że potyczka to lepsze określenie dla sytuacji, w której kompania straciła ostatni czołg. Gdyby się teraz rozchorowali, to nie pozostałoby im nic innego, jak tylko się położyć i czekać, aż wyzdrowieją albo umrą. Do Niemców przykuśtykała stara kobieta, która niosła w fartuchu kilka okrągłych kromek czarnego gliniastego chleba. W porównaniu z innymi rzeczami, które czołgiści jadali w Rosji, a w szczególności z tym, że mogliby nie dostać w ogóle niczego do jedzenia, była to manna z nieba. Georgowi Schultzowi udało się jakoś wepchnąć całą kromkę do ust. Policzki mu się wydeły. Wyglądał jak wąż usiłujący połknąć tłustą ropuchę. Kołchoźnicy chichotali i tręcali się łokciami. Działonowy z wniebowziętym wyrazem twarzy ignorował ich zachowanie. Jego szczęki ciężko pracowały. Wreszcie zaczął przetykać.

– Tak się tego nie robi, sierżancie – powiedział Jager.

– Patrz, ja już prawie skończyłem dwie kromki, a ty jeszcze zjadasz pierwszą.

– Byłem zbyt głodny, żeby czekać – odparł bełkotliwie Schultz.

W ustach ciągle miał pełno chleba. Kobieta odeszła i za chwilę wróciła z dwoma rzeźbionymi drewnianymi kubkami pełnymi mleka. Typowy chłopski posiłek. Z uprzejmości, Jager odmówił

przyjęcia dalszego poczęstunku, chociaż zdawało mu się, że mógłby zjeść jeszcze ze dwa tuziny kromek i nadal nie byłby najedzony do syta. Wypił kubek mleka, wytarł usta rękawem i zadał szefowi kołchozu najważniejsze pytanie, jakie przychodziło mu do głowy:

– Eidechsenl – Z konieczności użył niemieckiego słowa na jaszczury, bo nie wiedział, jak to powiedzieć po rosyjsku.

Machnął ręką w kierunku horyzontu, żeby pokazać, że chce wiedzieć, gdzie jest wróg. Kołchoźnik nie rozumiał. Jager pokazał, że chodzi mu o niskie stwory, zaczął naśladować wycie ich samolotów. Oczy szefa kołchozu zapłonęły:

– Aha – jaszczercyl

Zgromadzeni wokół nich wieśniacy zaczęli wykrzykiwać. Jager zapamiętał to słowo. Miał przeczucie, że będzie go jeszcze potrzebował. Naczelnik kołchozu pokazał ręką kierunek na południe. Jager wiedział, że tam są jaszczury. Potem naczelnik pokazał na wschód, ale wykonywał przy tym ręką ruch, jakby coś odpychał. Chciał w ten sposób dać do zrozumienia, że z tej strony jaszczury przebywają daleko. Jager pokiwał głową. Potem kołchoźnik pokazał na zachód. Teraz nie wykonał pantomimy, że jaszczury są daleko. Jager popatrzył na Schultza. Schultz spoglądał na niego. Major pomyślał, że sprawia wrażenie równie nieszczęśliwego, jak jego działonowy. Jeśli jaszczury były pomiędzy nimi a głównymi siłami Wehrmachtu... Jager nie dokończył tej myśli. Bo jeśli jaszczury są i z tamtej strony, to może już niewiele zostało z głównych sił Wehrmachtu. Szef kołchozu uraczył ich następną złą nowiną:

– Berlin giemanski, kaput. Jaszczercy.

Pokazał rękami, jak miasto ginie w jednej, wielkiej eksplozji. Schultz jęknął, jakby go ktoś kopnął w brzuch. Jager poczuł się wewnątrz pusty. Nie był w stanie uwierzyć w to, że już nie ma Berlina. Nie był w stanie wyobrazić sobie Niemiec bez Berlina.

– Może kłamią – powiedział Schultz chrapliwym głosem.

– Może to po prostu wiadomość z przeklętego rosyjskiego radia?

– Może.

Ale im bardziej Jager przyglądał się kołchoźnikom, tym mniej był skłonny sądzić, że kłamią. Gdyby ucieszyli się z jego reakcji, pomyślałby, że chcieli go oszukać. Tymczasem tylko kilku wieśniaków patrzyło na jego rozpacz z zadowoleniem, o tyle uzasadnionym, ponieważ ich kraje od roku prowadziły wielką i straszną wojnę. Większość przyglądała się jemu i jego towarzyszowi ze współczuciem i powagą. To go przekonało. Miał się teraz czym martwić. Przypomniawszy sobie pożyteczne rosyjskie słowo:

– Niczewo.

Wiedział, że źle je wymawia. Ale kołchoźnicy zrozumieli.

– Towariszcz, niczewo – powiedział jeden z nich. Towarzyszu, trudna rada, nic się na to nie poradzi.

Było to doprawdy bardzo rosyjskie słowo: Rosjanie od dawna w tak wielu sprawach musieli się poddać rezygnacji. Niezupełnie mu o to chodziło. Wyjaśnił, w czym rzecz:

– Berlin da, Jaszczercy... zaczął deptać ziemię obcasem.

– Berlin niet, Jaszczercy... – znów wbił obcas w murawę.

Niektórzy z Rosjan klasnęli w ręce, podziwiając jego determinację. Inni popatrzyli na niego jakby zwariował. Może zwariowałem, pomyślał Jager. Nie wyobrażał sobie, żeby ktokolwiek był w stanie tak zniszczyć Niemcy, jak zrobiły to jaszczury. Takie kraje jak Polska, Francja, Holandia padły jeden za drugim. Anglia nadal walczyła, ale była odcięta od Europy. Związek Radziecki stawiał jeszcze opór, ale Jager był pewien, że Niemcy podbiją go do końca 1942 roku. Walki na południe od

Charkowa pokazały, że Iwany niewiele się nauczyły. Liczebność ich wojsk zaangażowanych w bitwie nie miała większego znaczenia. Ale te jaszczury! Był to nowy, niezwykle groźny przeciwnik. Nie umiały dobrze się bić, ale ich sprzęt sprawiał, że nie miały sobie równych na polu walki. Doświadczył tego na własnej skórze. W górze, od północy rozległo się lekkie buczenie. Jager rozejrzał się błyskawicznie. Każdy hałas dochodzący z góry był teraz powodem do czujności, szczególnie jeśli pochodził od niezwykłych samolotów jaszczurów. Ale to nie była ich maszyna.

– To tylko jedna z latających maszyn do szycia Iwanów, panie majorze. Nie ma czego się bać.

– Wszystko co lata i nie ma krzyża na skrzydłach bardzo mnie ostatnio denerwuje.

– Trudno się dziwić. Ale jeśli tutaj, pośrodku kołchozu nie jesteśmy bezpieczni od lotnictwa Armii Czerwonej, to nigdzie nie jesteśmy bezpieczni.

Działonowy przygłodził wąsy.

– No tak, w tych czasach człowiek nigdzie nie jest bezpieczny.

Radziecki dwupłatowiec nie podszedł do lotu koszącego, chociaż Jager zauważył, że ma zamontowane karabiny maszynowe. Przeleciał nad kołchozem na wysokości kilkuset metrów. Mały silnik wydawał terkot, który rzeczywiście przypominał maszynę do szycia. Samolot obniżył lot, wykonał nieprawdopodobnie ciasny skręt i przeleciał nad grupką ludzi zgromadzonych wokół dwóch Niemców. Tym razem leciał niżej. Kilku kołchoźników pomachało pilotowi. W otwartym kokpicie było go dokładnie widać. Miał okulary lotnicze, skórzany hełm i resztę ekwipunku. Dwupłatowiec ponownie obniżył lot i przeleciał na północ od kołchozu. Kiedy znowu zawracał, stało się jasne, że zamierza lądować. Koła wzbily tumany kurzu. Podskoczył kilka razy i stanął.

– Nie wiem czy mi się to podoba, panie majorze – powiedział Schultz.

– Kontakt z Rosjanami tutaj, to nic takiego, ale ten samolocik należy do sił zbrojnych Związku Radzieckiego. Nie powinniśmy zbliżać się do nikogo, kto ma coś wspólnego z bolszewickim aparatem państwowym.

– Wiem, że nie powinniśmy, sierżancie, ale odkąd przybyły jaszczury, wszystkie zasady diabli wzięli – pocieszał go Jager.

– A ponadto: czy mamy jakiś wybór?

Zbyt wielu kołchoźników nosiło broń, żeby mógł poważnie myśleć o próbie porwania samolociku z czerwoną gwiazdą na burcie, nawet gdyby umiał nim kierować. Inna sprawa, że nie potrafił. Pilot wygramolił się z kabiny, postawił nogę w wysokim bucie na drabince przymocowanej do zakurzonego kadłuba. Postawił? Wygramolił się? Nie! Jager zauważył, że spod lotniczego hełmu wystaje warkocz, a policzki pod goglami nie potrzebują brzytwy. Nawet workowaty kombinezon nie był w stanie zamaskować wyraźnie kobiecych kształtów. Schultz zauważył to samo. Zaczął ruszać długą szczęką, jakby miał zamiar splunąć, ale przypomniał sobie, gdzie jest i powstrzymał się.

– To jedna z tych ich cholernych kobiet-pilotek, panie majorze – powiedział z obrzydzeniem.

– Tak.

Pilotka zbliżała się. Jager starał się spojrzeć pozytywnie na to spotkanie. Ładniutka. Ludmiła Gorbunowa leciała nad stepem, szukając jaszczurów lub innych interesujących obiektów. Bez względu na to, co by znalazła, nie mogłaby przesłać raportu do bazy, chyba że wymagałaby tego nadzwyczajna waga meldunku. Samoloty, które używały radiostacji w czasie lotu, zazwyczaj w chwilę później nie były już w stanie utrzymać się w powietrzu. Leciła kursem tak daleko wysuniętym na południe, by wzmóc czujność; zaniepokoił ją widok tłumu zgromadzonego wokół centralnych zabudowań kołchozu i to w czasie, gdy większość kołchoźników powinna być w polu. Nie byłoby to takie nadzwyczajne, gdyby w chwilę później nie spostrzegła błysku światła na hełmach. Kiedy zmieniła nachylenie samolotu, zobaczyła, że żołnierze nosili mundury stalowoszare, a

nie zbliżone do barwy brązowej, jak się spodziewała. Niemcy. Twarz jej drgnęła. To, co rząd radziecki mówił o Niemcach, zmieniało się radykalnie kilka razy w ciągu ostatnich lat. Z krwiożerczych faszystowskich bestii stali się miłującymi pokój partnerami w walce przeciwko imperializmowi, aż wreszcie, 22 czerwca 1941 roku, znowu stali się groźnymi wrogami.

Ludmiła słuchając natrętnej propagandy, dostrzegła przemiany i wraz z nimi zmieniała swój sposób myślenia. Ludzie, którzy tego nie potrafili, znikali. W rzeczywistości, Niemcy w zeszłym roku okazali się gorsi niż przedstawiała to propaganda. Było prawdą, że imperialistyczna Wielka Brytania i Stany Zjednoczone w walce przeciw Niemcom połączyły swoje siły ze Związkiem Radzieckim. Faktem też było, że tylu ludzi z republik radzieckich: Ukraińców, Baltów, Tatarów, Kozaków, a nawet Wielkorusów, kolaborowało z Hitlerem przeciwko Moskwie. Czy ci kołchoźnicy byli też kolaborantami? Jeśli tak, to krótki przelot i naciśnięcie spustów karabinów maszynowych uwolniłyby świat od ich obecności. Ale linia, którą przyjęło wobec Niemców radio Moskwa, zmieniła się od czasu przybycia jaszczurów. Nie przebaczone im zbrodni, ale byli to przynajmniej ludzie. Jeśli współpracowali z wojskami radzieckimi przeciwko najeźdźcom z kosmosu, to nie należało do nich strzelać. Ludmiła zdjęła więc palec ze spustu i zawróciła kukuruźnik, żeby przyjrzeć się im z bliska. Tak, na dole byli z pewnością Niemcy. Postanowiła wylądować i sprawdzić, co się dzieje. Dopiero, gdy U-2 zaczął podskakiwać po wylądowaniu uświadomiła sobie, że jeżeli kołchoźnicy są kolaborantami, to w obawie przed ewentualną zemstą nie będą zainteresowani tym, żeby raport o ich postawie dotarł do Moskwy. Mało brakowało, by znowu wystartowała, ale postanowiła jednak zostać i dowiedzieć się jak najwięcej. Wieśniacy i Niemcy szli w jej kierunku dość spokojnie. Zauważyła, że niektórzy w tłumie mają broń, ale nikt w nią nie celuje. Niemcy trzymali karabin i peem zupełnie swobodnie.

– Kto tu jest kierownikiem? – zapytała,

– Ja, towarzyszeko pilot – odpowiedział mały gruby człowieczek. Stał wyprężony jak struna, żeby dodać sobie ważności.

– Kliment Jegorewicz Pawluczenko, do waszych usług.

Podawała własne imię i otczestwo, przyglądając się uważnie temu Pawluczence. Mówił otwarcie i nazwał ją towarzyszką, ale to jeszcze nie znaczyło, że można mu ufać. Szczególnie, że stał obok Niemców. Wskazała na nich palcem:

– Dlaczego przyszli do waszego kołchozu, towarzyszu? Czy mówią po rosyjsku?

– Ten starszy tak, przynajmniej zna kilka słów. Ten z rudymi włosami potrafi tylko jeść.

Musieli się włóczyć po okolicy od dłuższego czasu; nawet nie słyszeli o Berlinie. Obaj Niemcy spojrzeli na Pawluczenkę, kiedy usłyszeli nazwę swojej stolicy. Ludmiła przyglądała im się, jakby rzeczywiście byli parą groźnych bestii; nigdy wcześniej nie widziała z tak bliska hitlerowców. Ku jej zaskoczeniu nie wyglądali ani jak maszyny do zabijania, które gnały armię radziecką tysiące kilometrów po Rosji i Ukrainie, ani jak Fryc Winter z propagandowych ulotek – z szycją owiniętą kobiecym szalikiem i soplami u nosa. Byli po prostu mężczyznami, trochę wyższymi, trochę szczuplejszymi, o bardziej pociągłych twarzach niż przeciętni Rosjanie, niemniej, byli to po prostu mężczyźni. Ten młodszy i wyższy wyglądał jak wieśniak. Z łatwością mogła go sobie wyobrazić siedzącego na stołku i dojącego krowę, albo na kolanach pielącego warzywne grządki. Drugiego Niemca trudniej było określić. Wyglądał na inteligentnego i zmęczonego zarazem. Jego ostre rysy nie pasowały do otwartej pobrużdżonej twarzy wieśniaka. Podobnie, jak ten z rudymi włosami, nosił hełm i bluzę żołnierza piechoty do czarnych spodni pancerniaka. Bluza miała gołe naramienniki szeregowca, ale Ludmiła nie sądziła, żeby Niemiec z takim stopniem rozpoczynał wojnę. Był za stary i za bystry na szeregowca. W szkole średniej, wiele lat temu, uczyła się trochę niemieckiego. W

ubiegłym roku starała się go zapomnieć. Miała nadzieję, że jej zeszyt przepadł gdzieś w zdobytym przez Niemców Kijowie: znajomość języka wroga mogła z niej łatwo uczynić osobę podejrzaną. Ale jeśli ci żołnierze nie znali rosyjskiego, to teraz jej niemiecki mógł się przydać. Z głębi pamięci wydobyła jedno zdanie:

– Wie heissen Siei

Zmęczone, brudne twarze Niemców rozjaśniły się. Jak dotąd byli w praktyce pośród Rosjan niemowami. Rudo wąsy uśmiechnął się i odparł:

– Ich heisse Georg Schultz, Feldwebel Fraulein i wyterkotał swój numer książeczki wojskowej tak szybko, że nie zrozumiała.

– Ich heisse Heinrich Jager, Major – powiedział starszy i też podał swój numer.

Zignorowała to; nie był jej teraz potrzebny. Kołchoźnicy zaczęli szeptać między sobą. Albo podziwiali jej zdolność do porozumienia się z żołnierzami Wehrmachtu w ich własnej mowie, albo – z tego samego powodu – zaczęli ją podejrzewać o konszachty z wrogiem. Chciałaby przypomnieć sobie więcej. Zapytała o ich jednostkę używając dziwnego omówienia, ponieważ zapomniała właściwego słowa:

– Z jakiej grupy ludzi jesteście?

Sierżant już miał odpowiedzieć, kiedy major odchrząknął. To wystarczyło, żeby młodszy niczego nie powiedział.

– Czy jesteśmy jeńcami, rosyjska pilotko? – zapytał Jager.

– Jeńców wojennych wolno pytać tylko o niektóre rzeczy.

Mówił powoli, dobitnie akcentując, dobierając prostych słów; chyba pojął, że Ludmiła ma kłopoty z jego językiem.

– Niet – odparła, a po chwili dodała – nein – na wypadek, gdyby nie zrozumiał rosyjskiego słowa. Ale najwyraźniej zrozumiał, bo kiwał głową, kiedy mówiła.

– Nie jesteście jeńcami wojennymi. Walczymy przede wszystkim przeciw... – musiała powiedzieć „jaszczercy” z braku znajomości niemieckiego słowa oznaczającego jaszczury. Z Niemcami walczymy tylko wtedy, kiedy oni walczą z nami. Nie zapomnieliśmy o wojnie przeciwko Rzeszy, tylko odłożyliśmy ją.

– Aha – powiedział major.

– To dobrze, my też przede wszystkim walczymy przeciwko jaszczurom – Eidechsen.

Ludmiła postanowiła zapamiętać to słowo. Jager kontynuował:

– Ponieważ mamy wspólnego wroga, powiem pani, że jesteśmy z 16. Dywizji Pancерnej. Dodam, że Schultz i ja rozbiliśmy czołg jaszczurów. Spojrzała mu w oczy.

– Czy to prawda?

Radio Moskwa nieraz podawało, ile czołgów jaszczurów zostało zniszczonych, ale ona przelatywała nad zbyt wieloma polami bitew, żeby traktować poważnie te informacje. Widziała też, co zostało z niemieckich formacji pancernych, które usiłowały zaatakować jaszczury: niezbyt wiele. Czy ci dwaj czołgiści łgali, żeby jej pokazać, jak świetna jest mimo wszystko armia niemiecka? Po chwili wsłuchiwanie się w ich opowieść doszła do wniosku, że mówią prawdę. Opisali akcję w zbyt obrazowych szczegółach, żeby to było kłamstwo. Najbardziej przekonało ją podsumowanie opowieści.

– Zadaliśmy im straty, ale oni nas rozbili. Nie ma już mojej kompanii czołgów – powiedział ponuro Jager.

– Co oni mówią, towarzyszeko pilot? – zapytał natarczywie

Pawluczenko Szybko przetłumaczyła. Kołchoźnicy zaczęli się gapić na Niemców, jakby

rzeczywiście byli nadludźmi. To sprawiło, że Ludmiła miała ochotę zwymyślać wieśniaków. Rosjanie zawsze patrzyli na Niemców z mieszaniną zazdrości i strachu. Od wieków trwała zaborcza ekspansja niemiecka na ziemie skandynawskie, ziemie Słowian i ludów bałtyckich. Hitlerowcy, choć najgorsi, nie byli pierwsi. Mimo wszystko, ci dwaj Niemcy mogli się okazać użyteczni. Nie pobili jaszczurów – daleko im było do tego – ale sprawili im jednak porządne lanie. Władze radzieckie będą chciały wykorzystała ich umiejętności. Ludmiła powróciła do języka niemieckiego:

– Zabiorę was z sobą do bazy. Wyślemy was potem dalej. Przymierzam, że nic złego wam się nie stanie.

– A co będzie, jeśli nie zechcemy zabrać się z tobą? – zapytał major Nazywa się Jager, przypomniała sobie, myśliwy.

Postarała się ze wszystkich sił przybrać autorytatywny wyraz twarzy:

– Jeśli nie polecicie ze mną, to w najlepszym przypadku będziecie musieli iść pieszo i samotnie przez step. Być może traficie na jaszczury. Być może traficie na Rosjan, którzy uważają was za gorszych od jaszczurów. Może ci kołchoźnicy tylko czekają, aż zaśniecie...

Major wojsk pancernych był trzeźwo myślącym człowiekiem. Nie odwrócił się nawet do przewodniczącego kołchozu, żeby na niego popatrzeć.

– A dlaczego miałbym ci wierzyć? – zapytał.

– Widziałem ciała Niemców, których złapali Rosjanie. Skończyli bez uszu i nosów, albo jeszcze gorzej. Skąd mam wiedzieć, czy razem z sierżantem Schultzem nie skończymy w ten sam sposób?

Na to stwierdzenie oburzenie pozbawiło Ludmiłę na chwilę głosu. Cóż za niesprawiedliwość.

– Jeśli wy, hitlerowscy oprawcy, nie najechalibyście naszego kraju, nigdy nie skrzywdzilibyśmy żadnego z was; na własne oczy widziałam, co zrobiliście z podbitą częścią naszego kraju. Dostajecie tylko to, co wam się należy.

Spojrzała na Jagera. Odpowiedź wyczytała w jego oczach. Wtedy Georg Schultz zaskoczył ich oboje:

– Krieg ist Scheisse, wojna to gówno.

Zaskoczył ich raz jeszcze, kiedy powtórzył to po rosyjsku – wojna gówno.

– Da – kołchoźnicy ryknęli jak jeden mąż.

Zgromadzili się wokół sierżanta i zaczęli poklepywać go po plecach, wciskać papierosy i machorkę do rąk i kieszeni munduru. Nagle we wrogu zobaczyli człowieka. Ludmiła zwróciła się do Jagera, wskazała palcem kołchoźników i działonowego.

– Oto dlaczego nie walczymy przeciw Niemcom, którzy zaprzestali walki z nami i dlaczego powiedziałam, że nie stanie się wam żadna krzywda. Niemcy i Związek Radziecki są wrogami, da, ale jaszczury to jeszcze groźniejsi wrogowie.

– Dobrze mówisz i, jak powiedziałaś, niewielki mamy wybór.

Jager pokazał na jej kukuruźnika.

– Czy to małe brzydactwo udźwignie troje ludzi?

– Będzie niewygodnie, ale damy radę – odparła, tłumiąc złość, którą wywołało wysoce niewłaściwe w jej mniemaniu określenie samolotu.

Major uniósł lekko kąciki ust. Miała kłopot ze zinterpretowaniem wyrazu jego twarzy: uśmiech, ale takich uśmiechów nie widuje się na twarzach Rosjan. Był jak białe wytrawne wino.

– Skąd wiesz, że nie zmusimy cię do tego, żebyś poleciała w kierunku naszych Unii, jak tylko znajdziemy się w powietrzu?

– Nie mam tyle benzyny, żeby dolecieć do najbliższych, o których mi wiadomo – odparła.

– Ponadto, jedyne, do czego możecie mnie zmusić, to żebym poleciała prosto w dół i zabiła

siebie i was. Nie polecę na zachód.

Przyglądał się jej prawie przez pół minuty z tym dziwnym, ironicznym uśmiechem na ustach.

– Jesteś żołnierzem – powiedział powoli, kiwając głową.

– Tak – odpowiedziała i poczuła się zobowiązana do zrewanżowania się za komplement.

– Ty też. Musisz zatem rozumieć, dlaczego powinniśmy się dowiedzieć, jak zniszczyłeś czołg jaszczurów.

– To nie było trudne – Schultz wszedł im w słowo.

– Jeżdżą sobie wspaniałymi czołgami, ja, ale pancerniacy z nich gorsi niż wy, Iwany.

Gdyby powiedział to po rosyjsku, zaprzepaściłby wszystko, co zyskał u kołchoźników. Ludmiła popatrzyła na niego wilkiem. Tak samo spozjrzał Kliment Pawluczenko, który widać rozumiał trochę język niemiecki.

– Ma racją – rzekł Jager, co jeszcze bardziej zdenerwowało Ludmiłę, która uważała, że wypowiedzi majora należy traktować poważnie.

– Nie możesz zaprzeczyć, że nasze wojska pancerne więcej potrafią niż wasze, pilocie.

Temu ostatniemu słowu nadał po niemiecku żeńską końcówkę.

– Inaczej nic byśmy nie wskórali naszymi Panzer III przeciwko waszym KW i T-34. Jaszczury potrafią nawet mniej niż wy, Rosjanie, ale ich czołgi są tak doskonałe, że potrzeba im niewiele umiejętności. Gdybyśmy mieli porównywalny sprzęt, urządzilibyśmy im krwawą łaźnię.

Oto niemiecka arogancja w najlepszym wydaniu, pomyślała Ludmiła. Przyznał, że jaszczury rozniosły na strzępy jego oddział, a teraz potrafi mówić tylko o błędach wroga.

– Jeżeli nasz sprzęt nie może się, niestety, równać z ich sprzętem, to jak pokonamy jaszczury? – zapytała.

– Dos ist die Frage – odparł poważnie sierżant Schultz, jak hitlerowski Hamlet.

Usta majora znów zadrgały. Tym razem uniósł także brew. Ludmiła stwierdziła, że uśmiecha się do niego. Robiła to choćby po to, żeby dać do zrozumienia, że pojęła aluzję i nie jest ciemną chłopką. Niemiec znów spoważniał:

– Musimy znaleźć miejsca i sytuacje, w których nie są w stanie wykorzystać przewagi w uzbrojeniu.

– Jak partyzanci walczący za waszymi liniami? – zapytała Ludmiła z nadzieją, że uderzyła w jego czuły punkt. Ale major tylko skinął głową.

– Otóż to. Teraz wszyscy jesteśmy partyzantami, jeśli nas porównać z wojskiem, z którym przyszło nam walczyć.

Nie przyjął wyzwania. To ją rozzłościło. Obcesowo wskazała na samolot.

– Musicie obaj usiąść w pierwszej kabine, jeden obok drugiego. Możecie zatrzymać pistolet maszynowy, jeśli chcecie; nie będę próbowała was rozbroić. Ale, sierżancie, mam nadzieję, że zostawicie tutaj swój karabin. To się nie... – musiała pokazać na migi, że się nie zmieści.

– Za mało miejsca. Może przyda się kołchoźnikom przeciw jaszczurom.

Schultz spozjrzał na Jagera. Ludmiła poczuła się lepiej, kiedy spostrzegła, że major leciutko skinął głową. Schultz wręczył mauzera Klementowi Pawluczence. Przewodniczący kołchozu najpierw się wystraszył, a potem objął sierżanta niedźwiedzim uściskiem. Kiedy Niemiec oswobodził się z łapsk kołchoźnika, przeszukał kieszenie, czy nie ma w nich naboji. Potem postawił stopę na drabince i wspiał się do U-2. Jager wsiadł za nim. Miejsca było tak mało, że musieli siedzieć niemal twarzą w twarz, obejmując się ramionami.

– Czy zechciałby pan mnie pocałować, panie majorze? – zapytał Schultz.

Jager parsknął.

Ludmiła siedziała w tylnej kabinie, tej z deską z przyrządami. Na jej polecenie kołchożnik zakręcił śmigłem. Mocny silnik o gwiazdzistym układzie cylindrów zaskoczył z warkotem. Obaj Niemcy otworzyli usta, żeby hałas nie uszkodził im bębenków w uszach, ale poza tym ignorowali warkot. Ludmiła przypomniała sobie, że są przyzwyczajeni do łoskotu mechanizmów. Kiedy stwierdziła, że chłopci zeszli z drogi startowej, zwolniła hamulce i popchnęła drążek. Kukurużnik potrzebował tym razem dłuższego rozbiegu. Stateczny i powolny samolocik niósł potrójny ciężar. W końcu oderwał się od ziemi. Kołchoz zniknął za nimi, kiedy z wolna lecieli na północ.

– Uważajcie obaj na Wielkich Brzydali – ostrzegł Kren-tel z kopuły krążownika.

– Tak jest, szefie – odpowiedział Ussmak.

Kierowca chciał, żeby nowy wreszcie się zamknął i pozwolił załodze robić, co do niej należy.

– Tak jest – zawtórował mu Telerep.

Ussmak zazdrościł działonowemu, że udawało mu się unikać nutek pogardy w głosie. To, co Telerep prywatnie mówił o Krentelu, sprawiało, że jaja się psuły, ale kiedy tylko dowódca był w pobliżu, działonowy przybierał pozę pełną szacunku. Samce Rasy uczyły się okazywania szacunku od najwcześniejszego dzieciństwa, a Telerep był w tym prawdziwym mistrzem. Ussmak pomyślał sobie, że kpiące uwagi, które kolega cichaczem wygłaszał pod adresem przełożonego, są odreagowaniem oficjalnej czołobitności. A może i nie. Telerep nigdy tak nie mówił o Yotalu. Myśl o poległym dowódcy sprawiła, że Ussmak przypomniał sobie Wielkich Brzydali, którzy go zabili. To wzmogło jego czujność bardziej niż ostrzeżenie Krentela. Tubylcy z Tosev 3 uczyli się w pośpiechu, że ich czołgi i samoloty nie sprostają w otwartym boju maszynom Rasy. Lekcja, którą teraz odbiorą, powinna ostudzić ich zapały. To będzie koniec podboju i początek okupacji. Tak przynajmniej mówili oficerowie, gdy rozpoczynała się inwazja. Obietnica okazała się nieprawdą. Wielkie Brzydale przestały wystawiać masy swoich samców, krążowników gąsienicowych i samolotów na zatracenie, ale nie zaprzestali oporu. I tak oto, jego szwadron gnał po szerokich, chłodnych stepach SSSR, szukając bandy tosewickich rabusiów, którą poprzedniego dnia znaleziono na zdjęciach dokonanych przez rozpoznanie. Z góry dobiegło wycie.

– Rakiety! – wrzasnął Telerep.

Ussmak zatrzaskał już właz nad sobą. W chwilę później metaliczne trzaśnięcie, które usłyszał w słuchawce, potwierdziło, że Krentel zrobił to samo. Ussmak uczynił gest aprobaty; wbrew poprzednim jego sądom nowy dowódca nie był kompletnym idiotą. Salwa rakiet uderzyła w ziemię pomiędzy krążownikami. Głowice bojowe wybuchając wzniosły fontanny ziemi, które oślepiły jeden z wizjerów Ussmaka. Tymczasem Krentel połączył się z bazą.

– Odległość od wyrzutni 2200, koordynata 42 – zameldował.

– Działonowy, pošlij Wielkim Brzydalom dwa pociski odłamkowe. To spowoduje, że pomyślą dwa razy, zanim następnym razem zaczną walczyć przeciwko Rasie.

– Dwa pociski odłamkowe, tak jest – odparł szeptem Telerep.

Wieża obróciła się, wielkie działo szczęknęło dwukrotnie. Trzy inne krążowniki szwadronu oddały po jednym wystrzale. Ussmak pomyślał, że wszyscy ci dowódcy to durnie, a Krentel jeszcze gorszy od nich. Wątpił, żeby Wielkie Brzydale, które oddały salwę, kręciły się jeszcze przy swoich wyrzutniach; jeśli miały choć trochę rozumu, odpaliłyby rakiety zdalnie, za pomocą długiego przewodu elektrycznego. On by tak postąpił, gdyby był na ich miejscu. Wielcy Brzydale byli lepszymi partyzantami niż żołnierzami.

– Weź kurs 42, kierowco – rozkazał Krentel.

– Chcę wykończyć to gniazdo bandytów. Nie mają prawa paradować na terytorium kontrolowanym przez Rasę.

– Kurs 42, tak jest – potwierdził Ussmak.

Obrócił krążownik prawie o 180 stopni i pojechał w kierunku, z którego przybył szwadron. Pomyślał, że tym razem Krentel trafił w sedno.

– Obserwuj uważnie teren – dodał dowódca.

– Żebyśmy przypadkiem nie wjechali na minę. Nasz krążownik, jak każdy inny, jest cenny dla Rasy. Trzeba przedsięwziąć wszystkie środki ostrożności.

– Tak jest – powtórzył Ussmak.

Chciał, żeby Krentel przestał się mazgać jak samica, która ma znieść swoje pierwsze dwa jaja. Niby jak ma się rozglądać, skoro właz jest zamknięty? Nie miał zamiaru go jeszcze otwierać. Wielkie Brzydale zwykły oddawać drugą salwę rakiet, zanim samce otrząsnęły się z pierwszego uderzenia. Gdyby nawet wystawił głowę, pewnie nie zauważyłby zakopanej miny. Tosewici umieli doskonale je maskować pod liśćmi, kamieniami albo resztkami sprzętu zalegającymi tereny wcześniej stoczonych bitew. Ulżyło mu, kiedy pomyślał, że tosewickie miny były przeznaczone do niszczenia słabych i niezdarnych krążowników gąsienicowych budowanych przez Wielkich Brzydali. Jeśli wybuch nastąpiłby nawet dokładnie pod jego maszyną, najprawdopodobniej nie uszkodziłby jej. Ale gdy spojrzeć na to drugim okiem, to kto wie, może by i uszkodził? Następne rakiety spadły na szwadron. Krentel musiał widocznie znowu otworzyć kopułkę na wieży, bo Ussmak słyszał, jak zatrząskuje ją w pośpiechu. Kierowca rozwarł szczęki w rozbawieniu. Nie, nowy dowódca nie był jednak taki sprytny jak przypuszczał. Ale może jeszcze się nauczy. Mniej więcej w połowie drogi do miejsca, z którego Tosewici odpalili rakiety, przy drodze, którą posuwał się krążownik, rosła kępa niskich tosewickich drzew. Nie miały tak żywych kolorów jak drzewa z rodzimej planety. Ussmak pomyślał, że należałoby powiedzieć Telerepowi, żeby skierował swój kaem w tamtą stronę, ale postanowił nic nie mówić. Telerep doskonale zna się na swoim rzemiośle. A poza tym...

– Uważaj na te drzewa, działonowy – Krentel wydał rozkaz zanim Ussmak zdążył dokończyć myśli.

– Tak jest, dowódco – subordynacja Telerepa była perfekcyjna.

Ussmak też przyglądał się drzewom. Rozkaz nie był głupi, choć niepotrzebnie go wydano. Gdyby sam był Wielkim Brzydalem, ustawiłby samców w tych drzewach, choćby po to, żeby zobaczyć, jaki efekt przyniosą działania przeciwko krążownikom gąsienicowym Rasy. W rzeczywistości bowiem... Telerep zdawał się czytać mu w myślach. Działonowy puścił serię w drzewa. Jeśli miał szczęście, zabił kilku Wielkich Brzydali, a resztę wypłoszył. Ussmak nie chciałby być w ich skórze; kucać gdzieś pod krzakiem, słuchać świstu kul przelatujących tuż obok i czekać, aż któraś go trafi. W rzeczywistości na skraju drzew dostrzegł jakiś ruch. Telerep też go zobaczył i przesunął w tamtą stronę karabin maszynowy.

– Wstrzymać ogień! – krzyknął Ussmak.

Telerep nie puścił serii. Zrozumiał. Krentel nadal nie wiedział, o co chodzi.

– Dlaczego nie strzelasz? – zapytał ze złością.

– To nie jest Wielki Brzydał, dowódco, tylko jedno z ich zwierząt domowych – odparł działonowy.

– Nie trzeba marnować amunicji. Ponadto, niezbyt ładnie byłoby zabijać stworzenie pokryte futrem, zgadza się, dowódco?

– Nie, nie zgadza się – odparł Krentel.

Ussmak trzymał stronę Telerepa. Widział już kilka takich zwierząt i uważał, że są znacznie ładniejsze od swoich panów. Były smukłe i wdzięczne i najwyraźniej pochodziły od drapieżników. Były też przyjaźnie nastawione; słyszał, że kilku samców z innego szwadronu oswoiło jednego

takiego stworza, dając mu surowe mięso.

– Nadal myślę, że powinniśmy je zabić – odezwał się Krentel.

– Och, proszę nie, dowódco – prosili jednocześnie Ussmak i Telerep.

– Popatrz tylko, jakie to ładne stworzenie – dodał działonowy.

– Biegnie prosto do nas, chociaż siedzimy w wielkim, hałaśliwym krążowniku.

– To nie dlatego że jest ładne, ale dlatego że jest głupie, jeśli chodzi o moje zdanie – odrzekł Krentel, ale nie wydał Telerepowi rozkazu zabicia zwierzęcia.

Biorąc milczenie dowódcy za przyzwolenie, Ussmak zwolnił bieg maszyny, żeby tosewickie zwierzę mogło się zbliżyć. Chyba było z tego zadowolone, otworzyło pysk, prawie tak, jak robią samce Rasy, kiedy się śmieją. Ussmak wiedział, że zwierzak wydaje krótkie głośne skowyty. Nagle zauważył, że do grzbietu stworzenia przywiązany jest kwadratowy pakunek, z którego wystaje cylindryczny trzpień. Nigdy przedtem czegoś takiego nie widział i nie spodobało mu się to.

– Telerep! – powiedział ostro.

– Myślę, że lepiej zrobisz, jeśli je zastrzelisz.

– Co? Dlaczego? – zapytał działonowy.

– To... – musiał też zauważyć paczkę, bo w środku zdania dał się słyszeć terkot karabinu maszynowego.

Za późno. Zwierzę tymczasem było już bardzo blisko krążownika. Nagle przyspieszyło i wpadło pod prawą gaśnicę, mimo że Ussmak próbował w ostatniej chwili wykonać unik. Mina wybuchła równocześnie, kiedy zwierzę zostało zgniecione na krwawą miazgę. Ussmak poczuł uderzenie w nasadę ogona, jakby kopnął go Wielki Brzydał w okutych buciorach. Prawy róg krążownika uniósł się i runął z powrotem na ziemię. Rozpalone odłamki zaświstały wokół kierowcy, jeden wbił mu się w ramię. Ussmak wrzasnął i zaczął się krztusić, kiedy piana przeciwpożarowa zaczęła wypełniać przedział. Otworzył i zamknął dłoń. Bolało, ale ręka nadal była zdalna do użytku. Sprawdził, jak reaguje krążownik. Drażek sterowniczy drgnął; z prawej strony maszyny rozległ się straszliwy zgrzyt. Ussmak kłapał w furii szczęką, zaklął najgorzej jak umiał. Potem zdał sobie sprawę, że Krentel i Telerep krzyczą do niego przez radio

– Co się stało? Nic ci nie jest? Krążownik w porządku?

– Zerwało nam gaśnicę, niechaj błogosławionej pamięci duchy cesarzy przeklą tych Tosewitów na wieki – odparł Ussmak.

Zaczerpnął cuchnącego pianą gaśniczą powietrza i odpowiedział jeszcze raz, zgodnie z regulaminem:

– Dowódco, krążownik naziemny jest uszkodzony. Proponuję, żebyśmy go opuścili. Sądzę, że nie mamy wyboru.

Otworzył właz nad głową.

– Niech tak będzie – zgodził się Krentel.

W jego głosie zabrzmiała zła nuta.

– Mówiłem, żebyś zabił tę tosewicką bestię..

Miał rację. Tym bardziej przykro było słuchać nagany. Ale nie poprawiło to jego obrazu, jako dowódcy, w oczach Ussmaka. Kierowca podciągnął się i wyskoczył z przedziału bojowego. Nie było to łatwe. Krwawiące ramię nie mogło udźwignąć ciężaru jego ciała. Zeskoczył i ukrył się po lewej stronie krążownika. Miał ochotę sprawdzić, jakie szkody wyrządziła mina, ale musiałby przejść na odsłoniętą drugą stronę, a na to już nie miał ochoty. To zwierzę nie błąkało się samotnie, gdzieś musiały czaić się Wielkie Brzydale z karabinami. Był tego pewien, jak imienia cesarza. Zaczęły świstać kule. Z dźwiękiem odbijały się od pancerza. Krentel zasyczał z bólu.

– Coś nie w porządku, dowódco? – zapytał Ussmak.

Nadal uważał, że Krentel nie był godny nosić torbę z ekwipunkiem za Ybtalem, ale przecież był samcem Rasy.

– Nie, w porządku – sapnął Krentel.

– Jak może być w porządku, jeśli mam dziurę w ramieniu i dowodzę dwoma samcami z zaburzeniami umysłu?

– Przykro mi z powodu twojego ramienia – powiedział Ussmak.

W istocie żałował, że dowódca nie dostał w głowę. Niżsi rangą musieli okazywać niczym niezmacony szacunek swoim przełożonym; taki był styl życia Rasy. Ale ten styl przewidywał, że zobowiązania są wzajemne. Zwierzchnicy szanowali swoich podwładnych za okazywaną im lojalność. Ci, którzy czynili inaczej, często ściągali na siebie nieszczęście. Do Ussmaka i Krentela dołączył Telerep. Siedzieli wszyscy za zasłoną, jaką dawał im bok krążownika. Telerep dawał znak okiem, które skierował w stronę Ussmaka, żeby pokazać, że myśli to samo co on. Krentel nawet nie zauważył, do jakiej konsternacji doprowadził swoją załogę. Dwa krążowniki szwadronu zwolniły. Zalały lasek ogniem. Grad kul i pocisków był tak gęsty, że las się zapalił. Ale kiedy Ussmak skoczył, żeby wspiąć się na krążownik, który stanął za ich zniszczoną maszyną, zagwizdały mu wokół głowy tosewickie kule. Słyszał, jak jedna z kul trafiła z głuchym, strasznym odgłosem. Nie był w stanie się odwrócić, właśnie głową na dół ładował się do wjazdu czołowego. Samiec siedzący wewnątrz zaklął.

– Jeden z samców z twojej załogi dostał. Nie podniósł się już.

– Czy to był...

– Ale nie, to nie on.

Ussmak wiedział, bo Krentel już był w czołgu i gadał o jakiś bzdurach w wieży czołgu. Telerep, pomyślał kierowca z bólem serca. Przeszli razem cały trening, w hibernacji leżeli obok siebie; obudzili się prawie równocześnie; razem z Yotalem zjeździli w czołgu wzdłuż i wszerz tę bezkresną równinę. Teraz nie było ani czołgu, ani Yotala, ani Telerepa. Pozostał natomiast Krentel ze swoim gadulstwem.

– Cholerne Wielkie Brzydale, robią coraz lepsze zasadzki – odezwał się kierowca krążownika, który przyszedł im na ratunek.

Ussmak nie odpowiedział. Nigdy wcześniej nie czuł się tak samotny. Rasa każdemu wyznacza miejsce w społecznej mozaice, wokół niego są inni. Teraz tych innych nie było. Przeminięli jak zrzucana skóra. Ussmak miał wrażenie, że znalazł się w pustce. Krążownik gaśnicowy ruszył natychmiast. To było rozsądne posunięcie. Nie ma sensu stać w miejscu choćby przez chwilę dłużej niż to jest konieczne; Tosewitom nie trzeba więcej niż chwili, żeby wymyśleć jakąś straszliwą pułapkę. Gdy pancerna maszyna nabierała szybkości, Ussmak zaczął się dosłownie obijać o jej ściany. Ale tutaj nie było mowy o pustce. Przedział kierowcy ledwie pomieścił dodatkowego samca. Co gorsza, wszystko, od gaśnicy z pianą przeciwpożarową po uchwyty, w których umocowana była broń osobista kierowcy, zdawało się składać wyłącznie z twardych, kanciastych krawędzi. Nie zauważał tego, gdy sam siedział w fotelu kierowcy. Fotel był miękki i miał pasy bezpieczeństwa. Teraz Ussmak czuł się jak śmieć wyrzucony za burtę statku.

– Przykro mi z powodu samca z twojej załogi – powiedział kierowca włączając wyższy bieg.

– Jak to się stało, że trafili twój wóz?

Ussmak opowiedział mu o tosewickim zwierzęciu z miną na grzbiecie i o tym, jak wiele kosztowała ich ta chwila słabości. Gdy mówił, miał wrażenie, że się dusi. Nie mógł się skoncentrować, żeby powiedzieć o Krentelu i Telerepie. Nie był w stanie tego zrobić nawet wobec samca, który należał do tego samego szwadronu. Znowu ta pustka wokół...

– Wiem o jakim zwierzęciu mówisz – syknął kierowca.

– My też się nimi nie przejmowaliśmy. Myślę, że teraz będziemy musieli strzelać do nich natychmiast kiedy je zobaczymy, jeżeli te żyworodne Wielkie Brzydale zaczęły im przywiązywać miny do grzbietów. Szkoda.

– Tak – odparł Ussmak i ponownie zamilkł.

Znowu obijał się w próżni... W chwilę później kierowca syknął z niechęcią:

– Uciekli. – Kto uciekł? – zapytał Ussmak, przywołany do rzeczywistości.

Nie miał dostępu do wizjerów, więc nie wiedział, co się dzieje na zewnątrz.

– Wielkie Brzydale. Zostały tylko rozbite wyrzutnie ich śmierdzących rakiet. Ani jednego trupa w pobliżu. Musieli rakiety odpalić na odległość i uciec. – Kierowca przerwał łączność z wieżą zanim dokończył zdanie.

– Cała wyprawa tutaj była na nic. Była na nic.

Te słowa Ussmak powtarzał sobie w myśli. Krentel kazał im zawrócić – na nic. Jego krążownik został zniszczony – na nic. Telerep dostał kulę – na nic. Ussmak kulił się tutaj, na stalowoceramicznej podłodze – też na nic. Tyle teraz znaczył dla Rasy, co worek suszonego mięsa. Wszystko było na nic.

Rozdział VII

Dwa, a może trzy razy w swoich podróżach z ligą podwórzową Sam Yeager miał do czynienia z koszmarem każdego zawodnika: z dzieciakiem, który nie patrzył, kiedy rzucał piłkę. Piłka mogła się stać śmiertelną bronią. Najgorszy dźwięk, jaki można było usłyszeć grając w baseball, to uderzenie piłki w czyjaś głowę. Widział, jak jego koledzy rujnowali sobie karierę przez chwilę nieuwagi i złe oświetlenie. Wiedział, że tylko szczęściu zawdzięcza, że jemu się nie przytrafiło to samo. Teraz to doświadczenie pomogło mu, gdy miał do czynienia z bronią znacznie bardziej śmiertelną. Hehn, ten stalowy kapelusz, był niezbyt pewną ochroną przeciw kulom i pociskom. Yeager widział już wiele trupów z przestrzelonym, wgniecionym albo zdmuchniętym z głowy hełmem. Ale nosił swój i był zadowolony, zawsze to lepsze niż nic. Jeśli już o tym mowa, to nie miałby nic przeciwko temu, żeby go nosić jako osłonę przed ciosami miotacza w czasie gry w baseball. Wystawił głowę zza szerniałego stosu cegieł z muru, który do niedawna stanowił tylną ścianę pralni chemicznej. Jej szyld leżał teraz pośrodku ulicy Głównej. Schował się w pośpiechu. W jego stronę leciał żyropłat jaszczurów.

– Najeźdźcy z kosmosu, myślał o nich, jakby to był tytuł komiksu, usiłowali wyprzeć amerykańskie oddziały z Amboy i przyprzeć je do Green River, gdzie stałyby się łatwym łupem. Powiedział to na głos.

Mutt Daniels nachmurzył się i przyznał:

– Chyba masz rację, chłopcze, ale musimy teraz powstrzymać te diabły.

Ryk dochodził z góry – Yeager jak automat padł na ziemię. Nauczył się tego zanim jeszcze złożył żołnierską przysięgę. Wyzlifował tę zdolność, kiedy zobaczył, jak faceta stojącego o trzy metry od niego rozerwało na strzępy, bo o ułamek sekundy za późno wykonał padnij. Ale ryk wydawały silniki dwóch śmigłowych myśliwców, które zbliżały się od zachodu do żyropłatu. Zajazgotały karabiny maszynowe samolotów P-40 Warhawk. Yeager znów wystawił głowę. Żyropłat ostrzeliwał się i próbował zawrócić w powietrzu, pragnąc uciec. Odrzutowce jaszczurów przewyższały wszystko, co była w stanie wytworzyć ludzkość, ale istniała możliwość zniszczenia ich latających transporterów. Myśliwce przeleciały ze świstem obok żyropłatu, jeden z lewej, drugi z prawej strony. Wykonały ciasny skręt, by wrócić i jeszcze raz zaatakować. Ale nie było potrzeby. Maszyna jaszczurów, wypływając dym spod rotora, osiadła ciężko na ziemi. Myśliwce dały drapaka, zanim na horyzoncie nie pojawi się coś groźniejszego. Yeager patrzył spode łba, jak jaszczury wyskakują z żyropłatu.

– Za szybko odleciały – mruknął.

– To mogła być czysta robota.

Mutt Daniels otworzył zamek swojego springfielda, żeby wsunąć następny nabój.

– Reszta należy do nas, prawda?

Poruszając się z wdziękiem, który przeczył jego tłustej sylwetce, poczołgał się naprzód. Yeager podążył za nim. Miał już teraz karabin. Zabrał go człowiekowi, któremu już nigdy nie będzie potrzebny. Na farmie, gdzie się wychował, strzelał nieraz z flinty ojca do puszek po konserwach, szczurów, a czasem do wron. Wojskowy karabin, który miał teraz, był cięższy i kopał mocniej, ale nie na tym polegała różnica między tym, co jest obecnie a dawno minionymi dniami. Puszek, szczury i wrony nie odpowiadały ogniem. Niedaleko skrzyżowania Głównej i drogi nr 52 zaczął ujadać ciężki karabin maszynowy. Z żyropłatu jaszczurów leciały drzazgi, błyszczały, wirując w słońcu. Same jaszczury kryły się z szybkością i zwinnością przypominającą ich małych ziemskich kuzynów. Jeden po drugim, otwierały ogień. Nie był to nie kończący się grzechot ładowanego z taśmy karabinu

maszynowego ani pojedyncze wystrzały karabinowe. Ich broń strzelała krótkimi seriami. Czyżby za ozdobnym żywoplotem coś się poruszyło? Yeager nie próbował tego sprawdzać. Podrzucił karabin do ramienia i wystrzelił. Przebiegł szybko na nową pozycję zanim powtórnie spojrzął na żywoplot. Nic tam się teraz nie ruszało. Znów łoskot w powietrzu. Tym razem od północnego zachodu... Yeager strzelił do nadlatującego żyropłatu, ale maszyna była poza zasięgiem ognia. Spod jej przysadkowatych skrzydeł strzelił płomień. Z okrzykiem strachu Yeager runął twarzą w błoto i trawę. Wokół niego zaczęły wybuchać rakiety. Ogień smagał amerykańskie pozycje. Ciężki karabin maszynowy zamilkł. Na wpół ogluszony Yeager usłyszał jednak, że jaszczury ruszają do ataku. Huk obwieścił, że wróciły samoloty. Ich karabiny bluznęły ogniem w nowo przybyły żyropłat. Tym razem dokończyły roboty. Żyropłat runął bokiem na ziemię i zamienił się w kulę ognia. Dym podniósł się pod niebo. Było go mniej niż gdyby palił się samolot zbudowany przez ludzi. Jaszczury używały czystszej paliwa. Ale nie tylko paliwo zajęło się ogniem. Siedzenia, farba, amunicja, ciała załogi... wszystko poszło z dymem. Amerykanie z okrzykiem ruszyli przeciwko jaszczurom.

– Uważać tam! Wy przekłęci durnie! – ryknął sierżant Schneider, starając się przekrzyczeć zgiełk pola walki.

– Trzymać się nisko.

Jakby dla podkreślenia wagi tej przestrogi ktoś, kto nie trzymał się nisko, runął na twarz. Samoloty Warhawk wróciły, by kosić ogniem jaszczury kryjące się na ziemi. Zza głazu stojącego pośrodku trawnika dzielącego ulicę główną, oznaczającego miejsce, z którego przemawiał Lincoln, wystrzelił słup ognia. P-40 zmienił lot. Zaczął się obracać. Mimo prób pilota spadł, strącony przez raketę.

– Niech mnie cholera, jeśli to nie wygląda jak raca na 4 Lipca, włącznie z tym wielkim bum na końcu – powiedział Daniels.

– Leciało, jakby miało oczy – stwierdził Yeager, mając na myśli zmieniającą kierunek ścieżkę, którą rakietą zostawiała za sobą na niebie.

– Ciekawe, jak oni to robią.

– W tej chwili mam ważniejsze sprawy na głowie, żeby się temu dziwić. O, na przykład to czy dożyję do jutra – rzekł Mutt.

Yeager pokiwał głową. Ale ciekawość nie dawała mu spokoju. Pisarze w „Astounding” i innych magazynach s.f. mówili od dawna o urządzeniach naprowadzających. W nocy, kiedy najeźdźcy z kosmosu nawiedzili Ziemię, stwierdził, że przeżycie realnego science fiction jest znacznie bardziej niesamowite i znacznie bardziej niebezpieczne niż po prostu czytanie o kosmitach. Z góry doszedł syk, gwizd, dźwięk podobny do odgłosów pociągu wjeżdżającego na stację; to pocisk artyleryjski uderzył pomiędzy okopane jaszczury. Potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Pod niebo wzniosły się fontanny ziemi. Ogień wroga ucichł. Yeager nie wiedział czy jaszczury zostały zabite, czy mają rannych, czy po prostu przyczaiły się. Skorzystał z momentu ciszy, żeby dopełznąć bliżej wroga, czyli bliżej miejsca, gdzie wybuchały pociski artyleryjskie. Żałował, że wpadł na taki pomysł, ale czołgał się dalej. Nad głową przemknął samolot jaszczurów. Leciał na wschód. Yeager schował się, ale pilot nie tracił czasu na tak trywialny cel, jak żołnierz piechoty. Bez wątplenia chciał dopaść baterię artylerii polowej. Pociski nadlatywały jeszcze przez jakąś minutę, może dwie. Potem nagle ostrzał artyleryjski ucichł. Do tego czasu Yeager i inni Amerykanie zdążyli podejść do pozycji jaszczurów.

– Poddać się! – krzyknął sierżant Schneider.

Yeager był pewien, że dowódca marnuje płuca, bo skąd niby jaszczury miałyby znać angielski? A jeśli nawet, to czy się poddadzą? Yeagerowi wydawali się podobni do Japońców – byli mali i

lubili podstępnie atakować. Japonec nie poddałby się za nic w świecie, co zrobią jaszczury? Jeden z nich znał trochę angielski. Bóg raczy wiedzieć, skąd.

– Nie – poddass... – brzmiała odpowiedź.

Ten suchy syk sprawił, że Yeagerowi włosy stanęły dęba. Ogień karabinów wroga podkreślił tę odpowiedź. Strzały były coraz bliższe. Yeager chwycił granat, wyciągnął zawleczkę, zamachnął się i rzucił z całej siły. Jajo poleciało w stronę betonowego murka, za którym, jak sądził, ukrywał się jaszczur, który nie chciał się poddać. Nie patrzył, gdzie granat upadł. Zanim uderzył o ziemię, Yeager zdążył zrobić padnij. Wystarczyło kilka kul, które w czasie akcji świsnęły mu koło głowy, żeby zdołał opanować tę sztukę raz na zawsze. Granat eksplodował z hukiem. Zanim umilkł odgłos wybuchu, Yeager podbiegł do szarego muru. Na ślepo oddał dwa strzały na drugą stronę. Jeśli nawet nie uda mu się postrzelić jaszczura, to nieźle go wystraszy. Przełknął ślinę i przeturlał się na drugą stronę betonowej podmurówki. Jaszczur, potwornie poraniony, wił się na ziemi; jego krew plamiła żwir alei. Yeagerowi żołądek powoli podszedł do gardła. Nie spodziewał się, że śmiertelna męka stworu z innej planety aż tak go poruszy. Jaszczur bełkotał coś niezrozumiale w swoim języku. Yeager nie miał pojęcia, czy to słowa pogardy, czy prośba o łaskę. Chciał tylko jednego, zakończyć agonię kosmity i sprawić, żeby ucichł. Podniósł karabin i strzelił mu w głowę. Stwór drgnął jeszcze kilka razy i przestał się ruszać. Yeager odetchnął z ulgą; poniewczasie pomyślał, że obcy mógł nie mieć mózgu w głowie, tak jak ludzie. Zastanawiał się, czy jego towarzysze walki też o tym pomyśleli. Prawdopodobnie nie; niewielu było fanów powieści fantastyczno-naukowych. To i tak nie miało teraz znaczenia. Nachylił się nad pokrytym łuskami ciałem i podniósł pistolet maszynowy jaszczura. Zaskoczyła go jego lekkość. Pomyślał, że ktoś powinien rozebrać broń na części i sprawdzić, jak działa.

– Poddać się, wy jaszczury! – ryknął znowu sierżant Schneider.

– Rzućcie broń! Poddajcie się, a nie zrobimy wam krzywdy.

Yeager sądził, że sierżant niepotrzebnie nadweręża płuca, ale wróg zaprzestał ognia. Schneider wyszedł na otwartą przestrzeń machając czymś białym – to była powłoczka poduszki przywiązana do karabinu. Powiewał nią w stronę domów i sklepów, w których ukrywało się kilka ostatnich jaszczurów. Wykonał stanowczy gest, który rozumiałaby każda istota ludzka: „wychodzić”.

Siedzący w kucki za Yeagerem Mutt Daniels odezwał się:

– Powinien za to dostać Medal Honorowy.

Yeager przytaknął, starając się ukryć zaskoczenie. Nie usłyszał, że jego menażer, teraz raczej były menażer, idzie w ślad za nim. Sierżant Schneider stał i czekał. Rozstawił wielkie stopy, brzuch wylewał mu się nad pasem. Wyglądał na człowieka mocnego, prawdziwego twardziela. Yeager, widząc jak sierżant nie czuje lęku przed pistoletami maszynowymi jaszczurów, poczuł, że łyzy zbierają mu się pod powiekami. Był dumny, że należy do rasy ludzkiej, która była w stanie wydać tak odważnego człowieka. Po ogłuszającym bitewnym hałasie, cisza wydawała się dziwna, nie na miejscu, nieomal przerażająca. Trwała prawie przez pół minuty. Potem otworzyły się drzwi jednego z domów, z których jaszczury prowadziły ogień. Yeager machinalnie podrzucił karabin do ramienia. Schneider podniósł rękę nakazując Amerykanom, by nie strzelali. W drzwiach ukazał się jaszczur. Nie rzucił broni, ale trzymał karabin za lufę, kolbą do góry, podobnie, jak sierżant Schneider przymocował do niej coś białego. Kształt wydał się Yeagerowi znajomy, ale potrzebował chwili, zanim był w stanie go rozpoznać. Nagle zgiął się w pół ze śmiechu.

– Co to jest? – zapytał Mutt Daniels.

Yeager, między jednym a drugim napadem śmiechu, wyjąkał:

– Po raz pierwszy widzę, żeby ktoś zrobił białą flagę z damskich majtek.

– Że jak?

Mutt przyjrzał się, a potem sam zaczął się śmiać. Jeśli zaimprovizowana flaga rozbawiła także sierżanta Schneidera, to nie można było po nim poznać. Jeszcze raz wykonał gest: chodź tutaj. Jaszczur podszedł. Poruszał się ostrożnie i z rozwagą. Nie przypominało to zwinnego truchtu najeźdźców z kosmosu. Kiedy znalazł się w odległości około sześciu metrów od Schneidera, sierżant pokazał na karabin kosmity, a potem na ziemię. Zrobił to kilka razy, zanim jaszczur, bardzo niechętnie złożył broń. Schneider jeszcze raz pokazał chodź tutaj. Jaszczur posłuchał. Cofnął się, gdy sierżant objął go ramieniem, ale nie uciekał. Sięgnął człowiekowi zaledwie do połowy klatki piersiowej. Sierżant odwrócił się w stronę, gdzie ukrywały się pozostałe jaszczury.

– Widzicie? Nie stanie się wam żadna krzywda. Poddajcie się!

– Jezu, oni rzeczywiście się poddają – szepnął Yeager.

– Na to wygląda? – mruknął Mutt Daniels.

Jaszczury wychodziły z ukrycia. Było ich tylko pięć. Yeager spostrzegł, że dwa są ranne i opierają się o towarzyszy. Jaszczur, który poddał się jako pierwszy, krzyknął coś do nich. Trzej niosący karabiny złożyli broń.

– Co zrobimy z tymi rannymi jaszczurami? – Zapytał Yeager.

– Jeśli są prawdziwymi jeńcami wojennymi, powinniśmy postarać się im pomóc, ale czy mamy wołać lekarza, czy weterynarza? Do diabła, nawet nie wiem, czy jedzą naszą żywność.

– Ja też nie wiem i szczerze mówiąc nie dałbym im ani kawałka – stwierdził Mutt Daniels.

Wypluł prymkę tytoniu i mówił dalej.

– Ale to jest w porządku, że mamy tych jeńców. Nieważne, co nam mogą powiedzieć, ale oni też mają naszych ludzi.

– Coś w tym jest.

Yeager zastanawiał się, co się stało z resztą drużyny Decatur Commodores. Obawiał się, że nic dobrego. Przypomniawszy sobie, jak jaszczury ostrzelały pociąg. Najeźdźcy mogli robić, co im się podobało na wielkich obszarach Stanów Zjednoczonych. Jeśli zatrzymanie zakładników mogło ich powstrzymać od najgorszego, to Yeager zgadzał się, żeby brać jeńców. Razem z innymi Amerykanami pobiegł naprzód, kiedy sierżant Schneider przywołał ich machnięciem ręki i kazał przypilnować jeńców. Jaszczury, które się już poddały, były całkowicie posłuszne. Starły się wykonywać rozkazy, wydawane gestami przez żołnierzy, najlepiej jak potrafiły. Nawet dla najeźdźców z kosmosu: chodź ze mną i tędy było zrozumiałe. Schneider był przekonany, że dowodzona przez niego banda, której brakowało wszystkiego od oficerów i broni po zaopatrzenie, szcycąca się nazbyt optymistyczną nazwą oddziału wojska, dokonała czegoś istotnego.

– Musimy jak najszybciej przewieźć tych łuskoskórych sukinsynów do Ashton, zanim nadciągnie ich więcej.

– Wybrał sześciu ludzi.

– Ty, ty, ty, ty, ty i ty.

Yeager był czwarty. Mutt Daniels piąty.

Wracajcie do autobusu, który nas tu przywiózł i zabierajcie ich stąd. Reszta okopie się. Mam nadzieję, że przybędzie więcej ludzi zanim jaszczury mocniej nas nacisną. Jak dobry Bóg pozwoli, to odrzucimy ich i zaatakujemy wzdłuż tej drogi w ciągu kilku godzin. Teraz zabierajcie dupy w troki. Otoczone przez ludzi z bagnetami na karabinach, jaszczury zaczęły się przedzierać przez ruiny do żółtego szkolnego autobusu, który wciągnięto do służby jako transporter piechoty. Yeager wolałby widzieć na jego miejscu przyzwoitą wojskową ciężarówkę pomalowaną na zielono, ale w Ashton tylko to było do dyspozycji. Kluczyk tkwił nadal w stacyjce. Otto Chase popatrzył na niego z pewną

konsternacją.

– Czy ktoś tutaj umie prowadzić tę landarę? – zapytał były robotnik cementowni.

– Chyba ja z Samem moglibyśmy się z tym uporać – powiedział Mutt Daniels, zerkając z ukosa na Yeagera.

Zawodnik wydał policzki jak świstak, żeby się nie roześmiać. Pół życia spędził trzęsąc się w autobusach, pomagając je naprawiać na poboczach dróg, pchając je, gdy się zepsuły. Wiedział o nich prawie wszystko. Co więcej, Mutt jeździł autobusami, odkąd te pojawiły się na drogach. Yeager nie mógł sobie wyobrazić, żeby jego były menażer czegoś nie wiedział na temat tych gruchotów. Daniels poczekał, aż pozostali zagnają jaszczury na szerokie miejsce z tyłu wozu i włączył silnik; zawrócił na ulicy, którą większość ludzi uznałaby za zbyt wąską, na tego rodzaju manewr i pojechał w kierunku Ashton Unikał autostrad. Jechał bocznymi drogami, na których było mniejsze prawdopodobieństwo, że przyciągnie się czyjąś uwagę z powietrza.

Podniósł głos, żeby przekrzyczeć warkot silnika:

– Przypomina mi to kraj tuż za linią frontu we Francji, w 1918 roku, kiedy Bosze posunęły się najdalej na zachód. Były tam miejsca zupełnie zniszczone, ale wystarczyło przejechać ponad czterdzieści metrów i było tak, jakby nikt tam nie słyszał o wojnie.

To było dobre porównanie, pomyślał Yeager. Większość farm rozpościerających się wśród pasm lasu, między Amboy i Ashton, była nietknięta. Mężczyźni w szerokoskrzydłych kapeluszach i w kombinezonach roboczych pracowali w polu; tu i ówdzie pasły się krowy, ich czarne i białe łaty żywo kontrastowały z radosną zielenią trawy i dojrzewających zbóż. Życie biegło tu z niezmaconym spokojem, jakby najbliższy jaszczur był stąd oddalony o miliardy lat świetlnych. Równie często autobus mijał jednak lej po bombie albo po pocisku artyleryjskim znaczący się obrzydliwą brązową blizną na gładkiej zielonej powierzchni ziemi. Wokół tych kraterów leżało bydło; wydęte boki grzały w gorącym, letnim słońcu. Niektóre ze ślicznych wiejskich domków straciły swą urodę, Po części z nich pozostały jedynie stosy belek, jakby bawił się nimi nieostrożny olbrzym. Tłuste wrony, wystraszone klekotaniem silnika autobusu, wzbijały się w powietrze. Ich krakanie wyrażało niezadowolenie z faktu, że ktoś przerwał im posiłek. Mimo to, tak jak powiedział Mutt, oczy mogły nieomal zapomnieć o wojnie, która toczyła się w pobliżu. Gorsze było tu powietrze. Yeager zastanawiał się czy lekki zapaszek spalenizny i rozkładu przylgnał do niego, do innych Amerykanów i jaszczurów, czy też wpadał do środka przez otwarte okno. A może to wiatr przywiewał tę woń z zachodu, z linii frontu. Cztery jaszczury, które nie odniosły ran, czyniły wszystko, co w ich mocy, żeby pomóc rannym towarzyszom. Ale niewiele mogły działać.. Ludzie zabrali im wraz z hełmami pasy z całą ich zawartością. Yeager wcześniej nie myślał, jak mogą się czuć najeźdźcy z kosmosu, kiedy są ranni i wzięci do niewoli przez ludzi, istoty równie im obce jak oni dla nich. Nie wyglądały na wszechmocne ani absolutnie złe. Były po prostu zagubione. Podniósł jeden z pasów i zaczął otwierać umieszczone na nim kieszenie. Wkrótce znalazł coś, co wyglądało jak bandaż opakowany w jakieś tworzywo gładkie i bardziej giętkie niż celofan. Pomyślał, że jeśli to jest niebezpieczne, to gotów jest zjeść swój hełm. Przepchnął się pomiędzy kolegami, którzy mieli nadal karabiny skierowane w stronę jaszczurów, i wyciągnął rękę z pakietem.

– Co ty robisz, do diabła? – huknął Otto Chase.

– Kogo to obchodzi, czy te przekłete stworzenia przeżyją czy zdechną?

– Są jeńcami wojennymi i mamy obowiązek traktować ich przyzwoicie. – Odparł Yeager.

– Poza tym, oni mają więcej ludzi u siebie niż my mamy jaszczurów. Męczenie ich nie byłoby rozsądne.

Chase zrywał się, ale ustąpił. Oczy jaszczurów patrzyły to na Yeagera, to na bandaż.

Przypomniał mu się kameleon, którego widział w zoo. Czy to było w Salt Lake? Może w Spokane. Tak, czy inaczej, było to dawno. Jeden z jaszczurów wziął bandaż swoją małą dłonią. Rozdzierając opakowanie, zasyczał coś do Yeagera. Wszystkie jaszczury, nawet te ranne, opuściły wzrok na dwie sekundy. Potem jaszczur zaczął biegłe opatrywać ranę na boku ranego towarzysza.

– Poszperajcie w tych pasach – powiedział Yeager przez ramię.

– Może znajdzie się więcej bandażu.

Obawiał się, że zacznie się teraz kłótnia, ale nic takiego nie nastąpiło. Ktoś podał mu następny pakiet, a potem jeszcze jeden. Yeager dał je jaszczurom. Zanim autobus zajechał przed Mills and Petrie Memorial Center w Ashton, ranne jaszczury owinięte były taką ilością gazy, że wyglądały jak skrzyżowanie rannych żołnierzy i Borisa Karloffa grającego rolę mumii. Mężczyźni ubrani w khaki, w dżinsy, albo w każdą możliwą kombinację tych strojów kręcili się przed frontonem budynku wzniesionego z kamienia i żółtej cegły.

Mutt Daniels ryknął przez otwarte okno kierowcy:

– Mamy tu jeńców. Co u diabła mamy zrobić z tymi jaszczurami?

To przyciągnęło uwagę wszystkich. Ludzie ruszyli w stronę szkolnego autobusu na łeb na szyję. Zaczęło się rozpychanie łokciami, kiedy ci z wyższymi stopniami torowali sobie drogę przez tłumek podwładnych. Pierwszy oficer, któremu udało się wejść do autobusu, miał stopień pułkownika. Był to najstarszy rangą facet, jakiego Yeager widział w Ashton. Kiedy przybył tu kilka tygodni temu, sierżant Schneider był najstarszy stopniem w miasteczku.

– Żołnierzu, powiedzcie, jak ich wzięliście – powiedział.

– Są to jedne z pierwszych jaszczurów, które udało nam się wziąć do niewoli.

– Tak jest, pułkowniku Collins – odpowiedział Daniels odczytując nazwisko z plakietki na prawej górnej kieszeni munduru.

Opowiedział tylko fragment historii, bo wszyscy pozostali, wśród nich Yeager, ciągle mu przerywali, wtrącając swoje uwagi. Sam wiedział, że nie jest to pokaz dyscypliny wojskowej, ale nie zwracał na to uwagi. Jeśli ten pułkownik Collins, kimkolwiek by był, nie chce wysłuchać Amerykanina wypowiadającego własne zdanie, to niech go diabli wezmą. Collins słuchał i nie narzekał.

Kiedy Daniels skończył opowiadać, odezwał się:

– Mielście, chłopcy, szczęście jak wszyscy diabli; mam nadzieję, że zdajecie sobie z tego sprawę. Gdyby nasze samoloty nie zlikwidowały tych helikopterów nieprzyjaciela, krucho by z wami było.

Pułkownik przeszedł na środkowy pomost autobusu, żeby lepiej przyjrzeć się jaszczurom; jak prawie wszyscy, w ciągle dotąd wolnej części Stanów Zjednoczonych, jeszcze ich nie widział z bliska. Przecisnął się koło Yeagera, przyglądał się jeńcom przez kilka minut, wreszcie odwrócił się do żołnierzy.

– Nie wyglądają na chojraków, co?

– Tak jest – powiedział Yeager w chórze z innymi żołnierzami.

Pomyślał przy tym, że Collins sam wygląda na niezłego zawadiakę. Pułkownik był mniej więcej w wieku Mutta i mówił z tym samym akcentem, ale na tym kończyły się podobieństwa. Collins był wysoki, ciągle jeszcze szczupły, przystojny, miał bujną srebrną czuprynę. Nie trzymał też ciągle prymki za policzkiem. Gdyby nie mundur, Yeager uznałby go za polityka, na przykład za burmistrza średniej wielkości niezłe prosperującego miasta.

– Chłopcy, zrobiliście coś ważnego. Dopilnuję, żebyście wszyscy dostali awans.

Żołnierze uśmiechnęli się.

– Najwięcej należy się sierżantowi Schneiderowi – powiedział Mutt.

– On jest teraz w Amboy. Yeager żywo przytaknął.

– Postaram się więc, żeby nie ominęła go nagroda – przyrzekł Collins.

– Jeśli szeregowcy mówią dobrze o sierżancie, kiedy go nie ma w pobliżu, to myślę że musi być wyjątkowym człowiekiem.

Żołnierze zachichotali, a Collins kontynuował:

– Teraz musimy przekazać komuś te jaszczury, niechby ktoś sprawdził, co to jest i czego chce.

– Pomogę je dostarczyć, panie pułkowniku – odezwał się Yeager.

Pułkownik Collins zmierzył go szarymi zimnymi oczami:

– Nie spiesz ci się żołnierzu, żeby wracać na linię ognia, co?

– Nie, panie pułkowniku, to nie ma z tym nic wspólnego – odparł Yeager zawstydzony i zirytowany.

Zastanawiał się, czy Collins sam był kiedy na linii ognia. Nie wiedział, co oznacza kalejdoskop baretek na lewej piersi oficera.

– Dlaczegoż to miałbym ciebie właśnie do tego wyznaczyć? – dopytywał się Collins.

– Nie mam lepszego wytłumaczenia, panie pułkowniku, poza tym, że od dawna czytuję opowiadania fantastycznonaukowe. O ludziach z Marsa i najeźdźcach z kosmosu, rozmyślałem o tym więcej niż ktokolwiek inny tutaj.

Collins nadal na niego patrzył, ale już w inny sposób.

– Do diabła, nie spodziewałem się takiej odpowiedzi. Twierdzisz zatem, że jesteś lepiej przygotowany psychicznie na kontakt z tymi... rzeczami niż ktoś, kogo bym wybrał na chybił trafił?

– Tak jest – Yeager nie służył długo w wojsku, ale nauczył się już, żeby za dużo nie obiecywać, więc uczynił zastrzeżenie – przynajmniej mam taką nadzieję, panie pułkowniku. Oficerom, tak jak menażerom, płaci się za umiejętność natychmiastowego podejmowania decyzji, a potem, za konsekwentne ich wdrażanie w życie.

Po jakiś dziesięć minut milczenia Collins powiedział:

– W porządku, żołnierzu, będziesz miał to, czego tak bardzo pragniesz. Nazywasz się...?

– Samuel Yeager, panie pułkowniku – odparł Yeager salutując.

Ledwie potrafił powstrzymać się od uśmiechu, kiedy literował swoje nazwisko. Pułkownik wyciągnął mały notes i złoty automatyczny ołówek. Yeager spostrzegł, że oficer jest leworęczny.

– W porządku, szeregowy Yeager...

– Powinno być kapral Yeager, a przynajmniej starszy szeregowy – odezwał się Mutt Daniels.

Collins odwrócił się w jego stronę, żeby go zwymyślać, ale Daniels nie spieszył się.

– Powiedział pan, że dostaniemy awanse. Yeager wolałby, żeby Daniels się nie odzywał.

Czekał, kiedy Collins zacznie się wściekać. Ale pułkownik wybuchnął śmiechem:

– Poznaję starego żołnierza, jak go tylko usłyszę. Jeśli powiesz, że nie byłeś we Francji, to nazwę cię kłamcą.

– Nie mogę zaprzeczyć, panie pułkowniku – odparł wniebowzięty Mutt z szerokim, uśmiechem, który przydawał mu się, kiedy sędziowie chcieli go wyrzucić ze stadionu za złe zachowanie.

– Lepiej nawet nie próbuj.

Collins zwrócił się znowu do Yeagera.

– W porządku, starszy szeregowy Yeager, będziesz służył jako łącznik przy tych jeńcach dopóki nie dostarczysz ich do właściwych władz w Chicago.

Znowu wyciągnął notes i zaczął coś szybko pisać. Wydarł kilka kartek i powiedział: Te rozkazy oddają cię do dyspozycji przełożonym w Chicago. Mogą cię tu odesłać albo mogą ci pozwolić zostać

z jaszczurami, jeśli okaże się, że jesteś bardziej przydatny w takiej roli.

– Dziękuję, panie pułkowniku – wykrzyknął Yeager wkładając do kieszeni rozkazy, które dał mu Collins.

Przypominało mu to krótki czas próby, który Bobby Fiore spędził w Albany – jeśli nie będzie się dobrze sprawował, to go wyleją i nigdy więcej nie dadzą mu okazji, żeby udowodnić, że jest dobry. Ale on nie dostanie nawet takiej minimalnej szansy, jaką miał Bobby. Bóg raczy wiedzieć, kto to są te właściwe władze i ile czasu mu to zajmie, zanim je znajdzie. Ale teraz musiał zatroszczyć się o jaszczury.

– Panie pułkowniku, czy znajdzie się tutaj jakiś lekarz, żeby opatrzyć rany tych dwóch...

Collins skinął głową. Podszedł do drzwi autobusu. Jakby na dany znak, wszyscy niżsi rangą oficerowie czekający na zewnątrz rzucili się w jego kierunku. Uniesiona ręka Collinsa sprawiła, że stanęli w miejscu.

Pułkownik wystawił głowę z autobusu i krzyknął:

– Finkelstein!

– Tak jest! – r– chudy facet w okularach z czarną kędzierzawą czupryną na wielkiej głowie przepchnął się przez tłum.

– To Żyd, stwierdził Collins – i cholernie dobry z niego lekarz.

Yeagerowi byłoby wszystko jedno, prawie wszystko jedno, Finkelstein mógłby być też Murzynem. A z pewnością było to obojętne jaszczurom. Doktor, z czarną torbą w ręku, wspiął się do autobusu.

– Kto jest ranny? – zapytał z mocnym nowojorskim akcentem. Otworzył szeroko oczy.

– Och!

– Chodź pan – powiedział Yeager; jeśli ma być łącznikiem przy jaszczurach, to musi się zabrać do roboty.

Poprowadził Finkelsteina na tył wozu, do jaszczurów. Siedziały cicho przez cały czas rozmowy z Collinsem. Miał nadzieję, że stwory z innej planety rozpoznają w nim człowieka, który dał im bandaże do opatrzenia ran. Chyba go poznały; nie okazały niepokoju, kiedy przyprowadził do nich doktora. Ale kiedy Finkelstein chciał zdjąć bandaż, jeden z nie zranionych jaszczurów wyrzucił z siebie wiązkę ohydnie brzmiących posykiwań.

Inny wstał z miejsca i wyciągnął pazurzastą rękę.

– Jak im powiecie, że nie zamierzam zrobić im nic złego? Skąd u diabła mam to wiedzieć?, pomyślał Sam. Ale jeśli nie znalazłby rozwiązania, to robi to kto inny.

Czekał na natchnienie. Wreszcie nadeszło. Podał karabin Otto Chase'owi i podwinął rękaw.

– Rób pan tak, jakbyś owijał mi rękę bandażem, a potem zdejmij go pan. Może zrozumieją, że ma pan zamiar to zrobić.

– Tak, to może poskutkować – powiedział entuzjastycznie Finkelstein.

Otworzył torbę medyczną, wyjął owinięty papierem pakiet z bandażem.

– Nie znoszę marnowania sterylnych opatrunków – mruzczał, gdy go otwierał.

Owinał bandaż wokół ręki Yeagera. Ręce miał sprawne, szybkie i łagodne. Jaszczury przyglądały mu się w skupieniu. Yeager westchnął i starał się jak najlepiej oddać uczucie ulgi. Nie miał pojęcia, czy jaszczury go rozumiały. Finkelstein zdjął mu bandaż. Potem znów popróbował podejść do rannego jeńca. Tym razem, zdrowe jaszczury, choć posykiwały coś między sobą, nie próbowały go zatrzymać. Koniec bandaża dał się łatwo zdjąć..

– To nie jest taśma – powiedział doktor, bardziej do siebie niż do Yeagera.

– Ciekawe, jak to się trzyma.

Zdjął dalszą warstwę i obejrzał ranę w boku jaszczura. Tym razem to on zasyczał.

– Myślę, że to odłamek. Podaj mi torbę, żołnierzu.

Złapał za sondę.

– Powiedz mu, że to może boleć.

– Kto, ja? Ale to właśnie do Yeagera zwrócił się lekarz.

Sammy starał się przyciągnąć uwagę jaszczurów. Uszczypnął się i zaczął naśladować dźwięki, które wydawały ranne jaszczury. Potem wskazał na Finkelsteina, na sondę i na ranę; patrzył na nią tylko chwilę. Rozdarte ciało było po prostu rozdartym ciałem, niczym więcej, bez względu na to czy należało do człowieka, czy jaszczura. Finkelstein powoli zagłębił sondę. Ranny jaszczur siedział bardzo spokojnie, nagle zasyczał i wzdrygnął się. W tej samej chwili doktor krzyknął:

– Znalazłem! Nie jest duży i tkwi niezbyt głęboko.

– Wyciągnął sondę i wyjął długie, cienkie kleszcze.

– Prawie, prawie... mam! – szarpnął rękę, kleszcze wyszły z rany razem z dwunastomilimetrowym kawałkiem metalu.

Kropla jaszczurzej krwi skapnęła z niego na podłogę autobusu. Wszyscy jeńcy, nawet ci ranni, zaczęli coś w podnieceniu mówić w swoim języku. Ten, który ruszył na doktora z pazurami, opuścił swoje dziwaczne oczy w dół i stał bardzo spokojnie. Yeager widział, jak jeńcy robili tak wcześniej. Pomyślał, że był to rodzaj wyrazu uznania lub szacunku. Doktor zaczął na powrót kłaść opatrunek, przerwał i popatrzył na Yeagera.

– Myślicie, że powinienem posypać ranę sulfamidem? Czy ziemskie bakterie mogą rozwijać się na tym czymś, co przybyło Bóg wie skąd? A może to dla nich trucizna?

I znowu, pierwszą myślą Yeagera było: skąd ja mam to wiedzieć? Dlaczego ten doktor pyta o sprawy związane z medycyną trzecioliigowego zawodnika bez matury? Potem uświadomił sobie, że Finkelstein może wiedzieć o jaszczurach niewiele więcej od niego.

– Zdaje mi się, że przybyły z planety, która niewiele różni się od naszej – powiedział po kilku sekundach zastanowienia.

– Inaczej nie zależałoby im tak bardzo na zdobyciu Ziemi. Więc może nasze zarazki je lubią.

– Tak, to ma sens. W porządku, zrobię to.

Doktor nasypał żółtego proszku do rany i przyłożył opatrunek. Bandaż trzymał się równie dobrze jak przedtem. Pułkownik Collins przeszedł na tył autobusu:

– Jak idzie, doktorze?

– Całkiem nieźle, dziękuję, panie pułkowniku.

Finkelstein skinął głową w kierunku Yeagera.

– To jedyny bystry facet, jakiego pan tu ma.

– Naprawdę? To dobrze.

Collins znowu podszedł do drzwi autobusu.

– Przepraszam, żołnierzu – powiedział lekarz.

– Nawet nie wiem, jak się nazywacie.

– Sam Yeager. Miło mi było pana poznać, panie doktorze.

– To cię zaskoczę, bo też jestem Sam. Sam Finkelstein. No cóż, Sam, popatrzmy, co możemy zrobić dla tego drugiego jaszczura.

– W porządku, Sam – odparł Yeager.

White Sulphur Springs w Wirginii Zachodniej było ostatnim miejscem, w którym Jens Larssen spodziewał się znaleźć, po tym jak wyruszył z Chicago, by poinformować rząd, o wadze prac prowadzonych w Laboratorium Metalurgicznym. Zamieszkanie w tym samym hotelu co niemiecki

charge d'affaires Hans Thomsen, też nie było największym jego pragnieniem. Ale był tutaj i mieszkał niestety w Greenbrier Hotel, zbudowanym przy słynnych źródłach siarczanych. Niemca internowano tutaj wraz z dyplomatami z Włoch, Węgier, Rumunii i Japonii, kiedy Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Thomsen popłynął z powrotem do Niemiec na szwedzkim statku oświetlonym jak choinka, żeby nie atakowały go U-booty, niemieckie łodzie podwodne. Hitlerowskiego dyplomata wymieniono na Amerykanów internowanych w Niemczech. Teraz Thomsen był tu ponownie. Jego apartament znajdował się naprzeciwko pokoju Larssena.

W jadalni hotelowej posługiwał się doskonałą angielszczyzną:

– Bałem się, kiedy płynąłem do domu, przyznaję. Ale powrót tutaj na szalenie małej i ciasnej łajbie – za małej i za ciasnej dzięki Bogu, żeby zauważyły ją jaszczury – był taki, że w ogóle nie odczuwałem lęku. Za bardzo zmogła mnie choroba morska, żebym mógł myśleć o strachu.

Wszyscy, którzy go usłyszeli, łącznie z Jensem, roześmieli się. Fakt, że Thomsen wrócił do Stanów Zjednoczonych świadczył, że ludzkość ma ważniejsze sprawy na głowie niż wzajemne wybijanie się. Niemniej, Larssen był tym zdenerwowany. O ile chodziło o niego, Niemcy pozostawały nadal wrogiem, nawet jeśli przypadek zmusił je do sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. Uczucie to było podobne do tego, jakie żywił, gdy doszło do sojuszu z Rosją przeciwko Hitlerowi, tyle że było mocniejsze. Większość osób w White Sulphur Springs nie podzieliła jego zdania. Było tu wielu znanych ludzi, którzy uciekli z Waszyngtonu, kiedy rząd musiał się ewakuować z powodu nalotów dokonywanych przez jaszczury. Larssen słyszał, że przebywał tu również prezydent Roosevelt. Nie wiedział, czy to prawda. Każda nowa plotka umieszczała prezydenta w coraz to innym miejscu: w Waszyngtonie, w Nowym Jorku, w Filadelfii, a nawet w San Francisco, chociaż Jensowi trudno było wyobrazić sobie, żeby prezydent jechał przez cały kraj pełen jaszczurów. Larssen westchnął, podszedł do umywalki w swoim pokoju, żeby sprawdzić, czy jest gorąca woda. Czekał i czekał, ale strumień płynący z kranu nadal był zimny. Wzdychając ogolił się używając zimnej wody, piany z hotelowego mydła Lifebuoy i żyletki, która pamiętała lepsze czasy. Zadrapania kusiły go, by zapuścić brodę. Ubrania miał wymięte. Nawet krawaty były pogniecione. Podróżowanie tutaj zajęło mu wiele czasu, a obsługa hotelowa była pod psem. I tak był szczęściarzem. Nikt w Waszyngtonie ani w White Sulphur Springs nie słyszał o Geraldzie Sebringu, który wyjechał z Chicago na wschód pociągiem. Larssen nachylił się, żeby zawiązać sznurowadła. Jedno z nich zerwało się, gdy je zaciągał. Przeklinając pod nosem, uklęknął na jedno kolano i związał resztki sznurowadła, potem zrobił kokardę. Wyglądało to obrzydliwie, ale zdążył się już zorientować, jak koszmarnie złupiono sklepik hotelowy. Najpierw dokonali tego dyplomaci Osi, a potem desant waszyngtońskich biurokratów. Wiedział, że nie znajdzie tam sznurowadeł. Może kupi je gdzieś w mieście. Zmarszczył nos, kiedy wyszedł na korytarz. Cuchnęło siarką ze źródeł, a także kotami i psami, które internowani dyplomaci przywieźli z Waszyngtonu. Cholernie mi to doda apetytu przy śniadaniu, pomyślał, kiedy schodził do jadalni. Śniadanie nie było szczytem wyrafinowania. Miał do wyboru czerstwą grzanekę z dżemem i płatki owsiane pływające w roztworze mleka w proszku. Każde danie z osobna kosztowało 3,75 dolara. Jens obawiał się, że będzie musiał ogłosić bankructwo zanim wydobędzie się z White Sulphur Springs. Zarabiał nieźle, jak na wojenne warunki, nawet bardzo dobrze, jeśli porównać zarobki do standardów chudych lat trzydziestych, ale inflacja wzrosła niebotycznie od czasu, gdy wylądowały jaszczury. Popyt pozostał wysoki, ale podaż spadła. Zjadł w końcu grzanekę; widok zupy z mleka w proszku zapamięta chyba na całe życie. Zostawił zebraczy napiwek i potem nawet tego pożałował. Uciekł zanim kelner się zorientował, z jakim sknerą ma do czynienia. Wsiadł do samochodu i pojechał osiem kilometrów w stronę centrum miasta, do kościoła metodystów, w którym miał się zameldować. Stwierdził, że White Sulphur Springs jest

niewielkim, lecz pięknym miasteczkiem. Było zapewne jeszcze piękniejsze, zanim hordy brudnooliwkowych ciężarówek nie zepsuły powietrza spalinami. Wozy trąbiły głośno, chcąc wymusić dla siebie pierwszeństwo. Działa przeciwlotnicze, które wyrastały na każdym skrzyżowaniu, także nie dodawały miastu wdzięku. Mimo to, zielone łagodne stoki Alleghenów, przejrzysta woda pobliskiego jeziora Sherwood i parujące źródła, od których miejsce wzięło swą nazwę, pozwoliły Jensowi zrozumieć, dlaczego White Sulphur Springs były kurortem prezydenckim przed wojną secesyjną, kiedy jeszcze należały do Wirginii i nikomu nie przyszło nawet na myśl, że powstanie niezależny stan Wirginii Zachodniej. Bielony kościół z wysoką dzwonnica nadal stanowił symbol spokoju, który miasteczko starało się mimo wszystko zachować. Ale tak wyglądało to na zewnątrz. Zaraz po przekroczeniu progu, Larssen stwierdził, że wszedł do innego świata. Pastor zachował zaledwie połowę swego przybytku. Ze wszystkich stron dochodził stukot maszyn do pisania, ochryple rozmowy ludzi, którzy mają za dużo roboty i za mało czasu i energiczny tupot przydziałowych butów na drewnianej podłodze. Kaprał spojrzawszy znowu na maszyny do pisania. Kiedy spostrzegł przed sobą typowego cywila, zapytał z równie typową wojskową uprzejmością:

– Chciałeś czegoś, facet? To streszczaj się.

– Jestem umówiony na dziewiątą z pułkownikiem Grovesem.

Larssen popatrzył na zegarek. Było pięć minut przed czasem.

– Och – kaprał w widoczny sposób zmienił ton, gdy dotarło do niego, że ten cywil może być ważną figurą.

Kiedy ponownie się odezwał, w jego słowach było już znacznie mniej lekceważenia:

– Zechce pan pójść ze mną, proszę pana?

– Dziękuję – Larssen poszedł za podoficerem.

Mijali ławki kościelne, w których siedzący żołnierze oddawali się innym zajęciom niż modlitwa. Pułkownik Leslie Groves siedział za biurkiem, na którym stał telefon. Posługiwał się nim ze znanstwem:

– O czym wy do diabła mówicie; że nie możecie przetransportować tych gąsienic do Detroit?... A więc mostu nie ma, a w drodze jest dziura? No to co? Załadujcie je na barkę. Jaszczury nie rozwalą połowy floty, chociaż mogły, te głupie skurwysyny. Musimy zmontować te czołgi, albo dostaniemy buzi na do widzenia... zadzwonię wieczorem, żeby być na bieżąco z tym, co robicie. Załatw to, Fred, nie obchodzi mnie jak.

Odłożył słuchawkę i wlepił zimne spojrzenie w Larssena.

– Pan jesteś z chicagowskiego projektu.

To nie było pytanie. Skinieniem ręki odprawił kaprała.

– Zgadza się – Larssen zastanawiał się, ile Groves wie o przedsięwzięciu i ile można mu powiedzieć.

Był pewien, że będzie musiał uchylić rąbka tajemnicy bardziej, niż tego pragnie.

– Po tym, co się stało z Berlinem, panie pułkowniku, wie pan jak ważny jest ten projekt. A jaszczury zbliżają się do Chicago.

– Synu, wszyscy mamy kłopoty – zagrzmał Groves.

Był wielkim mężczyzną z kasztanowymi, krótko obciętych włosami, małym wąsikiem i otwartą, budzącą zaufanie twarzą. Wypełniał z naddatkiem fotel pastora. Siedział w pewnej odległości od biurka. Potężny brzuch nie pozwalał mu przysunąć się bliżej.

– Wiem – odparł Jens.

– Chciałem tylko zaznaczyć, że przyjechałem tu aż z Chicago.

– Siadaj i opowiadaj – polecił Groves.

– Tkwiąc w tej dziurze prawie od czasu, kiedy przybyły jaszczury. Powiniennem wiedzieć trochę więcej o świecie niż tylko to, czego dowiaduję się przez telefon.

Jakby na potwierdzenie jego słów rozległ się dzwonek.

– Przepraszam.

Podczas gdy pułkownik wywarkiwał instrukcje dla kogoś po drugiej stronie linii, Larssen, tkwiąc w niewygodnym krześle przed biurkiem, starał się pozbierać myśli. Groves wyglądał na człowieka, który bardzo ciężko pracuje, kiedy nie śpi, więc Larssen zaczął mówić, gdy tylko słuchawka powędrowała z powrotem na widełki.

– Nie jest to podróż, którą chciałbym powtórzyć. Samoloty jaszczurów były wszędzie, musiałem okrążyć bocznymi drogami enklawę opanowaną przez kosmitów na wschód od Pittsburgha.

– Już są w Pittsburghu – powiedział Groves.

Jens chrząknął. Nowina nie zdziwiła go, ale i tak była jak kopnięcie w żołądek. Zmusił się, by mówić dalej:

– Diabelnie trudno było zdobyć benzynę. Kilka mil przejechałem na dwóch litrach alkoholu zbożowego, który kupiłem od jakiegoś staruszka. Myślę, że to był bimbrownik. Mój silnik nie zachowuje się od tego czasu normalnie.

– Ale mogłeś pan jechać dalej, a tylko to się liczy – powiedział Groves.

– Pomysł z alkoholem był dobry. Przerobienie silników na napęd alkoholowy jest to jedna z rzeczy, które próbujemy zrobić na wypadek, gdyby jaszczurom udało się jeszcze bardziej osłabić naszą zdolność przetwarzania ropy naftowej. Jeśli agentom skarbowym nie udało się powstrzymać bimbrowników, to niech mnie diabli, jeśli uda się to jaszczurom.

– Myślę, że się nie uda – zgodził się Larssen, ale słowa pułkownika uzmysłowiły mu, że sytuacja jest naprawdę bardzo zła.

Jakoś tak się złożyło, że cały strach i wszystkie kłopoty, które go opadły w drodze z Chicago, wszystkie koszmary, których nie uwzględnił w krótkim sprawozdaniu złożonym Grovesowi, zdawały się dotyczyć wyłącznie jego. Wyobrażał sobie, że w innych częściach Stanów Zjednoczonych życie toczy się normalnie, a tylko on ociera się o przedśionek piekła. Słowa Grovesa przywróciły mu poczucie strasznej rzeczywistości.

– Jest aż tak źle? – zapytał.

– W niektórych miejscach gorzej – odparł ponuro pułkownik Groves. Jaszczury są jak rak toczący kraj. Niszczą nie tylko te miejsca, w których są, ale także inne, bo dostawy nie mogą się przedostać przez okupowane ziemie.

Znowu zadzwonił telefon. Groves wydał serię krótkich rozkazów i wrócił do rozmowy z Jensem nie tracąc wątku:

– Zahamowali, by tak rzec, krwiobieg. Umieramy cał po calu.

– To właśnie dlatego Laboratorium Metalurgiczne jest takie ważne – powiedział Larssen.

– Jest naszą największą szansą na uzyskanie broni, która pozwoli nam walczyć z nimi prawie na równych warunkach.

Zdecydował się trochę nacisnąć.

– Z Waszyngtonem może się stać to samo, co z Berlinem, wie pan?

Groves już miał coś powiedzieć, ale przerwał mu telefon. Kiedy odłożył słuchawkę, powiedział:

– Naprawdę uważa pan, że będziecie w stanie skonstruować bombę atomową na tyle szybko, żebyśmy mogli zrobić z niej jeszcze użytek?

– Jesteśmy bliscy osiągnięcia reakcji zawieszanej – powiedział Larssen.

Umilkł; nawet te kilka słów naruszało tajemnicę, z którą żył, odkąd zaczął pracować w ramach projektu. Czasy się jednak zmieniły. Jaszczury dowiodły, że broń nuklearna to nie tylko wymysł tandetnych magazynów s.f.

– Jeśli mowa o Berlinie; nikt nie wie, jak daleko posunęły się prace Niemców nad ich własnym projektem specjalnym.

– Gdyby nawet czasy się absolutnie zmieniły; nie był w stanie zmusić się do wypowiedzenia słowa uran wobec kogoś nie dopuszczonego do tajemnicy.

– Niemcy – Groves nachmurzył się.

– Nie pomyślałem o tym. Nic nie jest proste, prawda? Po Berlinie mają bodziec, by przyspieszyć prace. Jak słyszałem, Heisenberga nie było w mieście, kiedy spadła bomba.

– Jeśli słyszał pan o Heisenbergu, to wie pan sporo – powiedział Larssen.

Był zaskoczony, pułkownik wywarł na nim duże wrażenie. Brał Grovesa za jeszcze jednego człowieka w mundurze, tyle że trochę bardziej wypchanym niż większość. Ochrypty śmiech pułkownika zdradzał, że ten przejrzał myśli Larssena.

– Staram się pamiętać, że żyję w dwudziestym wieku – zauważył oziębło.

– Spędziłem kilka lat w MIT zanim dostałem pagony w West Point, a potem zrobiłem doktorat z nauk inżynieryjnych. To wszystko było warte tyle, że mogłem sobie pozwolić na kawę. Ale tak było zanim przybyły jaszczury. Teraz jestem więcej wart. więc sądzi pan, że ta pańska banda wpadła na trop czegoś godnego uwagi?

– O tak, pułkowniku. Jesteśmy zbyt zaawansowani w badaniach, żebyśmy mogli łatwo się przeprowadzić. Jaszczury nacierają na Chicago od zachodu, a po mojej pełnej przygodzie podróży na wschód, sądzę, że i ten kierunek zaczyna być zagrożony. Jeśli mielibyśmy kontynuować badania, Stany Zjednoczone muszą utrzymać Chicago. Groves potarł podbródek.

– To, co powinniśmy zrobić i to, co możemy zrobić w dzisiejszych czasach nazbyt często nie pokrywa się ze sobą. Tak czy inaczej – poklepał się po orzełku przypiętym do ramienia munduru – nie mam wystarczającej władzy, żeby wydać rozkaz utrzymania Chicago za wszelką cenę, zapominając o dziewięciu milionach innych nie cierpiących zwłoki sprawach w całym kraju.

– Wiem – Jensowi zrzędała mina.

– Ale pan jest moim najlepszym kontaktem. Miałem nadzieję, że mógłby pan...

– Zrobię to, synu, zrobię.

Groves podźwignął swą ogromną masę z fotela. Telefon znów zadzwonił. Przeklinając, Groves usiadł i to tak mocno, że Larssen czekał tylko, aż fotel załamał się pod pułkownikiem. Wytrzymał, a Groves, tak jak już parę razy to robił, zwięźle i autorytatywnie rozprawił się z nową falą kłopotów. Znowu wstał i mówił dalej, jakby mu nie przerywano:

– Ja przebiję się przez obronę, ale to pan ma piłkę.

Nasadził furażerkę na głowę.

Chodźmy. Larssen grał w piłkę w szkole średniej. Gdyby szedł w ataku za zawodnikiem tak wielkim jak Groves, zarobiłby tyle punktów, że ludzie uznaliby go za wcielenie Reda Grange. Ta myśl sprawiła, że się uśmiechnął.

– Dokąd idziemy? – zapytał, kiedy Groves przepychał się obok niego.

– Zobaczyc się z generałem Marshalllem – odparł pułkownik przez ramię.

– Ma władzę łączenia i dzielenia. Sprawię, że porozmawia pan z nim. Jeszcze dzisiaj, mam nadzieję. Cała reszta zależy od pana.

– Dziękuję, panie pułkowniku – powiedział Larssen.

George Marshall był szefem sztabu armii. Jeśli ktokolwiek mógł wydać rozkaz, żeby bronić

Chicago za wszelką cenę, to tym człowiekiem był właśnie on. Nadzieje Jensa rosły. Wyszedł za Grovesem na ulicę. Nabral w płuca haust powietrza pełnego spalin i odoru siarki ze źródeł. Groves też głęboko odetchnął. Uśmiech sprawił, że wyglądał sporo młodziej.

– Ten zapach kojarzy mi się zawsze z laboratorium chemicznym dla pierwszorzoczników.

– Rzeczywiście, na Boga!

Jensowi nie przyszło to wcześniej do głowy, ale pułkownik miał rację. Wraz z następnym oddechem przypomniały mu się palniki Bunsena i butle z odczynnikami zatkałe korkami z matowego szkła. Pułkownik Groves dosłownie przebijał się jak przez obronę, ciągnąc za sobą Jensa po ulicach White Sulphur Springs. Używał swego potężnego ciała, żeby wywalczyć sobie przejście tam, gdzie szczuplejszy, albo mniej pewny siebie człowiek zawahałby się. Pod tłuszczem miał dużo mięśni i energii, która powodowała, że szedł pochylony naprzód, jakby pokonywał opór wiatru wiejącego od czoła. Umówienie się na spotkanie z szefem sztabu nie było takie proste, jak wydawało się w biurze Grovesa. Trawnik domu, w którym rezydował Marshall, zajęty był całkowicie przez oficerów. Jens nigdy w życiu nie widział tylu błyszczących srebrnych gwiazdek naraz. Dla generała pułkownik taki jak Groves był jak powietrze. Ale wkrótce go zauważono. Sama masa doprowadziła go na tyle blisko wejścia, żeby przyciągnął uwagę majora siedzącego w środku. Dźwięcznym głosem, górującym nad harmidrem, Groves podał swoje nazwisko i przekazał wiadomość:

– Powiedz generałowi, że jest tu ze mną facet z Laboratorium Metalurgicznego w Chicago. To pilne.

– A co nie jest pilne? – odparł major, ale dał nura gdzieś w głąb korytarza.

Groves spokojnie ustąpił swego miejsca jakiemuś ważnemu generałowi.

– I co teraz? – zapytał Larssen.

Czuł, jak z nieba leje mu się żar na głowę i ramiona – nosił koszulę z krótkimi rękawami. Miał tak jasną cerę, że nie był w stanie się ani trochę opalić. Piekiel tylko skórę warstwa po warstwie.

– Teraz poczekamy.

Groves skrzyżował ramiona na wielkiej odzianej w khaki piersi.

– Ale mówił pan, że to pilne...

Huczący śmiech pułkownika sprawił, że głowy odwróciły się w jego stronę.

– Gdyby to nie było pilne, to w ogóle by mnie tu nie było. To samo dotyczy innych, synu. Jak powiedział ten major, dzisiaj wszystko jest pilne. Ale jeśli przekaże naszą wiadomość, to spodziewam się, że okaże się ona wystarczająco pilna. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Sekundy wolno upływały. Jens oddał się rozmyśleniom. Myślał między innymi o tym, gdzie w White Sulphur Springs będzie mógł dostać maść na oparzenia słoneczne, żeby wysmarować swój biedny, spieczony nos i ramiona. Niby bez specjalnego celu przesunął się w cień rzucany przez masywną sylwetkę Grovesa. Poczul zawiść, gdy major wrócił i wywołał nazwisko generała-brygadiera. Groves tylko wzruszył ramionami. Major wrócił jeszcze raz. Pułkownik, hmm, Graves?

– To ja – zgłosił się Groves; ponieważ żaden pułkownik

Graves nie podniósł się powodowany słusznym gniewem, by utracić jego zgłoszenie, Larssen pomyślał, że to rzeczywiście chodzi o Grovesa. Coraz więcej oficerów patrzyło w ich stronę, gdy pułkownik sunął naprzód z Jensem w straży tylnej. Jens widział wokół zazdrosne i gniewne miny – cóż to za pułkowniczyzna, który ma pierwszeństwo przed ludźmi z gwiazdkami na pagonach?

– Tędy, panie pułkowniku – wskazał major.

Następne kilka minut Groves i Larssen spędzili przed zamkniętymi drzwiami. Larssenowi nie przeszkadzało, że w holu było ciemno i brakowało powietrza. Przynajmniej nie docierało tu słońce. Drzwi się otworzyły. Wyszedł generał-brygadier. Wyglądał na ponurego i usatysfakcjonowanego.

Odpowiedział na honory Grovesa, skinął krótko głową Larssenowi i odszedł.

– Niech pan wejdzie, pułkowniku Groves, i wprowadzi swego towarzysza – zawołał generał Marshall zza biurka.

– Dziękuję panie generale – odparł Groves, wykonując polecenie.

– Pozwoli pan, że przedstawię doktora Jensa Larssena; jak już mówiłem pańskiemu adiutantowi, dotarł do nas z Uniwersytetu Chicagowskiego, pracuje przy projekcie specjalnym.

– Panie generale – Larssen, jako cywil, sięgnął przez biurko, by uścisnąć dłoń szefa sztabu armii.

Uścisk generała był mocny i pewny. Pierwszym wrażeniem, jakie odniósł Jens było to, że mimo munduru, mimo trzech rzędów baretek, Marshall wyglądał raczej jak szef projektu badawczego niż żołnierz. Miał trochę ponad sześćdziesiąt lat, był szczupły i wysportowany, włosy mu siwiały. W porównaniu z szerokim czołem, jego twarz zdawała się raczej wąska. Wyglądał tak, jakby rzadko się uśmiechał. Uwagę przyciągały jego oczy; można było z nich wyczytać, że widział wiele i z wszystkim potrafi się uporać. Uprzejmie, choć nie serdecznie zaprosił gestem Larssena i Grovesa do zajęcia miejsc. Wysłuchał uważnie opowiadania Jensa o przeprawie przez wschodnią część Stanów. Oparł się łokciami o stół i nachylił do przodu.

– Proszą mi powiedzieć o Laboratorium Metalurgicznym wszystko, co pan wie, doktorze Larssen. Może pan mówić otwarcie; mam prawo dostępu do tych informacji.

– Jeżeli życzy pan sobie, żebym wyszedł, panie generale...

Groves zbierał się do wyjścia. Marshall powstrzymał go gestem dłoni.

– To nie będzie konieczne, pułkowniku. Wymogi bezpieczeństwa zmieniły się znacznie od końca maja. Jaszczury znają już tajemnice, które my dopiero usiłujemy wyrwać przyrodzie.

– A Niemcy? – zapytał Larssen.

Być cywilem ma swoje zalety. Mógł zadawać pytania szefowi sztabu, podczas gdy Grovesa zmuszała do milczenia dyscyplina wojskowa.

– Czy Niemcy mają się od nas o nich dowiedzieć? Chciałbym poznać odpowiedź na to pytanie, panie generale. Muszę tu wspomnieć, że Hans Thomsen mieszka w hotelu Greenbrier drzwi w drzwi ze mną.

– Niemcy mają własny program badań nuklearnych – powiedział Marshall.

– W naszym interesie leży, żeby dalej walczyli przeciwko jaszczurom. I to nie tylko dlatego, że – mówiąc szczerze – robią to najlepiej jak do tej pory. Ich wojsko i gospodarka już obecnie są przystosowane do prowadzenia wojny na wielką skalę, podczas gdy my nadal się do tego przygotowujemy, odkąd pojawiły się jaszczury.

Larssen pokiwał głową zanim się połapał, że generał Marshall nie odpowiedział na jego pytanie. Umiejętność wypowiadania się, tak jak czyni to polityk, była, jak się zdaje, nieodzowna na tym stanowisku.

Jakby odczytując jego myśli, Marshall dodał:

– Zanim panu powiem, co wolno panu przekazać niemieckiemu dyplomacie, doktorze Larssen – a bez osobistej autoryzacji, dokonanej przeze mnie albo kogoś na wyższym od mojego stanowisku, nie wolno panu rzec ani słowa – muszę wiedzieć jak dalece Laboratorium Metalurgiczne posunęło się w badaniach.

– Oczywiście, panie generale.

Larssen starał się uporządkować myśli. Był oszołomiony. Kto zajmował wyższe stanowisko niż generał Marshall? Znał tylko dwóch takich ludzi – sekretarza do spraw wojny i prezydenta Roosevelta. Czy Marshall dawał do zrozumienia, że miałby się z nimi spotkać? Fizyk potrząsnął

głową. To nie miało teraz znaczenia.

– Kiedy wyjechałem z Chicago, panie generale – powiedział – układaliśmy stos atomowy, którego współczynnik K będzie, mam nadzieję, większy od jedności.

– Obawiam się, że będzie pan musiał to objaśnić nieco dokładniej – stwierdził Marshall.

– Studiowałem, co prawda, raporty pańskiego zespołu z wielką uwagą, ale nie uzurpuję sobie miana fizyka jądrowego.

– To znaczy, że uran jest ułożony w taki sposób, że kiedy jądra atomowe ulegną rozszczepieniu, uwolnione z nich neutrony rozszczepiają następne atomy i tak dalej. Proszę sobie to wyobrazić jako dodatnie sprzężenie zwrotne. W bombie, jaką mają jaszczury taka reakcja zachodzi w ułamku sekundy i uwalnia ogromną energię. W takim razie nie pracujecie nad samą bombą – podsumował Marshall.

– Zgadza się – Larssen spojrzał na starszego mężczyznę z szacunkiem.

Marshall – jak sam stwierdził – nie był fizykiem jądrowym, ale nie miał kłopotów z wyciąganiem wniosków z danych. Jens mówił dalej.

– Jest to niezbędny pierwszy krok. Reakcję będziemy kontrolowali za pomocą prętów kadmowych, które wyłapują nadmiar neutronów zanim te uderzą w atomy uranu. To pozwala na kontrolowanie zjawiska. Musimy nauczyć się chodzić, zanim będziemy w stanie biegać. Musimy zrozumieć sposób wywoływania kontrolowanej reakcji łańcuchowej, zanim pomyślimy o produkcji bomby.

– A badania odbywają się właśnie w Chicago? – zapytał w zamyśleniu Marshall.

– Jeśli chodzi o Stany Zjednoczone, tak – odparł Larssen.

Miał nadzieję, że Marshall powie mu, czy gdzie indziej nie robi się tego samego. Ale szef sztabu wdrożył się w stosowanie środków bezpieczeństwa tak dawno temu, że Jensa jeszcze wtedy nie było na świecie. Nie zmienił nawet wyrazu twarzy, żeby pokazać, że zrozumiał aluzję.

– Mieliśmy zamiar bronić Chicago z innych powodów – stwierdził.

– To będzie jeszcze jeden. Dziękuję za odwagę, którą okazał pan przybywając tutaj, by zdać sprawę z postępów prac w Laboratorium Metalurgicznym.

– Dziękuję panie generale.

Larssen chciał zadać więcej pytań, ale generał Marshall nie wydał mu się człowiekiem skorym do pogawędek nawet przy prywatnych okazjach. Ta okazja na pewno prywatna nie była. Mniejsza o to, wyrzucił z siebie pytanie, które go jątrzyło od dawna:

– Panie generale, czy będziemy w stanie pokonać te cholerne jaszczury?

Pułkownik Groves poruszył się w krześle, aż zaskrzypiało. Jens nagle zdał sobie sprawę, że w ten sposób nie rozmawia się z szefem sztabu armii. Poczul, że się czerwieni. Wiedział, że przy jego jasnej cerze będzie widać rumieniec. To go jeszcze bardziej speszyło. Ale Marshall nie wyglądał na rozgniewanego. Może to stuprocentowo cywilne pytanie uderzyło w jakiś czuły punkt generała.

– Doktorze Larssen – powiedział – jeśli znajdzie pan kogoś, kto zna odpowiedź na to pytanie, to należy mu się duża nagroda. Robimy, co możemy i nadal będziemy robić, co w naszej mocy. Alternatywą jest poddanie się i życie w niewoli. Amerykanie nie zaakceptują takiego stanu rzeczy; zdaje się, że pański pradziadek był jednym z tych, którzy dowiedli prawdy tego stwierdzenia.

– Panie generale, jeśli ma pan na myśli wojnę secesyjną, to mój pradziadek był wtedy w Oslo, gdzie starał się zarobić na życie jako brukarz. Przybył do Stanów Zjednoczonych w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia.

– Szukając, bez wątplenia, czegoś lepszego, niż zostawił za oceanem – Marshall pokiwał głową.

– To bardzo ludzka pobudka. Będę z panem szczerzy, doktorze Larssen: według czysto wojskowych kategorii, jaszczury biją nas na głowę. Jak dotąd nikt – ani my, ani Niemcy, ani

Rosjanie, ani Japończycy – nie był w stanie ich powstrzymać. Ale nikt nie zaprzestał usiłowań i tymczasowo odłożyliśmy większość naszych własnych sporów na półkę. Poświadczyć to może obecność pana Thomsena w tym mieście. Mieszka, o ile pamiętam, drzwi w drzwi z panem.

– Zgadza się.

Współpraca z III Rzeszą nadal budziła niesmak w Larssenie.

– Czy dobrze słyszałem, że Warszawa upadła, kiedy tamtejsi mieszkańcy powstali przeciwko hitlerowcom po stronie jaszczurów?

– Dobrze pan słyszał – odpowiedział poważnie Marshall.

– Z danych wywiadu wiemy, co ci ludzie przecierpieli. Rozumiem, dlaczego jaszczury mogły wydać się im mniejszym złem.

Mówił bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem. Jego pozbawiona wyrazu twarz przekonała Jensa, że mówi wszystko, co wie. Po chwili twarz generała ożywiła się:

– Jednak w skali globalnej jest to sprawa o małym znaczeniu, podobnie jak wspieranie przez jaszczury powstania Chińczyków przeciwko Japończykom. Najeźdźcy mają też swoje słabe punkty.

Pułkownik Groves pochylił się do przodu. Krzesło znów zaskrzypiało.

– Czy mógłbym zapytać, jakie są te słabości, panie generale? Ich znajomość pomogłaby mi w ustaleniu priorytetów zaopatrzeniowych.

– Najważniejsza, pułkowniku, jest ich sztywne postępowanie zgodnie z doktryną. Są metodyczni do obłądu. Bardzo powoli dostosowują swoją taktykę do zmieniających się okoliczności. W kilku wypadkach nieomal udało się nam osiągnąć sukces dzięki temu, że wykorzystaliśmy ich sposoby, żeby wciągnąć oddziały w położenie nie do obrony, a potem wykorzystaliśmy powstałą dzięki temu szansę. A teraz, panowie, jeśli pozwolicie...

Odprawił ich uprzejmie, ale bezwzględnie. Groves wstał i zasalutował. Jens też powstał. Nie zdecydował się tym razem na podanie ręki; generał Marshall był już zatopiony w lekturze dokumentów, którymi zarzucone było jego biurko. Gdy wyszli, przejął ich adiutant generała i poprowadził do drzwi, którymi weszli

– Myślę, że nieźle się pan spisał, doktorze Larssen – powiedział Groves, powoli się przepychając między oficerami tłoczącymi się przy wejściu.

– Mów mi Jens – powiedział Larssen.

– Skoro tak, to ja jestem Leslie.

Potęźnie zbudowany pułkownik wykonał gest jak baletnica.

– Dokąd teraz? Świat leży u twoich stóp.

Larssen roześmiał się. Jak do tej pory nie znał ani jednego wojskowego wyższej rangi. Byli inni niż sobie wyobrażał. Marshall miał styl naukowca, był człowiekiem precyzyjnie wyrażającym myśli. Bez wątpienia – umysł pierwszej klasy; była to prawdziwa pochwała, ponieważ Jens współpracował przecież z kilkoma noblistami. Grovesowi brakowało szerokich horyzontów myślowych szefa sztabu, ale był kompetentny i wytrwały. Do tego dochodziła działająca jak zaczyn fantazja. Temu prostolinijnemu człowiekowi o duszy wojownika nie imponowały generalskie szlify. Po chwili przemyśleń Larssen doszedł do wniosku, że to trzyma się kupy. Pracownicy Laboratorium Metalurgicznego też nie byli efekciarskimi jajogłowymi, jak sądzili laicy, gdy wyobrażali sobie fizyków jądrowych. Ludzie są bardziej skomplikowani niż cząsteczki jądra atomowego. Zastanawiał się, jak jaszczury widziały ludzi. Jeśli najeźdźcy byli tak kurczowo przywiązani do swojego stylu działania, jak mówił o tym Marshall, to agresywna chaotyczność rodzaju ludzkiego musiała mocno mieszać im szyki. Miał nadzieję, że tak było; każda ich słabość, choćby niewielka, była korzystna dla ludzkości. Myślał też o tym, jak wyglądają wewnątrz ich statki kosmiczne krążące wysoko nad

powierzchnią Ziemi, żeglujące między planetami, a może nawet między gwiazdami. Obcy mieli – dosłownie – świat u swych stóp. Doznał uczucia zimnej, czystej zawiści. Mimo tych wszystkich przemyśleń odpowiedział Grovesowi niemal natychmiast:

– Leslie, sądzę, że zrobiłeś dla mnie wszystko, co mogłeś, chyba, że masz jeszcze w rękawie prezydenta. Podziękowania nie wyrażą całej wdzięczności, jaką do ciebie czuję, za udzieloną mi pomoc.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Groves wyciągnął rękę. Uścisk miał jak prasa hydrauliczna.

– Przekonałeś mnie, że ty i twoi koledzy jesteście na tropie czegoś ważnego. Moi zwierzchnicy też powinni to zrozumieć, tak, żeby mogli uwzględnić ten czynnik w swoich kalkulacjach. A co do Roosevelta, hmm... – rzeczywiście zajrzał sobie w rękaw.

– Przepraszam, niestety. Musiał się wyślizgnąć.

– Niedobrze. Gdybyś przypadkiem się z nim spotkał – Larssen nie wiedział, czy w ogóle istnieje takie prawdopodobieństwo, ale nie chciał tracić szansy – wspomnij mu o projekcie przy okazji.

– Zrobię to, Jens.

Groves znów podciągnął rękaw. Tym razem po to, żeby popatrzeć na zegarek.

– Będę musiał wracać. Za długo już mnie nie było. Bóg jeden wie, co leży teraz na moim biurku. Nie ma spoczynku dla znużonego, jak powiadają.

Skinął ostatni raz głową, odwrócił się i poszedł w stronę kościoła metodystów. Larssen mógł zaparkować dopiero kilka przecznic dalej. Patrząc za oddalającym się pułkownikiem, doszedł do wniosku, że Groves potrafi wydobyć ze swoich podwładnych wszystko, co najlepsze, pracując dwa razy więcej niż inni. Pod tym względem pasowałby do Laboratorium Metalurgicznego. Fizyk spojrzął na zegarek. Dochodziło południe, nic dziwnego, że kiszki mu grały marsza. Zastanawiał się, jaką to epikurejską ucztę przygotowano w hotelu w charakterze obiadu. Poprzedniego dnia była wieprzowina z groszkiem z puszki, kukurydza z puszki i koktajl owocowy z puszki. Skrzywił się na myśl o konsekwencjach takiej diety z konserw. Gdy przybył do hotelu, stwierdził, że menu dostosowane jest swoją ekstrawagancją do okoliczności: przysmak śniadaniowy na zimno i groszek konserwowy. Groszek był koloru brudnooliwkowego, ale i tak go zjadł, z nadzieją, że zostały w nim choć resztki witamin. Wyłożył też półtora dolara na butelkę coca-coli wartą dziesięć centów. Kiedy polował widelcem na ostatnie ziarenko rozgotowanego grochu, w drzwiach wejściowych do jadalni zrobiło się zamieszanie. Dwoje ludzi zaczęło klaskać. Larssen podniósł wzrok znad talerza i ujrzał niskiego, bladego człowieka z głową jak kula. Nosił melonik, okulary w stalowej oprawce i garnitur europejskiego kroju. Ta twarz patrzyła na Jensa z niezliczonych kronik filmowych, ale nigdy się nie spodziewał, że spotka Wiaczesława Mołotowa we własnej osobie. Coś sobie przypomniał, przebiegł wzrokiem stoliki. Oczywiście, tam – również nad talerzem przysmaku śniadaniowego – siedział Hans Thomsen. Niemiecki charge d'affaires był uprzejmy, towarzyski, płynnie mówił po angielsku. Pracował ciężko, żeby jak najlepiej retuszować poczynania rządu III Rzeszy aż do momentu, gdy Hitler wypowiedział wojnę Stanom Zjednoczonym. Larssen zastanawiał się, jak Thomsen będzie się czuć w obecności radzieckiego ministra spraw zagranicznych, skoro Niemcy dokonały nie spowodowanego najazdu na Związek Radziecki. Myślał też o tym, jak zareaguje Mołotow, odnajdując przedstawiciela Niemiec w sercu miejscowości, która dała schronienie rządowi amerykańskiemu. Nie tylko on o tym myślał. W ciągu kilku sekund w jadalni zapadła cisza. Ludzie przestali rozmawiać. Widelce zawisły w powietrzu. Wszyscy czekali na to, co się stanie. Jens zauważył, że Thomsen jako pierwszy rozpoznał Mołotowa. Być może radziecki dyplomata nie zauważyłby Thomsena, gdyby nie odznaka partii hitlerowskiej, którą ten nosił w klapie. Larssen

nigdy jeszcze nie widział człowieka o tak kamiennej twarzy jak Rosjanin. Nie zmienił wyrazu, ale zawahał się zanim wszedł w głąb jadalni. Zwrócił się do solidnie zbudowanego faceta w podobnie skrojonym, tylko znacznie gorszym garniturze. Powiedział coś po rosyjsku. Sądząc po wybuchach nagłego kaszlu, które nastąpiły zaraz potem, kilkoro ludzi na sali zrozumiało słowa Rosjanina. Wyjaśniła się rola, którą pełnił solidnie zbudowany.

Przetłumaczył wypowiedź Mołotowa na elegancką, oksfordzką angielszczyznę.

– Komisarz spraw zagranicznych ZSRR stwierdził, że skoro już nawiązał, dyskusję dyplomatyczną z jaszczurami, nie ma obiekcji, by prowadzić rozmowy z wężami.

Więcej ludzi zaczęło kaszleć; wśród nich Larssen, który przeniósł wzrok na Hansa Thomsena. Wątpił, aby Niemiec okazał się w równie uprzejmy sposób obraźliwy jak Mołotow ze względu na to, co hitlerowcy zrobili w Związku Radzieckim. Jednakże cała ludzkość łączyła się w walce przeciwko najeźdźcom z innej planety. Gdyby wszyscy pamiętali tylko o tym, co się działo przed wylądowaniem jaszczurów, wspólny front załamałby się. A jeśli by się tak stało, świat wpadłby w ręce kosmitów. Thomsen był wytrawnym dyplomatą. Jeśli zauważył, że Mołotow rzucił mu rękawicę, nigdy się z tym nie zdradził.

Uśmiechnął się i odpowiedział:

– Jest takie przysłowie o wrogu twojego wroga.

Tłumacz szepnął coś Mołotowowi. Teraz komunistyczny przedstawiciel spojrział wprost na Niemca.

– I na tej, bez wątpienia, podstawie imperialistyczne mocarstwa, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone zawarły sojusz z miłującym pokój narodem radzieckim przeciwko reżimowi hitlerowskiemu.

Uważaj na tego faceta. Jest niebezpieczny, pomyślał Jens. Thomsen nadal się uśmiechał, ale najwyraźniej z wielkim wysiłkiem. Miał jednak w pogotowiu replikę:

– Bez wątpienia na tej samej podstawie Finlandia zawarła sojusz z Niemcami po tym, jak została najechana przez miłujący pokój naród radziecki. Jak w meczu tenisowym.

Larssen przeniósł wzrok na Mołotowa. W takim meczu, pomyślał fizyk, zamiast piłki używa się odbezpieczonego granatu. Mołotow obnażył zęby na jakieś dwa milimetry i odpowiedział za pośrednictwem tłumacza:

– Jak obaj zauważyliśmy, ta zasada daje się rozmaicie interpretować. Dlatego chętnie przełożę dyskusję na temat dzielących nas kwestii na inną okazję.

W jadalni słyhać było westchnienie ulgi. Larssen jednak go nie słyssał. Sam odetchnął z ulgą.

Rozdział VIII

Hologram Tosev 3 wisiał w przestrzeni nad projektorem dokładnie tak samo, jak w dniu, kiedy Rasa rozpoczynała przyłączanie tego nowego świata do swego imperium. Ale dzisiaj Atvar już nie kazał Kirelowi pokazywać zdjęcia przedstawiającego straszliwego tosewickiego wojownika z mieczem i w kolczudze, próbki którą sondy przywiozły niegdyś na rodzimą planetę. Jak wszyscy jego podwładni, Atvar także dowiedział się o tosewickich wojownikach więcej niżby mu na tym zależało.

Pan floty zwrócił się do przybyłych panów statków:

– Zebraliśmy się tutaj, dzielni samcy, żeby ocenić wyniki trwających od pół roku walk – używał, rzecz jasna, chronologii stosowanej przez Rasę. Powolny Tosev 3 przebył w tym czasie zaledwie jedną czwartą swojej orbity dookoła słońca – i omówić plany walk, które nas jeszcze czekają.

Panowie statków przyjęli ten wstęp lepiej, niż się spodziewał. Kiedy na rodzimej planecie przygotowywano plany podboju Tosev 3, sądzono, że po pół roku walk odbędzie się ostateczne zebranie dowódców. Wszyscy byli pewni, że po tym czasie Tosev 3 zostanie na trwałe przyłączony do imperium. Rasa działała według planów i schematów ułożonych na długo przed ich wcieleniem w życie. Fakt, że podwładni Atvara uznali potrzebę prowadzenia dalszych działań świadczył o tym, jak bardzo wstrząsnął nimi opór Tosewitów.

– Uczyniliśmy postęp – stwierdził Atvar.

– Wielkie obszary Tosev 3 znajdują się praktycznie pod naszą całkowitą kontrolą. Na hologramie część lądów planety zmieniła kolor z naturalnej zieleni i brązu na odcień jaskrawożółty. Była to południowa część mniejszej masy kontynentalnej i spory fragment południowo-zachodniej masy kontynentu głównego.

– Tubylcy na tych terenach, choć nie są tak prymitywni, jakby to wynikało z uprzednio pozyskanych danych, okazali się niezdolni do stawienia poważniejszego oporu.

– Być może nie zyska to uznania dostojnego pana floty – powiedział Straha pan statku, z „206-go cesarza Yower” – ale uderza mnie fakt, że te obszary są najmniej wartościowe na całym Tosev 3. Rzeczywiście są wystarczająco ciepłe, żeby nadawać się do zamieszkania dla naszego gatunku, ale większość z nich jest tak koszmarnie wilgotna, że nasze samce bojowe gniją tam za życia.

– Gnicie za życia to niska cena za zwycięstwo – odparł Atvar.

Żółty kolor na hologramie rozpełznął po większej części planety, tak że Tosev 3 wyglądał jakby był pokryty egzemą.

– Oto są nasze przyczółki na terenach, gdzie żyją bardziej zaawansowane technicznie Wielkie Brzydale. Jak sami widzicie, walczone samce, obszary te uległy znacznemu powiększeniu od czasu naszego ostatniego spotkania. Hologram obrócił się, by panowie statków mogli obejrzeć całą planetę.

– Z pewnością osiągnęliśmy wiele – powiedziała zuchwały jak zwykle Straha – jakże mogłoby być inaczej? Jesteśmy przecież członkami Rasy. Pojawia się jednak pewna kwestia dostojny panie floty. Dlaczego nasze zdobycze nie są jeszcze większe? Dlaczego siły tosewickie nadal zdolne są do działań przeciwko nam?

– Czy mógłbym zabrać głos, dostojny panie floty? – zapytał Kirel.

Atvar wyraził zgodę. Pan statku „127-ego cesarz Heto” przemówił.

– Podstawowy powód naszego opóźnienia wydaje mi się tak jasny, że zrozumiałoby je niemowlę mokre jeszcze po wykluciu się z jaja: siły Wielkich Brzydali są daleko większe niż wyobrażaliśmy to sobie w fazie przygotowawczej ekspedycji.

– Och, doprawdy. I przekonaliśmy się o tym, ku naszemu rozczarowaniu – odparł sarkastycznie

Straha, gotowy do podjęcia wyzwania rzuconego mu przez rywala.

– Ale dlaczego tak się dzieje? Jak to się stało, że nasze sondy tak bardzo nas zwiódły? W jaki sposób Tosewici zdołali rozwinąć technologię, podczas gdy Rasa zwracała uwagę na inne zagadnienia?

Kirel zwrócił się do Atvara, by zaprotestować:

– Dostojny panie floty, wina spoczywa z pewnością na samych Wielkich Brzydalach, a nie na Rasie. My tylko zastosowaliśmy procedury, które dowiodły swojej skuteczności w dwóch poprzednich kampaniach zdobywczych. Nie mogliśmy z góry wiedzieć, że tutaj okażą się one mniej efektywne.

– Tak to z tym jest – Atvar spojrział w dół, by sprawdzić jakieś dane na ekranie komputera.

Zanim jednak Kirel zdążył się poczuć zadowolony z siebie, że znalazł poparcie u dowódcy, pan floty dodał:

– Niemniej Straha postawił pytanie uprawnione, choćby i niezbyt uprzejme: dlaczego Tosewici tak bardzo różnią się od nas i od dwóch ras, które wcześniej sobie podporządkowaliśmy?

Straha rozpromienił się. Tymczasem Atvar wiedział co robi podsycając rywalizację między nim a Kirelem. Dzięki temu obaj potężni panowie statków i drobniejsi przywódcy, którzy skłaniali się bądź ku jednemu, bądź ku drugiemu, będą gorliwie starać się o zdobycie poparcia pana floty. Po powtórnych przejrzaniu komputerowych notatek, Atvar odezwał się:

– Nasi uczeni znaleźli kilka czynników, które ich zdaniem sprawiają, że Tosewici są tacy, jacy są. Panowie statków wydali stłumiony syk.

Wszyscy skupili się na słowach dowódcy. Niektóre z tych rozważań opublikowano już w biuletynach i zawiadomieniach, ale wypływały one z biura pana floty tak wartką strugą, że nikt, choćby nie wiem jak pracowity, nie był w stanie przeczytać ich wszystkich. Słowa wypowiedane bezpośrednio przez pana floty, to było jednak co innego.

– Jednym z elementów składających się na odrębność natury Tosewitów – rzekł Atvar – są z pewnością anomalia przyrody Tosev 3.

W tym momencie ogromne, niezliczone oceany i morza planety rozjarzyły się jaskrawym błękitem.

– Te ogromne obszary nie związanej wody, a także góry i pustynie rozgraniczają grupy Wielkich Brzydali i sprawiają, że każda z tych grup może działać na swój własny odmienny sposób. Staje się to oczywiste, gdy tylko popatrzeć na planetę. Różni się to niewiele od naszej sytuacji w odległych, starożytnych czasach.

– Ale, dostojny panie floty... – zaczął Kirel. Nie tylko przeczytał wszystkie biuletyny i zawiadomienia, ale przedyskutował je z Atvarem. Ta korzyść wynikała z faktu, że był panem statku flagowego floty.

– Doprawdy – Atvar chciał wygłosić expose osobiście – to, co z tego wynika jest bardziej złożone. Ponieważ w światach należących do imperium lądy dominują nad wodami, nie mamy wiele doświadczenia w sprawach łodzi i innych środków transportu wodnego. Inaczej jest z Tosewitami. Jeśli tylko któremuś Wielkiemu Brzydalowi przytrafi się jakieś osiągnięcie w dziedzinie techniki, są oni w stanie szybko upowszechnić go drogą morską na cały obszar planety. Przy okazji łączą to z rozprzestrzenianiem własnych wpływów.

– To dlaczego nie znaleźliśmy się tu wobec zjednoczonego cesarstwa tosewickiego, dostojny panie floty? – zapytał Feneress, pan statku z frakcji Strahy.

– Bo Tosewici na obszarze, gdzie nastąpił przełom techniczny, byli już wcześniej podzieleni na kilka rywalizujących grup – odparł Atvar.

– Podróże morskie pozwoliły im na powiększenie stref wpływów bez konieczności łączenia się w jedno cesarstwo.

Panowie statków znów zasycieli, tym razem ciszej. Zaczynali rozumieć, o co chodzi. Na planecie rodzimej cesarstwo powiększało się krok za krokiem. Była to jedyna metoda wzrostu, ponieważ na normalnej planecie brakowało wielkich oceanów, które umożliwiłyby jednoczesne powiększenie stref wpływów w stu kierunkach naraz. Atvar sam syknął, gdy o tym pomyślał. Świetnie tłumaczyło to powód chorobliwej gwałtowności rozwoju technicznego Tosewitów.

– Musicie także mieć na względzie nieustanne współzawodnictwo, jakie charakteryzuje naturę Wielkich Brzydali – kontynuował.

– Jak ostatnio odkryliśmy, współzawodnictwo seksualne trwa u nich przez okrągły rok i umożliwia utrzymanie podniecenia seksualnego nawet podczas długotrwałej nieobecności partnerki w trakcie okresu godowego.

Atvar wiedział, że to, co mówi brzmi z lekka niesmacznie. Bez feromonów wydzielanych przez samice w okresie rui, jego własny popęd płciowy nie był w stanie się uaktywnić. Nie żałował tego. W trakcie takiej misji byłoby to uciążliwe. Rabotewici i Hallessjanie byli pod tym względem tacy sami jak członkowie Rasy. Na tej podstawie uczeni doszli do wniosku, że wszystkie gatunki inteligentne zachowują się według tego samego wzorca. Przykład Tosev 3 sprawił, że i tę teorię należało odłożyć do lamusa.

– Dostojny panie floty – rzekł Straha – otrzymałem ostatnio przeznaczony tylko do mojej wiadomości raport, z którego wynika, że walczące przeciwko nam cesarstwa Tosewitów w rzeczywistości wcale nie są cesarstwami. Widzę w tym sprzeczność. Przyjmijmy, że zasięg terytorialny sprawowanej władzy może być różny, ale jak można rządzić bez cesarstwa?

– Zanim tu przybyłem panie statku, zapewniam cię, że uważałem to za równie niewyobrażalne, jak ty teraz – odparł Atvar.

– Niestety, Tosev 3 zapoznał nas z mnóstwem różnych nieprzyjemnych nowinek; z nich wszystkich, rządy bez cesarza mogą się wydawać najbardziej odrażające. Ale taka jest rzeczywistość i trzeba się z nią liczyć. Wśród panów statków rozległo się niezadowolone mruczenie. Mówić o rządzie bez cesarstwa to gorzej niż mówić o seksie pod nieobecność samic w okresie godowym. Dla członków Rasy to ostatnie było tylko ćwiczeniem umysłowym, studium abstrakcji. Ale rządy bez cesarstwa podminowywały liczącą setki tysięcy lat tradycję cywilizacyjną.

– Jak Wielcy Brzydale mogą radzić sobie z rządami bez cesarzy? – zapytał Feneress.

– Ja także widziałem raport, do którego odnosi się starszy pan statku Straha, ale przyznaję, że odrzuciłem go jako jeszcze jeden kapryśny pomysł uczonych, wyciągających zbyt daleko idące wnioski bez odpowiedniej podstawy faktograficznej. Mówisz, że tak nie jest?

– Tak nie jest, panie statku. Dla spokoju własnego umysłu wolałbym, żeby tak było, ale dane są niepodważalne – odparł Atvar.

– Co więcej, choćby nie wiem jak było to dla nas wstrętne, Wielkie Brzydale, w wielu przypadkach, zdają się być dumne z sukcesów, jakie osiągnęły rządząc bez cesarzy.

Wielki Brzydala o imieniu Mołotow był dumny z tego, że należy do bandy, która zgładziła cesarza jego imperium. Sama myśl o tym przerażała Atvara.

– Ale jak oni radzą sobie z rządami bez cesarzy? – naciskał Feneress.

Kilku innych panów statków, samców należących zarówno do frakcji Strahy, jak i Kirela uczyniło gesty wyrażające poparcie dla pytającego. Cała Rasa była jednakowo zdumiona tosewickimi obyczajami. Atvar był nimi także zaskoczony, ale uczynił już wiele, żeby je zrozumieć.

– Postaram się streścić to najlepiej jak potrafię – powiedział.

– W niektórych tosewickich, hm... nie-cesarstwach, z których najpotężniejsze to Deutschland i SSSR, władca posiada pełną władzę imperialną, ale nie ma u swoich poddanych miłości i lojalności wynikającej z następstwa tronu. To może być jeden z powodów, dla którego te dwa obszary rządzone są z większą brutalnością niż inne: posłuszeństwo wynikające z miłości jest dla nich nieosiągalne. Wymuszają zatem posłuszeństwo strachem. To miało sens, bez względu na to, jak brzydziło pana floty. Ponieważ rzeczy sensowne rzadko zdarzały się na Tosev 3, był zadowolony, że znalazł chociaż jedno racjonalne wytłumaczenie. Deutschland i SSSR stały się modelami, do których można było przyrównywać inne terytoria – takiej nazwy postanowił używać Atvar – na Tosev 3.

– Italia, Nippon i Brytania są cesarstwami w naszym rozumieniu tego słowa. A przynajmniej tak twierdzą. Wielkim Brzydalom nie można wierzyć na słowo. W pierwszych dwóch cesarstwach, które wspominałem, cesarz służy za parawan dla innych Tosewitów, którzy sprawują rzeczywistą władzę.

– Ten fenomen znany był także Rabotewitom, zanim przyłączyliśmy ich do imperium – zauważył Kirel.

– W istocie, niektóre z naszych własnych najstarszych zapisków mogą być w ten sposób interpretowane, że i Rasy coś takiego się przydarzyło w dawno minionych czasach, kiedy cesarstwo ograniczało się nie tylko do jednej planety, ale zaledwie do jej części. Panowie statków zaczęli szeptać między sobą. Atvar nie miał im tego za złe. Wszystko, co rzucało cień na suwerenność cesarza musiało być niezwykle niepokojące. Cesarz był najwyższą i niezmienną wartością w ich egzystencji. Bez niego byliby w życiu zagubieni i opuszczeni, nie mniej niż Wielkie Brzydale, albo inne dzikie bestie.

Ale w tej krótkiej odprawie było więcej niepokojących spraw. Gdy szepty ucichły, Atvar podjął wątek:

– Przypadek Brytanii jest mniej jasny. Niektórzy z was zapamiętali imię samca, hm.. Churchill. Pojawia się ono często wśród tych, którzy zagrzewają Tosewitów do daremnego i skazanego na porażkę oporu wobec Rasy. Ten Churchill, jak się zdaje, według ograniczonych danych, którymi dysponujemy i naszego niedoskonałego – niech pochwalony będzie cesarz! – rozumienia tosewickich obyczajów, jest zaledwie przywódcą jednej z brytańskich frakcji, która posiada teraz większe poparcie niż pozostałe. Kiedy frakcje się zmieniają, ich przywódcy spotykają się i mogą w każdej chwili wybrać innego szefa. Szczęki Strahy rozwarły się w rozbawieniu.

– A kiedy to się stanie, dostojny panie floty, jak ten ich przywódca wojenny, ten – jak mu tam, Churchill? – na to zareaguje? Oddając władzę, którą posiada? Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że wyśle wojsko, żeby wyleczyć ich z arogancji? Czyż nie tak ty byś postąpił, albo ja, czy każdy inny zdrowy na umyśle samiec?

– Mamy powody, by sądzić, że oddałby władzę – odparł Atvar. Z satysfakcją zauważył, jak Straha zamknęła szczęki z kłapaniem.

– Przejęte sygnały radiowe wskazują, że takie – nazwijmy to – poddanie się przesunięciom frakcji jest rzeczą codzienną w rządach, albo przy braku rządów u Brytańczyków.

– Szaleństwo – stwierdził Straha.

– Czegóż innego spodziewałeś się po Wielkich Brzydalach – powiedział Atvar.

– A jeśli sądzisz, że Brytańczycy są szaleńcami, to co powiesz o terytorium tosewickim nazywanym Stanami Zjednoczonymi? Straha nie odpowiedział. Atvar, zresztą nie oczekiwał tego. Pozostali panowie statków także milczeli. Najlepiej, bez wątpienia, prosperujące terytorium na Tosev 3 było według wszelkich racjonalnych standardów anarchią. Nie miało cesarza; a o ile uczeni Rasy byli w stanie stwierdzić – nigdy go tam nie było. Na domiar tego, niewiele tam było pompy i parady jak w przypadku terytoriów rządzonych siłą

– SSSR i Deutschland. Atvar podsumował pogląd Rasy na Stany Zjednoczone jednym pogardliwym słowem:

– Liczypyski! Mają czelność wyobrażać sobie, że zbudują terytorium, jak nawzajem policzą sobie pyski?

– A jednak zbudowali – powiedział Kirel, jak zwykle trzeźwy i trzymający się rzeczywistości.

– Z analiz wynika, że nabyli zwyczaju liczenia pysków od Brytańczyków, z którymi dzielą język, a potem zaczęli go stosować szerzej niż pozwala na to obyczaj brytyjski.

– Liczą pyski nawet w obozach jenieckich, które założyliśmy na ich ziemi – powiedział Atvar.

– Kiedy potrzebny nam był przedstawiciel Wielkich Brzydali, za pośrednictwem którego moglibyśmy jakoś się z nimi dogadać, to zamiast wskazać tych, którzy znani są ze swej mądrości lub odwagi, pozwolili kilku ubiegać się o to stanowisko i liczyli pyski, żeby stwierdzić, który cieszy się największymi względami.

– Jacy okazali się ci przedstawiciele? – zapytał Hassov, samiec raczej ostrożny, mający zatem inklinacje do frakcji Kirela.

– Czy są znacznie gorsi, niż gdyby ich wybrano według racjonalnych przesłanek?

– Nasi oficerowie nie znaleźli większych różnic między nimi a podobnymi przedstawicielami w innych miejscach na Tosew 3 – odparł Atvar.

– Niektórzy są lepsi i bardziej posłuszni od innych, ale takie przypadki zdarzają się na całej planecie. To stwierdzenie zaniepokoiło go. Było to tak, jakby przyznawał, że oczywista anarchia panująca w Stanach Zjednoczonych działa równie dobrze jak ustroje budowane z sensem. W rzeczywistości tak było – przynajmniej według tosewickich standardów. A amerykańskie Wielkie Brzydale (nie wiedział, jaki związek ma słowo Amerykanin z pojęciem Stany Zjednoczone, ale nie uważał się za lingwistę), walczyły równie zawzięcie o zachowanie swojej anarchii, jak inne Wielkie Brzydale za swoich cesarzy lub władców nie-cesarzy.

– Doskonale, dostojny panie floty – powiedział Straha.

– Tosewici rządzą się w sposób, który dla nas jest niezrozumiały lub budzi naszą odrazę. Jak wpływa to na sposób walki z nimi?

– Trafne pytanie – odparł Atvar z uznaniem.

Nie ufał Straszę. Ten samiec miał dosyć ambicji, żeby stać się – czemu nie? – jednym z tych wolnomyślnych amerykańskich Wielkich Brzydali. Atvar zaczął myśleć w ten sposób po półrocznym przebywaniu na Tosew 3. Ale to nie zmieniało faktu, że pan statku był zdolnym samcem.

– Tosewici, z tymi swoimi, budowanymi naprędce, tymczasowymi rządami – podsumował pan floty – dowiedli, że są bardziej zmienni, bardziej elastyczni niż my. Bez wątpienia ci, którzy zostali na rodzimej planecie, przeżyliby wstrząs widząc improwizacje, jakich musieliśmy dokonać w trakcie podboju tego świata. Bez wątpienia, wielu z was też to dotyczy, pomyślał Atvar. Z braku praktyki i potrzeby, Rasa nie rozwinęła umiejętności improwizacji. Kiedy w cesarstwie następowała zmiana, a to rzadko się zdarzało, działo się to powoli, według starannie opracowanych planów. Cesarz i jego słudzy myśleli kategoriami milleniów. To dawało dobre rezultaty, jeśli chodzi o Rasę, ale nie pozwalało na wykształcenie umiejętności szybkiego dostosowywania się do sytuacji. Tutaj, na Tosew 3, sytuacja zmieniała się co chwilę; wczorajszy doskonały plan, jeśli zastosowało się go pojutrze, mógł z równym powodzeniem skończyć się fiaskiem, jak i przynieść zwycięstwo.

– Zatem improwizacja zdaje się stylem życia Wielkich Brzydali – powiedział Atvar.

– Świadczą o tym miny przeciwpancerne, które przywiązują do pleców zwierząt. Czy którykolwiek z nas wpadłby na taki pomysł? Choć wydaje się to szalone, to jednak zadali nam w ten sposób nieraz straty. Tymczasem, zaopatrzenie, którym dysponujemy, jeśli porównać je z tym, co

mają Tosewici, pozostaje powodem pewnego niepokoju.

– Na cesarza, panujemy w powietrzu – powiedział ze złością Straha.

– Jak to się stało, że nie byliśmy w stanie do tej pory zrównać z ziemią ich fabryk? – z pewnym opóźnieniem dodał – dostojny panie floty.

Kilku panów statku poruszyło się niespokojnie na ten objaw krytyki pod adresem Atvara. Pan floty nie dał po sobie poznać gniewu.

– Odpowiedź na twoje pytanie, panie statku Straha, składa się z dwóch części. Po pierwsze, na Tosev 3 jest bardzo wiele fabryk rozsianych na różnych obszarach planety. Zniszczenie wszystkich, a nawet części, nie jest łatwym zadaniem. Poza tym, Tosewici są mistrzami w szybkim naprawianiu szkód. Jest to, jak sędzę, jeszcze jeden skutek faktu, że prowadzili wojnę, kiedy przybyliśmy. Nie są w stanie sprostać naszej technice, ale są niezwykle skuteczni w granicach zakreślonych ich własnym poziomem rozwoju.

– Powinniśmy mieć więcej zapasów przed podjęciem podboju uprzemysłowionej planety – narzekał Feneress.

Teraz Atvar wyświetlił obraz odzianego w kolczugę wojownika tosewickiego, który dostarczyła sonda wysłana niegdyś z rodzimej planety.

– Panie statku, pozwól mi przypomnieć, że takiego właśnie oporu spodziewaliśmy się. Czy sądzisz, że nasze siły są wystarczające, żeby przeciwstawić się takiemu wrogowi?

Feneress rozsądnie zachował milczenie. Bo i co miał odpowiedzieć? Kampania wymierzona przeciwko wymachującym mieczami wojownikom zakończyłaby się w ciągu kilku dni i to, zapewne, bez własnych strat. Atvar jeszcze raz dotknął panelu z kontrolkami. Nowe obrazy zastąpiły wizerunek wojownika: hologram pochodzący z kamery pokładowej samolotu przedstawiał szerokoskrzydłego myśliwca z dwoma silnikami odrzutowymi i emblematem Deutschland – czterema połączonymi hakami – oraz krążownik lądowy z SSSR. Maszyna miała słaby silnik i za mały kaliber działa, jeśli mierzyć według standardów Rasy, ale niewiele jej było potrzeba, by stała się naprawdę wspaniałym orężem. Na hologramach był też zbombardowany kompleks fabryczny w Stanach Zjednoczonych, który wcześniej był w stanie wytwarzać kilka samolotów bombowych dziennie. W końcu, Atvar pokazał zakończoną niepowodzeniem próbę wystrzelenia należącej do Deutschland rakiety. W ciszy, która zapadła, odezwał się pan floty:

– Biorąc pod uwagę niespodziewanie silny opór stawiany przez Wielkie Brzydale, możemy być dumni z sukcesów, które udało nam się do tej pory osiągnąć. Stopniowo niszczymy podstawy ich przemysłu, toteż możemy się spodziewać, że z niewielkim trudem osiągniemy zwycięstwo.

– Nie wolno nam machać ogonami i poddawać się desperacji albo pesymizmowi tylko dlatego, że nie zwyciężyliśmy bez walki – dodał Kirel.

– Powinniśmy natomiast być wdzięczni, że cesarz w swej mądrości wysłał nas z siłami znacznie przekraczającymi potrzeby, których się spodziewaliśmy. Dzięki temu będziemy mogli wykonać niepomniernie trudniejsze zadanie.

Pan floty posłał mu pełne wdzięczności spojrzenie. Trudno było o bardziej krzepiący akcent na zakończeniu zebrania. Ale zanim zdołał odprawić panów statków, Straha zwrócił się do niego z pytaniem:

– Dostojny panie floty, czy Tosewici są w stanie prowadzić prace nad bronią nuklearną, a jeśli tak, to w jaki sposób moglibyśmy zapobiec temu nie wyjaławiając powierzchni planety z wszelkich form życia?

Niektórzy mniej znaczący panowie statków, i ci którzy nie bardzo uważali podczas odprawy, zaczęli się wiercić z zaniepokojenia. Atvar nie miał do nich o to pretensji. Jemu samemu trudno było

sobie wyobrazić coś potworniejszego niż Tosewici dysponujący bombami atomowymi. Mimo to, podwładni denerwowali go. Sami powinni to sobie uświadomić bez prowokowania ze strony Straha. Im dłużej Atvar miał do czynienia z Tosewitami, tym bardziej był przekonany, że jego podwładnym brakuje wyobraźni.

– Nie mamy na to dowodów – powiedział.

– Nie jest jednak pewne, czy z braku informacji możemy wyciągać konkluzje. Jeśli któreś z ich prowadzących wojnę cesarstw byłoby zaangażowane w tego rodzaju badania, to na pewno nie ogłosi tego na cały świat przez radio. To mogłoby zachęcić wrogów do podjęcia takich samych wysiłków.

– Rzekłeś prawdę, dostojny panie floty – stwierdził Straha.

– Pozwól, że zadam to pytanie w inny sposób: czy Wielkie Brzydale wiedzą wystarczająco dużo o wewnętrznej strukturze atomu, by wyobrazić sobie możliwość skonstruowania broni nuklearnej?

– Po naszym wstępnym bombardowaniu, które miało zniszczyć ich sieć komunikacyjną, a szczególnie po tym, jak zrównaliśmy z ziemią stolicę Deutschland, nie potrzebują już sobie wyobrażać broni nuklearnej – odparł Kirel.

– Widzieli ją.

– Owszem, widzieli – Straha nie pozwolił się zbić z tropu rywalowi.

– Ale czy są w stanie zrozumieć to, co widzieli.

Atvar nie zastanawiał się nad tą kwestią. Stwierdzenie, co wiedzą Tosewici nie było łatwym zadaniem. Jeśli nawet byli powściągliwi w radio, to ich książki z pewnością ujawniały wiele. Ale któż spośród członków Rasy zdołałby w ciągu połowy roku (jednej czwartej roku – wedle standardów tosewickich) znaleźć i przetłumaczyć związany ze sprawą tekst? Pan floty świetnie znał odpowiedź: nikt. Podbój nie pozwala na takie zbytki jak tłumaczenia. Tyle, że teraz to nie był zbytek. Straha miał rację: stwierdzenie, co Wielkie Brzydale wiedzą o strukturze atomu może się okazać bardzo ważne dla przebiegu tej kampanii. Z pewnością, choć niezbyt wielką, nadzieją, Atvar włożył sobie w usta mikrofon membranowy i zapytał komputer statku flagowego o dane na ten temat. Spodziewał się, że odpowiedź będzie brzmiała: „brak informacji”. Tymczasem, uzyskał przetłumaczony fragment przechwyconej informacji radiowej ze Stanów Zjednoczonych. „Prześwietlenie promieniami X pokazało, że zawodnik Cincin-nati Reds, Mikę McCormick doznał w trakcie wczorajszego spotkania złamania nogi. Można się spodziewać, że w tym sezonie nie wróci na boisko.” Jak wiele przetłumaczonych fragmentów audycji i ta nie powiedziała Atvarowi wszystkiego, co chciałby wiedzieć. Zastanawiał się, w jakim to meczu brał udział zawodnik, i co to takiego zawodnik, i na jaki sezon nie wróci. Wiosenny? Jesienny? Sezon zbiorów? Pan floty myślał także o tym, czy w Cincinnati, ta nazwa była mu znana, są obok Czerwonych także Zieloni, Niebiescy i Żółci. Ale to wszystko były głupstwa. Ważną informacją, którą zawierał przetłumaczony fragment było to, że złamanie nogi tego Mike'a McCormicka rozpoznano przy użyciu promieni X. To by znaczyło, że promienie X są w powszechnym użyciu na Tosev 3. Gdyby było inaczej, to Wielkie Brzydale nie mówiłyby o nich przez radio tak swobodnie w czasie wojny. A skoro promienie X były w powszechnym użyciu...

– Coś wiedzą o wewnętrznej strukturze atomu – zauważył i objął tok swego rozumowania. Panów statków ogarnęło przerażenie. Przyczyny tego przerażenia wyraził Straha:

– Możliwe jest zatem, że w sekrecie szukają sposobu na wyprodukowanie broni nuklearnej.

– Tak, to możliwe – przyznał Atvar.

Dziwne, ale to stwierdzenie przerażyło go mniej, niż się spodziewał. Tosewici zatrważali go już tyle razy, że w końcu znieczulił się na takie wstrząsy. Westchnął tylko z sykiem i powiedział:

– Jeszcze jeden powód do troski.

W gospodzie „White Horse” czuć było zapach piwa i tytoniu zmieszany z odorem potu. Powietrze było prawie tak gęste jak londyński smog. Barmanka o imieniu Daphne postawiła przed Davidem Goldfarbem i Jerome Jonesem kufle z czymś, co oszukańczo nazywało się jasnym piwem. Zgarnęła szylingi, które położyli na ladzie i trzepnęła Jonesa po nadgarstku, kiedy próbował objąć ją w tali. Wykręciła się i odeszła ze śmiechem. Spódniczka zatrzepotała wokół jej zgrabnych nóg. Jones, z westchnieniem, odprowadził ją wzrokiem.

– Nic z tego, stary – powiedział Goldfarb.

– Mówiłem ci już dawno, ona chodzi tylko z lotnikami.

– Spróbować zawsze wolno – odparł Jones.

Próbował za każdym razem, kiedy przychodzili do gospody „Whit Horse” i za każdym razem dostawał kosza. W zamyśleniu pociągnął haust piwa.

– Wolałbym, żeby nie chichotała w ten sposób. W innych okolicznościach to by mnie zniechęciło. Goldfarb też się napił i skrzywił się.

– To piwo mnie zniechęca. Cholerna wojna.

Kwaśny, żółty cienkusz zaledwie przypominał piwo, które Goldfarb pamiętał z czasów kiedy nie było kartek. Pociągnął jeszcze łyk.

– Ba! Zastanawiam się, czy dodają do tego saletry, tak jak w elitarnych szkołach publicznych, żeby trzymać chłopców na wodzy.

– Nie, znam ten smak, na Boga.

– Jasne, chodziłeś do szkoły publicznej.

– No to co? Zanim jaszczury zniszczyły nasz radar, umiałeś się z nim obchodzić lepiej niż ja.

Żeby ukryć myśli Goldfarb wypił do końca piwo i podniósł palec, by zamówić jeszcze jedno. W końcu, nawet złe piwo otumania. Jerome mógł sobie mówić „no to co” całkiem serio, ale po wojnie – o ile kiedykolwiek się skończy – wróci do Cambridge i zostanie adwokatem, profesorem albo dyrektorem. Goldfarb też wróci, wróci do naprawiania radioodbiorników za kontuarem obskurnego sklepiku przy obskurnej uliczce. Egalitaryzm jego przyjaciela był dla niego pustosłowiem. Nieświadomy gorzkich myśli Goldfarba, Jones kontynuował:

– Poza tym, jeśli nawet do tego piwa dodano saletry, to nie jest ona funta kłaków warta. Mam straszną ochotę, ale to te skurwysyny ze skrzydełkami w klapie będą miały całą uciechę. Popatrz tylko – pokazał ręką.

– Co za hańba. Teraz wiesz, jak to jest, kiedy spadło się do niższej klasy, pomyślał Goldfarb.

Ale Jerome wcale tego nie odczuwał. Sam widok Daphne siedzącej na kolanach inżyniera pokładowego to było za mało, żeby odebrać mu zakorzenione głęboko przekonanie o przynależności do lepszego świata. Był po prostu zazdrosny. Goldfarb też był zazdrosny, szczególnie kiedy Sylvia, druga kelnerka, podeszła do stolika, przy którym siedzieli lotnicy. Szybko skończyła na kolanach celowniczego. To nie było fair. Starał sobie przypomnieć jędrne powiedzonko, które niedawno usłyszał na amerykańskim filmie. „Te co majom, więcej dostaj om”. Niezbyt to było poprawne, ale za to prawdziwe. Jeśli chodziło o niego, to nie dostał nawet drugiej porcji piwa. Tego było już nadto. Wstał i skierował się do stołu, przy którym lotnicy zabawiali się z kelnerkami. Jerome Jones położył mu rękę na ramieniu.

– Zgłupiałeś, David? Ich jest siedmiu; wytrą tobą podłogę.

– Co?

Goldfarb zagapił się. Potem uświadomił sobie, co mówi Jones.

– Och, nie chcę walczyć. Chcę tylko dostać jeszcze jedno piwo. Może przestaną podrywać dziewczyny na chwilę, żeby mogły mi przynieść piwo.

– A może nie – powiedział Jerome.

Ale Goldfarb zignorował go i podszedł do lotników i dziewcząt. Przez kilka sekund nikt go nie zauważył. Facet, któremu na kolanach siedziała Daphne, właśnie coś mówił:

– ... a najgorsze, co tam widziałem, a przynajmniej najohydniejsze, to ten stary jegomość, który szedł ulicą i miał złotą Gwiazdę Dawida na piersi.

– Podniósł wzrok i zauważył Goldfarba.

– Chciałeś czegoś, przyjacielu?

Mówił obojętnym tonem, chciał się dowiedzieć, o co chodzi intruzowi.

– Przyszedłem się dowiedzieć, czy nie moglibyście pożyczyć na moment Daphne.

Goldfarb podniósł pusty kufel.

– O czym właśnie mówiłeś? Nie chcę być wścibski, ale zdaje się, że dopiero co wróciliście z Francji?

– Zgadza się. Z kim mam zaszczyt? – inżynier pokładowy wypił dwa kufle więcej niż Goldfarb, ale ciągle był dość trzeźwy.

Uniósł brew.

– Mam nadzieję, że z kolei ja nie okażę się wścibski, panie radarowiec, ale czy przypadkiem nie jesteś wyznania mojżeszowego?

– Owszem, jestem.

Goldfarb wiedział, że niezbyt przypomina Anglika. Miał zbyt kędzierzawe włosy o brązowym, ale niezbyt „właściwym” odcieniu. Jego nos też nie był anglosaski, a nawet celtycki.

– Mam krewnych w Warszawie, widzisz, i pomyślałem, że dobrze byłoby porozmawiać z kimś, kto na własne oczy widział, jak powodzi się Żydom pod niemiecką okupacją. Jeśli wam przeszkadza, to przepraszam. Może podam ci swoje nazwisko. Będiesz mógł mnie znaleźć na stacji radarowej w bardziej dogodnym czasie.

– Wszystko w porządku. Przysuń sobie krzesło – powiedział inżynier pokładowy po szybkiej wymianie spojrzeń z resztą załogi.

Wyprostował nogi, tak że Daphne zaczęła się ześlizgiwać. Pisnęła z oburzenia, kiedy musiała wstać.

– Cicho, kochanie. Przynieś temu chłopakowi piwo, dobrze?

Zadzierając wysoko nosek, Daphne wyrwała Goldfarbowi kufel z ręki i pomaszerowała za kontuar.

– To bardzo ładnie z twojej strony – powiedział Goldfarb. Pokazał za siebie, na Jerome Jonesa.

– Czy mój przyjaciel mógłby się też przyłączyć?

Na kiwnięcie ze strony lotnika przywołał gestem Jonesa.

– On pewnie też będzie chciał jeszcze jedno piwo – powiedziała ponuro Daphne, gdy wróciła z pełnym kuflem Goldfarba.

– Ma już pusty kufel, jestem tego pewna, jak cholera.

Nie czekając na odpowiedź zabrała Jonesowi naczynie z ręki i poszła je napełnić. W powiększonym towarzystwie przedstawiono się sobie.

– Musisz pamiętać o dwóch sprawach, Goldfarb – powiedział pilot, Ken Embry.

– Warszawa pod żadnym względem nie przypomina Paryża i nie jest już w rękach Niemców.

– Ja to rozumiem – odparł Goldfarb.

– Ale wszystko, czego mogę się dowiedzieć, ma dla mnie ogromne znaczenie.

– Jasne – stwierdził inżynier pokładowy o nazwisku George Bagnall. Poza sześcioramiennymi gwiazdami widziałem sklepy i nawet budki telefoniczne z napisami w rodzaju. „Żydom wstęp

wzbroniony”, albo „Aryjska własność”. W innych sklepach Żydów obsługuje się późnym popołudniem, tak że mogą kupić tylko to, czego inni nie chcieli.

– Skurwysyny – mruknął Goldfarb.

– Kto, Szkopy? Jasne, że tak – zgodził się Embry.

– Nie widzieliśmy, co prawda, niczego takiego, jak na zdjęciach z Warszawy opublikowanych przez jaszczury, ani tego, o czym mówili świadkowie w audycjach radiowych, ale jeśli chociaż jedna dziesiąta z tego jest prawdą, to na Boga, niech mnie szlag trafi, jeśli miałbym za złe tym nieszczęśnikom, że powstali przeciwko hitlerowcom.

Pozostali członkowie załogi chóralnie poparli pilota. Tylko jeden celowniczy, Douglas Bell milczał. Był tak splątany z Sylwią, że Goldfarb spodziewał się skonsumowania tego związku na stole albo na podłodze. Jeśli Bell równie celnie kładł bomby co ręce, to musiał być naprawdę dobry w swojej robocie.

– Nawet po obejrzeniu tych zdjęć nie wierzę, żeby Szwaby zbudowały rzeźnię dla ludzi – powiedział Embry. Jak się to miejsce nazywa?

– Treblinka – rzekł Goldfarb.

On też z trudem w to wierzył. Ale z mniejszym trudem niż Embry. Dla młodego Anglika, którego akcent wskazywał na to, że pochodzi z wyższych klas, zorganizowane morderstwo, jak tamto, było czymś nie do pomyślenia. Dla Goldfarba, którego ojciec uciekł przed mniej zorganizowanymi, ale niemniej poważnymi prześladowaniami, myśl o Treblince, choć przerażająca, była całkiem prawdopodobna. Embry nie był w stanie sobie tego wyobrazić. Goldfarb – przeciwnie. Miał tylko nadzieję, że się myli.

– A jak było tutaj? – zapytał Bagnall.

– Ledwie nas Szkopy przepравиły do Calais, znów byliśmy w powietrzu. Na ziemi spędzaliśmy tylko tyle czasu, żeby się wyspać i coś zjeść.

Goldfarb i Jones popatrzyli na siebie.

– To już nie jest taka regularna wojna, jak za czasów Blitzkriegu – powiedział wreszcie Goldfarb.

– Jaszczury są sprytniejsze od Szwabów. Zgasiły nasz radar, a gdy próbowaliśmy go znowu uruchomić ostrzelali nas rakietami. Tak więc mamy teraz lornetki i telefony, jak za dawnych dni.

Wróciła Daphne niosąc kufel piwa dla Jerome Jonesa. Rzucił jej chytre spojrzenie.

– David używa swojej lornetki, żeby zaglądać ci w okno.

– Naprawdę? – zapytała chłodno, stawiając kufel.

– A ja przez cały czas myślałam, że to ty.

Jasna, angielska karnacja skóry Jonesa sprawiła, że rumieniec był widoczny nawet w świetle rzucanym przez kominek. Goldfarb i lotnicy ryknęli śmiechem. Nawet Douglas Bell oderwał się na moment od Sylvii, żeby powiedzieć:

– Celny strzał, na Boga! Jones wetknął nos w kufel.

– Wiecie co słyszałem?

Goldfarb dzielnie próbował wrócić do pytania Bagnalla.

– Balony zaporowe kosztowały jaszczury kilka samolotów. Lecą tak nisko i tak szybko, że nie mają szans na manewr, jeśli lina balonu znajdzie się na ich kursie.

– Przyjemnie posłuchać – powiedział Bagnall – ale nie o wojnę mi chodziło, ale po prostu o... życie.

– Radarowcy nie mają życia – stwierdził Jones.

– To jest wbrew Artykułom Wojennym Jego Królewskiej Mości, albo czemuś podobnemu.

– Przesunął opróżniony kufel w stronę Daphne.

Postaraj się tym razem nie dodać arszeniku.

– Dlaczego nie? Świetnie by ci zrobił.

Mimo wszystko kelnerka poszła jeszcze raz napełnić kufel.

– Ona jest słodka. Już teraz mogę to powiedzieć – odezwał się Bagnall.

– Aha, siedziała ci na kolanach – powiedział z przygnębieniem Goldfarb.

– Czy wiesz od ilu miesięcy razem z JerOMEM próbowaliśmy dokonać tej sztuki?

– Pewnie od wielu, sądząc po twojej smutnej minie. Czy w Dover nie ma już innych kobiet?

– Spodziewam się, że są. Czy rozglądaliśmy się, Jerome?

– Obróciliśmy każdy kamień – odparł Jones.

Obserwował Douglasa Bella i Sylwię z taką uwagą, że gdyby miał przed sobą pulpit, pewnie robiłby notatki.

– Mam zamiar wylać ci to na głowę, złotko – zwróciła się do niego Daphne.

– Mówią, że to dobrze robi na włosy – odparł.

– Ale to nie moje zdanie – dodał w samą porę, bo kelnerka już była gotowa zrealizować swą groźbę. Goldfarb dokończył drugi kufel i nie spieszył się z piwem następnego. To, co załoga lancastera powiedziała mu o losie Żydów we Francji sprawiło, że zaczął się jeszcze bardziej martwić o tych, którzy mieszkali w Warszawie, gdzie w promieniu setek kilometrów nie było nikogo, kto mógłby patrzeć hitlerowcom na ręce. Niemieckie radio mogło sobie wywrzaskiwać obelgi pod adresem „zdrajców ludzkości”; Żydzi warszawscy byli zdesperowani do tego stopnia, że nawet najeźdźcy z kosmosu mogli wydawać im się lepsi od „łaskawych i ludzkich” rządów hitlerowskiego gubernatora, Hansa Franka. Zastanawiał się, jak dają sobie radę jego wujowie, ciotki i kuzyni mieszkający w Polsce. Myślał o tym, co mówiono w audycjach nadawanych w jidysz i po niemiecku na falach krótkich rozgłośni warszawskiej rozbudowanej przez jaszczury – ilu jego krewnych zdołało przeżyć? Gapił się w pusty kufel. Czy jeszcze jedno piwo pomoże mu zapomnieć o jego obawach, albo pokrzepi go na duchu? Raczej to drugie, pomyślał. Wyciągnął szkło do Daphne.

– Jeżeli już jesteś na nogach, czy mogłabyś mi przynieść jeszcze jedno? Odpowiednia ilość piwa i przestanie się martwić czymkolwiek. Jeśli nie sprawi tego ten kufel, to będzie następny i jeszcze następny.

– A co będzie z wami teraz, chłopaki – Jerome zwrócił się do lotników.

– Sądzę, że polecimy jutro albo pojutrze – odparł Embry.

– Z tego, co mówią, coraz mniej jest doświadczonych załóg lotniczych.

– Jak możesz tak spokojnie o tym mówić? – wybuchnął Jones.

– Latanie nad Niemcy to jedno, ale walka z jaszczurami...

Embry wzruszył ramionami.

– To właśnie robimy. Musimy to robić. Cóż innego mamy do roboty, niż robić to, co potrafimy najlepiej?

Goldfarb przyglądał się uważnie pilotowi i reszcie załogi. Podczas, gdy on zamartwiał się – nie bez powodu – o los swoich krewnych, oni wykonywali swój obowiązek zaglądając w oczy niemal pewnej śmierci. Popatrzył na Sylwię, która wyglądała, jakby chciała wydusić ostatni dech z Douglasa Bella i nagle zrozumiał, gdzieś wewnątrz, bez słów, dlaczego i ona, i Daphne sypiają z lotnikami, a nie z mężczyznami, którzy zostają na ziemi. Było mu smutno, ale zazdrość zniknęła.

Kiedy Daphne wróciła z jego piwem, wstał, pogrzebał w kieszeni i wydobył garść srebrnych monet.

– Przynieś tym chłopakom kolejkę, dobrze? Jerome Jones zagapił się na niego:

– Cóż za szczodrość! Czy to wykorkował twój bogaty dziadek, czy też zapomniałeś, że jesteś Żydem?

Goldfarb wyglądał, jakby chciał się rzucić komuś do gardła. Bagnall i kilku innych członków załogi poprawiło się w krzesłach, żeby go złapać, gdyby próbował to zrobić. Ale on zaczął się śmiać.

– Do cholery, Daphne, temu skurwielowi też stawiam piwo.

Lotnicy odprężyli się. Jones zrobił jeszcze większe oczy.

– Gdybym wiedział, że wyzwiska potrafią zmusić cię do postawienia piwa, to dawno bym cię już zwymyślał.

– Geh kak afen yam – powiedział Goldfarb i rozczarował wszystkich, bo nie chciał przetłumaczyć.

Mosze Rusie czuł, jak bije mu serce. Spotkania z gubernatorem jaszczurów, którego wojska wyгнаły Niemców z Warszawy, zawsze napawały go przestachem. Ale Zolraag traktował go dobrze – z pewnością lepiej niż zrobiłby to Hans Frank, gdyby Rusie wpadł mu w oko. Nie wiedział czy Frank zginął, czy uciekł. Mieć nadzieję, że nie żyje było grzechem. Rusie wiedział o tym. Mimo to, miał nadzieję, że tak było. W drzwiach gabinetu Zolraaga zobaczył Tadeusza Bora-Komorowskiego. Nie wyglądał na uszczęśliwionego. Ciągłe nachmurzony, Bór-Komorowski wyszedł stukając obcasami o marmurową podłogę. Rusie pospiesznie wszedł do gabinetu Zolraaga; nie chciał pozwolić, żeby obrońca jego ludu czekał na niego.

– Ekscelencjo – powiedział po niemiecku.

Rozmawiał z jaszczurem dość swobodnie. Kilka tygodni temu, gdy Niemcy uciekli jednocześnie otoczeni i zaatakowani od wewnątrz miasta, te małe, biegające szybko stworzenia wydały mu się demonami. Chociaż były sojusznikami, ich dziwaczność przechodziła jego zdolność pojmovania. W tej sprawie niemiecka propaganda nie kłamała. Ale codzienne spotkania z Zolraagiem sprawiły, że niesamowitość spowszedniała i nasunęła myśl, że w oczach jaszczurów zarówno on, jak i cała ludzkość, jest równie niesamowita, jak gubernator w jego oczach.

– Herr Rusie – Zolraag mówił powoli, niemal zupełnie połykał „r”, a środkowe „s” w nazwisku Rusiego wymówił jak długi syk – mam nadzieję, że dobrze się pan miewa.

– Tak, ekscelencjo, dziękuję.

Rusie też zaczął posykiwać i wydawać gardłowe dźwięki: nauczył się, jak mówić „dziękuję” w języku Zolraaga. Starał się wyławiać słowa z mowy jaszczurów. Mówił płynnie po żydowsku, niemiecku i po polsku, perspektywa nauczenia się jeszcze jednego języka nie przerażała go. Zrozumiał, że dla Zolraaga fakt istnienia wielu języków na Ziemi był czymś zaskakującym. Jaszczur pracował jednak pilnie nad swoim niemieckim. Nie pozbył się dziwnego akcentu uzależnionego zapewne od kształtu paszczy, ale za każdym razem, gdy rozmawiał z Żydem chwycił nowe słówka. Poprawiła się też jego gramatyka.

– Niemieccy jeńcy, Herr Rusie, co pan sądzi zrobić z nimi? – zapytał.

– Są jeńcami, ekscelencjo i powinni być traktowani jak wszyscy jeńcy wojenni.

Rusie pobyl w obozie w ruinach Rakowca, po prostu po to, żeby zobaczyć Niemców za ostrymi jak brzytwa taśmami, których jaszczury używały w charakterze drutu kolczastego. Żałował tego teraz. Przyglądanie się tłumom brudnych, obszarpanych, głodnych ludzi kręcących się bez celu przypominało oglądanie przepelnionych uliczek getta.

– Nie wszyscy twoi ludzie tak myślą, Herr Rusie. Kto jest twój cesarz tutaj?

– Nasz przywódca, tak?

– Wasz cesarz... ten, co decyduje za was – powiedział Zolraag.

Jaszczurowi wydawało się to bardzo proste. Może i tak było wśród jaszczurów. Rusie zrozumiał, że ich głównodowodzący – pan floty, jak go nazywał Zolraag – wybrał Zolraaga na stanowisko gubernatora Warszawy. Sprawy w Warszawie należącej do ludzi, a szczególnie w dzielnicy żydowskiej nie były takie proste. Stara rada ustanowiona przez Niemców nadal działała, wydzielając racje żywnościowe tym razem pochodzące od jaszczurów, a nie od hitlerowców. Sam Rusie cieszył się autorytetem moralnym ze względu na to, co się stało w noc, kiedy przybyły jaszczury. A wszystko zmieniało się z dnia na dzień, czasem – z minuty na minutę. Był jeszcze Mordechaj Anielewicz. Został postrzelony w lewą rękę w czasie ataku na Niemców, ale to go nie powstrzymało. Gruby biały opatrunek dodawał mu jeszcze chwały bohatera. Jego ludzie chodzili po ulicach ze zdobytymi niemieckimi karabinami na ramieniu. Uczucie dumy upajało Żydów jak młode wino. Spora część mauserów, które mieli Żydzi pochodziła od jaszczurów. Armia Krajowa otrzymała mniej broni od nowych zdobywców. Oczywiście, Polacy na początku powstania mieli znacznie więcej karabinów niż Żydzi. Może jaszczury chciały utrzymać równowagę między dwiema grupami powstańców na świeżo podbitym terytorium? A może, rozmyślał Rusie, Zolraag i pozostałe jaszczury chcą wykorzystać Żydów – ze względu na ich wyjątkowo ciężkie położenie pod niemiecką okupacją – jako narzędzie przeciwko reszcie ludzkości? Wysłuchał audycji z nadajnika krótkofalowego tuż potem, jak przemówił z niego w studio zorganizowanym przez jaszczury. Chociaż mówił tylko prawdę słuchacze przyjęli jego informacje za przesadzone. Nawet straszliwe zdjęcia pochodzące z getta budziły wśród niektórych zastrzeżenia.

Właśnie z tego względu Rusie powiedział:

– Ekscelencjo, zaszkodziś sobie, jeśli potraktujesz schwytyanych Niemców inaczej niż pozostałych jeńców. Ludzie powiedzą, że jesteś okrutny i niemiłosierny.

– Ty to mówisz, Herr Rusie?

Odbierał Moszemu odwagę patrząc jednym okiem w jego stronę, a drugim przeglądając papiery leżące na biurku.

– Jesteś Żydem – jak wy to mówicie ofiarą tych Niemców. Nie potraktować ich jak zabójców? Dlaczego? Są nimi przecież.

– Zapytałeś, czego bym chciał, ekscelencjo – odparł Rusie.

– Powiedziałem ci. Zemsta to potrawa, którą jada się na gorąco.

Następne kilka minut spędził na tłumaczeniu tego, co powiedział. To mu przypomniało, żeby nie używać przenośni w rozmowie z jaszczurem. Zolraag skierował oczy na Rusiego. To było niemięcej straszne, niż gdy patrzył tylko jednym okiem. Jego wzrok był jakby martwy.

– Jesteś cesarzem swego ludu, skoro tak mówisz? Ty... decydować?

– Mówię to w swoim imieniu – powiedział Rusie

Wiedział, że gdyby skłamał, poparcie Zolraaga zamieniłoby kłamstwo w prawdę. Ale gdyby teraz zaczął kłamać, to na czym by skończył? Nie chciał się o tym przekonać. Przez kilka ostatnich lat widział zbyt wiele zła w sobie samym i w świecie, który go otaczał. Po chwili dodał:

– Jestem pewien, że mógłbym poprowadzić mój lud.

To nie było kłamstwo lecz zaledwie przesada. Gubernator przyglądał mu się przez chwilę, a potem popatrzył w dwóch kierunkach naraz.

– Może to zrobisz, Herr Rusie. Może poprowadzisz swoich ludzi. Może to wyjdzie na dobre. Może powiemy, patrzcie na Żydów, patrzcie, co im Niemcy zrobili, patrzcie, Żydzi nie chcą – jak to się mówi – zemsty.

– Tak – powiedział Rusie martwym głosem.

Jaśniej niż kiedykolwiek zobaczył, że dla Zolraaga Żydzi niewiele znaczą i to tylko jako ofiary

hitlerowców. Był dla jaszczurów obiektem, rzeczą, nie mniej niż dla Hansa Franka. Jedyna różnica polegała na tym, że Zolraag uważał go za rzecz użyteczną, a nie odrażającą. To już była różnica. Mało brakowało, a za Niemców byłby już martwy. Wszystko jedno, ta myśl była gorzka.

– Może zrobimy zdjęcie – powiedział Zolraag.

– Żyd podaje niemieckiemu jeńcowi żywność. Może to zrobimy, Herr Rusie, tak? Zrobić zdjęcie, a ludzie niech myślą.

– Każdy Żyd, który pozowałby do takiego zdjęcia, byłby natychmiast znenawidzony przez innych Żydów – odparł Rusie.

Rozpacz mąciła mu myśli: potrzebują nas tylko dla celów propagandowych. Uratowali nas w imię własnych celów, a nie ze szczególnej łaskawości. W chwilę później jaszczur potwierdził jego myśl:

– Pomogliśmy wam, Herr Rusie. Wy pomoc nam teraz. Macie u nas – jakie to słowo? – dług. Tak, dług.

– Wiem, ale po tym, co przeszliśmy, trudno jest spłacać długi.

– Po co inne, wy Żydzi nam teraz potrzebni, Herr Rusie?

Rusie zgiął się, jakby go ktoś uderzył. Nigdy wcześniej Zolraag nie był z nim tak brutalnie szczery. Zmienił trochę temat, zanim pójdiesz dalej, pomyślał. Ta sztuczka dobrze służyła mu w czasie studiów medycznych. Pozwalała mobilizować siły i zwalczać słabość

– Ekscelencjo – zwrócił się do jaszczura – jak Żydzi mogą myśleć o dawaniu żywności Niemcom, skoro sami mają jej niewiele?

– Mają teraz tyle, co wszyscy – odparł Zolraag.

– Tak, ale wcześniej głodowaliśmy. A to, co teraz mamy jest niewystarczające. Polacy byli niezadowoleni, że obcięto im racje, aby wyżywić Żydów, a Żydzi byli źli na Polaków za brak zrozumienia, że tyle wycierpieli od Niemców. Oba narody nie zdawały sobie w pełni sprawy z rozmiaru przesładowań i cierpień, które ich spotykały ze strony Niemców. Równe racje oznaczały, że wszyscy jedli za mało.

– Ekscelencjo – odezwał się Rusie – czy używając całej swej potęgi mógłbyś spowodować większe dostawy żywności dla Warszawy? Wtedy mniej byśmy dbali o to, że dzielimy się nią z Niemcami.

– Gdzie dostać żywność, Henr Rusie? Nie być żywności, nie w Warszawie. Tam gdzie walka, być żadne rolnictwo, walka niszczy rolnictwo. Powiesz, gdzie żywność, ja ją przyniesię. Inaczej...

– Zolraag rozpostarł pazurzaste dłonie w bardzo ludzkim odruchu.

– Ale...

Rusie patrzył na jaszczura z przerażeniem. Wiedział, że tylko Bóg jest wszechmocny, ale jaszczury, poza tym, że wydawały się objawieniem Jego woli, kiedy wyrzuciły Niemców z Warszawy i uratowały Żydów od niechybnej zagłady, były przecież w stanie zrobić tyle rzeczy z tak niewielkim wysiłkiem, że Mosze uznał ich możliwości w sprawach doczesnych za nieograniczone. Odkrycie, że jest inaczej wstrząsnęło nim. Zaczął się jękać.

– Czy nie moglibyście, hmm.. sprowadzić żywności z innych części planety, gdzie nie prowadzicie ciężkich walk?

Zolraag otworzył szeroko szczęki. Rusie groźnie popatrzył na rzędy ostrych zębów i rozwidlony język. Wiedział, że gubernator śmieje się z niego.

– Móc to zrobić, jak wy głupi ludzie przestać walczyć i przyłączyć się do imperium – powiedział gubernator.

– Teraz, nie. Wszystko, co mamy jest w walce. Tosev 3, duże miejsce. Potrzebować wszystko,

co mieć.

– Rozumiem – powiedział powoli Rusie.

To była wiadomość, którą przekaże Anielewiczowi. Może przywódca wojenny będzie wiedział, jak się nią posłużyć. Wyglądało na to, że jaszczury mają mniej sił, niż się wydawało. Ziemia rzeczywiście jest wielka. Zanim wojna się zaczęła, Rusie niewiele interesował się tym, co się dzieje poza Polską. Miażdzące zwycięstwa Niemców nauczyły go, że było to niemodne. Później pokładał nadzieje w Anglii, a jeszcze później w odległych Stanach Zjednoczonych. Gdy Zolraag mówił teraz o „tym” świecie, milcząc zakładał istnienie innych światów. To zdawało się oczywiste: jaszczury były, dosłownie, nie z tej Ziemi. Jak do tej pory, jednak pełne konsekwencje tego faktu nie dotarły do Rusiego. Zastanawiał się, ile światów zna ten obcy i czy na którymś z nich – poza Ziemią i planetą, z której pochodził jaszczur – istnieje rozumne życie. Rusie otrzymał świeckie wychowanie, konieczne dla medyka, wierzył więc zarówno w Darwina, jak w dzieło stworzenia. Obie te idee nie współżyły łatwo w jego umyśle. Jedna dominowała, gdy myślał, druga, gdy odczuwał. W getcie, Bóg był górą, ponieważ wtedy tylko modlitwa mogła pomóc. Przybycie jaszczurów było odpowiedzią na zanoszone do Boga modły. Rusie nagle zaczął zastanawiać się, jaki udział miał Bóg w stworzeniu jaszczurów i wszelkich innych ras w kosmosie. Jeśli ukształtował je wszystkie, to z jakiej racji miałby rezerwować specjalne miejsce dla człowieka? A jeśli jaszczury i inne istoty nie były Jego tworem, to jakie miejsce zajmuje On we wszechświecie? Czy ma tam w ogóle jakieś miejsce? Stawianie sobie takich pytań było bardziej zatrważające niż spotkanie z Zolraagiem.

– Mieć więcej żywność, dać wam żywność. Może już wkrótce – powiedział gubernator.

Rusie skinął głową. Mógł odetchnąć. Zolraag kontynuował.

– Masz znaleźć cesarza Żydów. Ma powiedzieć, co zrobić z niemieccy jeńcy, Herr Rusie. Nie czekać – robić teraz.

– Tak jest, ekscelencjo – Rusie powtórzył to zdanie w języku jaszczurów.

Było to dla nich bardzo ważne powiedzenie, prawie jak Szema Israel dla bogobojnych Żydów. Organizowali swoje życie według skomplikowanych form posłuszeństwa, tak jak ludzie zgodnie z potrzebami swoich rodzin. „Tak jest” było najmocniejszym zobowiązaniem, jakie można było wypowiedzieć w ich języku. Zdawało się, że Zolraag nie ma już nic więcej do dodania. Rusie wstał, skłonił się przed gubernatorem i zabierał się do wyjścia.

– Proszę poczekać – powiedział jaszczur. Mosze posłusznie się odwrócił.

– Czy zawsze tu jest... nie zimno – jak mówić małe zimno? – w Warszawie?

– Chłodno? – zapytał Rusie.

– Chłodno, tak, to jest to słowo. Dziękuję. Czy zawsze być tak chłodno w Warszawie?

– Później będzie jeszcze chłodniej, ekscelencjo – odparł zaskoczony Rusie.

W Warszawie ciągle było jeszcze lato, nie gorące, ale przecież lato. Pamiętał poprzednią zimą, kiedy nie było żadnego ogrzewania. Pamiętał, jak z całą rodziną kulili się na łóżku pod wszystkimi ubraniami jakie mieli, a zęby i tak im szczeły. Pamiętał to nie kończące się kasłanie, które wypełniało getto. Jego ucho rozróżniało kaszel gruźliczy od kaszlu spowodowanego zapaleniem płuc albo grypą. Pamiętał ciała leżące na śniegu i ulgę, jaką odczuwał, wiedząc że nie zaczną cuchnąć, zanim zostaną zabrane. Jeśli Zolraagowi w ten sierpniowy dzień było zimno, to jak ma wytłumaczyć jaszczurom, co naprawdę znaczy mróz? Nie widział sposobu: to tak, jakby objaśniać Talmud pięcioletniemu chłopcu. I to do tego gojowi. Zolraag zasyczał coś w swoim języku. Rusie pochwycił kilka słów: Jak w lodówce”. Potem gubernator przeszedł na niemiecki:

– Dziękuję, Herr Rusie, za to, że powiedziałeś, co nadejdzie...

– Za ostrzeżenie? – zapytał Rusie.

– Ostrzeżenie. Tak, to jest to słowo. Dziękuję, do widzenia, Herr Rusie.

– Do widzenia, ekscelencjo – Rusie ponownie się uklonił.

Tym razem Zolraag nie zatrzymał go zadając następne pytanie. W poczekalni przed gabinetem gubernatora siedział przystojny, młody ksiądz. Jego blade oczy wyrażały obojętność, gdy zobaczył Rusie, ale zdobył się na uprzejme skinienie głową. Rusie odklonił się; nie należy pogardzać uprzejmością, domagać się, żeby wszyscy Polacy pałali sympatią do Żydów. Nie należy oczekiwać cudu; Mosze prosił już o jeden cud i jego prośba została spełniona. Nie chciał nadużywać cierpliwości Boga. Ale uprzejmość nie należy przecież do dziedziny cudów. Kwatera główna Zolraaga mieściła się w kompleksie dwu-i trzypiętrowych biurowców przy ulicy Grójeckiej. Kilka z nich nosiło ślady uszkodzeń od pocisków armatnich, ale pozostałe były nietknięte, jeśli nie liczyć takich drobnostek jak dziury po kulach i wybite szyby. Domy w tak dobrym stanie były czymś wyjątkowym w mieście. Hitlerowska artyleria i nie kończące się fale nalotów Luftwaffe startły z powierzchni ziemi rozległe połacie Warszawy. Niemcom nie zależało na odbudowie miasta. Budynki zniszczone w 1939 roku, poddane procesowi erozji, stały się powoli częścią krajobrazu. Większość ruin była świeża. Niemcy walczyli jak opętani, żeby nie oddać miasta jaszczurom. Rusie przeszedł obok wypalonego wraku niemieckiego czołgu. Ciągłe wydobywał się z niego odór rozkładających się zwłok. Rusie, potrząsając głową, dziwił się, że tylu Niemców, tutaj i w innych miejscach, do końca stawało w obronie złej sprawy. Bóg dawał ludzkości naukę taką, jak za czasów asyryjskich. Nie wiadomo było jeszcze, jakie ma ona znaczenie. Obok zniszczonego czołgu przemknął wóz bojowy jaszczurów. Kiedy Niemcy wkroczyli do Warszawy, ich ryczące, parszające spalinami kanciaste czołgi wyglądały, jakby przybyły z odległej, złej przeszłości. Obłe, szybkie, nieomal bezgłośnie maszyny jaszczurów dowiodły, że Niemcy nie są panami wszelkiego stworzenia, za jakich się uważali. Rusie znajdował się o kilka kilometrów od skraju dzielnicy żydowskiej. Nie zapiął swego długiego czarnego płaszcza. Mimo to, zaczął się pocić, kiedy dotarł do zburzonego muru oznaczającego granicę byłego getta. Jeśli Zolraag uważa, że jest chłodno, to zobaczymy, co powie w styczniu, pomyślał.

– Rebe Mosze! – handlarz popychający wózek z rzepą zatrzymał się, by zdjąć czapkę.

– Rebe Mosze! – śliczna młoda dziewczyna mająca nie więcej niż trzynaście, czternaście lat uśmiechnęła się do niego. Była wymizerowana, ale nie wyglądała na głodującą.

– Rebe Mosze! – podszedł do niego jeden z bojowców Anielewicza.

Nosił stary polski hełm, chłopską bluzę i workowate spodnie wetknięte w niemieckie kamasze. Na piersi miał skrzyżowane dwa pasy z błyszczącymi miedzią nabojami. Te pozdrowienia podobały się Rusiemu. Przypomniały mu, że jest tutaj ważną osobą. Z powagą odpowiadał na każdy objaw szacunku. Kiedy to robił, myślał, czy którakolwiek z tych osób żyłaby jeszcze, gdyby nie przybyły jaszczury, a jeśli tak, to jak długo. Zastanawiał się też, jak długo on sam by jeszcze pożył. A więc postanowiłem pomóc jaszczurom w nadziei, że one z kolei pomogą memu ludowi, pomyślał. I pomogły. I zostaliśmy uratowani. I co ja z tego mam? Tylko tyle, że ludzie, którzy nie są w stanie uwierzyć, do czego zdolni są Niemcy – ich bliźni – okrzyczeli mnie zdrajcą, kłamcą i renegatem. Starał sobie wmówić, że to go nie obchodzi, że uznanie ze strony tych, którzy znają prawdę liczy się bardziej niż to, co mówią inni. Było jednak inaczej. Gdyby dano mu wybór, współpracowałby z ludźmi przeciwko najeźdźcom z kosmosu. Chyba, że tymi ludźmi byłiby Niemcy. Ale jaki miał wybór? Kiedy przybyły jaszczury, Rosjanie byli daleko i cofali się przed naporem armii niemieckiej. Brytyjczycy na wyspie byli atakowani przez Niemców, Amerykanie zaś byli tak daleko, że równie dobrze mogliby znajdować się na odwrotnej stronie Księżyca. W porównaniu z hitlerowcami jaszczury były błogosławieństwem. Tak – to było błogosławieństwo. Mimo wszystko, czasem

żałował, że do tego doszło. Wszystkie te myśli uleciały, kiedy za rogiem spostrzegł idącego w jego stronę Mordechaja Anielewicza. Młody przywódca żydowskich bojowców szedł w otoczeniu kilku swoich ludzi obwieszonych bronią. Wszyscy nosili obszarpane wojskowo-cywilne stroje, podobne do tego, który Rusie widział na spotkaniu po drodze bojowcu. Sam Anielewicz nie był uzbrojony. Chociaż był równie obdarty jak jego świta, to jego pewny krok i dystans, jaki inni utrzymywali w stosunku do niego wskazywały, kto tu jest najważniejszy. Lekko skinął głową Rusiemu. Byli zarazem sojusznikami i rywalami. Czerpali swą siłę z różnych źródeł: Anielewicz wprost z luf karabinów noszonych przez jego ludzi, a Rusie z zaufania, jakim darzyli go warszawscy Żydzi. Z tego powodu jeden drugiemu nie ufał. Za bardzo się od siebie różnili. Pierwszy odezwał się Anielewicz:

– Witaj, rebe Mosze. Jak się udało spotkanie z gubernatorem jaszczurów?

– Dość dobrze – odparł Rusie – chociaż narzekał, że klimat jest dla niego zbyt chłodny.

– Doprawdy? – powiedział Anielewicz.

Kilku bojowców roześmiało się. Anielewicz uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały poważne.

– Za kilka miesięcy będzie bardziej narzekał. Czy miał coś jeszcze do powiedzenia?

– Zdaje się, że nie ma co liczyć na większe racje żywnościowe w najbliższym czasie.

Rusie objaśnił, jakie kłopoty ma Zolraag z zaopatrzeniem. Wojskowy przywódca Żydów powinien o tym wiedzieć.

– Niedobrze.

Anielewicz nachmurzył się.

– My naprawdę potrzebujemy teraz więcej żywności, bo przez tak długi czas mieliśmy jej znacznie mniej. Ale skoro nie może, tego załatwić no to trudno. Nie chcę też wszczynać o to sporu z Armią Krajową.

– Bór-Komorowski widział się z Zolraagiem tuż przede mną. Wyszedł od niego niezbyt zadowolony.

– To źle – powtórzył Anielewicz.

– Niemniej, dobrze o tym wiedzieć.

Wzrok mu stwardniał. Spojrzał na Rusiego jakby w niego celował.

– A co jego jaszczurza ekscelencja miała do powiedzenia w sprawie hitlerowskich skurwysynów, którzy nie zdążyli uciec z miasta? Czy wie już, co ma zamiar z nimi zrobić?

– W rzeczy samej, pytał mnie co o tym sądzę – odparł Rusie.

– I co powiedziałeś? – zapytał łagodnie Anielewicz. Rusie zaczerpnął głęboko tchu zanim odpowiedział.

– Powiedziałem mu, że jeśli chodzi o mnie, to potraktowałbym ich jak jeńców wojennych.

Prawie wszyscy bojowcy wydali pomruk oburzenia słysząc te słowa. Mosze zignorował ich.

– W ten sposób poderwiemy zaufanie do niemieckiej propagandy skierowanej przeciwko nam. A poza tym, jeśli potraktujemy ich tak, jak oni traktowali nas, to w czym będziemy lepsi od nich?

– Oni to robili dla zaspokojenia swoich instynktów, dla sportu, my z zemsty – odparł Anielewicz tonem przesadnej cierpliwości, jakby tłumaczył to czteroletniemu dziecku.

– Czy chcesz być idealnym Żydem z getta, rebe Mosze? Takim, co to nigdy nie odda gojowi, bez względu na to, co ten robi? Czasy się zmieniły.

Klepnął jednego ze swoich ludzi po barku. Mauzer, który tamten trzymał przewieszony przez ramię, zakołysał się. Rusie odkrył, że stawianie czoła uzbrojonym nie jest łatwą sprawą, bez względu na to czy to Żydzi, czy Niemcy.

– Wiesz, kim jestem – powiedział.

– Czy nie byłem po twojej stronie, kiedy zaczęliśmy powstanie? Ale jeśli morderstwo z zimną

krwią jest złą rzeczą, kiedy popełniają je Niemcy, to nie stanie się za sprawą cudu rzeczą właściwą, kiedy my je popełnimy.

– Jak odebrał Zolraag to, co mu powiedziałaś?

– O ile dobrze go zrozumiałem, to pomyślał, że zwariowałem – przyznał Rusie.

To wyznanie wywołało lekki śmieszek bojowców stojących wokół Anielewicza.

– Może miał rację.

Anielewicz niezbyt przyjemnie uśmiechnął się do Rusiego. Przypominał wilka, który unosi wargi, żeby wyszczerzyć kły. Rusie przyjrzał się dokładnie przywódcy bojowców. Anielewicz był inny niż Niemcy, którzy do niedawna stanowili dla Rusiego jedyny model wojowników. Większość z nich to byli zawodowcy. Wykonywali swoje zadania bez względu, jak okropne by one były. Tymczasem Anielewicz zdawał się być dumny z tego, co robi. Czy to stawiało go w lepszym czy w gorszym świetle? Rusie nie był zdecydowany.

– Może i miał rację – powiedział do Anielewicza.

– Chciał od nas jakiegoś rodzaju przyzwolenia zanim zacznie działać. Musiałeś zauważyć, że według jaszczurów musimy mieć kogoś, kto podejmuje w imieniu społeczności wiążące decyzje. Tym razem śmiech Mordechaja Anielewicza wyrażał autentyczne rozbawienie.

– Czy on słyszał, żeby kiedykolwiek trzej Żydzi mieli takie samo zdanie w jednej sprawie?

– Myślę, że nie. Ale powiem coś jeszcze: skorzystaliśmy z pomocy jaszczurów, żeby uratować nasze życie, bo nie mogli nam uczynić nic gorszego, niż to, co już zaczęli robić Niemcy. No i dobrze. Nikt, kto zna prawdę o naszych cierpieniach, nie miałby do nas o to żalu – tonący chwytą się brzytwy.

– A co z tymi, którzy nie uwierzą, jeśli nawet postawi się ich wobec oczywistych faktów? – burknął jeden z bojowców

– Gdybyś wierzył, że hitlerowcy dokonają tyle złego, to zostałbyś w Polsce? – zapytał Rusie. Jak wielu polskich Żydów, Rusie miał krewnych w Wielkiej Brytanii i dalszą rodzinę w Stanach Zjednoczonych. Jego rodzice, po dojściu Hitlera do władzy, dostawali listy zachęcające ich, żeby dopóki to możliwe wyjeżdżali. Nie posłuchali, teraz są martwi. Bojowiec chrząknął. Miał już ponad trzydziestkę. Rodzice nie musieli dokonywać za niego wyboru. Sam postanowił zostać.

– I co z twoim wywodem o jaszczurach, rebe Mosze – Anielewicz powrócił do głównego tematu rozmowy.

– Jak do tej pory nie przekonałeś mnie.

– Więc sam pomyśl: w sprawie jaszczurów zrobiliśmy to, co musieliśmy. Gwarantuję, że tak było. Ale nie powinniśmy robić więcej niż musimy. Prosić, żeby zastrzelili w naszym imieniu niemieckich jeńców, to gra na korzyść jaszczurów. A także na korzyść niemieckiej propagandy. Jeśli twoim zdaniem miłosierdzie nie jest wartością samą w sobie, to weź chociaż to pod uwagę zanim będziesz nawoływał do rzezi.

– Czy aby na pewno chciałeś zostać lekarzem? Dyskutujesz jak rabin.

Ale Anielewicz poważnie przyjął to, co powiedział Rusie. Było to widać po jego twarzy. Z ociąganiem przywódca bojowców powiedział:

– Mówisz, że nie powinniśmy występować jako pionki w grze prowadzonej przez jaszczury.

– Właśnie o to chodzi.

– Może udało się znaleźć klucz do porozumienia.

– Do pewnego stopnia musimy im ulec, bo jesteśmy słabsi od nich. Ale jeśli mielibyśmy wystąpić w charakterze szyldu dla ich sprawek, to w oczach świata staniemy się ich współnikami.

– Coś w tym jest, szefie – odezwał się bojowiec, który już wcześniej zabierał głos. Przyznał to niezbyt chętnie; tym bardziej Mosze podziwiał go za odwagę.

– Tak, coś w tym jest – Anielewicz obrzucił Rusiego niezbyt przyjaznym wzrokiem.

– Na Boga, rebe Mosze, chcę zemsty na tych hitlerowskich skurwysynach. Kiedy jaszczury zbombardowały Berlin wiwatowałem z radości, wiesz? Wiwatowałem z radości.

– Skłamałbym, gdybym powiedział, że było mi z tego powodu tak smutno jak powinno – odparł Rusie.

– A widzisz – powiedział Anielewicz, jakby udało mu się coś udowodnić. Może i udało mu się. Jeśli tak było, to Rusie się do tego nie przyznał.

– Wiwatowanie było złe, nie rozumiesz tego? Większość z tych Niemców nie zrobiła niczego złego jaszczurom, tak jak my nie zrobiliśmy niczego złego Niemcom. Po prostu, byli w Berlinie, kiedy jaszczury zrzuciły bombę. Jaszczurów nie obchodziło, że to nie byli żołnierze. Po prostu przylecieli i zrzucili. To nie są anioły, Mordechaju.

– Wiem o tym – odpowiedział Anielewicz.

– Ale lepiej mieć diabła po swojej stronie niż po stronie przeciwnej.

– Nie, to fałszywy wniosek.

Mosze z uporem pokręcił głową.

– Wniosek właściwy brzmi: lepiej żebyśmy sami nie stali się diabłami.

Anielewicz popatrzył groźnie. Rusie poczuł lęk. Jeśli przywódca żydowskich sił zbrojnych postanowi go ignorować, nie będzie miał na to wpływu. Anielewicz, zanim odpowiedział, spojrzał na towarzyszących mu bojowców. Kilku z nich pokiwało ze zrozumieniem głowami, aprobując rozumowanie Rusiego. To wprawiło Anielewicza w gniew.

– W porządku! – splunął na brudny bruk.

– Pozwolimy tym śmierdzącym Niemcom żyć, skoro ich tak bardzo kochacie.

– Kochać ich? Musiałeś oszaleć. Ja po prostu mam nadzieję, że nie zapomniałem, co to jest sprawiedliwość.

Rusie zawahał się – ciągle jest dla mnie ważniejsze, co pomyślą o mnie ludzie, a nie jakieś tam jaszczury. Włączając w to Zolraaga. Jego własna gwałtowność zaskoczyła go tym bardziej, że z jaszczurzym gubernatorem był na dobrej stopie. Anielewicz też go zaskoczył.

– Wreszcie jesteśmy jednej myśli, rebe Mosze. W tej sprawie możemy znaleźć wspólną płaszczyznę działania również z generałem Borem-Komorowskim.

– Naprawdę?

Bór-Komorowski był dobrym polskim patriotą i to pewnego dnia może okazać się pożyteczne.

Rozdział IX

Moskwa! Ubiegłej zimy oddziały niemieckie widziały już z przedmieść rosyjskiej stolicy kremłowskie kopuły. Nie udało im się podejść bliżej. Zostały odparte w zaciętych walkach. Teraz Heinrich Jager spacerował sobie swobodnie po ulicach, które wtedy okazały się nieosiągalne dla Wehrmachtu. Obok niego szedł Georg Schultz. Rozglądał się na wszystkie strony, jak zawsze, kiedy udawali się na Kreml.

– Ciągle trudno mi uwierzyć, że Moskwa pozostała w zasadzie nienaruszona – powiedział Schultz.

– Myśmy ją bombardowali, bombardowały ją jaszczury, a ona ciągle jest cała.

– To duże miasto – odparł Jager. Może otrzymać spore ciężki i nie będzie tego widać. Trudno jest niszczyć duże miasta, chyba że... – głos mu zadrżał.

Oglądał zdjęcia z Berlina. Żałował, że je widział. Razem z Schultzem nosili źle dopasowane, niemodne cywilne garnitury z taniego materiału. Wstydziłby się włożyć coś takiego w Niemczech. Tutaj pomagało mu to dopasować się do otoczenia. Był z tego zadowolony. Nie byłby bezpieczny w mundurze czołgisty. Na Ukrainie oddziały pancerne bywały przyjmowane jak wyzwoliciele. W Moskwie, Niemcy pozostawali wrogami nawet po przybyciu jaszczurów.

– Czy mógłby pan przeczytać, co tam jest napisane? – zapytał Schultz, wskazując na plakat nalepiony na ceglany murze. Rosyjski Jagera poprawił się znacznie, ale nadal daleki był od doskonałości. Litera po literze odcyfrowywał cyrylicę:

– Smert' znaczy „śmierć” – powiedział.

– Nie wiem, co oznacza drugie słowo. To coś o nas.

– Coś złego – domyślił się Schultz.

Plakat ukazywał martwą dziewczynkę z warkoczykami, obok niej leżała lalka. Na podłodze widniał krwawy ślad żołnierskiego buta ze swastyką na miejscu obcasa. Przed przybyciem do Moskwy Jager był całkowicie pewny, że Wehrmacht pokonałby Armię Czerwoną jeszcze w tym roku, gdyby nie wmieszały się jaszczury. Teraz miał wątpliwości, chociaż nie wyrażał ich głośno. Rzecz była nie tylko w tym, że Rosja jest znacznie większa od Niemiec; pamiętał o tym przez cały czas. Ale pomimo uporczywego radzieckiego oporu nie wierzył, że naród rosyjski równie mocno popiera Stalina jak Niemcy Hitlera. Teraz zmienił zdanie i ta myśl nie dawała mu spokoju. Przechodzili przez plac Czerwony. Niemcy planowali, że odbędą tu paradę zwycięstwa, tak żeby pokrywała się z rocznicą rewolucji bolszewickiej. Nic z tego. Rosyjscy wartownicy ciągle paradowali przed murem Kremla. Jager i Schultz podeszli do bramy. Jager skinął wartownikom. Co trzeci dzień widywał tu tę samą grupę. Żaden z Rosjan nie odpowiedział na jego pozdrowienie. Nigdy tego nie robili. Ich szef, który nosił trzy sierżanckie czerwone trójkąty na kołnierzu, wyciągnął rękę.

– Papiery – powiedział po rosyjsku.

Jak zwykle dokładnie przejrzał dokumenty, które podali mu Niemcy, porównał fotografie z twarzami. Ten żołnierz nie przepuściłby go nawet, gdyby go rozpoznał. Rosjanie nie mieli w zwyczaju zrywania z rutyną. Ale dzisiaj wszystko odbyło się bez przeszkód. Kiedy sierżant odsunął się, żeby ich przepuścić, do punktu kontrolnego szybko podeszedł jeszcze jeden człowiek. Jager odwrócił się, żeby zobaczyć, komu się tak spieszy. Otworzył szeroko usta.

– Niech mnie diabli – powiedział Schultz.

Inaczej niż czołgiści, nowy przybysz nosił mundur niemiecki – i to mundur SS, i nosił go z szykiem. Jego energiczny krok zdradzał, że ktokolwiek będzie mu robił jakieś wstręty, źle skończy. Był wysoki, barczysty i byłby przystojny, gdyby nie blizna przecinająca jego lewy policzek. Zamiast

zjeżyć się na jego widok – czego spodziewał się Jager – rosyjscy wartownicy zaczęli się uśmiechać i trącać łokciami.

– Papiery? – zapytał sierżant. Esesman wyprostował się.

– Wypchaj się swoimi papierami! – powiedział głębokim, huczącym głosem.

Jego niemiecka naznaczone była austriackim akcentem. Wartownicy nie posiadali się ze szczęścia. Sierżant wyprężył się w postawie zasadniczej, jakby to był sam marszałek Żuków i pokazał wielkiemu zawadiace, żeby wszedł.

– Dlaczego sami tak nigdy nie spróbowaliśmy? – powiedział z zachwytem Schultz.

– Brakło mi jaj – przyznał Jager.

Esesman odwrócił się w ich stronę. Mimo swego wielkiego ciała poruszał się lekko.

– A więc jesteście Niemcami – powiedział.

– Domyśliłbym się, gdyby nie te śmieciarskie przebrania. Upewniłem się, jak otworzyliście usta. A przy okazji, kim wy u diabła jesteście?

– Major Heinrich Jager, Szesnasta Pancerna – odparł energicznie Jager.

– A to mój działonowy, sierżant Georg Schultz. A teraz, Herr Sturmbannfuhrer, czy mógłbym panu zadać to samo pytanie?

Bez względu na to, ile ten facet miał tupetu, Jager był starszy stopniem. Zachowanie esesmana było niemal równie sztywne – nieomal parodystyczne – jak sowieckiego sierżanta. Stuknął obcasami i wydeklamował falsetem:

– SS-Sturmbannfuhrer Otto Skorzeny melduje się na rozkaz, panie majorze!

Jager parsknął, blizna na lewym policzku Skorzenego unieruchamiała częściowo lewy kąt ust i sprawiała, że jego uśmiech był cokolwiek krzywy.

– Co pan tu robi. I to, do tego, w tym mundurze? – zapytał go Jager. Ma pan szczęście, że Iwani nie zdjęły panu skalpu.

– Nonsens – odparł Skorzeny. Jeśli ten człowiek kiedykolwiek miał wątpliwości, to nie objawiał ich publicznie.

– Rosjanie potrafią być panami albo niewolnikami. Jeśli przekona się ich, że jest się panem, to co im pozostaje?

– Jeśli – mruknął Georg Schultz zbyt cicho, żeby to dotarło do uszu esesmana

– Ciągle pan nie powiedział, co pan tu robi – nalegał Jager.

– Podlegam rozkazom z... Skorzeny zawahał się.

Jager domyślił się, że chciał powiedzieć „z Berlina”. Esesman dokończył zdania – ze swojego dowództwa. Czy pan może powiedzieć to samo o sobie?

Popatrzył ze wstrętem na rosyjski garnitur Jagera. Schultz poruszył się ze złością. Jager zastanawiał się, czy ten arogancki Sturmbannfuhrer zabłocił sobie kiedykolwiek w akcji lśniące oficerki. Ale na to pytanie znalazł odpowiedź: między pierwszym a drugim guzikiem munduru Skorzeny nosił odznakę za rany w formie wstążki. W porządku, miał więc jakieś rozeznanie w tym, czym na prawdę jest wojna. A kontr-pytanie sprawiło, że Jager zastanowił się nad tym, co powiedzą jego przełożeni na to, że współpracuje z Armią Czerwoną. W skrócie opowiedział jak przybył do Moskwy. Może Skorzeny brał udział w jakichś bojach, ale czy może o sobie powiedzieć, że rozbił czołg jaszczurów? Niewielu ta sztuka się udała, a jeszcze mniej to przeżyło. Kiedy skończył, esesman skinął głową. Teraz trochę mniej się puszył.

– Można zatem powiedzieć, że obaj jesteśmy w Moskwie z tego samego powodu, majorze, z oficjalnym przyzwoleniem albo bez. Mamy wspólny interes w tym, żeby pokazać Iwanom, jak stać się groźniejszymi przeciwnikami jaszczurów.

– Aha – powiedział Jager.

Sowieci nie traktowali już Niemców złapanych na rosyjskiej ziemi jak jeńców wojennych, albo jeszcze gorzej, to co pozostało z rządu III Rzeszy miało najlepiej jak potrafiło podtrzymać zdolność Rosjan do stawiania oporu. Dopiero potem będą się martwić, że to są bolszewicy, słowiańscy Untermenschen. Trzej Niemcy poszli razem na Kreml. Centrum Rosji Radzieckiej od wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej nadal było zakamuflowane. Błyszczące, pękate cebulaste kopuły – w oczach Jagera orientalna architektura obca – pokryte były szarą farbą okrętową. Mury upstrzono plamami czerni, pomarańczy, żółci i brązu. Miało to zwieść napastników atakujących z powietrza. Te sztuczki nie oszczędziły jednak Kremlowi zniszczeń. Flegmatyczne, tęgie kobiety w chustach i brudnych ubraniach zbierały cegły i kawałki drewna leżące wokół leja po ostatnim bombardowaniu. Słodko-cuchnący odór poboju unosił się nad tym miejscem. Ten zapach zawsze sprawiał, że Jagerowi mocniej biło serce. Przypominał sobie strach bitewny. Skorzeny jęknął i przyłożył sobie rękę do brzucha. Jager pomyślał, że esesman reaguje podobnie jak on, ale spostrzegł, że twarz Sturbannfuhrera wykrzywia prawdziwy ból.

– Co się stało? – zapytał.

– Mój pierdolony pęcherzyk żółciowy – odparł esesman.

– Unieszkodliwił mnie na jakiś czas w tym roku. Ale lekarze powiedzieli, że to mnie nie zabije, a wylegiwanie się na plecach jest cholernie nudne, więc jestem tutaj.

– Był pan już wcześniej na froncie wschodnim? – zapytał Georg Schultz.

– Tak, z dywizją Dos Reich – powiedział Skorzeny.

Schultz pokiwał głową i nic już nie mówił. Jager wiedział, co sierżant myśli. Większość ludzi, którzy widzieli boje na froncie wschodnim padłaby na kolana i dziękowała Bogu za chorobę, która wysłała ich do Niemiec. Skorzeny wołał zostać i walczyć. Nie wyglądało na to, że blefował. Poważanie Jagera dla niego nieco wzrosło. Mimo jaszczurzych nalotów Kreml ciągle kipiał życiem. Od czasu do czasu, Jager widział przez otwory w murach żołnierzy i urzędników biegających we wszystkie strony. To tak, jakby patrzył na przekrój mrowiska. Nie zdziwiło go, że Skorzeny kieruje się do tego samego wejścia co oni: to jasne, esesman też będzie się widział z ludźmi z Komisariatu Obrony. Wejście do budynku, podobnie jak brama w murze, było strzeżone. Lejtnant, który tu dowodził, bez słowa wyciągnął rękę. Jager i Schultz nie tłumacząc się podali mu dokumenty. Po oddaniu im dokumentów lejtnant zwrócił się ku Skorzenemu. Rękę nadal miał wyciągniętą. Diabelski uśmiezek zaigrał na ustach olbrzyma. Schwycił rękę Rosjanina i energicznie nią potrząsnął. Wartownicy gapili się z niedowierzaniem. Lejtnant odpowiedział wymuszonym uśmiechem. Kilku jego ludzi podniosło pistolety maszynowe. Kiedy zobaczyli, że dowódca się uśmiecha, opuścili lufy.

– Jak ma takie jaja, to mu je pewnego dnia odstrzelają, jeśli się tak dalej będzie zabawiał – mruknął Schultz. Może tak, może nie – odparł Jager.

Znał kilku ludzi, którzy przepychali się przez życie łokciami atakując świat z taką agresją, że wszelkie przeszkody ustępowały przed nimi. Skorzeny był jednym z tego gatunku. A na większą skalę tacy byli Hitler i... Stalin. Ogromny budynek Kremla pochłonął Jagera i Schultza. Skorzeny podążał za nimi. Tuż za wejściem stało dwóch rosyjskich pułkowników-lejtnantów: żaden Niemiec nie miał prawa włóczyć się bez eskorty po największej świętości Armii Czerwonej. Jeden z sowieckich oficerów nosił na kołnierzu czarne wypustki czołgisty.

– Dzień dobry, majorze Jager, sierżancie Schultz – powiedział doskonałą niemczyzną.

– Witam, pułkowniku-lejtnancie Kraminow – rzekł Jager kłaniając się uprzejmie.

Wiktora Kraminowa przydzielono do nich kiedy tylko przybyli do Moskwy. Rok temu mogli do siebie strzelać, bo Kraminow, zanim przeniesiono go do sztabu w Moskwie, służył w armii

południowej dowodzonej przez marszałka Budionego. Miał mądre oczy starca osadzone w niemal dziecięco niewinnej twarzy. Wiedział więcej o czołgach niż Jager mógł się spodziewać po Rosjaninie. Drugi pułkownik-lejtnant, facet, którego Jager jeszcze tu nie widział nosił na kołnierzu zielone wypustki. Georg Schultz zmarszczył czoło.

– Co oznacza zieleń? – zapytał szeptem.

Jager pomyślał przez chwilę. Rosyjska piechota nosiła wypustki koloru kasztanowego; czołgi, artyleria i korpus inżynierski – czarne; kawaleria ciemnoniebieskie; lotnictwo błękitne. Jakaż to radziecka służba nosiła zieleń jako swoją Waffenfarbe? Jager zeszywniał.

– To enkawudzista – szepnął w odpowiedzi.

Schultz drgnął. Jager rozumiał go. Żaden rosyjski żołnierz nie chciałby wpaść w ręce gestapo, a niemiecki żołnierz stawał się nerwowy na widok oficera Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych. Gdyby rok temu spotkał enkawudzistę zastrzeliłby go natychmiast; Niemcy dostali rozkazy, żeby nie brać żywcem członków tajnej policji i komisarzy politycznych; mieli nie zwracać uwagi na prawa wojenne. Pułkownik-lejtnant NKWD obrzucił wzrokiem dwóch Niemców w cywilnych ubraniach i przestał się nimi interesować. Czekał na Otto Skorzenego

– Witam serdecznie Herr Sturmbannfuhrer – powiedział.

Mówił po niemiecku nawet lepiej niż Kraminow. Precyzyjną wymową przypominał Jagerowi jego nauczycieli z gimnazjum. Cześć, Borys, ty stary, pomarszczony skurwiele – zahuczał Skorzeny. Jager czekał, aż niebiosy zawałę się im na głowy. Enkawudzista, który rzeczywiście był starym, pomarszczonym skurwielem tylko lekko skłonił głowę. Jager domyślił się, że współpracuje ze Skorzenym już od jakiegoś czasu i postanowił tolerować takie ekstrawagancje. Borys-enkawudzista zwrócił się do pułkownika-lejtnanta Kraminowa:

– Może dzisiaj popracujemy razem. Kiedy sobie plotkowaliśmy, zanim panowie przybyli, doszliśmy do wniosku, że razem możemy bardziej przysłużyć się operacji, z której skorzystają oba nasze narody.

– Jest tak, jak mówi pułkownik-lejtnant Lidow – stwierdził Kraminow.

– Nasza współpraca przysłuży się zarówno Związkowi Radzieckiemu jak i Rzeszy w walce z jaszczurami.

– Ma pan na myśli, że potrzebna wam jest niemiecka pomoc, bo sami sobie z czymś nie dajecie rady – powiedział Skorzeny.

– Po co jesteśmy wam potrzebni w planowaniu operacji, która ma się odbyć na radzieckiej ziemi?

Spojrzenie nagle mu stwardniało.

– Czekajcie! To są tereny, które zdobyliśmy na was w ubiegłym roku, prawda?

– Możliwe – odparł Lidow.

Wymijająca odpowiedź przekonała Jagera, że Skorzeny ma rację. Zanotował sobie w pamięci: ten esesman może strugać waźniaka, ale głupcem nie jest. Pułkownik-lejtnant Kraminow musiał także stwierdzić, że udawanie nie zda się na nic. Westchnął z żalem.

– Chodźcie.

Niemcy podążyli za dwoma rosyjskimi oficerami. Szli długimi, wysoko sklepionymi korytarzami Kremla. Inni rosyjscy żołnierze przerywali swoje zajęcia, żeby popatrzeć na mundur SS noszony przez Skorzenego, ale nikt nie powiedział słowa: zdawali się akceptować fakt, że świat stał się dziwny w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Weszli do jakiegoś gabinetu. To nie był pokój, w którym Jager i Schultz wcześniej konferowali z Kraminowem. Był jednak, podobnie, jak biuro Kraminowa, zaskakująco duży i jasny. Wielkie okno wychodziło na budynki Kremla. Wcześniej Jager spodziewał

się, że w tym budynku zastanie przejmujący mrok. Było zupełnie inaczej. Widział teraz, jak niemądrze się pomylił. Nawet komuniści potrzebowali światła do pracy. Stąd te wielkie okna. Pułkownik-lejtnant Lidow wskazał na samowar.

– Herbaty, towarzyszc – zapytał.

Jager zmarszczył brew; Kraminow nie zwracał się do niego i do Schultza per „towarzysze”, jakby byli czerwonymi. Ale Kraminow był też czołgistą, wojownikiem, a nie enkawudzistą. W domu Jager pijał kawę z dużą ilością śmietanki. Ale od dawna już nie był w domu. Więc skinął głową. Lidow nalał herbaty dla wszystkich czterech. W domu Jager nie pijał herbaty w szklance. Ale robił to już wcześniej, kiedy pił z samowarów i kompletów do herbaty zdobytych w stepowych miastach i kołchozach zajętych przez Wehrmacht. Herbata Lidowa była jednak lepsza niż tamta. Enkawudzistą odstawił szklankę.

– Przejdźmy do rzeczy – powiedział.

Jager nachylił się i skupił uwagę. Georg Schultz siedział na swoim miejscu. Skorzeny rozsiadł się w krześle. Wyglądał na znudzonego. Jeśli rozpraszał tym Lidowa, to Rosjanin nie dał tego po sobie poznać.

– Do rzeczy – powtórzył.

– Jak zauważył Sturmbann-fuhrer, proponowane działania rozegrają się na terenach, które faszystowscy najeźdźcy zajęli zanim przybyli obcy agresorzy, powszechnie zwani jaszczurami.

Jager zastanawiał się, czy Lidow przez cały czas tak się wyraża. Skorzeny ziewnął.

– Przez faszystowskich najeźdźców rozumie pan nas, Niemców? – powiedział znudzonym tonem.

– Tak, was, waszych lokai i wasze psy gończe.

Zdaje się, że Lidow nie potrafił inaczej. Nie ustąpił ani na cal, chociaż Skorzeny mógł go łatwo złamać.

– Podsumujmy więc: razem z oddziałami dzielnych radzieckich partyzantów na diskutowanym terytorium pozostają resztki oddziałów niemieckich. Stąd bierze się celowość wspólnej, radziecko-niemieckiej operacji.

– O jakich terenach mówimy? – zapytał Jager.

– Och – powiedział Lidow.

– Proszę spojrzeć na tę mapę.

Wstał i wskazał na jedną z map przypiętych do ściany. Napisy były oczywiście w języku rosyjskim – cyrylicą, ale Jager i tak rozpoznał Ukrainę. Czerwone szpilki oznaczały pozycje radzieckie; niebieskie, resztki jednostek niemieckich, a żółte – siły jaszczurów. Nie podobało się Jagerowi to, co zobaczył. Mapa wyglądała, jak pokryta żółtą wysypką.

– Szczególnie zainteresowani jesteśmy obszarami na północ i zachód od Kijowa, w okolicach miasta Komarin. Tutaj, na początku walk z jaszczurami, udało się wam, Niemcom, zniszczyć ostrzałem z ciężkiej artylerii dwa wielkie statki naszego wspólnego wroga – mówił Lidow. Te słowa sprawiły, że Georg Schultz wyprostował się w krześle. Tak samo postąpił Jager; i dla niego była to nowina.

– No i co z tego? Bez wątplenia wspaniała sprawa, ale co to ma do rzeczy? – zapytał Skorzeny.

Wokół zniszczonych statków jaszczury dokonują prac znacznie poważniejszych niż zwyczajne odzyskiwanie materiału wojennego. To jest zupełnie inny rodzaj aktywności – kontynuował Lidow.

– Proszę zatem powiedzieć, jaki – domagał się Jager.

– Właśnie do tego zmierzam, majorze – odparł enkawudzista.

– Dysponujemy raportami świadków, którzy widzieli, że jaszczury zachowują się tak, jakby

znajdowały się na obszarze skażonym gazem bojowym, chociaż tam nie ma gazu. Noszą maski, a także ciężkie uniformy ochronne. Jak mniemam, rozumiecie jakie to jest ważne dla nas?

– Ja – odparł Jager nieobecny tonem.

Oprócz hełmów, a czasem kamizelek kuloodpornych, jaszczury nie nosiły odzieży. Jeśli uznały, że muszą się przed czymś chronić, to musiał to być bardzo szkodliwy środek. Przeszedł go dreszcz na wspomnienie gazu. Przypomniawszy sobie dni spędzone w okopach w czasie pierwszej wojny. Maski przeciwgazowa była torturą. Nosiło się ją tylko dlatego, żeby uniknąć rzeczy znacznie gorszej.

– Więc mówisz, że to nie gaz? – wtrącił się Skorzeny.

– Nie, z pewnością nie – odpowiedział Lidow.

– Nie było normalnych w takich przypadkach problemów wywoływanych przez wiatr i inne zjawiska atmosferyczne, Jaszczury, jak się zdaje, zajęły się zbieraniem odłamków jakiegoś metalu rozsianych na wielkim obszarze podczas eksplozji statku. Ładują je na ciężarówki. Są to bardzo ciężkie wozy, sądząc po śladach, które zostawiają na ziemi.

– Opancerzone? – zapytał Jager.

– Prawdopodobnie – odparł Lidow.

– Albo chronione ołowiem.

Jager zamyślił się nad tymi słowami. Ołów był dobry dla hydraulików, ale do osłony? Tylko raz widział, że ktoś używa ołowiu w charakterze tarczy. To było wtedy, kiedy był ranny. Facet, który mu robił prześwietlenie włożył na siebie ołowiany fartuch. Dokonał nagłego skojarzenia; tutaj, na Kremlu słyszał, że broń, za pomocą której zniszczono Berlin, dawała efekt uboczny związany z promieniami X. Nie był fizykiem, więc nie wiedział dokładnie, na czym to polegało.

– Czy te szczątki mają jakiś związek z bombami wielkiej mocy, których używają jaszczury? – zapytał. Skorzeny był zaskoczony. Lidow zmrużył jeszcze bardziej swoje wąskie, tatarskie oczy.

– Gdyby pan był jednym z naszych, majorze – powiedział niebezpiecznie łagodnym tonem – długo by pan nie przetrwał. Pan wyraża swoje myśli w zbyt otwarty sposób. Georg Schultz aż podskoczył.

– Uważaj na to, co mówisz, ty przeklęty bolszewiku!

Jager położył rękę na ramieniu działonowego i popchnął go z powrotem na krzesło.

– Pamiętajcie, gdzie jesteśmy, sierżancie – powiedział oschłym tonem.

– To słuszna uwaga, sierżancie Schultz – rzekł enkawudzista.

– Pańska lojalność jest godna podziwu, ale pańskie zachowanie jest niemądre.

Zwrócił się znowu do Jagera.

– I pan, majorze, powinien być rozsądniejszy, dla swojego dobra.

– Niekoniecznie – Otto Skorzeny wystąpił w obronie Jagera.

– To, że tu jesteśmy pułkownik-lejtnancie Lidow, fakt, że pan powiedział tyle na tak drażliwy temat świadczy o tym, że nasza pomoc jest wam nieodzowna. Nie otrzymacie jej, jeśli majorowi Jagerowi stałaby się jakaś krzywda. Potrzebujecie nas, nieprawda?

W innych okolicznościach można by powiedzieć, że uśmiechnął się słodko. Teraz była to forma kpiny. Lidow spojrzał na niego groźnie. Pułkownik-lejtnant Kraminow, który do tej pory pozwalał mówić koledze, odezwał się:

– Ma pan, niestety, rację Herr Sturmbannführer. Na tym terenie są tylko rosyjscy partyzanci. Nie ma tam regularnych sił Armii Czerwonej, którą wy, Niemcy, wyparliście ubiegłej jesieni. Partyzanci są dzielni, ale brakuje im ciężkiej broni, żeby zaatakować konwoje jaszczurów. Skądinąd, jednostki Wehrmachtu na tym obszarze też są mocno przerzedzone...

– W porównaniu z siłami jaszczurów liczą się niewiele bardziej niż siły nieregularne –

przerwał mu Lidow.

– Ale to prawda, że mają więcej broni niż nasi sławni i bohaterscy partyzanci.

Widać było, że to wyznanie sprawia mu przykrość.

– Dlatego proponujemy wspólne działania – powiedział Kraminow.

– Wy trzej będziecie służyć nam w charakterze łączników z oddziałami niemieckimi stacjonującymi na północ od Kijowa. W przypadku, gdyby udało się nam przechwycić konwój, oba nasze rządy otrzymają równy udział w zdobyczy. Zgoda?

– Skąd mamy wiedzieć, że nie zostawicie wszystkiego dla siebie? – zapytał Schultz.

– To wy, faszystowscy agresorzy, pogwałciliście brutalnie pakt o nieagresji, który Stalin tak wielkodusznie zawarł z Hitlerem – stwierdził Lidow.

– Napadlibyście na nas, gdybyśmy tego nie zrobili jako pierwsi – zareagował ze złością Schultz.

– Towarzysze – powiedział Kraminow po niemiecku, co nadało temu słowu łagodniejszej wymowy od twardego, rosyjskiego „towariszcz” używanego przez Lidowa.

– Proszę, towarzysze. Jeżeli mamy być towarzyszami, musimy współpracować; z rzucania się sobie do gardeł, skorzystają tylko jaszczury.

– On ma rację, Georg – przyznał Jager.

– Jak zaczniemy się kłócić, to niczego nie osiągniemy.

Nie zapomniał o swojej niechęci i pogardzie dla wszystkiego, co widział w Związku Radzieckim, ale nie mógł zaprzeczyć, że Rosjanie walczyli zaciekle, ani temu, że byli mistrzami wojny partyzanckiej.

– Dajmy na razie spokój ideologii.

– Czy możecie mnie połączyć telegraficznie z Niemcami? – zapytał Otto Skorzeny.

– Muszę uzyskać pozwolenie, zanim przystąpię do tego planu. O ile ostatnie działania jaszczurów nie przecięły linii, to proszę bardzo – odparł Lidow.

– Mogę też panu udostępnić częstotliwość radiową uzgodnioną z waszym rządem. Musi pan jednak uważać na to, co mówi, bo jaszczury prawdopodobnie przechwycą informację.

– A więc, do telegrafu – rzekł Skorzeny.

– Jeśli linia jest przerwana, to pozostaje radio. Misja wydaje mi się warta ryzyka. Inne problemy mogą poczekać.

Popatrzył na enkawudzistę jakby przez celownik działa czołgowego. Lidow odpowiedział mu groźnym spojrzeniem. Bez słów obaj stwierdzili, że inne problemy nie znikną, choć mogą poczekać. Liu Hań siedziała naga na błyszczącej macie w swoim pokoju. Znajdowała się w wielkim samolocie, który nigdy nie lądował na ziemi. Skurczyła się jak tylko mogła. Podciągnęła nogi, rękami objęła łydki, głowę przycisnęła do kolan. Gdy zamykała oczy wyobrażała sobie, że znika cały wszechświat wokół niej. W jej zasobie słów nie było pojęcia „zwierzę laboratoryjne”, ale tym się właśnie teraz stała. Małe łuskokóre diabły, które ją tu trzymały, chciały dowiedzieć się pewnych spraw o funkcjonowaniu ludzkiego ciała. Używali jej, żeby zdobyć tę wiedzę. Zupełnie nie obchodziło ich, co ona o tym myśli. Drzwi do pomieszczenia otworzyły się. Podniosła wzrok. Weszły dwa jaszczury. Między nimi stał mężczyzna. To nawet nie był przyzwoity Chińczyk tylko zagraniczny diabeł. Też był nagi.

– Jeszcze jeden do ciebie – powiedział pokryty łuską diabeł swoją syczącą chińszczyzną.

Opuściła głowę. Nic nie mówiła. Jeszcze jeden, pomyślała. Kiedy wreszcie przekonają się, że pasują do niej członki wszystkich mężczyzn, których tutaj sprowadzają? To był chyba piąty? Może szósty? Nie pamiętała. Po pewnym czasie przestanie to prawdopodobnie mieć znaczenie. Czy można być jeszcze bardziej upodloną? Starła się przywołać poczucie siły, odwagę bycia sobą, które

przeżyła, gdy Yi Min był słaby i przestraszony. Jej wola choć przez chwilę wtedy się liczyła. Wcześniej trzymały ją w ryzach obyczaje jej wioski i jej ludu, potem przerażająca potęga jaszczurów. Ale przez ten moment była prawie wolna.

– Wy dwa pokazać, jak to robić, wy jeść. Jak nie, nie ma jedzenie – powiedział diabeł.

Liu Hań wiedziała, że mówił serio. Po pierwszych kilku stosunkach z różnymi mężczyznami chciała się zagłodzić na śmierć, ale ciało odmówiło posłuszeństwa. Brzuch zwyciężył nad duchem. W końcu, robiła, co jej kazano, żeby dostawać jedzenie. Drugi jaszczur przemówił do cudzoziemskiego diabła w języku, który nie był ani chińskim, ani językiem diabłów – Liu Hań starała się go nauczyć, kiedy tylko miała okazję. Potem łuskoskóre diabły wyszły z pomieszczenia. Prawdopodobnie robiły zdjęcia, ale to nie było to samo, jakby przebywały w pokoju. W dalszym ciągu sprawiało to jej różnicę. Z niechęcią podniosła wzrok na cudzoziemskiego diabła. Był włochaty i nosił gęstą, krótką brodę sięgającą mu niemal do oczu. Nos miał wygięty jak dziób sokoła, co było tak odmienne od nosów jej rodaków. Jego skóra nie różniła się zbytnio odcieniem od jej skóry. Przynajmniej nie rzucił się na nią, gdy tylko zamknęły się drzwi, jak to przytrafiło się jej z pewnym mężczyzną. Stał spokojnie, przyglądał się jej, pozwolił, żeby ona mu się przyjrzała. Z westchnieniem położyła się płasko na macie.

– Chodź już i zrób to szybko – powiedziała po chińsku. Jej zmęczony głos przepełniony był goryczą.

Nachylił się nad nią. Starła się nie odsunąć. Powiedział coś w swoim języku. Pokręciła głową. Powiedział coś, co brzmiało jak słowa innego języka, ale też nie rozumiała. Czekala aż wejdzie w nią, ale on tymczasem zaczął wydawać serię syknięć i chrząknięć. Po chwili zdała sobie sprawę, że to słowa w języku jaszczurów:

– Imię...ma – zakończył kasznięciem, które wskazywało, że to pytanie.

Oczy wypełniły się jej łzami. Żaden inny nawet o to nie zapytał.

– Imię ma Liu Hań – odpowiedziała siadając.

Musiała powtórzyć. Różne akcenty, w których wymawiali słowa z języka jaszczurów powodowały, że oboje mieli kłopoty ze zrozumieniem. Skoro już powiedziała mu jak się nazywa, stwierdziła, że i ona powinna potraktować go jak istotę ludzką.

– Ty... imię... ma?

Wskazał na włochatą klatkę piersiową: – Bobby Fiore – odwrócił się w stronę drzwi, za którymi zniknęły małe włochate diabły.

– Rasa... – wykonał serię gestów.

Większości nie rozumiała, ale wszystkie najwyraźniej dalekie były od komplementów. Albo nie wiedział, że jest fotografowany, albo było mu to obojętne. Niektóre z jego grymasów były tak znakomite, prawie jak u wędrownego aktora, że uśmiechnęła się po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– Rasa zła – powiedziała, kiedy już skończył i kaszlnęła dla wzmocnienia znaczenia tych słów.

Nie odpowiedział słowami tylko powtórzył kasznięcie. Bez względu na to, jak bardzo nienawidzili swoich prześladowców, pozostawali ich więźniami. Jeżeli chcieli jeść, musieli robić to, czego żądały łuskoskóre diabły. Liu Hań nadal nie rozumiała, dlaczego to dla nich takie ważne, żeby się przekonać, że mężczyzna i kobieta nie mają okresów rui i mogą współżyć ze sobą przez cały rok. Znowu się położyła. Może tym razem nie będzie tak źle. Jeśli chodzi o umiejętności, to Yi Min był trzy razy lepszym kochankiem niż zagraniczny diabeł o nie dającym się wymówić nazwisku. Ale choć ten mężczyzna był raczej niezgrabny, to potraktował ją tak, jakby to była ich noc poślubna, a nie tylko wymuszona przyjemność. Nawet sobie nie wyobrażała, że w zagranicznych diablach może drzeć tyle czułości; niewielu takich Chińczyków spotkała. Zapomniała co to czułość, odkąd jej

mąż zginął, gdy Japończycy zaatakowali wioskę. Robiła, co mogła, by odpowiedzieć na jego pieszczoty. Ale miała tego wszystkiego dosyć. Jej ciało nie chciało być posłuszne. Mimo wszystko, kiedy zamknął oczy i jęknął leżąc na niej, była tak wzruszona, że pogłaskała go po policzku. Brodę miał prawie tak szorstką jak szczotka ryżowa. Zastanawiała się, czy zarost go swędzi. Ześlizgnął się z niej i przysiadł na piętach. Uniosła nogę, żeby zasłonić intymne miejsce. Głupota, przecież dopiero co ją miał. Zaczął udawać, że pali papierosa. Robił to tak komicznie, że zaczęła się śmiać. Uniósł krzaczastą brew, zaciągnął się jeszcze raz wyimaginowanym dymem i udał, że gasi niedopałek na swojej klatce piersiowej. Był tak sugestywny, że aż krzyknęła po chińsku:

– Nie poparz się! – to sprawiło, że znów się roześmiała. Szukała słów w języku jaszczurów, jedynym, który oboje rozumieli.

– Ty... nie zły.

– Ty Liu Hań... – wymówił jej imię tak dziwnie, że nie od razu zrozumiała.

– Ty... też nie zły.

Spojrzała w bok. Nie wiedziała, że płacze, póki pierwsze łzy nie zaczęły spływać jej po policzkach. Nie mogła przestać. Łkała, oplakując wszystkie doznane krzywdy, męża i wioskę, cały świat i gwałt, który jej zadano. Nawet nie wiedziała, że ma tyle łez. Po chwili poczuła rękę Bobbiego Fiore na ramieniu.

– Hej – powiedział – hej.

Nie wiedziała, co to znaczy w jego języku. Nie wiedziała, czy ma to w ogóle jakieś znaczenie. Może to tylko dźwięk. Ale wiedziała, że w jego głosie jest współczucie. Był jedyną istotą ludzką, która je okazała, odkąd zaczął się ten koszmar. Odwróciła się i przyłgnęła do niego. Teraz mogła się wypłakać. Prawie się nie ruszał. Pozwalał, żeby obejmowała go. Przesunął kilka razy rękę po jej włosach i znowu powiedział „hej”. Ledwie to zauważyła. Była skoncentrowana na swoim cierpieniu. Szloch zmienił się w westchnienia. Poczowała wtedy jego naprężony członek przyciśnięty do jej brzucha. Był gorący jak jej łzy. Nie była zaskoczona; zdziwiłoby ją raczej, gdyby nagi mężczyzna w objęciach nagiej kobiety nie doznał erekcji. Niezwykłe było, że on nie zwracał na to uwagi. Nie byłaby przecież w stanie powstrzymać go, gdyby postanowił wziąć ją jeszcze raz. Jego wstrzemięźliwość sprawiła, że znów zachciało się jej płakać. Zdała sobie sprawę do jakiego stanu doszła, skoro fakt, że jej nie gwałcą, stał się dla niej łaską wartą tego, by się rozpłakać. Zapytał ją o coś w swoim języku. Potrząsnęła głową. On wykonał ten sam ruch. Może był zły na siebie – zapomniał, że ona nie zna jego mowy. Ściągnął brwi i popatrzył nad jej ramieniem na metalową ścianę pomieszczenia.

– Ty, Liu Hań, teraz nie źle? – powiedział w mowie łuskoskórych diabłów.

– Nie tak źle, Bobby Fiore – Wymówiła jego nazwisko z równie złym akcentem, jak on jej.

– Okay – powiedział.

Zrozumiała to słowo. Tak mówili ludzie z miasta, których widziała na filmie. Mieszkańcy chwyтали w lot slang zagranicznych diabłów wraz z ich śmiesznymi strojami i maszynami. Trzymała go tak mocno w objęciach, że na jej skórze odcisnęły się włosy, które porastały jego klatkę piersiową. Erekcja mu ustąpiła, kiedy przestała go dotykać. Wyciągnęła rękę i objęła dłonią jego członek. Jaszczury zabrały jej wszystko. Mogła mu podziękować tylko swoim ciałem. Ciepło, które czuła w dłoni przynosiło jej w jakiś sposób ulgę. Jeśli tym razem będzie dobrze, jeśli zdoła zatracić się w jego ciele, to może na chwilę zapomni o metalowym pokoju, w którym trzymają ją diabły, żeby zaspokoić swoją zboczoną ciekawość. Jęknęła łagodnie opadając jeszcze raz na matę. Chciała, żeby było dobrze, miała taką nadzieję. Bobby Fiore przysunął się do niej. Położył wargi na jej wargach; jego ręka błędziła po jej ciele. Jego palce powędrowały między jej nogi trochę za wcześnie; nie

trafiły we właściwe miejsce. Zniecierpliwiona sięgnęła w dół i przesunęła je tam, gdzie powinny się znajdować. Zmarszczył się na chwilę. Lękała się czy go nie rozgniewała. Skąd miała wiedzieć, co może rozgniewać cudzoziemskiego diabła? W każdym razie, nie cofnął ręki. Teraz było lepiej. Zamknęła oczy, zacisnęła pośladki, jej ciało wygięło się w łuk. Jakby z oddali słyszała jego gardłowy śmiech. Była na skraju Chmur i Deszczu, kiedy zabrał rękę. Otworzyła oczy. Teraz ona powinna się zmarszczyć. Ale jego ciężar przycisnął ją do gładkiej powierzchni maty. Drażnił językiem jej lewą sutkę i jednocześnie wszedł w nią. Uniosła nogi, oplótła go nimi. Wewnętrznymi mięśniami ścisnęła jego członka najmocniej jak mogła.

– Ach – powiedział z zaskoczenia albo z rozkoszy.

Dalej już nie słuchała. Zatopiła się w rytmie swego ciała. Gdy skończyli, oboje byli spoceni i ciężko oddychali. Gdy już wszystko było za nią, Liu Hań pomyślała, że jedyną rzeczą złą w uprawianiu miłości jest to, że naprawdę w niczym nie pomaga. Wszystkie problemy, o których na chwilę zapomniała, znów były obecne. Nic nie zmieniło się na lepsze. Unikanie problemów nie zastąpi stawienia im czoła. Wiedziała o tym, ale co mogła zrobić? Zastanawiała się, czy cudzoziemskie diabły też myślą o takich rzeczach. Spojrzała na Bobiego Fiore. Jego owłosiona twarz spoważniała. Patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem. W jego głowie musiały się kłębić myśli podobne do jej własnych. Kiedy jednak spostrzegł, że na niego patrzy, uśmiechnął się i usiadł płynnym ruchem. Na matach nie był najlepszy, ale potrafił robić użytek ze swego świetnie umięśnionego ciała. Miał też błazeńskie poczucie humoru – tym razem udawał, że pali dwa papierosy naraz, trzymając po jednym w każdej ręce. Liu Hań roześmiała się. Potem przeturlała się do cudzoziemskiego diabła i mocno, z wdzięcznością go objęła. Odsunął od siebie własne troski i obawy, po to żeby poczuła się lepiej. To się jej nie zdarzyło odkąd przybyły łuskoskóre diabły, a i wcześniej też zdarzało się rzadko. Drzwi prowadzące na korytarz rozsunęły się, jakby sama myśl o diablach wystarczyła, żeby się pojawiły. Weszły diabły, które przyprowadziły Bobiego Fiore. Teraz miały go zabrać. Tak to właśnie się odbywało: zmuszali mężczyznę do odbycia z nią stosunku, potem go zabierali i nie widziała go już nigdy więcej. Jak do tej pory przynosiło to jej ulgę. Teraz było inaczej, ale diablów nie obchodziło jej samopoczucie. A przynajmniej tak jej się zdawało, dopóki diabeł, który mówił trochę po chińsku nie odezwał się:

– Wy parzyć się dwa razy. Dlaczego dwa razy? Nigdy dwa razy przedtem.

Brzmiało to absurdalnie podejrzliwie, jakby przyłapał ją na rozkoszowaniu się ciężką pracą. No cóż, w pewnym sensie tak było. Nauczyła się, że uczciwe odpowiedzi najlepiej służą w kontaktach z małymi diablami.

– Robiliśmy to dwa razy, ponieważ jego lubię bardziej niż innych. Tamtych chciałam się po prostu pozbyć. Ale on nie jest złym człowiekiem. Gdyby był Chińczykiem mógłby być bardzo dobrym mężem.

Drugi diabeł rozmawiał z Bobim Fiore. Rozmowa toczyła się w języku cudzoziemskiego diabła, więc Liu Hań nie była w stanie jej zrozumieć. W jej uchu brzmiała jak chrząkanie zwierzęcia. Zastanawiała się jak – o ile w ogóle – zagraniczne diabły są w stanie zrozumieć się nawzajem. Ale w porównaniu z sykami i kasznięciami, których używały łuskoskóre diabły, mowa cudzoziemskiego diabła brzmiała jak najpiękniejsza pieśń. Mały łuskoskóry diabeł, który z nią rozmawiał zwrócił się teraz do drugiego diabła. Wymienili swoje węzowe syknięcia. Liu Hań próbowała nadażyć ze zrozumieniem treści rozmowy, ale nie zdołała; mówili za szybko. Była zmartwiona. Kiedy ostatnim razem poczuła się nieomal bezpieczna, łuskoskóre diabły uczyniły z niej nierządnicę. Jaką nową okropność obmyślają teraz. Ten, który mówił językiem Bobiego Fiore zwrócił się teraz do niego. Bobby kiwnął głową w odpowiedzi. Prawdopodobnie wyraził na coś zgodę. Ale na co? Teraz

jaszczur mówiący trochę po chińsku spojrział na Liu Hań obu oczami.

– Chcieć, ten człowiek tu wrócić?

Pytanie zaskoczyło ją. I znów dała uczciwą odpowiedź.

– Tak naprawdę, to chcę wrócić do obozu, z którego mnie zabraliście. Jeśli nie, to chcę, żebyście mnie zostawili w spokoju i nie kazali pieprzyć się za jedzenie.

– Pierwszy wybór nie dla ciebie – odparł łuskokóry diabeł.

– Ten drugi wybór też nie dla ciebie.

– Jaki mam więc wybór? – Liu Hań zapytała słabym głosem.

Wtedy zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy łuskokóre diabły dają jej jakiś wybór. Jak do tej pory robili z nią co tylko chcieli. Może powinna zacząć mieć nadzieję?

– Ten mężczyzna wrócić, jeden wybór – odparł diabeł.

– Drugi wybór, przyjść inny mężczyzna. Ty teraz wybierać.

Liu Hań chciało się wyć. Nie uwolnią jej; dali jej tylko wybór pomiędzy dwoma rodzajami upokorzenia. Ale zawsze, był to jakiś wybór. Bobby Fiore nie uderzył jej; miał ją, ale jej nie przymuszał; pozwolił się jej przytulić, kiedy płakała; sprawił nawet, że śmiała się z jego sztuczek z papierosami. I nienawidził małych łuskokórych diabłów prawie tak bardzo jak ona.

– Wolałabym, żeby ten mężczyzna wrócił – powiedziała szybko, żeby łuskokóry diabeł nie zdążył zmienić zdania. Odwrócił się do drugiego diabła. Znów wdali się w rozmowę. Ten, który mówił po chińsku powiedział:

– Wielki Brzydał samiec mówić, że też chcieć przyjść znowu. My pozwolić, zobaczyć co się stanie. Może my dużo się dowiedzieć.

Nie obchodziło ją, czego małe diabły się dowiedzą, może tylko tyle, że chciałyby, żeby niczego się nie dowiedziały. Ale uśmiechnęła się w podzięcie do Bobbiego Fiore. Gdyby nie chciał do niej wrócić, to jej zdanie prawdopodobnie nie liczyłoby się. Odpowiedział jej uśmiechem. Liu Hań... nie być zła – powiedział i kaszlnął dla podkreślenia znaczenia wypowiedzi. Oba łuskokóre diabły zaczęły bulgotać jak kociołki z wrzącą wodą. Ten, który mówił po chińsku zapytał:

– Dlaczego mówić nasz język?

– Ja nie znam jego języka, a on mojego – odparła Liu Hań ze wzruszeniem ramion.

Te łuskokóre diabły potrafiły różne rzeczy, których nawet sobie wcześniej nie wyobrażała, ale czasem były zupełnie głupie.

– Ach – powiedział diabeł.

– My znowu się dowiedzieć.

Razem z towarzyszem wyprowadzili Bobbiego Fiore z pokoju. Zanim zamknęły się za nim drzwi, znów udał, że pali papierosa. Liu Hań stała przez chwilę gapiąc się na zamknięte drzwi. Nagle stwierdziła, że cała jest mokra. W kabinie było urządzenie, z którego po naciśnięciu guzika przez kilka sekund tryskała woda. Stanęła nad nim i umyła się najlepiej, jak mogła. Tym razem, kiedy skończyła, nie odczuwała potrzeby, żeby myć się bez ustanku, jak to było kilka razy wcześniej. Raz wystarczyło. To był już postęp. Pilot-dowódca Teerts czuł się jak rzucona daleko piłka. Na rodzimej planecie dwaj samcy rzucają do siebie piłkę. Zaczynają od odległości ramienia i z każdym rzutem odchodzą o krok. Dobrzy zawodnicy potrafią podtrzymywać grę na odległość całego kwartału domów. Mistrzowie osiągają dwa razy taką odległość. Panowie statków floty inwazyjnej pobili w tej dyscyplinie wszystkich. Rzucali Teerts a i jego myśliwce wzdłuż i wszerz głównej masy kontynentalnej Tosev 3. Rozpoczął tę kampanię z nieba brytańskie samoloty bombardujące. Teraz atakował nipońskie pozycje na drugiej półkuli tego chłodnego, wilgotnego świata

– Tam są – odezwał się w słuchawkach głos dowódcy Gefrona.

– Mam ich na ekranie.

Teerts sprawdził obraz. Tak, to były krążowniki i inne wozy bojowe Rasy. Przed nimi rozciągała się Unia nipońskich okopów, broniąca – jak się to miasto nazywało?

– Harbin. Myśliwce miały za zadanie zmiękczenie obrony.

– Jest potwierdzenie, Gefronie – powiedział Teerts.

– Powtarzam, jest potwierdzenie. Pilocie Rolvar, czy też namierzyłeś cel?

– Tak jest, dowódco-pilocie – odparł regulaminowo Rolvar.

Potem, jego głos się zmienił:

– A teraz ich zmiżdżymy!

Teerts nie chciałby być w skórze Wielkich Brzydali tam na dole. Spokojna noc miała się za chwilę zmienić w coś straszliwego. W precyzyjnie zaprogramowanym momencie, rakiety wystrzeliły spod jego myśliwca, by wbić się w przyzmy ziemi, za którymi przyczaili się Nipończycy. Płomienie wylotowe rakiet przywiodły mu na myśl ogniste miecze. Ponieważ był dowódcą, jego ekrany pokazywały więcej niż ekrany Rolvara i Gefrona. Na jednym widział, że i oni wystrzelili zestawy rakiet. Potwierdziły to, w chwilę później, wybuchy na ziemi: było ich więcej, niż gdyby tylko on wystrzelił swoje rakiety.

– Zobaczmy, czy im się to spodobało! – krzyknął triumfalnie Gefron.

– Od dawna im się to należało, na cesarza!

Piloci przeszli specjalne przeszkolenie, toteż nie spuszczała oczu z przyrządów, gdy słyszeli święte imię cesarza. Teerts bez przerwy śledził wskazania instrumentów. Czuł to samo podniecenie, co Gefron; było to prawie tak, jakby znajdował się w obecności samicy. Wolałby także, żeby jego eskadra wcześniej zaatakowała Nipończyków. Ale myśliwców było tak niewiele, a tyle tosewickich pozycji należało zniszczyć. Harbin musiał poczekać na swoją kolej. Czekalby dłużej, gdyby panowie statków nie przyspieszyli decyzji. Jego samolot leciał nisko nad poszarpanymi okopami. Na ziemi zakwitwały małe płomyki, gdy Wielkie Brzydale, które przeżyły strzelały ku niemu na ślepo z karabinów. Nie tylko nipońska armia tak postępowała. Teerts bywał na odprawach. Przypuszczał, że takie ostrzeliwanie się sprawiało, iż żołnierze Wielkich Brzydali czuli się w niniejszym stopniu bezsilnymi ofiarami, którymi faktycznie byli. Prawdopodobieństwo, że tego rodzaju obrona może wyrządzić jakąś szkodę samolotom było znikome. Teerts nie uprawiał hazardu. Hazard był dobry dla samców, którzy nie wiedzieli, co robić z czasem. Jemu to nie groziło. Od samego początku brał udział w akcjach. Ale gdyby usiadł kiedyś z małymi plastikowymi kostkami w rękę, zrozumiałby zapewne jaka jest różnica między znikomym prawdopodobieństwem a brakiem prawdopodobieństwa. Lewy silnik wydał przerażający dźwięk i zamarł. Samolot nagle się przechylił. Na panelu kontrolnym zapaliły się girlandy lampek ostrzegawczych.

Natychmiast włączył radio:

– Dowódca-pilot Teerts przerywa wykonywanie zadania i próbuje wrócić do bazy. Pocisk albo coś innego musiało dostać się do turbiny.

– Oby duchy zmarłych cesarzy przywiodły cię bezpiecznie do domu – powiedzieli równocześnie Gefron i Rolvar.

– Dokończymy ataku na Tosewitów, dowódco – dodał Rolvar.

– Jestem tego pewien – odparł Teerts.

Rolvar był dobrym, godnym zaufania samcem. Gefron był taki sam, choć może nieco bardziej prymitywny. Nipończycy powinni żałować, że wykluło się dwóch takich samców. Teerts skręcił na zachód, do bazy, z której wystartował. Mógł lecieć na jednym silniku, ale tracił na szybkości i zdolności manewrowania. Naprawią to i jutro samolot będzie jak nowy... Prawy silnik wydał

okropny dźwięk i zamilkł. Na panelu z instrumentami świeciły się tylko lampki ostrzegawcze. To nie jest w porządku, pomyślał dowódca-pilot. Z trudem uzyskana wysokość zaczynała się zmniejszać. Samolot opadał jak kamień.

– Katapultuję się! Powtarzam, katapultuję się! – ryknął.

Pazurzystym kciukiem nacisnął na guzik. Nigdy nie sądził, że będzie to musiał kiedyś zrobić. Poczuł, jak w nasadę ogona wali go coś z całej siły, jakby zderzył się ze statkiem flagowym floty inwazyjnej. Oczy miał otwarte, ale widział tylko szarą mgłę. Ból szybko przywrócił mu świadomość. Jedną z trzech kości w lewym nadgarstku miał na pewno złamaną. Ale na razie to było najmniejsze zmartwienie. Przytroczony pasami do fotela szybował nad nipońskimi liniami jak największy cel w całym cesarstwie. Wielkie Brzydale strzelały do niego ze wszystkiego, co miały. Patrzył z pełną przerażenia fascynacją, jak w czaszy jego spadochronu pojawiają się dziury. Materiał, z którego wykonany był spadochron odporny był na prucie, ale trzy dziury obok siebie wystarczyłyby, żeby pokonać tę odporność. Kula uderzyła w opancerzony spód jego fotela. Syknął z przerażenia i próbował podciągnąć nogi. To nie jest w porządku, pomyślał znowu. Cały jego myśliwiec był opancerzony, nie tylko spód fotela. Kule nie mogły mu zrobić krzywdy, gdy siedział w kabinie, ale łopaty turbiny, chociaż bardzo mocne, nie były odporne na kule. Trzeba było kolosalnego pecha, żeby stracić w ten sposób oba silniki... Ale skoro miał samcze pecha, to pozostawała ci nadzieja, że Wielkie Brzydale nie złapią cię i nie zrobią ci jednej z tych strasznych rzeczy, które podobno robią jeńcom. Pozostawała ci nadzieja, że wylądujesz w pewnej odległości od ich pozycji, zdążysz wyplątać się z pasów, z jedną sprawną ręką będzie to trudna i powolna czynność, i uda ci się schować do czasu, kiedy nadleci helikopter ewakuacyjny. Ale jeśli masz takiego pecha, to co tu mówić o nadziei? Wykorzystując wiatr, Teerts starał się odlecieć w stronę pozycji Rasy. To mogłoby ułatwić przyjście mu z pomocą... gdyby nie to, że wylądował w samym środku nipońskiego okopu. Był pewien, że to już koniec. Wielkie Brzydale kłębiły się wokół niego, krzyczały do siebie i machały karabinami z nożami przymocowanymi do końca lufy. Czekał, aż go zastrzelą albo zadźgają. Trochę bólu, przekonywał się, i będzie po wszystkim. Jego duch połączy się z duchami zmarłych cesarzy, aby służyć im po śmierci tak, jak służył Rasie za życia. Jeden z Nipończyków przekrzyczał pozostałych. Po sposobie, w jaki ustępowali mu z drogi, poznał, że to oficer. Stał przed Teertsem z rękami wspartymi o biodra. Gapił się na niego tymi małymi, nieruchomymi oczami, które są tak charakterystyczne dla Wielkich Brzydali. Zamiast karabinu nosił miecz. Taki sam, jak na zdjęciu tosewickiego wojownika, które sonda przysłała na rodzimą planetę. Teerts zastanawiał się, dlaczego oficer nie użył jeszcze miecza. W jakim więc celu inni odsunęli się od jeńca, jeśli nie po to, żeby dać dowódcy pierwszeństwo ciosu? Ale oficer nie wyjął miecza z pochwy. Gestem nakazał Teertsowi uwolnić się z upręży, która trzymała go w fotelu. Teerts wykonał polecenie. Zrobił to niezbyt zręcznie, bo lewa ręka była bezwładna. Ledwie odszedł na kilka kroków od fotela, gdy Nipończyk wyciągnął miecz z pochwy. Oburącz ciął linki, którymi przymocowany był spadochron. Miecz musiał być wykonany z dobrego metalu, bo rozciął wytrzymały materiał. Czasza spadochronu uleciała z wiatrem. Oficer powiedział coś do swoich samców. Kilku z nich uniosło lufy karabinów i zaczęło strzelać w fotel. Huk mało nie ogłuszył Teertsą. Był przerażony po czubki pazurów. Kule zmiażdżyły na pewno nadajnik kierunkowy ukryty w tapicerce. Nipończyk obnażył małe płaskie zęby i wskazał mieczem na wschód. Wywarczał coś, co prawdopodobnie oznaczało „ruszaj się”. Teerts usłuchał. Oficer i kilku samców poszło za nim, uważając, żeby jeńiec nie uciekł. Teerts nie miał zamiaru uciekać. Skoro nie zabili go od razu, to spodziewał się, że potraktują go dobrze. Rasa miała znacznie więcej tosewickich jeńców niż Tosewici złapanych samców Rasy. Za złe traktowanie jeńca można było się zemścić nawiązką. Ponadto, Wielkie Brzydale, choć były barbarzyńcami, to tak często

prowadziły między sobą wojny, że wykształciły protokoły dotyczące obchodzenia się z wziętymi do niewoli przeciwnikami. Teerts nie mógł sobie przypomnieć, czy Nipończycy też podpisali te protokoły, ale uczyniła to większość tosewickich cesarstw. Nad głowami przemknęły z rykiem odrzutowce. Leciały niedaleko miejsca, gdzie wylądował fotel Teerts. To pewnie Gefron i Rolvar starali się uchronić go przed niewolą. Niestety, za późno. Nie tylko wylądował w samym środku pozycji Wielkich Brzydali, ale jeszcze ten oficer miał tyle rozumu, że zniszczył nadajnik kierunkowy i w pośpiechu zabrał jeńca z miejsca lądowania. Mimo wszystko, myślał, że nie będzie źle. Oficer zabrał go najpierw do punktu opatrunkowego. Nipoński lekarz, noszący soczewki korekcyjne zawieszane przed jego oczami na dziwnej konstrukcji z wygiętego drutu, zabandażował mu nadgarstek i zalał szczypiącym środkiem dezynfekcyjnym skaleczenia i zadrapania, których Teerts doznał kiedy się katapultował. Zanim lekarz skończył go opatrywać, Teerts poczuł się całkiem dobrze. Nipoński oficer znów pognął go w stronę tyłów. Nie było już słycać wycia odrzutowców. Pozostałym dwóm pilotom eskadry musiało widać zabraknąć naboju i paliwa, więc wrócili do bazy. Nad głowami przelatywały pociski artyleryjskie. Większość nadlatywała z zachodu i wybuchała na pozycjach tosewickich. Mimo wszystko, Wielkie Brzydale nie przestawały się ostrzeliwać. Zdawały się być zbyt uparte, żeby wiedzieć, kiedy należy się poddać. Teerts maszerował w stronę jutrzeńki, która świtała już na wschodzie. Wraz z przybywaniem światła wzrastała aktywność nipońskiej artylerii. Z braku noktowizorów Tosewici mogli celować tylko do tego, co widzieli na własne oczy. Każda ich salwa ściągała odpowiedź artylerii Rasy. Na tyłach japońskiej obrony, Teerts przejęły inne Wielkie Brzydale. Ze sposobu, w jaki oficer, który schwytał dowódcę-pilota zwracał się do tego, który teraz nim się zajął, można było wywnioskować, że ten ostatni jest znacznie ważniejszy. Obaj oficerowie ukłonili się sobie i młodszy wraz z towarzyszącymi mu samcami wrócił na linię walki Nowy nadzorca Teerts zaskoczył go zwracając się do niego w języku Rasy.

– Ty iść tędy – powiedział. Akcent miał bełkotliwy i wywarkiwał słowa, ale Teerts był w stanie go zrozumieć.

– Dokąd mnie zabierasz? – zapytał zadowolony, że nie będzie musiał porozumiewać się na migi. Nipoński oficer zakręcił się na pięcie i uderzył go. Teerts zachwiał się i mało nie upadł. Cios był sprytnie wycelowany.

– Nie mówić bez pozwolenia! – krzyknął Wielki Brzydał.

– Ty teraz jeńiec, nie pan. Ty teraz słuchać!

Posłuszeństwo wpajano w Teerts od dzieciństwa. Jego nadzorca mógł być dzikusiem, ale mówił jak ktoś, kto przywykł do rozkazywania. Dowódca-pilot niemal instynktownie dostosował się do tego układu.

– Czy mogę coś powiedzieć? – zapytał tak pokornie, jakby zwracał się do pana statku.

– Hai – odpowiedział Nipończyk.

Teerts nie rozumiał tego słowa. Jakby zdając sobie z tego sprawę, Tosewita porzucił własny żargon.

– Mówić, mówić.

– Dziękuję dostojny samcze.

Teerts nie wiedział, jaką rangę ma oficer. Na wszelki wypadek postanowił położyć duży nacisk na tytuły honorowe.

– Nie pytam, dokąd dokładnie mnie prowadzisz, dostojny samcze, ale czy macie miejsca, w których trzymacie jeńców należących do Rasy?

Nipończyk pokazał zęby. Wśród Wielkich Brzydali, jak było wiadome Teertsowi, oznaczało to przyjazne nastawienie, a nie śmiech. Ale ten oficer nie wyglądał ani trochę na przyjaźnie

nastawionego.

– Ty teraz jeniec. Nikogo nie obchodzić, co z tobą się stać – powiedział.

– Wybacz, dostojny samcze, ale nie rozumiem. Wy Tosewici – Teerts wystrzegął się, żeby nie powiedzieć Wielkie Brzydale – bierzecie jeńców we własnych wojnach i w większości przypadków dobrze ich traktujecie. Czy to sprawiedliwe traktować nas inaczej?

– Nie robić tego – odpowiedział nipoński oficer.

– Być jeniec to przeciwko bushido.

Słowo było nipońskie, więc oficer je wytłumaczył:

– Przeciwko zwyczajom walczącego samca. Prawdziwy walczący samiec umrzeć, a nie poddać się. Być jeniec, nie zasługiwać na życie. Być – jak wy mówić? – zabawką tego, kto schwytać.

– To nie jest..

Teerts powstrzymał się, żeby nie powiedzieć normalne.

– To nie jest sposób, w jaki postępuje większość Tosewitów.

– To głupcy, idioci. My Nipończycy, my – jak wy mówić? – lud cesarza. Nasz zwyczaj właściwy być. Ten sam ród rządzić nami dwa i pół tysiąca lat.

Wyprężył się, jakby ta śmieszna liczba była powodem do dumy. Teerts uznał, że nie byłoby zbyt mądre mówić Tosewicie, że ród cesarzy Rasy włada od pięćdziesięciu tysięcy lat, co czyni dwadzieścia pięć tysięcy obrotów Tosev 3. Pomyślał sobie, że jeśli oficer jest dumny z takiej błahostki, to prawda może go łatwo urazić.

– Co więc ze mną zrobicie? – zapytał.

– To, co chcesz – odparł oficer.

– Ty być nasz.

– Jeśli będziecie mnie źle traktowali, to Rasa pomści mnie na waszych ludziach – ostrzegł go Teerts.

Nipoński oficer wydał dziwny, szczekający odgłos. Po chwili Teerts zorientował się, że to był śmiech.

– Wy Rasa tak bardzo już zniszczyć Nippon, że co gorszego może być z jeńcami? Chcesz mnie nastraszyć? Ja ci pokażę. Ja nie bać się zrobić to...

Kopnął mocno Teerts. Dowódca-pilot syknął z bólu i zaskoczenia. Kiedy Wielki Brzydał kopnął go po raz drugi, zakręcił się i próbował walczyć – był mniejszy od Tosewity, ale miał zęby i pazury. Nie pomogły. Oficer nie sięgnął nawet po szablę, czy pistolet, który nosił u pasa. Potrafił posługiwać się rękami i nogami jak śmiertcionośną bronią. Teerts nie mógł mu nawet podrzeć munduru. Bicie i kopanie trwało przez dłuższy czas. Na koniec, nipoński oficer kopnął Teerts w zabandażowany nadgarstek. Teertsowi zakręciło się w głowie i zrobiło się szaro przed oczami, jak wtedy, gdy się katapultował. Jakby z oddali usłyszał wołanie: „Dosyć! Dosyć!”. Dopiero po chwili rozpoznał własny głos.

– Ty nadal głupio mówić? – zapytał Wielki Brzydał.

Stał na jednej nodze gotów kopnąć Teerts. Jeśli dowódca-pilot powie, że nie, Tosewita może przestać. Jeśli powie, że tak – skopie go na śmierć. Zrozumiał, że oficerowi jest właściwie wszystko jedno, co odpowie. Ta obojętność była nawet bardziej przerażająca niż samo bicie.

– Nie, nie będę już więcej głupio mówił, a przynajmniej będę się starać.

Teerts odetchnął. To małe zastrzeżenie zawierało w sobie cały opór, jaki miał w sobie.

– Ty wstać.

Teerts miał wrażenie, że nie będzie w stanie się podnieść. Ale gdyby mu się nie udało, to Wielki Brzydał będzie miał następny pretekst, żeby mu zrobić krzywdę. Pozbierał się i wstał. Starął

się zdrową ręką zetrzeć błoto ze skóry.

– Czego się z tego nauczył? – zapytał nipoński oficer.

W tych słowach była groźba. To nie było pytanie retoryczne. Lepiej na nie odpowiedzieć, żeby Tosewita był zadowolony.

– Nauczyłem się, że jestem twoim jeńcem, że jestem w twojej mocy, że możesz zrobić ze mną, co zechcesz – powiedział powoli. Wielki Brzydał podniósł i opuścił głowę.

– Ty zapamiętać, co?

– Tak.

Teerts nie wyobrażał sobie, że mógłby to zapomnieć. Nipończyk popchnął go lekko.

– Ty idź.

Ruch sprawiał ból, ale Teerts dał sobie jakoś z tym radę. Nie ośmieliłby się nie wykonać polecenia. Ten Wielki Brzydał naprawdę dał mu nauczkę. Było już jasno, kiedy przybyli do bazy transportowej. Oręż Rasy musiał tutaj działać i to nieraz: tu i tam stały wypalone i przewracane wraki ciężarówek. Ale baza nadal działała. Nipońscy żołnierze, śpiewając podczas pracy, wyładowywali worki z jakiegoś materiału z niewielu pozostałych pojazdów zmechanizowanych i z wielkiej ilości wozów ciągniętych przez zwierzęta. Oficer krzyknął na samców. Dwóch podbiegło do niego. Wymienili ukłony i zaczęli szybko rozmawiać. Oficer popchnął Teerts a w stronę wozu.

– Ty wsiadać na ten.

Teerts niezdarnie wspiął się na wóz. Nipoński oficer kazał mu gestem usiąść w kącie. Teerts posłuchał. Drewniane siedzenie i boki drażniły jego obolałą skórę. Oficer i żołnierz wsiedli za nim. Oficer wyjął pistolet. Żołnierz wycelował w Teerts a karabin. Dowódcy-pilotowi o mało nie opadła szczęka ze śmiechu. Ci tosewici musieli zwariować, jeśli sądzili, że w takim stanie byłby zdolny coś przedsięwziąć. Może i zwariowali, ale głupi nie byli. Oficer znów powiedział coś we własnym języku. Samce zgromadzone wokół wozu wykonały polecenie z gorliwością, która nie przyniosłaby wstydu Rasie. Schwycili ciężką, brudną plandekę i zasłonili nią pasażerów.

– Nikt cię teraz nie zobaczy – powiedział oficer i znów roześmiał się szczekliwie.

Teerts obawiał się, że Tosewita ma rację. Z powietrza, ten wóz wyglądał jak każdy inny. Nie było warto do niego strzelać, a już na pewno nie było warto go sprawdzać. W promieniach podczerwonych byłby może trochę cieplejszy niż gdyby wioził tylko żywność, ale komu chciałoby się włączać skaner. Ktoś w ciężkich buciorach wspiął się na nie zasłonięty przód wozu. Wóz ugiął się pod jego ciężarem. Nowo przybyły powiedział coś, co nie było skierowane ani do Teerts a, ani do Wielkich Brzydali. Odpowiedzią było łagodne parsknięcie jednego z dwóch zwierząt przywiązanych do wozu. Zwierzęta ruszyły. W tym momencie Teerts odkrył, że wóz nie ma amortyzatorów. Odkrył też, że droga, po której jechali nie zasługuje na to miano. Dwa pierwsze podskoki sprawiły, że ugryzł się w język. Poczł metaliczny smak krwi. Postanowił więc trzymać szczęki mocno zaciśnięte. Rzucalo nim tu bardziej niż gdy leciał swoim myśliwcem. Po chwili do wnętrza wozu zaczęło docierać światło dnia. Tosewici nie zmienili miejsc, na których siedzieli. Ciągłe w niego celowali. Chciałby być taki groźny, za jakiego go uważali.

– Czy mogę coś powiedzieć? – zapytał. Głowa nipońskiego oficera poruszyła się w górę i w dół. Teerts miał nadzieję, że oznacza to tak.

– Czy mógłbym dostać trochę wody? – zapytał.

– Hai – powiedział oficer.

Zwrócił się do drugiego samca i rzucił kilka słów. Żołnierz podniósł się. Na prawym biodrze wisiała mu butla z wodą. Odwiązał ją jedną ręką, w drugiej ciągle trzymał karabin, z którego celował do Teerts a i podał dowódcy. Oficer, z kolei, podał ją Teertsowi upewniwszy się, że jeńiec

nie wyrwie mu pistoletu. Teertsowi skorzystanie z butli sprawiło kłopot Tosewici obejmowali szyjkę wargami i woda nie rozlewała się. Jego wargi nie były tak elastyczne. Musiał trzymać butlę nad głową i łać wodę do ust. Trochę płynu pociekło na podłogę wozu. Odświeżony, odważył się zadać następne pytanie.

– Czy mógłbym dostać coś do jedzenia? – gdy to mówił, uświadomił sobie, że ma zupełnie pusty żołądek.

– Ty jeść nasza żywność?

Oficer milczał przez chwilę i użył bardziej zrozumiałego zwrotu.

– Ty jeść żywność z tego świata?

– Oczywiście, że tak – odparł Teerts, zdziwiony, że Wielki Brzydał ma pod tym względem wątpliwości.

– Dlaczego mielibyśmy podbijać ten świat, gdybyśmy potem nie mogli się na nim utrzymać?

Oficer chrząknął i jeszcze raz zwrócił się do żołnierza. Tym razem młodszy samiec poruszał się powoli, w ociąganiu. Musiał odłożyć karabin, żeby sięgnąć do paczki, którą miał na plecach. Wyjął z niej owinięte w szmatkę dwa płaskie, białe ziarniste kawałki ciasta. Wręczył jeden z nich Teertsowi, starannie zwinął w szmatkę drugi kawałek ciasta i włożył go z powrotem do paczki. Potem podniósł karabin. Ze sposobu, w jaki go trzymał można było odgadnąć, że chętnie zastrzeliłby jeńca. Teerts patrzył na ciasto, które trzymał w ręku. Nie wyglądało zbyt apetycznie – dlaczego ten samiec był taki niezadowolony, że musiał je oddać? Dowódca-pilot dopiero po chwili zrozumiał, że te dwa kawałki ciasta to było wszystko, co żołnierz mógł mieć. To są w końcu barbarzyńcy, przypomniał sobie. U nich ciągle panuje głód, a i my nieźle poniszczyliśmy ich linie zaopatrzenia. Teraz sam się dowiedział, co to znaczy głód. Wgryzł się w ciasto. Było mdłe i twarde – gdyby miał wybór, na pewno by go nie zjadł. Ale nie miał wyboru. Zgarnął językiem dwa ostatnie okruchy, które przywarły mu do pazura. Zjadłby jeszcze jeden taki kawałek ciasta, albo dwa. Trochę za późno pomyślał, że nie powinien okazywać, jak bardzo jest głodny. Nie spodobał mu się sposób, w jaki nipoński oficer uniósł wargi i pokazał zęby.

Rozdział X

Miaczesław Mołotow rozejrzał się po pokoju. To, co zobaczył byłoby jeszcze kilka miesięcy temu nie do wyobrażenia: dyplomaci aliantów i państw Osi, imperialiści i zwolennicy postępu, faszyci, komuniści i kapitaliści, wszyscy zeszli się po to, żeby wypracować razem strategię przeciwko wspólnemu wrogowi. Gdyby był innym człowiekiem, może by się uśmiechnął. Ale Mołotow nigdy nie zmieniał wyrazu twarzy. Był już w miejscu bardziej niesamowitym, kiedy szybował w nagrzej jak piec chlebowy komnacie przywódcy jaszczurów setki kilometrów nad Ziemią. Ale i to pomieszczenie w Londynie było zadziwiające. Spotkanie odbywało się w Londynie, ponieważ Wielka Brytania leżała względnie blisko wszystkich mocarstw z wyjątkiem Japonii. Ponadto jaszczury nie dokonały inwazji na Wyspy, a ich ataki na Unie żeglugowe prowadzone były tak nieudolnie, że dawało to szansę na bezpieczną podróż. I rzeczywiście, wszyscy zdołali przybyć. Konferencja rozpoczęła się jednak z opóźnieniem, spóźnił się bowiem japoński minister spraw zagranicznych. Musiał omijać obszary zdobyte przez jaszczury na terenie Ameryki Pomocnej. Jedyną wadą odbywającego się w Londynie spotkania, był, zdaniem Mołotowa, fakt, że dawało to prawo przewodniczenia obradom Churchillowi. Mołotow nie miał osobiście nic do zarzucenia premierowi; chociaż był on imperialistą, to jednak przyjął nieugiętą antyfaszystowską postawę, a bez jego udziału Wielka Brytania mogłaby już z powodzeniem zmienić swoją politykę i w 1940 roku wejść w układ z hitlerowcami. To zaś postawiłoby Związek Radziecki w bardzo niekorzystnej sytuacji, gdy rok później naziści go zaatakowali. Nie, to nie była animozja osobista. Ale Churchill miał zwyczaj gadać i gadać. Według wszelkich danych był mistrzem krasomówstwa w języku angielskim. Mołotow niestety nie znał tego języka, a nawet tego rodzaju przemówienie, słuchane za pośrednictwem szepczącego w ucho tłumacza, może się szybko znudzić. To, z kolei nie martwiło Churchilla. Okrągły, pulchny, czerwony na twarzy, wymachujący długim cygarem, wyglądał w oczach ludzi radzieckich jak wierny obraz kapitalistycznego ciemieżyciela.

Ale jego słowa były wyzwaniem:

– Nie możemy oddać ani cała ziemi tym kreaturom. To by znaczyło wieczną niewolę dla rodzaju ludzkiego.

– Gdybyśmy się z tym nie zgadzali, nie byłoby nas tutaj – powiedział Cordell Hull.

Amerykański sekretarz stanu uniósł brwi.

– Nie ma tu na przykład hrabiego Ciano.

Mołotowowi spodobał się ten przytyk pod adresem Włochów, którzy kilka tygodni temu poddali się, nawet nie udając, że walczą z jaszczurami. To Włosi byli prekursorami faszyzmu, a teraz, ustępując przed pierwszym ciosem, pokazywali, jak ich idea bankrutuje. Niemcy byli przynajmniej odważni i mieli przekonania. Mussoliniemu, najwyraźniej, brakowało wiary w ideę i odwagi. Tłumacze szeptali do uszu swoich pryncypałów. Joachim von Ribbentrop mówił płynnie po angielsku, tak więc pięciu polityków posługiwało się trzema językami i miało po dwóch tłumaczy na głowę. To powodowało, że rozmowy były niewygodne, ale można było sobie dać radę.

– Uważam, że naszym podstawowym celem jest nie tyle utwierdzenie się w przekonaniu, że trzeba walczyć z jaszczurami, z czym wszyscy się zgadzamy – powiedział Shigenori Togo – co sprawienie, żeby działania wojenne prowadzone wcześniej przez nasze kraje nie miały wpływu na wspólny wysiłek.

– To dobra uwaga – stwierdził Mołotow.

Związek Radziecki i Japonia utrzymywały pomiędzy sobą neutralność, co pozwalało im koncentrować całą energię na walce z wrogami, których uznali za ważniejszych; tym samym

wrogowie Japonii byli sojusznikami ZSRR w walce z Niemcami, partnerem Japonii w Osi – dyplomacja bywa dziwnym zajęciem.

– Tak jest – zgodził się Cordell Huli.

– Odbyliśmy długą podróż, żeby tu się znaleźć, panie Togo – jeszcze nie tak dawno nie byłby pan mile widziany w Londynie, a jeszcze mniej mile widziany w Stanach Zjednoczonych, które pan przejechał, by dostać się tutaj. Togo uklonił się ze swego miejsca, przyjmując uprzejmie do wiadomości wypowiedź Amerykanina.

– Następnym punktem, któremu musimy poświęcić uwagę, to kłopoty, z jakimi spotykamy się, gdy chcemy świadczyć sobie wzajemną pomoc – powiedział Churchill. Sprawy tak teraz wyglądają, że musimy przemykać się po naszej własnej planecie jak myszy, które boją się kota. Tego nie można tolerować. To jest nie do zniesienia.

– Jak zwykle odważnie powiedziane, towarzyszu pierwszy ministrze – rzekł Mołotow.

– Przedstawił pan ważny i inspirujący problem, ale niestety, nie powiedział pan, jak go rozwiązać. Znalezienie tych środków jest powodem, dla którego postanowiliśmy się tu spotkać pomimo dzielących nas wcześniej różnic – stwierdził Ribbentrop.

Mołotow nie zaszczycił go odpowiedzią. O ile Churchill miał dar inspirowania, to nazistowski minister spraw zagranicznych potrafił jak nikt stwierdzać rzeczy oczywiste. Mołotow żałował, że ten pompatyczny, upozowany dureń nie był w Berlinie, kiedy stolica III Rzeszy zmieciona została z powierzchni ziemi. Hitler mógłby wtedy zastąpić go zdolniejszym dyplomatą. Zaczęły wyc syreny alarmowe. Odrzutowce jaszczurów przemknęły z wizgiem na niskiej, bojowej wysokości. Zagrzmiały działa przeciwlotnicze. Mołotow pomyślał, że choć nie ma ich tutaj tyle, co w Moskwie, to i tak mają ich w Londynie sporo. Żaden z dyplomatów się nie poruszył. Każdy czekał, aż ktoś inny jako pierwszy pokaże po sobie, że się boi. Wszyscy zgromadzeni przeżyli już bombardowania.

– Dzisiejsze czasy powodują, że chciałbym wrócić do handlu winem – powiedział beztrąsko Ribbentrop.

Nie przejmował się niebezpieczeństwem. Odznaczono go za odwagę w czasie pierwszej wojny światowej.

– Chcę, żeby zestrzelono te przeklęte samoloty – rzekł Churchill, jakby wydawał komuś rozkaz.

Gdyby to tylko było takie łatwe, pomyślał Mołotow. Gdyby Stalin mógł tego dokonać wydając rozkaz, to jaszczury już dawno przestałyby być dla nas kłopotem. Hitlerowcy zresztą też. Niestety, niektórych spraw nie da się rozwiązać na rozkaz. Może to dlatego głupcy wymyślili sobie bogów: żeby mieć kogoś, czyje rozkazy na pewno zostaną wykonane. Seria bomb spadła niedaleko budynku Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Huk był przerażający. Zabrzęczały szyby. Jedna z nich stłukła się i odłamki szkła posypały się na dywan. Tłumacze byli mniej zobowiązani do okazywania zimnej krwi niż ludzie, którym służyli. Niektórzy mruczełi, jeden z pomocników Ribbentropa przeżegnał się i zaczął się modlić. Spadły następne bomby. Wyleciała jeszcze jedna szyba, a raczej podmuch wcisnął ją do środka. Kawałek szkła przeleciał Mołotowowi koło głowy i roztrzaskał się o ścianę. Tłumacz, który się modlił krzyknął i przytknął rękę do policzka. Widzisz, ile ci dał twój wymyślony Bóg, pomyślał Mołotow. Jego twarz, jak zwykle, nie wyraziła tego, co kryło się w jego myśli.

– Jeśli panowie sobie tego życzą, możemy przenieść się do schronu w piwnicy – powiedział Churchill.

Tłumacze popatrzyli z nadzieją na ministrów. Mołotow obrzucił swoich kolegów po fachu szacującym spojrzeniem. Nikt nie odezwał się słowem, mimo że rada była sensowna. Mołotow schwycił byka za rogi.

– Tak, zróbmy to, towarzyszu pierwszy ministrze. Z całą otwartością i bezstronnością twierdzę,

że nasze życie jest cenne dla narodów, którym służymy. Głupimi popisami i brawurą niczego nie osiągniemy. Musimy zadbać o nasze bezpieczeństwo, jeśli to możliwe.

Dyplomaci i tłumacze jak jeden mąż wstali z miejsc i ruszyli w stronę drzwi. Nikt nie podziękował Mołotowowi, za tę inicjatywę, ale on nie oczekiwał podziękowań od wrogów klasowych. Kiedy radziecki minister spraw zagranicznych stawiał stopę na schodach wiodących na dół, pomyślał o jeszcze jednej ironii losu. Przy całej swojej zaawansowanej technice, jaszczury według terminologii marksistowsko-leninowskiej pozostawały w okowach starego systemu ekonomicznego opartego na niewolniczej pracy i grabieży podbitych ras w celu zaspokojenia nadbudowy, czyli cesarstwa. W porównaniu z nimi nawet Churchill – nawet Ribbentrop! – był postępowy. Ta myśl rozbawiła i zasmuciła zarazem Mołotowa. Kiedy dyplomaci schodzili do piwnic, następna seria bomb wstrząsnęła budynkiem. Cordell Hull pośliznął się i mało nie upadł. W ostatniej chwili schwycił za ramię japońskiego tłumacza idącego przed nim.

– Jezu Chryste! – krzyknął sekretarz stanu.

Mołotow zrozumiał to bez tłumaczenia, chociaż Amerykanin wymawiał Chryste jak Chłyst. Hull dodał do tego kilka innych, ostrzej brzmiących uwag.

– Co on mówi? – Mołotow zapytał swego tłumacza.

– To przekleństwa – odparł urzędnik.

– Wybaczcie mi towarzyszu ministrze spraw zagranicznych, ale nadażam za nimi z trudem. Akcent Amerykanina jest inny niż akcent Churchilla. Ten znam lepiej. Kiedy Hull mówi z namysłem, doskonale go rozumiem, ale wymowa, którą nadaje słowom, kiedy jest podniecony, powoduje, że nie wszystko jest dla mnie jasne.

– Rób, co możesz – powiedział Mołotow.

Nie sądził, że w angielskim jest kilka dialektów. Dla niego wszystko to było równie niezrozumiałe. Stalin i Mikołajew mówili po rosyjsku z akcentem, ale to dlatego, że jeden pochodził z Gruzji, a drugi z Armenii. To, co powiedział tłumacz miało inne znaczenie. Coś jakby różnice w wymowie kołchoźnika z nad polskiej granicy, byłej polskiej granicy, dodał w myślach Mołotow, i robotnika z moskiewskiej fabryki. Schron był niski, zatłoczony i cuchnący. Mołotow rozejrzał się z pogardą. Czy to jest wszystko, na co mogą się zdobyć Brytyjczycy dla ochrony swoich najbardziej wartościowych ludzi? Takie schrony w Moskwie były umieszczone znacznie głębiej pod ziemią, z pewnością lepiej zabezpieczone i obszerniejsze. Urzędnicy zrobili dla dyplomatów tyle miejsca ile mogli. Niewiele tego było.

– Czy będziemy kontynuować, panowie? – zapytał Churchill.

Mołotow zastanawiał się, czy premier stracił rozum. Podjąć rozmowy w obecności wszystkich tych ludzi? Potem pomyślał, że to, co tu będzie powiedziane i tak nie trafi do jaszczurów; w odróżnieniu od mocarstw, których przedstawiciele prowadzili dzisiaj negocjacje, najeźdźcy nie mieli rozgałęzionej siatki szpiegowskiej. Nagle zdał sobie sprawę, że otwartość może mieć zalety.

– Nie czynię tajemnicy – to znaczy, że Stalin mu powiedział, żeby nie czynił tajemnicy – z faktu, że spotkałem się z głównodowodzącym sił wroga w statku kosmicznym krążącym nad Ziemią. Tak jak się spodziewałem, negocjacje były bezowocne. Jaszczury domagały się bezwarunkowej kapitulacji, której wszyscy nie akceptujemy. Jednak w trakcie tego spotkania dowiedziałem się również, że niemiecki minister spraw zagranicznych prowadził rozmowy z tą kreaturą Atvarem. Pragnąłbym teraz dowiedzieć się, czy to samo dotyczy Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Japonii. Jeśli tak, pragnę wiedzieć, jaki był rezultat tych rozmów. Mówiąc krótko, czy jesteśmy zagrożeni wewnętrzną zdradą.

Joachim von Ribbentrop aż zakrztusił się z oburzenia. Powiedział coś po niemiecku, potem

przeszedł na angielski. Tłumacz zaczął szeptać Mołotowowi do ucha:

– Tak, przedyskutowaliśmy pewne sprawy z jaszczurami. Po tym, jak Berlin został pochłonięty przez ogień powinno to być całkiem zrozumiałe, nieprawda? Niczego nie zdradziłem i gardzę taką insynuacją. Dowodem na prawdziwość moich słów niech będzie nieustanna walka, jaką prowadzi Rzesza przeciwko siłom najeźdźców.

– Nie było zamiaru insynuacji – stwierdził Mołotow.

Pamiętał jednak, że Atvar sugerował pewną uległość Niemca, której teraz Ribbentrop się wypiera. Oczywiście, trzeba brać pod uwagę, że jaszczur kłamał dla osiągnięcia korzyści. Tak jak teraz robi to Ribbentrop. Najbardziej prawdopodobne jest, że obaj kłamali.

– A co z resztą z was? – zapytał Mołotow.

– Nie zrobiłem niczego w stylu Bucka Rogersa – stwierdził Cordell Hull.

– Chciał przez to powiedzieć, że nie latał w kosmos, wyjaśnił tłumacz.

– Dotyczy to całego rządu Stanów Zjednoczonych. Prowadziliśmy rozmowy na niskim szczeblu z jaszczurami znajdującymi się na naszej ziemi w takich sprawach jak dostawy żywności i innych nie wojskowych materiałów na tereny znajdujące się pod ich kontrolą. Próbujemy też dokonać wymiany jeńców wojennych – kontynuował Hull.

Mięczaki, pomyślał Mołotow. Garstka jeńców, których wzięli Sowieci była przesłuchiwana dopóki miała użyteczne informacje, a potem pozbyto się ich. Co do dostarczania żywności na tereny zajęte przez jaszczury, to Moskwa ma dość kłopotów z wyżywieniem ludności mieszkającej na obszarach nadal znajdujących się pod jej władzą. Ci, którzy żyją na ziemiach opanowanych przez najeźdźców, nadają się na partyzantów albo szpiegów. I na tym koniec. Shigenori Togo mówił po niemiecku. Mołotow pamiętał, że miał żonę Niemkę. Tłumacz radzieckiego ministra poza angielskim znał również język niemiecki.

– Mówi, że nie ma wytłumaczenia dla układów z takim wrogiem – przetłumaczył dla Mołotowa. Ribbentrop nachmurzył się patrząc na przedstawiciela Japonii. Ignorując jego wzrok, Togo przeszedł na język japoński i mówił przez jakiś czas. Włączył się drugi tłumacz Mołotowa:

– Rząd cesarza Hirohito twardo odmawia jakichkolwiek kontaktów z jaszczurami, chyba że na polu walki. Nie widzimy powodu, żeby zmienić tę politykę. Będziemy walczyć dopóki nie osiągniemy sukcesu. Wiemy, że walka będzie trudna. Dlatego dzisiaj tu przybyłem. Ale Japonia będzie walczyć bez względu na to, jak postąpią inne narody.

– To samo dotyczy Wielkiej Brytanii – oświadczył Churhill.

– Możemy rozmawiać z wrogiem, co zdarza się w czasie wojny, ale nie poddamy się. Opór jest obowiązkiem wobec naszych dzieci.

– Teraz to mówicie – odparł Ribbentrop.

– Ale co byście powiedzieli, gdyby jaszczury użyły wobec Londynu, Waszyngtonu, Tokio albo Moskwy broni, która zniszczyła Berlin?

Na kilka sekund zapanowała cisza. Pytanie było lepsze, niż Mołotow spodziewał się usłyszeć od pulchnego głupiego Ribbentropa. Zauważył, że hitlerowski minister stolicę ZSRR wymienił jako ostatnią.

– Towarzysz Stalin przysiągł walkę do końca, a radzieccy robotnicy i cały naród dotrzymają tej przysięgi – powiedział rozszłoszczony tym brakiem respektu.

– W każdym razie, używając burżuazyjnej analogii, jeżeli stawialiśmy trwałe opór pomimo masowych mordów dokonywanych przez Niemców, to nie ugniemy się przed perspektywą morderczej zemsty ze strony jaszczurów.

Ribbentrop spojrział na niego swoimi wypukłymi niebieskimi oczami. Shigenori Togo, którego

naród nie był w stanie wojny ani ze Związkiem Radzieckim, ani z Niemcami, mógł wystąpić w roli superarbitra.

– Taka rozmowa, panowie, może pomóc tylko najeźdźcom. Pamiętamy, rzecz jasna o naszych własnych sporach, ale mieszanie ich do walki przeciwko jaszczurom jest krótkowzroczne.

Nie mógł wybrać lepszego słowa, by przyciągnąć uwagę radzieckiego ministra spraw zagranicznych. Sama natura dialektyki historycznej czyniła z wyznawców marksizmu-leninizmu ludzi instynktownie planujących długoterminowo. Można to potwierdzić choćby na przykładzie planów pięcioletnich, które starał się realizować Związek Radziecki.

– Użyłem tej burżuazyjnej analogii tylko dlatego – kontynuował Mołotow – żeby pokazać, że nie damy się zastraszyć brutalnej sile. W praktyce, Związek Radziecki i Niemcy współpracują teraz na obszarach, na których oba nasze państwa są w stanie efektywnie zjednoczyć swoje siły w walce przeciwko wspólnemu wrogowi.

– Na tym skończył. Jeszcze jedno słowo i byłoby tego za wiele.

– Zrobimy, co trzeba, by zapewnić ostateczne zwycięstwo – Ribbentrop pokiwał głową.

Na kamiennej twarzy Mołotowa pojawił się nikły uśmieszek. Mógłby postawić swoją daczę na Krymie przeciwko podróży do gułagu, że Ribbentrop nie ma pojęcia, jaką współpracę miał na myśli. Nie powiedziałaby temu pompatycznemu dupkowi niczego ważnego.

– Zamiast ubolewać nad tym, że jaszczury mają straszliwą broń, powinniśmy spróbować zrobić ją sami – powiedział Cordell Hull.

– Zostałem upoważniony przez prezydenta Roosevelta, by powiedzieć wam wszystkim, że Stany Zjednoczone rozwijają taki program. Podzielimy się dokonania z tymi, którzy nas wspomogą w walce.

– Stany Zjednoczone i Wielka Brytania wspomagają się przeciw nawzajem – powiedział Churchill i dodał z pewnym zadowoleniem – a nie jest to wspomaganie jednostronne.

Kamienne oblicze Mołotowa wyrażało teraz skrajne zdumienie. Gdyby był tak niedyskretny jak Hull, zasłużyłby na kulę w potylicę. I dostałby ją. Ale przecież amerykański sekretarz stanu mówił z polecenia prezydenta. Zdumiewające! Mołotow lepiej rozumiał jaszczury niż Amerykanów. Łączyć wyrafinowanie techniczne z taką niewyobrażalną naiwnością... Niemożliwe do pojęcia i niebezpieczne.

– Jesteśmy gotowi do współpracy z każdym narodem przeciwko jaszczurom – powiedział Ribbentrop.

– My też – dodał Togo.

Wszyscy popatrzyli na Mołotowa. Radziecki minister spostrzegł, że milczenie nie będzie dobrze widziane:

– Jak właśnie powiedziałem, Związek Radziecki współpracuje z Niemcami nad projektami, które mają posłużyć obu narodom. Nie mamy obiekcji natury pryncypialnej, by podjąć podobne wspólne wysiłki z innymi państwami stawiającymi aktywny opór jaszczurom.

Popatrzył na zgromadzonych dyplomatów. Ribbentrop uśmiechał się do niego. Twarze Churchilla, Hulla i Togo pozostawały bez wyrazu; poza tym, że brytyjski premier lekko uniośł brew. W przeciwieństwie do nazistowskiego bufona zauważyli, że niczego im nie obiecał. Pomiędzy brakiem „obiekcji natury pryncypialnej” a prawdziwą współpracą istniała zasadnicza różnica.

– Następnym punktem, nad którym powinniśmy się zastanowić, jest nasz stosunek do tych narodów, które – z różnych powodów – podpisały pakt z jaszczurami.

Cordell Hull przejechał ręką po pasmach siwych włosów zaczesanych na szczyt prawie łysej czaszki.

– W obu Amerykach jest sporo takich narodów.

– Wiele z nich uczyniło to pod przymusem; mogą być chętne do dalszej walki i współpracy z nami pozostając nominalnie pod jarzmem najeźdźców – stwierdził Churchill

– W niektórych przypadkach tak może być – zgodził się Mołotow.

W jego własnym rozumieniu, Churchill był niepoprawnym optymistą. Ten optymizm zademonstrował opierając się Hitlerowi w 1940 roku, kiedy siły brytyjskie zostały usunięte z Europy. Taki rodzaj optymizmu wiedzie do katastrofy, ale czasem potrafi uratować narody. Burżuazyjni eksperci wojskowi przepowiadali Armii Czerwonej sześć miesięcy istnienia, kiedy zaatakował ją Wehrmacht, ale minął rok i Sowieci walczyli dalej. Potem przyleciały jaszczury i sprawy się skomplikowały.

– Należy jak najszybciej zorganizować i dobroić ruchy partyzanckie walczące z najeźdźcami i kolaboracyjnymi rządami – kontynuował Mołotow. Przywódcy, którzy postanowili się poddać, powinni być usunięci za pomocą wszelkich dostępnych środków.

Te ostatnie słowa wypowiedział patrząc wymownie na Joachima von Ribbentropa. Niemiecki minister spraw zagranicznych nie był zbyt mądry, ale nie aż tak głupi, żeby nie zrozumieć aluzji.

– Fuhrer ma nadal osobisty sentyment do Mussoliniego – powiedział mocno zakłopotanym głosem.

– Nie chodzi o upodobania – wtrącił się Churchill.

– Minister Mołotow ma rację. Mamy już za sobą etap, w którym osobiste sympatie, czy animozje mogły wpływać na politykę. Im wcześniej Mussolini zginie i zostanie pogrzebany, tym lepiej dla nas wszystkich. We Włoszech pozostało trochę oddziałów niemieckich. Mogłyby go wykurzyć, albo lepiej pozbyć się go na dobre.

Tłumacz zająknął się przy idiomach w ostatnim zdaniu, ale Mołotow zrozumiał, o co chodzi i powiedział:

– Gdyby papieża spotkał ten sam los co Mussoliniego, nastąpiłby dalszy postęp. Jaszczury nie przeszkadzają mu w jego modlitwach, więc jest dla nich miły.

– Ale czy jego następca byłby lepszy – zapytał Shigenori Togo.

– Musimy sobie przy okazji odpowiedzieć na pytanie, czy zrobienie z papieża męczennika nie okazałoby się na dłuższą metę szkodliwe, gdyż wzbudziłoby nienawiść do naszej sprawy wśród katolików na całym świecie.

– Być może należałoby to rozważyć – zgodził się z trudem Mołotow.

Jego zdaniem należało uderzać w zorganizowane kultury przy użyciu wszelkich środków. Ale japoński minister spraw zagranicznych miał rację, reperkusje polityczne mogłyby być bardzo poważne. Papież nie ma dywizji, ale popiera go więcej ludzi niż popierało Lwa Trockiego, który skończył z tasakiem do lodu w czasce. Mołotow nie należał jednak do tych, którzy łatwo rezygnują ze swojego zdania:

– Może należałoby zlikwidować papieża w taki sposób, aby wydawało się, że zrobiły to jaszczury?

– Mierzi mnie ta rozmowa o skrytobójstwie – skrzywił się Cordell Hull.

Mięczak, pomyślał znowu Mołotow. Stany Zjednoczone, wielkie, bogate, potężne, chronione od zachodu i wschodu przez dwa wielkie oceany, od dawna mogły korzystać z historycznego luksusu łagodności. Nawet dwie wojny nie zdołały do głębi przekonać Amerykanów jak niebezpieczny potrafi być świat. Ale jeśli nie potrafią wyrzec się swoich mrzonek, kiedy mają jaszczury na karku, to znaczy, że są przypadkiem nieuleczalnym.

– W czasie wojny robi się to, co się musi – powiedział Churchill, jakby łagodnie napominając

sekretarzy stanu.

Brytyjski premier widział dalej niż czubek swego nosa. Znowu zawyły syreny. Tym razem odwoływały alarm. Mołotow słyszał, jak z piersi pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych wydobyło się długie westchnienie ulgi. Przeżyli jeszcze jeden nalot. Nie myśleli teraz o tym, że wkrótce będą następne. Urzędnicy uformowali się w zgrabną kolejkę do wyjścia ze schronu. Mołotow widywał nie kończące się kolejki w Związku Radzieckim, ale ta była jakby inna. Potrzebował kilku sekund zanim zrozumiał dlaczego. Obywatele radzieccy stojący w kolejkach pełni są gniewu i rezygnacji, bo nie ma innego sposobu, żeby dostać to, czego koniecznie się potrzebuje, poza tym podejrzewają, że i tak niczego nie wystoją. Anglicy byli bardziej uprzejmi, jakby panowała wśród nich milcząca zgoda, że tak właśnie należy postępować. Ich rewolucja także się zbliża, pomyślał Mołotow, wymiecie całą tę burżuazyjną elegancję. Tymczasem, ci właśnie burzuje stawili czoło jaszczurom. Podobnie czyniły trzy pozostałe mocarstwa, chociaż Mołotow miał wątpliwości, jeśli chodzi o Niemcy: naród, który mianował takie zero jak Ribbentropa na stanowisko ministra spraw zagranicznych, musi się psuć od środka. Ale najważniejsze państwa kapitalistyczne nie zaprzestawały walki, mimo to że Włochy zadały im cios w plecy. Tego się tutaj dowiedział i takie przesłanie zawiezie Stalinowi. Sam Yeager prowadził dwa jaszczury korytarzem Instytutu Zoologii w Laboratoriach Biologicznych Hulla. Nadal nosił karabin i hełm, ale to dlatego, że się do nich przyzwyczaił. Nie sądził, żeby musiał z nich zrobić użytek. Jaszczury były posłusznymi jeńcami – bardziej posłusznymi niż byłby on, gdyby go złapały. Zatrzymał się przed drzwiami do pokoju 227A. Jaszczury też stanęły.

– Tu wejść, Samyeager? – jeden z nich zapytał syczącą angielszczyzną.

Wszystkie jaszczury wymawiały jego imię i nazwisko jakby to było jedno słowo. Yeager doszedł do wniosku, że mówi równie źle w ich języku, jak one po angielsku. Ale starał się, jak mógł.

– Tak, tutaj, Ullhass, Ristin, dzielne samce – odpowiedział.

Otworzył drzwi z szybą z mrożonego szkła. Lufą karabinu pokazał, żeby szły za nim. W sekretariacie siedziała dziewczyna i wystukiwała coś na starym, hałaśliwym underwoodzie. Przestała, kiedy drzwi się otworzyły. Powitalny uśmiech zamarł jej na twarzy, gdy zobaczyła dwa jaszczury.

– W porządku, panienko – szybko powiedział Yeager.

– Przyszły tutaj, żeby spotkać się z doktorem Burkettem. Musisz być nowa, bo wiedziałabyś o nich.

– Tak, to mój pierwszy dzień w pracy – odpowiedziała dziewczyna.

Yeager przyjrzał się jej. Nie była to chyba dziewczyna. Miała już prawie trzydzieści lat. Może była już nawet po trzydziestce. Oczy automatycznie zatrzymały się na trzecim palcu jej lewej ręki. Nosila obrączkę. Niedobrze. Doktor Burkett wyszedł ze swego sanktuarium. Powitał Ullhassa i Ristina w ich języku. Władzał nim lepiej niż Yeager, chociaż uczył się go znacznie krócej. To dlatego on jest profesorkiem, a ja gram w lidze podwórkowej, pomyślał Yeager bez większej zawiści. Poza wszystkim, jaszczury lubiły go bardziej niż Burketta. Mówiły tak za każdym razem, gdy wracały do swojej kwatery. Burkett zaprosił je gestem, żeby weszły do niego i zamknął za nimi drzwi.

– Czy to niebezpieczne? – zapytała nerwowo dziewczyna.

– Chyba nie – odparł Yeager.

– Jaszczury nie są rozrabiakami. A poza tym okno u Burketta jest zakratowane, więc nie uciekną. No, a poza tym – przyciągnął krzesło – ja tu siedzę i czekam na nie. Wejdę i wyciągnę je, jeśli nie wyjdą za parę godzin.

Sięgnął do kieszonki koszuli, wyciągnął zapalniczkę i paczkę chesterfieldów chociaż nie były to

jego ulubione papierosy, ale w tych czasach pali się to, co jest.

– Zapali pani, hmm...?

– Przepraszam, jestem Barbara Larssen. Tak, z przyjemnością. Dziękuję.

Postukała papierosem w biurko i włożyła go sobie w usta. Nachyliła się, żeby jej przypalił.

Wciągnęła policzki kiedy się zaciągnęła. Po chwili wydmuchała długi pióropusz dymu pod sufit..

– Och, jak przyjemnie. Nie paliłam już od paru dni.

Zaciągnęła się jeszcze raz. Yeager przedstawił się, zanim sam zapalił.

– Nie chcę pani przeszkadzać, jeśli jest pani zajęta – powiedział.

– Będę udawał, że jestem meblem.

– Piszę non stop na maszynie od wpół do ósmej. Mogę sobie zrobić przerwę – odparła Barbara i znowu się uśmiechnęła.

– Okay – rzekł ze zrozumieniem Yeager.

Wyciągnął się w krzesło i przyglądał się jej. Było na co popatrzeć: nie była to piękność w stylu gwiazdy filmowej, ale i tak była śliczna. Miała okrągłą uśmiechniętą twarz, zielone oczy i ciemnoblonde proste włosy z lekkimi śladami trwałości.

– Twój mąż jest na wojnie? – zapytał, żeby podtrzymać konwersację.

– Nie – powinna to być dobra wiadomość, ale jej uśmiech zbladł.

– Pracował tutaj, na uniwersytecie, w Laboratorium Metalurgicznym. Ale pojechał do Waszyngtonu kilka tygodni temu. Powinien być już dawno z powrotem, ale...

Trzy razy szybko zaciągnęła się papierosem i zgasiła go w szklanej popielniczce stojącej obok maszyny do pisania.

– Mam nadzieję, że z nim wszystko w porządku – Yeager naprawdę tak myślał.

Jeśli facet musiał włóczyć się po kraju, w którym buszowały jaszczury, to miał do załatwienia coś ważnego. Nadto, Yeager nie był z tych, którzy źle życzą bliźnim.

– Ja też mam nadzieję – Barbara Larssen starała się nie okazać, że się boi, ale się jej to nie udało.

Pokazała na paczkę chesterfieldów.

– Nie myśl sobie, że chcę cię wykorzystać, ale czy mogłabym dostać jeszcze jednego?

– Jasne.

– Dziękuję.

Zapaliła drugiego papierosa.

– Ale dobry.

Strząsnęła popiół do popielniczki. Kiedy spostrzegła, że Yeager śledzi ruch jej ręki, smutno się roześmiała.

– Pisanie na maszynie rujnuje moje paznokcie. Jeden już złamałam, a na trzech zniszczyłam lakier. Ale doszłam już do takiego stanu, że nie mogłam sama siedzieć w swoim mieszkaniu jak w kojcu. Pomyślałam, że mogę robić coś pożytecznego.

– To ma sens – Yeager wstał i zgasił niedopałek.

Nie zapalił drugiego papierosa. Nie był pewien, czy dostanie drugą paczkę.

– Myślę też, że praca pozwala ci zapomnieć o smutnych sprawach.

– Trochę tak, ale nie tak bardzo, jakbym chciała.

Barbara wskazała na drzwi, za którymi doktor Burkett zajmował się jaszczurami.

– Jak doszło do tego, że zostałeś strażnikiem tych... stworzeń?

– Należałem do oddziału, który wziął je do niewoli – odparł.

– Pięknie, ale chodzi mi o to, dlaczego z nimi zostałeś? Wyciągnąłeś krótszą słomkę, czy jak?

- Nie – Yeager zachichotał.
- Złamałem starą zasadę wojskową. Zgłosiłem się na ochotnika.
- Naprawdę? – Uniosła wysoko brwi.
- Dlaczego, na litość Boską?

Z pewnym ociąganiem powiedział jej o swoim upodobaniu do fantastyki naukowej. Jeszcze raz poruszyła brwiami, tym razem ściągnęła je mocno. Widział już nieraz ten wyraz twarzy.

- Nie interesujesz się takim czymś – stwierdził.
- Doprawdy, nie – powiedziała Barbara.

– Pisałam pracę ze średniowiecznej literatury angielskiej zanim Jens przeprowadził się tutaj z Berkeley, tak że to nie jest moja ulubiona dziedzina.

Przerwała i spojrzała błędząc gdzieś daleko myślami.

– Ale chyba s.f. lepiej cię przygotowało do tego, co się dzieje niż mnie Chaucer.

– Hmm... może – Sam już był gotów bronić swoich lektur. Ale ataku nie było. Poczł się jak przenośny gramofon, który nakręcono i zapomniano położyć płytę.

– Jeśli chodzi o mnie, to gdybym nie umiała pisać na maszynie, nadal tkwiłabym w mieszkanku na Bronzeville.

– Bronzeville? – tym razem Yeager uniósł brwi.

– Niewiele wiem o Chicago, gdybym tu kiedyś grał, to bym wiedział, ta myśl przemknęła tak szybko, jak odrzutowiec jaszczurów – ale orientuję się, że to nie jest dobra dzielnica.

– Nikt mnie nie zaczepiał – powiedziała.

– Odkąd przybyły jaszczury różnice między białymi a czarnymi nagle stały się mniejsze, prawda?

– Chyba tak – Yeager nie był jednak przekonany.

– Ale bez względu na kolor skóry w Bronzeville jest więcej opryszków niż gdzie indziej. Hmm... Coś ci powiem. O której kończysz pracę?

– Chyba wtedy, kiedy doktor Burkett zwolni mnie do domu. Już ci mówiłam, jestem tutaj nowa. A dlaczego pytasz?

– Mogę cię odprowadzić do domu, jeśli chcesz... hej, co w tym takiego śmiesznego? Ciągłe się śmiejąc, Barbara Larssen odrzuciła w tył głowę i wydała okrzyk zdziwienia. Yeager poczerwieniał.

– Myślę, że mój mąż zaakceptowałby ten pomysł w teorii – powiedziała Barbara.

– Ale nie byłby zadowolony, gdybyśmy go zrealizowali. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

– Wcale nie o to mi chodziło – zaprotestował Yeager.

Ledwie to powiedział, zdał sobie sprawę, że nie mówi całej prawdy. Propozycja była dość niewinna, ale gdzieś, w głębi duszy, czuł, że nie rozmawiałby z nią o tym, gdyby nie wydała mu się atrakcyjna. Speszył się, że przejrzała go na wylot zanim się sam zorientował w swoich prawdziwych intencjach.

– Nie mam do ciebie żalu. I jestem pewna, że nie miałeś na myśli niczego zdrożnego – stwierdziła, pozwalając mu skorzystać z dobrodziejstwa wątpliwości.

– Mężczyźni stają się naprawdę nieznośni dopiero wtedy, kiedy nie chcą przyjąć odmowy, albo nie wierzą w nią. Ale widzę, że ty nie jesteś taki.

– Okay – powiedział tak neutralnym tonem, na jaki było go w tym momencie stać. Barbara zgasiła drugiego papierosa, popatrzyła na zegarek i powiedziała:

– Lepiej wróć do pracy.

Nachyliła się nad maszyną do pisania. Pisała biegle. Maszyna trzaskała jak karabin maszynowy. Yeager znał tylko kilku reporterów, którzy potrafili pisać więcej słów na minutę niż Barbara.

Rozparł się w krzesło. Trudno było sobie wyobrazić łatwiejszą służbę: dopóki nie stanie się coś złego w biurze doktora Burketta, albo doktor nie będzie go w jakimś celu potrzebował, co było mało prawdopodobne, ponieważ, dr Burkett był przekonany, że sam wszystko wie najlepiej; miał więc tylko siedzieć i czekać. Wielu szybko by się tym znudziło. Ale Yeager, jako weteran przebywania przez długie godziny w pociągu i autobusie, był bardziej cierpliwy. Myślał o baseballu, o s.f., którą czytywał w podróży między jednym miastem a drugim, żeby zabić czas, o jaszczurach, o swoim niewielkim upodobaniu do walki. I myślał o Barbarze Larssen. W końcu, siedziała przed nim. Nie ignorowała go. Co chwila podnosiła głowę i uśmiechała się do niego. Niektóre z tych myśli były przyjemne, ale nieistotne. Każdy mężczyzna zabawiałby się nimi w obecności pięknej dziewczyny. Inne były gorzkie: żałował, że jego była żona nie martwiła się tak o niego, kiedy był w podróży, jak Barbara martwi się o swojego męża. Jak on miał na imię? Jens, właśnie tak. Jens Larssen, choćby i on o tym nie wiedział, był szczęściarzem. Otworzyły się drzwi gabinetu Burketta. Doktor wyszedł. Był zadowolony z siebie. Wyszli też Ristin i Ullhass. Yeager nie był w stanie dokładnie stwierdzić po wyglądzie jaszczurów, jak się czują, ale nie wyglądały na przestraszone.

– Chcę je tutaj widzieć jutro o tej samej porze, żołnierzu – powiedział Burkett.

– Przykro mi, proszę pana – stwierdził Yeager, chociaż wcale mu nie było przykro – ale jutro mają spędzić cały dzień u doktora, hmm... Fermiego. Musi pan spróbować innym razem.

– Znam doktora Fermiego! – krzyknęła Barbara Larssen.

– Jens z nim współpracuje.

– To bardzo źle się składa – rzekł doktor Burkett.

– Złożę skargę u odpowiednich czynników wojskowych. Jak można przeprowadzić porządną eksperyment, kiedy obiekty badania porywane są w najbardziej nieodpowiednim i w narzuconym przez kogoś momencie? To znaczyło, że Burkett nie pofatygował się, żeby sprawdzić plan zajęć z jaszczurami zanim przystąpił do swoich eksperymentów. Minus dla niego. Tak Yeager pomyślał. Na głos powiedział co innego:

– Przepraszam pana, ale ponieważ eksperymentów jest znacznie więcej niż jaszczurów, nie możemy dysponować jaszczurami inaczej.

– Ba! – zachnął się Burket

– Fermi jest tylko fizykiem. Czegóż to mają go one nauczyć? Było to najwyraźniej pytanie retoryczne, ale Yeager odpowiedział na nie:

– Nie sądzi pan, że może być zainteresowany na przykład tym, jak przybyły na Ziemię? Burkett przyjrzał mu się badawczo. Może myślał, że wstąpienie do wojska odbiera ludziom zdolność samodzielnego rozumowania.

– Czy mam zapisać następną sesję z jaszczurami na najbliższy wolny termin? – zapytała Barbara.

– Tak, zrób to – powiedział do niej, jakby była meblem.

Wrócił do swego gabinetu zatrzasnąjąc za sobą drzwi. Barbara i Yeager popatrzyli na siebie. Uśmiechnął się, a Barbara zaczęła chichotać.

– Mam nadzieję, że twój mąż wróci cały i zdrowy, Barbaro – powiedział cicho. Śmieszek ucichł jak nożem uciął.

– Też mam taką nadzieję – odparła.

– Niepokoję się. Nie ma go już dłużej niż zapowiadał.

Jej wzrok spoczął na dwóch jaszczurach, które stały w kącie i czekały, aż Yeager powie im, co mają robić. Pokiwał głową. Życie byłoby prostsze, gdyby nie jaszczury.

– Jeżeli ktoś sprawiłby ci kłopoty korzystając z tego, że go nie ma, daj mi znać.

Nie miał reputacji twardziela, gdy grywał w piłkę, ale wtedy nie nosił też karabinu z bagnetem.

– Dziękuję, Sam, może to zrobię – powiedziała to tonem w tym stopniu zimnym, żeby zrozumiał, że nie chce, aby to on sprawiał jej kłopoty.

Przyjął to z powagą. Zrozumiał, co miała na myśli. Odwrócił się do jaszczurów i machnął karabinem.

– Ruszać się, łapserdaki.

Przepuścił ich przodem. Barbara Larssen podniosła słuchawkę telefonu, zrobiła zdziwioną minę i odłożyła ją na widełki. Yeager domyślił się, że nie było sygnału. W tych czasach wszystko się rwało. Burkett będzie musiał poczekać na następną sesję z jaszczurami. Silnik plymoutha wydał okropny zgrzyt, jakby trafiła go seria z karabinu maszynowego. Jens Larssen wiedział, że to koniec jazdy. Na desce rozdzielczej kontrolki akumulatora i temperatury jarzyły się czerwonym światłem. Silnik nie był przegrzany, a w baku nadal była benzyna. Samochód po prostu się zepsuł. Pozwolił mu przetoczyć się jeszcze kilkaset metrów i zjechał na pobocze, żeby nie blokować drogi. Była to autostrada nr 250.

– Cholera – powiedział Larssen.

Siedział i gapił się na kontrolki. Gdyby nie musiał używać byle czego w charakterze paliwa, gdyby nie musiał przedzierać się przez zbombardowane drogi i bezdroża, gdyby nie przybyły te cholerne jaszczury... nie utknąłby tutaj, gdzieś we wschodniej części Ohio, o dwa stany od miejsca, w którym powinien teraz być. Podniósł oczy i popatrzył przez zakurzoną, pokrytą rozgniecionymi owadami przednią szybę. Przed nim rozciągała się panorama jakiegoś miasteczka. Małomiasteczkowi mechanicy już nieraz naprawiali mu samochód w czasie tej wyprawy. Może uda się jeszcze raz. Miał wątpliwości, plymouth nigdy wcześniej nie wydawał takich dźwięków, ale trzeba było spróbować. Zostawił kluczyk w stacyjce, niechby kto spróbował odjechać tym gratem. Trzasnął drzwiami, co trochę rozładowało nagromadzoną w nim złość. Zdjął marynarkę, przewiesił ją przez ramię i poszedł drogą w kierunku miasteczka. Ruch był mały. Właściwie, wcale go nie było. Przechodził koło kilku samochodów, które wyglądały, jakby od dawna stały nieczynne i koło wypalonego wraku. Wóz musiał zostać trafiony z powietrza, a potem odholowany na pobocze. Nie przejeżdżał obok niego żaden samochód. Słyszał tylko swoje kroki na asfalcie. Na przedmieściach zbliżył się do tablicy:

WITAMY W STRASBURGU, W DOMU BRACI GARYER
NAJWIĘKSZYM NA ŚWIECIE MAŁYM SKLEPIKU.

Pod spodem, mniejszymi literami napisane było: Liczba mieszkańców (1930), 1 305. Jens wydał wargi. A więc trafił do małomiasteczkowej Ameryki. Poszedł dalej. Pierwsza stacja benzynowa, którą znalazł, była zamknięta na kłódkę. Wielki tłusty pająk siedział na pajęczynie rozpiętej między dwiema pompami do paliwa. Była więc nieczynna od dłuższego czasu. Nie wyglądało to zachęcająco. Drzwi do sklepu położonego o pół przecznicy dalej były otwarte. Postanowił wejść i sprawdzić, co mają w saturatorze. W tej chwili wypiłby wszystko co było zimne i mokre, a nawet ciepłe i mokre. Ciągle miał trochę pieniędzy w kieszeni: pułkownik Grover był wobec niego hojny. Elektryczności nie było. Wnętrze sklepu wypełniał półmrok

– Jest tu kto? – zawołał Larssen wpatrując się między półki.

– Tutaj – odpowiedział kobiecy głos.

Ale nie była to jedyna odpowiedź jaką otrzymał. Bliżej niego rozległy się zaskoczone syknięcia. Spoza reklamy Wildroot Creme Oil wyszły dwa jaszczury. Jeden z nich trzymał karabin. Drugi dźwigał pełne naręczce latarek i baterii. Larssen chciał w pierwszej chwili odwrócić się i uciec. Nie wiedział, że zabłądził na terytorium znajdujące się w ręku wroga. Czuł się tak, jakby na czole miał napisane: NIEBEZPIECZNY CZŁOWIEK – FIZYK JĄDROWY. Na szczęście nie uległ impulsowi.

Szybko zdał sobie sprawę, że dla jaszczurów jest po prostu jeszcze jedną istotą ludzką: w ich mniemaniu mógł przecież mieszkać w Strasburgu. Jaszczury wybiegły ze sklepu ze swym łupem.

– Nie zapłaciły za to! – krzyknął Jens.

To była najgłupsza rzecz, jaką w życiu powiedział. Kobieta stojąca z tyłu, przy dziale z lekarstwami miała zbyt wiele rozsądku, żeby mu na to zwracać uwagę.

– Ale nie zastrzeliły mnie, więc myślę, że jesteście kwita – powiedziała.

– A teraz, czym mogę panu służyć?

W obliczu takiej trzeźwości umysłu Larssen odpowiedział rzeczowo:

– Samochód zepsuł mi się pod miastem. Szukam kogoś, kto by go naprawił. A jeśli ma pani coca-colę albo coś podobnego, to chętnie kupię.

– Mam pepsi-colę – powiedziała kobieta.

Pięć dolarów. To był rabunek gorszy niż w hotelu w White Sulphur Springs, ale Larssen zapłacił bez grymasów. Gazowana, nie schłodzona pepsi-cola smakowała jak nektar bogów. Kiedy oczy przestały Jensowi łzawić od bąbelków powiedział:

– A co do samochodu...

– Charlie Tompkins prowadzi garaż przy North Wooster, tuż za Braćmi Garver.

Kobieta wskazała mu kierunek.

– Jeśli ktokolwiek mógłby tu panu pomóc, to tylko on. Dziękuję za dokonanie zakupów w Walgreen.

Zastanawiał się, czy to samo powiedziałyby do jaszczurów, gdyby nie wszedł i nie przerwał jej. Pewnie tak. Nic nie było w stanie ją zaskoczyć. Kiedy wręczył jej pustą butelkę, wystukała sumę na kasie, otworzyła ją i wręczyła mu centa.

– Pański zastaw.

Rozbawiony schował monetę do kieszeni. Zastaw nie poszedł w górę razem z ceną. Strasburg był za mały, żeby się w nim zgubić. Bez trudności znalazł North Wooster. Ogromny szyld głosił, że tu jest sklep Braci Garver. Tablica przed miastem, w odróżnieniu od wielu innych podobnych tablic, nie przesadzała. Sklep rozciągał się na przestrzeni dwóch akrów. Na położonym z boku parkingu było miejsce dla czterystu samochodów. Teraz nikt tam nie parkował. To nie znaczy, że parking był pusty. Ciężarówki ignorowały białe linie namalowane na betonie. Takich wozów Jens jeszcze nie widział: były większe, miały bardziej opływowe kształty. Były też bardziej ciche. Kiedy jedna z nich odjeżdżała, nie słychać było ryku motoru, a z rury wydechowej nie unosił się dym. Jaszczury pładowały Braci Garver. Dwa stały przed sklepem z karabinami w pogotowiu na wypadek, gdyby tłumek ludzi zgromadzony po drugiej stronie zachował się niesfornie. W obliczu takiej siły ognia nikt jakoś nie przejawiał skłonności wichrzczyelskich. Jens wmieszał się w tłum. Kilkoro ludzi przyglądało mu się z boku. Był obcy, przez wielkie O. Zanim poszedł do college'u wychowywał się w małym miasteczku; wiedział, że mógłby tu mieszkać przez dwadzieścia lat i nadal pozostawałby obcy, choć wtedy pewnie przez małe o.

– Co za draństwo – powiedział ktoś.

Ktoś inny przytaknął. Larssen się nie odzywał. Jego opinia – jako kogoś spoza miasteczka – była automatycznie bezwartościowa. Po prostu stał i patrzył. Jaszczury wiedziały, czego im potrzeba. Wychodziły ze sklepu ze zwojami miedzianego drutu zwisającymi im z łuskoskórych ramion. Wynosiły ręczne narzędzia wszelkich rodzajów, wywoziły na wózkach generator elektryczny i tokarkę. Jens starał się znaleźć metodę w tej grabieży. Z początku nie widział żadnej. Potem uświadomił sobie, że większość rzeczy, które wynoszą jaszczury, to narzędzia służące do produkcji. Podrapał się w głowę. Nie wiedział, co o tym sądzić. Mógł to być znak, że najeźdźcy zadomowili się

na dobre. Mogło to również znaczyć, że kończyły im się zapasy i musiały je uzupełniać tym, co zdołały ukraść. Jeśli to prawda, to była to krzepiąca nowina.

– Są po prostu bandą cholernych złodziei, ot co – powiedział ktoś, gdy odjechała następna ciężarówka.

Pozostali mrużeniem wyrazili swoje poparcie dla tego sądu. Tym razem nawet Larssen skinął głową. Bez względu na powód, dla którego jaszczury opróżniały sklep Braci Garver, robiły to dobrze i fachowo. Wooster Street, w stronę sklepu jechał wóz. Była to ciągnięta przez konie bryka. Powoził nią brodacze w kapeluszu z szerokim rondem. Zajechał na parking z taką nonszalancją, jakby zamiast obłych ciężarówek jaszczurów stały tam fordysy i chryslery. Założył koniom torby z obrokiem na pyski i podszedł do strzeżonego wejścia.

– Ten członek bractwa Amishów przyjeżdża do Braci Garver od lat – ktoś zauważył.

– Chciałbym mieć taką bryczkę – dodał ktoś inny.

– Koniowi wystarczy trawa. Mój samochód ni cholery by się tym nie zadowolił.

Jaszczury z karabinami zastawiły Amishowi drogę. Coś im powiedział. Mówił cicho i był odwrócony plecami. Larssen nie dosłyszał słów. Tak, czy inaczej, najwyraźniej szukał guza. Do drzwi podszedł jeden jaszczur. Chyba mówił po angielsku, bo farmer zwrócił się do niego pomijając wartowników. Ku zaskoczeniu Jensa, kosmici rozstąpili się i wpuścili brodacza. Wyszedł po kilku minutach ze szpadlem, kilofem i zwojem czarnego materiału. Skłonił się uprzejmie jaszczurom, kiedy przechodził obok nich. Wspiął się na wóz i odjechał. Nie chciał niczego, czego one potrzebują, więc pozwoliły mu się zaopatrzyć, pomyślał Jens. To było sprytne z ich strony. Być może farmer nie widział specjalnej różnicy między jaszczurami a kimkolwiek innym, kto nie podzielał jego rygorystycznej wiary. Idea życia w prostym, uporządkowanym świecie rządzącym się surowymi prawami przemawiała do Larssena: jako fizyk miał dobre zdanie o porządku, prawie i przewidywalności. Ale narzędzia, których używał szukając prawideł w otaczającej go rzeczywistości, były oczywiście bardziej złożone niż kilof i łopata. To przypomniało mu, po co tu przyszedł.

– Czy warsztat Charlie Tompkinsa jest otwarty? – zapytał.

– Nie, w tej chwili nie – odparł facet, który nazwał jaszczury złodziejami.

– Z tego powodu, że to ja jestem Charlie Tompkins. Co mogę dla ciebie zrobić, przybyszu?

– Zepsuł mi się samochód jakieś półtora kilometra od miasta – odparł Larssen.

– Jest szansa, że go obejrzysz? Mechanik roześmiał się:

– Czemu nie? Nie mogę powiedzieć, żebym ostatnio narzekał na nadmiar zajęć – chyba to widać. A co się stało z twoim wozem?

Kiedy Jens opisał symptomy, Tompkins zmartwił się.

– To nie brzmi dobrze. No cóż, zobaczymy. Wpadniemy do mojego sklepu. Wezmę trochę narzędzi.

Tak, jak powiedziała kobieta w sklepiku, warsztat znajdował się tuż za sklepem Braci Garver. Tompkins wziął skrzynkę z narzędziami. Nie wyglądała na lekką, więc Larssen powiedział:

– Poniosę, jeśli chcesz. Mamy kawałek drogi.

– Nie martw się o to. Chodź ze mną.

Mechanik zaprowadził Larssena do roweru z uchwytami przyspawanymi do ramy. Rączka skrzynki pasowała świetnie do uchwytów. Tompkins wsiadł na rower i gestem zaprosił Larssena.

– Siadaj za mną. W ten sposób nie zużywam benzyny. Poza tym, rower ma mniej części niż samochód. Łatwiej mi jest go naprawić, gdy się zepsuje. Wszystko to dobrze brzmiało, ale Larssen nie jechał na bagażniku roweru odkąd ukończył trzecią klasę.

– Wytrzyma nas dwóch? – zapytał. Tompkins roześmiał się:

– Woziłem już większych od ciebie, przyjacielu. Jesteś wysoki, ale cienki jak ołówek. Nie będzie kłopotów, przyrzekam.

I rzeczywiście, prawie nie było kłopotów. Te, które się im przytrafiły wynikały z faktu, że Larssen od tak wielu lat nie jeździł na rowerze i musiał początkowo uczyć się utrzymywania równowagi. Charlie Tompkins znosił to bez słowa. Tym bardziej było to kłopotliwe.

– Skąd pan jest? – zapytał Tompkins, kiedy przejeżdżali koło tablicy witającej przyjezdnych w Strasburgu.

– Z Chicago – odparł Larssen.

Mechanik odwrócił głowę. Larssenowi wydało się to dziwne, ale nic nie powiedział. Po chwili, Tompkins znów skierował wzrok na drogę.

– I teraz wracasz tam, skąd przybyłeś? – zapytał przez ramię.

– Tak, o co chodzi?

– O nic, naprawdę – Tompkins pedałowal przez kilka sekund w milczeniu. Wreszcie odezwał się smutnym tonem.

– Może nie będziesz chciał tego tutaj powiedzieć – Chicago nadal jest wolne, prawda? No pewnie, że tak. Prawdopodobnie jaszczury nie powinny dowiedzieć się, że tam jedziesz.

– A skąd jaszczury...

Larssenowi uciekł głos.

– Sądzisz, że ludzie mogliby im powiedzieć?

Wiedział, że wśród ludzi byli kolaboranci: Chińczycy, Włosi, Brazylijczycy, Żydzi. Ale aż do tej chwili nie wyobrażał sobie, że kolaborant mógłby się znaleźć również wśród Amerykanów. Teraz myślał, że to była naiwność z jego strony. Najwyraźniej tak było.

– Niektórzy ludzie zrobią wszystko, żeby być w dobrych stosunkach z szefem, bez względu na to, kto nim jest – powiedział Tompkins.

– Inni dostają wtedy w skórę. Nie był specjalnie zainteresowany tym tematem. Nie wchodził w szczegóły. Podniósł rękę z kierownicy i pokazał przed siebie.

– To twój samochód, ten plymouth?

– Tak, to on.

– Okay, popatrzmy, co my tu mamy.

Tompkins zatrzymał się trąc obcasami o asfalt. Obaj zsiadli z roweru. Mechanik odczepił skrzynkę z narzędziami i podszedł do zepsutego samochodu. Otworzył maskę, potem nachylił się, popatrzył na silnik i zagwizdał.

– Panie, cholernie przykro mi to powiedzieć, ale masz pan pęknięty blok silnika.

Zaraz znowu gwizdnał.

– Zjechałeś pan zawory na amen. Samo gówno. Przepraszam za moją „francuszczyznę”. Co za świństwo nalałeś pan do baku?

– Co miałem pod ręką i mogło się palić – odparł uczciwie Larssen.

– Wiem, jak to jest i co się porobiło, ale Jezu, nawet w dobrych czasach nie mógłbym sam naprawić tego cholernego sukinsyna. A teraz to go na pewno nie naprawię. Cholernie przykro jest mi to panu mówić, ale nie będę kłamać.

– Więc jak ja wrócę do Chicago? – to nie było pytanie do Tompkinsa.

Larssen kierował je w próżnię. Ostatnim razem, kiedy jechał przez Ohio, jaszczurów jeszcze nie było tak daleko na północy. A i samochód miał w dobrym stanie.

– Jakbyś poszedł na piechotę, to byś w końcu doszedł – powiedział Tompkins.

– Ile tego jest? Pięćset, może sześćset kilometrów? Da się radę.

Jens, przerażony, gapił się na mechanika. Co najmniej dwa tygodnie włączyć. Bardziej prawdopodobne, że miesiąc. Do tego unikanie obszarów kontrolowanych przez jaszczury. I unikanie spotkań z bandytami. Zbliżała się zima. Niebo już nie było takie błękitne, jak w pełni lata. Do czasu, kiedy wróci jeśli wróci – Barbara będzie myślała, że umarł. Jego oko spoczęło na rowerze Tompkinsa.

– Coś ci powiem. Wymienię swoje cztery kółka na twoje dwa. Będiesz mógł wykorzystać dobre części do innych samochodów. Zanim przybyły jaszczury, zamiana dwuletniego plymoutha za stary rower byłaby objawem szaleństwa. Ale zanim przybyły jaszczury, można było naprawić zepsuty samochód. Zanim przybyły jaszczury samochód nie zepsułby się, bo Jens nie zajeździłby go do tego stopnia. Charlie Tompkins patrzył to na rower, to na samochód. Powoli pokręcił głową.

– W czym rzecz? Idziesz pan do Chicago i chcesz pan taszczyć samochód na plecach? I tak go będę miał na części, choćbym panu nie oddał roweru.

– Ty...

Larssen miał ochotę zamordować mechanika. Siła tego uczucia przerażyła go. Omal nie zwymiotował. Pomyślał, ile morderstw zdarzyło się w Stanach i na całym świecie odkąd jaszczury wprowadziły tu taki chaos. Czasy były coraz bardziej niebezpieczne, ryzyko kary coraz mniejsze... więc dlaczego nie zabić, jeśli się musi? Żeby zwalczyć pokusę wepchnął ręce głębiej w kieszenie. Pomiędzy kluczami i drobnymi jego palce wyczuły zapalniczkę. W odróżnieniu od plymoutha ona będzie działać, wiecznie chyba że zabraknie mu kamieni. Można ją napełniać bimbrem i będzie lepiej funkcjonować niż samochód. Wyciągnął ją nagłym ruchem i otworzył wieczko. Zbliżył kciuk do kółka.

– Jak mi nie sprzedasz swojego roweru, to spalę samochód. Ciekawe, czy ci się to spodoba, Charlie?

Mechanik zaczął sięgać po klucz francuski leżący w skrzynce z narzędziami. Larssenowi zabrakło śliny. Nie on jeden myślał tu o morderstwie. Nagle, Tompkins wstrzymał dłoń. Jego śmiech zabrzmiał nienaturalnie, ale w końcu był to śmiech.

– Cholerne czasy – powiedział. Jens przytaknął.

– W porządku, Larssen. Bierz rower. Mam nadzieję, że znajdę sobie inny.

Larssen odprężył się troszkę. Jego zapalniczka mogła podpalić samochód, ale nie nadawała się do obrony przed kluczem francuskim. Przeszedł na tył samochodu i otworzył bagażnik. Wyjął mniejszą z dwóch walizek i kłębek szpagatu. Przywiązał walizkę do bagażnika rowerowego, ściągnął kluczyk z kółka i rzucił go Charliemu Tompkinsowi. Przerzucił nogę nad siodełkiem, jakby chciał dosiąść konia. Niezbyt szło mu utrzymanie równowagi. Udało mu się jednak utrzymać w pionie. Po przejechaniu około dwustu metrów zaryzykował i obejrzał się przez ramię. Tompkins już grzebał w jego drugiej walizce. Zachmurzył się i popedałował dalej. U-2 terkotał w ciemnościach nocy. Leciał tak nisko, że chwila nieuwagi, albo nie dostrzeżony w porę pagórek mogły kosztować Ludmiłę Gorbunową życie. Kukuruźnik okazał się sowiecką superbronią w wojnie przeciwko jaszczurom. Nowsze samoloty radzieckiego lotnictwa wojskowego, szybsze i lepiej uzbrojone, zniknęły już z nieba. W ich konstrukcji było za dużo metalu, miały też wyższy pułap minimalny. Wychodzący z użycia mały dwupłatowiec treningowy, dzięki temu, że był zbyt mały i powolny, za nisko latający, żeby można go było zauważyć, nadal pełnił służbę. Podmuch powietrza chłodził zaopatrzoną w okulary lotnicze twarz Ludmiły. W powietrzu czuło się jesień. Każdego dnia mogły się zacząć deszcze. Pilotka wykrzywiła wargi w szyderym uśmiechu. Roztopy i błota mocno zaszkodziły Niemcom w ubiegłym roku. Zastanawiała się, jak pojazdy pancerne jaszczurów dadzą sobie radę w

śliszkiej zupie, w którą przemienia się drogi. Przez moment myślała też o tym, co zrobiły władze z tymi dwoma Niemcami, których zabrała z kołchozu. Śmiertelni wrogowie nagle stali się sojusznikami. To było niepokojące. Podobnie jak to, co zauważyła – że naziści są ludźmi takimi jak i jej towarzysze broni. Lepiej było, kiedy widziała ich z wysokości swojego kukuruźnika, odzianych w mundury feldgrau, rozbiegających się jak robaczki pod ogniem jej karabinów maszynowych. Spojrzała na mapę leżącą na kolanach. Światła z tablicy rozdzielczej pozwalały przyjrzeć się zaznaczonej trasie przelotu. Leciała nad rzeką. Rzut oka na zegarek powiedział jej, jak długo jest już w powietrzu. Tak, to powinna być Słoweczna. To znaczy, że musi teraz skręcić nieco na południe.. Zaczęła szybko oddychać, kiedy spostrzegła przed sobą światła na horyzoncie. Niektóre jaszczury nadal miały głupi zwyczaj oświetlania w nocy swoich obozowisk. Może im się zdawało, że zabezpiecza je to od ataku z ziemi. Jeśli wziąć pod uwagę zasięg i siłę rażenia ich broni, to może miały rację. Ludmiła nie była marszałkiem Związku Radzieckiego i nie wiedziała wszystkiego o taktyce walki naziemnej. Ale wiedziała, że łatwiej się strzela kiedy cel jest oświetlony. Nie mogła zyskać wysokości, by potem ześlizgnąć się bezszelestnie i zaatakować, tak jak to było, gdy walczyła z hitlerowcami. Samoloty, które atakowały jaszczury z większej wysokości spadały na ziemię w kawałkach. Leć nisko, a może ci się uda; ta lekcja wymagała wielu ofiar. Ryzyko było niemałe. Jej pułk lotniczy został zdziesiątkowany. Tylko trzech, czy czterech pilotów, których znała, nadal latało. Pułk dawno już został rozproszony. Wielkie zgrupowania samolotów na ziemi przyciągały jaszczurów jak magnes. Kukuruźniki latały teraz pojedynczo albo po dwa, ale nigdy w formacji. Oświetlony teren był coraz bliższy i większy. Położyła palec na spuście karabinów maszynowych. Najpierw wypatrzyła coś, co wyglądało jak wyrzucenie gruntu, ale kiedy podleciała bliżej okazało się, że są to jakieś pojazdy przykryte siatką kamuflującą. Pomyślała, że to ciężarówki. Czołgi należące do jaszczurów, odporne na broń, którą dysponowali ludzie, rzadko były starannie maskowane. Nacisnęła spust. Zaczęły ujadać karabiny maszynowe przywieszzone pod skrzydłami. Mały U-2 trząsnął się jak liść na jesiennym wietrze. Linie kreślone przez naboje świetlne ułatwiały jej naprowadzanie ognia na cel. Jaszczury zaczęły się ostrzeliwać niemal natychmiast. Mieli więcej broni niż Niemcy. Sądząc po błyskach ognia wydostającego się z luf, można by pomyśleć, że do Ludmiły strzela dziesięć tysięcy automatów. Pokryte materiałem skrzydła kukuruźnika wydawały wesołe trzaski, kiedy uderzały w nie kule. Jedna z ciężarówek wyleciała w powietrze w białoniebieskiej kuli, jaką dawał wybuch wodoru, tak różny od pomarańczowych płomieni wybuchającej benzyny. Ludmiła, przelatując nad celem, poczuła na policzkach podmuch gorąca. Mało nie straciła panowania nad samolotem. Musiała przez chwilę mocować się z orczykiem i pedałami. Pierwszy wybuch wywołał następne. Paliło się coraz więcej ciężarówek. Ludmiła wycisnęła z maszyny całą jej niewielką moc i zanurkowała w przyjazne ciemności. Kilka jaszczurów nadal do niej strzelało, ale reszta biegła, by ugasić pożar. Kiedy noc okryła ją swą ciemnością, zdjęła na chwilę rękę z orczyka i uderzyła się z radości w udo. Tym razem zadała im bobu. Teraz trzeba znaleźć drogę powrotną. Nawigację w nocy trudno jest określić jako łatwą. Wyprostowała kurs. Leciała według azymutu 047. W ten sposób doleci gdzieś w okolice bazy. Spojrzała na zegarek i szybkościomierz, najważniejsze, obok kompasu, przyrządy nocnej nawigacji. Po jakichś pięćdziesięciu minutach zaczęła krążyć i szukać światła lądowiska. Sam fakt, że przeżyła ten lot przyprawiał ją o dumę. I przywodził pamięć tych wszystkich przyjaciół, którzy już nigdy nie polecą. Ta myśl szybko zniweczyła jej uczucia radości. Pozostało tylko zmęczenie i cierpki osad strachu. Albo była lepszym nawigatorem niż myślała, albo miała więcej szczęścia, bo już po kilku okrążeniach dostrzegła przyćmione światło latarek. Były tak ustawione, żeby nie można ich było wysledzić z większej wysokości. Czerwone lotnictwo nauczyło się od Luftwaffe, czym to grozi. Ta lekcja świetnie się

przydała w walce przeciwko jaszczurom. Do lądowania podchodziła bardzo ostrożnie. Tymczasowy pas startowy trudno było nazwać równym. Wylądowała w sposób, który wzbudziłby pogardę jej instruktora. Było jej wszystko jedno. Była na ziemi, między swoimi. Była bezpieczna – do następnego zadania. Nie chciało się jej myśleć o tym. Nie teraz. Ledwie wydostała się z U-2, obsługa naziemna zaczęła ciągnąć samolot w ukrycie. Kobieta-mechanik wskazała na dziury po kulach. Ludmiła wzruszyła ramionami.

– Załatajcie je, jeśli będzie sposobność, towarzyszeko. Jestem cała i samolot też.

– To dobrze – odpowiedziała kobieta.

– Aha, w bunkrze jest dla ciebie list.

– List?

– Od kogo? – zapytała z ciekawością Ludmiła

Poczta, bardzo kapryśna od wybuchu wojny, popadła w stan zupełnego chaosu, odkąd jaszczury zastąpiły hitlerowców.

– Nie wiem. Jest w kopercie, a na niej nic nie jest napisane – odpowiedziała kobieta-mechanik.

– W kopercie? Naprawdę?

Te rzadkie listy, które Ludmiła dostawała kiedyś od braci, ojca i matki pisane były na pojedynczych kartkach papieru, które potem składano. Jej nazwisko i numer jednostki nagryzmołone były na odwrotnej stronie kartki. Odkąd przybyły jaszczury, dostała tylko jeden list – trzy pośpiesznie skreślone linijki od brata Igora. Dawał jej znać, że żyje.

– Ciekawe, kto się tak wzbogacił – powiedziała i podreptała w stronę bunkra.

Zasłony w wejściu nie przepuszczały światła świec na zewnątrz. Jewdokia Kaszerina podniosła wzrok znad munduru, który właśnie cerowała.

– Jak poszło? – zapytała z zainteresowaniem kolegi-pilota.

Niewiele to miało wspólnego z formalnymi raportami, które składano kiedyś po wykonaniu zadania. Ale radzieckie lotnictwo wojskowe było zbyt rozproszone i zdziętkowane, żeby zwracać większą uwagę na formalności.

– Nieźle – powiedziała Ludmiła.

– Spaliłam kilka ciężarówek. Nie były dobrze zamaskowane. I wróciłam żywa. A teraz, co z tym listem?

– Leży tam, na twoim kocu – powiedziała Jewdokia wskazując ręką.

– Chyba nie sądzisz, że ktoś by się ośmielił coś z nim zrobić, co?

– Niechby tylko spróbował – odparła gwałtownie Ludmiła.

Obie kobiety roześmiały się. Ludmiła podbiegła do pryczy. Czysta biel koperty odbijała się wyraźnie od tła granatowego koca. Schwyciła list i podniosła do światła. Spodziewała się, że na pierwszy rzut oka rozpozna charakter pisma i dowie się, kto pisze zanim zacznie czytać. Jak dobrze byłoby dostać wiadomość od rodziny... Ale ku jej zaskoczeniu i rozczarowaniu, pismo nie było jej znane. Doprawdy, nazwać to pismem było przesadą. Jej nazwisko i numer jednostki nabazgrane były tak, jakby wyszły spod ręki ośmiolatka.

– Od kogo to? – zapytała Jewdokia.

– Jeszcze nie wiem – odparła Ludmiła.

– Sekretny wielbiciel, Ludmiło Wadimowna? – roześmiała się Jewgenia, druga pilotka.

– Cicho – Ludmiła rozdarła kopertę i wyciągnęła kawałek papieru.

I tutaj litery były dziwne. Przez moment nie była w stanie ich odczytać. Nagle zdała sobie sprawę, że to inny język i inny alfabet: list pisany był po niemiecku. Jej pierwszą reakcją był strach. Zanim przybyły jaszczury, list pisany po niemiecku przyniósłby jej enkawudzista o zaciętym wyrazie

twarzą jako pewny dowód zdrady. Ale cenzorzy musieli widzieć, co tu jest napisane i postanowili list przepuścić. Chyba sobie nie zaszkodzi, jeśli go przeczyta. „Do dzielnej pilotki, która wyciągnęła mnie z kołchozu”. Słowo kołchoz napisane było cyrylicą, stylem ośmiolatka. „Mam nadzieję, że miewa się Pani dobrze, jest bezpieczna i zwalcza jaszczury. Piszę prostym językiem, bo wiem, że Pani niemiecki jest nieco szkolny, choć znacznie lepszy od mojego rosyjskiego. Jestem teraz w Moskwie, gdzie współpracuję z Pani rządem, żeby znaleźć nowe sposoby walki z jaszczurami. To będzie...” Kilka słów było gładko wyciętych. A więc cenzor miał ten list w rękach. Strach powrócił: gdzieś w Moskwie jej nazwisko pojawiło się w dossier za to, że dostaje listy od Niemca. Dopóki Niemcy i Związek Radziecki wspólnie walczą przeciwko jaszczurom, dossier nie będzie miało znaczenia. Kiedy się rozejdą... Ludmiła czytała dalej:

„Mam nadzieję, że pewnego dnia znowu się zobaczymy. Może tak się stanie, ponieważ...”, cenzor wyciął następny kawałek. List już się kończył. „Pani kraj i mój były wrogami, sojusznikami, wrogami i znowu sojusznikami. Życie jest dziwne, prawda? Mam nadzieję, że Pani i ja nie będziemy wrogami.” Podpis był nieczytelny. Nie mogła odczytać, czy jest tam napisane Heinrich Jager, ale to było z pewnością jego nazwisko. Pod spodem, czytelnie, było dopisane: „major, 16. Dywizja Pancerna”. Długo patrzyła na ten kawałek papieru. Starła się uporać z własnymi uczuciami. Był uprzejmy, ładnie mówił, nie był najbrzydszym mężczyzną, jakiego widziała... był nazistą. Jeśli odpowie na jego list, w dossier znajdzie się następna notatka. Była tego równie pewna, jak tego, że jutro wstanie słońce.

– I co? – zapytała Jewgenia nie mogąc doczekać się komentarza.

– Miałaś rację Jewgenio Gawryłowna... to jest od sekretnego wielbiciela.

Jewgenia nieuprzejmie się roześmiała:

– To musi być pewnie kuzyn diabła.

– Jak się tego domyśliłaś?

Rozdział XI

Pocisk wpadł z wyciem w środek modrzewiowego zagajnika na południe od Shabbona, w stanie Illinois. Mutt Daniels rzucił się na ziemię. Odłamki drewna i jeszcze groźniejsze odłamki metalu przeleciały mu z gwizdem nad głową.

– Staję się za stary na to gównu – mruknął Daniels do siebie.

Stado nocnych czapli – „krzykaczy”, jak je nazywali miejscowi po hałasie, jaki czyniły – wzbiło się w panice w powietrze. Były to ładne ptaki, miały ponad sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, długie, żółte nogi, czarne, albo ciemnozielone głowy i grzbiety, perłowoszare skrzydła. Skrzecząc z całych sił, odleciały jak najszybciej na południe. Mutt przysłuchiwał się zanikającemu skrzeczeniu, ale nie patrzył w górę. Za bardzo był zajęty pogłębianiem dołu, który już wcześniej zaczął kopać w błotnistej ziemi pod modrzewiami. Minęło już wiele czasu odkąd wrócił z Francji. Zdążył zapomnieć, jak szybko się kopie, kiedy leży się na brzuchu. Tuż obok zagajnika wybuchł następny pocisk. Kilka czapli, które nie odleciało po pierwszym wybuchu, uczyniło to teraz. Z dziury wykopanej o kilka stóp od Daniela odezwał się sierżant Schneider.

– Pewnie nie wrócą tu w tym roku.

– Kto?

– Czaple – wyjaśnił Schneider.

– Zazwyczaj odlatują na południe wcześniej. Wracają w kwietniu i znów odlatują kiedy zaczyna się jesień.

– To tak, jak zawodnicy – powiedział Daniels.

Wyrzucił jeszcze trochę ziemi saperką.

– Mam złe przeczucie, że ten zagajnik nie będzie już taki sam, kiedy przylecą na pomoc po wiosennym treningu w przyszłym roku. Można by powiedzieć, że razem z jaszczurami przeżywamy ten krajobraz.

Nie usłyszał odpowiedzi sierżanta. Wokół nich wybuchła salwa pocisków. Obaj skulili się w swoich norach. Głowy trzymali wciśnięte w ziemię. W ustach czuli smak błota. Wtedy ze wschodu, spoza zagajnika, odezwała się artyleria amerykańska. Ostrzeliwała pozycje jaszczurów wzdłuż autostrady nr 51. Tak jak we Francji, Mutt miał nadzieję, że ciężkie działa obu stron będą się ostrzeliwały nawzajem i zostawią w spokoju biedną nieszczęśliwą piechotę. Pod osłoną ognia obok zagajnika przejechały czołgi. Starły się odepchnąć oddziały czołowe jaszczurów napierające ciągle na Chicago. Daniels podniósł na chwilę głowę. Niektóre z nich, czołgi Lee miały małą wieżę i ciężkie działa wystające z czołowego pancerza. Ale najwięcej było shermanów. Ich główne uzbrojenie znajdowało się w wieży. Wyglądały jak czołgi jaszczurów, przed którymi Daniels wycofywał się od początku działań.

– Im są bliżej Chicago, tym więcej sprzętu na nie rzucamy – krzyknął do Schneidera.

– Tak. I pomaga nam to jak cholera – odpowiedział drugi weteran.

– Gdyby tak bardzo się nie rozciągnęli i nie chcieli za jednym zamachem podbić całego świata, to już dawno bylibyśmy martwi. A może im nie zależy na zdobyciu Chicago i dlatego poruszają się wolniej niżby mogli.

– Jak to: nie zależy im? A to dlaczego? – zapytał Mutt.

Dla niego strategia to była gra: rzut piłką i bieg. Kiedy po zawieszeniu broni w 1918 roku wrócił do domu, zrobił co mógł, żeby zapomnieć o wojskowym znaczeniu tego pojęcia. Ale Schneider był zawodowym żołnierzem. Chociaż był tylko podoficerem, wiedział jak funkcjonuje cała armia.

– Czego bronimy w Chicago? To jest węzeł komunikacyjny, prawda? Miejsce, gdzie schodzą się wszystkie drogi i linie kolejowe, a do tego dochodzi żegluga po jeziorze i rzece. Jaszczury zniszczyły już cały system komunikacyjny korzystając ze swojej przewagi w powietrzu – powiedział sierżant.

Daniels wskazał na zbliżające się amerykańskie czołgi.

– A skąd się one biorą? Musiały jakoś dostać się do Chicago, albo by ich tutaj nie było.

– Prawdopodobnie na statku – odparł Schneider.

– Słyszałem, że jaszczury nie bardzo wiedzą, jak to jest ze statkami. To coś nam mówi o świecie, z którego przybyły, jak myślisz?

– Niech mnie diabli, ale nie wiem – Mutt popatrzył na sierżanta Schneidera z pewnym zaskoczeniem.

Mógł się spodziewać takiej uwagi od Sama Yeagera, który czytywał o potworach, zanim ludzie dowiedzieli się, że coś takiego istnieje. Ale sierżant miał jednostronny umysł wojskowego. Co się stało, że zaczął się zastanawiać nad innymi planetami, czy jak to tam nazwać? Jakby odpowiadając na to pytanie, które Mutt zadał sobie w myśli, Schneider odezwał się:

– Im więcej wiemy o jaszczurach, tym lepiej możemy z nimi walczyć, prawda?

– Myślę, że tak – odparł Daniels, który nie myślał o tym w takich kategoriach.

– A skoro już mowa o walce, to powinniśmy pójść naprzód, żeby dać jakieś wsparcie tym czołgom.

Schneider wygramolił się z dziury, krzyknął i machnął ręką, żeby inni żołnierze w zagajniku zrozumieli, o co mu chodzi. Potem wybiegł na otwarte pole. Daniels poszedł wraz z innymi za sierżantem. Po wyjściu ze swego pośpiesznie wykopanego schronu czuł się nagi i odsłonięty. Przeżył niejedną ostrzał – teraz i w 1918 roku. Wiedział, że takie schrony dają tylko złudzenie bezpieczeństwa, ale złudzenia też mają swoje znaczenie. Gdyby nie one, nikt nie chciałby pójść na wojnę. Górą leciały na zachód amerykańskie pociski. W miarę jak oddalały się od Mutta, ton ich wycia był coraz słabszy i niższy. Kiedy usłyszał wznoszący się ton, rzucił się do rowu. Dopiero kilka sekund później dotarło do jego świadomości, że ten dźwięk wydawał nadlatujący pocisk jaszczurów. Ciało szybciej reagowało niż głowa. Widział to często w czasie meczów, kiedy trzeba stanąć i pomyśleć co masz zrobić, ładujesz się w kłopoty. Pocisk wybuchnął kilkaset metrów za nim, pomiędzy zbliżającymi się lee i shermanami. Wybuch miał dziwny odgłos. Daniels nie miał czasu na myślenie, bo za pierwszym pociskiem nadleciały cztery następne. Przeklinając siebie i Schneidera za to, że wyszli z ukrycia, usiłował się znowu okopać leżąc płasko na brzuchu. Ogień zaporowy zbliżał się do nich. Chciałby być kretem albo świstakiem – jakimkolwiek stworzeniem, które kopie jamy głęboko pod ziemią i nie musi się kłopotać wychodzeniem na powierzchnię. Słyszał w uszach świst własnego oddechu. Serce dudniło mu w piersi tak mocno, jakby chciało się wyrwać

– Jestem za stary na to gówno – wystękał.

Ogień jaszczurów ominął go. Przypomniawszy sobie, że i szkopska artyleria nie zwracała uwagi na jego przekleństwa. Pociski po chwili przestały wybuchać. Jedyna dobra rzecz w przedzieraniu się przez ogień zaporowy jaszczurów to fakt, że nie trwał on całymi dniami, jak ostrzał artylerii niemieckiej w 1918 roku. Może najeźdźcom brakuje amunicji, żeby wzniecić takie piekło. A może nie muszą tego robić. Ich ogień był tak dokładny i śmiertelny, że szkopy nie mogły wtedy o tym nawet marzyć. Kiedy Daniels ostrożnie podniósł głowę, zobaczył, że pole przypomina krajobraz księżycowy. Przed nim płonęło kilka czołgów. Na jego oczach ogień i dym buchnęły z następnego.

– Jak one to robią? – powiedział Daniels do siebie.

Czołgu nie trafił żaden pocisk. Był tego pewien. To było tak, jakby jaszczury miały sposób na wkładanie min przeciwczołgowych do swoich pocisków. Zanim najeźdźcy przybyli z Marsa, czy

diabli wiedzą skąd jeszcze, wyśmiałyby taki pomysł. Teraz się nie śmiał. W jaszczurach nie było niczego śmiesznego. O parę metrów przed jego nowym okopem, na wpół ukryta w żółknącej trawie leżała błyszcząca niebieska kula, trochę mniejsza od piłki baseballowej. Daniels był pewien, że nie było jej tutaj zanim rozpoczął się ostrzał. Sięgnął ręką, żeby ją podnieść i obejrzeć. Nagle cofnął rękę, jakby kula warknęła na niego.

– Nie wygłupiaj się, skoro nie wiesz co to jest – ofuknął się na głos.

Ta kulka nie wyglądała na minę, ale to nie znaczy, że nią nie była. Był pewien, że jaszczury nie wystrzeliły jej w jego kierunku z dobroci serca, skoro zapewne nie miały tego narządu wewnętrznego.

– Niech saper przy tym podłubie. To zajęcie dla niego.

Mutt okrążył kulę szerokim łukiem, kiedy znów poszedł naprzód. Nie posuwał się tak szybko, jakby chciał. Patrzył pod nogi wypatrując innych kul. Huk i krzyk po prawej stronie powiedziały mu, że jego ostrożność nie była daremna. Przed nim, nieco z lewej strony, sierżant Schneider szedł równym krokiem, jak maszyna. Daniels chciał go ostrzec, ale spostrzegł, że sierżant idzie szybciej od niego i także uważnie patrzy, gdzie stawia nogi. Żołnierze w czasie wojny niewielkie mają szansę, że się zestarzeją, ale Schneider nie wyglądał na takiego, który zginie przez własną głupotę. Nieco dalej następny czołg wjechał na minę. Był to sherman. Stał w płomieniach. Pięciosobowa załoga zdążyła wyskoczyć zanim zaczęła wybuchać amunicja. Pozostałe pojazdy pancerne w obawie przed tym, że podzielą los kolegów zwolniły tempa.

– Naprzód! – krzyknął sierżant Schneider, nie wiadomo, czy przemawiał do ociągających się czołgów, czy do piechoty, która także posuwała się wolniej.

– Musimy się ruszać. Jak zalegniemy na otwartej przestrzeni, to urządzą nam jatkę.

To była prawda. Mutt pobiegł za sierżantem, ale wkrótce zaczął się rozglądać za miejscem, w którym mógłby się okopać. Mimo niezłomnej woli Schneidera, natarcie traciło rozpęd. Sierżant spostrzegł to po przebiegnięciu kilkuset metrów. Kiedy zatrzymał się i wyjął saperkę, inni poszli za jego przykładem. Pajęczyna okopów rozpełzła się po polu. Daniels przez pół godziny poszerzał swoją dziurę, żeby połączyć się z jamą wykopaną przez żołnierza z prawej strony. Nagle zdał sobie sprawę, że jaszczury powstrzymały amerykański kontratak, nawet nie wychodząc z okopów. To nie było pocieszające. Atvar studiował mapę działań w północnej części Tosev 3.

– To nie przedstawia się dobrze – powiedział.

– Wielkie Brzydale ciągle psują nam szyki. Musimy efektywniej niszczyć ich bazę przemysłową. Ciągłe o tym mówię i niczego się nie robi. Dlaczego?

– Dostojny panie floty, sytuacja nie jest taka zła, jak ją widzisz – powiedział uspokajająco Kirel.

– Rzeczywiście, nie wszystkie fabryki nieprzyjaciela zostały zniszczone, ale uszkodziliśmy system dróg i linii kolejowych do tego stopnia, że transport surowców i produktów jest znacznie utrudniony, o ile w ogóle możliwy. Atvar nie dał się ułagodzić.

– Podbój tej planety też jest utrudniony, o ile w ogóle jest możliwy – powiedział z sarkazmem pan floty i wyciągnął palec w stronę planu miasta nad brzegiem jeziora.

– To miejsce powinno poddać się już jakiś czas temu.

Kirel nachylił się i przeczytał nazwę miasta:

– Chicago? Być może, dostojny panie floty, ale dotąd sprawiliśmy, że jako węzeł komunikacyjny jest bezużyteczne dla Wielkich Brzydali.

Pogarszająca się pogoda nie sprzyjała naszej sprawie. Pomimo wszystkich trudności nasza ofensywa posuwa się do przodu.

- Jak ledwie wyklute pisklę – zakpił Atvar.
- Miasto powinno upaść przed pogorszeniem się pogody.
- Być może, dostojny panie floty – powtórzył Kirel.
- Ale Wielkie Brzydale bronią go z nadzwyczajnym uporem, a pogoda jest teraz rzeczywiście gorsza. Jeśli wolno mi będzie...

Nacisnął guzik pod ekranem. Pan floty zobaczył, jak z pochmurnego nieba pada deszcz zamieniając ziemię w ciężkie brunatne ciasto. Wielkie Brzydale, najwyraźniej przywykłe do takich powodzi, potrafiły je w pełni wykorzystać. Rasa sama zniszczyła tyle dróg prowadzących do Chicago, że jej pojazdy muszą teraz grzęznąć w błocie. Pojazdy psuły się; mechanicy, którzy starali się utrzymać je na chodzie, nie mogli nadażyć z ich konserwacją i naprawą.

- To samo dzieje się w SSSR i na froncie nipońskim w – jak to się nazywa?

– Mandzuku – powiedział Atvar.

– Tam jest nawet gorzej niż w Stanach Zjednoczonych, bo nie trzeba było niszczyć dróg, żeby wpaść w błoto. Jak tylko popada dłużej niż dwa dni, ich drogi same zamieniają się w błoto. Dlaczego ich nie wybrukowali?

Pan floty wiedział, że Kirel nie będzie w stanie odpowiedzieć na takie pytanie. A nawet gdyby potrafił, to i tak odpowiedzialność spoczywa na Atvarze. Krążowniki lądowe i transportery piechoty Rasy miały gąsienice. Udawało im się jakoś przebrnąć nawet przez błoto. Ale większość pojazdów z zaopatrzeniem miała koła. Zanim Atvar zapadł w sen hibernacyjny wydawało się, że pojazdów jest pod dostatkiem, nawet za dużo. Owszem, było ich ile trzeba, ale na wypadek, gdyby przyszło walczyć z dzikusami, którzy wymachują dzidami i jeżdżą na zwierzętach.

– Gdyby ta przeklęta planeta choć trochę przypominała miejsce, które odwiedziły nasze cholerne sondy, to już dawno byśmy ją podbili – mruknął.

– Bez wątpienia, dostojny panie floty – powiedział Kirel.

– Mamy ciągle znaczną przewagę nad Wielkimi Brzydalami. Wybuch atomowy nad Chicago położyłby raz na zawsze kres oporowi.

– Brałem to pod uwagę – powiedział Atvar.

Fakt, że oddawał się takim rozważaniom był miarą jego frustracji.

– Ale muszę brać również pod uwagę okupację Tosev 3, a nie tylko jego podbój. Chicago jest naturalnym ośrodkiem handlowo-przemysłowym regionu i będzie nim znowu, gdy tylko nastanie pokój pod naszymi rządami. Tworzenie drugiego podobnego centrum po zniszczeniu tego mogłoby się okazać kłopotliwe i drogie dla tych, którzy przylecą po nas.

– Tak jest, dostojny panie floty – powiedział Kirel.

Wiedział, kiedy należy kończyć dyskusję. Tak, czy inaczej miał w pogotowiu mnóstwo tematów, żeby niepokoić Atvara.

– Otrzymałem raport, że Deutsche wystrzelili ubiegłej nocy we Francji dwie rakiety średniego zasięgu przeciwko naszym oddziałom. Jedna została zniszczona w locie; druga uderzyła i wybuchła, na szczęście nie wyrządziła szkód poza wielką dziurą w ziemi. Ich system naprowadzania pozostawia wiele do życzenia. Najbardziej bym sobie życzył, żeby w ogóle nie mieli systemów naprowadzania – stwierdził ponuro pan floty.

– Czy mogę mieć przynajmniej nadzieję, że zniszczyliśmy wyrzutnie, z których odpalono rakiety? Wahanie Kirela powiedziało mu, że nie może mieć takiej nadziei.

– Dostojny panie floty – powiedział pan statku.

– Naprowadziliśmy dużą liczbę myśliwców nad obszar, z którego wystartowały rakiety. To teren gęsto zalesiony, nie zdołano wypatrzyć wyrzutni. Oficerowie sądzą, że Deutsche użyli wyrzutni

ukrytych w jaskiniach albo wyrzutni ruchomych, albo jednego i drugiego. Więcej informacji będzie po następnych odpaleniach.

- A także więcej szkód. Musimy być ostrożniejsi – ostrzegł Atvar.
- Jesteśmy w stanie zestrzelić te rakiety w locie. Powinniśmy to wykorzystać.
- Tak jest – powiedział Kirel. Atvar odprężył się trochę.

Kiedy Kirel mówi „tak jest”, to znaczy, że sprawa jest załatwiona.

- Jakie jeszcze interesujące wieści masz dla mnie, panie statku?

– Pewne intrygujące dane otrzymaliśmy w wyniku badań, które rozpoczęto, kiedy dowiedzieliśmy się, że Tosewici są aktywni seksualnie przez cały rok – odparł Kirel.

- Mów – rozkazał Atvar.

– Liczy się wszystko, co pomoże mi zrozumieć zachowanie Wielkich Brzydali.

– Według życzenia, dostojny panie floty. Jak pamiętasz, pojaliśmy dużą liczbę Tosewitów obojga pici i kazaliśmy im się parzyć, żeby potwierdzić informację, że nie występuje u nich sezon rui. Okazało się, że tak rzeczywiście jest. Bardziej interesujące może się okazać, że pośród przypadkowo dobieranych osobników wyłoniło się kilka stale parzących się par. Nie wszystkie obiekty doświadczenia stworzyły takie pary. Badamy właśnie przyczyny, dlaczego jedne osobniki wchodziły w taki związek, a inne nie.

- To ciekawe – przyznał pan floty.

– Mam jednak wątpliwości, czy ma to znaczenie dla naszej kampanii. Być może tak – powiedział Kirel.

– Na całej planecie zdarza się, że Tosewici – wojskowi albo przynajmniej nominalnie, cywile, atakują samców i instalacje militarne Rasy, nie zwracając uwagi na zagrożenie własnego życia. Zamachowcy, którzy ocaleli, i poddani zostali przesłuchaniu, jako powód swojego zachowania podawali często fakt, że ich partner zginął z naszych rąk. Związek między samcami a samicami zdaje się być częścią spoiwa, które utrzymuje tosewickie społeczeństwo.

- To ciekawe – powtórzył Atvar.

Był lekko zdegustowany. Kiedy wyczuł feromony samicy, myślał tylko o parzeniu się. Poza sezonem, albo kiedy samicy nie było w pobliżu nie tylko nie był tym zainteresowany, ale był zadowolony z faktu, że nie musi się tym zajmować. W języku Rasy słowa podniecenie i głupota wyrastały ze wspólnego pnia.

– Czy możemy wykorzystać tę tosewicką aberrację tak, żeby działała na naszą korzyść? – zapytał.

- Nasi eksperci zmierzają do tego celu – odparł Kirel.

– Wypróbują metody działania na obiektach eksperymentalnych, które trzymamy na statku, a także, ostrożniej, na wybranych członkach populacji Wielkich Brzydali znajdujących się pod naszą kontrolą.

- Dlaczego ostrożniej? – zdziwił się Atvar i zaraz odpowiedział na własne pytanie.

– Ach, rozumiem. Jeśli eksperymenty na powierzchni planety przyniosą niepożądane rezultaty, Wielkie Brzydale mogą chcieć zaatakować członków Rasy w sposób, który już opisałeś.

- Właśnie tak, dostojny panie floty – odparł Kirel.

– Bolesne doświadczenia nauczyły nas, że najtrudniej jest odpierać ataki samobójcze. Łatwiej jest bronić się przed niebezpieczeństwem ze strony racjonalnie myślących istot niż ze strony fanatyków, którzy są gotowi umrzeć wraz z nami. Czasem nawet tego pragną. Nie odstrasza ich nawet groźba odwetu na jeńcach. Atvar, połową duszy, chciałby zrzec się tego dowództwa i żyć w spokoju i luksusie na rodzimej planecie. Ale miał obowiązki wobec Rasy i napawał go dumą fakt, że jego

uznano za samca najlepiej nadającego się do zadania powiększenia imperium.

– Mam nadzieję, że eksperci wkrótce będą mogli udzielić rady, jak wykorzystać szaleństwo Wielkich Brzydali przeciwko nim samym. A jeśli już mowa o korzystaniu z tego, co robią Tosewici: jak przebiega reorganizacja kontrolowanych przez nas obszarów przemysłowych, by produkowały na nasze potrzeby? Kirel nie dał się zaskoczyć nagłą zmianą tematu.

– Nie tak dobrze, jak byśmy chcieli, dostojny panie floty. – odparł, zyskując sobie niezachwianą uczciwością szacunek Atvara.

– Problem tkwi częściowo w zachowaniu większości tosewickich robotników, których musimy zatrudniać. Wielu jest apatycznych i pracuje byle jak, a inni są aktywnie wrogo nastawieni i sabotują produkcję ze wszystkich sił. Drugą sprawą to ogólny prymitywizm ich zakładów wytwórczych.

– Na cesarza, ich prymitywizm nie powstrzymuje ich od produkowania karabinów, krążowników lądowych i samolotów, których używają przeciwko nam! – wykrzyknął Atvar.

– Dlaczego nie wykorzystamy części tego potencjału na nasze potrzeby?

– Żeby to zrobić, dostojny panie floty, musielibyśmy dostosować się albo raczej, ograniczyć się do broni i sprzętu na tosewickim poziomie technicznym. Jeśli tak uczynimy, to zaprzepaścimy naszą przewagę nad nimi. Współzawodnictwo oprze się na liczbie sprzętu i żołnierzy, a tutaj oni są górą.

– Ale niektóre z tych zakładów mogą być z pewnością podniesione do naszego poziomu – powiedział Atvar. Kirel wykonał stanowczy gest negacji.

– Nie i to przez całe lata. Jest między nami zbyt wielka przepaść. Och, są wyjątki. Kula to kula. Możemy zaadaptować ich fabryki do produkcji broni lekkiej według naszych wzorców, chociaż i to nie będzie łatwe, bo wytwarzają mało broni automatycznej dla piechoty. Odnieśliśmy sukcesy w dostosowaniu luf zdobytych dział do strzelania naszą amunicją i będziemy, być może, w stanie wyprodukować więcej luf dla naszej artylerii.

– Widziałem te raporty – stwierdził Atvar.

– Uważam, że moglibyśmy osiągać większe postępy.

– Chciałbym, żeby tak było, dostojny panie floty – powiedział Kirel powtarzając gest negacji.

– Weź pod uwagę, że przykłady, które podawałem, dotyczyły nieskomplikowanego oręża. Jeśli chodzi o elektronikę, całą nadzieję na wykorzystanie tosewickich zakładów produkcyjnych można wyrzucić za okno.

– Ale mają przecież jakąś elektronikę – stwierdził Atvar.

– Na przykład radar i radio. Łatwiej by nam poszło, gdyby nie mieli.

– Prawda, mają elektronikę. Ale nie mają komputerów i nie wiedzą nic o układach scalonych, czy nawet tranzystorach. Bańki próżniowe, których używają zamiast właściwych obwodów scalonych, są tak duże, pękate i kruche i wytwarzają tyle ciepła, że dla naszych celów są bezużyteczne.

– Czy nie możemy wprowadzić do ich fabryk naszej technologii?

– Prościej byłoby wybudować własne fabryki. Tak powiedzieli mi eksperci do spraw technicznych – odparł Kirel.

– Z tym wiązałoby się ryzyko, że tosewiccy robotnicy poznają naszą technologię i przekażą wiedzę swoim pobratymcom żyjącym na nie podbitych obszarach. Takie niebezpieczeństwo istnieje zawsze, kiedy prowadzimy przedsięwzięcia, w których uczestniczą Wielkie Brzydale. Atvar wydał pełne rezygnacji sapnięcie. W podręcznikach ukazujących się na rodzimej planecie, nie wspomniano o takim ryzyku. Ani Rabetewici, ani Hallessjanie nie byli w stanie wykraść Rasie osiągnięć technicznych i wykorzystać ich przeciwko Rasie. Z tego powodu planiści nie uwzględnili takiej możliwości w swoich pracach. Pan floty powinien sam przewidzieć taki obrót spraw. Ale na Tosev

3 było tyle niespodziewanych trudności, a Rasa była słabo przygotowana do radzenia sobie z nieprzewidzianymi trudnościami, tak więc nie wszystko było od razu oczywiste. Precedens, organizacja i długoterminowe planowanie sprawdzały się świetnie na obszarach imperium, gdzie zmiany zachodziły powoli, stopniowo i rozłożone były na stulecia. To nie służyło dobrze w przypadku Tosev 3.

– Zarówno my, jak i Wielkie Brzydale jesteśmy jakby wykonani z metalu – Atvar zwrócił się do Kirela.

– Ale my jesteśmy ze stali, a oni z żywego srebra.

– Świetne porównanie, dostojny panie floty – stwierdził Kirel.

– Czy mogę coś zasugerować?

– Mów.

– Jesteś wielkoduszny, panie floty. Rozumiem powody, dla których nie chcesz użyć broni atomowej przeciwko Chicago. Ale tubylcy ze Stanów Zjednoczonych kontynuują opór i choć nie są tak uzdolnionymi żołnierzami jak Deutsche, to robią to z większym niż oni uporem, a poza tym dysponują znacznie większym zapleczem przemysłowym. Muszą zrozumieć, ile kosztuje taki opór. Ich stolica – nazywa się chyba Waszyngton – jest zaledwie centrum administracyjnym o niewielkim znaczeniu handlowym i przemysłowym. Ponadto, leży niedaleko wschodniego wybrzeża kontynentu. Wiatry zwieją większość produktów rozpadu atomowego do morza.

Jedno z oczu Atvara przewędrowało po mapie od Chicago do Waszyngtonu. Było tak, jak opisał to Kirel. Niemniej...

– Rezultaty w przypadku Berlina nie były takie, jak się spodziewaliśmy – powiedział. Było to według obyczajów Rasy bardzo mocne oskarżenie.

– Przyniosło to, obok niespodziewanych strat, również zaskakujące korzyści – Kirel trzymał się mocno.

– Wkrótce po wybuchu zdobyliśmy Warszawę i okolice.

– To prawda – przyznał Atvar.

To było ważne stwierdzenie. Rasa zbyt często widziała w niespodziewanych wydarzeniach tylko niepotrzebne ryzyko, nawet jeśli przynosiły one korzyść.

– I nie tylko to – kontynuował Kirel.

– Zastosowanie broni atomowej wywoła niepewność i strach wśród Wielkich Brzydali, które nadal stawiają opór. Zniszczenie jednej stolicy mogło być z naszej strony aktem odosobnionym. Ale jeśli zniszczymy drugą, to udowodnimy im, że możemy powtórzyć nasze działanie w każdym miejscu i o każdym czasie.

– To prawda – powtórzył Atvar.

Jak wszyscy samcy Rasy nie lubił niepewności. Pomyśl, by użyć tego uczucia jako broni, niepokoił go. Ale kiedy pomyślał, że można zastosować uczucie niepewności przeciwko wrogowi tak, jak stosuje się głód albo śmierć, idea stawała się bardziej zrozumiała i bardziej atrakcyjna. Kirel był zazwyczaj ostrożny. Jeśli uważał ten krok za niezbędny, to pewnie miał rację.

– Jakie są rozkazy, dostojny panie floty? – zapytał Kirel.

– Niech przygotowują rozkaz na piśmie do mojej akceptacji. Przeczytam go bardzo uważnie, jak tylko pojawi się przede mną. Jeśli nie nastąpią nieprzewidziane okoliczności, zaakceptuję go.

– Tak jest, dostojny panie floty – Kirel wyszedł kręcąc ogonem z podniecenia.

– Tu Radio Niemcy.

– Już nie Radio Berlin, nigdy więcej, pomyślał Mosze Rusie zbliżając głowę do głośnika radia.

Sygnal też nie był nadawany na częstotliwości, której zawsze używał Berlin. I nie był też taki

silny, wydawało się jakby Niemcy przestali krzyczeć i zaczęli szeptać z nadzieją, że ktoś ich usłyszy.

– Ważna informacja – mówił spiker.

– Rząd Rzeszy ze smutkiem przyjął do wiadomości, że Waszyngton, stolica Stanów Zjednoczonych Ameryki padł ofiarą bomby tego samego typu, jak ta, która uczyniła z Berlina miastomęczennika. Wszystkie transmisje radiowe z Waszyngtonu zostały gwałtownie i bez ostrzeżenia przerwane przed około dwudziestoma pięcioma minutami. Rozgłośnie z Baltimore, Filadelfii i Richmond mówią o słupie ognia wznoszącym się na tle nocnego nieba. Nasz Fuhrer, Adolf Hitler złożył kondolencje narodowi amerykańskiemu, który podobnie jak Niemcy padł ofiarą podłej agresji ze strony zdziczałych kosmicznych najeźdźców. Słowa Fuhrera...

Russie wyłączył odbiornik. Nie interesowało go, co ma do powiedzenia Adolf Hitler. Żałował, że Adolfa Hitlera nie było w Berlinie, kiedy jaszczury zrzuciły bombę. Jego rząd zasługiwał na to, żeby ulecieć w niebo na kolumnie ognia. Ale Waszyngton! O ile Berlin reprezentował wszystko, co mroczne i bestialskie w duszy ludzkości, Waszyngton był symbolem czegoś wręcz przeciwnego: wolności, sprawiedliwości, równości... a jaszczury potraktowały te miasta tak samo.

Rusie zaczął mówić modlitwę za umarłych. Tylu ludzi musiało zginąć za oceanem. Przypomniał sobie plakat, którym Niemcy oblepili całą Warszawę zanim wpadła w ręce jaszczurów... Zanim Armia Krajowa i Żydzi przystąpili do powstania i pomogli jaszczurom przegnać Niemców z Warszawy. Nie ma wątpliwości, że było to usprawiedliwione postępowanie. Gdyby nie jaszczury, Rusie i większość jego ludu już by nie żyli. To rozumowanie sprawiło, że poparł jaszczury po ich wkroczeniu do miasta. Wdzięczność była rozsądnym uczuciem, szczególnie, że w tym przypadku była całkowicie usprawiedliwiona. Myśl, że świat widział w nim zdrajcę ludzkości, bolała mocno. Ale świat nie wiedział, i nie chciał wiedzieć, co naziści tutaj zrobili. Lepsze jaszczury niż SS. Nadal tak uważał. Ale teraz... W korytarzu prowadzącym do jego biura usłyszał głośnie kroki. To przerwało mu tok myśli. Drzwi otworzyły się na oścież. W chwili, w której zobaczył twarz Mordechaja Anielewicz, domyślił się, że ten już wiedział.

– Waszyngton... – powiedzieli jednocześnie.

Rusie pierwszy zaczął mówić.

– Po tym, co się stało nie możemy z nimi współpracować. Chyba, że chcemy zasłużyć na nienawiść reszty ludzkości za nasz uczynek.

– Rebe Mosze, masz rację – powiedział Anielewicz.

Po raz pierwszy zdarzyło mu się tak bez zastrzeżeń zgadzać z Rusiem. Ale tam, gdzie Rusie myślał kategoriami dobra i zła, żydowski żołnierz widział metody i środki.

– Nie możemy po prostu wywołać powstania przeciw nim, chyba że chcemy, żeby urządzili nam krwawą łaźnię.

– Boże broń! – powiedział Rusie. Przypomniał sobie coś, o czym wolałby nie pamiętać.

– Po południu mam pójść do rozgłośni. Co powinienem powiedzieć? Boże wspomóż, co mam powiedzieć?

– Nic. – Odparł natychmiast Anielewicz.

Sam dźwięk twojego głosu zrobi z ciebie sługusa jaszczurów.

Pomyślał przez chwilę i udzielił mu prostej, praktycznej rady.

– Zachoruj.

– Zolraagowi nie będzie się to podobało. Pomyśli, że udaję i będzie miał rację. Ale Rusie był studentem medycyny.

Kiedy to mówił już myślał, jak sprawić, aby symulowana choroba wyglądała jak prawdziwa. Myślał szybko. Kara, jaką musiałby ponieść za to, że stał się narzędziem w rękach jaszczurów także

skłaniała go do pomysłowości.

– Środek na przeczyszczenie. Dobry, mocny środek. To, oraz duża dawka emetyku.

– Co to jest emetyk? – zapytał Anielewicz. Rusie udał, że rzyga. Bojowiec otworzył szeroko oczy. Kiwnął głową i uśmiechnął się.

– To powinno podziałać. Cieszę się, że to ciebie posadzili przed mikrofonem, a nie mnie.

– Ha, ha – to nie był śmiech tylko oznaka rezygnacji.

Ale Rusie pomyślał, że takie „piękne” objawy powinny przekonać Zolraaga, że z jego spikerem naprawdę jest coś nie w porządku. Epidemie panujące w getcie, choroby endemiczne, na które cierpiała cała ludzkość zdawały się przerażać jaszczury, chociaż same się nie zarażały. Rusie żałował, że nie może studiować na jednej z ich uczelni medycznych. Bez wątpienia zdobyłby tam więcej wiedzy niż na Ziemi.

– Jeśli to ma poskutkować, musimy zrobić coś innego? – powiedział Anielewicz.

Kiedy Rusie uniósł brwi, pospieszył z wyjaśnieniem.

– Musimy porozmawiać z generałem Borem-Komorowskim. Polacy muszą z nami współdziałać. Inaczej jaszczury nastawią ich przeciwko nam i z uśmiechem będą się przypatrywać, jak się nawzajem zabijamy.

– Tak – zgodził się Rusie, chociaż nie był pewien stanowiska dowódcy AK i bał się go zarazem. Ale na razie miał większe troski na głowie.

– Jeśli nawet uda mi się nie wystąpić przed mikrofonem, to i tak będę musiał pójść do studia w przyszłym tygodniu, a najpóźniej za dwa tygodnie, gdybym połknął więcej emetyku. Żołądek podskoczył mu do gardła na samą myśl o tym.

– Nie martw się o to, co będzie jutro.

Oczy Anielewicza były chłodne, kalkulujące.

– Tak, chyba uda mi się zgromadzić odpowiednią liczbę mundurów, znajdę też trochę blondynów i szatynów wśród bojowców.

– A po co ci bojowcy z...?

Rusie przerwał ze zdumienia.

– Chcesz zaatakować stację nadawczą i zrzucić winę na hitlerowców?

– Zgadza się – powiedział Anielewicz.

– Powinieneś zostać żołnierzem. Chciałbym mieć trochę ludzi, którzy nie są obrzezani. Ludzie mogą dojść prawdy. Jaszczury może nie, ale nie lubię niepotrzebnego ryzyka. Niektórzy Polacy sądzą, że jedyna zła rzecz, jaką zrobili Niemcy, to że nie zabili nas wszystkich. Mogą nas zdradzić przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Niestety, masz rację – Rusie westchnął.

– Wyślij jednego z twoich bojowców po emetyk, a drugiego po środek na przeczyszczenie. Nie chcę, żeby zapamiętano, że je kupowałem, na wypadek, gdyby jaszczury potem o to pytały. Coś mi się wydaje, że nie będę mile wspominał najbliższe godziny.

– Wierzę ci, rebe Mosze.

Anielewicz patrzył na niego z rozbawieniem i niemałym szacunkiem. Wiesz, wolałbym zostać ranny w walce. To się przynajmniej dzieje z zaskoczenia. Ale z rozmysłem czynić sobie samemu coś takiego...

Pokręcił głową.

– Dobrze, że to ty, a nie ja.

– Najlepiej, żeby nikt nie musiał tego robić.

Rusie zerknął na zegarek.

– Zorganizuj mi to szybko. Jaszczury przyjdą za niecałe trzy godziny. Do tego czasu muszę zachorować.

– Zaczął szperać w papierach na biurku.

– Chcę usunąć najważniejsze rzeczy...

– I narzygać na resztę – dokończył za niego Anielewicz.

– To dobrze. Skoro zwracasz uwagę na szczegóły planu, całość powinna się udać. Idę zająć się sprawami.

Dotrzymał słowa. Zanim jaszczury przyszły, by odprowadzić Rusiego do studia, Rusie pożałował, że Anielewicz był taki słowny. Jaszczury sycząc z przerażeniem wycofały się z biura Rusiego. Nie dziwił im się. Biuro wymagało wietrzenia. Zniszczeniu uległa też para dobrych spodni. Jeden z jaszczurów jeszcze raz ostrożnie zajrzał do biura. Popatrzył na Rusiego, który mokry jak ścierka, rozłożył się bezwładnie w krzesło przy zapaskudżonym biurku.

– Co być źle? – zapytał jaszczur łamaną niemczyzną.

– Musiałem coś zjeść – jęknął słabo Rusie.

To nawet była prawda. Najlepszy sposób, żeby kłamać, to mówić prawdę. Inne jaszczury patrzyły na niego z korytarza. Było tam też kilkoro ludzi. Byli bardziej przerażeni od kosmitów, którzy nie musieli się bać, że zarażą się od niego jakąś straszną chorobą. Dla nich, wyglądał po prostu nieestetycznie. Jeden z jaszczurów powiedział coś do przenośnego radia. Otrzymał zakłócaną trzaskami odpowiedź. Z ociąganiem wszedł do biura. Znowu powiedział coś do aparatu i wyciągnął go w stronę Rusiego. Z głośnika rozległ się głos Zolraaga.

– Jesteś chory, rebe Mosze? – pytał gubernator. Jego niemczyzna była już całkiem dobra.

– Jesteś zbyt chory, żeby poprowadzić dzisiaj audycję?

– Obawiam się, że tak – jęknął Rusie.

– Przykro mi.

To było jego pierwsze kłamstwo tego popołudnia.

– Mnie również jest przykro, rebe Mosze – odpowiedział Zolraag.

– Chciałem, żebyś skomentował zbombardowanie Waszyngtonu. Dalibyśmy ci pełną informację na ten temat. Powinieneś powiedzieć twojemu gatunkowi, żeby zaprzestał głupiego oporu wobec naszego niezwykłego oręża. Rusie znowu jęknął. Trochę dlatego, że czuł się słabo, a trochę dlatego, że spodziewał się, czego zażąda od niego Zolraag..

– Ekscelencjo – powiedział.

– Nie mogę teraz mówić. Kiedy wydobrzeję, powiem całą prawdę o uczynku pańskich wojowników.

– Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia – odparł Zolraag.

Gubernator starał się być delikatny, ale nie miał tego rodzaju zdolności.

– Ale teraz musisz przeleżeć chorobę. Mam nadzieję, że wasi doktorzy wyleczą cię z niej. Wyraźnie nie miał przekonania o umiejętnościach ziemskich lekarzy. Rusie znów pomyślał, jakich to cudów są w stanie dokonać lekarze jaszczurów.

– Dziękuję, ekscelencjo – powiedział.

– Mam nadzieję, że za kilka dni poprawi mi się. To nie jest śmiertelna choroba.

– Mam nadzieję – Zolraag zdawał się w to powątpiewać.

Rusie uważał, że nie bez powodu. Kiedy jaszczury wdarły się do Warszawy, tysiące głodujących Żydów cierpiało na różne rodzaje chorób układu pokarmowego i wielu od tego umarło. Gubernator mówił dalej:

– Jeśli chcesz, moje samce zabiorą cię z biura do domu.

– Dziękuję, ekscelencjo, chciałbym, jeśli to możliwe, zachować złudzenie niezależności. – Rusie pożałował swoich słów, ledwie je wypowiedział.

Lepiej, żeby jaszczury uważały go za chętnego do współpracy kolaboranta. Miał nadzieję, że Zolraag go nie zrozumiał. Ale jaszczur zrozumiał. Gorzej – zaaprobował to.

– Tak, szkoda tracić takie złudzenie, rebe Mosze – odparł, potwierdzając tym samym, że wolność działania Rusiego była tylko iluzją.

Mosze nawet teraz, w takim stanie, w jakim się znajdował, poczuł ukłucie gniewu. Gubernator powiedział teraz coś we własnym, syczącym języku. Jaszczur, który trzymał radiotelefon odpowiedział mu i z wyraźną ulgą wyszedł z gabinetu Rusiego. Razem z pozostałymi kosmitami opuścił żydowską kwaterę główną. Rusie słyszał, jak ich pazury stukają o linoleum. Kilka minut później wrócił Mordechaj Anielewicz. Zmarszczył nos.

– Cuchnie tu, jakby zatkała się kloaka, rebe Mosze – powiedział.

– Umyjemy cię trochę i zaprowadzimy do domu.

Rusie poddał się nieco brutalnym zabiegom; potem pozwolił Anielewiczowi zaprowadzić się do drzwi. Na ulicy czekała riksza. Anielewicz posadził go w niej, wsiadł na siodełko i popedałował.

– Cóż za troska – zauważył Rusie. Wiatr, który owiewał mu twarz, trochę go ożywił.

– Czuję się zaszczycony.

– Zaszczycony byłbyś, gdybym cię odwoził samochodem – odparł Anielewicz ze śmiechem.

Rusie cicho zachichotał. W tych dniach benzyna była w Warszawie cenniejsza od szlachetnych kamieni, które są trwałe, podczas gdy benzyna, po użyciu znika na zawsze. Nawet paliwa do strażackich wozów było za mało. Kilka zeschniętych liści zawiroowało na chodniku. Było ich bardzo mało. Większość drzew ścięto na opał. Reszta padnie pod siekierą tej zimy, a z budynków zniszczonych w walkach wykradzione zostaną drewniane konstrukcje. Warszawa będzie jeszcze bardziej okaleczona jak wojna się skończy – o ile się skończy. Z ołowianego nieba zaczął padać deszcz. Mordechaj Anielewicz naciągnął czapkę na czoło.

– Decyzja już zapadła – powiedział.

– Jutro w nocy robimy skok na nadajnik. Do tej pory musisz być chory.

– Co się stanie, jeśli nie uda się wam go zdobyć? – zapytał Rusie. Anielewicz roześmiał się ponuro.

– Jeśli go nie zdobędziemy, rebe Mosze, staną się dwie rzeczy. Paru moich bojowców zginie, a ty będziesz musiał nadal brać swoje lekarstwa. Minie tydzień i pozazdrościsz moim chłopcom bohaterskiej śmierci.

Być może przywódca bojowców uważał to za dowcip, ale Moszemu wcale nie było do śmiechu. Czuł się, jakby gestapowiec kopał go w brzuch. W ustach miał obrzydliwy smak... Po namyśle przestał się zastanawiać, co mu ten smak przypomina. Wielu Żydów, których Niemcy stłoczyli w getcie, opuściło jego mury po przybyciu jaszczurów, część z nich zdążyła umrzeć. Mimo to, ulice były zatłoczone. Anielewicz zręcznie wymijał wózki, riksze, rowery i tłumy pieszych. Mimo tłumy i ciasnoty, ludziom jakoś udawało się nie wpadać na siebie. Nagle ukazała się pusta przestrzeń. Anielewicz ostro zahamował. Przeszedł patrol jaszczurów. Wyglądały na zziębnięte i przygnębione. Jeden z nich zwrócił z urazą dziwaczne oczy w stronę nieba. Inny miał na sobie dziecięcy płaszczyk. Nie zapiał guzików. Poły przytrzymał jedną ręką, w drugiej niósł broń. Ledwie jaszczury przeszły, tłum zapełnił pustą przestrzeń.

– Jeśli tym nieszczęśnikom wydaje się, że teraz jest zimno – powiedział Anielewicz – to co poczną w styczniu?

Zamarzną, pomyślał Rusie. Ale wiedział, że najprawdopodobniej nie ma racji. Jaszczury o tyłu

sprawach wiedziały więcej od ludzi. Muszą mieć jakiś prosty sposób, żeby ogrzać się na dworze. Chociaż, te jaszczury rzeczywiście wyglądały na zziębnięte. Anielewicz podjechał przed kamienicę, w której mieszkał Rusie.

– Dasz radę sam wejść na górę? – zapytał.

– Zobaczymy – Rusie wygrzebał się z siedzenia. Zachwiał się, kiedy próbował iść, ale nie upadł.

– Tak, dam sobie radę.

– To dobrze. Gdybym z tobą poszedł, mógłbym już nie zastać rikszy po powrocie. Teraz mogę się martwić o inne sprawy.

Anielewicz skinął głową Rusiemu i odjechał.

Gdyby Mosze miał w sobie więcej życia, to pewnie by się śmiał. Ludzie podchodzili, żeby go przywitać i na sam widok uciekali w popłochu. Nie miał im tego za złe. Gdyby mógł, sam by uciekł od siebie. Jeśli nie wyglądał na umierającego, to tylko przez przypadek. Obrócił klucz w zamku i wszedł do mieszkania. Jedną z ubocznych korzyści wypływających z zajmowanej przez niego pozycji było to, że mieszkał w nim sam ze swoją rodziną. Żona na jego widok zdziwiła się.

– Mosze! Co ty tu robisz tak wcześnie? – powiedziała Ryfka i uśmiechnęła się. Potem dobrze mu się przyjrzała i poczuwszy jego zapach krzyknęła:

– Mosze! Co ci się stało?

– To przez jaszczury – odparł z westchnieniem.

Gapiła się na niego ogromnymi oczami, których wyrazistość podkreślała szczupłość jej twarzy i zmęczenie.

– Jaszczury... ci to... zrobiły?

– Nie bezpośrednio – odpowiedział.

– Jaszczury potraktowały Waszyngton dokładnie tak samo jak Berlin i spodziewały się, że ja będę z tego powodu tak samo szczęśliwy.

Ryfka nie zajmowała się polityką. Walka o przetrwanie pochłaniała całą jej energię. Ale nie była głupia.

– Chcieli, żebyś pochwalił ich za zniszczenie Waszyngtonu? Muszą być meszuge.

– Też tak myślę, więc zachorowałem – Mosze pokrótce wyjaśnił, jak doprowadził się do takiego stanu.

– Och, dzięki Bogu. Kiedy cię zobaczyłam, myślałam, że to coś okropnego.

– Czuję się okropnie – powiedział Rusie.

Chociaż chorobę wywołały lekarstwa a nie bakterie, wnętrzości nadal mu się skręcały. Jedyna różnica polegała na tym, że ta choroba potrwa tak długo, jak on będzie tego chciał. Ich synek, Reuben wyszedł z sypialni Chłopczyk zmarszczył nos.

– Dlaczego tatuś tak śmiesznie pachnie?

– Nieważne – Ryfka błyskawicznie przystąpiła do działania.

– Zaraz go umyjemy.

Pobiegła do kuchni. Odkąd jaszczury zajęły miasto, w rurach była woda. Wróciła z kubłem i ścierką.

– Mosze, idź do sypialni, daj mi twoje brudne ubranie, umyj się i włóż coś czystego. Lepiej się poczujesz.

– W porządku – powiedział słabym głosem.

Zdjęcie zabrudzonego ubrania przyniosło mu ulgę. Stwierdził, że udało mu się nawet zabrudzić rondo kapelusza. Można powiedzieć, że było to osiągnięcie. Ścierka i kubeł ledwie starczyły.

Pomyślał, że wody w Wiśle by zabrakło, żeby spłukać z niego wszystkie nieczystości. Przez głowę przemknęła mu myśl o stajni Augiasza, gdy zeszkrobywał z siebie brud. Mitologia grecka nie była mu znana aż do czasów uniwersyteckich. Niektóre z mitów równie mocno przemawiały do jego wyobraźni jak historie z Biblii. W czystym ubraniu poczuł się od razu lepiej. Nie chciało mu się dotykać brudnych rzeczy, ale w końcu zrobił z nich węzełek tak, żeby najbardziej zanieczyszczone części ubrania znalazły się w środku. Zaniósł wszystko Ryfce.

– Zaraz się tym zajmę – powiedziała.

Zamknięcie w getcie uczyniło smród po prostu częścią życia, czymś, czego nie można się pozbyć. Na razie, ważniejsze było co innego:

– Co zrobisz, jeśli jaszczury każą ci wygłosić komentarz, kiedy wyzdrowiejesz?

– Znowu zachoruję – odpowiedział, chociaż wnętrzości skręcały mu się na samą myśl o tym.

– Przy odrobinie szczęścia nie będę musiał.

Opowiedział jej o planach Anielewicza.

– Jeśli nawet mu się powiedzie, to tylko odsunie ten dzień – stwierdziła Ryfka.

– Wcześniej, czy później, będziesz musiał zrobić to, co ci każą jaszczury, albo im odmówić.

– Wiem – Mosze wykrzywił twarz.

– Może nie należało się z nimi wiązać? Może hitlerowcy to był lepszy wybór? Ryfka stanowczo pokręciła głową.

– Sam wiesz najlepiej. Martwi nie mają żadnego wyboru. Jeśli nawet sprzeciwimy się jaszczurom, to najwyżej zabiją tych, którzy się sprzeciwiają za nieposłuszeństwo i nie uczynią sobie zabawy z zabijania nas dlatego, że jesteśmy Żydami.

– Myślę, że masz rację.

Rusie był jednak niepokieszony. W końcu to on będzie jednym z tych, którzy się sprzeciwiają, a chciał też żyć. Ale żeby chwalić jaszczury za to, że zniszczyły Waszyngton... lepiej umrzeć z honorem.

– Zrobię ci trochę zupy.

Ryfka popatrzyła na niego, jakby szacując jego siły.

– Dasz radę zjeść?

– Myślę, że tak – odparł po zastanowieniu.

Roześmiał się.

– W każdym razie, powinienem spróbować. Muszę coś mieć w żołądku na wypadek, gdybym musiał zwracać jeszcze raz. To, co przeszedłem było okropne, ale wymioty na czczo są jeszcze gorsze.

Zupa była gęsta od kapusty i kartofli, zupełnie inna niż ten wodnisty roztwór, który jedli, kiedy Niemcy chcieli wygłodzić getto i niewiele pożywienia musiało wystarczyć na wiele dni. Właśnie zjadał ostatnią łyżkę zupy, kiedy usłyszał, tupot na korytarzu. Ktoś zaczął walić pięścią w drzwi i krzyczeć:

– Rebe Mosze, rebe Mosze, chodź szybko!

Rusie zaczął podnosić się od stołu. Żona złapała go za ramiona i posadziła z powrotem na krześle.

– Jesteś chory, pamiętasz? – szepnęła. Sama podeszła do drzwi i otworzyła je.

– Co się stało? Mój mąż jest chory. Nie może wychodzić.

– Ale musi! – mężczyzna prawie krzyczał, jakby był dzieckiem, które sądzi, że wszystko mu wolno.

– Nie może – powtórzyła Ryfka.

Odstąpiła o krok, żeby przybysz mógł popatrzeć na Moszego.

– Sam zobacz, jeśli mi nie wierzysz.

Rusie zrozumiał, że ma wyglądać na chorego.

– Przepraszam, rebe Mosze – powiedział mężczyzna – ale naprawdę potrzebujemy twojej pomocy. Niektórzy z naszych bojowców starli się z żołnierzami z Armii Krajowej na ulicy Mickiewicza. Zaczyna być niedobrze. W każdej chwili mogą zacząć strzelać.

Rusie jęknął. To był najgorszy moment, żeby rozgorączkowani Żydzi i Polacy wzięli się za łby. Ryfka była za daleko, żeby nie pozwolić mu wstać. Podniósł się ignorując jej zdziwione spojrzenie. Zanim cokolwiek zrobił, mężczyzna na korytarzu powiedział: Jaszczury ściągają już ciężką broń. Zabijają wszystkich, kiedy rozpocznie się strzelanina. Rusie jeszcze raz jęknął, schwycił się za brzuch i usiadł. Ryfka zaniepokoiła się poważnie, ale szybko doszła do równowagi.

– Idź już, proszę – zwróciła się do mężczyzny.

– Mój mąż pójdzie, jak tylko będzie mógł. Wiesz przecież. Ale on naprawdę jest chory.

– Tak, widzę. Wracaj szybko do zdrowia, rebe Mosze.

Posłaniec oddalił się równie szybko jak przybył. Ryfka zamknęła drzwi i zwróciła się do Rusiego.

– Nic ci nie jest? – zapytała trzymając ręce na biodrach.

– Dogorywałeś prawie tutaj, wiem, że tak było – a teraz nagle...

Przez chwile poczuł dumę, że tak dobrze udawał. Nawet żona miała wątpliwości.

– Jeśli jaszczury już tam są – powiedział.

– To nie mogę pozwolić, żeby mnie zobaczyły, bo się zorientują, że nie jestem chory. Nie sądzę, żeby nasi chłopcy zadarli z Armią Krajową. Pomyśl tylko, gdzie wybuchła ta kłótnia, bardzo daleko od kwatery głównej jaszczurów. Chyba chcą odciągnąć uwagę żołnierzy Zolraaga od studia radiowego i nadajnika. Mordechaj powiedział, że zaatakują jutro w nocy, ale on działa szybko. O ile się nie mylę, jest to celowo wywołane zamieszanie.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz

Ryfka myślała tak intensywnie jak student jeszybotu podążający za egzegezą trudnego tekstu talmudycznego dokonywaną przez rabina. Uśmiechnęła się wreszcie.

– Tak, myślę że masz rację.

– To dobrze – powiedział Rusie

Poczuł się lepiej. Gorąca zupa go rozgrzała. Miał nadzieję, że nie będzie jej musiał zwracać, ale na wszelki wypadek w kieszeni płaszcza miał jeszcze jedną fiolkę emetyku. Podniósł się i podszedł do zniszczonego tapczanu. Tu i tam wystawały sprężyny, a obicie było brudne, ale w tych dniach sam fakt posiadania tapczanu był oznaką statusu wśród warszawskich Żydów. Hitlerowcy nie zniszczyli go całkowicie w czasie jednego ze swoich rajdów po getcie, a ubiegłej zimy rodzina nie musiała go porąbać na opał. Rusie kładąc się na nim, czuł się jak człowiek szczęśliwy. Ryfka okryła go użytym kocem.

– Jak chcesz wyglądać na chorego, skoro nie jesteś przykryty? – zapytała.

– Jakoś dam sobie radę – powiedział, ale puściła to mimo uszu.

Nie zdjął koca. Ledwie zapadł w drzemkę, Reuben zaczął walić łyżką w garnek. Ryfka szybko uciszyła chłopca, ale Mosze już nie zasnął. Kilka minut później mieszkanie wypełnił inny, straszny hałas: odległy grzechot karabinów.

– Skąd dochodzi? – zapytał Rusie rozglądając się na wszystkie strony.

Jeśli to były odgłosy z kierunku na północ od getta, to Żydzi i Polacy mogli rzeczywiście rozpocząć walkę; jeśli pochodziły z południa – to znaczy, że bojowcy Anielewicza przebrani w niemieckie mundury zaatakowali studio radiowe.

- Nie wiem – powiedziała Ryfka.
- W mieszkaniu trudno się zorientować.
- Prawda

Rusie postanowił poczekać. Strzelanina i wybuchy potrwały kilka minut. Już prawie zapomniał jaka cisza zapada po walce, chociaż nie tak dawno odgłosy wojny słyhać było codziennie. Pół godziny później do mieszkania znowu ktoś zapukał. Ryfka otworzyła drzwi. Bez ceremonii wszedł jaszczur. Skierował oczy na Rusiego.

- Jestem Ssfer ze sztabu gubernatora Zolraaga – powiedział syczącą niemczyzną.
- Poznajesz mnie?
- Tak, poznaję malowidła na twoim ciełe – odparł Mosze.
- Co mogę dla ciebie zrobić? Obawiam się, że w tej chwili niewiele. Rano powaliła mnie choroba.
- Dostojny Zolraag już o tym wie – odparł Ssfer.

– On – jak to wy mówicie? – pozwala ci wolniej wracać do zdrowia. Bandy ci z Deutschland właśnie – jak to powiedziec? – zastrzelili radio, może żeby cię uciszyć, nie pozwolić mówić. Potrzebujemy dziesięciu dni na naprawę.

- Jaka szkoda – powiedział Rusie.

Lancaster rycząc silnikami rozpędzał się na pasie startowym. Samolot trzął się i podskakiwał zwiększając szybkość. Bomby jaszczurów podziurawiły nawierzchnię lotniska w ubiegłym tygodniu. Naprawiono ją w pośpiechu. George Bagnall odczuwał ulgę, że nie wystartuje z pełnym ładunkiem bomb. Bomby to delikatne urządzenia. Takie podskoki w każdej chwili mogłyby spowodować, że któraś by wybuchła... i z załogi nie byłoby co zbierać. Bombowiec uniósł się w powietrze. Ken Embry, siedzący obok Bagnalla, uśmiechnął się.

– To zaskakujące, jak zmniejszenie ładunku wpływa na zachowanie się samolotu – powiedział pilot.

- Czuję się, jakbym leciał spitfire'em.
- Roi ci się w głowie – odparł Bagnall.
- Radar, który mamy w kadłubie, nie jest o wiele lżejszy niż ładunek, który wieziemy zazwyczaj.

Inżynier pokładowy włączył interkom.

- Jak ci się wie dzie, radarowcu Goldfarb?
- Zdaje się, że wszystko w porządku – usłyszał w słuchawkach.
- Zasięg radaru bardzo się powiększył.
- Niezły pomysł – powiedział Bagnall.

Radar zamontowany na samolocie lecącym kilka kilometrów nad ziemią mógł namierzać samoloty jaszczurów na znacznie większą odległość. Dawało to angielskiej obronie przeciwlotniczej kilka dodatkowych drogocennych minut na przygotowanie. Lancaster zwiększał wysokość. Bagnall dygotał pod futrzanym kombinezonem. Włączył tlen. Zaczai oddychać wzbogaconym powietrzem. W ustach poczuł smak gumowego węża maski tlenowej.

– Gdybyśmy mogli utrzymać tylko kilka takich samolotów w powietrzu, to przyniosłoby więcej korzyści niż dają wszystkie naziemne stacje razem wzięte – powiedział entuzjastycznie Goldfarb.

- Oczywiście gorsze jest to, że gdybyśmy mieli spaść, mamy dalej do ziemi – wysilił się na żart.

Bagnall starał się o tym nie myśleć. Jaszczury zniszczyły brytyjskie radary naziemne w pierwszych dniach inwazji, zmuszając RAF i obronę naziemną do poruszania się po omacku. Teraz siły brytyjskie powoli „odzyskiwały wzrok”. Jaszczurom na pewno by się to nie podobało.

- Przechodzę na kurs dwadzieścia – powiedział Ken Embry.
- Wysokość stała. Radiowiec, jak tam łączność z myśliwcami?
- Słyszę je dobrze – odparł Ted Lane.
- One też odbierają nas. Spieszno im, żeby zacząć ćwiczenia, proszę pana.
- Cholerni maniacy – powiedział Embry.
- O ile o mnie chodzi, to ideałem misji jest brak jakiegokolwiek kontaktu z wrogiem.

Bagnall był dokładnie tego samego zdania. Mimo że wieżyczki z karabinami maszynowymi umiejscowione były w całym samolocie, lancaster wobec myśliwców wroga był zawsze na straconej pozycji. Załoga wiedziała o tym i była bardzo ostrożna. Na pełnych zapалу do walki pilotów swoich myśliwców patrzyli jak na ludzi niespełna rozumu.

– Lepiej byłoby, gdybym mógł się kontaktować bezpośrednio z myśliwcami, a nie za pośrednictwem radiooperatora – powiedział Goldfarb.

– Dobra uwaga – stwierdził Bagnall.

– Zapisz to, może się przydać przy budowie następnych samolotów. A jak będziemy mieli więcej szczęścia niż rozumu, to może przeżyjemy i wypróbujemy te nowe samoloty, pomyślał.

Nie powiedział tego głośno. Goldfarb wiedział, jakie są szanse, kiedy zgłosił się na ochotnika do tej misji. Inżynier pokładowy wytarł zakrzywioną szybę z perpleksu irchową szmatką. Niewiele było do oglądania. Nie było nawet widać płomieni z rur wydechowych innych bombowców lecących wokół. Taki widok podnosił na duchu – człowiek wiedział, że nie naraża się na ryzyko samotnie. Teraz, wokół panowała tylko noc. Rozlegał się w niej warkot czterech merlinów. Bagnall, wspomniawszy o silnikach, sprawdził kontrolki. Mechanizmy były w porządku.

– Mam na ekranie samolot wroga – krzyknął Goldfarb.

Siedział z tyłu, w konsoli bombowej. Nie mógł nawet patrzeć na noc za oknem. Widział tylko ślady, które zostawiały wiązki elektronów na fosforyzującym szkłe. Ale jego elektroniczne oczy sięgały dalej niż wzrok Bagnalla.

– Powtarzam, mam na ekranie samolot wroga. Kurs 177, odległość pięćdziesiąt sześć kilometrów. Zbliża się z prędkością 800 km na godzinę.

Ted Lane przekazał informację myśliwcom Mosquito czającym się nad lancasterem. Te dwusilnikowe maszyny miały największy pułap ze wszystkich samolotów brytyjskiego lotnictwa. Były też trudne do namierzenia radarem, ich kadłub i skrzydła zbudowane były prawie w całości z drewna.

– Samolot jaszczurów wystrzelił rakiety – wrzasnął Goldfarb.

– Kurs... prosto na nas. Szybkość... są do cholery za szybkie dla mojej aparatury.

– Zamknij się – rozkazał Embry.

Rzucił lancastera w spiralne nurkowanie. Bagnall błogosławił pasy, które trzymały go w fotelu. Miał wrażenie, że jego żołądek pozostał 600 metrów nad samolotem. Przełknął ślinę. Żałował, że godzinę przed lotem zjadł porcję tłustych frytek i ryby. W słuchawkach odbił się podekscytowany okrzyk Joe Simpkina, tylnego strzelca:

– Jedna z rakiet przeleciała tam, gdzie przed chwilą byliśmy.

– Dobrze, na Boga – powiedział cichym głosem Ken Embry. I dodał, żeby nikt nie pomyślał, jakie wywarło to na nim wrażenie – kto by pomyślał, że tym naszym badaczom uda się cokolwiek?

– Jestem z tego raczej zadowolony – powiedział Bagnall dość zblazowanym tonem, żeby wyglądało na to, że uważa cuda za rzecz powszednią. Inżynierowie na ziemi byli pewni, że jaszczury zaatakują latający radar takimi samymi raketami, jakich użyli do zniszczenia stacji naziemnych.

Rakiety kierowały się na źródło promieniowania radiowego. Jeśli wyłączyć radar, tracą cel z

pola widzenia. Tam, na ziemi wydawało się to logiczne jak dwa razy dwa. Ale jajogłowi nie musieli przeprowadzać testów na własnej skórze. Tym się zajmowali lotnicy.

– Mam znowu włączyć? – zapytał Goldfarb przez interkom.

– Nie, lepiej jeszcze nie – powiedział po chwili Embry.

– Ale wtedy będzie bezużyteczny – odparł żałośnie radarowiec. My też będziemy cholernie bezużyteczni jak nas zestrzelą, pomyślał Bagnall.

Ale to nie było w porządku i wiedział o tym. Jak na kogoś, kto po raz pierwszy był w powietrzu, Goldfarb sprawował się doskonale. Rzecz polegała nie tylko na tym, że chciał pobawić się swoją zabawką. On miał rację: radar należało wyłączyć, żeby nie został zniszczony, ale potem musiał znowu działać. Jajogłowi powinni sprawić, żeby Goldfarb mógł łączyć się bezpośrednio z myśliwcami i żeby nie musiał wyłączać radaru z obawy, że go zestrzelą. Ted Lane wydał przenikliwy indiański okrzyk

– Mosquito zniszczył właśnie jednego z ich myśliwców. Rzucił się na niego z góry, prawie że zleciał mu na głowę. Nie mógł go podejść z tyłu, bo jaszczur jest szybszy. Mówi, że jaszczury rozproszyły się. Nurkują teraz, żeby uciec. Cała załoga zaczęła wiwatować.

– A co z resztą naszych? – zapytał Ken Embry.

Po chwili radiooperator odpowiedział:

– Hmm... kilku naszych nie odpowiada na mój sygnał, pilocie.

To tłumiło radość. RAF powoli i boleśnie uczył się, jak zadawać straty jaszczurom. Tymczasem najeźdźcy doskonale wiedzieli, jak zadawać straty RAF-owi. Bagnall miał nadzieję, że piloci myśliwców zdołali wyskoczyć ze spadochronem. Trudniej było zastąpić wyszkolonych ludzi niż maszyny.

– Chłopaki na dole też nas słuchają – powiedział Goldfarb znad ciemnego teraz ekranu radarowego.

– Jeśli mieli trochę szczęścia to też zadali straty jaszczurom. Przynajmniej mieli tę przewagę, że wiedzieli, z której strony nadleca.

– Cholernie dużo im to pomoże – powiedział Embry.

Jak każdy pilot udawał, że nie wierzy w umiejętność zestrzelenia czegokolwiek przez obsługę dział przeciwlotniczych. Jeśli dzięki temu latanie miałoby mu wydawać się bezpieczniejsze, to i Bagnall nie miał nic przeciwko takiemu pogładowi. Spokojny pilot to dobry pilot. A dobry pilot ma większe szansę, żeby wrócić wraz z załogą do domu.

– Czy mogę włączyć radar? – powtórzył Goldfarb.

Embry zdjął prawą rękę z orczyka i przesunął zaciśniętą pięść po udzie. Bagnall nie zrozumiał, o co mu chodzi. W końcu, pilot odpowiedział

– Tak, możesz. Jak zauważyłeś, to jest cel naszego spaceru w ten uroczy jesienny wieczór.

– Naprawdę? – zdziwił się Bagnall.

– A ja przez cały czas myślałem, że chodzi o to, żeby sprawdzić jak szybko jaszczury nas zestrzelą. Obsługa lotniska zagrała o to w totalizatora. Postawiłeś szylinga, Ken?

– Obawiam się, że nie – odparł Embry z niezachwianym spokojem.

– Jak mi powiedzieli, że ktoś obstawił dwadzieścia sekund po starcie, to pomyślałem, że moje szansę są równe zeru. Zatrzymałem, po zastanowieniu się, pieniądze, żeby zapisać je swoim spadkobiercom. A co ty zrobiłeś, stary?

– Przykro mi, że zepsułem ci grę, ale to zdaje się ja byłem tym facetem, który obstawił, że to będzie dwadzieścia sekund po starcie.

Bagnall nie miał zamiaru dać się pilotowi prześcignąć w dowcipie.

– Przyznaję, że nie wiem, jak odebrałbym wygraną.

Radar, jak każdy elektroniczny aparat zbudowany ręką człowieka, potrzebuje kilku sekund po włączeniu, żeby się nagrzać. Bagnall słyszał pogłoski, że sprzęt jaszczurów wymontowany ze straconych odrzutowców działał natychmiast po włączeniu. Zastanawiał się, ile w tym było prawdy. Z tego, co wiedział, lampy elektronowe potrzebowały czasu, żeby się nagrzać. Może jaszczury nie używają lamp? Nie miał pojęcia, co mogłoby je zastępować.

– Nadlatuje następny cel. Kurs ten sam, co poprzednio – powiedział Goldfarb.

– Odległość... trzydzieści siedem kilometrów. Zbliża, się cholernie szybko. Mam teraz wyłączyć?

– Nie, czekaj, aż wystrzelą rakiety – powiedział Embry.

Bagnall pomyślał, że pilot zwariował. Nawet zaczął się zastanawiać, czy załoga lotniska nie urządziła naprawdę totalizatora, a Embry stara się wygrać. Ale jak się okazało, w tym szaleństwie była metoda: Już wiemy, że można wyminąć rakiety, które naprowadzają się na nasz radar. Jeśli wyłączymy radar zanim odpalą pociski, mogą się zbliżyć i wystrzelić rakiety innego rodzaju, takie, których nie unikniemy.

– Stosują, zdaje się, dość stereotypową taktykę, co? – powiedział Bagnall po chwili milczenia.

– Ciągłe powtarzają ten sam wzór, bez względu na okoliczności. A jeśli robią źle, to dlaczego mielibyśmy poprawiać ich błędy?

– Tak samo właśnie my... – zaczął Embry.

– Rakiety! Wyłączam się... teraz! – przerwał mu Goldfarb.

Lancaster ponownie wykonał ostry skręt w powietrzu, a Bagnall znów zastanawiał się, czy ryby i frytki nie wypłyną mu z żołądka. I tym razem rakiet jaszczurów nie zdołała strącić brytyjskiego samolotu.

– Może to jednak nie jest misja samobójcza – powiedział uszczęśliwiony Bagnall.

Miał pewne wątpliwości, kiedy Lancaster nabierał rozpędu przed startem. Ted Lane słuchał, jak ocalałe mosquito atakują samoloty wroga.

– Jeszcze jeden trafiony! – powiedział.

Tym razem nikt w Lancasterze nie krzychał z radości. Załoga zdała sobie sprawę, jaką cenę piloci myśliwców płacą za każde strącenie.

– Otrzymaliśmy rozkaz przerwania operacji i powrotu do bazy – powiedział radiooperator Embry'emu. Wicemarszałek lotnictwa mówi, że skoro dwa razy mieliśmy szczęście, to nie chce kusić losu po raz trzeci.

– Wicemarszałek lotnictwa to stara baba – odparł pilot i dodał pośpiesznie – ale nie musisz informować go o moim zdaniu. Oczywiście, posłuchamy rozkazu, bo jesteśmy grzecznymi chłopcami. Nawigatorze, czy byłbyś uprzejmy zasugerować nam kurs...

– Zasugerować to właściwe słowo.

– W porządku – powiedział Alf Whyte zza swojej kurtyny.

Po tych skrętach i podskokach, w które puściłeś samolot, wydawało mi się, że kompas zatrudnił się w zespole swingowym. Jeśli jesteśmy tam, gdzie myślę, to kurs 078 doprowadzi nas w okolice Dover za dziesięć albo dwanaście minut

– Jest zero-siedem-osiem – powiedział Embry. Wchodzę na kurs.

Zamiótł bombowcem po niebie, jakby maszyna była przedłużeniem jego ciała. George Bagnall obserwował uporządkowane szeregi wskaźników z taką uwagą, jakby monitorowały one jego własny puls i oddech. I w istocie, tak było: gdyby zawiodły silniki albo system hydrauliczny, serce inżyniera pokładowego przestałoby bić wkrótce potem.

- Mam kontakt z lotniskiem – zgłosił radiooperator.
- Słyszają nas dobrze i mówią, że jaszczury nie poczyniły szkód tej nocy.
- Miło słyszeć – powiedział Embry.

Bagnall pokiwał głową. Lądowanie na pospiesznie załatanych lejach po wcześniejszych bombardowaniach i tak nie będzie łatwe. Lancaster nie miał uszkodzeń albo nie zrzuconych bomb na pokładzie, jak to się zdarzało, kiedy latali nad Niemcy i Francję, ale jego zbiorniki miały znacznie więcej paliwa niż pozostałoby po takich misjach. Byłby to świetny materiał wybuchowy, gdyby lądowanie się nie powiodło. Bagnall gapił się przez szybę. Poklepał Embry'ego po ramieniu.

– Czy to nie ocean?

– Nazwij mnie skurwysynem, jeżeli to jest co innego – powiedział Embry. Alf, wyszliśmy nad cholerne Morze Północne. Jesteśmy na północ, czy na południe od miejsca, gdzie powinniśmy być? Czuję się jak ślepiec wymacujący drogę laską. Mamy przecież radar na pokładzie. Powinniśmy znaleźć właściwy kurs za jego pomocą.

– Pomyśl o tym, jeśli wolno zauważyć, że jaszczury na pewno monitorują każdy nasz sygnał – odpowiedział nawigator.

– Chcesz ich naprowadzić na lotnisko, kiedy będziesz lądować?

– Oczywiście, że nie. Dobrze, że powiedziałaś. Ha!

Embry wskazał palcem w dół, w ciemność. Bagnall popatrzył w tamtą stronę. Też zauważył czerwoną latarnię. Zapalała się i gasła. Włączył na chwilę światła pozycyjne lancastera, żeby dać znać, że odebrał sygnał. Ożyły inne latarnie – białe i zielone – po obu stronach pasa startowego.

– Wygląda jak cholerny lotniskowiec – powiedział Embry.

– Mogło być gorzej – zauważył Bagnall.

– Wyobraź sobie, że runway kołysze się na wzburzonym morzu

– Cóż za wesoła uwaga

Embry naprowadził lancastera na dwa rzędy świateł. Lądowanie było byle jakie, ale nie skończyło się wypadkiem: przeciętne lądowanie w warunkach wojennych, pomyślał Bagnall. Wydostał się wraz z innymi z samolotu i pobiegł przez pas – teraz znów zaciemniony – w stronę baraku z blachy falistej otoczonego workami z piaskiem, których zadaniem było łagodzenie podmuchu wybuchów. Przed wejściem rozpościerał się namiot z zasłonami służącymi do zaciemnienia. Ludzie mogli wchodzić i wychodzić nie wypuszczając na zewnątrz światła, które mogliby spostrzec nieproszeni goście z innego świata. Blask nagich żarówek zwieszających się z sufitu baraku oślepił jak błysk flesza przyzwyczajone do ciemności oczy Bagnalla. Załoga rozmieściła się na pryczach i krzesłach. Niektórzy, wyczerpani misją, zasnęli natychmiast mimo włączonego światła. Inni, wśród nich Bagnall, wciągnęli fajki i papierosy.

– Mogę dostać jednego? – zapytał Goldfarb wskazując na paczkę playersów inżyniera pokładowego.

– Obawiam się, że moje się skończyły. Bagnall dał mu papierosa i nachylił się, żeby mu przypalić od swojego. Kiedy Goldfarb zaciągnął się, Bagnall powiedział:

– Chyba pójdziesz do „White Horse” kiedy już jajogłowi wyciągną z ciebie wszystko?

– Nie ma sensu – powiedział Goldfarb bardziej z rezygnacją niż goryczą.

– Och, tak, mogę się napić, ale jeśli idzie o dziewczyny, to jak powiedziałem – nie ma sensu.

Bagnall też znał upodobania kelnerek. Włożył język pod policzek.

– Coś mi się zdaje, że gapienie się w ekran radaru ma negatywny wpływ na umysł. Czy nie pomyślałeś o tym, że właśnie wróciłeś z lotu bojowego?

Koniec papierosa Goldfarba rozżarzył się nagle krwistą czerwienią. Oczy też mu płonęły.

– Myślałem tylko o tym, że cholerne jaszczury strzelają do nas raketami. Przysięgam, że nie myślałem o niczym innym. Niemniej, dziękuję szanownemu panu.

Bagnall machnął ręką parodiując elegancki gest arystokraty.

– Jestem zachwycony, że mogłem się przysłużyć. To rzeczywiście była przysługa.

W jednej chwili sprawił, że radarowiec zapomniał o strachu, który dopiero co przeżywał. Bagnall żałował, że nie może tego powiedzieć o sobie.

Rozdział XII

Ussmak przeklinał dzień, w którym Rasa odkryła Tosev 3 i dzień, kiedy sonda, którą Rasa wysłała na ten nieszczęsny świat powróciła bezpiecznie do domu. Przeklinał dzień, w którym się wyklął, w którym rozpoczął sen hibernacyjny i dzień, w którym się z niego obudził. Przeklinał Krentela. Robił to każdego dnia, odkąd ten cholerny idiota zastąpił Yotala. Przeklinał Wielkie Brzydale za to, że zabiły Yotala i Telerepa, a Krentela zostawiły przy życiu. Ale przede wszystkim, przeklinał błoto. Krążownik, który prowadził, przystosowany był do pokonywania przeszkód terenowych. Na ogół, maszyna nieźle dawała sobie radę. Ale Tosev 3 miała klimat wilgotniejszy niż każda z trzech planet należących do cesarstwa. Mieszanina wody i ziemi była znacznie bardziej kleista niż mogli to sobie wyobrazić inżynierowie Rasy. Ussmak znajdował się właśnie w środku takiej brei. Miał wrażenie, że błoto pokrywa cały kontynent. Rosjanie tylko pogorszyli sprawę nie umacniając odpowiednio swoich cholernych dróg. Jak tylko deszcz spadł na taką drogę, maszyna zaczynała tonąć. Miała wystarczająco szerokie gąsienice, żeby utrzymać się na każdej nawierzchni. Tej brejowatej, śliskiej masy nie można było jednak nazwać nawierzchnią. Ussmak znowu dodał gazu. Krążownik rył w glinie, gąsienice rozbryzgiwały błoto na wszystkie strony. Oblepiło wizjer Ussmaka; tylko zmarli cesarze mogą wiedzieć jakim, cudem się to stało. Kierowca nacisnął guzik: fontanna płynu z detergentem oczyściła pancerną szybę. To przyniosło ulgę. Przynajmniej nie będzie musiał otwierać włazu i wystawiać głowy na zewnątrz. Powietrze było zimne jak w lodówce. Kopułka Krentela też była dokładnie zamknięta. Zadaniem dowódcy krążownika naziemnego było prowadzenie dokładnej obserwacji, ale Ussmak, choć przeklinał Krentela, nie mógł go winić, że nie chce odmrozić sobie nosa. Kierowca znowu dodał gazu. Pomyślał, że mogłoby być jeszcze gorzej. Mógłby na przykład prowadzić ciężarówkę. Pojazdy kołowe miały w tym przeklętym bagnie jeszcze gorszą przeprawę. Już kilka razy musiał wyciągać je z brei, w której zagrzebały się powyżej osi. Ciężarówki były opancerzone. Przez to stawały się cięższe i łatwiej mogły utknąć w błocie. Mogło być jeszcze gorzej. Ussmak mógłby na przykład chodzić w kombinezonie zabezpieczającym przed radiacją jak ci nieszczęśnicy, którzy grzebią się w zamarzającym bloku i szukają wykrywaczami metalu kawałków materiału radioaktywnego. Kombinezony nie były ogrzewane; nikt nie przewidział takiej potrzeby, jak również i tego że Wielkie Brzydale rozwałą na drobne szczątki „67-ego cesarza Sohrheba”. Samce w kombinezonach pracowały na zmiany. Jedna grupa odchodziła, żeby się ogrzać, a do pracy przystępowała następna. W słuchawce interkomu zabrzmiał głos Krentela.

– Podwyższona gotowość, kierowco. Właśnie otrzymałem informację, że w tych okolicach mogą być aktywne bandy tosewickie. Odpowiedzialność za obronę spada na nasze sławne siły pancerne.

– Tak jest, dowódco – odparł Ussmak.

– Będzie wykonane.

Jak mógł zwracać uwagę na bandytów, skoro właz był zamknięty i widział tylko to, co miał przed sobą? Może Krentel powinien jednak otworzyć kopułkę i rozejrzeć się trochę. Chciał to powiedzieć dowódcy, ale postanowił się nie wtrącać. Wśród samców Rasy nie było zwyczaju, żeby podwładni robili uwagi przełożonym. To by doprowadziło do anarchii. W każdym razie, Ussmak wątpił, żeby Krentel go posłuchał. Temu durniowi wydaje się, że cesarz osobiście pouczy go, co trzeba robić. Poza tym, Ussmak czuł się coraz bardziej odizolowany od reszty świata, odkąd zginęli dwaj jego przyjaciele z załogi poprzedniego krążownika. Szkoda, że Yotala nie zastąpił ktoś taki, kto podjąłby trud ponownego zgrania załogi. Krentel traktował go jak część maszyny. Maszynom wszystko jest obojętne. Ussmak prowadził pojazd, automatycznie wymijając najgorsze przeszkody. Znalazł kawałek lepszego gruntu, gdzie rosło jeszcze tyle pożółkłej trawy, że gąsienice krążownika

nie tonęły tak szybko jak na nieporośniętej powierzchni. Przed nim widniał lasek karłowatych drzewek. Ich gałęzie były nagie. Liście z nich opadły, kiedy zaczęły się deszcze. Ussmak zastanawiał się, dlaczego tak się stało. Wydawało mu się to niepotrzebną stratą materiału i energii. Żadne z drzew na rodzimej planecie nie zachowywało się w tak rozrzutny sposób. Tęsknił za domem. Chociaż pomysł przekształcenia Tosev 3 w jeszcze jedną wersję rodzimej planety wydawał mu się dobry i szlachetny kiedy zasypiał w kapsule hibernacyjnej, to wszystko, co zaszło od momentu przebudzenia świadczyło wyraźnie o tym, że nie pójdzie to tak łatwo, jak się zdawało z początku. Krnąbrność Tosewitów sprawiała, że zastanawiał się, w jaki sposób Rasa zdołała uporać się z podbojem Rabotev 2 i Halless 1. Myślał też, dlaczego nikt poza nim nie ma wątpliwości wobec tego, co Rasa wyprawia na tej planecie. Samce jeszcze w domu wyrobiły sobie pogląd na temat zastanej tu społeczności i robiły teraz swoje, zmieniając początkowe założenia, tylko dlatego że Tosewici mieli wyższy poziom techniczny niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Nikt nie troszczył się o słuszność tego, co robi. Ussmak też nie miał pojęcia, co wojska Rasy powinny teraz przedsięwziąć. Przypuszczał, że żywione przez niego wątpliwości wynikają z tego, że czuje się wyalienowany, że wyrwano go z miejsca, które zajmował w starej załodze i narzucono nie chciane towarzystwo obcych, nie akceptowanych przez niego i do tego głupich samców. Za nim rozległ się lekki szmer maszynierii obracanej wieży. Zaczęły strzelać sprzężone karabiny maszynowe.

– Musimy wykurzyć wszystkie Wielkie Brzydale czające się między tymi drzewami – powiedział Krentel z właściwą sobie gadatliwością.

Tym razem jednak Ussmak zgodził się z decyzją dowódcy. Krentel zrobił wreszcie coś sensownego. Ussmak ucieszył się z tego. Gdyby zdarzało się to częściej, byłby zadowolony z życia nawet na tej nieszczęsnej, zimnej, wilgotnej kuli błota. Kule karabinu maszynowego przeleciały z gwizdem o niecały metr od głowy Heinricha Jagera. Gdyby na gałęziach brzoź zostały jeszcze jakieś liście, to seria strąciłaby je. Ale liście leżały już na ziemi. Ich gruba warstwa pomagała ukryć się przed czołgiem jaszczurów ostrzeliwującym lasek z bliskiej odległości. Wilgoć z ziemi i liści przenikała zniszczone ubranie Jagera. Deszcz zacinał go w plecy i spływał po szyi. Ledwie powstrzymywał kichnięcie. Rykoszet ochlapał mu twarz błotem. Leżący obok niego Georg Schultz zachichotał ponuro.

– No cóż, majorze, cieszy się pan, że nie musieliśmy wcześniej służyć w piechocie?

– Owszem, skoro o to pytasz.

Przykrość polegała nie tylko na tym, że musiał czołgać się w błocie. Jager czuł się słaby i bezsilny kiedy nie otaczał go pancierz czołgu. W jego Panzer III śmiałyby się tylko z kul karabinu maszynowego. Teraz mogły przebić jego ciało jak każdy przedmiot, napotkany na swojej drodze. Uniósł głowę o kilka centymetrów, akurat tyle, żeby móc zerknąć na czołg jaszczurów. Zdawał się być niewrażliwy na wszystko, co mogli mu przeciwstawić żołnierze piechoty. Nagle, Jager zrozumiał, jakie uczucie musiał wywoływać jego czołg we francuskich i rosyjskich żołnierzach, którzy nie byli w stanie go powstrzymać. Teraz role się zmieniły. Jeden z partyzantów leżących obok Jagera jakby czytał w jego myślach.

– Widzicie jak to jest, towarzyszu majorze. Co mamy do cholery z tym zrobić?

– Na razie poczekamy – odparł Jager.

– Chyba, że spieszy ci się na tamten świat.

– Po tym, co przecierpiałem przez ostatnie półtora roku z waszych rąk, śmierć nie jest mi straszna – odpowiedział partyzant.

Jager odwrócił głowę, żeby popatrzeć na sojusznika, który jeszcze trzy miesiące temu był wrogiem. Partyzant był chudym mężczyzną z siwą brodą i wielkim nosem.

– Wiesz, że jest to dla mnie w równym stopniu ironia losu jak dla ciebie – powiedział Jager.

– Ironia?

Partyzant uniósł krzaczaste brwi. Jager miał trudność ze zrozumieniem go. Nie mówił po niemiecku tylko po żydowsku. Co czwarte słowo było dla majora niejasne.

– Pieprzyć taką ironię – mówił dalej Żyd.

– Pytałem Boga, czy może być gorzej niż kiedy wy, Niemcy, tu jesteście. No i pokazał mi, że może być gorzej. Niech to będzie dla ciebie lekcją towarzyszu nazistowski majorze: nigdy nie módl się o coś, czego naprawdę nie chcesz, bo możesz to dostać.

– Zgadza się, Maks – Jager uśmiechnął się trochę wbrew woli.

Nie walczył ramię w ramię z Żydami od czasów pierwszej wojny. Ale grupa rosyjskich partyzantów, która leżała wokół niego, w połowie składała się z Żydów. Zastanawiał się, czy Iwany z Moskwy urządziły to tak specjalnie, żeby któryś z partyzantów nie pomyślał o tym, żeby zdradzić Stalina. Miałoby to sens, ale mogło też obniżyć zdolność bojową oddziału wzniecając wzajemne podejrzania, a w przypadku Żydów otwartą nienawiść. Karabin maszynowy czołgu jaszczurów przestał pluć ogniem. Wieża odwróciła się. Jager pozazdrościł szybkości, z jaką działał jej mechanizm. Gdyby sam dysponował taką maszyną, mógłby dokonać czegoś godnego uwagi. U jaszczurów marnowała się. Nie miały pojęcia, jaki z niej mógłby być pożytek. Czołg potoczył się dalej przez błota. Jager poznał rosyjskie błoto poprzedniej jesieni i wiosny. Świetnie potrafiło wessać jego Panzer III. Z pewną satysfakcją patrzył, że jaszczurom też nie jest lekko. Przeniósł uwagę z czołgu na ciężarówkę i żołnierzy. Samochodom, jak wszystkim pojazdom kołowym, błoto sprawiało ogromny kłopot. Enkawudzista w Moskwie miał rację. Te wozy były bardzo ciężkie. Co chwila żołnierz jaszczurów pokryty od czubków pazurów po głowę połyskliwym szarym kombinezonem podchodził i kładł coś – z tej odległości Jager nie widział co – na tył wozu. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli porwać ciężarówkę, pomyślał. Biorąc pod uwagę stan, w którym znajdowały się rosyjskie drogi, o ile można je było tak nazwać, nie był pewny, czy partyzanci zdołaliby porwać pojazd kołowy. Niemiecki karabin maszynowy zaczął ujadać z pozycji starannie zamaskowanej zeszlými liśćmi. Dwa jaszczury upadły. Inne zaczęły biec, a jeszcze inne, mądrzejsze, albo bardziej doświadczone, padły na brzuchy tak, jak zrobiliby to ziemscy żołnierze. Kilka celnych serii roztrzaskało szybę w oknie ciężarówki. Jager nie był w stanie dostrzec, co się stało z kierowcą. Dowódca czołgu jaszczurów zmarnował trochę czasu zanim spostrzegł, że strzela karabin maszynowy nieprzyjaciela. Ten głupek siedział pod zamkniętym włazem. Jager by go zdegradował, nie mówiąc o tym, że wytargałby go za uszy i skopał po tyłku za taką głupotę. A może to było tchórzostwo? Kiedy jaszczur zechciał wreszcie zwrócić uwagę na gniazdo karabinu maszynowego, zrobił dokładnie to, na co czekał Jager: zamiast stanąć w miejscu i zniszczyć pozycję dwoma pociskami z działa, zaczął szarżować i strzelać z własnego kaemu. Niemiecki karabin zamilkł. To zaniepokoiło Jagera; jeśli jaszczurowi udało się trafić, to partyzanci musieliby się wycofać i wrócić z nowym planem. Ale w tym momencie ukryty kaem znowu zaczął ujadać. Teraz strzelał wprost do nadjeżdżającego czołgu. Jager widział, jak kule kalibru 7,92 krzesząc iskry odbijały się bezużytecznie od płyty czołowej czołgu. Ale to była prowokacja. Chodziło o to, żeby dowódca maszyny wroga zajął się wyłącznie likwidacją gniazda i nie zwracał uwagi na nic innego. Georg Schultz chrząknął z zadowoleniem

– Niech mnie diabli wezmą, jeśli nie połknął przynęty, panie majorze.

– Ja – odpowiedział Jager nieobecny głosem.

Patrzył, jak czołg brnie przez błota. Maszyna podjechała do skraju lasu. Wtedy przemówiła armata czołgowa. Huk był taki, że Jagerowi zaczęło dzwonić w uszach. Fontanna błota wytrysnęła tuż za gniazdem niemieckiego karabinu maszynowego, ale kaem strzelał nadal. Jager odwrócił głowę i

spojrzał ponad głową Maksa.

– Dzielni z nich ludzie – powiedział.

Lufa działa czołgowego obniżyła się o jakiś centymetr i znowu wystrzeliła. Tym razem karabin maszynowy został wykluczony z akcji – wyjątkowy eufemizm, pomyślał Jager i wyobraził sobie krwawe ochłapy, w które w ułamku sekundy zmieniło się dwóch ludzi. Spośród brzoź wypadł Otto Skorzeny. Biegł w stronę czołgu jaszczurów. Jego dowódca musiał patrzeć przez peryskop na wprost, bo nie dostrzegł wielkiego esesmana zbliżającego się do niego z boku. Błoto tryskało spod butów Skorzenego. Paręset metrów, które dzieliły go od czołgu, przebiegł w czasie, którego mógłby mu pozazdrościć biegacz olimpijski. Wielka maszyna właśnie ruszała, kiedy znalazł się obok niej. Wspiął się na tył, podłożył ładunek wybuchowy pod wybrzuszenie wieży i zeskoczył głową w dół. Ładunek eksplodował. Wieża podskoczyła jakby ją koń kopnął. Błękitne płomienie strzeliły z przedziału silnikowego. Właz ewakuacyjny z przodu nagle się otworzył. Wyskoczył z niego jaszczur. Jager nie zauważył wroga. Patrzył jak Skorzeny biegnie z powrotem do lasu. Potem jego wzrok ześlizgnął się na Maksa.

– Pieprzyć was, hitlerowcy – powtórzył partyzant. I z ociąganiem dodał.

Ten esesowski skurwysyn nie jest po prostu odważny, on ma popierdolone w głowie. Jager myślał o Skorzenym to samo odkąd go spotkał w Moskwie, więc się nie sprzeczał. Jak wszyscy pozostali partyzanci chwycił za karabin, wstał i pobiegł w stronę jaszczurów, krzycząc co sił w płucach. Ciężkie kombinezony ochronne sprawiały, że jaszczury poruszały się powoli i niezgrabnie. Padały jak kręgle. Jager pomyślał, czy bezpiecznie jest tak kręcić się tutaj bez ubrania ochronnego. Ale myśl szybko wywietrzała mu z głowy. Znacznie ważniejsze było nie dać się zastrzelić.

– Naprzód, naprzód, naprzód! – krzyczał, wskazując w kierunku ciężarówki, do której strzelał niemiecki karabin maszynowy.

Od tamtego czasu nie ruszyła się. Kiedy podbiegł do niej, zrozumiał dlaczego: seria, która stłukła szybę roztrzaskała też czaszkę kierowcy. Krew i mózg ochlapały kabinę. Wyglądało to tak samo, jakby zastrzelono człowieka. Jager upewnił się, że kierowca nie żyje i pobiegł na tył ciężarówki. Kłapa tylna wyglądała tak samo jak w ziemskich wozach. Partyzanci już ją otworzyli. Jager zajrzał do środka. Wnętrze było oświetlone lampami fluorescencyjnymi biegnącymi wzdłuż sufitu. Pokryte błotem niekształtne kawałki metalu nie wydawały się warte trudu, z jakim zbierały je jaszczury. Ale to właśnie chcieli porwać napastnicy: jeśli jaszczurom tak zależało na tym złomie, to widać warto go mieć. Maks poza karabinem miał saperkę. Uniósł na niej kilka kawałków tego niewinnie wyglądającego metalu i włożył je do wyściełanego ołowiem drewnianego pudła, które ciągnęło z sobą dwóch partyzantów. Natychmiast potem zatrzaskało wieko.

Wszyscy trzej powiedzieli jednocześnie:

– Chodźmy stąd.

Było to powiedziane w porę. Drugi czołg jaszczurów znajdował się niedaleko, o jakieś półtora kilometra od miejsca akcji. Jechał w ich kierunku. U wylotu luf jego karabinów maszynowych wykwit! płomień. Kule uderzały obok biegnących. Jeden z partyzantów upadł z jękiem. Niewielkie było prawdopodobieństwo, że ogień karabinu maszynowego strzelającego na daleki dystans trafi w pojedynczą osobę, ale mógł zdziesiątkować grupę przyłapaną na otwartym polu. Jager walczył w 1918 roku nad Sommą. Niemieckie karabiny maszynowe urządziły wtedy nacierającym Brytyjczykom straszliwą jatkę. Ale partyzanci, inaczej niż tamci dzielni, ale głupi Anglicy, nie atakowali zapór z drutu kolczastego, lecz wycofywali się pod osłonę drzew. Byli już prawie w lesie, gdy jeden z ludzi dźwigających obitą ołowiem skrzynię, wyrzucił ręce do góry i runął na twarz. Jager był tylko o kilka metrów obok. Schwycił za uchwyt, który wypuścił partyzant. Pudło było zaskakująco ciężkie jak na

swoje rozmiary, ale można je było udźwignąć. Jager i drugi partyzant pobiegli dalej. Odgłos mokrych liści pod stopami był najmiłszym dźwiękiem jaki słyszał w życiu: to znaczyło, że udało im się dobiec. Wymijali drzewa, starając się wykorzystać je jako osłonę. Czołg jaszczurów nadal strzelał, ale nie zbliżał się.

Jager zwrócił się do partyzanta biegnącego obok:

– Chyba ten skurwiel zrezygnował.

Żyd kiwnął głową. Uśmiechnęli się do siebie. Jager poczuł z zaskoczeniem, że wzrasta jego pewność siebie. Odkąd enkawudzista zaproponował mu udział w tej misji, uważał ją za samobójczą. Nie powstrzymało go to od zgłoszenia swego udziału; samobójcze misje były częścią wojny, a jeśli służyły sprawie, warto było zaryzykować. Teraz zaczął myśleć, że uda mu się ująć z życiem. Potem... co potem, będzie się martwił później. A skoro już nadejdzie owo później, to będzie się martwił co potem. Terkot nad głową sprawił, że obawy wróciły. Chociaż wiedział, że to głupie i niebezpieczne, obejrzał się przez ramię. W tym momencie nadleciał helikopter. Zaczął strzelać. Z tą maszyną błoto nie da sobie rady. Może zawisnąć nad gołymi drzewami i smagać napastników ogniem dopóki nie zrezygnują z wykonania zadania. Rozległ się dźwięk dwudziestomilimetrowej armaty przeciwlotniczej. Strzelała do helikoptera z lasu. Jej lekka laweta przystosowana była do walki w górach. Składała się z dwudziestu siedmiu przenośnych części. Jager sam niósł jedną z nich. To była broń niemiecka, obsługiwana przez niemiecką załogę. Stanowiło to jeden z powodów, dla których Sowieci zdecydowali się włączyć żołnierzy Wehrmachtu do tego zadania. Helikopter jaszczurów wisiał przez chwilę w powietrzu, jakby nie dowierzając, że partyzanci mogli go zaatakować. Był odporny na kule karabinowe, ale nie na pociski działka przeciwlotniczego. Jager patrzył jak pociski odrywają z maszyny kawałki metalu. Helikopter za późno zajął się swoim prześladowcą. F lak 38 strzelał bez przerwy. Śmigłowiec przechylił się na burtę jak tonący okręt i uderzył o ziemię. Wiwaty wypełniły las. Maks podniósł zaciśniętą pięść i krzyknął:

– Udław się tym, ty...

Jager nie zrozumiał następnych słów w jidysz, ale brzmiały bojowo. Major wojsk pancernych też ryczał. Potem mrugnął. Walkę u boku Żyda podyktowały względy taktyczne. Ale czuć to samo co on, zobaczyć w nim człowieka, to jednak co innego. Jager będzie musiał o tym pomyśleć, jeśli pożyje wystarczająco długo. Spomiędzy drzew wybiegł Oto Skorzeny. Był brudny, ubrany w esesmański strój maskujący, mimo to udało mu się jakoś zachować elegancki wygląd.

– Ruszać się, wy durnie! – krzyknął.

– Jeśli nie wyniesiemy się stąd teraz, to nigdy tego nie zrobimy. Myślicie, że jaszczury będą siedziały na dupie przez cały czas? Pospieszcie się, to nie traficie na własny pogrzeb.

Skorzeny, jak zwykle, elektryzował wszystkich wokół siebie. Czerwoni partyzanci bez wątpienia nadal go nienawidzili, ale kto będzie się kłócił z człowiekiem, który własnoręcznie zniszczył czołg jaszczurów? Partyzanci zagłębili się w las. Wkrótce Jager znowu usłyszał warkot helikopterów. Odwrócił się; tym razem były dwa. Niemiecka załoga dział przeciwlotniczego otworzyła teraz ogień na dalszy dystans. Mieli nadzieję, że uda im się szybko strącić jeden śmigłowiec, a z drugim dadzą sobie radę, gdy podleci bliżej. Mieli też nadzieję, że ściągną na siebie ogień obu maszyn, co umożliwi ich towarzyszom bezpieczny odwrót. Helikoptery rozdzieliły się, żeby zaatakować dział przeciwlotnicze z przeciwnych stron. Jager żałował, że to nie było wielkie dział kalibru 88. Zmiotłoby śmigłowce jak muchy. Ale osiemdziesiątka ósemka nie mogła być transportowana przy użyciu siły rąk. Jej lufa miała prawie siedem metrów długości. Całość ważyła ponad osiem ton. Małe działko górskie musiało wystarczyć. Jeden z helikopterów eksplodował w powietrzu. Płonące szczątki spadły na las. Drugi strzelał ogniem koszącym. Jager patrzył jak pociski

smugowe z działka wlatują łukowatym torem w górę i wbijają się w helikopter, który odpowiada pociskami smugowymi skierowanymi w dół. Flak 38 nagle przestał strzelać. Ale helikopter nie ruszył w pościg za partyzantami. Silny wybuch, który rozległ się w chwilę potem, powiedział Jagerowi, dlaczego tak się stało. Artylerzyści wykonali swój obowiązek i to lepiej niż spodziewano się, kiedy planowano tę akcję. Partyzant dźwigający z Jagerem ołowianą skrzynkę był u kresu sił. Potykał się, chwiał i łapał oddech jakby zaraz miał stracić przytomność.

– Zjeżdżaj stąd zanim nie spartaczysz akcji i nie załatwią nas obu. Niech ktoś inny złapie za rączkę – huknął na niego Jager.

Dopiero, kiedy to powiedział, zwrócił uwagę na porządek zdania – najpierw misja, potem własne życie. Odchrząknął. Na wypadek, gdyby nie był tego świadomy, to powinno mu się powiedzieć, że jest świetnie wyszkolonym żołnierzem. Partyzant kiwnął z wdzięcznością i odszedł zataczając się na bok. Podbiegł Georg Schultz.

– Poniosę, panie majorze – powiedział wskazując na ładunek, który dźwigał Jager.

– Nie. Ja to zrobię

To był Maks. Ten żydowski partyzant o niewyparzonej gębie. Nie był duży, prawdopodobnie nie był taki silny jak Schultz, ale wyglądał na twardego i żylastego. Gdyby nie wyjątkowe okoliczności, Jager wolałby widzieć obok siebie Schultza. Ale okoliczności były specyficzne. Powodzenie misji zależało od współpracy resztek armii niemieckiej i Rosjan. Gdyby skrzynkę z cenną zawartością poniosło dwóch Niemców, czerwoni mogliby mieć o to pretensje. Jager myślał o tym zaledwie kilka sekund, ale stwierdził, że niezbyt nadaje się teraz do podjęcia racjonalnej decyzji. Niesienie skrzynki w pojedynkę było zbyt męczące.

– Pozwól, by Maks pomógł nieść skrzynkę, Georg – powiedział major.

Schultz wyglądał na zdziwionego, ale cofnął się o kilka kroków. Maks chwycił za jedną rączkę. Dalej dźwigali razem. Idąc obok Jagera Maks przyglądał mu się z nienawiścią.

– Jak by ci się spodobało, gdybym powiedział pozwól pieprzonemu hitlerowcowi to zrobić, co panie pierdolony hitlerowiec?

– Dla ciebie, panie Żyd jestem major pierdolony hitlerowiec – odparł Jager.

– A następnym razem, jak będziesz miał ochotę przeklinać mnie, to bądź uprzejmy pamiętać o tym, co zrobili ci z obrony przeciwlotniczej, którzy do końca pozostali na stanowiskach i dali się zastrzelić, żebyś ty mógł uciec.

– Zrobili, co do nich należało – warknął Maks.

Ale po tym, jak splunął w kupkę brązowych liści, dodał – tak, w porządku. Będę o nich pamiętał, kiedy będę odmawiał kadisz.

– Nie znam tego słowa – powiedział Jager.

– Modlitwa za umarłych – odparł krótko Maks.

Ponownie spojrzał na Jagera. Teraz jego wzrok był oceniający, a nie wrogi, ale i tak trudno go było znieść.

– Ty, niewiele wiesz. Wiesz na przykład coś o Babim Jarze?

– Nie – przyznał Jager.

– Co to takiego?

– Miejsce, trochę za Kijowem, niedaleko stąd. Szukasz wielkiej dziury w ziemi, ustawiasz na jej skraju Żydów. Mężczyzn, kobiety, dzieci – bez znaczenia. Ustawiasz ich w szeregu, strzelasz im w potylicę. Wpadają prosto do własnego grobu. Wy Niemcy jesteście cholernie praktyczni, wiesz? Potem ustawiasz następny szereg i też rozstrzelujesz. Robisz tak, póki dziura się nie zapełni. Potem znajdujesz drugą dziurę.

– Propaganda... – powiedział Jager.

Maks bez słowa odciągnął kołnierz bluzy i pokazał kark. Jager rozpoznał ranę postrzałową na pierwszy rzut oka.

– Musiałem drgnąć w chwili, gdy karabin wypalił – powiedział Żyd. Upadłem. Na dole były inne skurwysyny z karabinami. Mieli postarać się, żeby wszyscy byli martwi. Musieli mnie pominąć. Mam nadzieję, że nie dostali nagany. Upadły na mnie inne ciała. Ale nie było ich wiele. Robiło się późno. Kiedy się ściemniło, udało mi się wyczołgać i uciec. Od tamtego czasu zabijam Niemców.

Jager nie odpowiedział. Nie interesowało go, co dzieje się z Żydami na okupowanych terenach rosyjskich. To nie było bezpieczne dla niego i mogło się źle skończyć. Słyszał różne rzeczy. Nie przejmował się tym. W końcu, Fuhrer ogłosił Żydów wrogami Rzeszy. W żołnierskim rzemiośle robi się różne rzeczy. Ustawianie ludzi w szeregu nad skrajem dołu i strzelanie im w kark do tego nie należało. Nie było to łatwe. Ale skoro Rzesza prowadziła wojnę, a zwierzchnik wydałby mu rozkaz... Pokręcił głową. Po prostu nie wiedział. Jego żydowski towarzysz broni przyglądał mu się z drugiej strony skrzyni. Widział, jak się męczy. Jego wzrok sprawiał, że Jagerowi było jeszcze trudniej. Jeśli Żydzi w jednej chwili mogli zmienić się z wrogów Rzeszy w towarzyszy broni, to tym trudniej było znieść myśl o ich mordowaniu.

– Może masz sumienie?

Głos Maksa brzmiał chytrze.

– Oczywiście, że mam sumienie – odparł z oburzeniem Jager i zamilkł.

Jeśli ma sumienie, co przed chwilą bez wahania potwierdził, to czy może ignorować to, co Niemcy być może uczynili? Ku jego uldze las zaczął się przersedzać. To znaczyło, że rozpoczynała się najniebezpieczniejsza część akcji: przejście z łupem przez otwarty teren. W porównaniu z ową otchłanią, o której opowiadał mu Maks, fizyczne zagrożenie stało się nagle mile widzianą zmianą. Dopóki narażał swoje życie w walce, dopóty był zbyt zajęty, by spojrzeć w tę otchłań i ujrzeć ciała z dziurami w potylicach. Partyzanci, którzy przetrwali atak, zebrali się na skraju lasu. Skorzeny przejął nad nimi dowodzenie. Spod grubej warstwy liści wyciągnął kilka skrzyń podobnych do tej, którą dźwigali Jager i Maks. Różnica polegała na tym, że nie były obite płytami ołowianymi.

– Po dwóch ludzi do każdej – rozkazał Skorzeny.

Przerwał, aby partyzanci znający niemiecki mogli przetłumaczyć rozkaz tym, którzy nie znali tego języka.

– Rozproszymy się teraz dwójkami, żeby jaszczury nie mogły się zorientować, która skrzynia jest prawdziwa.

– Skąd mamy wiedzieć, że ta prawdziwa trafi tam, gdzie powinna – zapytał jeden z partyzantów.

Rosjanie i Niemcy, brudni i zmęczeni, wszyscy przytaknęli. Nadal nie bardzo sobie ufali. Walka, którą wcześniej prowadzili przeciw sobie, była zbyt bezlitosna.

– Łup poniosą dwaj: Rosjanin i Niemiec.

Na wozie, który na nich czeka, też jest dwójka ludzi, po jednym z każdej strony. Jeśli się nawzajem nie pozabijają, to wszystko będzie w porządku? Esesman roześmiał się, żeby pokazać, że to tylko żart. Jager popatrzył na Maksa. Żyd się nie śmiał. Miał wyraz twarzy, który Jager często widział u młodszych oficerów, kiedy stykali się z trudnym problemem taktycznym: rozważał, co ma zrobić. To znaczyło, że i Jager musiał się zastanowić.

– Rozejdziemy się dwójkami – powiedział Skorzeny.

– Zespół z prawdziwą skrzynią pójdzie jako trzeci.

– Kto ci powiedział, że jesteś Panem Bogiem, żeby rozkazywać – powiedział jakiś partyzant.

Przecięty blizną policzek esesmana zadrgał. Skorzeny bezwstydnie się uśmiechał.

– A kto ci powiedział, że nie jestem?

Począł chwilę, żeby się przekonać, czy są jeszcze jakieś uwagi. Nie było. Uderzył po ramieniu człowieka z najbliższej stojącej pary.

– Jazda! – krzyknął, jakby to był spadochroniarz skaczący z transportowca Ju-52. Następna para poszła w chwilę potem.

– Skacz! – ryknął ponownie Skorzeny i Jager z Maksem wybiegli z krzaków.

Pobiegli w stronę, gdzie miał stać przygotowany wóz. Czekali o kilka kilometrów na pomocny zachód od najbliższej strzeżonej przez jaszczury strefy bezpieczeństwa Jager miał ochotę biec przez cały czas. Ale trudno to było robić w grząskim błocie, dźwigając ciężką skrzynię.

– Rzygać mi się chce od tego deszczu – powiedział Maks, chociaż wiedział nie gorzej od Jagera, że śnieg byłby jeszcze gorszy.

– Teraz deszcz wcale mi nie przeszkadza – powiedział Jager.

– Jaszczurom trudniej nas będzie ścigać, a niski pułap chmur utrudni wyśledzenie nas z powietrza. Jeśli o to chodzi, to nie miałbym nic przeciwko mgle.

– A ja miałbym – stwierdził Maks.

– Zgubilibyśmy się.

– Mam kompas.

– Bardzo praktyczne – powiedział sucho Maks.

Jager przyjął to na początku za komplement, ale przypomniał sobie, że tego słowa użył Żyd opisując masowy mord w – jak się to miejsce nazywa?

– Babim Jarze.

Majora opanował gniew. Kłopot polegał na tym, że nie wiedział przeciw komu go skierować. Czy przeciw własnym ludziom za pohańbienie mundurów, które nosili, czy przeciwko Żydowi za to, że zwrócił mu na to uwagę. Popatrzył na Maks a. Maks, jak zwykle przyglądał się Jagerowi. Nie sprawiało mu kłopotu znalezienie obiektu nienawiści. Jager odwrócił wzrok, spojrzał za siebie. Drzewa były ledwie widoczne w zacinającym deszczu. Widział inną parę niosącą fałszywą skrzynię, pozostałe zniknęły mu z pola widzenia. Nie miałby ochoty ścigać nikogo przy takiej pogodzie i miał nadzieję, że jaszczury też się z tym nie spieszą. Tak, czy inaczej nie wyślą za nimi czołgów. Ich maszyny miały podobne kłopoty z rosyjskim błotem co Wehrmacht. Musiał myśleć na głos, bo Maks uśmiechnął się niemiło i powiedział:

– Wy nieszczęsne skurwysyny.

– Cholera z tobą Maks.

Gdyby powiedział to innym tonem, zaczęłaby się walka, o której pół żartem pół serio mówił Skorzeny. Ale żydowski partyzant zmienił wyraz twarzy, jakby i on musiał coś przemyśleć. Nagle, na twarzach obu mężczyzn pojawił się strach. Usłyszeli helikoptery. Tym razem nie było już armaty przeciwlotniczej, która mogła je powstrzymać. Od strony lasu dobiegł ich odgłos wystrzałów z karabinów, ale karabin przeciwko tym maszynom był bezsilny. Karabinowe kule odniosły jednak jakiś skutek. Ryk wirników już nie narastał. Śmiercionośne maszyny zawisły nad drzewami. Zaczęły strzelać. Kiedy przestały, kanonada z dołu dała znać, że nie wszyscy partyzanci zginęli. Znowu rozległo się ujadanie kaemów zamontowanych na śmigłowcach. Odgłos wirników zmienił natężenie. Jager obejrzał się, ale przez zasłonę deszczu niczego nie zobaczył. Próbował zachować optymizm.

– Może usiadły, żeby przeczesać las. Jeśli tak, to szukają w niewłaściwym miejscu. Maks miał mniej nadziei.

– Nie licz na to, że będą tacy głupi.

– Oni nie są dobrymi żołnierzami w taktycznym znaczeniu tego pojęcia – odpowiedział

poważnie Jager.

– Są dość odważni i mają doskonały sprzęt, ale jak tylko muszą zrobić coś, czego z góry nie zaplanowali, to zaczynają brnąć w kłopoty.

– Pod tym względem są gorsi nawet od Rosjan, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

Ostrzał z helikopterów nie wykończył partyzantów. Karabiny znów się odezwały; sowiecki karabin maszynowy przyłączył się do kanonady. W chwilę później odpowiedziały im ręczne automaty jaszczurów.

– Wyszadziłem desant! – krzyknął Jager.

– Im więcej czasu tam zmarnują, tym większe szansę ma nasza misja.

– I tym pewniej wybiją moich przyjaciół – powiedział Maks.

– Twoich chyba też.

Czy pieprzony nazista ma przyjaciół? Czy po całym dniu męczącego strzelania Żydom w potylicę idziesz na piwo ze swoimi Kameraden!

– Jestem żołnierzem, a nie rzeźnikiem – powiedział Jager.

Myślał o tym, czy Georg Schultz dostał jedną z tych pustych skrzynek. Jeśli tak, to właśnie lał przez błoto. Jeśli nie... Myślał też o Otto Skorzenym. Ten oficer SS zdawał się mieć dar do wpadania w nieprawdopodobne tarapaty i wychodzenia z nich bez szwanku. Będzie mu teraz ten dar potrzebny. Ale myśl o SS nasunęła Jagerowi skojarzenie z Babim Jarem. To musiał być ich uczynek; Wehrmacht przecież nie byłby w stanie tak postąpić

– Wy, Rosjanie, też macie rzeźników – powiedział.

– Doprawdy? – zapytał Maks.

– Czy to ci poprawiło humor?

Jager nie znalazł dobrej odpowiedzi. Żydowski partyzant mówił dalej.

– Żałuję, że nie wysłali mnie do gułagu, zanim wy pierdoleni Niemcy doszłicie do Kijowa. Wtedy nie musiałbym tego wszystkiego widzieć.

Kłótnia ustała, kiedy Jager runął w błoto jak długi. Maks pomógł mu stanąć na nogi. Poszli dalej. Jager czuł się, jakby mu przybyło sto lat. Kilometr drogi przez tę lepiącą się breję był gorszy od całego dnia marszu po twardym, suchym gruncie. Tęsknił do czegoś twardego i suchego. Zastanawiał się też, czemu służył mokry, miękki teren, po którym szli. W Niemczech ziemia miała jasno określony cel: łąka, pole uprawne, park, miasto. Ta równina wymykała się wszelkim kryteriom. To była po prostu ziemia – dzikie pole. Tego w Związku Radzieckim było aż nadto. Jager nagle przestał rozmyślać o sowieckim bałaganie. Podniósł głowę i zastrzygł uszami jak tropione zwierzę. W pobliżu znowu słychać było helikopter jaszczurów.

– Musimy iść szybciej – powiedział do Maksa.

Partyzant wskazał na swoje spodnie oblepione błotem do kolan.

– Życzę szczęścia – odparł z ironicznym uśmiechem.

Jager wiedział, że Maks ma rację. Niemniej, kiedy słyszał, jak w górze narasta warkot, miał ochotę rzucić ciężką skrzynię i uciekać. Obejrzał się przez ramię. Strumienie deszczu przesłaniały helikopter. Miał nadzieję, że i jaszczurom przeszkadza to w obserwacji. Na południe od nich, ze środka szerokiego pola rozległ się odgłos wystrzału karabinowego. Jager rozpoznał głęboki huk Gewehr-98K, standardowego karabinu niemieckiej piechoty; nie można było, rzecz jasna, stwierdzić, czy niósł go standardowy niemiecki piechur, czy też niestandardowy rosyjski partyzant. Helikopter znajdujący się najbliżej nich odleciał, by zmierzyć się z innym przeciwnikiem.

– Sądzę, że to któryś z naszych odciągnął ich od nas – powiedział Jager.

– Może to jakiś Żyd ratuje twoją głowę, nazisto. Jak ci się to podoba? – zapytał Maks.

Ale po chwili dodał zamyślony:

– Albo pierdolony nazista ratuje moją. Jak mi się to podoba? To jest zasrany bałagan, ani chybi tak jest.

Z deszczu przed nimi wyłoniła się wioska, może nawet miasteczko. Obaj, w niemym porozumieniu, zaczęli je obchodzić szerokim łukiem.

– Jak się nazywa to miejsce? – zapytał Jager.

– Zdaje się, że Czernobyl – powiedział Maks.

– Jaszczury wypędziły stamtąd ludzi, kiedy ich statek wyleciał w powietrze, ale mogą tam utrzymywać mały garnizon.

– Miejmy nadzieję, że nie – rzekł Jager.

Partyzant pokiwał głową. Jeśli w wiosce był garnizon, to żołnierze chyba nie wyszli, by tropić partyzantów... a może wyszli, ale w ulewie nie zauważyli Jagera i Maksa. Kiedy już minęli gromadkę brzydkich drewnianych i jeszcze brzydszych betonowych domów, Jager popatrzył na kompas, żeby wrócić w właściwy kurs. Maks spojrzał na niego:

– Jak masz zamiar znaleźć ten pieprzony wóz?

– Trzymamy się tego kierunku dopóki...

– Dopóki nie minimy ich w deszczu – przerwał mu Żyd.

– Jeśli masz lepszy pomysł, chętnie bym go usłyszał – odparł lodowatym tonem Jager.

– Nie mam, ale sądziłem, że ty coś wymyślisz.

Poszli dalej, ominęli kępkę drzew i wrócili na szlak, który dyktował im kompas. Jager miał ze sobą kawałek czarnego chleba i kiełbasy. Udało mu się je wyciągnąć operując jedną ręką. Przełamał chleb, przegryzł kiełbasę na pół i podał Maksowi. Żyd zawahał się, ale zjadł. Po chwili wyciągnął z kieszeni płaską cynową flaszkę, odkorkował i podał Jagerowi, żeby pociągnął pierwszy łyk. Wódka paliła jak ogień.

– Dziękuję – powiedział Niemiec.

– Dobrze było.

Zatkał szyjkę kciukiem, żeby deszcz nie napadał do środka i oddał flaszkę Maksowi. Z boku ktoś odezwał się po rosyjsku. Jager podskoczył, odrzucił skrzynię i chwycił za karabin, który niósł na ramieniu. Potem usłyszał, jak ktoś mówi po niemiecku:

– Ja, moglibyśmy teraz coś przetrącić.

– Znalazłeś ich – powiedział Maks.

– Dziwne.

Nie patrzył już na Jagera z nienawiścią, lecz jakby z odrobiną szacunku. Jager, który był nie mniej zdziwiony, starał się nie okazywać tego po sobie. Koń, który ciągnął wóz, przeżył już dawno swoje najlepsze dni. Sam wóz miał wysokie koła i płaskie, szerokie dno. Mógł pływać niemal jak łódź po najgłębszym nawet błocie. Wyglądał tak, jakby jego konstrukcja nie zmieniała się od stuleci. I tak, zapewne, było. Żaden inny pojazd nie był lepiej przystosowany do sezonowych roztopów na rosyjskich stepach. Woźnica i człowiek siedzący obok niego nosili płaszcze Armii Czerwonej. Ten, który nie trzymał lejc miał na głowie zamiast rosyjskiego szmacianego hełmu czapkę niemieckich wojsk tropikalnych. Pogodzie daleko było do tropików, ale szeroki daszek osłaniał mu przynajmniej oczy przed deszczem.

– Macie kiełbasę? – zapytał.

– Mamy – odparł Jager.

Maks kiwnął głową. Razem podnieśli wyłożoną ołowiem skrzynkę na wóz Jager tak się przyzwyczał do ciężaru, że kiedy go się pozbył zaczęły mu cierpnąć ramiona. Maks podał flaszkę

wódki woźnicy i wspiał się na wóz. Jager poszedł za jego przykładem. Zajęli prawie całą przestrzeń. Mężczyzna w krasnoarmiejskim hełmie powiedział coś po rosyjsku. Maks przeszedł na jidysz, żeby Jager mógł go zrozumieć.

– Mówi, żebyśmy nie martwili się stanem dróg. Pojedziemy na przełaj. W ten sposób jaszczurom będzie trudniej nas znaleźć.

– A jeśli znajdą? – zapytał Jager.

– Niczewo – odparł Rosjanin, kiedy Maks przełożył pytanie:

– Nic się na to nie pomoże.

Ponieważ była to oczywista prawda, Jager tylko skinął głową. Woźnica poruszył lejcami i cmoknął na konia. Wóz zaczął się toczyć.

– To prawda – zaklinał się Yi Min.

– Płynąłem w powietrzu lekki jak nasionko dmuchawca, kiedy byłem w samolocie małych łuskoskórych diabłów. Poleciałem nim tak wysoko, że mogłem oglądać cały świat. Aptekarz wolał nie pamiętać o tym, jak mu się chciało wymiotować, kiedy szybował lekki jak nasionko dmuchawca. W istocie, sam już prawie o tym zapomniał.

– A jak wygląda świat, kiedy patrzy się na niego z góry? – zapytał jeden ze słuchaczy.

– Cudzoziemskie diabły mają rację. Wierzcie w to, albo nie – świat jest okrągły jak piłka – odparł Yi Min. Widziałem to na własne oczy, więc mogę to potwierdzić.

– Ach – westchnęło kilku mężczyzn, którzy ze skrzyżowanymi nogami siedzieli przed aptekarzem.

Może byli zdziwieni jego relacją naocznego świadka albo faktem, że Europejczycy mogli mieć w czymkolwiek rację. Inni potrząsali głowami nie wierząc w ani jedno jego słowo. Głupcy, pomyślał. W swoim czasie, wiele kłamstw uważał za oczywistą prawdę. Teraz, gdy mówił samą prawdę, połowa z ludzi uwięzionych w obozie jaszczurów uważała go za kłamcę. W każdym razie tłum nie zgromadził się tutaj, żeby słuchać o kształcie Ziemi.

– Powiedz nam więcej o kobietach, które dały ci małe łuskoskóre diabły – rzekł mężczyzna w niebieskiej bawełnianej bluzie.

Wszyscy jak jeden mąż – ci, którzy mu uwierzyli i sceptycy – chcieli tego posłuchać. Jeśli nawet Yi Min miał kłamać, to i tak było to ciekawe. Nie musiał kłamać.

– Miałem kobietę o skórze czarnej jak węgiel. Cała była czarna za wyjątkiem wnętrza dłoni i podeszew stóp. Miałem też drugą białą jak mleko, z różowymi sutkami i oczami o barwie najpiękniejszego jadeitu. Włosy na głowie i łonie miała jak futro lisa.

– Ach – mężczyźni znów westchnęli podnieceni siłą wyobraźni.

– Czy te niesamowitości sprawiały, że były lepsze na matach? – zapytał jeden z nich.

– Żadna z tych dwóch nie była szczególnie uzdolniona – powiedział Yi Min.

Słuchacze byli rozczarowani. Ale inny wygląd dodawał im pikanterii – dodał szybko. Były jak ostre pikle po słodkim jedzeniu. Jeśli mnie zapytacie, to wam powiem, że bogowie najpierw zrobili czarnych ludzi. Wsadzili ich do pieca i za długo trzymali. Popróbowali jeszcze raz, ale wyjęli ludzi za szybko, więc wyszli biali; wszyscy widzieliśmy jak wygląda większość zagranicznych diabłów. Wreszcie zrobili nas, Chińczyków. Wyszliśmy im w sam raz. Słuchacze roześmieli się. Niektórzy zaczęli klaskać.

– Z jakiego pieca bogowie wyjęli małe łuskoskóre diabły? – zapytał człowiek w niebieskiej bluzie.

Zapadła nerwowa cisza.

– Żeby dowiedzieć się dokładnie, powinieneś zapytać małe diabły – odparł Yi Min.

– A jeśli chcesz, żebym ci powiedział, co ja o tym myślę, to ci powiem, że je zrobili zupełnie inni bogowie. Czy wiesz, że mają okresy rui jak bydło albo śpiewające ptaki, a przez resztę roku są impotentami?

– Biedaczyny – powiedziało kilku mężczyzn naraz. Był to pierwszy objaw sympatii dla jaszczurów, jaki zdarzyło się słyszeć Yi Minowi.

– To prawda – powiedział.

– To dlatego zabrali mnie do swojego samolotu, który nigdy nie ląduje, żeby samemu zobaczyć, że istoty ludzkie mogą współżyć przez cały rok.

Uśmiechnął się chytrze.

– Dowiodłem tego ku ich i mojemu zadowoleniu.

Uśmiechnął się jeszcze raz, tym razem ze szczęścia, słysząc śmiechy i wiwaty wywołane jego słowami. Być znowu między ludźmi, z którymi można porozmawiać, którzy doceniają jego niewątpliwy spryt, to była największa radość z powrotu na Ziemię po tak długim pobycie w przestworzach.

– Czy małe diabły nie porwały też tej ślicznej dziewczyny, z którą mieszkałeś? – zapytał stary łysy sprzedawca jajek.

– Dlaczego nie wróciła razem z tobą?

– Zatrzymali ją tam – odparł Yi Min wzruszając ramionami.

– Nie wiem dlaczego. Nie powiedzieli mi. Cóż to ma za znaczenie? To tylko kobieta.

Był zadowolony z tego, że Liu Hań została z diabłami. Była dla niego przyjemnym urozmaiceniem i tylko tyle. I widziała go chorego i słabego, kiedy szybował pozbawiony wagi. Udawał przed sobą, jak mógł, że ta słabość nigdy mu się nie przytrafiła. Teraz, kiedy dzięki podróży i kontaktom z małymi łuskokórnymi diabłami, zyskał prestiż, kobiety piękniejsze i bardziej chętne niż Liu Hań były szczęśliwe, kiedy mogły dzielić z nim matę. Czasem zastanawiał się, co też małe diabły wyprawiają z jego dawną towarzyszką, ale była to tylko zwykła ciekawość.

– Mam nadzieję, że was nie znużyłem, przyjaciele – powiedział kłaniając się – i że jakoś wynagrodzicie mnie za to, że przez godzinę was zabawiałem.

Podarunki słuchaczy nie rozczarowały go. Było tam trochę gotówki, para starych sandałów, która na niego nie pasowała, ale mógł ją wymienić na coś innego, kilka rzodkiewek, wędzona pierś kaczki zawinięta w papier i przewiązana sznurkiem oraz dwa garnuszki mielonych przypraw. Podniósł wieczka, powąchał i uśmiechnął się zadowolony. Tak, dobrze mu zapłacili za rozrywkę. Zebrał łupy i poszedł do szałas, w którym mieszkał. Z namiotu, który dzielił z Liu Hań, nic nie pozostało. Niezbyt go żałował. Zbliżała się zima, był zadowolony, że spędzi ją za ścianami z drewna. Ludzie z obozu ukradli wszystko, co zgromadził, zanim łuskokóre diabły zabrały go do nieba, ale co z tego? Był na najlepszej drodze, żeby mieć jeszcze więcej. Mieć jeszcze więcej: o ile zdążył zrozumieć, to liczy się na tym świecie. Ze zmian, jakie zaszły w obozie, kiedy był w przestworzach, wywnioskował, że inni zgadzają się z nim pod tym względem. Obóz szczycił się teraz drewnianymi, blaszanymi i kamiennymi domkami, które zastąpiły namioty z łopoczącego na wietrze płótna. Niektóre z domków były całkiem pokaźne. Tych materiałów budowlanych nie było tutaj, gdy jeńcy zostali zagnani na ogrodzony drutem teren. W różny sposób ludzie musieli sobie radzić. I nie zapobiegł temu ostry jak brzytwa drut. Yi Min wyjął zza pazuchy klucz, który nosił na szyi. Właśnie zbliżał się do swojego mieszkanka. Klucz i zamek kosztowały tylko kilka świńskich nóg; kowal, który zrobił je z kawałka metalu, był zbyt wychudzony, żeby się dłużej targować. Zamknięcie nie było najlepsze; Yi Min wiedział o tym, ale jakie to miało znaczenie. Zamek w drzwiach był widoczną oznaką, że jest człowiekiem zamożnym. O to chodziło. Nie miał odstraszać złodziei. Dla nich

wystarczyły jego bliskie kontakty z małymi diabłami. Przy czwartej próbie udało się klucz przekrócić, zamek otworzył się i Yi Min wszedł do środka. Rozpalił ogień w piecyku na węgiel drzewny stojącym obok maty. Ciepło sprawiło, że zaczął tęsknić za swoim starym domem, w którym sypiał na niskim glinianym piecu i było mu przytulnie nawet w najgorszą pogodę. Wzruszył ramionami. Bogowie rozdają karty w grze życia; zadaniem człowieka jest wykorzystać je najlepiej jak potrafi. Zapanowała nagła cisza. Nie słychać było plotkujących przyjaciół, krzyczących mężów, głosów kłótliwych żon. Nie słychać było nawet piszczących dzieci. Yi Min instynktownie zrozumiał, co to znaczy: nadchodzą małe łuskoskóre diabły. Właśnie odwracał się w stronę drzwi, gdy rozległo się pukanie. Podniósł wewnętrzną antabę, i otworzył drzwi.

– Ach, wielmożny Ssofeg, czynisz mi wielki honor zaszczycając moje skromne domostwo swoją obecnością – uklonił się nisko.

Przywitał się po chińsku, teraz przeszedł na język diabłów.

– Jaka jest twoja wola, mój zwierzchniku? Mów, a będzie wykonane.

– Jesteś obowiązkowy – rzekł Ssofeg.

Była to formuła grzecznościowa i zarazem pochwała; łuskoskóre diabły dbały o konwenanse nawet bardziej niż Chińczycy. Ssofeg przeszedł na chiński.

– Masz to, czego szukam?

– Mam, mój zwierzchniku – powiedział Yi Min po jaszczurzemu.

Jeden z garnuszków na przyprawę, które dostał za opowiadanie o kobietach i innych cudach, był pełen sproszkowanego imbiru. Wyjął szczyptę, położył ją na dłoni i wyciągnął rękę do Ssofega. Mary diabeł mlasnął językiem jak kociak wylizujący miskę. Ale język tak był podobny do wężowego, że Yi Min musiał się powstrzymać, żeby nie odskoczyć. Dwa szybkie mlaśnięcia i nie było imbiru. Przez dwie sekundy Ssofeg po prostu stał na miejscu. Potem zatrzęsł się na całym ciele i wydał długie, niskie syknięcie. Przypominało to ekstatyczny jęk mężczyzny w chwili Deszczu i Chmur.

– Nawet nie masz pojęcia, jak dobrze się po tym czuję – powiedział Ssofeg w swoim języku, jakby zapomniał chińskiego.

– Nie wątpię, że dobrze się czujesz, mój zwierzchniku – rzekł Yi Min.

On sam lubił się upijać, i zabawiać fajeczką opium, ale z używaniem tego ostatniego nie przesadzał, aby nie stępić sił życiowych i ambicji. Będąc aptekarzem stykał się z próbkami wielu innych substancji, których zażywanie sprawiało podobną przyjemność: od liści konopi po sproszkowany róg nosorożca. Większość z nich jednak, o ile był w stanie to stwierdzić, nie dawała rezultatów. To nie powstrzymywało go przed sprzedawaniem tych specyfików, natomiast przed powtórным ich użyciem. Ale imbir? W jego pojęciu imbir był po prostu przyprawą. Niektórzy twierdzili, że to afrodyzjak, bo korzenie imbiru przypominały zdeformowanego człowieczka, ale Yi Minowi nie twardniała po imbirze jego przyrodzona lanca. Ale kiedy imbiru spróbował Ssofeg, zdawało się, że rozkosz, którą odczuwa, przenosi go żywcem do nieba, o którym chrześcijańscy misjonarze opowiadali cudowne rzeczy.

– Daj mi więcej. Ile razy go spróbuję, chcę go jeszcze więcej – powiedział mały łuskoskóry diabeł i wysunął widlasty język.

– Dam ci więcej, mój zwierzchniku, ale co ty dasz mi w zamian? Imbir jest drogi i rzadki. Muszę dużo płacić, żeby dostać nawet tę odrobinę dla ciebie.

Yi Min kłamał w żywe oczy, ale Ssofeg o tym nie wiedział. Ludzie, od których kupował imbir, też nie wiedzieli, że sprzedaje go łuskoskóremu diabłom. W końcu się zorientują i wtedy konkurencja zmniejszy jego zyski. Ale jak na razie... Ssofeg syknął jeszcze raz. Tym razem z rozpaczą.

– Już dałem ci dużo, bardzo dużo.

Z podniecenia machał ogonem.

– Ale muszę zażyć tej... tej rozkoszy jeszcze raz. Masz.

Zdjął z szyi coś, co bardzo przypominało lornetkę, którą Yi Min widział u japońskiego oficera.

– Widzi się przez to w ciemności tak samo dobrze jak przy świetle. Zamelduję, że zgubiłem.

Szybko, daj mi jeszcze raz spróbować.

– Mam nadzieję, że dostanę za to jakieś pieniądze – powiedział Yi Min z irytacją.

Naprawdę, to myślał komu ją sprzedać, żeby dostać dobrą cenę – nacjonalistom, komunistom czy Japończykom. Z wszystkimi utrzymywał kontakty. Małe łuskokóre diabły były naiwne, jeśli sądziły, że drut odetnie kontakty obozu ze światem. Ta decyzja może poczekać. Ale Ssofeg, który stał kołysząc się lekko, nie mógł czekać. Yi Min dał mu następną szczyptę imbiru. Jaszczur zlizął ją z dłoni aptekarza.

– Jeśli zamelduję, że zgubiłem więcej wyposażenia, to z pewnością każą mi stanąć do raportu. Ale ja muszę mieć imbir.

– Co mam zrobić? – zapytał, kiedy już przestał drzeć z rozkoszy.

Yi Min czekał na takie pytanie.

– Mogę ci teraz sprzedać mnóstwo imbiru – powiedział niby obojętnym tonem, starając się stłumić rechot i pokazał jaszczurowi garnuszek pełen imbiru.

– Muszę to mieć, ale jak? – ogon łuskokórego diabła znów zawirował.

– Kupisz to ode mnie teraz – powtórzył Yi Min.

– Zatrzymasz trochę dla siebie – tyle, żeby ci wystarczyło – a resztę sprzedasz samcom Rasy. Pokryją zawiązką twoje koszty.

Ssofeg zwrócił dwoje oczu na aptekarza. Przyglądał mu się, jakby zobaczył wcielenie Buddy.

– To da się zrobić, prawda? Będę ci przekazywał to, co oni mi dali, przestanę mieć kłopoty ze sprzętem, a ty dostaniesz tyle, żebyś mógł dostarczać mi coraz więcej tego cudownego ziele, którego z każdym dniem pożądam coraz bardziej. Doprawdy, jesteś genialnym Wielkim Brzydalem, Yi Min!

– Mój zwierzchnik jest łaskaw dla swego niegodnego podwładnego – powiedział Yi Min.

Nie uśmiechał się. Ssofeg był sprytnym małym diabłem i mógł zacząć zadawać kłopotliwe pytania. Nie, po przemyśleniu sprawy, aptekarz doszedł do wniosku, że Ssofeg nie będzie w stanie niczego zauważyć. Opanował go mroczny nastrój, który zawsze następował po ekstazie imbirowej. Teraz trząsał się jak w gorączce.

– Ale jak mógłbym, w dobrej wierze, narażać innych samców Rasy na ten ciągły głód, który odczuwam? To nie byłoby w porządku – jęknął.

Wpatrywał się pożądliwie w garnuszek z imbirem. Yi Min zaczął się lękać. Niektórzy palacze opium gotowi są zabić, żeby tylko dostać swoją działkę, a imbir uzależnił Ssofega mocniej niż opium czyni to z ludźmi.

– Jeśli mi to teraz zabierzesz, mój zwierzchniku, to skąd weźmiesz więcej, kiedy już zużyjesz tę porcję? – zapytał aptekarz.

Mały diabeł zabalgotał jak kociołek z gotującą się wodą.

– Planuj na jutro, planuj na rok, planuj na pokolenie, które nadejdzie – brzmiało to jak powtarzanie lekcji, której przed laty nauczył się w szkole.

– Oczywiście, masz rację. Kradzież na dłuższą metę jest bezużyteczna. Jaka jest zatem cena tego garnuszka z drogocennym zieleciem?

Yi Min miał gotową odpowiedź:

– Chcę jedną z tych maszyn robiących zdjęcia, tę która robi zdjęcia, na które można patrzeć ze wszystkich stron. Chcę też wszystkiego, co jest potrzebne, żeby ta maszyna działała. Pamiętała, jak

interesujące były zdjęcia, które mu zrobiły diabły, gdy był z Liu Hań. Niejeden mężczyzna w obozie zapłaci wiele, żeby obejrzeć takie zdjęcia... a on zapłaci tyle co nic młodym chłopcom i dziewczętom, którzy wezmą udział w przedstawieniu.

– Ja sam nie będę w stanie dostarczyć ci takiej maszyny – odparł Ssofeg. Daj mi teraz imbir, a ja użyję go, żeby znaleźć samca, który ma dostęp do tych maszyn i będzie mógł je wziąć tak, że nikt tego nie spostrzeże.

Yi Min roześmiał się pogardliwie.

– Nazwałeś mnie dopiero co mądrym. Czy nagle pomyślałeś, że jestem głupi?

Nastąpiły zacięte targi. W końcu aptekarz dał Ssofegowi jedną czwartą proszku. Reszta miała zostać u niego dopóki jaszczur nie spełni obietnicy. Mały łuskoskóry diabeł z szacunkiem przesypał zmieloną przyprawę do przezroczystej koperty, włożył ją do jednej z kieszeni u pasa i wybiegł z chatki Yi Mina. Sposób chodzenia diabłów wydawał się Yi Minowi dotąd groteskowy, ale Ssofeg poruszał się teraz inaczej, jakby się skradał. Cóż, wie co robi, pomyślał aptekarz. Japończycy mieli surowe prawa zakazujące sprzedaży sprzętu Chińczykom; skoro wyposażenie małych diabłów było o tyle lepsze od japońskiego, to pewne ich przepisy były odpowiednio ostrzejsze. Jeśli Ssofeg da się przyłapać swoim inspektorom, to znajdzie się zapewne w większych opałach niż mu się teraz zdaje. No cóż, to jego problem. Niemal od dnia, w którym wylądowały małe diabły, Yi Min był pewien, że zrobi na nich majątek. Z początku myślał, że dojdzie do fortuny jako tłumacz. Teraz imbir i – o ile szczęście dopisze – interesujące filmy mogą się okazać jeszcze bardziej zyskownym przedsięwzięciem. Dopóki jego bogactwo rosło, nie miał wyrzutów sumienia wynikających ze sposobu, w jaki się bogacił. Trafiłem na żyłę złota, pomyślał. Pot spływał po brodzie Bobbiego Fiore. Kapał prosto na gładką, lśniącą powierzchnię maty, na której siedział. Wstał, żeby podejść do kranu, jego pośladki, odrywając się od maty wydały szeleszczący dźwięk. Woda, która wypłynęła po naciśnięciu guzika, była ciepła i miała nieprzyjemny chemiczny posmak. Zmusił się jednak do wypicia. W takim upale należy pić. Żałował, że nie ma paru tabletek soli. Spędził kilka sezonów grając w piłkę w zachodnim Teksasie i w Nowym Meksyku; było tam niewiele chłodniej niż na statku kosmicznym jaszczurów. Każdy zespół grający w tej części kraju trzymał na boisku miskę z tabletkami soli. Miało to swój cel: jak inaczej uzupełnić to, co się wypociło? Drzwi do jego celi otworzyły się cicho. Jaszczur przyniósł mu trochę jedzenia i tygodnik.

– Dziękuję, mój zwierzchniku – syknął uprzejmie Fiore.

Jaszczur nie raczył odpowiedzieć. W pośpiechu wyszedł z celi i zamknął za sobą drzwi. Posiłek był taki jak zwykle: pochodzące z Ziemi jedzenie w puszkach. Tym razem była to wieprzowina z groszkiem i marynowane pomidory. Fiore westchnął. Jaszczury musiały sięgać do składu na chybił trafił. Poprzednio dostał sałatkę owocową i skondensowane mleko. Jeszcze wcześniej zimny, nierozcieńczony, prosto z puszki, rosół z kurczaka z kluskami i syrop czekoladowy. Po całych tygodniach na takiej diecie był gotów zabić za zieloną sałatę, świeże mięso albo jajecznicę. Ale tygodnik – to była uczta dla ducha – nawet jeśli pochodził z 1941 roku. Kiedy nie był z Liu Hań, przebywał tutaj i musiał się jakoś rozerwać. Coś, na co można rzucić okiem nie znudzi mu się przez kilka posiłków. Tytuł „Signal” sprawił, że miał nadzieję znaleźć jakiś tekst angielski. Ledwie otworzył tygodnik, okazało się, że się pomylił. Nie wiedział, co to za język. Jego edukacja szkolna zatrzymała się na dziesiątej klasie. Coś po skandynawsku, domyślił się: w tekście było „o” przekreślone pośrodku kreską, jak na szyldach sklepów w Minnesocie, gdzie mieszkali sami błękitnoocy blondyni. Nie musiał umieć przeczytać tekstów, żeby zorientować się, że „Signal” to nazistowski magazyn propagandowy. Na zdjęciach Goebbels uśmiechał się zza biurka, Rosjanie poddawali się żołnierzom w hełmach podobnych do garnków, a tłustawa tancerka kabaretowa

przytulała się do swojego lubego w mundurze. Taki był świat zanim przybyły jaszczury. Zaciśnął zęby; łzy spłynęły mu z oczu. Wspomnienie tamtego życia przywiodło mu na myśl również to, jak bardzo świat się zmienił. Piętnaście lat gry w trzeciej lidze nauczyło go, jak znosić przeciwności losu. Jadł wieprzowinę z groszkiem i pomidory z puszki, bo następny posiłek mógł być gorszy, albo mogło go zabraknąć. Oglądał zdjęcia w tygodniku, ponieważ nie rozumiał tekstu. I miał nadzieję, że wkrótce zobaczy Liu Hań, ale nie upadał na duchu, kiedy musiał zostać sam w swojej celi. Splukiwał sos i sok pomidorowy z palców i starał się wytrzeć brodę, kiedy drzwi znowu się otworzyły. Jaszczur, który przyniósł puszki teraz je zabrał. Fiore popatrzył przez chwilę na „Signal”, położył się na macie i zasnął. Światło w celi nigdy nie gasło, ale to mu nie przeszkadzało. Gorzej było z upałem. Ale i ten wytrzymawał. Każdy, kto potrafi zasnąć w autobusie jadącym z Clovis do Lubbock w środku lipca, będzie w stanie spać w różnych warunkach. Nie zdawał sobie sprawy, jak spartańskie życie wiódł w trzeciej lidze, dopóki nie stwierdził, że przygotowało go to na najgorsze przeciwności losu. Obudził się jak zwykle lepki od potu. Ochlapał się wodą; przez moment, kiedy woda parowała, poczuł prawie chłód. Potem znów zaczął się pocić. Przynajmniej powietrze było suche, pocieszał się. Gdyby było wilgotne, już dawno by się ugotował. Jeszcze raz przejrzał „Signal”. Starał się zrozumieć znaczenie niektórych norweskich, a może duńskich słów, kiedy drzwi się otworzyły. Zastanawiał się, czego jaszczury mogą od niego chcieć. Nie był głodny. Wieprzowina z groszkiem ciągle zalegała mu w żołądku. Ale zamiast jaszczura niosącego konserwy weszła Liu Hań.

– Wy się parzyć – powiedział jeden z eskortujących ją kosmitów.

Otworzył szeroko usta. Fiore pomyślał, że to znaczy śmiech. Zgadzało się. On też się roześmiał do jaszczura, bo nie był w stanie się parzyć. Uścisnął Liu Hań. Oboje byli bez ubrań. Przylepiali się do siebie za każdym dotknięciem.

– Jak się miewasz?

Zapytał i pozwolił się jej odsunąć.

– Miło cię widzieć.

Miło było mu widzieć jakąkolwiek ludzką twarz, ale tego nie powiedział na głos.

– I mi jest miło widzieć ciebie – powiedziała Liu Hań, dodając jaszczurze kaszlniecie dla podkreślenia uczuciowej zawartości zdania.

Rozmawiali w żargonie, który wymyślili i rozwijali każdego dnia gdy byli razem. Żaden inny człowiek nie mógłby go zrozumieć. Przemieszane były w nim słowa angielskie, chińskie i dźwięki języka jaszczurów.

– Jestem zadowolona, że łuskokóre diabły nie zmuszają nas, byśmy za każdym razem, kiedy jesteście ze sobą, spółkowali – użyła na określenie tej czynności określenia z języka jaszczurów.

– Jesteś zadowolona? – roześmiał się.

– Bo ja już nie mogę.

– To nie znaczy, że nie lubię, kiedy kopulujemy – powiedziała i uśmiechnęła się.

Znów użyła pozbawionego emocji jaszczurzego słowa – ale nie podoba mi się, że muszę to robić na ich rozkaz.

– Tak, wiem – odparł.

Jemu też nie odpowiadała rola zwierzęcia doświadczalnego. Zaczai myśleć, co zatem powinni robić zamiast tego. Jediną rzeczą, która ich łączyła – poza ich ciałami – był fakt, że oboje zostali porwani przez jaszczury. Liu Hań także nie miała ochoty tego robić dla zabicia czasu. Razem więc przejrzeni „Signal”. Już dawno temu stwierdził, że nie jest głupia, ale nie wie prawie nic o świecie. Znała tylko swoją wioskę. Nie potrafił przeczytać tekstu, ale rozpoznawał twarze i miejsca na zdjęciach: Goebbels, marszałek Petain, Paryż, północna Afryka. Dla Liu Hań wszystko to było obce.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek słyszała o Niemczech.

– Niemcy i Japonia to przyjaciele – powiedział jej tylko po to, żeby odkryć, że Japonia nie oznaczała po chińsku Japonii.

Popróbował jeszcze raz.

– Japonia walczy – tu wykonał pantomimę – przeciw Ameryce i przeciw Chinom.

– Och, wschodnie diabły – wykrzyknęła.

– Wschodnie diabły zabiły mojego męża i moje dziecko tuż przedtem, zanim przybyły łuskoskóre diabły. Te Niemcy przyjaźnią się ze wschodnimi diabłami? Muszą być złe.

– Zapewne – powiedział.

Był pewien, że Niemcy to koszmarne typy, jeśli wypowiedziały wojnę Stanom Zjednoczonym. Potem jednak słyszał, że zaczęły walczyć przeciwko jaszczurom. Czy to spowodowało, że nagle stali się dobrzy? Miał problem ze stwierdzeniem, gdzie kończy się lojalność wobec własnego kraju, a zaczyna – powiedzmy – do własnej planety. Żałował, że nie ma w pobliżu Sama Yeagera. Yeager lepiej sobie radził z takimi sprawami. Zauważył też nie po raz pierwszy, ale teraz było to najbardziej widoczne, że wszystko co nie chińskie, jest dla Liu Hań diabelskie. Jaszczury były łuskoskórnymi diabłami, on sam kiedy nie mówiła do niego Bobbyfiore, wymawiając to jako jedno słowo, był cudzoziemskim diabłem, a teraz dowiedział się, że Japończycy to wschodnie diabły. Jeśli wziąć pod uwagę, co zrobili z jej rodziną, nie można jej było za to winić, że tak o nich myślała, ale był całkowicie pewien, że tak samo by ich nazwała, nawet gdyby jej nic nie zrobili. Zapytał ją o to, używając wielojęzycznych omówień, kiedy wreszcie zrozumiała, kiwnęła głową, zdziwiona tym pytaniem.

– Jeśli nie jesteś Chińczykiem, to oczywiście, że jesteś diabłem – powiedziała, jakby to było prawo natury.

– Jest inaczej – odparł Fiore.

Nie wyglądała na przekonaną. Wtedy przypomniał sobie, że zanim zaczął grać w piłkę i spotykał tylko ludzi z sąsiedztwa, był przekonany, że każdy, kto nie jest katolikiem, będzie płonąć w piekle na wieki. Może z tymi diabłami jest podobnie. Wrócili do oglądania tygodnika. Liu Hań roześmiała się na widok tancerki z klubu nocnego. Dziewczyna podnosiła wysoko nogę i była ubrana w kusy błyszczący strój.

– Jak ona może pokazywać się tak skąpo ubrana? – zapytała, zapominając przez chwilę, że sama jest naga.

Fiore też się roześmiał. I on zapominał często, że jest nagi, chyba że przyklejał się do maty. Zadziwiające, do czego to ludzie mogą się przyzwyczaić. Liu Hań pokazała reklamę maszyn do pisania typu Olimpia.

– Co? – powiedziała po angielsku, dodając pytające kaszlnięcie z języka jaszczurów.

Fiore miał więcej kłopotów z tłumaczeniem niż przypuszczał. Po jakimś czasie zrozumiał, że Liu Hań nie umie czytać i pisać. Znał kilku zawodników, głównie z Południa, którzy mieli ten sam problem. Teraz żałował jeszcze bardziej, że „Signal” nie jest w języku angielskim. Mógłby ją natychmiast zacząć uczyć. Wpadł na pomysł, żeby pokazać jej alfabet, mimo przekreślonych „o” i „a” z kółeczkiem na górze, abecadło niczym się nie różniło od angielskiego. Ale skoro on nie rozumiał tego co czyta, jak ona miałaby cokolwiek zrozumieć? Dał sobie z tym spokój i przewrócił stronę. Było na niej zdjęcie niemieckich bombowców nadlatujących nad jakieś rosyjskie miasto. Pomimo upału zadrżała i przycisnęła się do niego. Mogła nie wiedzieć, do czego służy maszyna do pisania, ale bombowce rozpoznawała na pierwszy rzut oka. Fiore cmoknął językiem. Czy to nie piekielne maszyny? Przeszli do artykułu o marszałku Petainie. Fiore myślał, że będzie miał kłopot z

wyjaśnieniem, co to znaczy Francja Yichy, tym bardziej, że sam nie znał szczegółów. Ale jak tylko udało mu się wytłumaczyć, że to niemieckie państwo marionetkowe, skinęła głową i wykrzyknęła:

– Mandzuku!

– Zgadza się. Japonce też mają marionetki.

– Marionetki? – rozumiała kontekst, ale słowo było jej obce.

Znów musiał się uciec do pantomimy, żeby zrozumiała o co chodzi. Zrobił jej przedstawienie, na jakie go tylko było stać. Zawsze to bardzo lubiła. Uśmiechnęła się teraz, ale tylko na moment.

– Łuskoskóre diabły zrobiły marionetki z nas wszystkich – powiedziała. Zamrugał. To była najpoważniejsza myśl, jaką zdołała mu do tej pory przekazać. I miała rację. Gdyby nie jaszczury, to teraz... właśnie, co by teraz robił? Szybko odpowiedział sobie na to pytanie. Gdyby nie jaszczury, nadal grzązłby w trzeciej lidze, szukałby pracy pomiędzy sezonami i czekał, aż Wuj Sam przyśle mu powołanie do wojska. Jeśli się temu przyjrzeć z pewnego dystansu, to nie warto było tego specjalnie żałować.

– Może byliśmy już marionetkami zanim przybyły jaszczury? – powiedział surowym głosem. Potem złagodniał i dodał.

– Gdyby nie przybyły, nie spotkałbym ciebie, więc może to dobrze, że tu są?

Liu Hań nie odpowiedziała od razu. Wyraz twarzy miała nieprzenikniony, kiedy przyglądała się Fioremu. Cofnął się pod ciężarem jej wzroku i pomyślał, że może palnął jakieś głupstwo. Wiedział, że przeżyła wiele, a dla kobiety uprawianie seksu z obcym mężczyzną było znacznie bardziej stresujące niż na odwrót. Nagle zaczął zastanawiać się, co Liu Hań właściwie o nim myśli. Czy uważała go za kogoś dobrego, czy może po prostu lepszego niż inni w tej niewoli? Nie spodziewał się, że tak mu będzie zależeć na odpowiedzi. Jak do tej pory nie zastanawiał się również nad tym, co Liu Hań znaczy dla niego. Jasne, seks był dobry i nauczył się od niej znacznie więcej, niż wiedział na ten temat zanim jaszczury przywiozły go tutaj. Ale było coś więcej. Pomimo tych wszystkich strasznych rzeczy, które ją spotkały, pozostała dobrym człowiekiem. Chciał się nią zaopiekować. Ale czy ona chciała od niego czegoś więcej niż poczucia bezpieczeństwa? Nie odpowiedziała słowami. Położyła głowę na jego piersi, odgarniając włosy, żeby nie łaskotały ją w nos. Objął ją ramionami. Mógł się na niej położyć, ale teraz nie miał na to ochoty. Przez chwilę trzymali się w uścisku. Myślał o tym, co powiedziałyby jego matka, gdyby wiedziała, że zakochał się w chińskiej dziewczynie. Miał nadzieję, że kiedyś się tego dowie. Potem myślał, jak powiedzieć – kocham cię – do Liu Hań. Nie wiedział, jak to jest po chińsku, ona nie znała angielskiego, a w tym jedynym przypadku język jaszczurów był do niczego. Poklepał ją po nagich ramionach. Przypuszczał, że domyśliła się.

Rozdział XIII

Burza nad Chicago wreszcie się skończyła. Została po niej cienka powłoka śniegu na ulicach. Jaszczury przyglądały się jej, przewracając ze zdumienia oczami. Sam Yeager prowadził je właśnie w stronę budynków Laboratorium Metalurgicznego. Jemu w wełnianym swetrze było dość ciepło, ale one w za dużych kurtkach, ukradzionych w bazie marynarki wojennej Wielkich Jezior, drżały z zimna. Ich oddech, gorętszy niż ludzki, znaczył się obłokami pary w rześkim powietrzu. Pomimo nieprzerwanych nalotów, dwóch studentów grało w piłkę na podmarzniętym trawniku koło ścieżki. Udają, jak mogą, że wszystko jest normalnie, pomyślał Yeager. Zazdrościł im tej postawy. Sportowcy byli z nich żadni. Jeden z nich przepuścił podaną mu płasko piłkę. Poturlała się przez na pół stające błoto prosto pod nogi Yeagera. Odłożył karabin, podbił piłkę i rzucił ją do studenta, który ją wcześniej podawał. Gdyby chłopak jej nie złapał, uderzyłaby go prosto w klatkę piersiową. Popatrzył na Yeagera, jakby chciał zapytać, kto to jest, ten starszy facet? Yeager tylko się uśmiechnął, podniósł karabin i poszedł z jaszczurami dalej.

– Ty... powiedział Ristin.

Tu nastąpiło jaszczurze słowo, którego Sam nie znał – bardzo dobrze. Yeager powtórzył usłyszane słowo najlepiej jak potrafił.

– Nie rozumieć – dodał w mowie kosmitów.

Ristin wymownie gestykulował wymawiając słowo jeszcze raz. W głowie Yeagera zapaliło się światełko. Przeszedł na angielski.

– Aha, masz na myśli, rzucać.

Zamachnął się, tym razem bez piłki, jakby miał zamiar znowu rzucić.

– Rzucać.

– Szszucać – powiedział Ristin. Spróbował powiedzieć to po angielsku.

– Ty... szszucać... dobrze.

– Dziękuję – rzekł Yeager i na tym poprzestał. Jak miał wyjaśnić kosmicie, że zarabiał na życie, byle jakie, choć nie głodował, rzucając i odbijając piłkę? Wewnątrz Eckhart Hali nie było wiele cieplej niż na dworze. Odkąd zaczęły się kłopoty z dostawą prądu, ogrzewania prawie nie było. Wojska inżynieryjne czyniły cuda naprawiając zniszczenia po bombardowaniach, ale nie nadążały z likwidacją szkód wyrządzanych przez jaszczury. Winda była nieczynna, więc Yeager zaprowadził Ristina i Ullhassa do biura Enrico Fermiego po schodach. Wysilek sprawił, że zrobiło mu się cieplej. Fermi podskoczył na krześle, kiedy Yeager wprowadził jaszczury przez otwarte drzwi.

– Jak to miło widzieć ciebie i twoich przyjaciół – przywitał go wylewnie.

Yeager uklonił się ukrywając uśmiezek. Fizyk mówił z bardzo silnym włoskim akcentem. Pewnie ojciec Bobbiego Fiore mówił tak samo. Przed Fermim, na chemicznej grzałce, stała szklana filiżanka z kawą. Obok Sam zobaczył ciężkie stylizowane chińskie kubki. Fizyk zaprosił Yeagera gestem, żeby się poczęstował.

– Dziękuję, panie doktorze – powiedział Yeager.

Nie dostrzegał takich drobiazgów jak kawa i papierosy, kiedy można je było dostać w każdej chwili. Gdy ich zabrakło, stały się cenne, a poza tym, kawa była gorąca. Spojrzał na Ullhassa i Ristina. Jaszczury też spróbowały kawy, ale była jak na ich gust za gorzka. Nie miały szczęścia, pomyślał. W ten sposób nie będą mogły się rozgrzać. Wypił jeszcze jeden łyk. Kawa mocniej działa, jeśli nie pije się jej codziennie. Tak samo papierosy. Pamiętał, jak Barbara Larssen zareagowała, kiedy zaciągnęła się dymem papierosa po raz pierwszy od dłuższego czasu. Na gest Fermiego, jaszczury przysiadły na dwóch krzesłach stojących przed biurkiem. Stopy ledwie im sięgały podłogi;

meble dla ludzi były dla nich za duże. Yeager też usiadł z boku. Karabin Springfielda trzymał na kolanach. Pełnił służbę wartowniczą, ale nie był to główny powód, dla którego tu się znalazł. Enrico Fermi miał ważniejsze sprawy na głowie niż uczenie się języka jaszczurów, więc Yeager tłumaczył kiedy Ristinowi albo Ullhassowi brakowało angielskich słów. Jeszcze przed kilku tygodniami, wszystko co wiedział o fizyce jądrowej pochodziło z „Astounding”. Gdyby w opowiadaniach takich jak „Wybuch” i „Nerwy” nie było sporej dawki nauki obok niezłej porcji fikcji, Yeager nie byłby przydatny dla Fermiego; rozumiałby wprowadzić jaszczury, ale nie byłby w stanie pojąć o czym mówi fizyk.

– Od jak dawna wiecie jak kontrolować i wyzwalać energię zawartą w jądrze atomowym? – zapytał Fermi.

Yeager przetłumaczył. Nie udało mu się znaleźć odpowiednika słowa jądro, więc użył pojęcia środek. Ale jaszczury zrozumiały. Zaczęły gadać między sobą. Po krótkiej chwili odezwał się Ullhass:

– Jakies siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt tysięcy lat temu.

– To są nasze lata – dodał Ristin.

– Wasze są prawie dwa razy dłuższe.

Yeager policzył w pamięci. Nawet, gdyby podzielił liczbę przez dwa, było to strasznie dawno temu. Jeśli Ullhass i Ristin mówili prawdę, to jaszczury znały energię atomową wtedy, kiedy najnowszą superbronią ludzkości był ogień używany przeciwko niedźwiedziom jaskiniowym. Jeśli mówili prawdę...

– Czy wierzy im pan? – zwrócił się do profesora.

– Powiedzmy, że nie widzę powodu, dla którego mieliby kłamać – odparł Fermi.

Wyglądał jak przeciętny facet, którego można znaleźć za ladą delikatesów w połowie amerykańskich małych miasteczek. Mówił podobnie, ale pozory znikwały, gdy posłuchało się, o czym mówił:

– Sądzę, że gdybyśmy dysponowali tą energią od tak dawna, to osiągnęlibyśmy znacznie więcej niż oni. Zdaniem Yeagera, jaszczury i tak osiągnęły bardzo wiele. Przyleciały z głębi kosmosu i wylądowały na Ziemi, dały łupnia wszystkim armiom, które stanęły im na drodze i starły z mapy Waszyngton oraz Berlin. Czego ten Fermi jeszcze chciał? Fizyk znów przeniósł uwagę na kosmitów. Jak postępujecie, żeby oddzielić przydatny U-235 od występującego w nadmiarze U-238 – to pytanie, w tej czy innej formie, zadawał odkąd jego oczy spoczęły na jaszczurach. Jak zwykle, nie zaspokoili jego wiedzy.

Ullhass rozłożył ręce w bardzo ludzkim geście wyrażającym bezradność.

– Ciągłe dopytujesz się o to. Mówiliśmy ci już: jesteśmy żołnierzami. Nie znamy szczegółów naszej technologii.

– Czy wierzysz w to, co mówił? – tym razem Fermi zapytał Yeagera.

Yeager nie po raz pierwszy zdziwił się, dlaczego eksperci zadają mu pytania. Nagle zdał sobie sprawę, że on też jest specjalistą swego rodzaju: specjalistą od jaszczurów. To go skłoniło do chichotu. Jak do tej pory specjalizował się tylko w jednym: w rzucaniu piłki baseballowej. I na pewno nie był zbyt dobry w podkręcaniu piłki; gdyby tak było, grałby w pierwszej lidze. Nadal nie bardzo wierzył w to, że jest ekspertem, ale wiedział, że zna się na jaszczurach lepiej niż inni. Odpowiedział opierając się na swojej wiedzy i zdrowym rozsądku, który zazwyczaj go nie zawodził, jeśli nie brać pod uwagę faktu, że uparcie uprawiał grę w baseball:

– Chyba im wierzę, profesorze. Niech pan weźmie paru rekrutów armii amerykańskiej i każe im powiedzieć wszystko, co wiedzą o działaniu prądnicy.

Fermi westchnął melodramatycznie.

– Si, to możliwe. A jednak dowiedziałem się od nich bardzo wiele: rzeczy, które dla nas są najnowszymi osiągnięciami nauk przyrodniczych, albo jeszcze nic o nich nie wiemy, oni uważają za oczywiste. To samo sprawiło, że poczyniliśmy duże postępy w naszych badaniach. To nam pomoże, kiedy będziemy się przenosić.

– Cieszę się, pro... – Yeager przerwał.

– Kiedy co będziecie robić?

– Kiedy się stąd przeniesiemy – odparł Fermi.

Smutek wypełnił jego bawiące brązowe oczy.

– Wiem, że to będzie bardzo trudne. Ale jak mamy się zajmować eksperymentami fizycznymi w mieście, w którym przez prawie cały dzień nie ma prądu? Jak mamy działać, skoro jaszczury mogą nas zbombardować w każdej chwili. Może nawet niedługo zdobędą Chicago? Z tego, co słyszałem, linia frontu przebiega teraz w pobliżu Aurory. Czy w tej sytuacji pozostało nam co innego niż odejść stąd?

– Dokąd się przenosicie? – zapytał Yeager.

– Jeszcze nie postanowiono. Odpłyniemy stąd statkiem. To najbezpieczniejsze, bo twoi mali przyjaciele – Fermi skinął w stronę Ullhassa i Ristina – zdają się nadal nie rozumieć jak ważny na tej planecie jest transport wodny. Ale nadal debatuje się nad tym, gdzie mamy zapuścić korzenie. Yeager popatrzył na jaszczury.

– Czy macie zamiar zabrać je ze sobą?

Gdyby padła pozytywna odpowiedź, musiałby pomyśleć, co zrobić, żeby pojechać razem z nimi. Sądził, że tak powinno być; w ten sposób najlepiej przyłożyłby się do wysiłku wojennego. Ale jego pytanie najwyraźniej zaskoczyło Fermiego. Fizyk potarł brodę. Jak większość mężczyzn w Chicago był fatalnie ogolony i miał kilka zacięć. Od dłuższego czasu żyłki w tym mieście były niedostępne. Yeager używał brzytwy, która wymagała tylko ostrzenia. To sprawiło, że stał się pupilkim sierżanta należącego do starej szkoły głoszącej hasło czystość przede wszystkim.

– Może powinniśmy – powiedział Fermi po namyśle.

Popatrzył na Yeagera. W wielu opowiadaniach s.f. naukowcy są tak zajęci pracą, że nie mają czasu, żeby przyjrzeć się otaczającemu ich światu. Krótki pobyt Yeagera w Uniwersytecie Chicagowskim nauczył go, że w życiu jest inaczej. Fermi potwierdził tę obserwację:

– To by dotyczyło również ciebie, prawda?

– Tak, to dotyczy i mnie – odparł Yeager.

– Nie wyjeżdżamy jutro ani pojutrze – rzekł Fermi.

– Będiesz miał czas, żeby poczynić przygotowania. Aha! Czy chcesz, żebym poprosił dowódcę o to, żeby cię do nas przydzielono? To pomoże ci w załatwieniu formalności.

– Profesorze, gdyby pan to zrobił, zaoszczędziłby mi pan mnóstwa papierkowej roboty – ucieszył się Yeager.

– Zajmę się tym.

Żeby nie zapomnieć, Fermi zapisał to w notatniku. Może i chodził z głową w chmurach, ale stopami stał pewnie na ziemi. Potrafił też równie szybko zmieniać temat rozmowy, jak zawodowy kierowca biegi.

– Na ostatnim spotkaniu Ullhass mówił o tym, co wie na temat systemu chłodzącego w elektrowniach atomowych jaszczurów. Może byłby w stanie to rozwinąć.

Ołówek Fermiego zawisł nad czystą kartką papieru. Pytania padały jedno po drugim. Wreszcie Yeager musiał przypomnieć o czasie.

– Przykro mi, panie profesorze, ale muszę zabrać naszych przyjaciół na następne spotkanie.

– Si, si – odparł Fermi.

– Rozumiem. Robisz, co musisz, panie Yeager. Bardzo nam pomogłeś. Chcę, żebyś o tym wiedział i żebyś wiedział, że chcemy zabrać cię ze sobą, kiedy będziemy się przenosić... kto wie dokąd?

– Dziękuję, proszę pana. To wiele dla mnie znaczy.

Yeager uśmiechnął się z dumą. Spojrzał z wdzięcznością na Ullhassa i Ristina. Gdyby nie oni, nigdy w życiu nie spotkałby naukowca, nie mówiąc o tym, że nie mógłby z żadnym współpracować. Wstał i machnął karabinem.

– Chodźcie, wy dwaj. Idziemy. Czas na nas. Przynajmniej jedno dobre mógł powiedzieć o jaszczurach; w przeciwieństwie do ludzi nie wymądrzały się.

– Tak jest, panie zwierzchniku – odparł Ullhass i tyle.

Wyszły przed nim. Od dawna uważał, że rozkaz, żeby nie pozwalać im, by znalazły się za jego plecami, jest głupi, ale stosował się do niego. Rozkazy w wojsku to jak regulamin baseballu: daleko się z tym nie zajędzie, ale bez tego niczego się nie da zrobić. Kiedy wychodził, mało nie wpadł na strażnika Andy'ego Reilly. Był już ze swymi podopiecznymi na schodach, kiedy ktoś inny zawołał:

– Cześć, Sam! Nie mógł się po prostu odwrócić, bo wtedy jaszczury znalazłyby się za jego plecami, obszedł je więc i odpowiedział:

– Cześć, Barbaro. Co tu robisz? Uśmiechnęła się i podeszła. Już się nie bała Ullhassa i Ristina.

– Często tu bywam. Mój mąż pracuje w Laboratorium Metalurgicznym, pamiętasz?

– Tak, mówiłaś mi. Zapomniałem.

Yeager zastanawiał się, czy Barbara Larssen wie, jak wielkim oszustwem jest nazwa Laboratorium Metalurgiczne. Może tak, może nie. Badania nad energią jądrową nie były już objęte tak ścisłą tajemnicą, odkąd jaszczury dały jej pokaz w praktyce, ale powiedziano mu bez ogródek, co się z nim stanie, jeśli będzie za dużo mówił. Nie chciało mu się palić aż do tego stopnia, żeby pragnął dostać ostatniego w życiu papierosa wraz z opaską na oczy. Nie chciał nawet myśleć o tym.

– Są jakieś wieści? – zapytał.

– O Jensie? Nie, żadnych.

Barbara trzymała się dzielnie, ale widać było, że nerwy ma w strzępach. W jej słowach słyhać było troskę, albo raczej strach:

– Powinien wrócić już wiele tygodni temu. Wiesz, że już dawno przekroczył termin, kiedy przyprowadziłeś te jaszczury do biura doktora Burketta. Jeśli wkrótce nie wróci... Ze sposobu, w jaki przerwała, domyślił się, że w grę wchodzi środki bezpieczeństwa.

– Profesor Fermi powiedział, że się przenosicie – powiedział.

– Nie byłam pewna, czy wiesz i nie chciałam mówić za dużo. na wypadek gdybyś nie wiedział – odparła Barbara.

– Jasne: środki bezpieczeństwa. Czy to nie będzie straszne, że dotrze tu tylko po to, żeby stwierdzić, że nie miał do czego wracać?

– Może już nie będzie miał po co wracać do Chicago. Z tego, co mówił Fermi wynika, że front jest teraz pod Aurorą.

– Nie słyszałam o tym.

Zacisnęła wargi, między brwiami pokazała się jej zmarszczka.

– One... są coraz bliżej.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał.

– Czy przenosisz się razem z Laboratorium?

– Po prostu nie wiem – stwierdziła Barbara.

– Prawdę powiedziawszy przyszedł tu, żeby o tym porozmawiać. Rezerwują dla mnie miejsce, ale nie wiem, czy skorzystam. Gdybym była pewna, że Jens wróci, zostałabym bez względu na wszystko. Ale jego nie ma już tak długo. Trudno mi zachować wiarę. Próbuję, ale... – Znowu przerwała.

Tym razem nie chodziło o zachowanie tajemnicy. Zaczęła szukać w torebce chusteczki. Yeager miał ochotę ją objąć. Nie dałby rady; między nimi stały dwa jaszczury. Nawet gdyby ich nie było wypadłoby to głupio. Już raz sobie pomyślała, że ma ją ochotę poderwać. I było w tym trochę racji. Nie powiedział jej nawet, że Fermi chce, żeby ewakuował się z personelem Laboratorium Metalurgicznego. Poczł się niezręcznie i bezsilnie.

– Mam nadzieję, że wkrótce wróci, Barbaro.

– O Boże, ja też.

Zacisnęła kurczowo palce. Paznokcie miała pomalowane na czerwono. To sprawiało, że wyglądały teraz jak zbroczone krwią. Twarz się jej zmieniała.

Niech diabli wezmą jaszczury za to, że tu przybyły i zniszczyły wszystko, co ludzie tworzyli. Nawet złe rzeczy; to są nasze uczynki i nikogo to nie powinno obchodzić. Ullhass i Ristin nauczyły się co najmniej tyle angielskiego, co Yeager ich języka. Odskoczyli od rozwścieczonej kobiety.

– Wszystko w porządku – powiedział im Yeager.

– Warn nic się nie stanie.

Rozumiał Barbarę. Sam odczuwał podobną wściekłość. Ale ciągłe przebywanie przy jeńcach sprawiło, że zaczął ich uważać za ludzi, czasem nawet za przyjaciół. Nienawidził jaszczurów jako najeźdźców, ale nie miał nic przeciwko pojedynczym osobnikom. Było to kłopotliwe. Barbara miała, jak się zdaje, podobny do nich stosunek. Była już w stanie odróżnić jednego jeńca od drugiego.

– Nie martwcie się – powiedział Yeager podopiecznym.

– To nie wasza wina.

– Tak, ty o tym wiesz. – odparł Ullhass syczącym głosem.

– Ale co my moglibyśmy zrobić, gdybyś nie wiedział? Nic. Ty nas – jak mówicie? – trzymasz za ręce.

– Chyba: mam was w rękach – poprawił go Yeager – a może chciałeś powiedzieć, że jecie mi z ręki?

– Nie wiem, co chciałem powiedzieć – stwierdził Ullhass.

– To twój język. Ty uczysz, my się uczymy.

– Oni są właśnie tacy – powiedział Yeager do Barbary, starając się zmienić temat.

– Odkąd stali się naszymi jeńcami uważają nas za swoich zwierzchników i robią, co im się każe.

– Doktor Burkett mówił to samo – powiedziała, kiwając głową.

Zwróciła się do jaszczurów.

– Staracie się podbić cały nasz świat. Czy to dziwne, że nie lubimy was?

– Ale my jesteśmy Rasą – stwierdził Ristin.

– To nasze prawo. Yeager całkiem dobrze potrafił odczytać ton wypowiedzi jaszczurów.

Ristin był zdumiony, że Barbara kwestionuje to prawo. Yeager cmoknął. Oba jaszczury zwróciły na niego oczy. Tak robił zawsze, kiedy chciał przyciągnąć ich uwagę.

– Przekonacie się, że nie wszyscy na tej planecie zgodzą się z wami w tej sprawie – powiedział.

Teerts żałował, że katapulta w jego samolocie zadziałała prawidłowo. Lepiej było runąć w dół razem z maszyną niż wpaść w ręce Nipończyków. Tym rękom brakowało pazurów Rasy, ale nie były

dzięki temu mniej okrutne. W pośpiechu gromadził informacje na temat Nipończyków. Złudzenie, że przyzwoicie traktują jeńców pierzchno jeszcze zanim dostarczyli go do Harbina. Po drodze widział, jak traktują osobniki własnego gatunku. Ich stosunek do jego osoby nie dziwił go zatem. Inne tosewickie cesarstwa też były barbarzyńskie, ale ich przywódcy potrafili zrozumieć, że wojna to ryzykowna sprawa i że sprawy mogą się źle potoczyć. A kiedy sprawy się źle potoczą, obie strony biorą jeńców. Od nipońskich żołnierzy wymagano jednak, żeby popełnili samobójstwo, jeśli mieli się dostać do niewoli. Ale to pół biedy. Cała bieda w tym, że wymagali od wroga, by stosował te same zasady i jeńcami pogardzali jako tchórzami, którzy zasługują na najgorsze. Teerts popatrzył na siebie. Widać było na nim wszystkie żebra – od szyi po podbrzusze. Dostawał zepsutą żywność, a i tego nie było za wiele. Odnosił wrażenie, że gdyby go nie przesłuchiwali, to w ogóle nie dawaliby mu jeść. Drzwi do pokoiku, w którym go trzymano otworzyły się z piskiem zardzewiałych zawiasów. Weszło dwóch uzbrojonych strażników. Teerts zerwał się na nogi i pokłonił. Raz go zbili, kiedy zapomniał. Od tego czasu zawsze pamiętał. Za strażnikami wszedł do celi oficer, który przywiózł go do Harbina. Teerts pokłonił się powtórnie, tym razem głębiej; Nipończycy byli w tych sprawach niesłychanie drobiazgowi.

– Dzień dobry, majorze Okamoto, mam nadzieję, że jest pan zdrowy?

– Jestem zdrowy – Okamoto nie zapytał Teertsza o samopoczucie; byłoby to poniżej jego godności.

Przeszedł na język Rasy. Mimo mocnego akcentu, mówił nim coraz płynniej:

– Pójdiesz ze mną natychmiast.

– Tak jest – odparł Teerts.

Okamoto odwrócił się i wyszedł z pokoiku. Był niski, jak na Tosewitę, ale i tak wyższy niż Teerts. Tak samo było z nipońskimi strażnikami. Noże przymocowane do końców luf ich karabinów wyglądały na bardzo długie, zimne i ostre. Ruchami karabinów pokazali Teertsowi, że ma iść przed nimi. Nie musieli powtarzać. Niewola przemieniła się już w rutynę. Zimno uderzyło go ledwie wyszli z budynku, w którym był uwięziony. Zawsze marzył, nawet w budynku. To, co Tosewici nazywali ogrzewaniem było dla niego arktycznym chłodem. Na dworze, pogoda była naprawdę arktyczna, z nieba spadała zamrznęta woda w formie lekkich jak puch płatków. Przylegały do ziemi, do drzew, do budynków, przykrywając wszystko białą powłoką, która maskowała nieco brzydotę miejsca. Teerts zaczął się gwałtownie trząść. Okamoto stanął, wy-warczał rozkaz do wartowników. Jeden z nich odłożył na chwilę karabin, wyciągnął z plecaka koc i zarzucił go na Teertsza. Schwytyany pilot okręcił się w koc jak tylko mógł najszczelniej. Powoli dreszcze przeszły.

– Ty szczęściarz, że ty ważny jeniec, inaczej dalibyśmy ci zamarznąć na śmierć – powiedział Okamoto.

Teerts obyłby się bez takiego szczęścia. Prawdziwą miarą jego ważności był samochód, który czekał na niego przed więzieniem, żeby zawieźć go na następne przesłuchanie. Wóz był hałaśliwy i cuchnął. Jechał na złamanie karku, jak myśliwiec, który wyrwał się spod kontroli i zaraz runie na ziemię. Ale przynajmniej miał silnik, który dawał trochę ciepła oraz zamkniętą kabinę. Jeden ze strażników siadł za kierownicą, drugi usiadł obok niego. Major Okamoto znalazł się za kierowcą, a Teerts za drugim strażnikiem. Okamoto nie miał karabinu z długim nożem, ale nosił miecz i pistolet. Jeśli nawet Teertsowi udało by się go jakoś pokonać, to co z tego? Jak uciekliby z tego rojącego się od wojska matecznika Wielkich Brzydali. Zostałby schwytyany i spotkałby go jeszcze gorszy los. Matecznik – to było słowo dobrze pasujące do Harbina, myślał Teerts, kiedy samochód przedzierał się powoli przez wąskie, kręte uliczki miasta. Miasto było rozległe, ale zbudowane chaotycznie. Doprawdy, miałosię wrażenie, że powstało bez planu. Ulice rozchodziły się we wszystkie kierunki.

Wielkie, ważne budynki przemieszane były z ruderami. Sterty gruzu rozsiane w różnych miejscach poświadczaly skuteczność bombardowań dokonywanych przez Rasę. Obnażone do pasa Wielkie Brzydale pracowały przy odgruzowaniu. Rozbierały ruiny cegła po cegle. Teerts pomyślał z tęsknotą o Rosspan, mieście na rodzimej planecie, w którym dorastał. Słońce, ciepło, czystość, szerokie jezdnie i ulice; wydawało mu się, że to rzeczy naturalne, dopóki nie przybył na Tosev 3. Dopiero straszne porównanie powiedziało mu, jaki był wtedy szczęśliwy. Ciężarówka, która przemknęła przed nosem wozu Teerts, przejechała jedno ze zwierząt biegających bezpiecznie po ulicach miasta. Śmiertelny skowyt przebił się przez warkot silników dominujący na ulicach Harbina. Ciężarówka nawet nie zwolniła, kiedy zwierzę wpadło jej pod koła. Śpieszyło się jej. Cóż wobec tego znaczy jedno zwierzę? Teerts pomyślał, że wóz nie zatrzymałby się nawet, gdyby przejechał Wielkiego Brzydala. Dość łatwo mogłoby się to zdarzyć. Jeśli w Harbinie były jakieś przepisy drogowe, to Teerts nie zauważył, żeby je stosowano. Samochody wymuszały pierwszeństwo na sznurach wozów ciągniętych przez zwierzęta i na gęstych tłumach pieszych Tosewitów: Tosewitów idących pieszo, dźwigających drągi z tobołami, jadących na dwukołowych urządzeniach, które wyglądały tak, jakby za chwilę miały się przewrócić, Tosewitów wiozących innych Tosewitów w innych, większych urządzeniach napędzanych pedałami, albo ciągnących ich w wózkach, do których zaprzęgnięci byli ludzie jak zwierzęta pociągowe. Od czasu do czasu, na szczególnie zwariowanym skrzyżowaniu, Tosewita w białych rękawiczkach z pałeczką w ręku starał się zaprowadzić jakiś porządek w tym chaosie, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Teerts pomyślał, że Harbin jest miejscem szczególnym, nawet jak na standardy tosewickie. W tłumie najbardziej wyróżniali się nipońscy żołnierze. To było normalne – miasto leżało tuż za linią frontu. Zaskakujące było co innego: arogancki, brutalny sposób, w jaki traktowali oni innych Wielkich Brzydali, którzy dla niedoświadczonego oka Teerts różnili się od żołnierzy tylko ubraniem. Dalej na wschód Teerts zobaczył jeszcze innych Wielkich Brzydali: różowoskórych, z jasnobrązowymi, albo nawet żółtymi kępkami sierści, futra, czy jak to nazwać na czubkach głów. Zdawali się być mniej pewni siebie od tubylców o ciemniejszej karnacji, którzy przeważali wśród miejscowej ludności zajmującej się ze spokojem swoimi sprawami. Zwrócił się do majora Okamoto.

– Ci bladzi TosewicL. – bolesne doświadczenie nauczyło go, żeby nigdy nie mówić Wielkie Brzydale – czy mógłbym wiedzieć, skąd oni przybyli?

– Nie – odparł natychmiast Okamoto.

– Jeńcom nie wolno szpiegować. Żadnych pytań, jasne? Wykonać!

– Tak jest – odparł Teerts zaniepokojony, że może zdenerwować swego nadzorcę.

Jakaś cząstka psychiki, ta, w której nie odczuwał głodu i strachu, mówiła mu, że Wielki Brzydala jest głupi: przecież Teerts nie zdoła nigdy uciec, żeby o tym komuś powiedzieć. Ale Okamoto nie tolerował dyskusji, więc Teerts nie rezonował. Samochód podjechał pod budynek, na którym powiewała japońska flaga: czerwona kula na białym tle. Kilka dział przeciwlotniczych wystawiało w niebo lufy z otoczonych workami z piaskiem stanowisk wokół domu. Kiedy Teerts latał swoim myśliwcem, śmiał się z takich lilipucich przeciwników. Przestał się śmiać, kiedy Wielkie Brzydale zestrzeły go. Nie śmiał się od tamtej pory. Strażnicy wyszli z samochodu. Jeden z nich otworzył drzwi po stronie Teerts i odskoczył, żeby drugi mógł wycelować w pilota karabin

– Wychodzić! – ryknęli razem po japońsku.

Teerts wyszedł, dziwiąc się, jak zwykle, co takiego groźnego widzą te Wielkie Brzydale w jego wymizowanej i bezbronnej osobie. Żałował tylko, że nie jest taki, jak one sobie wyobrażają. Zaprowadzono go do budynku. Schody nie były dostosowane do jego wzrostu i sposobu chodzenia. Musiał się jednak na nie wspiąć; pokój przesłuchań był na drugim piętrze. Wszedł z ociąganiem.

Przydarzyło mu się tutaj wiele przykrych rzeczy. Dzisiaj jednak trzy Wielkie Brzydale siedzące za stołem nosiły na mundurach skrzydełka pilotów. To trochę uspokoiło Teerts. Jeśli ci przesłuchujący byli lotnikami, to pewnie będą go pytać o jego myśliwca. Przynajmniej będzie znał odpowiedzi na pytania. Inni śledczy męczyli go o krążowniki lądowe, broń automatyczną, a nawet o stosunki dyplomatyczne z innymi tosewickimi cesarstwami. Odpowiadał, że się na tym nie zna, a Wielkie Brzydale karały go za to, chociaż mówił prawdę. Tak, jak się nauczył, uklonił się nisko zespołowi przesłuchujących i majorowi Okamoto, który służył za tłumacza. Nie odклонili się; jeniec tracił prawo do wszelkiego szacunku. Wielki Brzydał siedzący pośrodku wyrzucił z siebie potok warkliwych nipońskich słów.

– Pułkownik Doi pyta o taktykę walki, którą wasze myśliwce stosują przeciwko naszym samolotom – przetłumaczył Okamoto.

Teerts uklonił się Tosewicie, który zadał pytanie:

– Taktyka jest prosta: należy podlecieć jak najbliżej przeciwnika, najlepiej z tyłu i z góry, tak żeby nie zostać wykrytym i zniszczyć go raketami albo pociskami z działka.

– Zgadza się, to jest podstawa skutecznej walki powietrznej – powiedział Doi.

– Ale jak to osiągniecie? Jak umieszczasz swojego skrzydłowego z eskadry? Jaką rolę odgrywa przy ataku?

– Zazwyczaj latamy we trójkę – odparł Teerts.

– Lider i dwóch przybocznych. Ale kiedy znajdziemy się w walce, każdy działa na własną rękę.

– Co? To bzdura! – krzyknął Doi. Teerts uklonił się nerwowo Okamocie z nadzieją, że tłumacz uspokoi przesłuchującego.

– Proszę powiedzieć majorowi, że byłoby to bzdurą w przypadku waszych samolotów. Nasze są znacznie lepsze i do nich stosuje się taktyka, o której mówię.

Nie podobało mu się chrząknięcie majora. Jedno z oczu Teerts bezwiednie skierowało się na kolekcję paskudnych narzędzi wiszących na ścianie za nim. Kiedy Rasa musiała przesłuchać kogoś ze swoich, albo Rabetewitę lub Hallessjanina, to aplikowała mu środki chemiczne, które potem neutralizowano. Lekarze Rasy musieli mieć teraz pełne ręce roboty, żeby wyprodukować środek, który równie dobrze działałby na Wielkich Brzydali. Nipończycy byli bardziej prymitywni i brutalni. Techniki pozyskiwania informacji przez zadawanie bólu ginęły w pomroce starożytnych dziejów Rasy. Niestety, Nipończycy okazali się świetnymi znawcami tych metod. Teerts podejrzewał, że zadaliby mu znacznie więcej bólu, gdyby należał do ich rodzaju. Ponieważ był dla nich cenny, nie posuwali się za daleko w obawie, że zabiją go zanim zdołają usłyszeć od niego wszystko, co wie. Ale to, co robili było wystarczająco pomysłowe. Odczuł ogromną ulgę, kiedy Wielki Brzydał o imieniu Doi zmienił temat:

– Jak to się dzieje, że wasze rakiety lecą ciągle za celem, mimo stosowanych przez naszych pilotów gwałtownych zwrotów?

– Są dwa sposoby – odparł Teerts.

– Niektóre kierują się na źródło ciepła, którym jest silnik samolotu, inne lecą według wskazań radaru.

Przekład tych słów zajął znacznie więcej czasu niż Teerts potrzebował, żeby je wypowiedzieć. Pułkownik Doi też mówił długo i major Okamoto miał spore kłopoty z przełożeniem tego na język Rasy. To, co powiedział brzmiało następująco:

– Pułkownik poucza cię, żebyś powiedział więcej o tym radarze.

– Czy on nie wie, co to jest? – zapytał Teerts.

– Nie bądź beczelny, bo zostaniesz ukarany – warknął Okamoto.

– On ci każe powiedzieć więcej na temat radaru. Wykonaj.

– Używają go Deutsche, Amerykanie i Brytyjczycy – powiedział Teerts tak niewinnym tonem, na jaki go tylko było stać.

Kiedy zostało to przetłumaczone, wszyscy trzej przesłuchujący wydali podniecone okrzyki. Teerts stał spokojnie i czekał, aż hałas ucichnie. Miał nadzieję, że dowiódł im, jakimi są barbarzyńcami nawet według tosewickich standardów.

– Kontynuuj, więźniu – powiedział w końcu Doi.

– Mów o tym urządzeniu i o tym, jak go używacie.

– Tak jest

Teerts uklonił się. Wielki Brzydał swoim nie przyznawaniem się do ignorancji wzbudził w nim niechętny szacunek.

– Wystrzelujemy wiązkę promieni podobnych do światła, ale na dłuższej fali, a potem odbieramy je kiedy wracają po odbiciu się od celu. Dzięki temu znamy jego odległość, szybkość, wysokość i kurs. Nipończycy znów zaczęli rozmawiać między sobą, zanim siedzący po lewej stronie nie zwrócił się bezpośrednio do Teertsza. Okamoto przetłumaczył:

– Pułkownik-lejtnant Kobayashi mówi, że masz pomóc naszym technikom w budowie takiego urządzenia.

– Nie potrafię tego zrobić! – wyrzucił z siebie Teerts patrząc ze zdumieniem na Kobayashiego.

Czy ten Wielki Brzydał wie co mówi? Teerts nie byłby w stanie zbudować a nawet obsługiwać radaru, choćby dano mu do dyspozycji narzędzia, części i instrumenty wyprodukowane przez Rasę. Oczekiwać, że zrobi to używając śmiecia, które Tosewici nazywają elektroniką było szaleństwem. Kobayashi wypowiedział kilka złowieszczo brzmiących słów. Zabrzmiały jeszcze bardziej groźnie, kiedy Okamoto przetłumaczył je na język Rasy.

– Odmawiasz? Oko Teertsza znów skierowało się bezwiednie na instrumenty służące do zadawania bólu, wiszące na ścianie z tyłu.

– Nie, nie odmawiam. Nie jestem w stanie – powiedział tak szybko, że Okamoto kazał mu to powtórzyć.

– Nie znam się na budowie radaru ani naszego, ani waszego. Jestem pilotem, a nie technikiem radarowym.

– Hontol – Kobayashi zwrócił się do Okamoto.

Teerts znał to nipońskie słowo; znaczyło – czy to prawda? Ze strachem czekał na to, co powie tłumacz. Jeśli Okamoto pomyśli, że skłamał, znów zapozna się z instrumentami wiszącymi na ścianie.

– Honto, hai – odparł Okamoto.

– Tak, to prawda. Teerts z wysiłkiem ukrył ulgę, tak jak wcześniej ukrywał uczucie strachu

– Po co nam ten jaszczur, skoro potrafi tylko gadać o cudach, a nie jest w stanie podzielić się nimi z nami? – zapytał Kobayashi.

Ulgą, którą odczuwał Teerts, przerodziła się z powrotem w strach. Nipończycy zachowali go przy życiu głównie dlatego, że byli zainteresowani tym, czego może ich nauczyć. Jeśli stwierdzą, że już niczego nowego się nie dowiedzą, pozbędą się go bez wahania. Pułkownik Doi mówił przez dłuższą chwilę. Teerts nie miał pojęcia, o co mu chodzi; Okamoto przestał tłumaczyć i dołączył się do dyskusji. Mówili coraz głośniej. Co jakiś czas krótkie paluchy Tosewitów pokazywały na niego. Starał się nie drżeć. Każdy taki gest mógł oznaczać śmierć. Nagle, zaczęło grzmieć działo przeciwlotnicze stojące przed budynkiem, w którym był przesłuchiwany. Ryk myśliwców był nieprawdopodobnie głośny i przerażający. Huk wybuchających bomb sprawiał, że podłoga drżała jak podczas trzęsienia ziemi. Jeśli Rasa postanowiła zniszczyć ten dom, to Teerts zginie razem z

Nipōńczykami. Jakie to straszne, zginąć z ręki przyjaciela! Musiał przyznać, że oficerowie Wielkich Brzydali okazali odwagę. Siedzieli bez ruchu, gdy budowla się trzęsła. Pułkownik Doi popatrzył na Teertsę i powiedział coś we własnym języku.

– Pułkownik mówi, że jeśli za chwilę dołączy do swych przodków – przetłumaczył Okamoto – to byłby szczęśliwy – nie sprawiłoby mu to przyjemności – gdybyś poszedł na to spotkanie wraz z nim.

Być może Doi chciał w ten sposób przestraszyć Teertsę. Tymczasem jego słowa dały mu jedyną chwilę radości, jakiej zaznał odkąd jego myśliwiec połknął niestrawne tosewickie pociski. Teerts ukłonił się najpierw Doi, potem Okamoto.

– Powiedz pułkownikowi, że czuję dokładnie to samo, tylko że role są odwrócone.

Pożalował tych odważnych słów, ale było już za późno. Okamoto przetłumaczył je na nipoński. Pułkownik Doi nie zdenerwował się. Pochylił się do przodu i nie zwracając uwagi na okropny hałas, z zainteresowaniem zapytał:

– Czy tak? Co stanie się z tobą kiedy umrzesz? W co wierzysz?

Gdyby Teerts miał twarz równie plastyczną jak Tosewici, uśmiechnąłby się pełną gębą. Wreszcie pytanie, na które może spokojnie odpowiedzieć, nie obawiając się, że napyta sobie biedy!

– Kiedy już odejdziemy z tego świata, nasze duchy łączą się z duchami cesarzy, którzy władali Rasą w przeszłości. Dzięki temu możemy im nadal służyć.

Teerts nie tylko w to wierzył. Był o tym równie mocno przekonany, jak o tym, że po nocy następuje dzień. Miliardy osobników trzech gatunków na trzech światach podzielały tę wiarę. Kiedy jego odpowiedź została przetłumaczona, pułkownik Doi przybrał przyjazny wyraz twarzy. Teerts jeszcze go nie widział na twarzach przesłuchujących.

– Wierzymy w bardzo podobne rzeczy – powiedział oficer.

– Jest dla mnie zaszczytem, że będę mógł służyć memu cesarzowi po śmierci tak, jak służy mu za życia. Zastanawiam się, czy duchy naszych zmarłych prowadzą wojnę przeciw duchom waszego gatunku.

Ta uwaga przyprawiła Teertsę o mdłości; żywi Tosewici byli wystarczająco kłopotliwi, nie chciał myśleć o tym, że zmarli cesarze zostaną zmuszeni do walki przeciwko duchom Wielkich Brzydali. Potem rozjaśnił się. Jeszcze do niedawna tubylcy nie znali nowoczesnej techniki wytwarzania. Jeśli ich barbarzyńskie duchy ośmielą się zaatakować duchy Rasy, to z pewnością poniosą klęskę. Nie powiedział tego pułkownikowi Doi.

– Możliwe – to była znacznie bezpieczniejsza odpowiedź. Przeniósł wzrok na Okamoto.

– Proszę zapytać pułkownika, czy mogę mu zadać pytanie, nie mające nic wspólnego ze szpiegostwem.

– Hai – odparł Doi.

– Czy wszyscy Tosewici wierzą w to samo, jeśli chodzi o życie pozagrobowe? Mimo bombardowania oficerowie wybuchnęli śmiechem.

– Mamy tyle rodzajów wiary ile mamy cesarstw, może nawet więcej – odparł Doi za pośrednictwem majora Okamoto.

– Ale tylko nasza, nipońska jest prawdziwa.

Teerts ukłonił się uprzejmie. Nie miał zamiaru przeczyć swoim nadzorcom, ale odpowiedź Doi nie zdziwiła go. To oczywiste, że Wielkie Brzydale mają rozmaite opinie na temat życia po śmierci. Wielkie Brzydale – co widział na własne oczy – różniły się między sobą we wszystkim. Ich małe, liche cesarstwa walczyły ze sobą kiedy przybyła Rasa; bez wątpienia ich małe liche wierzenia też się zwalczały. Pogarda ustąpiła. Niezliczone wyznania, języki i cesarstwa Wielkich Brzydali w dziwny

sposób mogły być źródłem ich siły. Współzawodniczyli między sobą tak zaciekle, że mniej wydajne sposoby były natychmiast odrzucane. Może to właśnie dlatego nie było tu już miejsca dla wywijających mieczami dzikusów, które Rasa spodziewała się spotkać na Tosev 3. Teerts, jak każdy prawomyślny członek Rasy, automatycznie uznawał jedność i stabilność za rzeczy pożądane. Dopóki nie przybył na Tosev 3 nie miał powodu, żeby sądzić inaczej. Teraz, jakby chłodny powiew przeleciał przez jego myśli. Zastanawiał się, jaką cenę zapłacił jego gatunek, a wraz z nim Hallessjanie i Rabotewici za bezpieczne, wygodne życie. Dopóki Rasa nie przybyła na Tosev 3, nie było to przedmiotem rozważań. Teraz było inaczej. Jeśli nawet dostojny pan floty Atvar odwołałby wszystkie statki znad tej zimnej bryły błota, czego, oczywiście, dostojny pan floty nie robi, nie będzie to ostatnie spotkanie Rasy z Tosewitami. Pewnego pięknego dnia – i zapewne szybciej, niż ktokolwiek na rodzimej planecie sądzi – trasą odwrotu Atvara wyprawia się statki kosmiczne pełne dzikich, zaciekłych Wielkich Brzydali. Co zatem pozostaje? Jedynym rozwiązaniem, które przyszło Teertsowi na myśl, był podbój Tosewitów i całkowite zintegrowanie ich z imperium, tak żeby ich skłonność do współzawodnictwa raz na zawsze została zahamowana. Gdyby to się nie udało... nie chciał myśleć, co mogłoby się stać gdyby do tego doszło. Następnie pomyślał o sterylizacji całej planety. To zapewniłoby cesarstwu bezpieczeństwo. Wszelkie inne rozwiązania były gorsze. Bomby przestały padać. Ryk silników myśliwców Rasy ucichł w oddali. Na ulicach Harbinu nieliczni Nipończycy nadal strzelali w górę z karabinów.

– Już po wszystkim – powiedział pułkownik-lejtnant Kobayashi.

– Aż do następnego razu.

– Wróćmy zatem do przesłuchania – powiedział pułkownik Doi.

Odwrócił twarz w stronę Teertsza; jego biedne, nieruchome oczy nie byłyby w stanie same tego zrobić. Jeśli w czasie rozmowy o naturze świata okazał jakiegokolwiek przyjazne uczucia do Teertsza, jako istoty współmyślącej, to nie został po tym nawet ślad.

– Mówiliśmy o radarze. Widzę, że twoje odpowiedzi są wykrętne i niezadowolające. Jeśli nie zaczniesz współpracować, zostaniesz ukarany. Majorze Okamoto...

Teerts zasłonił się przed tym, co miało nadejść. Okamoto skłonił się Doi, zrobił krok w przód i uderzył Teertsza w twarz, prosto w lewe oko. Teerts zachwiał się. Kiedy odzyskał równowagę skłonił się przed Okamoto, choć z chęcią by go zabił.

– Proszę powiedzieć pułkownikowi, że zrobię co w mojej mocy, żeby odpowiedzieć na jego pytania, ale nie wiem nic o tym, czego chciałby się dowiedzieć.

Okamoto przetłumaczył.

– Ha! Bardziej prawdopodobne, że jesteś kłamcą, majorze. – powiedział Doi.

Okamoto uderzył Teertsza jeszcze raz. Kiedy jaszczur rozpaczliwie szukał w pamięci czegoś, co zadowoliłoby Doi, Okamoto podniósł rękę, by zadać jeszcze jeden cios. Teerts pomyślał sobie, że śmierć od bomb rzuconych przez samców Rasy nie byłaby w końcu takim złym rozwiązaniem.

– Możemy teraz przyjąć za pewnik, że Wielkie Brzydale wiedzą dosyć, by móc wyprodukować własną broń atomową – powiedział Atvar.

Mówił to głosem lekarza informującego pacjenta, że niewiele mu pozostało życia. Zgromadzeni panowie statków zaczęli się niespokojnie wiercić. Atvar pomyślał o jedynej gorszej nowinie, którą mógłby im przekazać – że Wielkie Brzydale przeprowadziły wybuch atomowy pod jednym ze statków, które wylądowały na ich planecie. Oczywiście, gdyby tak się stało, wiedzieliby o tym i bez niego.

– Dostojny panie floty – odezwał się Straha – jak to możliwe, żeby nasze zabezpieczenia zawiodły tak fatalnie, że Tosewitom udało się napad na nasz zespół zbierający szczątki stosu

nuklearnego ze zniszczonego statku? Atvar myślał, że to jego zabezpieczenia tak zawiodły, skoro Straha dowiedział się, co zrobiły Wielkie Brzydale.

– Śledztwo jest w toku, panie statku – odparł. Badał też, jak wieść o napadzie doszła do uszu Strahy, ale o tym nie wspomniał.

– Wybacz, dostojny panie floty – rzekł pan statku – ale chciałbym poznać trochę więcej szczegółów niż zechciałeś nam przedstawić.

– Wybacz, panie statku, ale mam kłopoty z zebraniem informacji.

Zanim Straha zdążył zadać następne sarkastyczne pytanie, Atvar szybko przeszedł do następnych spraw.

– Wracając do Wielkich Brzydali, to jedno z nieszczęść polega na tym, że choć my mamy lepszą technikę, to oni są lepszymi żołnierzami z punktu widzenia taktyki. My ćwiczyliśmy i studiowaliśmy działania wojenne, oni nimi żyją. Różnicę w poziomie odkrywamy przy ponoszeniu ciężkich strat.

– Pozwól panie, że podam przykład – powiedział Kirel spiesząc z pomocą panu floty.

– Wokół niektórych naszych pozycji rozmieściliśmy czujniki wykrywające Tosewitów po śladowych ilościach kwasu szczawianowego, który znajduje się w urynie – jednej z wydzielin ich ciała. Koncentracja tego związku chemicznego w powietrzu pozwala nam określić liczbę Wielkich Brzydali znajdujących się w pobliżu.

– Wykonano to według standardowej techniki, której używamy na rodzimej planecie – stwierdził Straha wyzywającym tonem.

– Dlaczego teraz o tym wspominasz? Jakie to ma znaczenie dla naszych niepowodzeń?

– Znaczenie jest takie, że Tosewici nie myślą według naszych standardów – odparł Kirel.

– Musieli się jakoś dowiedzieć o naszych czujnikach, być może potknęli się o któryś z nich, i doszli do tego, jak funkcjonują.

– Więc? – zapytał Straha.

– Przypuszczam, że ta historia ma jakiś morał.

– Ma – zapewnił go Kirel.

Tosewici zaczęli wylewać swoją wydzielinę bezpośrednio na czujniki

– Obrzydliwe – rzekł Straha.

Atvar po raz pierwszy tego dnia zgodził się z nim. Rasa rozwijała się na gorętszej i bardziej suchej niż Tosev 3 planecie. Toteż produktów odpadowych procesu przemiany materii nie pozbywała się w formie płynnej, marnując wodę, lecz w schludnej formie ciała stałego. Wielkie Brzydale znajdujący się na statkach jako jeńcy przeciążyli system kanalizacyjny całej floty.

– Obrzydliwe, owszem, ale i pouczające – powiedział Kirel.

– Nasi technicy w panice zaczęli nagle wrzeszczeć, że cztery miliardy Tosewitów zmierzają wprost na ich pozycje. Według naszych szacunków jest to prawie dwa razy tyle, ile wynosi cała populacja planety, ale takie dane przekazywały zmoczone, zapaskudzone, przeładowane czujniki. Podczas, gdy my podejmowaliśmy działania, by odeprzeć atak w miejscu, na które wskazywały nasze urządzenia, Wielkie Brzydale dokonywały ataku gdzie indziej. Czy na taki pomysł wpadłby któryś z nas?

Straha nie odpowiedział. Inni panowie statków też milczeli, chociaż kilku rozwarło szczęki w rozbawieniu. Atvar pomyślał, że w pewnym znaczeniu ta historia jest śmieszna, ale wynikała z niej nauzka.

– Wielkie Brzydale są ignorantami, ale na pewno nie są głupie. W niektórych sytuacjach mogą być bardzo niebezpieczne. Nie dadzą nam rady w otwartym boju, ale są wyśmienite jeśli dotyczy to małych ukąszeń.

– Rajd, o którym mówiliśmy, nie był małym ukąszeniem – upierał się Straha.

– W sensie strategicznym nie był, ale taktycznie był – odparł Atvar. Wielkie Brzydale obracają też na swoją korzyść zmienny klimat planety. Są przyzwyczajone do zimna i wilgoci, a nawet do różnych form zamrożonej wody. My musimy się dopiero uczyć, jak dawać sobie z tym radę. Tosewici zaś sprawiają, że to bardzo kosztowna edukacja.

– Moim zdaniem ten świat może nie być wart kolonizowania – powiedział Straha.

– Nie tylko pogoda jest tu zmienna. To samo można powiedzieć o Wielkich Brzydalach.

– Możliwe – rzekł Atvar.

– Ale cesarz powiedział, że mamy włączyć Tosev 3 do imperium i tak ma być. To przypomnienie o bezwarunkowym posłuszeństwie wobec woli cesarza zahamowało zapędy panów statków, którzy wcześniej otwarcie wyrażali uznanie dla Strahy.

– Spora część tego świata świetnie się dla nas nadaje, a jego zasoby, które Wielkie Brzydale wykorzystują w tak mało wydajny sposób, mają dla nas ogromną wartość – dodał Atvar.

– Jeśli tak jest, to wykorzystajmy te zasoby, jakby znajdowały się one na jednej z pozbawionych życia planet naszego systemu – odparł Straha.

– Zabijmy wszystkich Wielkich Brzydali i w ten sposób pozbedziemy się problemów, jakie nastęrcza nam Tosev 3.

– Zapominasz o jednym: flota z osadnikami jest już w drodze. Przybędzie tutaj za niespełna czterdzieści lat, dwadzieścia obrotów tej planety – powiedział Atvar.

– A jej dowódca nie podziękuje nam, kiedy ofiarujemy mu martwą planetę. Co wybrałbyś dostojny panie floty: ofiarowanie mu martwego świata, czy przegranie wojny, kiedy Wielkie Brzydale poznają broń atomową? – zapytał Straha.

Nawet panowie statków z jego napastliwej frakcji zaczęli się wiercić z zaniepokojeniem; tak złośliwa ironia rzadko się zdarzała wśród samców Rasy. Atvar pomyślał, że najlepszym sposobem, by odeprzeć atak jest udać, że nie wie się o co chodzi.

– Panie statku – powiedział.

– Nie sądzę, żeby to był jedyny wybór, jaki nam zostaje. Mam zamiar ofiarować dowódcy floty kolonizacyjnej planetę gotową na przyjęcie jego osadników. Gdyby wojna została wygrana byłoby to możliwe.

Ale nawet Atvar wątpił, czy Tosev 3 będzie wtedy również gotowa na przyjęcie nowych mieszkańców, jak to głosiły plany opracowane na rodzimej planecie. Zastane warunki zbytnio się różniły od tego, czego się spodziewano: mieszkało tu zbyt wielu Wielkich Brzydali i mieli za dużo fabryk. A Straha, wart przekleństwa, nie chciał umilknąć:

– Dostojny panie floty, jak możemy twierdzić, że wygramy tę wojnę, podbijemy ten świat, skoro nawet maleńkie, liche cesarstwa, które nam się formalnie poddały kontynuują opór wobec wojsk okupacyjnych?

– Jeśli przenikliwy pan statku miałby jakieś rozwiązanie tego problemu, to wysłuchanie go ukoiłoby moją duszę – odparował Atvar.

– Nadal się bronimy i kontratakujemy napastników. Czego byś jeszcze chciał? Straha zawsze miał w zanadrzu jakieś uwagi.

– Brać masowy odwet za każdy akt bandytyzmu i sabotażu – powiedział.

– Zabijać dziesięciu Wielkich Brzydali za każdą zniszczoną ciężarówkę, stu za każdego zabitego lub zranionego żołnierza Rasy. Zmusić ich, żeby nas szanowali, to w końcu poczują respekt.

– Dostojny panie floty, czy mógłbym wypowiedzieć się na ten temat? – zapytał Kirel

– Mów.

– Dziękuję, dostojny panie floty. Straha, chcę, żebyś wiedział, że wcześniej żywiłem podobny pogląd na ten temat. Byłem zawziętym zwolennikiem zniszczenia miasta Wielkich Brzydali o nazwie Waszyngton, by sterroryzować Tosewitów ze Stanów Zjednoczonych i zmusić ich do uległości. Ta strategia poskutkowałaby prawdopodobnie w przypadku Rabotewitów albo Hallessjan, albo nawet w przypadku Rasy. Jeśli chodzi o Tosewitów, to zawiodła.

Straha próbował się wtrącić; Kirel wystawił język, żeby go powstrzymać.

– Pozwól, proszę, że dokończę. Nie twierdzę, że nie udało nam się zastraszyć wielu Tosewitów pokazem siły. Ale wśród nich występuje znacząca mniejszość, którą takie akty z naszej strony skłaniają do stawiania jeszcze większego oporu. Twoja polityka dodaje odwagi takim fanatykom.

– Dlaczego Wielkie Brzydale miałyby tak różnić się od innych cywilizowanych gatunków? – zapytał Straha.

– Nasi uczeni będą się nad tym zastanawiali przez najbliższe tysiąc lat, kiedy przejrzą zapiski z tej kampanii – odparł Kirel.

– Ten i ów pan statku otworzył szeroko usta; uczeni Rasy znani byli z powolności swoich dociekań.

– Mnie brakuje jednak czasu na rozważania, jak każdemu z nas przebywających na Tosev 3. Gdybym miał sprawę rozważyć, rzekłbym, że to, co wyróżnia Wielkich Brzydali ma swoje źródło w ich specyficznych, rzekłbym unikalnych zachowaniach płciowych – kontynuował Kirel. Straha wydał odgłos wyrażający niechęć.

– Zawsze wracamy do kopulacji. Czy te nieszczęsne Wielkie Brzydale nie myślą o niczym innym.

– Odpowiedź brzmi: tak – stwierdził Atvar.

– Silne więzi emocjonalne, które kształtują się między partnerami seksualnymi i ich potomstwem sprawiają, że są oni gotowi do podjęcia ryzyka, które członek Rasy uznałby za szaleńcze. Jest to także pobudka do zemsty w przypadku gdy jeden z partnerów albo potomek zostaną zabici lub skrzywdzeni.

– Jest jeszcze coś – dodał Kirel.

– Niektórzy z naszych naukowców sądzą, że Wielkie Brzydale, ze względu na silne więzi rodzinne, są także predysponowane do równie mocnego przywiązywania się do ich małych cesarstw i systemów religijnych. W rezultacie, mamy do czynienia z gatunkiem rojącym się od fanatyków. A fanatycy nie dadzą się powstrzymać ani groźbą, ani siłą, które odstraszyłyby racjonalnie myślące jednostki.

– Nie bardzo cię rozumiem, szanowny panie statku – powiedział Straha.

– Wysuwasz hipotezę, że Tosev 3 nigdy nie będzie w pełni spacyfikowany, jak Halless 1 i Rabotev 2, i że Wielkie Brzydale mogą kontynuować samobójczy opór nawet, gdybyśmy odnieśli całkowite zwycięstwo militarne?

– Wyciągasz nieco nazbyt dalekie wnioski. Ale mogę udzielić tylko twierdzącej odpowiedzi – odparł Kirel zatroskanym głosem.

– Nie jedźmy deseru przed zupą, panowie statków – rzekł Atvar.

– Zanim zaczniemy się zastanawiać, jak ograniczyć napastliwe zachowanie wobec naszych wojsk po zwycięstwie, musimy najpierw dokonać podboju. Okropna zimowa pogoda, która przeważa na północnej półkuli, nie ułatwia nam zadania

– Nasi samcy powinni zostać lepiej wyćwiczeni, żeby mogli znosić takie warunki – powiedział Straha.

Pan floty marzył o tym, żeby jeden z tych straszliwych tosewickich snajperów naprowadził

muszkę na sam środek paszczy Strahy, który tylko narzekał i intrygował. Nie obchodziło go, jak rozwiązać wskazywane przez niego problemy.

– Muszę przypomnieć panu statku – powiedział Atvar – że żadne z terytoriów leżących w granicach cesarstwa nie ma klimatu przypominającego tosewicki, a właśnie planetę Tosev 3 zamieszkuje nasz groźny nieprzyjaciel. Nawet niektóre samce z frakcji Strahy zgodziły się z tym stwierdzeniem.

To trochę ulżyło Atvarowi. Zaczął się lękać tych zebrań. Za często miał do zakomunikowania złe nowiny. Były to zazwyczaj przypadki, o których nikomu się nie śniło, zanim flota opuściła rodzimą planetę. Spodziewał się, że główną jego troską będzie liczba żołnierzy rannych w wypadkach drogowych. Tymczasem stało się tak, że musiał zastanawiać się, kiedy Tosewici zaczną używać własnej broni atomowej. Spodziewał się również, że dane z sond wysłanych przez Rasę będą znacznie bardziej wiarygodne. Pogodził się już z faktem dokonania przez Tosewitów wielkiego skoku technicznego: stało się to za sprawą Tosewitów, nie zawiniły tu sondy. Ale trzeba było lepiej zbadać tosewickie obyczaje społeczne i seksualne. Teraz zespół Kirela musi zaczynać wszystkie badania od podstaw. Ale tak naprawdę niepokoiło go to, że sondy mogły przesłać właściwe dane, tylko że uczeni je zignorowali, źle zinterpretowali, albo nie dali im wiary, analizując je z punktu widzenia Rasy. Jeśli podobne błędy zdarzyły się przed podbojem Rabotewitów i Hallessjanów, to prawdopodobnie nawet tego nie zauważono; podporządkowane gatunki naprawdę niewiele różniły się od swych władców. Ale Wielkie Brzydale... Przekonanie się na własnej skórze jakie one były naprawdę okazało się kosztowniejsze niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

– Dostojny panie floty, co zrobić, żeby zminimalizować szkodę, jaka może wyniknąć z faktu, że Tosewici znajdują się w posiadaniu materiału rozszczepialnego? – zapytał Kirel.

– Przygotuję na piśmie rozkazy dla panów statków, które wkrótce do nich dotrą – odparł Atvar.

– Przede wszystkim, zintensyfikujemy bombardowania głównych aglomeracji, które stanowią najbardziej prawdopodobne miejsca dla prowadzenia ważnych badań naukowych. Zobaczymy, jak sobie dadzą radę z eksperymentami, jeśli – powiedzmy zabraknie im elektryczności. Horrep, jeden z samców z frakcji Strahy, zamachał ogonem żeby zostać zauważonym.

Kiedy Atvar zwrócił w jego stronę oboje oczu, powiedział:

– Z całym szacunkiem pozwolę sobie przypomnieć dostojnemu panu floty, że nasze własne zapasy amunicji nie są tak zasobne jak byśmy chcieli. Zużyliśmy już znacznie więcej niż przewidywano, gdy wyruszyliśmy z rodzimej planety, a uzupełnienia strat sprawiają nam kłopot zarówno ze względu na toczące się walki, jak i na niespodziewanie ciężkie straty, jakie zadają nam Tosewici.

Odezwało się kilku innych samców, żeby wesprzeć Horrepa. I znowu Atvar miał tę niepokojącą wizję: strzela ostatnią serią tylko po to, żeby zobaczyć jak zza stosu gruzu wypełza jeszcze jeden krążownik lądowy Tosewitów

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie będziesz w stanie wypełnić rozkazu? – zapytał.

– Nie, dostojny panie floty... rozkaz będzie wykonany – odparł Horrep.

– Ale muszę cię ostrzec, że taki program nie może być podtrzymywany w nieskończoność. Mam nadzieję, że skutki, jakie wywoła, pozostaną proporcjonalne do ilości zużytej amunicji. Ja też mam taką nadzieję, pomyślał Atvar.

Dziękował przewidującym duchom zmarłych cesarzy, że Rasa zabrała ze sobą znacznie więcej broni niż było to potrzebne do podboju dzikusów, których spodziewano się tu zastać. Gdyby planowano pospiesznie, to przyniosłoby to haniebną klęskę. Gdyby jednak Rasa pospieszyła się i przybyła na Tosev 3 kilkaset lat wcześniej, Wielkie Brzydale byłyby znacznie łatwiejszą zdobyczą,

bo nie miałyby czasu na rozwinięcie własnej techniki. Czy to znaczy, że w tym przypadku pośpiech byłby godny polecenia? Im dokładniej przyglądał się temu zagadnieniu, tym bardziej się ono komplikowało. Pan floty niechętnie postanowił zrezygnować na jakiś czas z drugiej części rozkazu, który zamierzał wydać: chciał polecić wzmożone działania przeciwko łodziom, którym Wielkie Brzydale poświęcały tyle wysiłku i pomysłowości. Ponieważ na Tosev 3 było dużo wody, tubylcy korzystali z niej w większym stopniu niż gatunki zamieszkujące cesarstwo. Zdaniem Atvara transport wodny był tak ważny dla Tosewitów, że uniemożliwienie go byłoby istotną dla Rasy sprawą, ale przy skąpych zapasach amunicji trzeba było zachować jak najwięcej dla celów pierwszoplanowych Westchnął. Testy przeprowadzone na rodzimej planecie stwierdzały, że byłby równie dobrym architektem jak żołnierzem. Wyboru dokonał sam. Zawsze był idealistą, chętnym służyć ze wszystkich sił cesarzowi i Rasie. Dopiero konfrontacja z masą problemów, jakie wyłoniły się przy podboju Tosev 3 spowodowała, że zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie byłby szczęśliwszy, gdyby stawiał domy. Znowu westchnął. Teraz już nie było wyboru. Musi dalej robić to, co czynił do tej pory.

– Panowie statków – powiedział.

– Wiem, że to spotkanie nie było w pełni satysfakcjonujące. Wielkie Brzydale wykazały się odpychającą zdolnością do korzystania z naszych niedociągnięć. Czy zanim odprawa się skończy ktoś chciałby coś jeszcze powiedzieć?

Zazwyczaj po tym formalnym pytaniu nikt się nie zgłaszał. Tym razem jednak, samiec o imieniu Relek poprosił o głos.

– Dostojny panie floty, mój statek, „16-ty cesarz Osjess” stacjonuje we wschodniej części głównej masy kontynentalnej, w cesarstwie Wielkich Brzydali, zwanym Chiny. Ostatnio spora liczba samców stała się niezdolna do służby w związku z nadmierną konsumpcją pewnych miejscowych ziół, które mają najwyraźniej efekt stymulacyjny i uzależniający.

– Mój statek stacjonuje w centrum tej masy kontynentalnej i mam te same doświadczenia z garstką moich żołnierzy – powiedział pan statku o imieniu Tetter.

– Sądziłem, że to zdarzyło się tylko u mnie.

– Nie tylko u ciebie – wtrącił się Mozzten, którego statek stacjonował w USA, na mniejszej masie kontynentalnej.

– Nazwa tego zioła w języku Wielkich Brzydali, powiedziałbym, że to bardzo brzydka nazwa, brzmi imbir. Jego działanie na samców pozostających pod moją komendą było piorunujące.

– Wydam rozkaz jednoznacznie zakazujący spożywania tych ziół – oświadczył Atvar.

– Żeby skuteczność była większa, chcę żeby każdy z panów statków – w szczególności ci, którzy wskazali problem – wydał własny rozkaz zakazujący osobom znajdującym się w jego jurysdykcji zażywania tego... imbiru, tak się to nazywa, prawda?

– Tak jest – odpowiedzieli chórem panowie statków.

– Doskonale – rzekł Atvar.

– Przynajmniej jeden problem rozwiązaliśmy. Mechanik rozłożył umorusane ręce i zrezygowany, potrząsnął głową.

– Bardzo mi przykro, towarzyszeko pilot, ale nie jestem w stanie znaleźć przyczyny tego kłopotu. Mogę tylko powiedzieć, że prababka diabła założyła swój sklepik w waszym silniku.

– Odsuń się, sama zobaczę – burknęła Ludmiła Gorbunowa.

Miała ochotę kopniakami nauczyć rozumu tego głupiego muzyka, ale prawdopodobnie zarówno jego głowa jak i siedzenie były tak twarde, że złamałaby sobie nogę. Żałowała, że nie ma tu jej starego mechanika; w odróżnieniu od tego durnia; Katia Kuzniecowa doskonale знаła się na silnikach

i naprawiała je zamiast bełkotać coś o diable i jego głupich krewnych. Pięcicylindrowy silnik gwiazdzisty Świecowa z pewnością nie był najbardziej skomplikowanym mechanizmem na świecie. Był prosty w budowie i godny zaufania. Ledwie na niego spojrzała i już wiedziała, że mechanik nie zna się na swoim fachu. Sięgnęła ręką i zapytała:

– Nie sądzisz, że to ten obluzowany kabel od świecy może mieć coś wspólnego z kłopotami, jakie ostatnio sprawiał samolot?

– Mówiąc to umocowała kabel. Mechanik pokręcił głową jak marionetka

– Da, towarzyszeko pilot, bardzo możliwe. Ruszyła na niego.

– To dlaczego tego nie zauważyłeś? – krzyknęła na niego piskliwie. Żałowała, że nie jest mężczyzną, wtedy mogłaby ostrzej zareagować.

– Przepraszam, towarzyszeko pilot – powiedział mechanik pokornym głosem.

– Staram się. Robię co mogę.

Na te słowa złość Ludmiły wyparowała. Wiedziała, że człowiek mówił prawdę. Kłopot polegał na tym, że choćby robił co mógł i tak nie będzie dobry. Zasoby wykwalifikowanej siły roboczej Związku Radzieckiego były za małe, żeby sprostać potrzebom kraju. Przyłożyły się do tego także czystki lat trzydziestych; czasem sam fakt, że ktoś się na czymś znał czynił z niego obiekt podejrzeń. Potem przyszli Niemcy, a potem jaszczury... Ludmiła uważała, że to cud, że pozostali przy życiu w ogóle jacyś godni zaufania technicy. O ile zostali – od dawna żadnego nie widziała.

– Mamy tu podręczniki dotyczące samolotu i jego silnika. Przeczytaj je dokładnie, to nie będzie więcej takich kłopotów.

– Da, towarzyszeko pilot.

Mechanik znów potrząsnął głową. Ludmiła wcale nie była pewna, czy problemy się nie powtórzą. Zastanawiała się, czy mechanik będzie w stanie przeczytać podręcznik. Przed wojną był prawdopodobnie druciarzem albo kowalem w jakimś kołchozie. Umiał zreperować garnek albo wyklepać łopatę. Na silnikach w ogóle się nie znał.

– Staraj się jak możesz – powiedziała i wyszła z hangaru.

Kiedy znalazła się za wałami ziemnymi chroniącymi maszynę przed wybuchami, wiatr zawiął jej z całej siły śniegiem w twarz. Cieszyła się, że ma lotniczy kombinezon z futra i skóry, wywatowany bawełną i filcowe walonki, które chroniły jej stopy przed zamrożeniem. Odkąd nastąpiła zima rzadko się rozbierała. Walonki działały prawie jak rakiety śnieżne na powierzchni błota, gdy brnęła skrajem lądowiska. Tylko dzięki wyłobionym przez samoloty koleinom, wypełnionym śnieżną breją, można było odróżnić pas startowy od reszty stepu. Kukurużnik został skonstruowany po to, żeby mógł startować i lądować na każdym skrawku równego terenu, również na zwykłym polu. Uniosła głowę i sięgnęła po pistolet. Ktoś, kto nie należał do zdziesiątkowanego oddziału radzieckiego lotnictwa wojskowego brnął przez lądowisko. Pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy, że jest na pasie startowym. Może to jakiś czerwonoarmista? Chyba tak – przez ramię przewieszony miał karabin. Nie, to nie był czerwonoarmista. Nie był ciepło ubrany i krój munduru też się nie zgadzał. Ludmiła potrzebowała tylko chwili, żeby rozpoznać, co to za mundur.

– Germanied – krzyknęła, trochę do zbliżającego się mężczyzny, a trochę po to, żeby ostrzec innych Rosjan w bazie.

Niemiec odwrócił się, chwycił karabin i padł w błoto. Stary żołnierz, pomyślała Ludmiła. Nie zaskoczyło jej to: większość niemieckich żołnierzy, którzy pozostali przy życiu w Związku Radzieckim byli to ludzie, których wojna nauczyła, jak chronić swoją głowę. Ten był w tym stopniu opanowany, że nie zaczął strzelać, zanim nie zorientował się w sytuacji. Jego gęsta ruda broda sprawiała, że wyglądał jak bandyta. Ludmiła zmarszczyła brwi. Widziała już taką brodę. W

kołchozie, zgadza się, pomyślała. Jak się ten facet nazywał?

– Schultz – mruknęła pod nosem. Potem krzyknęła, przechodząc na niemiecki.

– To ty?

– Ja, kim jesteś? – odkrzyknął rudobrody; podobnie jak i ona potrzebował kilku sekund, żeby sobie przypomnieć.

– Ty jesteś tą pilotką, prawda?

Machnęła do niego, żeby się zbliżył. Wstał. Nie zarzucił karabinu na ramię, ale już w nią nie celował. Był brudny i obszarpany. Wyglądało na to, że mu zimno. Trochę mu brakowało do karykatury Wintera Fritza z radzieckiej propagandy, ale nie przypominał już tamtego żołnierza, którego widziała latem. Zapomniała, że jest taki wysoki. Był teraz chudszy niż wtedy. To podkreślało jego wzrost.

– Co tu robisz, w środku stepu? – zapytał.

– To nie jest step. To lotnisko – powiedziała.

Rozejrzał się. Niewiele tu było do oglądania. Uśmiechnął się bezwstydnie.

– Wy Iwany naprawdę umiecie się kamuflować.

Puściła to mimo uszu; nie wiedziała, czy to komplement, czy też chciał przez to powiedzieć, że nie ma tu niczego, co warte byłoby ukrywania.

– Nie spodziewałam się, że cię jeszcze zobaczę. Myślałam, że razem z majorem pojechaliście do Moskwy.

– Kiedy mówiła, kątem oka dostrzegła, jak z ziemianek wyszła major w towarzystwie kilku pilotów i mechaników.

Przyglądali się, jak rozmawia z Niemcem. Wszyscy trzymali karabiny. Nikt, kto walczył z hitlerowcami nie będzie już im ufał. Nawet wtedy kiedy Związek Radziecki i Niemcy mają tego samego wroga.

– Byliśmy w Moskwie – stwierdził Schultz.

Też zauważył Rosjan. Rozglądał się z niepokojem, przez cały czas obserwował otoczenie. Przesunął się tak, że Ludmiła znalazła się między nim a swoimi towarzyszami.

– Twoi uznali, że wolą, żebyśmy zarobili na swoje utrzymanie i nie opychali się kaszą i barszczem za darmo – powiedział z krzywym uśmiechem.

– Więc tu się znalazłeś – powiedziała.

– A gdzie major?

– Żył, kiedy widziałem go po raz ostatni – odparł Schultz.

– Rozdzieliliśmy się w czasie akcji. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

– Ja też – odparła Ludmiła.

Ciągle miała ten list, który przysłał jej Jager. Myślała nawet, żeby odpowiedzieć, ale nie zrobiła tego. Nie miała pojęcia jak zaadresować kopertę. Poza tym, korespondowanie z Niemcem na pewno trafiłoby do jej akt. Nigdy nie widziała tych akt, ale były dla niej równie realne, jak kołnierz z jagnięcej skóry, przy jej lotniczej kurtce.

– Macie coś do jedzenia? – zapytał Schultz.

– Po tym, co ostatnio udało mi się podkraść, nawet kasza i barszcz będą mi smakować

– Sami nie mamy dużo – odparła Ludmiła.

Nie miała nic przeciwko temu, żeby raz, albo dwa razy nakarmić Schultza, ale nie chciała też, żeby został tu w charakterze pasożyta. Potem zaświtał jej pewien pomysł.

– Znasz się na silnikach?

– Całkiem nieźle.

Odpowiedź nie brzmiała arogancko. Było w niej zaufanie do swoich umiejętności.

– W końcu musiałem dbać, żeby mój czołg był na chodzie.

– Mógłbyś popracować przy silnikach lotniczych?

– Nie wiem.

Ściągnął wargi.

– Nigdy nie próbowałem. Macie podręczniki?

– Tak, ale po rosyjsku – Ludmiła przeszła na rosyjski.

– W kołchozie nie mówiłeś słowa w naszym języku. Poznałeś go od tej pory lepiej?

– Da, troszeczkę – Schultz odpowiedział po rosyjsku z nie najgorszym akcentem.

Przeszedł z ulgą na niemiecki.

– Nadal nie jestem w stanie przeczytać ani słowa. Ale cyfry są takie same i mogę domyślić się, o co chodzi ze szkiców. Pokaż, co macie.

– W porządku.

Ludmiła poprowadziła go do U-2. Członkowie naziemnej obsługi lotniska patrzyli na nich twardym, nieufnym wzrokiem. Ta nieufność dotyczyła także Ludmiły, za to, że kontaktuje się z Niemcem. Rosjanie nienawidzili Niemców i bali się ich, a przy tym wielu widziało w nich ludzi obdarzonych niemal magicznymi zdolnościami, ponieważ przybywali z Zachodu. Owszem, byli dobrymi żołnierzami, ale nie byli nadludźmi. Kiedy Georg Schultz zobaczył kukuruźnika, zakołysał się na piętach i zaczął się śmiać.

– Ciągłe latacie na tych małych sukinsynach?

– O co chodzi? – powiedziała Ludmiła z oburzeniem.

Nie mogła znieść obrażania jej ukochanego U-2.

– Nienawidziliśmy tego draństwa – wyjaśnił Schultz.

– Ile razy musiałem wyjść za potrzebą, wyobrażałem sobie, że taki nadleci i odstrzeli mi tyłek.

Miało się wrażenie, że mogą podejść na paluszkach i zajrzeć przez okno. Idę o zakład, że jaszczury kochają je nie bardziej niż my.

Ludmiła przetłumaczyła to na rosyjski. Wrogość obsługi lotniska zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ręce trzymające broń opadły. Ktoś wyciągnął kapciuch z machorką i podał go Schultzowi. Niemiec miał w kieszeni starą gazetę, która nie przesiąkła wilgocią. Skręcił sobie papierosa. Rosjanin podał mu ogień. Schultz schował skręta w dłoni przed kroplami, które skąpy wały z siatki maskującej rozpiętej nad hangarem, obszedł samolot i stanął przy silniku z drewnianym śmigłem o dwóch łopatach. Kiedy się odwrócił, jego twarz wyrażała niedowierzanie.

– To naprawdę lata?

– Naprawdę – odpowiedziała Ludmiła skrywając uśmiech.

Powtórzyła to po rosyjsku. Dwóch mechaników roześmiało się. Przeszła z powrotem na niemiecki.

– Potrafisz utrzymać to na chodzie?

– Czemu nie? – odparł.

– Będzie to znacznie łatwiejsze niż naprawianie czołgu. Ten silnik wygląda jak zabawka napędzana gumką.

– Hmm

Ludmiła nie była pewna, czy to porównanie spodobało się jej. Mały silnik Świecowa był prosty i wytrzymały. Ale to był powód do dumy.

– Odwróć się – powiedziała do Schultza.

– Jawohil

Stuknął obcasami i zrobił w tył zwrot jakby była marszałkiem w portkach z czerwonymi lampasami. Wezwała kilku Rosjan, żeby byli świadkami tego, co robi. Potem obluźowała kabel świecy.

– Odwróć się teraz i sprawdź, co w silniku jest zepsute.

Schultz podszedł do U-2. Oglądał silnik prawie przez minutę, po czym umocował kabel, który wyciągnęła Ludmiła. Jego uśmiech zdawał się mówić: na przyszłość dawaj mi trudniejsze zagadki. Mechanik, któremu nie udało się znaleźć wcześniej tej usterki, gapił się na Niemca, jakby podejrzewał, że ma jakieś konszachty z babką diabła siedzącą w silniku.

– Ten człowiek przyda się w bazie – powiedziała Ludmiła.

Popatrzyła wyzywająco na mechaników. Nikt nie odezwał się słowem, chociaż kilku wyglądało tak, jakby chciało powiedzieć coś nieprzyzwoitego. Niemiecki sierżant broni pancерnej zdawał się równie niepewny jak jego radzieccy partnerzy.

– Najpierw włóczę się z bandą żydowskich partyzantów, a teraz wstępuję do radzieckiego lotnictwa.

– Powiedział bardziej do siebie niż do Ludmiły.

– Ufam Bogu, że nie znajdzie się to w mojej teczce.

A więc hitlerowcy też bali się swych teczek. Ta myśl sprawiła, że Ludmiła poczuła rodzaj wspólnoty z Schultzem, chociaż nie mogła mu o tym powiedzieć. To, zresztą, nie miało znaczenia. Oboje wiedzieli, że niebezpiecznie jest za dużo mówić. Schultz rozumiał też znaczenie wrogich spojrzeń. Otworzył manierkę, potrząsnął nią i wyciągnął rękę w kierunku mechanika, który spoglądał na niego z największą niechęcią.

– Wódka, ruski, -wódka – powiedział łamanym rosyjskim.

Obliznął wargi.

– Oczen chorocho.

Zaskoczony Rosjanin odkorkował manierkę, powąchał i uśmiechnął się.

– To było sprytne – powiedziała Ludmiła patrząc jak manierka krąży z rąk do rąk. Chwilę potem dodała – twojemu majorowi Jagerowi by się to też spodobało.

– Naprawdę? – uznał jej słowa za pochwałę.

Jego długa, koścista twarz rozjaśniła się, jak chłopcu, który dostał piątkę za wypracowanie

– Ten major, panienko, to jest byczy facet.

– Tak – powiedziała Ludmiła i pomyślała, że to jest jeszcze jedna sprawa, która ich łączy.

Rozdział XIV

Pedałowanie przez Ohio, Indianę i Illinois do Chicago wydawało się dobrym pomysłem, kiedy Jens Larssen zaczynał swoją wyprawę rowerową. Latem w kraju, który nie zaznał inwazji, mogło to być nawet przyjemne. Zimą, myśl, że można ot tak sobie przejechać na rowerze przez tereny okupowane przez jaszczury, wydawała się z minuty na minutę coraz mniej rozsądna. Widział kiedyś kronikę filmową pokazującą na wpół zamrożonych niemieckich żołnierzy schwytanych do niewoli przez Rosjan pod Moskwą. Rosjanie w białych strojach maskujących, na nartach, wyglądali na świetnie przystosowanych do zimowych warunków. Jens widział tak siebie, kiedy myślał o zimowych podróżach. Teraz przypominał raczej jednego z tych przemarzniętych do kości Niemców. Nie miał ubrania odpowiedniego do długiego przebywania na dworze, kiedy temperatura spadała poniżej zera. Zrobił, co mógł wkładając na siebie kilka warstw ubrań, ale niewiele to pomogło; trząsał się z zimna. Była jeszcze jedna rzecz, której nie przewidział: dróg nie odśnieżano i nie posypywano solą. W samochodzie świetnie by sobie dał z tym radę. Samochód był ciężki, szybki, a co najważniejsze, jego plymouth miał ogrzewanie. Rower co chwilę grzązał w śniegu. Jeśli zaś chodzi o lód... Jens nie nadążał już liczyć upadków. Miał szczęście, że niczego sobie nie złamał. A może Bóg rzeczywiście ma miękkie serce dla pijaków, dzieci i cholernych durniów. Jens spojrzał na mapę, którą ukradł na opuszczonej stacji benzynowej. Jeśli był tam, gdzie myślał, to wkrótce wjedzie do wielkiej metropolii o nazwie Fiat – zabitej dechami dziury w stanie Indiana. Udało mu się uśmiechnąć, kiedy to zobaczył na mapie.

– I rzekł Pan Fiat, Indiana – niech się stanie Indiana – i stała się Indiana – wyrecytował.

Przy każdym oddechu z ust wydobywały mu się obłoki pary. Kilka razy, gdy dzień był naprawdę mroźny, w wąsach i brodzie, które zapuszczał osadzały mu się kryształki lodu. Nie widział się w lustrze od dawna; nie wiedział, jak teraz wygląda. Było mu wszystko jedno. Stwierdził, że kradzież żyletki byłaby stratą czasu, a golenie bez lustra i gorącej wody zbyt bolesne, żeby na nie marnować energię. Poza tym, broda grzała mu policzki i podbródek. Żałował, że cały nie porósł futrem. Przez prawie całą podróż na drodze był sam. Nie jeździły samochody i ciężarówki, szczególnie na terenach kontrolowanych przez jaszczury. Pociągów też było niewiele, a w tych, które widział, jechali najeźdźcy z kosmosu. Chciałby mieć biały strój maskujący, żeby go nie zauważyły. Ale kosmici nie zwracali na niego uwagi. Pomyślał, że to jedyny plus wynikający z faktu, że inwazji dokonały istoty spoza Ziemi, a nie hitlerowcy albo żółtki. Jaszczury, w przeciwieństwie do nich, nie wiedziały, co na Ziemi jest normalne. Gestapowiec, gdyby zobaczył samotnego rowerzystę, mógłby chcieć wiedzieć, kto to taki i wydać przez radio rozkaz, żeby podejrzanego zatrzymano i przesłuchano. Dla jaszczurów stanowił po prostu część krajobrazu. Przejechał koło wypalonego wiejskiego domu i kilku poskręcanych wraków samochodów. Warstwa śniegu pokrywała leje po bombach rozsiane po polu. Niedawno musiała tu odbyć się bitwa. Jens zastanawiał się, jak daleko na zachód stanu sięga okupacja jaszczurów i czy łatwo przedostanie się na tereny kontrolowane przez Amerykanów. Często zastanawiał się, czy Chicago nadal jest wolne, czy Barbara jeszcze żyje, czy cała ta jego wyprawa przez śniegi ma jeszcze jakiś sens. Starał się jednak ze wszystkich sił odpędzać od siebie złe myśli. Rozglądał się, osłaniając oczy przed śniegiem. Tak, tam z przodu stały domy – to pewnie Fiat, a jeśli spartaczył nawigację, jakaś inna równie mało interesująca wiocha. Na poboczu drogi spostrzegł małe, ciemne figurki. Myśliwi, pomyślał. W ciężkich czasach liczyło się wszystko, co można było przynieść do spizarni. Jeden jeleni mógł uratować rodzinę przed głodem. Dokładniejsze przyjrzenie się odległym figurkom ostrzegło go, że jego pierwsza myśl była błędna. Myśliwi gatunku ludzkiego tak się nie poruszają. To był patrol jaszczurów. Co gorsza, oni też go dostrzegli. Zboczyli z kursu i

poszli w jego stronę. Przyszło mu do głowy, żeby zeskoczyć z roweru i uciec, ale to był najpewniejszy sposób, żeby dostać kulę. Lepiej udawać, że jest się Bogu ducha winnym wędrowcem. Jeden z jaszczurów pomachał do niego. Odpowiedział tym samym gestem, zatrzymał rower i czekał, aż podejdą. Im byli bliżej, tym żałośniej wyglądali. Zdziwiło go to, jakby było w tym coś niewłaściwego; kosmici nie powinni mieć kłopotów. A przynajmniej nie mieli ich w serialach z Buckiem Rogersem i Flash Gordonem. Tymczasem, były to tylko dwa jaszczury ubrane w błyszczący strój chroniący przed zimnem. Pozostałe wystroiły się w ukradzione ludzkie płaszcze, szaliki, ciepłe spodnie i wysokie buty. Wyglądały jakby zaopatrywały się na wyprzedaży, albo jak banda małych włóczęgów. Mimo tych ubiorów było im zimno. Wyglądali jak Winter Fritz w jaszczurzej skórze. Ten, który machał wyprowadził patrol z pola na drogę.

– Ty, kto? – zapytał Larssena po angielsku. Jego gorący oddech sprawiał, że w powietrzu unosiły się kłęby pary

– Nazywam się Pete Smith – odparł Jens.

Patrole jaszczurów wypytywały go już wcześniej. Nigdy nie podawał swojego prawdziwego nazwiska na wypadek, gdyby udało im się skompletować listę fizyków nuklearnych. Nie podawał też dwa razy takiego samego nazwiska.

– Co ty robić Pete Smith, dlaczego wyjść na dwór?

Jaszczur przekształcił pierwszą literę nazwiska w długie syknięcie.

– Mam zamiar odwiedzić swoich kuzynów. Mieszkają kawałek za Montpellier – powiedział Jens. Miasto, które wymienił znalazł na swojej mapie.

– Ty nie zimno? – zapytał jaszczur.

– Nie zimno na... na ta rzecz?

Najwyraźniej zapomniał słowa rower.

– Oczywiście, że jest mi zimno – odpowiedział Larssen; miał wrażenie, że jaszczur zastrzełby go, gdyby zaprzeczył.

Mając nadzieję, że wygląda na oburzonego, kontynuował.

– Musiałem pojechać na rowerze. Nie mam benzyny do samochodu.

To dotyczyło wszystkich w tych dniach. Nie wspomniał, że jego zepsuty samochód został gdzieś, na wschodzie stanu Ohio. Jaszczury wydawały dźwięki jak maszyny parowe, kiedy ze sobą rozmawiały. Ten, który wypytywał Larssena odezwał się:

– Ty iść z nami. My cię wypytać jeszcze.

– Zrobił gest karabinem, żeby Jens nie miał wątpliwości, co ma robić.

– Ale ja nie chcę! – krzyknął Larssen.

Gdyby jaszczury przeprowadziły poważne przesłuchanie, okazałoby się, że niewiele wie o swoich nieznanach kuzynach mieszkających na zachód od Montpellier. Mogłyby nawet odkryć, że Jens nie ma żadnych kuzynów na zachód od Montpellier. A gdyby tak się stało, zaczęłyby sprawdzać, kim jest naprawdę i dlaczego podróżuje na rowerze przez wschodnią Indianę.

– Nie być ważne, co ty chcieć – rzekł jaszczur.

– Ty iść z nami. Albo ty zostać – wycelował karabin w środek klatki piersiowej Larssena.

Wymowa tego gestu była jasna: jeśli chce tu zostać, to zostanie na wieki. Jaszczur przemówił we własnym języku; chyba tłumaczył swoim przyjaciołom, co powiedział Jensowi. Jaszczury rozwarły szeroko szczęki. Larssen widywał to już tylekroć wcześniej, że domyślał się o co chodzi. One się z niego śmiały.

– Pójdę – powiedział, bo musiał. Jaszczury ustawiły się po obu stronach roweru i poprowadziły go do Fiat.

Miasteczko składało się zaledwie z kilku domów, sklepu wielobranżowego, nieczynnej stacji benzynowej i kościółka przy drodze. Sklep był prawdopodobnie główną przyczyną, dla której miasteczko zaistniało. Dwoje dzieci biegło krzycząc pustym chodnikiem. Ciskały w siebie śnieżkami. Nie obejrzały się nawet, gdy przechodziły jaszczury. Zdażyły się już przyzwyczaić. Dzieci szybko się adaptują, pomyślał Larssen. Żałował, że tego nie potrafi. Jaszczury przekształciły sklep w swoją kwaterę główną. Ostry jak brzytwa drut otaczał budynek. Miał trzymać ludzi z daleka. U wejścia stał przenośny schron. Larssen nie pozazdrościłby człowiekowi pełniącemu w nim wartę. Najeźdźcom z kosmosu musiało być jeszcze zimniej. Kiedy jaszczur otworzył drzwi frontowe do sklepu, gorąco uderzyło Jensa w twarz. Niespodziewanie z zimna wszedł w tropikalny upał. Gruczoły potowe, które jak sądził obudzą się dopiero latem, nagle wróciły do życia. W wełnianym kapeluszu, płaszczu i swetrze poczuł się jak zamrożone danie włożone nagle do piecyka.

– Ach! – powiedziały naraz wszystkie jaszczury. Jak jeden mąż rozebrały się i zaczęły chłonąć ukochane ciepło. Nie protestowały, kiedy Larssen zdjął płaszcz, kapelusz, a w chwilę później, sweter. Nawet w samej koszuli i spodniach było mu za gorąco. Jaszczury paradowały nago, on po raz ostatni obnażył się publicznie, kiedy miał trzynaście lat i pływał w gliniankach. Nie rozebrał się całkowicie. Jaszczur, który mówił po angielsku, podprowadził go do krzesła a sam usiadł po drugiej stronie stojącego obok stołu. Sięgnął ręką i nacisnął guzik w małym urządzeniu, które leżało na blacie. Za szybką w obudowie coś zaczęło wirować. Jens zastanawiał się, do czego to służy.

– Ty kto? – zapytał Jaszczur, jakby go widział po raz pierwszy. Jens powtórzył, że nazywa się Pete Smith.

– Co ty robić?

Jens jeszcze raz opowiedział swoją historyjkę o mitycznych kuzynach na zachód od Montpellier. Jaszczur podniósł inne urządzenie i przemówił do niego. Larssen podskoczył, gdy urządzenie odpowiedziało syczącym głosem. Jaszczur znowu coś powiedział. Rozmawiał z maszyną przez kilka minut. Larssenowi wydawało się na początku, że to jakiś rodzaj radia albo telefonu, ale im dłużej jaszczur rozmawiał, tym bardziej wyglądało na to, że maszyna sama mu odpowiada. Zastanawiał się, co to może być, zwłaszcza że urządzenie wypowiedziało jego nazwisko. Jaszczur zwrócił ku Jensowi jedno ze swych oczu.

– Nie mieć o tobie danych, Pete Smith.

– To mogło oznaczać wyrok.

– Jak ty to wytłumaczyć?

– No cóż, proszę pana, hm... jak pan ma na imię?

– Jestem Gnik – odparł jaszczur.

– Mów do mnie panie zwierzchniku.

– No cóż, panie zwierzchniku Gnik, myślę, że powód, dla którego nie macie o mnie żadnych danych, jest taki, że do tej pory siedziałem sobie na mojej małej farmie i nikogo nie kłopotalem. Gdybym wiedział, że na was trafię, nie wysuwałbym z mej nosa.

– To była najlepsza wymówka, jaką znalazł Larssen. Wytarł sobie czoło rękawem.

– Możliwe – powiedział Gnik neutralnym tonem.

– Ci kuzyni... kto, co oni są?

– To syn brata mojego ojca i jego żona. On nazywa się Olaf Smith, a ona Barbara. Mają dwoje dzieci, Martina i Josephine – wymieniając nazwiska wymyślonych kuzynów, przemknęło mu przez myśl, że zapamięta kto jest kim.

Gnik znowu zagadał do urządzenia, posłuchał przez chwilę i odezwał się:

– Nie ma danych na temat tych Wielkich Brzydali.

Larssen pomyślał, że jest stracony. Ale jaszczur mówił dalej

– Nie mieć jeszcze wszystkie dane. Larssen odetchnął.

– Wkrótce być dzień, mieć tutaj wszystkie dane

Gnik postukał pazurem w gadające pudełko.

– Co to jest? – zapytał Larssen z nadzieją, że jaszczur przestanie go wypytywać o nie istniejących krewnych.

Ale Gnik, chociaż był za niski na uprawianie koszykówki i za mały na piłkę nożną, był też zbyt sprytny, żeby dać się zwieść.

– Ty nie pytać ja. Ja pytać ty.

Jaszczury prawie nie mają wyrazu twarzy, ale to, co pojawiło się na obliczu Gnika, nie spodobało się Larssenowi

– Ty pytać, żeby wyszpiegować sekrety Rasy, tak?

– Tak, pomyślał Jens, ale nie powiedział tego na głos. Nie musiał udawać, że się jąka, kiedy zaczął odpowiadać:

– Nic nie wiem o waszych tajemnicach i nic nie chcę o nich wiedzieć. Po prostu nie widziałem wcześniej pudełka, które rozmawia. To wszystko.

– Tak. Wy Wielkie Brzydale być pry-mi-tyw-ne – Gnik wymówił to słowo z wyraźnym upodobaniem.

Larssen domyślił się, że nauczył się tego wyrazu, żeby dobijać nim zarozumiałych ludzi. Nadal był podejrzliwy.

– Może ty odkrywać sprawy i mówić o nich inne wścibskie Wielkie Brzydale, co?

– Nie wiem nic o wścibskich Wielkich Brzydalach... chciałem powiedzieć, ludziach – powiedział Larssen spostrzegając, że jaszczury mają równie niepochlebne przezwisko na ludzi, jak ludzie na jaszczury.

– Chciałem tylko zobaczyć się z kuzynostwem. Tylko tyle.

Chciał, żeby teraz Gnik wypytał go o Olafa i jego nie istniejącą rodzinę. Jakoś nagle wydało się to bezpieczniejsze niż wyciąganie wiadomości o szpiegach, którzy mogli być bardzo realni.

– Zobaczmy, co z tym być, Pete Smith – powiedział Gnik.

– Ty nie wyjeżdżać z miasta Fiat. My zatrzymać twoja rzecz do podróży tutaj.

Ciągle zapominał, jak powiedzieć rower.

– Zadać ci więcej pytań potem.

– Nie możecie tego zrobić! – zaczął krzyczeć Larssen, ale zamknął usta w pośpiechu.

Gnik mógł zrobić cholernie dużo. Gdyby mu się nie podobał ogólny wygląd Jensa, mógłby go przefasonować na modłę, która bardziej by mu odpowiadała. Strata roweru to naprawdę nie było wielkie zmartwienie. A jednak nie. Wraz z rowerem Jens tracił cenny czas. Ile mu czasu zajmie przedzieranie się przez Indianę w środku zimy? A ile czasu minie, zanim zatrzyma go następny patrol jaszczurów i zacznie zadawać pytania, na które nie ma odpowiedzi? Pewnie niedużo. Chciał zapytać Gnika, gdzie przebiega front w Indianie, ale pomyślał, że byłoby to nierozsądne. Z tego, co wiedział, najeźdźcy zdążyli już podbić cały stan. A nawet gdyby było inaczej, Gnik z pewnością nie odpowiedziałby, za to jego podejrzliwość by wzrosła. Nie mógł jednak pozwolić sobie na odejście bez słowa protestu. Chciał zachować szacunek do siebie samego.

– Nie powinniście mi zabierać roweru, skoro nic wam nie zrobiłem.

– Ty tak mówić, ja nie wiedzieć – odparł Gnik.

– Ty włożyć teraz na siebie swoje ciepłe rzeczy. My zabierać cię do innych Wielkich Brzydali, których my tu trzymać.

Kiedy Jens założył sweter, płaszcz i kapelusz i wyszedł z przegrzanego sklepu, przypomniał sobie, jak będąc dzieckiem wybiegał z dziadkiem z sauny na śnieg. Brakowało tu tylko ojca, który wtedy stał na zewnątrz i chłostał ich brzożowymi miotełkami. Jaszczury nie wyglądały na pobudzone, kiedy opuściły sklep. Im było po prostu zimno. Zabrały go do kościoła. Na zewnątrz budynku stali wartownicy. Kiedy otworzyli drzwi, stwierdził, że temperatura wewnątrz jest znośna. Stwierdził też, że Gnik używał kościoła jako przechowalni dla ludzi, którzy przejeżdżali w okolicach Fiat. Ludzie, którzy siedzieli na ławkach kościelnych, odwrócili się i spojrzeli na niego. Potem zaczęła się rozmowa.

– Patrz, jeszcze jeden nieszczęsny frajer.

– Za co go wsadzili?

– Za co cię zgarnęli, przybyszu?

– Zossstać... tu – powiedział jeden z jaszczurów do Jensa.

Akcent miał fatalny, prawie nie można go było zrozumieć. Potem opuścił kościół. Kiedy drzwi się zatrzasnęły, Larssen zobaczył, jak pędzi wraz z towarzyszami w stronę sklepu, gdzie panowała przyzwoita – ich zdaniem – temperatura.

– Za co cię zgarnęli, przybyszu? – powtórzyła kobieta, która pytała go o to przed chwilą.

Była ciemną blondynką w wieku Jensa. Mogłaby uchodzić za ładną, gdyby nie to, że jej włosy, w których pojawiały się już ciemne odrosty, były koszmarnie potargane. Wyglądało też na to, że od dawna nie zmieniała ubrania. Wszyscy w kościele mieli ten sam niechlujny wygląd. Twarze, które zwróciły się ku Larssenowi były w większości czyste, ale woń unosząca się dokoła, wskazywała na to, że nikt ze zgromadzonych od dawna się nie kąpał. Był pewien, że i on ma w tym swój udział. Od dawna nie widział już kawałka mydła. Kąpiele zimą, przy braku ciepłej wody, wiodły prosto ku zapaleniu płuc, a potem – ku wieczności.

– Cześć ludziska – powiedział.

– Nie wiem, za co mnie wzięli. Oni też chyba nie wiedzą. Jeden z ich patroli natknął się na mnie, jak jechałem na rowerze. Zaraz mnie z sobą wzięli i zaczęli wypytywać. Teraz nie chcą pozwolić, żebym sobie poszedł.

– To podobne do tych małych sukinsynów – powiedziała kobieta.

Nie miała nałożonej szminki, może się jej skończyła, ale jakby w zamian za to, uróżnowała sobie policzki na czerwono. Jej słowa wywołały burzę przekleństw ze strony innych zagnanych do kościoła.

– Tak bym im ścisnął te łuskokóre szyje, aż by im te potworne gały wylazły na wierzch – powiedział mężczyzna z rzadką rudą bródką

– Wsadzić je do klatki i niech je pchły zjedzą – stwierdziła chuda, smagła siwa kobieta.

– Nie mam nic przeciwko temu, żeby nas zbombardowali, pod warunkiem, że jaszczury też by diabli wzięli – dodał gruby, czerwony na twarzy facet.

Te łuskokóre sukinsyny nie pozwalają nam wyjść nawet po to, żeby gdzieś zwędzić papierosa. Larssenowi też bardzo brakowało palenia, ale czerwonogęby mówił tak, jakby był w stanie darować jaszczurom wszystko, włącznie ze zbombardowaniem Waszyngtonu, gdyby pozwoliły mu choć raz się sztachnąć. To wydało się Jensowi przesadą. Przedstawił się jako Pete Smith. Inni podali mu swoje nazwiska. Nie był zbyt dobry w kojarzeniu twarzy i nazwisk. Potrzebował chwili, by zapamiętać, że siwa kobieta ma na imię Marie, a farbowana blondynka Sal, że facet z rudą brodą to Gordon, a mężczyzna o czerwonej twarzy to Rodney. Byli też Fred i Louella, Mort, Roń, Aloysius i Henrietta, żeby nikogo nie pominąć.

– Hej, ciągle są jeszcze wolne ławki – powiedział Rodney.

– Czuj się jak u siebie w domu, Pete.

Larssen rozejrzał się i zauważył, że ludzie wymościли sobie legowiska z ubrań, których nie nosili na sobie. Spanie na twardej ławce kościelnej pod przykryciem z płaszczem nie sprawi, że poczuje się jak w domu, ale nie miał wyboru.

– Gdzie jest męska toaleta? – zapytał.

Wszyscy się roześmieli.

– Nie ma. Damskiej toalety też nie ma – powiedziała Sal.

– I nie ma bieżącej wody. Mamy te... jak one się zwa?

– Kubły – podpowiedział Aloysius.

Nosił farmerski kombinezon z drelichu. Był zapewne przyzwyczajony do takich atrybutów wiejskiego życia. Kubły stały w przedsionku. Jego drzwi były rozmyślnie zamknięte. Larssen wyszedł stamtąd najszybciej jak mógł.

– Mój ojciec miał wygodkę – powiedział. Nigdy nie przypuszczałem, że i ja będę musiał z czegoś takiego korzystać.

– Chciałbym, żeby to była wygodka – rzekł Aloysius.

– Łatwiej się na niej siedzi. Nad kubłem trzeba kucać.

– Co wy tu ludzie robicie, żeby zabić czas? – zapytał Jens.

– Klniemy jaszczury – powiedziała szybko Sal. Wszyscy się z nią zgodzili.

– Opowiadamy kłamstwa – strzeliła w jego stronę okiem.

– Czuję się czasem jak w Hollywood.

Wydało mu się to mało zachęcające. Zastanawiał się, jak długo dziewczyna już tu siedzi.

– Mam talię kart – powiedział Gordon.

– Ale do diabła z takim pokerem bez pieniędzy. Wygrałem z trzy, albo cztery razy milion dolarów, a potem przetrząłem wszystko, bo miałem tylko parę siódemek.

– Znajdzie się czwórka do brydża?

Larssen był zapalonym graczem.

– Nie trzeba mieć pieniędzy, żeby zagrać w brydża.

– Umiem grać – powiedział Gordon.

– Ale myślę, że poker to lepsza gra.

Dwoje innych ludzi przyznało, że i oni potrafią grać w brydża. Z początku Larssen był nieomal szczęśliwy, że został więźniem. Studia i praca nie zostawiały mu wiele czasu na karty. Teraz mógł grać, ile dusza zapragnie bez wyrzutów sumienia. Ale ci, którzy nie umieli grać wyglądali tak ponuro, że jego entuzjazm zbladł. Czy to w porządku zabawiać się samemu, kiedy inni nie mogą? Drzwi do kościoła otworzyły się. Wysoka, chuda kobieta z włosami ściągniętymi w kok i twarzą wyrażającą dezaprobatę postawiła na podłodze pudło z konserwami.

– Tu jest wasza kolacja – powiedziała suchym tonem. Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i wyszła zatrząskując za sobą drzwi.

– Coś ją zjada od środka?

– Zjada; to właściwe słowo – Sal potrząsnęła głową na znak pogardy.

Mówi, że objadamy ludzi, którzy mieszkają w tym nieszczęsnym miasteczku. Tak, jakbyśmy prosili, żeby nas tu zamknięto!

– Zauważyłeś, że karmią nas żarciem z puszek – dodał Rodney. Jego twarz pociemniała z gniewu.

– Tu, w okolicy, są tylko farmy, ale całą świeżą żywność zachowują dla siebie. Nie dostaliśmy ani kawałka.

Zabrakło łyżek; kobieta z miasteczka albo nie zauważyła, że przybył nowy, albo ją to nie obchodziło. Jens skorzystał z czyjejś łyżki, opłukał ją w zimnej wodzie i wytarł o spodnie. Od czasu, gdy opuścił White Sulphur Springs bardzo zaniedbał higienę, ale to już było dno. Żuł pozbawioną smaku wołowinę z puszki i zastanawiał się, co też jedzą teraz w Chicago. Czy w ogóle mają co jeść. Dokładniej rzecz biorąc, martwił się o Barbarę. W spokojnie wegetującym pod okupacją Fiat mieszkało kilkuset ludzi. W Chicago, które prowadziło walkę z jaszczurami – trzy miliony. Wszystkich ich trzeba było wyżywić. Żałował, że wybrał się do Waszyngtonu. Kiedy wyjeżdżał zdawało mu się, że zostawia żonę w bezpiecznym miejscu, a sam naraża się na niebezpieczeństwo. Jak większość Amerykanów poniżej dziewięćdziesiątego roku życia myślał, że wojna nawiedza tylko biedne, odległe kraje. Nie przewidział wszystkich skutków wojny na jego ojczystej ziemi. Kiedy kończył wołowinę, zdarzyło się coś dziwnego. Do kościoła wszedł jaszczur i zajrzał do pudła, które przyniosła chuda kobieta. Podniósł wzrok z wyraźnym rozczarowaniem i wysyczał coś, czego Larssen nie rozumiał. Ale zrozumieli to ludzie, którzy dłużej od niego siedzieli w kościele.

– Przykro mi – powiedziała Marie.

– Tym razem nie ma rajskich jabłuszek. Jaszczur wydał smutne syknięcie i wymknął się na dwór.

– Rajskie jabłuszka? – zapytał Larssen.

– Po co jaszczurowi rajskie jabłuszka?

– Żeby je zjeść, – powiedziała Sal.

– Wiesz, takie z przyprawami, w słoikach; te które podaje się do szynki na Boże Narodzenie. Jaszczury dostają szału na ich widok. Za rajskie jabłuszka oddałyby ci ostatnią rzecz, którą mają. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Odparł Larssen.

– Rajskie jabłuszka, cóż to za dziwactwo.

– Herbatniki imbirowe też. – Wtrącił Gordon.

– Widziałem, jak dwa jaszczury mało nie wdały się w bójkę o pudełeczko herbatników imbirowych.

– Same wyglądają jak ludziki z piernika, prawda? A ta farba, którą są pomalowane wygląda jak lukier.

Chyba po raz pierwszy w swojej historii w kościele baptystów rozległ się chóralny śpiew:

– Uciekaj, uciekaj, ludziku z piernika.

Śmiejąc się więźniowie, jeden po drugim układali własne zwrotki. Niektóre były śmieszne, inne obsceniczne, jeszcze inne – te najlepsze – i śmieszne i obsceniczne.

– Wyburzyłem miasta wam, rajskie jabłka zjadłem sam! – zaśpiewał Jens.

Wiedział, że to nie najlepsza rymowanka, ale chórek podjął refren:

– Uciekaj, uciekaj, ludziku z piernika. Kiedy śpiewy ucichły, Sal powiedziała:

– Mam nadzieję, że ta zaszuszone jędza, która przynosi jedzenie, słucha tego. Pewnie myśli, że zabawa, szczególnie zabawa w kościele jest grzechem.

– Jeśli ma chody, to jaszczury zastrzelą nas za tę zabawę – ostrzegał Mort. Sal zachichotała:

– Po pierwsze, jaszczurów nie obchodzą jej życzenia. Po drugie, ona nie wie o co tutaj chodzi.

– Sami musimy się rozerwać – stwierdził Aloysius.

– Nikt tego za nas nie robi. Dopiero teraz, kiedy nie mam radia, wiem, jak je lubiłem.

– Prawda, zgadza się – powiedziało kilkoro ludzi, jakby mówili amen po modlitwie pastora.

Kończył się krótki zimowy dzień. W kościele zapanowały ciemności. Rodney podszedł do pudła, które przyniosła kobieta.

- Niech ją diabli – przeklął głośno.
- Miała nam przynieść więcej świec.
- Musimy się obyć bez nich – stwierdziła Marie.
- Nie ma co narzekać. Jakoś damy sobie radę, chyba, że zużyjemy cały węgiel do piecyka.
- A jak to już zrobimy – rzekł Aloysius – to zamarzniemy na kość i nie będziemy cuchnąć dopóki nas nie pochowają.

Zaległo milczenie. Larssen siedział otulony płaszczem i myślał o roli ognia w życiu człowieka, był ważny nie tylko dlatego, że ogrzewał jaskinie neandertalczyków, ale także z tego powodu, że je oświetlał. Człowiek z pochodnią mógł się nie bać ciemności. Wiedział, że ogień oświetli każde niebezpieczeństwo czające się w mroku. Potem elektryczność całkowicie przegnała ciemność nocy. Teraz okazało się, że atawistyczne lęki nie ustąpiły. Ukryte głęboko ujawniały się, gdy tylko zabrakło światła. Potrzęsął głową. Najlepszym sposobem na zwalczanie nocnych strachów był sen. Aktywne w dzień zwierzęta, w nocy śpią, chowają się w zacisznej kryjówce, żeby nic niebezpiecznego nie mogło ich spotkać. Wyciągnął się na twardej ławce. Niełatwo przyjdzie mu zasnąć. Szamotał się, przewracał, kręcił, raz mało nie spadł na podłogę, wreszcie udało mu się zasnąć. Kiedy się obudził, znowu był bliski upadku z ławki. Przez chwilę nie pamiętał, gdzie się znajduje. Popatrzył na zegarek. Na fosforyzującym cyferblacie było wpół do drugiej. W kościele panowały absolutne ciemności, ale nie było całkowitej ciszy. Potrzebował kilku sekund, żeby rozpoznać odgłosy dochodzące z ławki stojącej kilka rzędów za nim. Uszy mu zapłonęły; miał wrażenie, że świecą jak zegarek. Tego nie powinno się robić w kościele! Próbował usiąść, żeby zobaczyć, kto się pieprzy na kościelnej ławce, ale zrezygnował z tego zamiaru. Po pierwsze było za ciemno, a po drugie, co go to obchodzi? Szok, którego doznał, wynikał z luterańskiego wychowania, jakie odebrał na Środkowym Zachodzie. Po chwili pomyślał, że większość tych ludzi jest tu już zapewne od dawna; nie mają dokąd pójść, żeby się pokochać. Znowu się położył. Ale sen nie wracał. Samo sapanie, jęki, czułe słówka i skrzypienie ławki wystarczyło, żeby nie móc zasnąć. Kiedy tego słuchał, uświadomił sobie, jak dawno temu ostatni raz był z Barbarą. W czasie wędrówki i błądzenia po wschodniej części Stanów Zjednoczonych nawet nie spojrzał na kobietę. Pomyślał kwaśno, że tak długie pedałowanie stępiło w nim pewną naturalną potrzebę. Poza tym – było zimno. Ale gdyby Sal, albo inna z kobiet w kościele zrobiły do niego oko, ściągnąłby spodnie bez wahania. Potem myślał, jak daje sobie z tym radę Barbara. Nie było go już bardzo długo. Znacznie dłużej, niż przewidywał, gdy wybierał się w podróż swoim nieodżałowanym plymouthem. Mogła sądzić, że nie żyje; myśl że to ona może być już martwa, odrzucił z całą stanowczością. Nigdy nie wyobrażał sobie, że będzie się niepokoił o jej wierność. Ale też nigdy nie niepokoił się o to, czy sam dochowa jej wiary. Noc w kościele, na twardej, zimnej ławce; to nie był dobry czas ani miejsce na takie rozmyślenia. A jednak myślał o tym. I przez długi czas nie mógł zasnąć.

– Więc – powiedział Zolraag. Mosze Rusie wiedział, że jaszczury mają syczący akcent, ale mimo to wyczuł w tym słowie groźbę.

– Więc, Herr Rusie, nie będziesz więcej prowadził audycji? Tak wygląda wasza – jakie jest to słowo w Deutsch? – wasza wdzięczność?

– Wdzięczność to właściwe słowo, ekscelencjo – rzekł Rusie z westchnieniem. Wiedział, że ten dzień nadejdzie. I nadszedł.

– Ekscelencjo, każdy Żyd w Warszawie jest wdzięczny Rasie za wybawienie nas od Niemców. Gdybyście nie przybyli, do tej pory mogłoby już nas nie być. To mówiłem przez radio i jestem w stanie to powtórzyć. Jaszczury pokazały mu obóz śmierci w Treblince. Zademontrowały mu też znacznie większy obóz w Oświęcimiu, Niemcy nazywali go Auschwitz, który dopiero zaczynał

działać, kiedy przybyły. Oba miejsca były gorsze, niż wyobrażał sobie w najstraszniejszych snach. Ośrodki eksterminacji ludności krajów podbitych przez III Rzeszę, miejsca masowej zagłady Żydów...

– Jeśli jesteście wdzięczni – powiedział Zolraag – to okażcie to, współpracując z nami.

– Myślałem, że jestem twoim przyjacielem, a nie niewolnikiem – odparł Rusie.

– Jeśli chcesz, żebym powtarzał to, co mi powiesz, to lepiej poszukaj sobie papugi. Kilka pewnie zostało w Warszawie. Wyzwanie straciło na ostrości, bo musiał wyjaśniać, co to jest papuga. Jaszczur chwilę pomyślał zanim zrozumiał o co chodzi.

– Jedno z tych zwierząt mogłoby zatem powtórzyć nasze słowa światu? To da się zrobić?

Wyglądało na to, że jest zaskoczony. Być może, na rodzimej planecie nie mieli zwierząt, które można nauczyć mówić. Był też podekscytowany.

– Czy wy, Tosewici, słuchalibyście takiego zwierzęcia?

Rusiego kusilo, żeby odpowiedzieć twierdząco: niech jaszczury zrobią z siebie pośmiewisko, ale postanowił powiedzieć prawdę, to przynajmniej należy się istotom, które uratowały jego lud od śmierci.

– Ekscelencjo, ludzie słuchają papug dla rozrywki, nie biorą tego poważnie.

– Ach – głos Zolraaga wyrażał żal. Jaszczur w ogóle wyglądał na przygnębionego. Jego biuro było tak silnie nagrzane, że Rusie ledwie mógł wytrzymać, a mimo to gubernator miał na sobie ciepłe ubranie.

– Wiesz, że nasze studio radiowe zostało naprawione po zniszczeniach jakich dokonali najeźdźcy Deutsch?

– Tak

Rusie wiedział też, że najeźdźcami byli Żydzi, a nie hitlerowcy. Był zadowolony, że jaszczury nie domyślały się tego.

– Jesteś teraz zdrowy – kontynuował Zolraag.

– Tak – powtórzył Mosze.

Niespodziewanie, gubernator zaczął mu przypominać rabina tłumaczącego fragment Talmudu: to jest tak, a tamto jest tak, zatem... Rusiemu nie podobało się owo zatem, które zaraz miał usłyszeć.

– Nie stanę przed mikrofonem i nie podziękuję Rasie za zniszczenie Waszyngtonu. Wreszcie wypowiedziane zostały słowa, których tak długo starał się uniknąć. Poczul lodowaty chłód, mimo że pokój był przegrzany. Był zdany na łaskę i niełaskę jaszczurów, tak jak wcześniej – wraz z wszystkimi warszawskimi Żydami – na łaskę i niełaskę Niemców. Jeden gest gubernatora i Ryfka zostanie wdową. Zolraag nie wykonał jednak żadnego gestu.

– Nie rozumiem twojego problemu – powiedział. Nie miał obiekcji, gdy chodziło o zbombardowanie Berlina. Jak jedno bombardowanie różni się od drugiego?

– Różnica była oczywista – ale nie dla jaszczurów.

Jeśli spojrzano się na to bez zaangażowania emocjonalnego, trudno było stwierdzić różnicę. Wśród Niemców spopielenych w Berlinie były kobiety, dzieci, starcy, nie wszyscy z nich byli zwolennikami reżimu. Ich śmierć była równie przerażająca jak śmierć tych, którzy zginęli w Waszyngtonie. Ale reżim hitlerowski był tak okrutny i bezlitosny, że nikt – a już na pewno nie Rusie – nie mógł tego oceniać bez emocji.

– Wiesz, co robili Niemcy – powiedział.

– Chcieli zniewolić albo zabić wszystkich swoich sąsiadów.

– Tak, jak wy pomyślał. Wolał jednak nie mówić tego na głos.

– Tymczasem Stany Zjednoczone to kraj, w którym ludzie zawsze mieli więcej wolności niż

gdzie indziej.

– Co to jest wolność? – zapytał Zolraag.

– Dlaczego ją tak cenicie?

Przez myśl Rusiego przemknął cytat z Pisma Świętego: „I rzekł Piłat: co jest prawda?” W przeciwieństwie do Rzymianina, Zolraag chciał uzyskać poważną odpowiedź. To zasmuciło Rusiego. Będzie rozmawiał jak ze ślepym o kolorach, Niemniej, musiał spróbować.

– Ludzie wolni mogą myśleć co chcą, wierzyć w co chcą i robić co chcą, chyba, że szkodzi to bliźnim.

– Wszystko to będziecie mieli pod dobroczynnymi rządami Rasy.

– A jednak Zolraag nie rozróżniał kolorów.

– Ale my nie chcemy być rządzeni przez Rasę – odparł Rusie.

– Jedną z cech wolności jest to, że możemy wybierać swoich przywódców, władców, którzy nie zostali nam narzuceni.

– Jeśli będziecie mieli pozostałe wolności, to po co wam ta dodatkowa?

Chociaż Zolraag i Mosze używali tej samej mieszanki słów jaszczurzych i niemieckich, mówili dwoma różnymi językami.

– Jeśli nie możemy wybierać przywódców, to inne wolności są zaledwie tolerowane, nie są wtedy naprawdę wolnościami.

– My Żydzi wiemy, jak szybko władca może odbierać wolność według swego kaprysu.

– Nadal nie odpowiedziałeś na moje pierwsze pytanie – stwierdził gubernator.

– Jak mogłeś wybaczyć nam zniszczenie Berlina i potępić nas za zbombardowanie Waszyngtonu?

– Bo ze wszystkich krajów na Ziemi, ekscelencjo, Niemcy, mają najmniej wolności i kiedy przybyliście, starali się odebrać wolność innym. Dlatego większość krajów – cesarstw, jak wy je nazywacie, choć najczęściej nie są to cesarstwa – połączyło swoje wysiłki w walce przeciwko Niemcom. Stany Zjednoczone mają więcej wolności niż inne kraje. Niszcząc Berlin pomogliście sprawie wolności, niszcząc Waszyngton, zaszkodziliście jej.

Rusie rozłożył ręce.

– Czy ekscelencja rozumie, to co staram się wyjaśnić?

Zolraag wydał dźwięk jak przeciekający samowar.

– Wy, Tosewici, nie jesteście w stanie pogodzić się w sprawach politycznych. Jak ja mam je pojąć? Ale przecież słyszałem, że Deutsche wybrali tego – jak on się nazywa?

– Hitlera, sami w ten bezsensowny sposób, który tak cenicie. Jak to ma się do tego, co mówisz o wolności?

– W żaden sposób, ekscelencjo.

Rusie spuścił wzrok. Żałował, że jaszczur wiedział, w jaki sposób hitlerowcy doszli do władzy.

– Nie twierdzę, że nasze systemy, czy rządy są bez zarzutu. Chodzi o to, że większość ludów wyciąga z wolności korzyści. Tylko niektóre jej nadużywają.

– Jest inaczej – stwierdził Zolraag.

– Rasa i podporządkowane jej gatunki przez wiele tysięcy lat prosperowały pod władzą cesarzy i nikt nawet nie pomyślał o tym, żeby wybierać swoich władców, czy robić inne głupstwa, o których mówisz.

– Odpowiem na to dwojako – rzekł Mosze.

– Po pierwsze, jeszcze nie próbowaliście rządzić ludźmi...

– Po tych krótkich doświadczeniach mogę powiedzieć, że jestem bardzo z tego zadowolony –

wtrącił Zolraag.

– Ludzkość byłaby bardzo rada, żebyście nie mieli i tych krótkich doświadczeń – odparł Rusie. Powiedział to cichym głosem, bo wiedział, że gdyby nie przybycie jaszczurów, jego lud zostałby zgładzony. Spróbował innej argumentacji:

– Jak podobałoby się to, co powiedziałaś podporządkowanym wam rasom?

– Sądzę, że zgodziłyby się ze mną – powiedział Zolraag.

– Nie mogą zaprzeczyć, że życie pod naszymi rządami poprawiło im się w porównaniu z tym, co miały, gdy grzęzły w barbarzyństwie, co wy, jak sądę, nazwalibyście wolnością.

– Jeśli tak bardzo was lubią, to dlaczego nie przywieźliście żadnego z nich na Ziemię?

Rusie starał się dowieść, że gubernator kłamie. Niemcy nie mieli kłopotów w werbowaniu sił bezpieczeństwa wśród podbitych narodów. Jeśli jaszczury robiłyby tak samo, to dlaczego nie używały swoich poddanych do pomocy przy podboju, a przynajmniej do funkcji policyjnych na Ziemi?

– Administracja i żołnierze imperium wywodzą się tylko spośród członków Rasy – odparł Zolraag.

– Tak jest po części ze względu na tradycję datującą się z czasów, kiedy Rasa była jedynym gatunkiem zamieszkującym cesarstwo... ale wy Tosewici za nic macie tradycję. Rusie chciał się na to obruszyć. Należał przecież do ludu, którego tradycja sięgała trzech tysięcy lat, ale pomyślał, że dla Zolraaga trzy tysiące lat, to jak lato ubiegłego roku, rzecz nie warta wspomnienia, jeśli się rozmawia o dawnych czasach.

– Nie zaprzeczam, że drugim względem jest bezpieczeństwo rządów Rasy – kontynuował gubernator.

– Powinieneś czuć się zaszczycony, że pozwoliliśmy ci uczestniczyć w naszych wysiłkach dążących do spacyfikowania Tosev 3. Taki przywilej nie zostałby przyznany Rabotewitom ani Hallessjanom, zapewniam cię. Tym niemniej, członkowie ras poddanych mają pełną wolność w dziedzinach, które nie dotyczą rządzenia i bezpieczeństwa imperium.

– Nie używamy słowa wolność w tym samym znaczeniu – powiedział Rusie.

– Gdybym nie był dla was użyteczny, to na pewno nie zaszczyciłibyście mnie takim przywilejem.

Ostatniemu słowu nadał ironiczny wyraz. Zolraag powiedział właśnie to, że kiedy jaszczury przyłączą Ziemię do swojego cesarstwa, ludzie będą mogli zostać drwalami albo nosić wodę i nigdy nie będzie im wolno wypowiadać się we własnych sprawach.

– Masz bez wątplenia rację, Herr Rusie – stwierdził Zolraag.

– Proponuję, żebyś przemyślał naszą rozmowę, wyciągnął korzyści z szansy, która ci się nadarzyła i zaprzestał głupiego oporu przeciwko naszej dominacji.

Ironia w stosunku do niego była równie bezużyteczna jak niemieckie działa przeciwpancerne wobec czołgów jaszczurów.

– Nie mogę uczynić tego, co chcesz nie tylko ze względu na poczucie własnej godności, ale także dlatego, że żaden człowiek, który usłyszałby jak was chwale za zniszczenie Waszyngtonu nie wzięłby nigdy więcej moich słów na serio.

– Jak do tej pory byłeś dla nas użyteczny, więc dawałem ci wiele szans na zmianę postawy: prawdopodobnie więcej niż powinienem. Ale teraz nie dam ci następnej szansy. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Tak. Możesz ze mną zrobić co chcesz. Nie powiem tego, czego ode mnie wymagasz

Rusie zwilżył językiem suche wargi. Miał nadzieję – podobnie jak w czasach, kiedy panowali tu

Niemcy – że zdoła wytrzymać wszystko, co jaszczury mu uczynią.

– Nic ci nie zrobimy, Herr Rusie – powiedział Zolraag.

Bezpośrednie zastraszanie okazało się na tym świecie mniej skuteczne, niż życzylibyśmy tego sobie.

Rusie wpatrywał się w niego, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Ale gubernator nie skończył jeszcze.

– Badania odkryły jeszcze jedną taktykę, która może się okazać przydatna. Jak powiedziałem, osobiście nie ucierpisz za odmowę. Ale nasze represje spadną na samicę, z którą jesteś związany i na twoje pisklę. Mam nadzieję, że teraz zmienisz zdanie.

Mosze nadal przyglądał się Zolraagowi. Nie tyle był zaskoczony, co bardzo rozczarowany.

– A ja wam pomogłem przegnać Niemców z Warszawy! – powiedział wreszcie.

– Niemcy rzeczywiście zostali wyparci z tego miasta, a ty nam w tym pomogłeś.

Zolraag najwyraźniej kompletnie nie rozumiał intencji Moszego.

– Potrzebna nam twoja dalsza pomoc w przekonaniu twych ziomków Tosewitów o słuszności naszej sprawy.

Słowa gubernatora pozbawione były ironii. Przynajmniej Rusie jej nie zauważył. Ale nawet hitlerowiec nie wspomniałby o słuszności swojej sprawy zaraz po tym, jak zagroził życiu kobiety i dziecka. Obcy, pomyślał Rusie. Do tej pory nie pojmował do końca znaczenia tego słowa. Chciał wykazać Zolraagowi błędy w rozumowaniu jakby był rabinem korygującym młodego studenta jeszybotu. Robił tak w pierwszych dniach po przybyciu jaszczurów. Potem nauczył się dyskrecji – a teraz jego zachowanie okazało się groźne nie tylko dla niego samego, ale również dla Ryfki i Reubena. Trzeba zatem zachować spokój.

– Nie dajesz mi łatwego wyboru – powiedział.

– Zmusił mnie do tego kroku brak współpracy z twojej strony – odparł Zolraag.

– Chcesz, żebym zdradził wszystko to, w co wierzę – rzekł Rusie. To była prawda.

– Daj mi, proszę kilka dni do namysłu. Tym razem nie wystarczy zachorować. Był tego pewien.

– Proszę cię tylko o to, żebyś nadal współpracował z nami dla dobra naszej sprawy

Rusie coraz bardziej uważał na to, co mówi, a Zolraag był coraz bardziej podejrzliwy w stosunku do tego, co słyszy.

– Dlaczego potrzebny ci czas do namysłu? Gubernator powiedział coś we własnym języku do urzędnika stojącego na biurku. To nie był telefon, ale Mosze usłyszał odpowiedź. Czasem wydawało mu się, że ta maszyna myśli za Zolraaga.

– Nasze badania dowodzą, że groźba pod adresem rodziny tosewickiej jest prawdopodobnie najbardziej efektywnym sposobem na wymuszenie posłuszeństwa – podsumował gubernator. Rusiego uderzył ton tej wypowiedzi.

– Czy nie jest tak samo z członkami Rasy? – zapytał z nadzieją, że Zolraag przestanie myśleć o tym, dlaczego Rusiemu potrzebny jest czas na zastanowienie. Podstęp zadziałał, przynajmniej na jakiś czas. Gubernator wydał prawie ludzkie parsknięcie; jego szczęki rozwarły się ze śmiechu.

– Raczej nie, Herr Rusie. W naszym gatunku łączenie się w pary następuje w trakcie sezonu rui pod wpływem zapachu, jaki wtedy wydzielają samice. To one wysiadują i wychowują potomstwo – taka jest ich życiowa rola – ale nie znamy stałych rodzin, takich jakie macie wy, Tosewici. To byłoby niemożliwe, bo ojcostwo jest rzeczą bardzo niepewną. A zatem wszystkie jaszczury były skurwysynami w dosłownym tego słowa znaczeniu.

Moszemu spodobała się ta uwaga, szczególnie teraz, kiedy Zolraag groził jego rodzinie.

– Czy to dotyczy również waszego cesarza? – zapytał. Zolraag opuścił oczy na dźwięk tytułu

cesarskiego.

Oczywiście, że nie, ty głupi Tosewito. Cesarz ma samice zarezerwowane wyłącznie dla siebie, więc jego linia może być kontynuowana. Tak jest od ponad tysiąca pokoleń. Tak będzie zawsze. Harem, pomyślał Rusie. Po tym, co teraz usłyszał powinien jeszcze bardziej gardzić jaszczurami, ale jakoś nie mógł się na to zdobyć. Zolraag mówił o cesarzu z takim szacunkiem, jak pobożny Żyd o Bogu. Jeśli tradycja jest tam tak głęboko zakorzeniona w przeszłości, to nic dziwnego, że dla Zolraaga to, co nadejdzie, jest prostą kontynuacją tego, co było.

Gubernator wrócił do pytania, które postawił wcześniej:

– Czy nadal będziesz się wahał, jeśli twoją rodzinę uczynimy zakładnikiem twojego posłuszeństwa? To przeczyłoby wynikom naszych badań.

Jakich badań, zdziwił się w duchu Rusie. Tak naprawdę, to niczego nie chciał o nich wiedzieć; to niewinne słowo ukrywało zapewne cierpienie, myśli których nie byłby w stanie spokojnie znieść. Jaszczury czyniły z ludźmi co chciały, nie dbając o konsekwencje. Były w tym bardzo podobne do hitlerowców. Cała ludzkość była dla nich tym, czym Żydzi dla Niemców. Powinienem to zrozumieć wcześniej, pomyślał Rusie. Nie winił się jednak za to, co do tej pory robił. Wtedy ginął jego lud, a on pomógł w jego ratowaniu. Jak to się często zdarza, proste rozwiązanie jednego problemu stało się zaczątkiem nowego, poważniejszego.

– Proszę mi odpowiedzieć, Herr Rusie – zażądał ostrym głosem Zolraag.

– Jak mógłbym teraz odpowiedzieć? – stwierdził wzburzony Rusie.

– Postawiłeś mnie przed nie lada dylematem. Muszę mieć czas do namysłu.

– Daję ci jeden dzień – powiedział gubernator, jakby czynił wielkie ustępstwo.

– Gdy ten czas minie, nie będę miał cierpliwości dla zwłoki.

– Tak, ekscelencjo. Dziękuję ekscelencjo.

Rusie wypadł z biura zanim Zolraag pomyślał, żeby przydzielić mu dwóch wartowników. Rusie musiał przyznać, że jaszczury były mniej skrupulatnymi okupantami od hitlerowców. Co mam teraz zrobić, myślał. Jeśli pochwalę jaszczury za zbombardowanie Waszyngtonu, to dostanę kulkę od podziemia. Jeśli nie pochwalę... Pomyślał o samobójstwie. To pozwoliłoby mu ominąć żądania Zolraaga i uratować życie żony i syna. Ale nie chciał umierać; przeżył już za dużo, żeby szafować własnym życiem. Schwyciłby się każdej możliwości, gdyby mu się nadarzyła. Nogi same zniosły go do Mordechaja Anielewicza. Tylko on mógł mu pomóc. O ile to było tylko możliwe. Ubrojeni wartownicy przed wejściem nie stanęli na baczność na jego widok, ale okazali mu szacunek swoją postawą. Nie miał kłopotu z dotarciem do Anielewicza. Przywódca bojowców podniósł wzrok i zapytał

– Czym ci groził jaszczur?

– Nie mnie groził, tylko mojej rodzinie.

Rusie streścił rozmowę z Zolraagem. Anielewicz zaklął.

– Chodźmy na spacer, rebe Mosze. Mam wrażenie, że słyszą tutaj każde moje słowo.

– W porządku.

Rusie znowu wyszedł na ulicę. Tej zimy, Warszawa, nawet poza gettem, była przygnębiająco brudna. Dym z kominów wisiał nad miastem. Sadza opadała na śnieg. Drzewa, latem piękne i zielone, teraz wyciągały gołe ramiona ku niebu. Rusie pomyślał, że gałęzie wyglądają jak ramiona kościotrupa. Wszędzie wokół leżały sterty gruzu i śmieci. Jak mrówki roili się na nich Polacy i Żydzi. Ludzie starali się znaleźć coś, co mogłoby im się przydać.

– Więc – rzekł ostro Anielewicz.

– Co zamierzasz zrobić?

– Nie wiem, nie wiem. Spodziewaliśmy się, że to nastąpi, ale sądziłem, że to uderzy tylko we mnie, a nie w Ryfkę i Reubena.

Rusie zakotłosał się na piętach jakby modlił się o powodzenie w straconej sprawie. Anielewicz opuścił oczy.

– Uczą się. Nie są głupi tylko naiwni. W porządku, przejdźmy do sprawy: czy chcesz zniknąć, czy chcesz, żeby rodzina zniknęła z tobą, czy oddzielnie? Jestem przygotowany na każdy wypadek, ale muszę wiedzieć, co by ci bardziej odpowiadało.

– Najbardziej by mi odpowiadało – odparł Rusie – gdyby to jaszczury zniknęły.

– Ha – Anielewicza wcale to nie rozśmieszyło.

– Pożerał nas wilk, więc wezwaliśmy tygrysa. Tygrys nas teraz nie pożera, ale jesteśmy jadalni, więc i on nie jest dla nas pożądanym sąsiadem.

– Sąsiadem? Chyba chciałeś powiedzieć – panem. I zje moją rodzinę, o ile nie rzucę mu się w paszczę – powiedział Rusie.

– Już zaproponowałem ci wyjście. Możesz tego nie robić.

– Nie mogę tak po prostu zniknąć – powiedział niechętnie Rusie. Niczego bardziej nie pragnął.

– Zolraag wybierze wtedy spośród nas kogoś innego i każe mu mówić do mikrofonu. Kiedy tu zostanę, będę jak wyrzut sumienia dla każdego, kto by się tego podjął i dla samego Zolraaga, choć on nie dba o wyrzuty sumienia rodzaju ludzkiego. Ale zabierze Ryfkę i Reubena...

– To da się zrobić. Ale mam pewien pomysł – Anielewicz zasępił się myśląc nad jakimś planem.

– Twoja żona umie czytać, prawda?

– Tak, oczywiście.

– To dobrze. Napisz jej wszystko o ucieczce. Idę o zakład, że jaszczury podsłuchują wszystko, co mówi się w twoim mieszkaniu. Ja bym wiedział, jak to zrobić, gdybym był w ich skórze. Na głos powiesz jej, że wybieracie się we trójkę na zakupy na rynek, albo na. Gęsią. Dwie godziny później wyjdziecie. Powiedz, żeby włożyła wyróżniające ją nakrycie głowy.

– Co się stanie później? Przywódca bojowców z widocznym poirytowaniem wyjaśniał:

– Rebe Mosze, im mniej wiesz, tym mniej mogą z ciebie wydobyć. Nawet, jeśli się dowiesz, co zrobimy, to i tak nie będziesz wiedział wszystkiego. To jest najlepszy sposób, wierz mi.

– W porządku, Mordechaju – Rusie popatrzył na towarzysza spaceru.

– Mam nadzieję, że nie narażasz się na niebezpieczeństwo z mojego powodu.

– Życie to ruletka – czy nie nauczyliśmy się tego w ciągu ostatnich kilku lat?

Anielewicz wzruszył ramionami.

– Wcześniej, czy później przegrywa się, ale są chwile, kiedy trzeba obstawić numer. Idź i zrób, co ci powiedziałem. Ciesz się, że sam nie chcesz się ukrywać. Potrzebujemy cię. Jesteś naszym sumieniem.

Mosze czuł się jak wyrzut sumienia, kiedy wracał do domu. Po drodze zatrzymał się na chwilę, żeby napisać notatkę do żony. Włożył kartkę do kieszeni i zaczął myśleć, czy rzeczywiście będzie musiał jej użyć. Kiedy skręcił za róg zobaczył dwóch jaszczurzych wartowników stojących przy wejściu do jego domu. Wczoraj ich jeszcze nie było. Wyrzuty sumienia wyparowały. Zrobi, co będzie musiał, żeby uratować swoją rodzinę. Jaszczury obrzuciły go wzrokiem kiedy się zbliżył.

– Ty być... Rusie? – zapytał jeden z nich łamaną niemieczyzną.

– Tak – warknął i przepchnął się między nimi. Przeszedł dwa kroki i pomyślał, czy nie byłoby lepiej skłamać. Jaszczury miały kłopot z rozróżnianiem ludzi, tak jak on nie potrafił rozróżnić jaszczurów. Tupał gniewnie, gdy wchodził na górę. Może zmarnował szansę?

– Co się stało? – zapytała Ryfka mrużąc oczy, kiedy zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Nic – odparł lekkim tonem, na jaki go tylko było stać. Czujni podwładni Zolraaga mogli przecież słuchać.

– Może po południu wybierzemy się z Reubenem na zakupy? Zobaczymy, co sprzedają na Gęsiej.

Żona popatrzyła na niego, jakby nagle zwariował. Nienawidził robienia zakupów, a ponadto jego wesoły ton nie pasował do trzaskania drzwiami, kiedy wchodził do mieszkania. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, wyciągnął kartkę i dał jej do przeczytania.

– Co się...? – zaczęła, ale umilkła, gdy zaczął gwałtownie uciszać ją gestami.

Oczy rozszerzyły się jej, kiedy przeczytała informację. Okazała się świetną aktorką:

– W porządku, wychodzimy – powiedziała wesoło.

Tymczasem jej wzrok wędrował po całym mieszkaniu w poszukiwaniu mikrofonów, przed którymi ostrzegł ją Mosze. Gdybyśmy mogli je tak łatwo dostrzec, nie stanowiłyby zagrożenia, pomyślał.

– Jak będziemy wychodzić, to może włożysz tę nową szarą futrzaną czapkę, którą ci kupiłem? Tak ładnie pasuje do twoich oczu.

Jednocześnie energicznie kiwał głową, żeby dać jej do zrozumienia, że koniecznie powinna to zrobić.

– Włożę. Przyniosę ją teraz, żeby nie zapomnieć – powiedziała i dodała przez ramię – częściej powinieneś mówić mi takie rzeczy.

Mosze poczuł się winny, mimo że słowa te miały raczej zwieść jaszczury niż stanowić wymówkę pod jego adresem. Przyniosła czapkę z nausznikami, która kiedyś należała do żołnierza Armii Czerwonej. Nie była kobieca, ale za to ciepła, co bardzo liczyło się w mieście, w którym niedługo zabraknie opału. I naprawdę pasowała do jej oczu. Porozmawiali, żeby zabić czas. Anielewicz kazał im poczekać dwie godziny. Potem Ryfka zapięła płaszcz, ubrała Reubena w kilka warstw ciepłej odzieży; chłopczyk piszczał z uciechy na wiadomość o wyjściu na dwór, i opuściła mieszkanie razem z Mosze. Ledwie wyszli, zaczęła pytać:

– O co w tym wszystkim chodzi? Dlaczego my...

Kiedy szli po schodach wytłumaczył jej wszystko, czego nie było na kartce.

– Więc ulotnicie się jakoś przy ich pomocy, żeby jaszczury w celu szantażowania mnie nie mogły was wykorzystać – dokończył.

– Co z nami zrobią? – zapytała.

– Dokąd pójdziemy?

– Nie wiem. Mordechaj nie chciał mi powiedzieć. Może sam nie wie i zostawił decyzję ludziom, których jaszczury nie będą z góry podejrzewały. Chociaż każdy rabin dostałby zawału, gdyby to usłyszał, to ignorancja bywa czasem najlepszą obroną.

– Nie chcę cię opuszczać – powiedziała.

– Uciekać przed niebezpieczeństwem, kiedy ty zostajesz, to nie jest w porządku. Ja... Przerwał jej, zanim zdążyła powiedzieć: nie chcę.

– To jest najlepsza rzecz, jaką możesz zrobić również dla mojego bezpieczeństwa.

Chciał powiedzieć coś więcej, ale właśnie dochodzili do wyjścia. Nie wiedział, czy jaszczury, które tam stały znają żydowski albo polski. Jakoś nie zdziwiło go, że wartownicy zaczęli iść za nim i za jego rodziną. Nie szli obok nich, jak strażnicy, ale nie pozwolili wyprzedzić się rodzinie Rusie o więcej niż kilkanaście metrów. Gdyby Mosze lub Ryfka zaczęli biec, jaszczury nie miałyby problemu ze schwytaniem ich albo zastrzeleniem. Poza tym, gdyby zaczęli uciekać, zniweczyłoby to plan

Anielewicza. Szli więc i zachowywali spokój, jakby nic niezwykłego się nie działo. Zanim dotarli do rynku, szły za nimi już cztery jaszczury, a przed nimi – dwa. Dzięki swoim oczom mogły patrzeć do tyłu bez konieczności odwracania głowy. Ulica Gęsia kipiała, jak zwykle, życiem. Handlarze głośno zachwalali herbatę, kawę i gorącą wodę słodzoną sacharyną nalewane z samowarów oraz rzepę sprzedawaną z wózków. Nad skrzynką z węglem stał człowiek z pistoletem. Inny siedział za stołem z rozłożonymi częściami do rowerów. Jakaś kobieta sprzedawała leszcza złowionego w Wiśle. Zimno sprawiało, że ryba była nadal świeża. Na kilku straganach sprzedawano części mundurów niemieckich i rosyjskich. Więcej było niemieckich; za wyposażenie Armii Czerwonej brano wyższe ceny

– Rosjanie wiedzieli, jak walczyć z zimnem. Ryfka kupiła tutaj czapkę na jednym ze stoisk. Teraz jaszczury skupiły się wokół Moszego i jego rodziny. To spowodowało, że szybko ruszył do przodu.

– Dokąd idziemy? – zapytała Ryfka.

– Nie wiem dokładnie. Po prostu chodzimy i oglądamy, co tu mają.

– Chodzimy i czekamy, aż ludzie Anielewicza nas wypatrzą, pomyślał.

Jak odległy sen przypominał sobie przedwojenne czasy, kiedy to mógł wejść do krawca, rzeźnika, czy piekarza i kupić co chciał i miał jeszcze pewność, że nie zabraknie mu pieniędzy. W porównaniu z tamtymi dniami, rynek przy Gęsiej był obrazem nędzy. Ludzie biegali w różne strony, kupowali, wymieniali się, chleb za książki, marki za mięso, wódka za warzywa. Jaszczury, które pilnowały Rusiego i jego rodziny, musiały podejść bliżej, żeby mieć pewność, że ich ofiara nie zniknie gdzieś w tłumie. I tak nie było im łatwo, bo ich widok przesłaniali im wyżsi od nich ludzie ciągle przepychający się między nimi a Rusiem. Mosze nagle znalazł się w dużej grupie postawnych mężczyzn. Zmusił się do tego, by się nie uśmiechnąć, większość z nich była bojowcami Mordechaja Anielewicza. Jeśli coś się ma zdarzyć, to właśnie teraz. Jeden z ludzi Anielewicza pochylił się i szepnął coś Ryfke do ucha. Kiwnęła głową, ścisnęła silniej rękę Moszego i puściła ją. Słyszał jak mówi: chodź, Reuben. Dwóch barczystych bojowców wepchnęło się między niego a żonę i syna. Obejrzał się przygryzając wargi i powstrzymując się od łez. Kilka sekund później znowu poczuł dłoń w swojej ręce. Okręcił się na pięcie. Był zarazem przestraszony, że coś się nie udało i zachwycony, że nie będzie musiał rozłączyć się z Ryfką i Reubenem. Ale młoda kobieta, której palce splotły się z jego dłonią, szarooka brunetka w czapce Ryfki, nie była jego żoną. Chłopiec stojący przy niej też nie był jego synem.

– Pochodzimy trochę po rynku, a potem wrócimy do twojego mieszkania – powiedziała cicho.

Rusie przytaknął. Płaszcz kobiety podobny był do płaszcza Ryfki, czapka należała do niej. Na taką sztuczkę nie daliby się nabrać, powiedzmy, esesmani, ale dla jaszczurów wszyscy ludzie byli podobni. Łatwiej przyszłoby im rozpoznać Ryfkę po czapce niż po rysach twarzy. Na tym, najwyraźniej, zasadał się podstęp Anielewicza. Pierwszym odruchem Rusiego było wyciągnąć szyję i zobaczyć, dokąd bojowcy zabierają jego rodzinę. Powstrzymał się. Wtedy dopiero zdał sobie sprawę, że trzyma za rękę kobietę, która nie jest jego żoną. Odkoczył, jakby miała dłonie rozpalone do czerwoności. Czułby się upokorzony, gdyby się roześmiała. Ku jego uldze, po prostu kiwnęła głową ze zrozumieniem. Ale ulga nie trwała długo.

– Czy możemy już iść? – zapytał.

– To nie chodzi tylko o jaszczury i nie w tym rzecz, żeby nie był wdzięczny, ale ludzie zobaczą nas i zaczną się zastanawiać, co my u diabła robimy razem. Albo raczej nie będą się zastanawiać. Pomyślą, że sprawa jest jasna.

– Tak, to jest jedna z tych rzeczy, które mogą się nie powieść – zgodziła się kobieta.

Powiedziała to tak opanowanym głosem, jakby była jednym z wymachujących karabinami bojowców Anielewicza.

– Ale to jedyna rzecz, którą mogliśmy zrobić, żeby nikt nie zauważył podmiiany. Mogliśmy? Pomyślał Rusie. Więc jest bojowcem, choć nie nosi karabinu. Chłopiec też jest bojowcem.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Nie będę ci w stanie podziękować, jeśli nie będę wiedział, z kim mam do czynienia.

– Jestem Leja, a to Dawid – uśmiechnęła się.

– Witaj, Dawidzie – powiedział Rusie.

Dawid skinął głową. Był poważny jak dorosły. Mosze poczuł wyrzuty sumienia, że zatrudniano dzieci, żeby go chronić. Niska kobieta z kręconymi siwymi włosami przepchnęła się między bojowcami stojącymi wokół.

– Rebe Mosze, muszę cię zapytać... – słowa zamarły jej na ustach, kiedy zobaczyła Leję zamiast Ryfki. Cofała się z szeroko otwartymi oczami. Przyglądała się zaskoczona.

– Masz rację, rebe Mosze – mruknęła Leja.

– Lepiej chodźmy. Przykro mi, że zaszkoziłam twojej reputacji.

– Jeśli mam wybierać między reputacją a rodziną, to wiem, co jest ważniejsze – powiedział spokojnie Rusie.

– Poza tym, sądząc z tego, jak szybko roznosi się tu plotka, wkrótce wszyscy będą wiedzieli, jaką grę rozgrywamy.

Mówił to, żeby pocieszyć Leję, ale jemu także ulżyło, bo pomyślał, że chyba ma rację. Na razie jednak sprawa miała posmak skandalu. Zanim ludzie zaczęli gromadzić się w grupki i wytykać ich palcami, opuścili rynek i poszli spacerkiem, do domu. Jaszczury idące z przodu i z tyłu stały się, w pewnym sensie, błogosławieństwem, bo trzymały ludzi na dystans i w ten sposób dopełniały maskarady. Sumienie ukłuło Rusiego powtórnie, kiedy zamknął za sobą drzwi do mieszkania. Przeprowadził kobietę – młodą, atrakcyjną kobietę – tutaj... Wstyd, było to najłagodniejsze słowo, jakie pomyślał. Ale Leja zdjęła futrzaną czapkę, wręczyła mu ją i uśmiechnęła się bez słowa. Ostrzeżono ją zapewne, że jaszczury mogą mieć to mieszkanie na podsłuchu. Wskazała na czapkę, potem na siebie, wzruszyła ramionami, jakby pytając, czy ktokolwiek, nawet jaszczur, mógłby sobie wyobrazić, że jest Ryfką, kiedy nie nosi tej czapki. Potem wyszła za drzwi i już jej nie było. Łatwość tej ucieczki zaparła Rusiemu dech w piersiach. Jaszczury nie ustawiły strażników pod drzwiami do mieszkania tylko przed domem. Może nie chciały sprawiać wrażenia, że chcą go zastraszyć, mimo że w zasadzie o to im chodziło? A może, jak powiedział Anielewicz, były zbyt naiwne, żeby pojąć stosowane przez ludzi sztuczki. Bez względu na to, jak było, Leja – teraz już nie przebrana za Ryfkę – przespacerowała koło strażników i wyszła na ulicę. Dawid usiadł na podłodze i przez chwilę oglądał zabawki Reubena. Potem wstał i stanął przy drzwiach. Mosze otworzył je. Chłopiec jeszcze raz skinął głową z zaskakującą powagą i wyszedł na klatkę schodową. Rusie zamknął drzwi. Mieszkanie wydawało się wielkie i boleśnie puste, kiedy był w nim sam. Przeszedł do sypialni, potrząsnął głową i wyszedł w pośpiechu. Potem poszedł do kuchni – nie umiał gotować, a teraz, przez jakiś czas, będzie musiał sam przygotowywać sobie jedzenie. Znalazł trochę czarnego chleba i kawałek sera na stole. Wyjął nóż z kredensu i zrobił sobie kanapkę. Jeśli będzie chciał czegoś bardziej wyrafinowanego, to musi sobie znaleźć kogoś, kto mu to przygotowuje. Rzecz jasna, jaszczury mogły tak go urządzić, że nie będzie się już nigdy musiał martwić o jedzenie. Starał się o tym nie myśleć. Wrócił do dużego pokoju i wyciągnął starą książkę medyczną. Błądził oczami po stronach, ale nie był w stanie zapamiętać niczego co przeczytał. Źle spał tej nocy. Puste łóżko Ryfki i łóżeczko Reubena przypominały mu, że nie ma przy nim tych, których kocha. Cisza w sypialni bardziej mu przeszkadzała

niż gdyby wokół panował hałas. Rankiem znowu zjadł kawałek chleba z serem. Błąkał się po mieszkaniu i zastanawiał się, co zrobić, kiedy ktoś zastukał do drzwi. Szpony jaszczurów wybijały werbel na drewnie. Rusie poczuł, że ma sucho w ustach. Miał nadzieję, że został mu cały dzień. Nic z tego. Otworzył drzwi. Ku jego zaskoczeniu, w korytarzu stał sam Zolraag. Wraz z nim przybyli w wielkiej sile strażnicy.

– Ekscelencjo – wyjąkał Rusie.

– Czuję się zaszczycony. We..wejdzie pan?

– Nie ma potrzeby – odparł Zolraag. Zadam ci tylko jedno pytanie, Herr Rusie. Czy będziesz mówił przez radio to, czego chcę i domagam się od ciebie?

– Nie, ekscelencjo, nie będę.

Mosze czekał, aż niebo spadnie mu na głowę. Gubernator nadal zachowywał się rzeczowo

– Więc wyperswadujemy ci to.

Spojrzał na jednego ze strażników.

– Moi samcy schwytają teraz samicę i pisklę Tosewity – powiedział we własnym, rzecz jasna, języku, ale Rusie dobrze go pojął.

– Tak jest – strażnik – oficer? – wysyczał rozkazy do jaszczurów, które stały za nim. Jeden z nich skierował karabin na stojącego spokojnie Rusiego.

– Nie będziesz się wtrącał, Herr Rusie – powiedział Zolraag.

– Nie będę – zgodził się Rusie. Jedni strażnicy weszli do kuchni, inni do pokoju. Za chwilę wszyscy wrócili.

– Tych innych Wielkich Brzydali nie ma tutaj, zwierzchniku, panie prowincji – zameldował jeden z nich.

– Co? – powiedzieli razem dowódca straży i Zolraag. Oczy gubernatora przeniosły się na Rusiego.

– Gdzie oni są?

– Nie wiem, ekscelencjo.

Rusie chciałby być taki dzielny, jak bojowcy Anielewicza, którzy szli do walki bez śladu strachu. Jeśli wcześniej Zolraag był na niego zły, to teraz pewnie wpadnie w furję, ale przynajmniej nie będzie mógł wyładować tej furii na niewinnych. Jest tak, jak powiedział twój samiec. Ich tu nie ma.

– Dokąd poszli? – zapytał Zolraag.

– Tego też nie wiem.

– Nie uda ci się tak łatwo mnie oszukać, jak ci się zdaje – rzekł Zolraag.

– Widziano, jak wczoraj samica z pisklęciem wróciły z tobą do tego mieszkania. Nie widziano, jak wychodzili. Muszą zatem być gdzieś w budynku.

Zwrócił się do oficera, z którym rozmawiał wcześniej.

– Wezwij więcej samców. Przeszukamy wszystkie kąty tej rudery.

– Tak jest, panie prowincji.

Strażnik powiedział coś do niezwykle małego i lekkiego radiotelefonu, którym posługiwały się jaszczury. Rusie obserwował go i starał się nie okazać radości, jaką odczuwał. Cokolwiek stałoby się z nim, Ryfka i Reuben wymknęli się ze szponiastych, łuskoskórych rąk Zolraaga. Jaszczury mogły sobie przeszukiwać dom. Nie mogą znaleźć tego, czego tu nie ma. Szukali bardzo dokładnie. Mosze nie słyszał, jak zajeżdżają ich ciężarówkami, tak jak to było, kiedy Niemcy urządzali w getcie łapankę. Ale hałasy, które dotarły do jego uszu, kiedy jaszczury wpadły do domu były aż nadto znajome – kolby karabinów łomocące w drzwi, przestraszeni, zawodzący Żydzi wyganiani na korytarz,

przewracane meble rozbijające się o podłogę.

– Ekscelencjo, ze wszystkich ludów na świecie my jedni przywitaliśmy was jak wybawców, kiedy przybyliście do Warszawy i walczyliśmy po waszej stronie przeciwko innym ludziom

– Niemcom – powiedział Rusie.

– Teraz robisz, co w twojej mocy, żeby uczynić z nas wrogów.

– Sami staliście się wrogami odmawiając posłuszeństwa – odparł Zolraag.

– Jesteśmy szczęśliwi, że możemy być twoimi sojusznikami. Już ci mówiłem, że zostanie twoim niewolnikiem, okazywanie posłuszeństwa z obawy, a nie z przekonania, to duża różnica.

Zolraag wydał dźwięk zepsutego samowara.

– Twoje grubiaństwo jest nie do zniesienia.

Wlokły się minuty. Co chwila wpadał jaszczur z meldunkiem dla gubernatora. Nic dziwnego, że nie mogli znaleźć, czego szukali. Zolraag przez cały czas hałasował jak zepsuty imbryk. Rusie zastanawiał się, czy mógłby ukryć żonę i syna między sąsiadami. Chyba tak. Jaszczury już dowiodły, że nie potrafią rozróżniać ludzi. Teraz prawdopodobnie szukały kogoś, kto się ukrywa. Przyprowały do Zolraaga małego staruszkę z białą brodą, ale gubernator zorientował się, że to nie żona Moszego. Kazał go zwolnić. Późnym popołudniem jaszczury przyznały się do porażki. Zolraag spojrzał na Rusiego z wściekłością.

– Myślisz, że odniosłeś zwycięstwo, Wielki Brzydalu? – rzadko zdarzało mu się rzucać w twarz Moszego obraźliwy epitet, jakim kosmici nazywali ludzi. To, że teraz tak uczynił świadczyło o jego gniewie.

– Coś ci powiem. Nie będziesz przez to szczęśliwszy.

– Rób ze mną co chcesz, ekscelencjo – odparł Rusie.

– Z twojego punktu widzenia, masz do tego, jak sądzę, prawo. Ale ja myślę, że nikt nie ma prawa brać zakładników i wymuszać posłuszeństwo strachem.

– Jeśli będę potrzebował twojej opinii, to bądź pewny, że cię o tym zawiadomię – rzekł gubernator.

– Do tego czasu zachowaj je dla siebie.

Rusie zastanawiał się, co by zrobił na miejscu Zolraaga. Pewnie przyłożyłby pistolet do głowy krnąbrnego człowieka, wręczyłby mu kartkę i kazał czytać. A co on sam zrobiłby w obliczu takiej groźby? Miał nadzieję, że okazałby opór, ale wcale nie był tego pewny. Niewielu ludzi ma w sobie ządek na męczennika. Zolraag nie był jednak taki stanowczy, jak tego obawiał się Rusie.

– Skontaktuję się z moimi zwierzchnikami, Herr Rusie – oświadczył jaszczur – w sprawie pociągnięcia cię do odpowiedzialności za tak bezprecedensowy akt oporu z twojej strony.

Gubernator wycofał się, świta podążyła za nim. Pod Rusiem ugięły się kolana. Opadł na tapczan. Bezprecedensowy, to słowo go uratowało. Jaszczury były zbite z tropu, kiedy coś nie układało się zgodnie z ich planem. Nie znaczyło to, że nie ma już groźby niebezpieczeństwa. Gdzieś wyżej, w jaszczurzej hierarchii był samiec, który mógł powiedzieć Zolraagowi, jak ma postąpić. A Zolraag robi to, co mu rozkażą. Rusie poszedł do kuchni, zjadł jeszcze jeden kawałek chleba z serem. Potem otworzył drzwi, łazienka była w końcu korytarza. Na zewnątrz stały dwa uzbrojone jaszczury. Zachowywały się tak cicho, że nie podejrzewał, iż tam są. Poszły razem z nim do toalety. Mimo oburzonych protestów Rusiego, jeden z nich wszedł do środka i obserwował go, kiedy oddawał mocz. Potem poszły z nim do mieszkania. Zastanawiał się, czy wejdą do środka, pozostały jednak w korytarzu. Teraz był pewny, że nie będzie mógł wyjść bez ich zgody. Jak powiedział Mordechaj, nie były głupie. Rozejrzał się po mieszkaniu. Był w pułapce, czekał na wyrok.

Rozdział XV

Linia frontu przebiegała o godzinę drogi od Chicago. Mutt Daniels kuczał za przewróconą prasą pneumatyczną w zrujnowanej fabryce w Aurorze. Myślał o tym, że po raz pierwszy, odkąd trzydzieści lat temu wypadł z pierwszej ligi, jest tak blisko Chicago – miasta wiatrów. Zaśmiał się i zakaszał. Para unosiła mu się z ust, jakby palił papierosa. Drżał mimo, że ubrany był w ciepłą kurtkę. Śnieg padał na niego przez dziurawy dach. Mutt wepchnął ręce do kieszeni. Wiedział, że kiedy przypadkiem zetkną się z gołym metalem prasy, skóra zejdzie z nich jak obierki z jabłka. Na pokrytej gruzami ulicy przed fabryką rozległo się metaliczne stukanie. O kilka stóp od Mutta, rozciągnięty za tokarką, leżał sierżant Schneider.

– To czołg jaszczurów – szepnął Daniels z nadzieją, że Schneider powie, że to nieprawda. Ale stary żołnierz tylko kiwnął głową.

Daniels zaklął.

– Nie było kłopotu z tym cholerstwem, kiedy byliśmy podczas ostatniej wojny po tamtej stronie oceanu.

– Prawda, cholera, nie było – powiedział Schneider.

– A potem przez cały czas myślałem, że nie może być gorzej.

Splunął na podłogę.

– Okazuje się, że może, co?

– Tak.

Dreszcze, które wstrząsały Danielssem niewiele miały wspólnego z przenikającym go do szpiku kości mrozem. Czytał o czołgach, odkąd zaczęła się nowa wojna, widział je na kronikach filmowych. Ale dopóki jaszczury nie przewróciły całego świata do góry nogami, nie rozumiał, na czym polega walka z czołgiem. To nie było tak, że wzięto wielkie armaty i postawiono je na gąsienicach. Było gorzej: za grubym pancierzem siedziały załogi prawie nie do ugryzienia dla piechoty. Właśnie... prawie. Mutt poczołgał się do przodu na czworakach. Jeśli ten czołg; czy jakkolwiek jaszczurzy czołg, przebije się na wschodni brzeg rzeki Fox, to obrona Chicago zakończy się klęską. Zagadał karabin maszynowy czołgu. Strzelał do któregoś z obrońców Aurory, a może puszczał serie na oślep, żeby przycisnąć amerykańskich żołnierzy do ziemi. Walczono tu o każdy dom. Danielsowi przypominało to okopy we Francji. Aurora leżała na zachodnim krańcu terenów przemysłowych rozpościerających się na prerii u granic Chicago. Bój, który przetoczy się po drodze do wielkiego miasta będzie taki sam jak w 1918 roku. O ile znajdą się żołnierze, którzy przeżyją, żeby wycofać się do Chicago. Mutt miał wątpliwości. W 1918 roku też dręczyła go niepewność, ale był po stronie, która dysponowała większymi armatami i liczniejszą armią. Teraz zrozumiał, co musieli czuć Bosze, kiedy cała potęga aliantów runęła im na głowy. Niemcy walczyli zajadle aż do dnia zawieszenia broni. Mutt czuł się teraz tak samo zobowiązany, żeby nie poddawać się do końca. Frontowa ściana fabryki została zbombardowana; czołg jaszczurów torował sobie drogę przez rumowisko. Mutt podczołgał się do otworu, który kiedyś był oknem, a teraz stanowił po prostu dziurę w ścianie. Ostre jak nóż kawałki szkła rozdzierały mu spodnie i raniły kolana. Ostrożnie uniósł głowę. Czołg znajdował się o jakieś trzydzieści metrów od niego. Maszyna zwolniła, żeby odsunąć na bok wypalone wraki autobusów, z których Amerykanie zbudowali barykadę. Jaszczurzy dowódca był odważny. Mimo ognia karabinowego, stał w otwartej wieży czołgu, żeby lepiej widzieć otoczenie. Stał tyłem do Daniela. Mutt w szczenięcych latach polował na wiewiórki i oposy. Podrzucił karabin do ramienia, zrobił wydech... głowa dowódcy czołgu eksplodowała. Na jej miejscu ukazała się czerwona mgiełka. O ułamek sekundy później Daniels rzucił się w bok od swojej pozycji ogniowej.

– Przygwożdżony, ten sukinsyn! – zawołał przekrzykując harmider pola walki.

Inni Amerykanie czający się w zrujnowanej fabryce wydali głośny okrzyk. Nieczęsto zdarzało im się wznosić wiwaty na cześć zwycięstwa. Daniels wiedział, że gdyby jaszczurów było więcej, walka dawno by się już skończyła. Niewiele miał czasu, żeby świętować tak wspaniały pokaz sztuki snajperskiej. Kule z czołgowego kaemu kosiły wewnątrz fabryki. Mutt skulił się za jakąś przewróconą maszyną zadowolony z tego, że pokaźny kawał żelaza, i stalowej blachy oddziela go od świszczącej w powietrzu śmierci.

– Dobra robota, Mutt – wrzasnął sierżant Schneider.

– Zatrzymałeś natarcie. Nasz odwrót stąd byłby bezsensowny z punktu widzenia strategicznego.

Daniels pomyślał, co by z nimi było, gdyby odwrót był strategicznie przemyślany. Dziwił się też, że Schneider jest w stanie myśleć i mówić jak zawodowy żołnierz, kiedy nad głową świszczą mu kule z karabinu maszynowego. Nagle, na zewnątrz błysnął gorący, żółty płomień, jakby słońce spadło na środek ulicy. Towarzyszył mu głośny huk działa czołgowego. Na Daniela posypały się kawałki cegły; belka, która mogłaby go zmiażdżyć, złamała się na obudowie maszyny, za którą się ukrywał. Czołg strzelił jeszcze dwa razy. Mutt wrzeszczał z całych sił, ale nie był w stanie usłyszeć własnego głosu. Miał wrażenie, że nigdy nie odzyska słuchu. W tej chwili było to najmniejsze jego zmartwienie. Poczuł, że ma mokro w spodniach, ale tym się też nie przejął. Starał się wygramolić, ale ręce i nogi tak mu się trzęsły, że prawie nie był w stanie się ruszyć.

– Szok bitewny – powiedział.

Czuł, że rusza wargami, ale słów nie słyszał. Widział takich ludzi w okopach po silnym niemieckim ostrzale. Inni żołnierze kpili z nich trochę, choć rozumieli, że nie byli w stanie się powstrzymać. Dziwił się, że w ogóle jeszcze żyje.

– Hej, Schneider – krzyknął.

– Nadal myślisz, że jaszczury wstrzymały, kurwa, atak?

Nie usłyszał odpowiedzi sierżanta, ale to było normalne – nie słyszał też swojego pytania. Spojrzał tam, gdzie krył się Schneider. Słowa utknęły mu w gardle. Na miejscu, gdzie przed chwilą był człowiek leżały krwawe strzępy. Daniels powstrzymał wymioty i szepnął:

– Jezu.

Schneider był najlepszym żołnierzem jakiego znał. Lepszym niż sierżanci, pod którymi służył we Francji. Śmierć dobrego żołnierza przypomniła mu, że sam może skończyć w ten sposób. Mutt nie chciał o tym myśleć. Wyczuł ostry i świeży dym. To było ostrzeżenie, że można zginąć gorszą śmiercią niż rozszarpanie na sztuki przez odłamki. Schneider przynajmniej nie wiedział, że dostał. Ale kiedy człowiek się smaży, to ma wiele czasu. Rozejrzał się po mrocznym wnętrzu fabryki, teraz było mniej ciemno, bo jaszczury zrobiły we frontowej ścianie nowe otwory; szukał pozostałych żołnierzy, którzy tu z nim byli. Dwóch leżało w takim stanie jak Schneider. Trzech, czy czterech innych uciekało od ognia najszybciej jak mogli. Dwóch rannych wilo się na podłodze.. Obaj dziadkowie Mutta walczyli w wojnie między Północą a Południem. I obaj, jak to w zwyczaju starych ludzi, opowiadali mu historie, których jako chłopiec słuchał z szeroko otwartymi ustami. Pamiętał, jak Pappy Daniels, z długą, poplamioną tytoniem białą brodą wspominał o bitwie w lesie i o tym, jak ranni strzelali sobie w łeb zanim objęły ich płomyki ognia wznieconego kanonadą. To wspomnienie podpowiedziało mu, co ma zrobić. Pobiegł przed siebie, chwycił jednego z rannych i odciągnął go za powaloną ścianę, która mogła mu przez jakiś czas służyć schronieniem.

– Dziękuję – wyszeptał ranny.

– W porządku

Daniels szybko zabandażował najgorsze rany żołnierza i wrócił po drugiego. Musiał przewiesić

sobie karabin przez ramię. Ten drugi zemdlał i trzeba go było ciągnąć oburącz. Właśnie podsadził go sobie na plecy, gdy do fabryki wbiegł piechur jaszczurów. Mutt był pewien, że nadeszła jego ostatnia godzina. Po chwili, która ciągnęła się w nieskończoność, jaszczur skierował lufę swego karabinu w podłogę i wykonał gest wolną ręką: zabieraj stąd swojego ранnego kumpla.

Czasami – bardzo rzadko – Niemcy byli równie rycerscy we Francji. Czasami – również rzadko

Amerykanie rewanżowali się podobną rycerską postawą. Daniels nie spodziewał się, że natknie się na taką samą wielkoduszność u stwora, który przypominał obrazki w opowiadaniach czytanych przez jednego z jego zawodników.

– Czuję się zobowiązany – powiedział do jaszczura, choć zdawał sobie sprawę, że kosmita nie zrozumie. Potem krzyknął do ludzi ukrywających się gdzieś w ruinach:

– Nie strzelać do niego, chłopaki! Jest w porządku.

Chwiejąc się pod ciężarem dźwiganego ciała dowlókl się do ściany, za którą złożył pierwszego ранnego. Jednocześnie jaszczur powoli wycofał się z fabryki. Nikt do niego nie strzelił. To miniaturowe zawieszenie broni potrwało może pół minuty. Mutt zdjął ранnego z ramienia, stwierdził, że nie oddycha. Schwycił go za przegub. Nie wyczuł pulsu. Ramię żołnierza bezwładnie opadło, gdy je puścił.

– Och, cholera – powiedział smutnym głosem.

Ten dziwny gest rycerski kosmity poszedł na marne. Zniknął w „wielkim koszu na śmieci”, jakim była wojna. Do budynku wpadło więcej jaszczurów. Strzelały z automatów z biodra, nie celując. Zmuszało to jednak Amerykanów do krycia się. Odpowiedziano tylko kilkoma wystrzałami. Ten, kto strzela pierwszy jest lepszy, pomyślał Daniels. Nauczył się tego w okopach. Zasada nadal obowiązywała. Nagle zdał sobie sprawę, że po śmierci Schneidera on jest tu najstarszy rangą. Dowodził teraz większą liczbą ludzi niż gdy był menażerem. I stawka była wyższa. Pierwszy ранny, którego zaciągnął w ukrycie, był bardzo ożywny.

– Kładź się! – ryknął Mutt.

Zaczął czołgać się, ciągnąc go za sobą. Jakby teraz wstał, dostałby kulę. To pewne na sto procent. Z tyłu runęła belka. Zatrzeszczały płomienie, potem zahuczał ogień. Mutt starał się czołgać szybciej.

– Tutaj! – ktoś krzyknął.

Zmienił kierunek. Czyjeś ręce sięgnęły, żeby wciągnąć ранnego za szafy z kartotekami. Metalowe ścianki i wysypujące się spomiędzy nich stosy papieru byłyby zapewne w stanie powstrzymać pocisk działa czołgowego. Mutt sam też się przedostał za osłonę i położył się ciężko dysząc.

– Smitty jeszcze żyje? – zapytał żołnierz, który leżał obok.

Daniels pokręcił głową.

– Był pewnie martwy kiedy go podnosiłem.

Cholerne świństwo. Drugi żołnierz – nazywał się Buck Risberg – pokazał ręką i powiedział:

– Pożar wstrzymuje jaszczury.

– Miło wiedzieć, że ktoś to potrafi zrobić.

Daniels skrzywił się kwaśno. W czasie tej walki szybko stawał się cyniczny. Starzeję się, pomyślał. Starzeję się? Do diabła, już jestem stary. Ale teraz dowodził. Skoncentrował się na swoich obowiązkach.

– Zabierz stąd Hanka – powiedział do Risberga.

– O kilka przecznic stąd powinien być punkt medyczny, o ile jaszczury go jeszcze nie wykurzyły. Musisz spróbować.

– Okay, Mutt.

Ciągnąc i niosąc nieprzytomnego teraz Hanka, Risberg wycofał się z linii walki. Płonąca belka oświetlała mu drogę. Stanowiła też zaporę, której jaszczury obawiały się sforsować. Pociski padały z rykiem na budynek fabryczny i na ulicę. Tym razem ostrzału nie prowadził czołg jaszczurów, ale amerykańskie baterie ciągle jeszcze okopane na wyspie Stolp pośrodku rzeki Fox. Artylerzyści wstrzelali się prosto w swoich, z nadzieją, że dostanie się również przeciwnikowi. Daniels podziwiał ich bojowość. Miał tylko nadzieję, że od niej nie ucierpi. Ostrzał sprawił, że jaszczury, które już wtykały łby do fabryki, przestały strzelać i przywarły do ziemi. Przynajmniej tak wydawało się Muttowi – on inaczej by nie postąpił. Ale nagle, zanim skończył się ogień zaporowy, jaszczury ruszyły do ataku, strzelając krótkimi zjadliwymi seriami zdolnymi rozszarpać człowieka na strzępy. Mutt czuł się ze swoim springfieldem tak, jak musiał się czuć jego pradziadek, kiedy z ładowanym od przodu muszkietem stanął naprzeciwko Jankesów z samopowtarzalnymi karabinami Henry'ego. Nagle, za jego plecami rozległy się serie. Przez chwilę przerażony myślał, że jaszczury wyszły im na tyły. Ale jaszczury miały lepszą dyscyplinę prowadzenia ognia, a poza tym odgłos strzałów były inny.

– Ty, z tomiganem! – ryknął Daniels.

– Podnieś dupę i chodź tutaj! Minutę później żołnierz rzucił się na ziemię obok niego.

– Gdzie są, kapralu? – zapytał. Mutt wskazał kierunek:

– Tam, stamtąd ostatnio strzelały.

Automat zaterkotał. Facet, który z niego strzelał – nie był z oddziału Daniela – opróżnił magazynek z pięćdziesięcioma pociskami tak szybko, jakby musiał zapłacić za każdy nie wystrzelony nabój. Z tyłu od lewej otworzył ogień jeszcze jeden pistolet maszynowy.

– Cały nasz pluton je ma, kapralu – powiedział żołnierz uśmiechając się na widok zdziwienia, które malowało się na twarzy Mutta.

– Mamy taką siłę ognia, że te łuskoskóre sukinsyny dwa razy pomyślą zanim z nami zadną.

Daniels chciał już powiedzieć, że to wariactwo, ale może wcale nie było to takie zwariowane. Miałyby rację, gdyby walka odbywała się na otwartym polu: tomigan strzelał pociskami pistoletowymi kalibru 11,43 mm i mógł prowadzić skuteczny ogień na dystans zaledwie dwustu metrów. Ale w walkach ulicznych, gdzie zdobywa się dom po domu, natężenie ognia było ważniejsze od celności. Stany Zjednoczone nie miały niczego, co dorównałoby automatom jaszczurów. Pistolety maszynowe były jedyną bronią, która jako tako mogła stawić im czoło. Toteż zamiast kląć dowództwo za głupotę, Mutt powiedział:

– Tak, niektóre niemieckie oddziały szturmowe we Francji też miały to cholerstwo. Nie miało się wtedy ochoty rozpoczynać kontrataku.

– Byłeś za oceanem, co? – zapytał żołnierz.

– Myślę, że teraz jest gorzej. Daniels zastanowił się.

– Chyba tak. Nie mówię, że wtedy było fajnie, ale zawsze jest łatwiej, jak się ma dystans. A ta walka tutaj, w fabrykach... Nigdy nie sądziłem, że może być coś gorszego od okopów, ale chyba się myliłem.

Tuż nad dachami przeleciał z rykiem samolot.

– Nasz – powiedział żołnierz zadowolony i zaskoczony.

Daniels też się cieszył. Niewiele było ostatnio amerykańskich samolotów. Samolot przez kilka sekund ostrzeliwał nacierające jaszczury. Słysząc było ryk jego działek. Potem z ziemi podniósł się inny odgłos, jakby wstawiała ściana huku. W tej samej chwili umilkły silniki i działka samolotu. Maszyna, spadła na ziemię z hukiem, od którego wyleciałyby wszystkie szyby, gdyby w Aurorze zostało choć jedno całe okno.

- Cholera! – powiedzieli naraz Daniels i żołnierz z peemem.
- Mam nadzieję, że spadł na całą kupę tych skurwysynów – dodał Mutt
- Tak – powiedział żołnierz.

– Żałuję tylko, że nie udało mu się odlecieć. Mógłby im dołożyć jeszcze raz.

Daniels pokiwał głową. Miał wrażenie, jakby amerykańscy piloci nie byli w stanie wykonać więcej niż jeden lot bojowy przeciwko jaszczurom. Tak szybkie zużycie pilotów i maszyn do niczego nie prowadzi. Żołnierz z peemem wygarnął serię w stronę jaszczurów.

– Kapralu – powiedział.

– Będę cię krył, jeśli chcesz się stąd wyśliznąć. Nie zdasz się na wiele w tej walce ze swoim starym springfieldem.

Gdyby darował sobie ostatnie zdanie, Daniels przyjąłby może propozycję. Ale zraniło to jego ambicję. Mógł myśleć o sobie jak o starcu, a o swoim karabinie jak o eksponacie muzealnym, ale nie pozwolił temu szczeniakowi na takie uwagi.

– Zostaję – powiedział krótko.

– Jak tam sobie chcesz – odparł żołnierz wzruszając ramieniem.

Mutt pomyślał, że tylko jego naszywki powstrzymały chłopaka od dodania na końcu zdania palancie. Jaszczury ruszyły. Strzelały w biegu. Ogień, który buchał z belki oświetlał je, ale też przesłaniał ich ruchy. Daniels strzelił. Natarcie po tamtej stronie zamieniło się w kotłowanie. Mutt wznosił tak donośny okrzyk bojowy południowców, że jego dziadek byłby dumny.

– Nie zdam się na wiele w walce, co? Żołnierz przybrał niewinny wyraz twarzy.

– Czy ja coś mówiłem?

Chłopak podniósł się na kolano i otworzył ogień. Potem, z gracją akrobaty odskoczył. Coś gorącego i mokrego pacnęło Daniela. W migotliwym świetle ognia dostrzegł, że do wierzchu jego dłoni przywarła szaroczerwona masa. Gwałtownym ruchem wytarł rękę o spodnie.

– Mózg – powiedział, otrząsając się.

Popatrzył na żołnierza z peemem. Wierzch jego czaszki był ucięty jak nożem. Kałuża krwi, w której leżał powiększała się. Nie miał czasu, żeby wymiotować. O ile wiedział, był najdalej wysuniętym Amerykaninem nadal zdolnym do prowadzenia walki. Strzelił do jaszczura – chybił, ale zmusił potworka do szukania osłony. Zrobił ćwierćobrót i strzelił do następnego. Nie miał pojęcia, czy za drugim razem trafił. Wiedział natomiast, że jeśli chce nadal używać karabinu przeciwko automatom jaszczurów, to mu przygrzeją w tyłek, i to tak dobrze, że straci życie. Chwycił za tomigan. Martwy chłopak miał przy sobie jeszcze dwa bębny z amunicją. Wystarczy na trochę. Peem kopnął go w ramię jak koń. Rozsiewał kule jak z węża strażackiego. Ogień z lufy mało go nie oślepił. Przykucnął za osłoną. Co za piekielny sposób prowadzenia walki, myślał – rozpylać przed sobą ołów i mieć nadzieję, że ktoś wlezie na kulę. Zdał sobie sprawę, że równie piekielne jest pole bitwy: mroczne ruiny oświetlone ogniem i płomieniami wydobywającymi się z luf, pełne odgłosów wystrzałów i wrzasków, powietrze gęste od dymu, odoru potu, krwi i strachu. Pokiwał głową. Jeśli to nie jest piekło, to jak to nazwać? Na statku szpitalnym „13-ty cesarz Poropss-Miłosierny” Ussmak powinien poczuć się jak na rodzimej planecie. I w pewnym sensie tak było. Pomieszczenia miały przyzwoitą temperaturę, światło było prawidłowe – nie ten błękitny blask, który oświetlał trzecią planetę słońca Tosev 3 – a co najważniejsze, nie było tu Wielkich Brzydali, które próbowałyby go zabić. Nawet jedzenie było lepsze niż ta preparowana breja, którą jadł, kiedy był w polu. Powinien być szczęśliwy. Gdyby tylko lepiej się czuł. Ale kiedy Wielkie Brzydale wysadziły w powietrze wieżę jego czołgu, wyskoczył z wjazdu ewakuacyjnego kierowcy prosto na szczególnie silnie skażony radioaktywnością kawałek gruntu. Detektory terkotały jak oszalałe, kiedy samce w ubiorach

ochronnych dotarły do niego. I tak oto, znalazł się tutaj. Naprawiano go, żeby mógł wrócić do akcji i pozwolić Tosewitom wymyśleć inny sposób przeobrażenia go w rąbankę. Z początku, choroba popromienna przyprawiała go o mdłości, tak, że nie mógł delektować się szpitalnym jedzeniem. Gdy te objawy ustąpiły, z kolei terapia sprawiała, że chciało mu się rzygać. Dokonano mu transfuzji i transplantacji komórek, które miały zastąpić zniszczone gruczoły produkujące krew. Środki przełamujące barierę immunologiczną organizmu i inne specyfiki tłumiące rozwój komórek rakotwórczych sprawiały, że czuł się gorzej niż po napromieniowaniu. Przez wiele dni był doprawdy bardzo nieszczęśliwym samcem. Teraz jego ciało miało się znacznie lepiej, ale z duchem było gorzej. Nadal zwalczał najzdradliwszą ze szpitalnych chorób – nudę. Robił, co mógł czytał, grał w komputerowe gry symulacyjne do granic wytrzymałości. Nic z tego. Chciał wrócić do realnego świata, choćby to miał być Tosev 3, pełen Wielkich Brzydali z obrzydliwymi armatami, minami i innymi nieprzyjemnymi urządzeniami. Jednocześnie myśli o powrocie wprawiały go w zły nastrój. Znowu uczynią z niego cząstkę skleconej naprędce załogi krążownika lądowego, kawałek układanki wciśniętej na siłę w miejsce, do którego nie bardzo pasuje. Wybito już dwie załogi, do których należał. Czy wytrzyma trzeci raz i nie zwariuje? A może zginie wraz z następną grupą? To rozwiązałoby jego problemy, ale nie w taki sposób, na jakim mu zależało. Przyszedł sanitariusz ze szczotką do podłogi. Jak wielu samców zatrudnionych na niskich stanowiskach, miał na ramionach wymalowane zielone obręcze. Znak, że ukarano go za złamanie dyscypliny. Ussmakowi nie chciało się nawet pomyśleć, co też sanitariusz mógł przeszkrobać. Leniwe myśli, to było wszystko, czemu ostatnio oddawał się Ussmak. Sanitariusz zatrzymał się, przerwał nie kończące się zamiatanie i skierował jedno oko na Ussmaka.

– Widziałem już szczęśliwszych samców, przyjacielu – powiedział.

– No i co? – odparł Ussmak.

– Nie słyszałem ostatnio, żeby pan floty rozkazał wszystkim być szczęśliwymi.

– Wesołek z ciebie, przyjacielu.

Sanitariusz rozwarł szczęki. Byli sami w salce Ussmaka. Mimo to, sanitariusz pokręcił oczami na wszystkie strony, zanim znowu się odezwał

– Chcesz być przez chwilę szczęśliwy, przyjacielu?

– W jaki sposób chcesz mnie uszczęśliwić? – prychnął Ussmak, chyba żebyś sobie stąd poszedł, dodał w myśli. Jeśli ten drobny rzezimieszek nadal będzie mu zawracał głowę, to powie to na głos.

Sanitariusz znowu się rozejrzał.

– Mam tu ze sobą coś, czego potrzebujesz, przyjacielu – powiedział komicznym szeptem.

– Co takiego? – zapytał pogardliwie Ussmak.

– Hibernację i jazdę do domu? I to masz w sakiewce przy pasie, zgadza się? Powiedz mi coś ciekawszego.

Rozwierając szczęki, lekko skłonił głowę: był to śmiech sarkastyczny. Ale nie zniechęcił sanitariusza.

– To, co mam, przyjacielu, jest lepsze niż podróż do domu. I mogę ci to dać, jeśli zechcesz.

– Nie ma nic lepszego niż podróż do domu – powiedział Ussmak z przekonaniem.

Niemniej, gadatliwy sanitariusz rozbudził jego ciekawość. To nie było trudne. Najdrobniejsza odmiana ogłupiająco nudnego szpitalnego życia wystarczała, żeby wzbudzić jego zainteresowanie. Zapytał więc:

– No, pokaż, co tam masz?

Sanitariusz jeszcze raz się rozejrzał, jakby bał się, że ze ściany wyjdzie kurator i wniesie przeciwko niemu nowe oskarżenia. Po tym ostatnim zabezpieczeniu się, sanitariusz wyjął z sakiewki

małą plastikową fiolkę i przysunął ją do Ussmaka. Była wypełniona drobno zmielonym żółtobrazowym proszkiem.

– To jest to, czego ci potrzeba.

– Co to takiego?

Ussmak domyślił się, że ten samiec wykrada lekarstwa, ale nigdy jeszcze nie widział lekarstwa, które przypominałoby ten proszek.

– Dowiesz się przyjacielu. Ten towar sprawi, że wiele wybaczysz Wielkim Brzydalom.

Ussmak pomyślał, że nic nie sprawi, żeby wybaczył Wielkim Brzydalom i temu nieszczęsnemu światu fakt zabicia jego przyjaciół z załogi krążownika. Ale patrzył, jak sanitariusz odkorkowuje fiolkę i wysypuje małą ilość proszku na dłoń. Podsunął rękę pod usta Ussmaka.

– Dalej, przyjacielu, spróbuj. Szybko, zanim ktoś zobaczy.

Ussmak znów zaczął się zastanawiać, dlaczego sanitariusz nosi zielone obręcze – otrul kogoś tym proszkiem? Nagle przestało go to obchodzić. Lekarze sami robią co w ich mocy, żeby go otruć. Powąchał proszek. Zapach zdziwił go. Był słodki, korzenny... pokusa – to słowo przyszło mu na myśl. Język, jakby sam z siebie, wysunął mu się z paszczy i zlizął drobne ziarenka z łusek dłoni sanitariusza. Smak nie przypominał mu niczego, co jadł do tej pory. Proszek szczypał go w język. Potem zapach wypełnił jego usta; po chwili – miał wrażenie, że rozchodzi się po jego mózgu. Poczł przyływ ciepła, mocy, jasności myśli, jakby był panem floty i zarazem znajdował się na łonie zmarłych cesarzy Rasy. Chciał wyjść, wskoczyć do krążownika – sam, bo czuł, że byłby w stanie jednocześnie kierować, strzelać i dowodzić – i rozwalić Wielkich Brzydali na całej planecie, żeby Rasa mogła ją wreszcie zasiedlić. Pozbycie się Tosewitów zdawało się równie łatwe jak powiedzenie tak jest.

– Podoba ci się to, przyjacielu? – zapytał sanitariusz szelmowskim tonem.

Włożył fiolkę z powrotem do woreczka. Ussmak powiódł za nią wzrokiem.

– Bardzo mi się podoba! – powiedział. Sanitariusz roześmiał się. Jaki to wesoły samiec, pomyślał Ussmak.

– Wiedziałem, że tak powiesz. Cieszę się, że nie chcesz, żebym tutaj sprzątał.

Wykonał kilka niedbałych ruchów szczotką i wyszedł na korytarz, żeby wysprzątać następne pomieszczenie. Ussmak rozkoszował się siłą i mocą, którą dawało mu zapewne tosewickie ziele. Za wszelką cenę chciał wyjść i robić coś, nie siedzieć tutaj jak w kojcu, jakby go tuczyli na gulasz. Pożądał akcji, niebezpieczeństwa, komplikacji... trwało to chwilę. Potem wrażenie mocy zaczęło blednąć. Im bardziej starał się je zatrzymać, tym szybciej wymykało mu się. Wreszcie, za wcześnie, uleciało, pozostawiając go w melancholijnym nastroju, tym bardziej smętnym, ponieważ wyraźnie przypomniał sobie, jak czuł się wcześniej i wtedy opanowało go pragnienie, żeby doznać tych uczuć raz jeszcze. Nuda szpitalna stała się jeszcze trudniejsza do zniesienia w porównaniu ze wspomnieniem tej krótkiej chwili ekstazy. Dzień włókł się ospale. Nawet posiłki, jak do tej pory, najważniejszy punkt w rozkładzie zajęć Ussmaka, zdawały się być ledwie warte zainteresowania. Sanitariusz, który uprzątał tacę – nie był to ten samiec, który przyniósł proszek – wydawał karcące go dźwięki, kiedy stwierdził, że połowa jedzenia pozostała nietknięta. Ussmak źle spał tej nocy. Obudził się, zanim włączono dzienne oświetlenie. Leżał, wierząc się niespokojnie. Odmierzał czas do chwili, kiedy przyjdzie sanitariusz ze szczotką. Kiedy nadeszła ta chwila, nie był obecny w swojej salce. Lekarze zabrali go do laboratorium na następną serię testów. Zanim spróbował tosewickiego proszku, nie przeszkadzało mu, że jest opukiwany, kluty, prześwietlany promieniami X i ultradźwiękami. To prawie nie bolało i na pewno było ciekawsze niż wałęsanie się po sali. Dzisiaj testy wydały mu się nieznośne: popędzał laborantów, warczał, kiedy coś im nie wychodziło, a oni mu

odwarkiwali.

– Przykro mi kierowco krążownika lądowego, Ussmak – powiedział jeden z samców.

– Nie wiedziałem, że masz spotkanie z panem floty wyznaczone na to przedpołudnie.

– Nie, to musi być audiencja u cesarza – wtrącił inny technik.

Ussmak, wściekając się, ustąpił. Był tak zdenerwowany, że nieomal zapomniał opuścić oczy na wzmiankę o swoim suwerenie. Jakby chcąc go ukarać, samcy w laboratorium pracowali wolniej. Zanim pozwolili mu wrócić do siebie, sanitariusza z zielonymi pierścieniami już nie było. Minął jeszcze jeden pusty dzień. Ussmak usiłował wzbudzić w sobie uczucia, które dał mu proszek. Pamiętał je dobrze, ale to nie było to samo. Kiedy sanitariusz pojawił się wreszcie, Ussmak niemal się na niego rzucił.

– Daj mi jeszcze tego cudownego proszku, który przyniosłeś przedwczoraj! – krzyknął.

Sanitariusz podniósł obie ręce w geście, który oznaczał odmowę.

– Nie mogę tego zrobić – w jego głosie był zarówno żal, jak i przebiegłość, połączenie, które powinno ostrzec Ussmaka. Ale Ussmak w tym momencie nie był w stanie wyczuć takich subtelności.

– Jak to, nie możesz? – przyglądał mu się z dzikim przerażeniem.

– Wszystko zużyłeś? Nie mów mi, że zużyłeś wszystko!

– W istocie, nie zużyłem.

Sanitariusz nerwowo zaczął przewracać oczami.

– Mów ciszej, przyjacielu, dobrze? Słuchaj, jest coś, czego ci przedwczoraj nie powiedziałem o tej substancji. Lepiej, żebyś wiedział.

– Co?

Ussmak miał ochotę złapać tego zawalidrogę, tego złoczyńcę i wytrząsnąć z niego prawdę albo trochę proszku.

– Już dobrze, uspokój się, przyjacielu.

Sanitariusz spostrzegł jego podniecenie. Byłby ślepy, żeby tego nie widzieć.

– No cóż, musisz wiedzieć, że ta substancja, Wielkie Brzydale mówią na nią imbir, że ta substancja jest zakazana przez pana floty.

– Co?

Ussmak znów wlepił wzrok w sanitariusza.

– Dlaczego?

Sanitariusz rozpostarł szponiaste dłonie:

– Czyż jestem panem floty?

– Ale miałeś ten... imbir wcześniej – powiedział Ussmak.

Nagle złamanie regulaminu nie wydawało mu się takim wielkim przestępstwem jak kiedyś.

– Wcześniej zakaz też był w mocy – sanitariusz zdawał się być zadowolony z siebie.

Zielone obręcze na ramionach mówiły, co sądzi o regulaminach, kiedy uzna je za niewygodne. Do chwili, gdy jego język dotknął imbiru, Ussmak był praworządnym samcem, jak większość samców Rasy. Teraz zastanawiał się, dlaczego tak było. Co mu dało przestrzeganie praw i wykonywanie rozkazów? Tylko skażenie promieniotwórcze i ból, kiedy patrzył jak wokół niego giną przyjaciele. Ale przełamanie uwarunkowania, które wdrażano w niego całe życie, nie było łatwe. Z pewnym wahaniem zapytał

– Czy mógłbyś przynieść mi trochę tej substancji, mimo że jest... zakazana? Sanitariusz przyjrzał mu się uważnie.

– Może i mógłbym to zrobić, przyjacielu...

– Och, mam nadzieję, że tak – przerwał mu Ussmak.

– ... ale to cię będzie kosztowało – dokończył sanitariusz.

– Co to znaczy, że będzie mnie kosztowało?

Ussmak był zmieszany.

– Dokładnie to, co powiedziałem – tłumaczył sanitariusz, jakby Ussmak był pisklęciem mokrym jeszcze po wykluciu.

– Chcesz więcej imbiru, przyjacielu, musisz mi za niego zapłacić. Wezmę bony, które dobrowolnie przelejesz ze swojego konta na moje, pamiątki po Wielkich Brzydalach, wszystko, co będę mógł odsprzedać. Zobaczysz, że mną można się dogadać.

– Ale pierwszy raz dałeś mi imbir za darmo – powiedział Ussmak, jeszcze bardziej zmieszany, a także dotknięty do żywego.

– Myślałem, że po prostu chcesz mi pomóc przetrwać te nie kończące się dni. Sanitariusz rozwarł szczęki.

– A dlaczego nie miałem dać ci za darmo spróbować? Mogłeś się przekonać, co dla ciebie mam. A ty chcesz tego, co mam, prawda przyjacielu?

Ussmak nie znosił, jak z niego drwiono. Arogancka postawa zwierzchnika przyjęta przez sanitariusza też go złościła.

– A co będzie, jak złożę raport mistrzowi dyscypliny? Na cesarza, zobaczymy, kto wtedy będzie się śmiał.

– Powiedzmy, że tak zrobisz – odparował sanitariusz.

– Tak, zostanę znowu ukarany. I pewnie gorzej niż teraz, ale ty, przyjacielu, nigdy już nie dostaniesz imbiru. Ani ode mnie, ani od kogoś innego. Jeśli tego pragniesz dalej, to zadzwoń. Nigdy nie posmakować imbiru?

Ta myśl przeraziła Ussmaka do tego stopnia, że nie pomyślał nawet, czy sanitariusz mówi prawdę. Co wiedział o etyce, czy braku etyki handlarzy imbiru?

– Ile chcesz? – zapytał szybko.

– Wiedziałem, że będziesz rozsądny.

Sanitariusz policzył szybko na szponach.

– Następną porcja będzie cię kosztować połowę dniówki. Ale gdybyś chciał całą fiolkę z zawartością, która ci wystarczy na jakieś trzydzieści liźnięć, to będzie cię kosztowało dziesięć dniówek. Taniocha, co?

– Tak.

Ussmak nie bardzo miał na co wydawać pieniądze. Większość zołdu miał zgromadzoną na liście płatnika floty.

– Daj mi fiolkę. Jaki masz numer konta, żebym mógł dokonać przelewu?

– Przelej pieniądze na ten numer. – Sanitariusz podał mu kawałek papieru.

– Mogę z tego korzystać, ale komputer nie będzie znał mojego nazwiska.

– Jak udało ci się to zrobić? – zapytał Ussmak zaciekawiony. Samców można było przekupić, ale jak przekupić komputer?

Sanitariusz znowu rozwarł szczęki. Chciał się podzielić dowcipem z Ussmakiem.

– Powiedzmy, że jest ktoś, kto pracuje u płatnika i lubi imbir tak samo jak ty. Nie powiem ci nic więcej, ale też nie muszę, prawda? Jesteś sprytnym samcem, przyjacielu; nie muszę ci rysować schematu.

Proszę, proszę, pomyślał Ussmak. Zastanawiał się, jak długo już trwa ten konspiracyjny handel imbirem, jaki rozmiar przybrała korupcja wśród samców Rasy, i czy ktokolwiek z dowództwa ma o tym pojęcie. To były bardzo interesujące pytania. Ale odpowiedzi mogły poczekać. Teraz Ussmaka

interesowało tylko jedno: polizać szczyptę cennego proszku. W jego salce, jak w każdym pomieszczeniu na statku, był terminal komputerowy. Ussmak wystukał kod, żeby uzyskać dostęp do swojego konta i przelał dziesięciodniowy żołd na konto, które podał mu sanitariusz.

– Załatwione – powiedział.

– A teraz, gdzie mój imbir?

– Ale napalony, co? – odparł sanitariusz.

– Zobaczymy, co się da zrobić.

Mimo całej swej naiwności, Ussmak z pewnym opóźnieniem uświadomił sobie, że sanitariusz może zatrzymać jego pieniądze i nie dać mu nic w zamian. Gdyby tak się miało zdarzyć, postanowił zawiadomić władzę o handlu imbirem i ponieść karę razem z oszustem. Ale sanitariusz, gestem cyrkowego magika, wręczył mu fiolkę pełną sproszkowanego ziela. Ussmak już chciał ją otworzyć i posmakować imbiru. Ale poczuł się skrępowany; nie będzie tego robił w obecności sanitariusza. Nie chciał, żeby gadatliwy samiec widział, jaką ma nad nim władzę. Sanitariusz musiał zauważyć, że Ussmak pożąda imbiru, ale mimo to się powstrzymał przed spróbowaniem. Myślał teraz o czymś innym.

– Przypuśćmy, że skończy mi się żołd, a nadal będę chciał dostawać to ziele? Co będzie wtedy?

– Będziesz musiał obejść się smakiem.

Twardy ton w głosie sanitariusza zmroził Ussmaka. Ale samiec zaraz potem dodał – albo możesz znaleźć własnych przyjaciół, żeby im sprzedać imbir i za uzyskane w ten sposób pieniądze kupować towar dla siebie.

– Rozumiem...

Ussmak pomyślał, że nie jest to rozwiązanie na dłuższą metę. Po pewnym czasie każdy samiec we flocie inwazyjnej będzie sprzedawał imbir innemu samcowi. Chciał zapytać o to sanitariusza – zdawało się, że ma on odpowiedź gotową na wszystko – ale ten, gdy tylko dobił targu, opuścił salkę bez pożegnania. Ussmak otworzył plastikową fiolkę i wysypał trochę imbiru na dłoń, tak jak to robił sanitariusz. Mlasnął językiem. I znowu – przez chwilę – czuł się potężny, mądry, zdolny. Gdy te cudowne uczucia zaczęły zanikać, uświadomił sobie, że musi zrobić wszystko, żeby móc je jak najczęściej przeżywać. Nałóg sprawił, że ostrożne planowanie, które od tysiącleci było znakiem firmowym Rasy, wydało się rzeczą bez znaczenia. Jeśli zdobywanie imbiru oznaczać miało sprzedawanie go przyjaciołom... zawahał się. Po nieszczęściach, jakie przytrafiły mu się na polu walki, niewielu już miał przyjaciół. Ale jeśli będzie musiał, nawiąże nowe przyjaźnie i będzie miał komu sprzedać imbir. Pokiwał głową zadowolony z tej myśli. Mimo wszystko nadal jest zdolny do robienia planów. Tyle że nie mógł o nich myśleć bez wstrętu. Liu Hań popatrzyła na swój brzuch. Jeszcze się nie zaokrąglił, ale wkrótce to nastąpi. Zawiodła metoda liczenia kwart księżyca. Piersi bardziej jej nie urosną, ale już były pełne i twarde. Tuż pod skórą pokazały się nowe żyłki. Straciła apetyt. Znała te objawy. Już raz była ciężarna. Nie sądziła, żeby Bobby Fiore zauważył u niej brak miesiączki. Zastanawiała się, czy to dobry pomysł powiedzieć mu, że jest w ciąży. Nie miała wątpliwości, że to jego dziecko; a czyjeż by inne było, skoro oboje zamknęli się w tych klatkach? Ale pamiętała, jak nawet jej prawdziwy mąż stracił zainteresowanie nią, kiedy dowiedział się, że nosi w łonie ich dziecko. Jeśli tak potraktował ją Chińczyk, to jak zareaguje okrągłooki cudzoziemski diabeł? Bała się tego. Wkrótce drzwi do jej celi otworzyły się z sykiem. Małe łuskokóre diabły z karabinami wprowadziły Bobbiego Fiore. Pomyślała, że po tak wielu przeprowadzkach strażnicy-ludzie wpadliby w rutynę. Łuskokóre diabły nadal zachowywały się tak, jakby spodziewały się, że któreś z nich wyczaruje pistolet i zacznie do nich strzelać. Z bronią w pogotowiu, ostrożnie wycofały się z celi. Zanim drzwi się zamknęły, Liu Hań wstała z maty i podeszła do Bobbiego Fiore, żeby go

uściskać. Od dawna zobojętniała na to, że małe diabły ją obserwują, wiedzą o wszystkim, co robi. Poza tym, tęskniła za najprostszym nawet kontaktem z innym człowiekiem. Jego ramiona objęły jej plecy. Pocałował ją. Jedna ręka ześliznęła się i spoczęła na jej pośladku. Pobudzony członek dotykał jej biodra. Uśmiechnęła się leciutko. Świadomość, że nadal jest pożądaną sprawiała, że czuła się bezpieczniej. Kłamać mogły jego usta, nawet jego ręce, ale nie jego męskość. Całowali się nadal. Przycisnął ją mocno do siebie. Puścił ją, kiedy wreszcie musiał zaczerpnąć tchu.

– Zrobimy to teraz? – zapytał

– Tak, czemu nie? – odparła.

Jeśli ma mu powiedzieć, to najlepiej, żeby to było po stosunku, kiedy będzie rozleniwiony i szczęśliwy. A poza tym, co innego mają tu do roboty? Położyli się razem. Jego ręce i usta błędziły po jej ciele. Zamknęła oczy i rozkoszowała się tym, co robi. Pomyślała, że jest teraz znacznie lepszym kochankiem niż wtedy, gdy łuskoskóre diabły przyprowadziły go po raz pierwszy i zmusiły ich do stosunku. Umiała pokazać mu, czego od niego oczekuje bez ranienia jego dumy. Niektórych rzeczy sam się nauczył. Nagle westchnęła i zadrzała... Tak, był pojętnym uczniem. Jego broda i wąsy dodawały wrażeń do tego, co robił językiem. Przed nim знаła tylko gładko ogolonych mężczyzn.

– Jeszcze raz? – zapytał siadając.

– Nie, nie teraz – powiedziała po kilkusekundowym namyśle.

– Zatem – rzekł z uśmiechem.

– Teraz moja kolej. Nie miała nic przeciwko temu.

Był czysty dzięki tej niewielkiej ilości gorącej wody, którą dostawał do mycia. Widziała, ile mu daje przyjemności. Nagle pomyślała, że nauka była wzajemna. Nigdy wcześniej nie przyszło jej to do głowy. Wstrzymał oddech, gdy ściągnęła napletek. Był gorący. Ale ledwie dotknęła go ustami i językiem, poczuła mdłości i musiała przerwać.

– Co ci jest? – zapytał zaskoczony.

– Co się stało?

Liu Hań wiedziała, co się stało. Był to jeszcze jeden dowód, że jest w ciąży. Własnego męża też nie była w stanie zaspokajać w ten sposób, kiedy była brzemienna. Może był to jeden z powodów, dla których ignorował ją wtedy.

– Co się stało? – zapytał jeszcze raz Bobby Fiore.

Nie wiedziała jak odpowiedzieć. Jeśli mu powie, a on zobojętnieje wobec niej? Nie byłaby chyba w stanie wytrzymać tego. Ale on wkrótce sam się domyśli. Przypomniała sobie, jak dobrze się poczuła, kiedy na moment przejęła inicjatywę wobec Yi Min. To jej pomogło podjąć decyzję. Nie wiedziała, jak powiedzieć „dziecko” po angielsku albo w języku małych diabłów; wiedziała, że Bobby nie zrozumie po chińsku. Usiadła i pokazała rękami, jaki kształt przybierze jej brzuch za kilka miesięcy. Zmarszczył brwi, nie rozumiał. Udała, że kołysze w rękach noworodka. Jeśli tego też nie rozumiał, to nie wiedziała, co powiedzieć.

– Dziecko? – otworzył szeroko oczy. Powiedział to po angielsku. Zapamiętała natychmiast nowe słowo. Będzie go nieraz używać w ciągu najbliższych miesięcy i lat.

– Ty, ja, dziecko – czekała na jego reakcję. Z początku wyglądał jakby nie wiedział, co ma powiedzieć. Mruczał coś po angielsku.

– Do diabła, kto by pomyślał, że moje pierwsze dziecko będzie w połowie Chińczykiem? – nie rozumiała treści, ale trafiał do niej sposób, w jaki to wypowiedział. Sięgnęła ręką i położyła jego dłoń na swoim płaskim jeszcze brzuchu.

– Naprawdę?

– Naprawdę – odparła.

Nie miała wątpliwości. Gdyby wcześniej jakiegś miała, to odruch wymiotny rozwiązał je bez śladu.

– Co teraz będzie? – tego zdania używał, kiedy musiał coś przemyśleć. Jego ręka ześliznęła się niżej, między jej nogi.

– Czy nadal będziesz chciała...?

Nie dokończył tylko lekko ją potarł. Zastanawiała się, czy obchodzi go tylko dlatego, że oddaje mu swe ciało, ale ta przykra myśl zrównoważona była ulgą, jaką sprawiała jej świadomość, że nadal jej pragnie. Wszystko inne schodziło na dalszy plan. Rozwarła uda.

– Tak – powiedziała, a kiedy położył się na niej, zrobiła wszystko, by udowodnić, że mówi prawdę. Po akcji szybko się rozdzielili; małe łuskoskóre diabły tak przegrzewały pomieszczenie, że nie można było długo stykać się ciałami. Bobby Fiore patrzył na jej pępek, jakby chciał przebić ją wzrokiem.

– Dziecko – powiedział.

– Jak to się stało?

– Tak, dziecko – przytaknęła.

– Nic dziwnego, skoro my się – wykonała kilka ruchów biodrami – tyle razy.

– Tak, nie ma w tym nic dziwnego, ale i tak jestem zaskoczony.

Przez chwilę zamyślił się. Zastanawiała się, co też dzieje się w jego głowie, że aż marszczy czoło. Wreszcie się odezwał:

– Chciałbym móc coś zrobić, nie do diabła, chciałbym zrobić wszystko, co trzeba dla ciebie i dla dziecka.

Kiedy Liu Hań zrozumiała, co do niej mówi, opuściła wzrok na szarą matę, na której siedzieli. Nie chciała, żeby widział jej łzy. Jej mąż był całkiem niezłym człowiekiem, ale tego by nie powiedział. Że też cudzoziemski diabeł myśli w ten sposób... O cudzoziemskich diablach prawie niczego nie wiedziała, dopóki nie zamknięto jej w samolocie, który nigdy nie ląduje. Bobby Fiore sprawił, że zrozumiała, jak bardzo myliła się w swoich sądach na ich temat

– Co się stało? – zapytał.

– Co ci jest? Nie wiedziała, jak mu odpowiedzieć.

– Oboje musimy znaleźć sposób, żeby zaopiekować się... – położyła dłoń na brzuchu pomiędzy pępkiem a kępką czarnych włosów pokrywającą jej miejsce intymne.

– Tak. Trudna sprawa. Czy będziemy w stanie zrobić coś dla juniora siedząc tu pod kluczem?

Jakby dla podkreślenia jego słów, drzwi do celi otworzyły się. Mały łuskoskóry diabeł postawił na podłodze kilka puszek z żywnością. Wyszedł tyłem. Liu Hań zastanowiła się, czy bał się odwrócić do nich tyłem. To było śmieszne, tym bardziej że znajdowali się całkowicie we władzy małych diabłów. Ale obecność uzbrojonych strażników w drzwiach – ubezpieczali tego, który przyniósł jedzenie – wskazywała, jak bardzo małe diabły boją się jej gatunku. Uważała to za głupotę, ale małe diabły zawsze tak robiły. Jedzenie, jak zwykle, nie bardzo jej odpowiadało: trochę solonej wieprzowiny w kwadratowych, granatowych puszkach, pozbawiony smaku zielony groszek i małe żółte bryłki, na które Bobby Fiore mówił kukurydza. Do tego owoce w kleistym syropie. Tęskniła za ryżem, gotowanym na parze albo smażonymi warzywami i przyprawami, które знаła od dzieciństwa: sosem sojowym, imbirem, różnymi rodzajami pieprzu. Najbardziej brakowało jej herbaty. Bobby Fiore jadł metodycznie i bez wyrzydzania. Ten posiłek, jak i większość innych pochodził z zapasów uczynionych przez jego lud. Liu Hań zastanawiała się, czy cudzoziemskie diabły jadają w ogóle coś świeżego. Pojawiło się inne, znacznie ważniejsze zmartwienie. Liu Hań nie była pewna czy wieprzowina i cała reszta nie zaszkodzą jej. W czasie pierwszej ciąży nie chorowała, ale w wiosce

mówiło się, że każda ciąża jest inna. Ślina napłynęła jej do ust. Powstrzymała wymioty. Drżenie ustąpiło.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Bobby.

– Przez chwilę byłaś zielona. Liu Hań zaskoczył ten idiom, Bobby musiał go wytłumaczyć:

– Czy jest ci niedobrze z powodu ciąży?

– Nie wiem co mi jest – odparła Liu Hań słabym głosem.

– Nie mówmy o tym, proszę.

Odkrycie, że kobiety cudzoziemskich diabłów cierpiały na tę samą przypadłość, co Chinki, było nawet interesujące, ale nie chciała myśleć więcej o wymiotach spowodowanych ciążą. Mogłaby rzeczywiście... Podbiegła do zlewu w samą porę. Bobby Fiore umył puszkę po owocach, napełnił ją wodą i dał jej, żeby przepłukała sobie usta. Objął ją ramieniem.

– Mam dwie zamężne siostry. Obu się to zdarzało, kiedy oczekiwały dziecka. Nie wiem, czy chcesz o tym słuchać, ale powiadają, że dobrze jest mieć towarzystwo w cierpieniu.

Liu Hań nie rozumiała, co Bobby mówi, ale to nie miało znaczenia. Z wdzięcznością przyjęła wodę. Kiedy wypłukała usta i pozbyła się wstrętnego smaku, poczuła się znacznie lepiej. To nie było tak, jak z wymiotami spowodowanymi chorobą: kiedy ciało Liu Hań pozbyło się balastu, pozwoliło jej zapomnieć o dolegliwościach.

– Szkoda, że jaszczury nie mają tutaj księdza – powiedział Bobby Fiore.

– Chciałbym wychować dziecko w katolicyzmie. Wiem, że nie jestem najlepszym chrześcijaninem, ale staram się, jak mogę.

Liu Hań nie była najlepszego zdania o misjonarzach chrześcijańskich, których widziała w Chinach. Ale sprawa wychowania dziecka była w tej chwili jej najmniejszym zmartwieniem.

– Zastanawiam się, co zrobią ze mną małe łuskokóre diabły, kiedy zorientują się, że noszę dziecko – powiedziała.

Wiedziała, że jej strach nie jest bezpodstawny. W końcu, małe diabły porwały ją z wioski, potem z obozu, a kiedy była tutaj, w samolocie, który nigdy nie lądował, zmusili ją, żeby oddała się kilku mężczyznom; cieszyła się, że nie nosi dziecka żadnego z nich! Diabły mogły z nią robić, co im się spodoba. I nie dbać o to, co ona o tym sądzi.

– Cokolwiek by zrobiły, będą to musiały zrobić z nami dwojgiem – powiedział twardo Bobby Fiore.

Położyła mu rękę na ramieniu. Była mu wdzięczna, że nie opuszcza jej w potrzebie. Byłaby jeszcze bardziej wdzięczna, gdyby te odważne słowa miały cokolwiek wspólnego z rzeczywistością. Jeśli małe diabły postanowią trzymać ich w osobnych celach, to nic się na to nie poradzi.

– Powinnaś coś zjeść – powiedział.

– W końcu, nosisz kogoś w sobie.

– Zrobię tak. – Posłusznie – ale też ostrożnie

Liu Hań zjadła trochę kukurydzy, trochę groszku i nawet kawałek wieprzowiny, który został w puszcze. Czekala, aż żołądek znów zacznie się buntować, ale nic się nie stało. Miała nadzieję, że nie będzie więcej sensacji. Za późno zorientowała się, że małe łuskokóre diabły nie muszą czekać, aż brzuch się jej zaokrągli, żeby dowiedzieć się, że jest w ciąży. Tak przyzwyczaiła się do ruchomych obrazów, na których ją uwieczniały – nie tylko wtedy, kiedy miała stosunek, ale przez cały czas – że prawie o nich zapomniła. Ale jeśli łuskokóre diabły zdołają zrozumieć tę mieszaninę języków – angielskiego, chińskiego i ich własnego – której używała w rozmowach z Bobbim Fiore, dowiedzą się natychmiast. I co wtedy będzie? Gdyby były ludźmi, wiedziałyby wszystko już wtedy, kiedy nie dostałam miesiączki, pomyślała. Ale diabły nie zauważyły tego. Bobby Fiore nie uważał ich za

diabły, ale za stwory z innego świata. Liu Hań długo uważała, że to bzdura, ale czasem o tym myślała. Czy prawdziwe diabły byłyby takimi ignorantami w sprawach dotyczących śmiertelników, jak jej nadzorcy? W końcu, niewiele znaczyło, kim one były. I tak miały ją i Bobbiego Fiore w swojej mocy. Liu Hań myślała o tym, czy inne kobiety, porwane do samolotu, który nigdy nie lądował, też pozachodziły w ciążę. Jeśli musiały spełniać żądania diabłów, podobnie jak ona, to prawdopodobnie tak. Miała taką nadzieję. Nie chciała samotnie stanąć wobec próby. Popatrzyła na Bobbiego Fiore. Obserwował ją. Kiedy ich spojrzenia spotkały się, odwrócił wzrok. Zastanawia się, czy znowu będę wymiotować, domyśliła się Liu Hań. Uśmiechnęła się lekko. Cóż mężczyzna może wiedzieć o ciężarnej kobiecie. Niewiele. Także z tego powodu miała nadzieję, że nie jest tu jedyną kobietą z takimi objawami. Nagle przytuliła się z całej siły do Bobbiego, tak, jak nie przytulała się od czasu, kiedy za pierwszym razem okazał jej uprzejmość. Niechby i mężczyzna, niechby i zagraniczny diabeł, niechby nic nie wiedział o ciąży, ale w porównaniu z najmądrzejszym nawet z małych łuskokórych diabłów był prawdziwym Kung Fu-Tse. Dym i gorące powietrze owiały Davida Goldfarba, kiedy wszedł do gospody „White Horse”

– Zamknij te cholerne drzwi! – ryknęło trzech gości z różnych miejsc na sali.

Goldfarb szybko usłuchał. Przepchnął się przez tłum, żeby znaleźć się jak najbliżej kominka. Polana trzeszczące w ogniu i pochodnie, które zastępowały żarówki nadawały lokalowi wygląd średniowiecznej gospody. Były to czasy, kiedy ją zbudowano. Cienie skakały po ścianach jak żywe stworzenia, gromadziły się w kątach, sprawiając wrażenie, że zaraz stamtąd wypelzną. Goldfarb nigdy nie bał się ciemności, ale teraz lepiej rozumiał lęki swoich przodków. Odór niemytych ciał był także odstępstwem od tego, co zwykło się uważać za cywilizacyjną normę. Nikt się pod tym względem nie wyróżniał. Goldfarb wiedział, że on też nie pachnie najlepiej, ale co mógł na to poradzić? Gorącej wody nie było, a kto kąpał się w zimnej, aż prosił się o zapalenie płuc. Po chwili David przyzwyczaił się do przykrego zapachu i zapomniał o nim. Jego pełne napięcia rajdy dokonywane w lancasterze trwały nieprzerwanie. Jak do tej pory nie został strącony. Projekt badawczy również się sprawdzał. Jajogłowi ciągle starali się obliczyć, czy radar zamontowany na samolocie i używany prawie bez przerwy, dopomógł w zestrzeleniu większej liczby maszyn jaszczurów. Sylvia utorowała sobie drogę przez tłum. Uśmiechnęła się do Goldfarba i zapytała:

– Co ma być, kochanie? – w blasku ognia jej włosy błyszcząły jak stopiona miedź.

– Kufel tego, co macie – odparł. W „White Horse” nigdy nie brakowało piwa, ale też nigdy nie było piwa z tego samego browaru.

Goldfarb na chwilę objął kelnerkę w talii. Nie wymknęła mu się i nie dała po łapach, jak zrobiłaby wcześniej, zanim zaczął latać w zimne i przerażające noce. Przeciwnie, przysunęła się do niego jeszcze bardziej, pochyliła głowę tak, że ich usta spotkały się, a potem wysliznęła mu się z objęć, żeby zebrać zamówienia od innych klientów. Goldfarb pomyślał, że pożądanie tej dziewczyny bardziej go podnieca niż jej posiadanie. A może, po prostu, za dużo się spodziewał? Świadomość, że adoruje ją wraz z innymi mężczyznami nie sprawiała mu przykrości, dopóki nie należał do jej ulubieńców. Teraz, gdy stał się jednym z facetów, których obdarowywała względami, było inaczej. Nie uważał się za zazdrośnika. Po prostu chciał od niej więcej, niż miała ochotę mu dać. Musiał przyznać, że kiedy na sześciu tysiącach metrów wdychał zimny, cuchnący gumą tlen z butli, ogrzewała go myśl o jej nagim ciele przykrytym prześcieradłem. Jej biała bluzka znowu pojawiła się w ciemnym tłumie granatowych mundurów RAF-u i cywilnych tweedów. Podała Goldfarbowi kufel.

– Masz, kochanie. Powiedz mi, co o tym sądzisz.

Odeszła o krok i przechyliła głowę. Ostrożnie pociągnął łyk. Piwo, które pił we wcześniejszym okresie wojny, smakowało jak ambrozja w porównaniu z lurą serwowaną od czasu, gdy przybyły

jaszczury. Ale tym razem uniósł brwi ze zdumienia: piwo miało wspaniałą bogaty, aromat.

– To cholernie dobre! – powiedział zaskoczony. Pociągnął jeszcze jeden łyk, w zamyśleniu oblizwał usta.

– Jeszcze takiego nie piłem. Cholernie dobre. Skąd je zdobył twój szefunio? Sylwia zgarnęła rude kosmyki znad oczu.

– Sam je warzy.

– Nie mów – Goldfarb niedowierzał.

– Naprawdę – odparła oburzona Sylvia.

– Pomagamy mu razem z Daphne. To łatwe, jeśli wie się, jak to robić. Może po wojnie – o ile ta wojna się kiedyś skończy – otworzę własny mały browarek i pub. Będę cię zapraszała. Nie sądzę, żebyś puścił mnie z torbami. Goldfarb zręcznie uniósł i wychylił kufel.

– Przynieś mi jeszcze jeden.

Przyglądał się jej, kiedy przepychała się między klientelą. Odkąd przybyły jaszczury, była pierwszą osobą, która wspomniała o tym, co będzie po wojnie. Było różnie, kiedy myślało się o tym, co będzie, jak szkopy dostaną łupnia, ale z wojną przeciwko jaszczurom było inaczej. Zdawało się, że będzie trwała wiecznie, albo zakończy się rychłą klęską.

– Cześć stary – z boku odezwał się bełkotliwy głos. Goldfarb odwrócił głowę. Sądząc po trudnościach z wymową, Jerome Jones musiał zatankować o kilka kufli za dużo.

– Wiesz co miałem na kolację do ziemniaków? – zapytał drugi radarowiec.

– Przysmażany groszek, ot co.

Jego oczy zabłyły w pijackim triumfie.

– Mieć cokolwiek do ziemniaków, to już powód do dumy – przyznał Goldfarb.

W Wielkiej Brytanii brakowało żywności. Nie tylko dlatego, że produkcja rolna kraju nie wystarczała, żeby zaspokoić potrzeby mieszkańców. Jaszczury zbombardowały sieć kolejową i nie było jak dowozić żywności.

– Więc ty nie musisz chodzić z cholernie zadartym nosem, dlatego że zadajesz się z lotnikami.

Przysmażany groszek. – Jones mlasnął językiem i chuchnął w stronę Goldfarba. Nie czuło się groszku, raczej piwo.

– Nie zadzieram nosa, Jerome – powiedział Goldfarb z westchnieniem.

– Dostałem rozkaz i robię, co do mnie należy.

Wiedział, że jego kolega mu zazdrości. Jonesa nie wybrano do lotów lancasterem. Chodziło nie tylko o uczestnictwo w lotach, nikt bowiem nie mógł zarzucić Jonesowi braku odwagi, ale także o to, że Jerome nie miał teraz szans u kelnerek z gospody „White Horse”. W tej chwili był zbyt pijany, żeby się nimi zająć, nawet gdyby któraś z nich zrobiła przed nim striptiz i wciągnęła go w krzaki. Mrugnął, popatrzył na Goldfarba, jakby widział swojego przyjaciela po raz pierwszy, a może byłego przyjaciela? Po chwili opanował się.

– Wczoraj mieliśmy w koszarach światło – powiedział.

– Naprawdę? – rzekł Goldfarb, zastanawiając się, w jakim kierunku potoczy się teraz rozmowa.

Chciał, żeby Sylvia przyniosła mu wreszcie piwo. Nie musiałby się wtedy o nic martwić. W jego własnej kwaterze światła nie było już od kilku dni.

– Tak – odpowiedział Jones.

– Mieliśmy światło w koszarach. Mieliśmy światło. Po co ja ci to mówię? Żebym to ja wiedział, pomyślał Goldfarb.

Tymczasem pokrętny ciąg pijackich skojarzeń Jonesa przywiódł jednak jego myśl do celu.

– Słuchałem radia na falach krótkich. O to mi chodzi. Udało nam się złapać Warszawę.

– Naprawdę? Czy Rusie miał audycję?

– Nie powiedział ani słowa. Ani słowa.

Jones powtarzał z pijacką powagą.

– To właśnie chciałem ci powiedzieć. On jest jakimś twoim kuzynem, co?

– Tak, chyba tak. Jego babka była siostrą mojego dziadka.

Nikt nie był bardziej zaskoczony od Goldfarba, kiedy jego kuzyn objawił się jako rzecznik jaszczurów. W przeciwieństwie do swoich kolegów, wierzył w większość tego, co Rusie mówił o zbrodniach nazistów w Warszawie. Nie był tylko przekonany o tym, że życie pod okupacją jaszczurów było tak piękne, jak to opisywał Rusie. Kilka tygodni temu, kuzyn zniknął z anteny równie niespodziewanie jak się pojawił. Z początku jaszczury jako przyczynę podawały jego chorobę. Teraz nie mówiły już nic. Dla Goldfarba to milczenie było złowieszcze.

– Cholerny zdrajca. Pewnie ten skurwiel ich też sprzedał i odpłacili mu za to – wymamrotał Jones.

Goldfarb podniósł pięść, żeby mu przyłożyć. Nikt – nawet przyjaciel – nie będzie mówił o jego rodzinie w ten sposób. Ale w tym momencie wróciła Sylvia.

– Hejże, Davidzie, nawet o tym nie myśl – powiedziała ostrym tonem.

– Rozpoczniesz bójkę i wylecisz stąd na dobre – taki jest regulamin tego pubu. A ja nie będę cię chciała więcej widzieć.

Pierwsza groźba była trywialna. Druga... Goldfarb zawahał się i opuścił dłoń. Sylvia włożyła mu w nią ucho kufła. Jones stał, chwiejąc się lekko. Nie wiedział, jak niewiele brakowało, żeby oberwał od przyjaciela.

– Tak jest lepiej – powiedziała Sylvia, Goldfarb nie był tego pewien, ale w końcu pomyślał, że zabicie bezsilnego pijaczka niewiele ma wspólnego z obroną rodzinnego honoru. Jednym haustem opróżnił trzeci kufel. Sylvia spojrzała na niego krytycznym okiem.

– To ci powinno wystarczyć, chyba że chcesz się zaprawić tak jak on.

– Co mam innego do roboty? – śmiech Goldfarba zabrzmiał rubasznie nawet w jego własnych uszach.

Mocne piwo zaczęło już działać. Pytanie jednak nie było bezpodstawne. Radio i kino bez elektryczności nie funkcjonowały. Czytanie w długie zimowe noce było prawie niemożliwe. Pozostawało szukanie towarzystwa. A ciągłe loty i świadomość, że z któregoś można już nie powrócić, sprawiały że odprężenia można było szukać w alkoholu albo w seksie. Ale Sylvia tego wieczoru pracowała. Westchnął i pomyślał, że pewnie nie był jej pierwszym kochankiem, który czuł potrzebę upijania się. Prawdopodobnie nawet nie był pierwszym tego wieczora. Zapalał wściekłością, ale za chwilę mu przeszło. Jak może mieć do niej o to pretensję. Jerome Jones trącił go łokciem.

– Jest dobra? – zapytał, jakby Sylvia nie stała tuż obok.

– Wiesz o co mi chodzi? Mrugnął. Był tak pijany, że wypadło to wyjątkowo sprośnie.

– Ha, ładne rzeczy!

Sylvia aż pisnęła z oburzenia. Odwróciła się do Goldfarba.

– I ty mu pozwolisz tak o mnie mówić?

– Chyba tak – odparł Goldfarb. Sylvia jeszcze raz pisnęła z oburzenia. Machnął ręką, żeby ją uspokoić.

– Kilka minut temu zapobiegłaś jednej bójce. Chcesz teraz być przyczyną drugiej?

Zamiast odpowiedzieć, Sylvia nadepnęła mu na stopę. Pomyślał, że długo nie zobaczy następnego kufła, nie mówiąc już o jej sypialni. Spróbuj zrozumieć kobiety, pomyślał. Nie był

rycerzem w błyszczącej zbroi, a jej wiele brakowało, żeby mogła być dziewicą, której cnoty trzeba bronić. Ale gdyby powiedział to na głos, to zamiast deptać mu po nogach, pewnie kopnęłyby go kolanem w klejnoty rodzinne. Jones trącił go jeszcze raz łokciem.

– Bójka? Jaka bójka?

Zafrapowało go to bardziej niż niecodzienne zachowanie Sylvii. Nagle, absurdalność tej sceny przekroczyła granice wytrzymałości Goldfarba. Precisnął się przez tłum i wyszedł na zewnątrz. Stał na chodniku i myślał, dokąd pójść. Haust ostrego powietrza i nocny mróz, który poczuł na twarzy sprawiły, że ochłonął i pomyślał, że źle zrobił opuszczając gospodę. Ale nie mógł się zmusić do powrotu. Noc była jasna, na niebie płonęły gwiazdy. Było ich jakby więcej niż w czasach przed wprowadzeniem zaciemnienia. Droga Mleczna błyszczała jak cukier rozsypany na czarnych kafelkach podłogi. Zanim przybyły jaszczury, gwiazdy były przyjazne, a co najwyżej odległe. Teraz zdawały się zwiastować niebezpieczeństwo. Były przecież miejscem zamieszkania wroga. Od południa część nieba przesłaniał zamek w Dover. Już Sasi wznieśli tu fort. Ludwikowi VIII nie udało się zdobyć twierdzy w 1216 roku. Prawdopodobnie odstraszyła ona Francuzów od próby dokonania inwazji na Anglię. Henryk VIII rozbudował zamek. Następnie ustawiono działa forteczne przeciw Napoleonowi, kolejnemu francuskiemu najeźdźcy. Nieco później, w XIX wieku dodano wieżę z czterystamilimetrowym działem, żeby broniła portu przed atakami z morza. Budowniczo wieży nie przewidzieli jednak ataku z powietrza. Przed atakami samolotów niemieckich radar Goldfarba bronił skutecznie Dover i Anglię, ale wobec jaszczurów nawet radar był bezradny. Mały czerwony punkcik, mniejszy od świetlika, płynął w powietrzu wzdłuż St. James Street. Zbliżał się do Goldfarba. Już od dawna nie palił papierosów. Wraz z przerwaniem importu, najpierw przez niemieckie łodzie podwodne, potem przez jaszczury, tytoń prawie zniknął z rynku. W czasie wielkiego kryzysu ludzie zbierali w rynsztokach niedopałki. Goldfarb nigdy nie znalazł się w takiej sytuacji, ale pogarda, którą poczuł, kiedy po raz pierwszy to zobaczył szybko minęła. Najpierw zamieniła się w litość, a potem w akceptację. Teraz głód nikotynowy nie wynikał z braku pieniędzy, lecz z braku papierosów.

– Hej, przyjacielu, nie masz drugiego peta, żeby mi sprzedać? – zawołał Goldfarb do człowieka, który ukrywał się za kusząco żarzącym się punkcikiem.

Palacz zatrzymał się. Żarzący się koniuszek rozbłysnął przez chwilę mocniej, a potem przesunął się w bok; palący przesunął papierosa w kącik ust.

– Przykro mi, chłopie, zostały mi ostatnie trzy. Nie sprzedam ich. Ale możesz się raz sztachnąć.

Goldfarb zawahał się. Wydało mu się to w pewnym sensie gorsze niż zbieranie niedopałków. Ale niewidoczny palacz mówił uprzejmym tonem. Jeśli nawet nie chce sprzedać papierosa, to i tak wyświadcza mu grzeczność.

– Dziękuję – powiedział Goldfarb i podszedł do niego.

Zaciągnął się i przytrzymał dym w płucach. Wypuścił go z prawdziwym żalem. Właściciel papierosa palił nadal. Twarz oświetlał mu słaby purpurowy blask. Wyglądał na bardzo zadowolonego.

– Cholerna wojna – powiedział, wypuszczając dym.

– Prawda – rzekł Goldfarb. Zakaszłał. Lubił papierosy, ale jego organizm zdążył już odzwyczaić się od palenia.

– Zastanawiam się, czego zabraknie nam w następnej kolejności. Może herbaty?

– Straszna myśl. Ale pewnie masz rację. Niewiele tego ziela zbiera się w Anglii, co?

– Pewnie – powiedział Goldfarb przygnębionym głosem. Zastanawiał się, co zrobi bez porannej filiżanki herbaty. No cóż, będzie się musiał bez niej obyć.

– A co piliśmy zanim była herbata?

– Chyba piwo.

Palacz ostrożnie zgasił papierosa.

– Właśnie na to mam teraz ochotę. Ale nie chcę tam wchodzić z resztką papierosa w ustach. Słyszałem o facecie, któremu rozwalili głowę dla szczypty tytoniu do fajki. Nie mam ochoty pójść w jego ślady.

– Sprytne – przytaknął Goldfarb.

– W środku jest nakopcone. Nikt nie poczuje, że paliłeś.

– Też tak myślę.

Teraz palacza nie było widać. Słyszało się tylko jego głos w ciemności.

– Chciałbym spróbować szczęścia z tą rudą kelnerką, która tutaj pracuje... jak ona ma na imię?

– Sylvia – powiedział ponuro Goldfarb.

– Jasne, Sylvia. Widziałeś ją?

Nie czekając na odpowiedź, palacz dodał – poświęciłbym dla niej papierosa.

Odszukał w ciemności drzwi do gospody i wszedł do środka. Goldfarb stał na dworze jeszcze przez kilka sekund, potem poszedł do swojej odległej kwatery. Nie sądził, żeby Sylvia dała się kupić za peta, ale cóż to ma za znaczenie. I tak nie jest teraz jego. I tak naprawdę, nigdy nie była. Bardzo przyjemnie jest zaspokajać własne żądze, ale trzeba być rozsądnym, można się powstrzymać i nie oznacza to końca świata. W oddali słyszał ryk silników jaszczurzych samolotów. Zadrżał, ale nie dlatego, że mu było zimno. Zastanawiał się, kto tej nocy ma lot z radarem i czy temu komuś uda się wrócić na ziemię. Działa przeciwlotnicze zaczęły kanonadę. Prowadziły ją prawie zawsze bez rezultatów. Goldfarb znowu przeszedł dreszcz. Utrata Sylvii nie była końcem świata. W oddali słyszał huk związany z prawdziwym końcem świata.

Rozdział XVI

W oddali ujadały działa przeciwlotnicze. Heinrich Jager przysłuchiwał się temu z zawiścią. Gdyby Wehrmacht dysponował kiedyś takimi działami, to radzieckie lotnictwo przeżywałoby ciężkie czasy. Teraz, latając przeciwko jaszczurom, radzieckie lotnictwo też nie miało lekko. Ale huk dział przeciwlotniczych dowodził, że Sowietci kontynuują naloty. Jager przekonał się w ciągu jedenastu miesięcy wojny, przed inwazją jaszczurów, co znaczy zaciekle obrona. Teraz jaszczury uczą się, co oznacza sowiecki upór. Może Rosjanie nie kłamali, twierdząc, że jego koń służył w kawalerii. Na dźwięk odległej kanonady tylko poruszył uszami. Rzecz jasna można się było tylko domyślać, jakby zareagował, gdyby trzeba było strzelać z siodła. Przy odrobinie szczęścia nie będzie musiał tego sprawdzać.

– Te skurwysyny powinny załadować mnie do samolotu – powiedział Jager na głos, przede wszystkim po to, żeby w śnieżnej głuszy usłyszeć własny głos. Koń parsknął. Nie rozumiał po niemiecku; dali mu wykaz komend po rosyjsku. Ale szkapa i tak była zadowolona, gdy usłyszała ludzki głos. To jej przypomniało, że na grzbiecie ma jeźdźca. Okolica wyglądała na pełną wilków. Jager poklepał dłońią w rękawicze obite ołowiem sakwy. Znajdował się w nich udział, jaki przypadł Rzeszy w metalu złupionym przez partyzantów na jaszczurach pod Kijowem. I oto siedział w siodle i wiózł ten skarb do Niemiec.

– Chcą, żeby mi się nie udało – powiedział.

Koń znowu parsknął. Poklepał go po szyi.

– Naprawdę chcą tego.

Kiedy razem z klnącym pod niebiosą Maksem natrafili na oddział Armii Czerwonej, pozostający w bezpośrednim kontakcie z Moskwą, nie skąpiono mu pochwał i bardzo dokładnie podzielono wspólny łup. Wkrótce sprawy się skomplikowały. Powiedziano mu, że niestety, transport lotniczy jest nieosiągalny. Tak, pułkownik Armii Czerwonej rozumie, że major Jager chce wrócić jak najszybciej do Niemiec. Ale czy major Jager domyśla się, że najprawdopodobniej zostanie zestrzelony zanim tam dotrze? Nie, pułkownik nie może z czystym sumieniem ryzykować jego życia. Tym razem Jager parsknął głośniejsz niż koń.

Kiedy rosyjski pułkownik mówi, że nie chce ryzykować czyjegoś życia, to wiadomo, że coś tu cuchnie. W walce z Niemcami w poprzedniej i tej wojnie, Rosjanie nie mieli zwyczaju oszczędzać życia swoich ludzi Jager popędzał konia nogami, lejcami i głosem. Niewiele jeździł konno przed wybuchem pierwszej wojny, ale nadal pamiętał podstawy. Jazda wierzchem była zupełnie inna niż jazda czołgiem. Wewnątrz ciężkiej stalowej wieży człowiek czuje się odcięty od świata i chroniony przed wszystkimi niebezpieczeństwami... chyba że trafi go pocisk. Ale na grzbiecie konia ma się świat przed oczami. Tymczasem, świat prószył śniegiem w oczy Jagera. Rosjanie dali mu futrzaną czapkę, watowaną kurtkę i filcowe buty, więc nie było mu zimno. Dopiero teraz odkrył, jak ciepłe jest rosyjskie umundurowanie zimowe. Nic dziwnego, że Iwany dały Niemcom takie lanie ubiegłej zimy.

Pochylił się i szepnął konfidencjonalnie w końskie ucho

– Jeśli ktoś kiedy zapyta Kreml o tę sprawę, to będą mogli powiedzieć, że służyli mi wszelką pomocą, na jaką było ich stać. To tylko mnie się nie udało dotrzeć do Niemiec z tym towarem.

Ponownie poklepał sakwy.

– Ale wiesz co, rosyjski koniku? Mam zamiar zrobić im numer. Dojadę, czy im się to podoba, czy nie. Koń nie miał, oczywiście, najmniejszego pojęcia, co się do niego mówi Śnieg głuszył odgłos kopyt. Ciepło zwierzęcia ogrzewało wnętrze ud i siedzenie Niemca. Jager przypomniał sobie, że jego

czołg miał ogrzewanie, które zapewniało ciepło całej załodze. Chociaż teraz podobał mu się buchający od konia zapach siana: był lepszy niż odór oleju, benzyny i kordy tu wypełniający wnętrze czołgu

– Tak, koniku, o to właśnie chodziło Kremlowi – powiedział Jager.

Potrzebna im była niemiecka pomoc, żeby zdobyć ten metal, ale nie chcą, żeby Rzesza miała z tego korzyść. Chcą być jedynymi, którzy potrafią wyprodukować takie bomby. O to im chodzi. Jednej użyją przeciwko jaszczurom, a jak już pokonają jaszczury, to czy nie będzie przyjemnie drugą straszyć Niemców? Ale jak już ci mówiłem, koniku, nie mam zamiaru do tego dopuścić. Patrzył przed siebie, w tumany śniegu. Niestety jego życzenia nie musiały się pokrywać z tym, co mogło się wydarzyć. Wydawało mu się, że opuścił już ziemie należące przed wojną do Związku Radzieckiego. Znajdował się chyba na ziemiach należących do Polski, na które we wrześniu 1939 wtargnęła Armia Czerwona; później zostały zajęte przez Niemców, teraz okupowane były przez jaszczury. Tutaj również jaszczury miały swoich współpracowników wśród ludzi. Jager krzywo uśmiechnął się na myśl o tym. Kiedy był w Moskwie, kilka razy słuchał na falach krótkich Mosze Rusiego. Uznał go za kłamcę i zdrajcę ludzkości. Teraz... teraz nie był tego taki pewien. Za każdym razem, kiedy chciał wyśmiać ponure historie opowiadane przez partyzanta żydowskiego, przypominał sobie bliźnę na jego karku i przyprawioną klątwami opowieść o rzezi w Babim Jarze. Nie był w stanie uznać, że Maks kłamie, bez względu na to, jak bardzo tego pragnął. A jeżeli mówił prawdę, to i Rusie mógł nie kłamać. Długa jazda konno była okazją do przemyśleń. Co właściwie Rzesza robiła na zdobytych terytoriach? Jager był oficerem liniowym, a nie politykiem. Ale od niemieckich oficerów wymagano samodzielnego myślenia, a nie ślepego wykonywania rozkazów, jak od ich odpowiedników po stronie radzieckiej, czy jaszczurzej. Nie był w stanie zrozumieć, niemieckiej polityki eksterminacji ludności na podbitych terenach. Przejeżdżał koło opuszczonych, zniszczonych chałup. Ile czasu zajmie ludziom powrót do normalnego życia? A co najważniejsze: w jakich warunkach będą do niego wracać? Czy będą panami samych siebie, czy też niewolnikami jaszczurów na wieki? Jager nie mógł znaleźć odpowiedzi. Ludzkość znalazła sposoby, żeby walczyć z jaszczurami, ale nie potrafi ich jeszcze pokonać. Miał nadzieję, że w swoich jukach wiezie sposób na zwycięstwo. Droga – a właściwie trakt – wiodła obok brzozowego lasu. Zdjął karabin z ramienia i położył go sobie na kolanach. Niebezpieczni ludzie mogą się czaić między drzewami. Lekko się uśmiechnął. Parę tygodni temu sam był takim niebezpiecznym człowiekiem, a przynajmniej tak mogłyby o nim powiedzieć jaszczury. Zza drzewa wyszedł człowiek. Podobnie jak Jager ubrany był w mieszankę niemieckiego i rosyjskiego umundurowania na zimę. I tak samo jak Jager miał karabin. Nie wycelował w Niemca, ale w każdej chwili mógł to zrobić. Powiedział coś po polsku. Jager nie znał polskiego. Rozważał swoje szansę. Wstrzymał konia. Gdyby udało mu się celnie strzelić – nie miał na to gwarancji siedząc w siodle – i potem spiąć wierzchowca ostrogami, to może udałoby mu się uciec od tego... bandyty? Człowiek myślał widać podobnie.

– Lepiej tego nie próbuj – powiedział po niemiecku z obcym akcentem, kiedy domyślił się, że jeździec go nie rozumie.

– Obejrzyj się.

Jager nie odwrócił głowy. Mężczyzna stojący na drodze roześmiał się i oparł swój karabin o najbliższe drzewo.

– To nie sztuczka. Jazda, obejrzyj się.

Tym razem Jager wykonał polecenie. Zobaczył dwóch ludzi z karabinami. Zastanawiał się, ilu jeszcze czekało w ukryciu. Odwrócił się z powrotem do człowieka stojącego przed nim.

– W porządku, macie mnie – powiedział spokojnie.

– Co teraz?

Nie wiedział, co bardziej zakłopotowało tamtego, jego spokój, czy jego język. Partyzant chwycił za karabin. Był to mauser, taki jak Jagera.

– Wiedziałem, że jesteś hitlerowskim skurwielem – ryknął. Nie jeździsz jak Polak, czy Rosjanin. Powiniennem cię teraz zastrzelić.

Jagerowi zrobiło się zimno.

– Poczekaj, Josel – zawołał jeden z mężczyzn stojących za Niemcem.

– Mieliśmy go zabrać do...

– Jeśli chcecie mnie wydać jaszczurom, to wyświadczcie mi grzeczność i zastrzelcie mnie na miejscu – przerwał mu Jager.

Oto ziściły się jego najgorsze przewidywania. Jeśli jaszczury zmuszą go do mówienia – kto wie, jakie osiągnięcia mają w tej dziedzinie? – może zagrozić rosyjskim pracom nad zrabowanym materiałem. Niemieckie badania się nie rozpoczną.

– Dlaczego mielibyśmy wyświadczać grzeczność Niemcowi? – zapytał Josel.

Jager usłyszał za sobą ironiczne parsknięcia. Bezsensowne zabójstwo wisiało w powietrzu. Ale Jager domyślając się obecności Żydów wśród napotkanych, mężczyzn, znalazł odpowiedź.

– Dlatego, że walczyłem ramię w ramię z rosyjskimi partyzantami. Część z nich stanowili Żydzi. To, co zdobyliśmy na jaszczurach, wiozę ze sobą w jukach.

– Kłamka zapadła. Jeśli byli na usługach jaszczurów, to wpadł. Ale i tak by wpadł, gdyby jaszczury odkryły, co z sobą wiezie. Ale jeśli było inaczej... Josel splunął.

– Kłamiesz jak z nut. Gdzie to tak walczyłeś? Po drodze do Treblinki? – widząc, że ta nazwa nic nie znaczy dla Jagera dodał po niemiecku: Yernichtungslager, obóz zagłady.

– Nie wiem nic o obozach zagłady – upierał się Jager.

Ludzie stojący za nim ryknęli. Pomyślał, że zaraz go zastrzelą. Dodał więc szybko:

– Nie słyszałem o Treblince. Ale jeden z Żydów w oddziale partyzanckim przeżył masakrę w miejscowości o nazwie Babi Jar, w okolicach Kijowa. Działaliśmy razem dla wspólnego dobra.

– A więc wiesz o Babim Jarze, ty hitlerowcu? No i co o tym sądzisz?

– Poszedłem na wojnę przeciwko Armii Czerwonej – odparł bez namysłu Jager. Jestem żołnierzem, a nie mordercą.

– Jakby u hitlerowców była różnica! – rzekł z pogardą Josel. Ale nie uniósł lufy karabinu. Zaczął rozmawiać ze swymi towarzyszami – po polsku i po żydowsku. Ten ostatni język Jager rozumiał. Na razie czekał na to, co się stanie.

– Jeżeli słyszałeś o Babim Jarze – powiedział Josel – to domyślasz się, dlaczego z dwojga złego Żydzi wolą jaszczury od Niemców. Jager skinął głową. Po kilku minutach, jeden ze stojących za nim powiedział:

– W porządku, złaż z konia.

Jager wykonał rozkaz. Był gotów błyskawicznie odwrócić się i otworzyć ogień na każdy podejrzany szmer. Gdyby miało do tego dojść, to nie będzie biernie czekał na śmierć. Ale wtedy ten z tyłu rzekł:

– Możesz zawiesić karabin na ramieniu, jeśli masz ochotę.

Jager zawahał się. To mogła być pułapka. Odpręży się i wtedy łatwiej go dopadną. Ale i tak zdany był na ich łaskę i niełaskę, a przecież nikt, kto ma choć szczyptę rozumu w głowie, nie zostawia broni wrogowi. Przewiesi broń przez ramię.

– Co macie zamiar ze mną zrobić? – zapytał.

– Jeszcze nie postanowiliśmy – odparł Josel.

– Na razie pójdiesz z nami. Idziemy do kogoś, kto podejmie decyzję.

Twarz Jagera musiała mieć dziwny wyraz, bo partyzant dodał – to nie jaszczur, ale jeden z nas.

– W porządku – powiedział Jager – ale chcę wziąć konia. To, co dźwiga w jukach jest ważniejsze ode mnie. Wasz oficer musi się o tym dowiedzieć.

– Złoto? – zapytał mężczyzna, który kazał Jagerowi zsiąść z konia.

Nie chciał, żeby ci ludzie myśleli, że bagaż nadaje się do zrabowania.

– Nie, to nie złoto. Jeśli NKWD się nie myli, to jest to ten sam materiał, którego jaszczury użyły do zbombardowania Berlina i Waszyngtonu. To wywołało wrażenie.

– Chwileczkę – powiedział powoli jeden z partyzantów.

– Rosjanie pozwolili ci zabrać ten... towar do Niemiec? Jak to możliwe? Zdawało się, że chciał dodać; dlaczego nie zostawili wszystkiego dla siebie?

– Jestem pewien, że gdyby mogli, zabraliby wszystko – odpowiedział Jager z uśmiechem.

– Ale, jak już mówiłem, materiał zdobyła połączona grupa niemiecko-radziecka. I chociaż Rosjanie mają powody, żeby nas nie lubić, to wiedzą, że mamy niezłych naukowców. I w taki oto sposób... – poklepał sakwy przytroczone do siodła. Mężczyźni znowu zaczęli rozmawiać między sobą. Tym razem prawie wyłącznie po polsku.

– W porządku – powiedział w końcu Josel.

– Zabierz swojego konia razem z ładunkiem.

– Musicie trzymać mnie z dala od jaszczurów – zażądał Jager.

– Nie da rady – roześmiał się Josel.

– Musimy cię po prostu ukryć. To nie to samo. Ruszaj się, już za dużo czasu zmarnowaliśmy na pogawędkę.

Żyd wiedział, co mówi. Jager nie widział jeszcze nigdy tylu jaszczurów z bliska, ilu zobaczył przez kilka następnych dni. Żaden nie zwrócił na niego uwagi. Sądziły, że jest jeszcze jednym partyzantem. Tego wieczoru dotarli do większego miasta.

– Jak się nazywa ta miejscowość? – zapytał Jager.

– Hrubieszów.

Miasto miało wybrukowane kocimi łbami ulice, przy których stały trzypiętrowe kamienice z okiennicami z lanego żelaza, i centralną aleją, której środkiem biegł zadrzewiony pas zieleni. Josel podszedł do jednej z kamienic i powiedział coś do człowieka, który otworzył mu drzwi.

– Wejdz i zabierz juki – zwrócił się do Jagera.

– Zabierzemy konia za miasto. Gdyby tu został, ludzie zaczęliby zadawać niewygodne pytania. Jager wszedł. W drzwiach przepuścił go siwowłosy Żyd.

– Witaj, jestem Lejb. Jak mam do ciebie mówić?

– Ich heisse Heinrich Jager – odparł major.

Przyzwyczał się już do przerażonych spojrzeń, jakimi go obrzucano, kiedy odzywał się po niemiecku. Ale to był jedyny język, którym płynnie się posługiwał. Poza tym był przecież Niemcem. Nie mógł temu zaprzeczyć.

– Mam nadzieję, że moja obecność nie zakłóci spokoju szanownego pana – powiedział sztywno

– Hitlerowiec... w moim domu. Oni chcą, żebym pana przyjął w moim domu

Lejb nie mówił do Jagera, nie mówił też do siebie. Kto zatem zostawał? Chyba Bóg. Nagle Lejb poderwał się i zamknął drzwi.

– Spojrzał na Jagera. Zdawało się, że zmusił się do tego, żeby to uczynić.

– Napijesz się herbaty? Jest kartoflanka w garnku, gdybyś miał ochotę.

– Tak, proszę. I dziękuję bardzo.

Herbata była gorąca. Zupa też gorąca i smaczna. Lejb koniecznie chciał dać Jagerowi dokładkę. Starał się nie okazać złym gospodarzem. Ale nie chciał jeść z nim razem. Począł, aż Niemiec dokończy, zanim sam zasiadł do stołu. Tak to wyglądało przez najbliższe dwa dni. Jager spostrzegł, że dostaje tę samą wyszczerbioną miskę i ten sam kubek do każdego posiłku. Zastanawiał się, czy Lejb potem je wyrzuci razem z posłaniem i wszystkim, czego Jager dotykał. Nie pytał z obawy, że Żyd potwierdzi jego przypuszczenia. Już zaczął myśleć, że zapomniano o nim, gdy pod osłoną nocy przybył Josel.

– Ktoś chce cię widzieć – powiedział.

Nieznany mu osobnik wszedł do pokoju. Był młodszy niż Jager się spodziewał po kimś tak ważnym. Nie podał mu ręki.

– A więc ty jesteś tym Niemcem z interesującym bagażem? – mówił po niemiecku.

– Tak – odparł Jager.

– Kim jesteś? Nowo przybyły uśmiechnął się lekko.

– Mów mi Mordechaj.

Sądząc po zaskoczeniu Josela, mogło to być jego prawdziwe imię. Ryzykant, pomyślał Jager. Im bardziej przyglądał się Mordechajowi, tym większe wywierał na nim wrażenie. Młody, prawda, ale oficer w każdym calu; jego jasne oczy były przymrużone i uważne. Gdyby nosił niemiecki mundur, miałby pewnie naszywki pułkownika i dowodziłby pułkiem jeszcze przed czterdziestką. Jager rozpoznawał ten typ.

– O ile się orientuję, jesteś żołnierzem wojsk pancernych i ukradłeś jaszczurom coś ważnego – powiedział przybyły.

– Josel mówił mi co nieco, ale chciałbym usłyszeć relację z pierwszej ręki.

– Chwileczkę – powiedział Jager. Wy, Żydzi współpracujecie z jaszczurami, a teraz chcecie ich zdradzić. Udowodnij, że nie chcecie mnie wydać w ich ręce.

– Gdybyśmy chcieli, dawno moglibyśmy to zrobić – zwrócił mu uwagę Mordechaj.

– A co do tego czy i jak współpracujemy z jaszczurami... hm. Kiedy wasze wojska wtargnęły do Rosji, Finlandia na tym skorzystała. Czy myślisz, że Finowie z tego powodu wielbią was i Fuhrera?

– Cóż... może i nie – przyznał Jager.

– I co z tego?

– A to, że pomagaliśmy jaszczurom w walce przeciwko wam, ale robiliśmy to dla własnych celów – na przykład, żeby przeżyć. Nie musimy ich kochać. Powiedziałem ci już wszystko. Nawet więcej niż na to zasługujesz. Teraz twoja kolej.

Jager zaczął mówić. Mordechaj przerywał mu co pewien czas, zadając wnikliwe pytania. Niemiec zaczął odczuwać dla niego szacunek. Domyślał się, że jego rozmówca wie sporo o wojnie, a szczególnie o operacjach partyzanckich. Uznał go za wysokiego rangą oficera. Ale nie spodziewał się, że Mordechaj będzie miał taką wiedzę o materiale zdobytym na jaszczurach. Chociaż nie widział nawet tych pokrytych błotem kawałków metalu, wiedział o nich więcej niż sam Jager. Kiedy Jager skończył, Mordechaj zamyślony zapatrzył się w sufit.

– Wiesz, zanim się ta wojna zaczęła bardziej mnie interesował Marks niż słowo Boże – powiedział.

Mówił z coraz mocniejszym akcentem, połykał samogłoski. Jager z coraz większą trudnością nadażał za jego słowami.

– Odkąd wy, hitlerowcy, zamknęliście mnie w getcie i chcieliście mnie zagłodzić na śmierć, zacząłem mieć wątpliwości. Teraz wiem, że kiedyś zbłądziłem.

– Dlaczego właśnie teraz? – zapytał Jager.

– Bo musiałbym być bardzo mądry, żeby podjąć decyzję, czy pomóc wam, Niemcom, w walce przeciwko jaszczurom za pomocą ich własnej, strasznej broni. Josel pokiwał głową.

– To samo myślałem – powiedział. Mordechaj uciszył go machnięciem ręki.

– Chciałbym, żeby ta decyzja obciążyla kogoś innego. Przed wojną chciałem być inżynierem – spojrzenia Mordechaja i Jagera spotkały się.

– Teraz, dzięki Nienlcom, stałem się żołnierzem.

– Zawsze nim byłem – rzekł Jager. Kiedyś, przed pierwszą wojną, chciał studiować archeologię śródziemnomorską. Ale w okopach we Francji zrozumiał, w czym jest naprawdę dobry i jak bardzo jego ojczyzna potrzebuje ludzi przejawiających zdolności w tym kierunku. W porównaniu z tym, archeologia była mało ważna.

– I tak oto, stajemy przed wyzwaniem, które rzuca nam przyszłość – powiedział w zamyśleniu Mordechaj.

– Tak – potwierdził Jager. Mordechaj znów zmierzył go wzrokiem, tym razem z wyrazem żołnierskiej kalkulacji.

– Najprościej byłoby zastrzelić cię i wrzucić twoje ciało do Wisły. Tylu już poszło tą drogą, że następnego nikt by nie zauważył. A za tobą cisnąłbym twoje juki i nie musiałbym budzić się w nocy cały w potach, bojąc się na samą myśl o tym, co wy, hitlerowcy, poczniecie z tym materiałem, który ukradliście.

– Nie... budziłbyś się w potach ze strachu, że już nikt nigdy nie pokona jaszczurów. Jager starał się mówić spokojnym głosem. Nieraz już narażał swoje życie na polu walki, ale nigdy nie wyglądało to tak, jak teraz – przypominało to bardziej grę w pokera niż wojnę. Dorzucił jeszcze jeden argument przemawiający na jego korzyść.

– Bez względu na to, co ze mną zrobicie, Stalin ma już swoją działkę. Nie oblejesz się potem na myśl o tym, co zrobią bolszewicy?

– Tak, to prawda.

Mordechaj westchnął.

– Lepiej, gdyby tę decyzję podjął ktoś mądrzejszy ode mnie. Znowu miał zamiar westchnąć, ale nagle głęboko odetchnął. Kiedy spojrzał na Niemca, jego oczy błyszczały.

– Być może Salomon pokazał nam rozwiązanie – powiedział cicho Mordechaj.

– Co masz na myśli? – ale Jager dobrze znał Biblię. Jego oczy bezwiednie skierowały się na sakwy stojące pod ścianą.

– Chcesz przeciąć je na pół, prawda?

– To właśnie chcę zrobić, Jager – odparł Mordechaj.

– Właśnie to. W porządku, możesz zatrzymać trochę z tego, co masz. Wy hitlerowskie sukinsyny jesteście spryciarzami, przyznaję to; może uda się wam coś z tym zrobić. Ale poza wami i Rosjanami ktoś inny też musi mieć szansę.

– O kim myślisz, o was? – zapytał Jager.

Myśl o Żydach dysponujących taką bronią przerażała go nie mniej niż Mordechaja myśl o Niemcach mających w rękach super-bombę. Ci Żydzi mieli za dużo powodów, żeby wypróbować bombę na kraju Jagera. Ale Mordechaj pokręcił głową.

– Nie o nas i nie o Polakach myślałem. Nie mamy ludzi, nie mamy laboratoriów, a poza tym kręci się tu za dużo jaszczurów, żeby udało się utrzymać tajemnicę.

– Więc kto? – zapytał Jager.

– Myślałem o Amerykanach – odparł Mordechaj.

– Stracili Waszyngton, więc na własnej skórze się przekonali, że to działa. A z tego, co wiemy,

od jakiegoś czasu już nad tym pracują. Mają wielu naukowców – wielu z nich uciekło tam przed wami. Poza tym, Ameryka jest duża. Można tam znaleźć wiele miejsc, żeby się ukryć przed jaszczurami. Jager zaczął myśleć o sprawie. Była w nim instynktowna niechęć do przekazywania materiału strategicznego w ręce wroga, ale w porównaniu z jaszczurami, Amerykanów traktował jak sojuszników. A nawet ze względów politycznych był przekonany, że im większa znajdzie się przeciwwaga dla Moskwy, tym lepiej.

– Jak masz zamiar przewieźć materiał przez Atlantyk? Spodziewał się, że zaskoczy tym pytaniem Żyda, ale Mordechaj miał już odpowiedź.

– To da się zrobić łatwiej, niż ci się wydaje. Jaszczury już nam tak nie ufają, ale nadal możemy się poruszać całkiem swobodnie. Dojdziemy zatem do morza...

– I co dalej? – zapytał Jager.

– Załadujecie juki na frachtowiec i popłyniecie do Nowego Jorku?

– Dla ciebie brzmi to jak dowcip, ale ja myślę, że tak właśnie zrobimy – odparł Mordechaj.

– Transport morski jest zdumiewająco duży. Jaszczury nie niszczą go tak intensywnie jak pociągi i ciężarówki. Ale nie miałem zamiaru używać frachtowca. Jest sposób na to, żeby wezwać łódź podwodną bez wiedzy jaszczurów. Robiliśmy to już dwa razy, możemy to zrobić jeszcze raz.

– Łódź podwodna? – amerykańska, dodał w myśli Jager. Nie, bardziej prawdopodobne, że brytyjska? Bałtyk był niemieckim jeziorem; jeszcze kilka miesięcy temu kapitan brytyjskiej łodzi podwodnej musiałby być samobójcą, żeby wystawiać tam swój peryskop. Ale teraz Niemcy mają większe zmartwienia niż brytyjskie łodzie podwodne.

– Wiesz, to jest tak zwariowany pomysł, że może być dobry.

– Och, tak. Jesteśmy zwariowani – powiedział Mordechaj.

– Jeśli nawet nie byliśmy zwariowani przed wojną, to teraz wam to zawdzięczamy.

– Jego śmiech pełen był autoironii.

– Dzisiaj mój stan się jeszcze pogorszył, skoro pomagam hitlerowcom w zmaganiu czegoś, co może oznaczać koniec świata.

– Tak

Jager czuł się równie dziwnie, współdziałając najpierw z komunistami, a potem z Żydami. Teraz, kiedy był już blisko Niemiec, zaczął myśleć, co jego przełożeni powiedzą o jego sprawkach od czasu, kiedy jaszczury rozwalily mu czołg. Ale skoro świat zupełnie oszalał, zawartość sakw powinna stać się odkupieniem za największe nawet skażenie ideologiczne. Miał, przynajmniej, taką nadzieję.

– Zgoda? – zapytał Mordechaj.

– Zgoda – odparł Jager.

Nigdy potem nie mógł sobie przypomnieć, kto wyciągnął rękę jako pierwszy. Atvar zajęty był czytaniem najnowszych raportów o tym, jak Rasa radzi sobie ze zwariowaną zimową aurą na Tosev 3, kiedy dźwięk z komputera przypomniał mu o wyznaczonym spotkaniu.

– Drefsab, to ty? – powiedział do mikrofonu.

– To ja, dostojny panie floty – dotarła odpowiedź z przedpokojem. Nikt, rzecz jasna, nie pozwoliłby czekać dowódcy sił zbrojnych Rasy, ale formalnościom musiało stać się zadość.

– Wejdz, Drefsab – rzekł Atvar i nacisnął guzik otwierający drzwi.

Pan floty syknął z przerażenia, kiedy Drefsab wszedł do jego biura. Był to jeden z najinteligentniejszych jego samców. Infiltrował sztab Strahy, żeby dowiedzieć się, co knuje pan statku. Prowadził też pojedynki z agentami wywiadu Wielkich Brzydali, którym, co prawda, brakowało odpowiedniego oprzyrządowania, ale w intrygach potrafili dorównać nawet członkom

cesarskiej świty. Zawsze był świeży i opanowany. Teraz malowidła na jego ciele były zamazane, łuski matowe, a źrenice rozszerzone.

– Co ci się stało, na cesarza? – krzyknął Atvar.

– Na cesarza, dostojny panie floty, muszę zameldować, że nie jestem zdolny do pełnienia służby

– odparł Drefsab opuszczając oczy. Nawet jego głos brzmiał chrapliwie.

– Widzę – odparł Atvar.

– Ale co się stało? Jak doprowadziłeś się do takiego stanu?

– Uznałem za swój obowiązek, dostojny panie floty, zbadać, jak tosewickie ziele zwane imbir wpływa na nasze samce. Zdaję sobie sprawę, że działałem bez rozkazu, ale uznałem, że problem jest w tym stopniu poważny, iż usprawiedliwia złamanie pragmatyki służbowej.

– Kontynuuj – powiedział Atvar.

Samce, które robiły cokolwiek bez rozkazu, były niezwykle rzadkie wśród członków Rasy. Natomiast pośród Wielkich Brzydali ten rodzaj inicjatywy zdawał się być aż nadto pospolity. Jeśli teraz miałyby to szerzyć się wśród jego żołnierzy, to pan floty wolałby, żeby jego statki nigdy nie opuszczały rodzimej planety.

– Dostojny panie floty, aby ocenić zarówno działanie imbiru, jak i powody, dla których tak szybko rozprzestrzenia się jego sprzedaż, uznałem za niezbędne samemu skosztować próbkę. Z żalem muszę powiadomić dostojnego pana floty, że padłem ofiarą nałogu. Prymitywni przodkowie samców Rasy byli mięsożernymi łowcami. Atvar zagiął szpony, jakby chciał rozedrzeć kogoś na sztuki. Miał już dość złych wieści. Tosev 3, a szczególnie zima na północnej półkuli planety, dostarczała mu ich w nadmiarze. Musiał coś powiedzieć. Nie wiedział co. Wreszcie spróbował:

– Jak mogłeś zrobić coś równie głupiego, wiedząc, ile znaczysz dla Rasy?

Drefsab spuścił ze wstydu głowę.

– Dostojny panie floty, w mojej arogancji doszedłem do wniosku, że mogę zbadać, a nawet spróbować tego niedozwolonego ziele i ominą mnie szkodliwe efekty uboczne. Niestety, myliłem się. Nawet w tej chwili trawi mnie głód imbirowy.

– Jak to jest, kiedy spróbuje się tej substancji?

– Pan floty czytał raporty, ale nie miał już do nich takiego zaufania, jak kiedyś, na rodzimej planecie. Na przykład, raport o Tosev 3 mówił, że podbój będzie łatwy.

– Czuję się większy niż jestem, lepszy niż jestem, jakbym był w stanie sprostać każdej próbie – powiedział Drefsab.

– Kiedy działanie substancji ustaje, tęsknię za tym uczuciem każdą łuską mojej skóry.

– Czy to uczucie ma jakiś związek z rzeczywistością? – zapytał Atvar.

– Chodzi mi o to, czy obiektywnie rzecz biorąc, zażywanie imbiru może podnieść wydajność?

– Przez moment miał nadzieję, że jeżeli szkodliwy proszek okaże się być pożytecznym farmaceutykiem, to z postępuku Drefsaba mogłaby wynikać jakaś korzyść. Ale oficer stłumił tylko długie, ciężkie westchnienie.

– Obawiam się, że nie, dostojny panie floty. Sprawdzałem pracę, którą wykonałem wkrótce po zażyciu imbiru. Było w niej więcej błędów niż zazwyczaj. Nie zauważyłem, jak je popełniam, bo znajdowałem się w stanie euforii wywołanej narkotykiem. A kiedy przez jakiś czas nie zażywałem imbiru... dostojny panie floty, wtedy jest bardzo źle.

– Bardzo źle – głucho powtórzył Atvar.

– Jak znosisz głód imbirowy, Drefsabie? Czy zaspokajasz go przy pierwszej nadarzającej się okazji, czy też starasz mu się oprzeć?

– To drugie – odparł Drefsab z pewną melancholijną dumą.

– Staram się wytrzymać jak najdłużej między jednym a drugim lizaniem, ale z upływem czasu te okresy są coraz krótsze. Gdy odczuwam głód, moja wydajność jest też znacznie mniejsza.

– No tak – powiedział Atvar z żalem. Zaczął rozważać sprawę pragmatycznie: jak najlepiej wykorzystać tego nieodwracalnie upośledzonego samca? Decyzję podjął szybko:

– Jeśli uważasz, że będziesz bardziej przydatny dla Rasy zażywając imbir, to bierz go tyle, ile wiesz, żeby funkcjonować na najwyższym możliwie poziomie. Nie dbaj o nic innego. Rozkazuję ci to dla dobra Rasy.

– Tak jest, dostojny panie floty – wyszeptał Drefsab.

– Poza tym, rozkazuję ci, żebyś spisywał w formie dziennika swoje reakcje na imbir. Lekarze oceniają to, dotąd z pewnego dystansu; twoja analiza z punktu widzenia osoby zażywającej imbir dostarczy im cennych danych.

– Tak jest – powtórzył Drefsab, tym razem z większą energią.

– Co więcej, nie ustawaj w śledztwie dotyczącym handlu tym narkotykiem. Złap tyłu, ilu tylko zdołasz, zamieszanych w ten podły handelek.

– Tak jest, dostojny panie floty – powtórzył Drefsab po raz trzeci. Przez moment wyglądał jak młody, bystry samiec. Takiego go zawsze widział Atvar. Ale w chwilę później oficer wiele stracił w oczach zwierzchnika.

– Dostojny panie floty – zapytał żalonym tonem.

– Jeśli ich wszystkich wyłapię, to skąd wezmę następne dawki imbiru? Atvar ukrył niesmak.

– Zostaw tyłu, żeby miał ci kto dostarczać towar. Pomyślał, że Drefsab, nawet uzależniony od nałogu, będzie i tak lepszym agentem niż jakikolwiek inny zdrowy samiec wyznaczony na jego stanowisko. Żeby uspokoić swoje sumienie dodał:

– Nasi lekarze będą kontynuować badania, żeby znaleźć odtrutkę na to tosewickie ziele. Niech duchy cesarza sprawią, żeby stało się to jak najszybciej.

– Tak, dostojny panie floty. Nawet teraz odczuwam...

– Drefsab zadrżał i przerwał w połowie zdania.

– Czy dostojny pan floty zechce łaskawie pozwolić, żebym się oddalił?

– Tak, idź Drefsabie. I niechaj zmarli cesarze patrzą na ciebie łaskawym okiem.

Drefsab zsalutował drżącą ręką, ale widać było, że trochę się opanował, kiedy opuszczał gabinet pana floty. Atvar wskazał mu nowy cel. Pan floty był przygnębiony, kiedy wrócił do papierkowej roboty. Nienawidzę tego przekłętą świata, pomyślał. Wygląda na to, że stworzono go po to, żeby przywiódł Rasę do szaleństwa. Jego decyzja dotycząca Drefsaba też nie przyniosła mu ulgi. Podwładni samcy winni byli zwierzchnikom posłuszeństwo; ci z kolei zobowiązani byli odpłacać się wsparciem i poważaniem. Tymczasem on potraktował Drefsaba, jak pożyteczne, ale tanie narzędzie: widział pęknięcia, lecz postanowił używać go póki się nie złamie, by dopiero potem zatroszczyć się o nowe. Na rodzimej planecie nigdy by nie wykorzystał w ten sposób innego samca. Na rodzimej planecie płaścił się w luksusach, o których dawno zapomniał na Tosev 3. Na przykład ilość czasu do namysłu. Rasa uczyniła punkt honoru z tego, by niczego nie przedsięwziąć bez głębokiego namysłu. Kiedy planuje się w kategoriach tysiącleci, to cóż znaczy dzień, albo rok? Ale Wielkie Brzydale postępowały inaczej. Wymuszały na nim pośpiech i dokonywanie ciągłych korekt tą swoją przekłątą zmiennością.

– Zepsuli mnie tak, jak Drefsaba – powiedział ponuro i ponownie wziął się do roboty.

– Co to takiego? – zapytał Sam Yeager, podnosząc ze stołu jakieś urządzenie laboratoryjne, które zamierzał zapakować do kartonowego pudła.

– Centryfuga – odparł Enrico Fermi. Yeager wiedział to samo wcześniej. Laureat Nagrody

Nobla miał stare gazety – niewiele już zostało nowych gazet w tych czasach – i wykladał nimi pudła.

– Nie mają tych centryfug tam, dokąd jedziemy? – zapytał Yeager. Fermi wyrzucił w górę rękę.

Ten gest przypomniał Yeagerowi Bobbiego Fiore.

– Kto wie, co tam mają? Im więcej zdołamy zabrać, tym mniej będziemy zależni od przypadku.

– To prawda, profesorze, ale im więcej zabierzemy, tym wolniej będziemy się poruszać i tym większy cel będziemy stanowić dla jaszczurów.

– Jest tak, jak mówisz, ale musimy podjąć to ryzyko. Jeśli po przenosinach nie będziemy w stanie wykonać pracy, której się od nas wymaga, to równie dobrze moglibyśmy zostać tutaj, w Chicago. Wynosimy się stąd nie jako jednostki, ale jako funkcjonujące laboratorium – odparł Fermi.

– To pan jest szefem.

Yeager zamknął pudło i zakleił je taśmą. Z kieszeni spodni wyciągnął ołówek kopiowy.

– Jak się pisze centryfuga?

Kiedy Fermi powiedział mu, napisał to na wierzchu i po bokach pudła wielkimi literami. Przy pakowaniu następnej centryfugi zabrakło mu taśmy. Wszedł więc na korytarz, żeby wziąć następną rolkę. W tych dniach Laboratorium Metalurgiczne dostawało wszystko w najlepszym gatunku z tego, co zostało w Chicago. Wracał właśnie, żeby dalej pomagać Fermiemu, kiedy na korytarz wyszła Barbara Larssen. Mrożone szkło drzwi, zza których wyszła, oklejone było taśmą. Miała ona zapobiegać rozsypaniu się odłamków szkła, gdyby w okolicy wybuchła bomba.

– Cześć, Sam – powiedziała Barbara.

– Jak ci się wiedzie?

– Nieźle – odpowiedział i zamilkł na chwilę.

– Jestem zmęczony. A co u ciebie?

– Mniej więcej to samo.

Wyglądała na zmordowaną. Udało się jej zdobyć skądś puder do twarzy, ale nie był on w stanie ukryć czarnych cieni pod oczami. Przyczyną jej pochylonych ramion nie były naręcza teczek, które dźwigała. Był to efekt przepracowania, niedospania i lęku.

– Są jakieś nowiny? – zapytał Yeager z wahaniem

– Chodzi ci o Jensa?

Barbara pokręciła głową.

– Prawie straciłam nadzieję. Ale ciągle się staram: zostawiłam liścik u Andiego Reilly – wiesz, kto to jest Andy?

– Napisałam, dokąd się przenosimy i poprosiłam go, żeby oddał kartkę Jensowi, gdyby wrócił.

– Masz na myśli portiera? Pewnie, że go znam. To dobry pomysł. Chłop jest godny zaufania – powiedział Yeager.

– A dokąd właściwie przenosimy się? Nikt nie raczył mi powiedzieć. Jasne, ja tu tylko sprzątam, nie ma w tym nic dziwnego.

– Denver – powiedziała Barbara.

– O ile tam dotrzemy.

– Denver – powtórzył Sam.

– Tak, grałem tam kiedyś, byłem z klubem Omaha o ile pamiętam. To było zanim złamał sobie kostkę, kiedy miał nadzieję, że jego zespół jest na dobrej drodze, żeby dostać się do pierwszej ligi. Okazało się, że to droga donikąd, ale Sam jakoś nie porzucił drużyny. Potrząsnął głową i powrócił do dnia dzisiejszego.

– Ale dlaczego Denver. Będziemy mieli piekielną przeprawę zanim tam dotrzemy.

– Myślę, że na tym właśnie polega plan – odparła Barbara.

– Jaszczury nie dobiegały się jeszcze za mocno do Denver, szczególnie odkąd zaczęła się zima. Tam będziemy bezpieczniejsi i będziemy mogli kontynuować prace... o ile tam dotrzemy. No dobrze, lepiej już zejść na dół.

Barbara podniosła teczki.

– Ja też muszę iść – powiedział Yeager.

– Dbaj o siebie, słyszysz? Spotkamy się w konwoju. Okay, Sam. Dziękuję.

Poszła korytarzem w stronę klatki schodowej. Sam powiódł za nią oczami. Niedobrze z tym jej mężem, pomyślał. Teraz przestała już wierzyć, że wróci. Ale nawet taka zmęczona jest zbyt ładna i miła, żeby na zawsze miała pozostawać wdową. Yeager obiecał sobie, że zajmie się tą sprawą, o ile będzie miał kiedykolwiek okazję. Ale nie teraz. Trzeba wracać do roboty. Oblepił taśmą jeszcze jedno pudło z centryfugą, a potem, chrząkając, ustawił obie paki na wózku. Nadepnął nogą w żołnierskim bucie na drążek z tym i przestawił wózek. Nauczył się tej sztuczki, kiedy po sezonie dorabiał jako bagażowy. Umiał też zjeżdżać wyładowanym wózkiem ze schodów; pod górę było wolniej, ale za to znacznie bezpieczniej. A z tego, co powiedział Fermi wynikało, że z każdym urządzeniem trzeba się obchodzić jakby było z porcelany. Spociał się z wysiłku zanim dotarł na dół. Siatka maskująca pokrywała wielki kawał trawnika przed Eckhart Hali. Pod nią, ukryta przed samolotami szturmowymi jaszczurów, stała zbieranina różnych ciężarówek wojskowych, furgonetek, autobusów, prywatnych samochodów. Wokół nich chodzili umundurowani strażnicy z bagnetami na karabinach. Ich zadaniem była nie tyle ochrona wozów przed kradzieżą, ile przed opróżnieniem baków z benzyny. Wszystkie zatankowane były do pełna, a w objętym wojną Chicago benzyna była cenniejsza od brylantów. Yeager nie był w stanie zrozumieć, co też ludzie załadowali na te samochody. Oliwkowy studebaker miał poukładane na skrzyni bloki czarnej, mazistej substancji. Każdy miał na boku wypisany numer. Wyglądało to tak, jakby ktoś rozebrał trójwymiarową układankę i chciał ją znowu złożyć, kiedy tylko dotrze do Colorado. Ale do czego to służyło? Odwrócił się i zapytał człowieka, który utknął za nim w tłoku na klatce schodowej.

– To grafit do kontrolowania stosu – powiedział tamten.

– Spowalnia neutrony, tak żeby atomy uranu łatwiej mogły je wychwycić.

– Aha – odpowiedź niczego nie wyjaśniła Yeagerowi. Cmoknął tylko.

Nie po raz pierwszy stwierdzał, że czytanie opowiadań s.f., choć dawało mu nieco wiedzy, nie mogło sprawić, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stanie się fizykiem. Szkoda. Wyszła Barbara z następnym naręczem teczek. Yeager zawrócił i jeszcze raz popatrzył na bloki grafitu, tak aby móc wrócić do gmachu razem z Barbarą. Jeśli nawet zauważyła jego manewr, to nie narzekała. Pozwoliła mu dotrzymać sobie towarzystwa. Właśnie dochodzili do drzwi, gdy w oddali, zaczęły strzelać działa przeciwlotnicze. Chwilami odgłosy wystrzałów słychać było w całym mieście. Przez huk dział przedzierał się ryk odrzutowców jaszczurów, a potem płaskie, twarde wybuchy bomb. Barbara zagryzła wargi.

– Te były blisko – powiedziała.

– Dwa, może trzy kilometry na pomoc – odparł Yeager.

Jak wszyscy w mieście stał się znawcą wybuchów. Położył Barbarze rękę na ramieniu, zadowolony, że ma wymówkę, żeby ją dotknąć.

– Lepiej wejdź pod dach. W każdej chwili mogą zacząć spadać szrapnele, a ty nie masz hełmu.

– Postukał kostkami palców we własny. W tym samym momencie spadł grad odłamków z pocisków przeciwlotniczych. Barbara wbiegła do gmachu. W takich sytuacjach lepiej nie przebywać na dworze.

– To było gdzieś w okolicach mola marynarki wojennej. Mam nadzieję, że nie przerwą nam linii

ewakuacyjnych.

– Ja też mam taką nadzieję – powiedział Sam i dodał poważnie – za dużo rozmawiasz z żołnierzami.

– Co? Och.

Twarz Barbary przybrała udawany wyraz niewinności.

– To miało znaczyć: nasłuchiwałaś się niestworzonych historii, prawda?

– Prawda. Między innymi.

Yeager zaczął chichotać. Barbara pokazała mu język. Śmiejąc się, razem weszli po schodach. Tego popołudnia Chicago bombardowało więcej samolotów jaszczurów. Jeszcze więcej nadleciało po zapadnięciu nocy. Od dawna miasto nie było tak obrzucane bombami. Yeager marzył o pogorszeniu się pogody. To czasem odstręczało wroga. W oddali słyszał cichnący jęk syreny strażackiej. Niektóre wozy pożarnicze miały jeszcze benzynę. Zastanawiał się, czy strażacy znajdują czynny hydrant, gdy dojadą na miejsce akcji. Do następnego dnia rano załadunek był ukończony. Yeager siedział w autobusie stłoczony razem z kilkunastoma pudłami, dwoma innymi żołnierzami oraz Ullhassem i Ristinem. Dwóch jaszczurzych jeńców jechało do Denver razem z laboratorium. Spodziewano się, że mogą być jeszcze pomocni w badaniach. Drżeli bez ustanku, chociaż ubrano ich w marynarskie kurtki, które wisały teraz na nich jak namioty. Kilka szyb w autobusie było wybitych. W środku było równie zimno, jak na zewnątrz. Ludzie narzekali na przycięte palce i stłuczone przy załadunku stopy. Potem, jeden po drugim, zawarczały silniki. Ryk i wibracja przeszywały Yeagera na wskroś. Po Bóg wie w ilu podróżach między miastami była to dla niego rzecz naturalna. Może był nomadą z natury. Zapach spalin wypełnił autobus. Yeager zakaszał. Zdążył już zapomnieć, jaki to okropny smród. Ostatnio niewiele się go nawąchał. A i na drogach nie było po temu okazji – ruch był niewielki. Po dwóch zmianach biegów, Yeager doszedł do wniosku, że lepiej zna się na prowadzeniu niż prostak, który siedział za kółkiem. Każdy dureń może prowadzić, pomyślał z pewną dumą. Pilnowanie jaszczurów było w tej wojnie ważniejsze i trudniejsze. Konwój wyjechał z uniwersytetu i skierował się na pomoc, w stronę Pięćdziesiątej Piątej Alei, potem wozy pojedynczo skręcały w lewo. Ulice były uprzątnięte z gruzu i niezbyt wyboiste. Ziemia i gruz wypełniały leje po bombach i dziury wymyte przez wodę z przerwanych rur wodociągowych. W fatalnym stanie były chodniki, na które buldożery i koparki zepchnęły wszystko co wcześniej tarasowało ulice. Ciężarówki musiały się wydostać z miasta bez względu na stan ulic. Żeby nie było niespodzianek, przejazdu strzegły posterunki wojskowe. Z okien wyglądały czasem twarze kolorowych i gapiły się na przejeżdżające wozy. Bronzeville, dzielnica czarnych, zaczynała się o kilka przecznic od uniwersytetu i rozciągała prawie wokół Chicago. Rząd obawiał się swoich czarnych obywateli tylko niewiele mniej niż jaszczurów. Zanim przybyli kosmici, na piętnastu kilometrach kwadratowych dzielnicy Bronzeville tłoczyło się ćwierć miliona mieszkańców. Teraz było ich znacznie mniej, ale nadal było tu widać ślady przeludnienia i biedy: małe kościółki, sklepy reklamujące cudowne lekarstwa i amulety, bary z przekąskami, w oknach teraz pozbawionych szyb, wisały napisy zachwalające placki ze słodkich ziemniaków, smażoną rybę i zieleninę. Jedzenie biedoty albo raczej czarnej biedoty. Ale wspomnienie smażonej ryby i zieleniny sprawiło, że Yeagerowi ślina zaczęła napływać do ust. Zbyt długo już jadł żywność z puszek. To było nawet gorsze niż jedzenie tłustą, nie domytą łyżką, co mu się zdarzało, gdy jeździł z miasta do miasta grając w trzeciej lidze. Narzekał też wtedy na obiady, które jadł. Nie sądził, że można jeść coś jeszcze gorszego.

– Dlaczego opuszczamy miejsce, w którym tak długo byliśmy? – zapytał Ristin.

– Podoba mi się to miejsce, o ile może się podobać miejsce na tym zimnym świecie. Tam, dokąd jedziemy jest cieplej? Razem z Ullhassem skierowali oczy na Yeagera. Z nadzieją czekali na

odpowiedź. Syknęli rozczarowani, gdy usłyszeli:

– Nie, nie sędzę, żeby było znacznie cieplej.

Nie chciał ich zasmucać, mówiąc, że przez jakiś czas będzie zimniej: kiedy już znajdą się na Wielkich Jeziorach, prawie na pewno popłyną na północ, a potem na zachód, ponieważ jaszczury okupowały wielkie połacie Indiany i Ohio oraz kontrolowały dolinę Missisipi. Im zimniej, tym lepiej. Łatwiej ujść wrogowi.

– A co do tego, że wyjeżdżamy – ciągnął dalej Yeager – to zmęczyło nas, że wasi ciągle rzucają na nas bomby.

– My też zmęczeni – powiedział Ullhass. Nauczył się kiwać głową jak człowiek, żeby podkreślić swoje słowa. Ristin też. Kiwnęli zatem razem głowami.

– Tak naprawdę, to nie byłem z tego bardzo zadowolony – powiedział Yeager dodając jaszczurze kasznięcie.

Podobał mu się ten sposób stawiania mówionego wykrzyknika. Jego dwaj podopieczni rozwarli szczęki. Uważali, że jego akcent jest śmieszny. Yeager też się lekko roześmiał. On, Ullhass i Ristin stanowili już zgraną paczkę. Trudno to było sobie wyobrazić wcześniej, kiedy dopiero zaczynał być ogniwnem wiążącym ich z ludźmi. Konwój przejeżdżał obok bizantyjskiej świątyni, mijał Washington Park. Drzewa były teraz gołe i pokryte śniegiem. Skręcił na Michigan Avenue i nabrał szybkości. Wynikało to z faktu, że na jezdni znajdowali się tylko oni i nie musieli zwracać uwagi na światła. Mimo że była zima, a jaszczury przerwały prawie cały transport kolejowy i samochodowy była do Chicago, w powietrzu unosił się zapach rzeźni. Marszcząc nos, Yeager wyobrażał sobie unoszący się tu odór w parne letnie popołudnie. Nic dziwnego, że kolorowi zamieszkali w Bronzeville; zazwyczaj się tak kończy, że osiedlają się w miejscach, gdzie nikt inny mieszkać nie chce. Dziwił się, że Jens i Barbara Larssen wynajęli mieszkanie w tej okolicy. Może nie znali Chicago, kiedy się tu przeprowadzali, może chcieli być blisko uniwersytetu ze względu na pracę, ale Yeager uważał, że Barbara ma to szczęście, iż nie będzie musiała wracać tu każdego dnia. Na rogu Michigan i Czterdziestej Siódmej tablica dumnie głosiła: MICHIGAN BOULEYARD MIESZKANIA OGRODY. Ceglane budynki mieściły zapewne więcej ludzi niż niejedno miasteczko, w którym grywał Yeager. Jeden z nich został trafiony bombą i runął. Wokół budynków, na podwórkach i w ogródkach, gdzie biegały chude czarne dzieci, widniały inne leje po bombach.

– Co oni robią? – zapytał Ristin.

– Prawdopodobnie bawią się w jaszczury i Amerykanów – odparł Sam.

– Albo w kowbojów i Indian. Przez kilka następnych minut musiał tłumaczyć kosmitom, kto to byli kowboje i Indianie. Nie sądził, żeby zrozumiały. Konwój ciągle jechał na północ wzdłuż Michigan Avenue. Ale autobus Yeagera wkrótce zwolnił i zatrzymał się.

– Co się do diabła dzieje? – powiedział kierowca.

– To miała być krótka wycieczka.

– To wojsko – wyjaśnił jeden z pasażerów.

– Jak coś pójdzie zgodnie z planem, to będzie cud. Facet nosił dystynkcje majora, więc nikt z nim się nie sprzeczał.

Po paru minutach autobus znów ruszył, tym razem wolniej. Yeager wychylił się z miejsca, żeby popatrzeć przez przednią szybę. Na rogu Michigan i Jedenastej, żołnierze kierowali samochody w przecnicę. Z sykiem sprężonego powietrza kierowca otworzył przednie drzwi.

– Co tu się znowu popieprzyło? – krzyknął do jednego z kierujących ruchem.

– Dlaczego nie pozwalacie jechać Michigan? Żołnierz pokazał kciukiem za siebie.

– Dalej niemożna tędy jechać. Te cholerne jaszczury zburzyły dziś rano Stevens Hotel. Ciągłe

usuwają cegły i całe to gówno z ulicy.

– To co mam teraz robić?

– Przejedziesz przecznice, potem skręcisz w Wabash i dalej prosto w kierunku jeziora. Tam można wrócić na Michigan.

– Okay – powiedział kierowca i skręcił w Jedenastą.

Ledwie przejechał Woman's Club Building, gdy inni żołnierze skierowali go prosto w Wabash. Kościół Świętej Marii miał zburzoną iglicę. Krzyż, który z niej spadł, leżał na jezdni. Wabash nie była jeszcze uprzątnięta, więc konwój posuwał się powoli. Autobus musiał raz zjechać na chodnik, żeby ominąć lej w jezdni. Dwie puste stacje benzynowe Shella i Sinclaira stały naprzeciwko siebie przy Wabash i Blabo. Zakurzona tablica przed Sinclairem polecała benzynę normalną w cenie dziewięćdziesięciu ośmiu centów, za sześć galonów łącznie z podatkiem. Wysoka na cztery i pół metra sylwetka parkingowego wycięta ze sklejki znaczyła miejsce wjazdu na parking za stacją: dwadzieścia pięć centów za godzinę, w soboty po szesnastej – 50 centów. Parking był pusty. Yeager potrząsnął głową. Dopóki nie przybyły jaszczury, życie w Stanach Zjednoczonych toczyło się prawie normalnie, bez względu na wojnę. A teraz... Widział kronikę filmową pokazującą zniszczenia w Europie i w Chinach, widział biało-czarne figurki oszołomionych ludzi, którzy nie wiedzieli, co robić dalej, kiedy przepadł ich cały dorobek, a często zginęli wszyscy, których kochali. Różnica między wojną widzianą na filmie a wojną widzianą w rzeczywistości, we własnym kraju, była ogromna. Miejska kolejka nadziemna spadła z torów przy rogu Wabash i Lakę. Bomby jaszczurów poczyniły wielkie wyrwy w stalowo-drewnianej konstrukcji. Nie było już kolejki w Chicago. Wrócili na Michigan Avenue. O pół przecznicy od Lakę stał czterdziestopiętrowy Carbide and Carbon Building, symbol Chicago w dolnej części fasady z czarnego marmuru i ścianach wyłożonych ciemnozieloną terakotą z połączanymi ozdobami. Teraz na bocznych ścianach wieżowca widniały głębokie wyrwy. Kawały muru, właściwie fragmenty całej budowli, zostały wyrwane przez bomby. Miało się wrażenie, jakby to pies wielkości King Konga poobgryzał budowlę. Szkło z setek okien zostało już zmiecione z Michigan Avenue, ale pozostałe drobne kawałki błyszczały jeszcze na chodniku. Kierowca autobusu musiał być rodowitym mieszkańcem Chicago. Gdy tylko przejechali obok Carbide and Carbon Building, wskazał na przeciwległą stronę ulicy i powiedział:

Tu był gmach 333 North Michigan. Już go nie ma. Już go nie ma, to było właściwe, choć smutne, stwierdzenie. Stos gruzu – marmurowa elewacja, drewniane podłogi, zwały zbrojonego betonu, skręcone stalowe dźwigary, które pod działaniem śniegu i deszczu zaczynały pokrywać się już rdzą – to był kiedyś budynek. Już go nie było. Nie było też dwupoziomowego mostu Michigan Avenue. Saperzy przerzucili przez Chicago River most pontonowy, żeby konwój mógł się przedostać na drugą stronę. Zostanie rozebrany jak tylko przetoczy się po nim ostatnia ciężarówka. Inaczej, jaszczury zaraz by go zbombardowały. Stratedzy kanapowi twierdzili, że jaszczury nie wiedzą, dlaczego ludzie używają łodzi. Yeager miał nadzieję, że się nie mylą. Przeżył bombardowanie i ostrzał pociągu tej nocy, kiedy kosmici przybyli na Ziemię. Bombardowanie na statku byłoby dziesięć razy gorsze – nie ma dokąd uciekać, nie ma gdzie się schować. Ale jeśli nawet jaszczury nie znały się na łodziach, to doskonale wiedziały, do czego służą mosty. Yeager patrzył przez okno, kiedy autobus podskakiwał na stalowych płytach mostu pontonowego. Niedawno jeszcze mosty były przerzucone przez rzekę prawie przy każdej przecznicy. Teraz ich nie było. Nie został po nich nawet ślad

– Czy to nie skurwysyństwo? – powiedział kierowca, jakby czytając w jego myślach.

Ten most, tutaj, miał najwyżej dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat. Mój stary był przy jego otwarciu, jak wrócił z Francji. Wszystko poszło, cholera, na straty. Błyszczący biały Wrigley Building na północnym brzegu rzeki wyglądał na nietknięty. Tylko okna miał wybite, ale ze stojącej

po drugiej stronie ulicy Tribune Tower pozostał tylko wypalony szkielet. Yeager widział w tym sprawiedliwość losu. „Chicago Tribune”, choć wydatnie zmieniło objętość w związku z brakiem papieru i wychodziło tylko raz w tygodniu, nie zaprzestawało napaści na Roosevelta za jego hasło: „Zróbmy coś z tymi jaszczurami”. Nie było jasne, co należało zrobić, ale prezydent najwyraźniej nie zrobił tego. Więc gazeta wyżywała się na nim. Jedyne, co można było zrobić z jaszczurami to walczyć przeciwko nim z całych sił i tak długo, jak się da. Stany Zjednoczone radziły sobie z tym nie gorzej niż inne kraje, a może i lepiej. Ale Sam zastanawiał się, czy to wystarczy. Autobus skręcił w prawo, w Grand Avenue prowadzącą do mola marynarki wojennej. Wody wielkiego jak morze jeziora Michigan lśniły w porannym słońcu. Molo było wysunięte na prawie kilometr w jezioro. Autobus przejeżdżał koło budek kiedyś pełnych towaru. Teraz były to wypalone ruiny. We wschodniej części mola znajdowały się tereny rozrywkowe. Była tam sala do tańca, muszla koncertowa, promenada – wszystko to przypominało szczęśliwsze dni. Przy przystani wycieczkowej kołysał się zardzewiały frachtowiec. Było tam też kilka kompanii wojska. Działa przeciwlotnicze wystawiały swoje lufy w niebo. Jeśli samoloty jaszczurów rzucają się z nieba na konwój, to czeka je gorące powitanie. Mimo to Yeager chciałby, żeby działa ustawiono gdzie indziej – wiedział z doświadczenia, że bardziej przyciągają samoloty wroga niż są w stanie je zestrzelić. Ale to nie on wydawał rozkazy, chyba, że swoim jaszczurzym podopiecznym.

– Chodźcie chłopaki – powiedział i kazał im iść przed sobą po molo.

Ullhass i Ristin popatrzyli w stronę statku. Na jego burcie widniał napis „Caledonia”. Oczekujący ich żołnierze rzucili się na konwój jak armia mrówek. Rozładowywano jedną ciężarówkę po drugiej. Potem wozy odprawiano z powrotem do Chicago. W tych dniach cenny był każdy sprawny środek transportu. Yeager przyglądał się odjeżdżającym samochodom. Przed nim rozciągała się dumna panorama miasta. Widać było w niej szczyby spowodowane bombami jaszczurów. Obok niego stanęła Barbara Larssen.

– Oni chcą się nas pozbyć – powiedziała płaczliwym głosem.

– Najpierw zaokrętuja uczonych, potem załadują sprzęt, a jak będzie czas i znajdzie się miejsce, to pozwolą wejść na pokład takim płotkom jak my. Jeśli wziąć pod uwagę wojskowe priorytety wymuszone okolicznościami, to taka kolejność wydawała się Yeagerowi sensowna.

– Wiesz, jak to mówią – powiedział.

– Są złe sposoby, dobre sposoby i wojskowe sposoby.

Zaśmiała się, może trochę głośniejsze, niż należałoby po usłyszeniu takiego starego dowcipu. Chłodny wiatr od jeziora uniósł jej sukienkę. Przytrzymała ją szybkim ruchem obu rąk. Mimo to drżała.

– Brr! Szkoda, że nie noszę portek.

– Dlaczego tego nie zrobisz? – powiedział.

– Idę o zakład, że znacznie wygodniej będzie ci w spodniach. Nie chciałbym sobie odmrozić... hmm, nie chciałbym marznąć w sukience tylko dlatego, że jest modna. Jeśli zauważyła, co chciał powiedzieć, to nie dała tego po sobie poznać.

– Znalazłam takie, które na mnie pasują. Chyba je włożę – stwierdziła.

– A pod spód długie kalesony.

Yeager pograżył się w marzeniach o tym, jak ściąga z niej długie kalesony. Nagle ktoś ryknął:

– Chodź tu, zabieraj te cholerne jaszczury na pokład. Nie będziemy tu stać przez cały dzień.

Popędził przed sobą Ullhassa i Ristina. Wpadł na dobry pomysł: chwycił Barbarę za rękę i powiedział:

– Będziemy udawać, że też zajmujesz się jaszczurami.

Szybko zrozumiała, o co chodzi i poszła z nim razem. Nie odtrąciła jego ręki. Oba jaszczury zasyczały ze strachu, kiedy trap ugiął się pod ich ciężarem.

– Wszystko w porządku – uspokoiła je Barbara, wcielając się w rolę ich opiekunki.

– Jeśli nie załamali tego ludzie z ciężkim sprzętem, to wy tym bardziej nie spadniecie.

Yeager zdążył już poznać Ullhassa i Ristina na tyle, żeby wiedzieć, kiedy się bały, ale mimo wszystko przeszły dalej. Syknęły znowu, kiedy weszły na pokład „Caledonii” i stwierdziły, że statek kołysze się pod nimi.

– Przewróci się i zrzuci nas wszystkich na dno – powiedział ze złością Ristin.

Nie znał angielskich wyrażeń nautycznych, ale wyrażał się zrozumiale. Yeager popatrzył na wyblakłą farbę, pasma rdzy odchodzące od nitów, wydeptane drewniane pokłady, poplamione kombinezony i stare wełniane swetry załogi.

– Nie sędzę, żeby się przewrócił – powiedział do jaszczurów.

– Ta łódka sporo się nażeglowała w ostatnich czasach. Myślę, że jeszcze dużo wytrzyma.

– Chyba masz rację, Sam – powiedziała Barbara, jakby w równym stopniu chciała pocieszyć Ristina i siebie.

– Z drogi, wy tam – ryknął do Yeagera oficer w mundurze marynarki wojennej.

– I zabierajcie te cholerne stwory do kabiny, którą dla nich urządziliśmy.

– Tak jest – odparł Yeager salutując.

– Hmm, a gdzie jest ta kabina? Nikt mi nie powiedział zanim tu przybyliśmy. Oficer podniósł oczy ku niebu.

– Dlaczego ja się temu nie dziwię?

Złapał za ramię przechodzącego marynarza.

– Yirgil, zabierz tego chłopaka i jego pieszczołki do kabiny numer dziewięć. Tej, którą można zamykać z zewnątrz. Tu masz klucz. A kim pani jest, szanowna pani – zwrócił się do Barbary. Podała mu nazwisko. Sprawdził listę i powiedział:

– Może się pani z nami zabrać, jeśli pani chce. Widzę, że pani te stwory nie przeszkadzają... mnie przechodzą dreszcze na ich widok. Przy okazji, ma pani kabinę numer czternaście, na końcu korytarza. Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku.

– Pewno... dlaczego nie? – powiedziała Barbara.

Oficer popatrzył na nią, na jaszczury i jeszcze raz podniósł oczy ku niebu. Najwyraźniej chciał mieć z nimi jak najmniej do czynienia.

– Chodźcie – rzekł Yirgil. Miał wyraźny środkowozachodni wiejski akcent. Widać było, że jaszczury bardzo go interesują. Kiwnął na Ristina i powiedział:

– Mówisz po angielsku?

– Tak – odparł Ristin, patrząc na niego złym wzrokiem.

– Jesteś pewien, że ta... rzecz... nie wpadnie do wody?

– Jasne.

Marynarz roześmiał się.

Jak do tej pory nie przytrafiło jej się to. W tym momencie inni marynarze odrzucili cumy na dziobie i rufie. Uruchomiony silnik statku wprawił pokład w wibrację. Ristin i Ullhass popatrzyli na Yirgila jakby właśnie przyłapali go na kłamstwie. Czarny dym buchnął z bliźniaczych kominów „Caledonii”. Statek powoli odbił od nabrzeża. Niektórzy żołnierze na przystani machali im na pożegnanie. Większość siedziała jednak na końcu mola. Byli zbyt zmęczeni pracą przy załadunku, żeby reagować na cokolwiek. Yeager zastanawiał się, czy zdają sobie sprawę, dlaczego ładunek, który właśnie załadowali, był taki ważny. Najprawdopodobniej żaden o tym nie wiedział. Yeager

właśnie patrzył na Chicago, kiedy w mieście pojawiły się płomienie i dym z eksplozji. Przytłumione odległością odgłosy wybuchów dotarły do jego uszu w tym samym momencie, kiedy usłyszał wycie odrzutowców. Artyleria przeciwlotnicza na molo zaczęła strzelać z wszystkich dział. Zyskała tylko tyle, że zwróciła na siebie uwagę jaszczurów. Jeden z samolotów przeleciał lotem koszącym nad molo i zrzucił kilka bomb. Ogień artyleryjski ucichł jak nożem uciął. Maszyna jaszczurów śmignęła tak nisko nad „Caledonią”, że Yeager mógł zobaczyć nity kadłuba. Odetchnął z ulgą, gdy poleciała dalej. Yirgil przystanął wraz ze swoimi podopiecznymi, żeby przyjrzeć się samolotowi wroga.

– No, dalej, ruszamy – powiedział teraz. Ale głowę nadal miał zadartą do góry. Yeager też patrzył w niebo nasłuchując. Jego twarz przybrała zaniepokojony wyraz.

– Zdaje się, że...

Zanim zdążył powiedzieć „wraca”, do wycia silnika dołączył inny dźwięk – jakby ostre szczeknięcie. Yeager tyle razy był już pod ostrzałem, że jego reakcje stały się niemal odruchowe.

– Padnij! – ryknął.

Starczyło mu przytomności umysłu, żeby obalić stojącą u jego boku Barbarę. Pociski z działka przeszły pokład od rufy do dziobu. Zabrzęczało rozbijane szkło, huczała dziurawiona blacha. W chwilę potem zaczęli krzyczeć ludzie. Pilot zadowolony z nalotu odleciał na zachód w kierunku swojej bazy. Coś gorącego i mokrego obryzgało Yeagera. Kiedy tego dotknął, zobaczył, że rękę ma umazaną krwią. Podniósł wzrok. Na pokładzie, tuż przed nim, leżały podrygujące nogi Yirgila. O kilka stóp dalej leżała jego głowa, barki i ramiona. Reszta ciała rozsmarowana była po pokładzie. Ullhass i Ristin patrzyli na szczątki człowieka z takim przerażeniem, jakby sami byli ludźmi. Barbara Larssen też spojrzała na tę krwawą jatkę. Była umazaną krwią tak jak Yeager. Obryzgało ją od włosów po sukienkę. Popatrzyła na szczątki Yirgila, potem na siebie.

– O, Boże – powiedziała.

– O, Boże.

Głośno zwymiotowała w kałużę krwi na pokładzie. Wczepiła się w Yeagera. Jego ręce chwyciły jak kleszcze jej cudem nie złamany kark, piersiami przywarła z całej siły do jego klatki piersiowej. Nie był pewien, czy może oddychać, ale było mu wszystko jedno. Mimo odoru krwi i wymiocin, pragnął jej bardziej niż kiedykolwiek zdarzyło mu się pragnąć kobiety. Jego naprężony członek ocierał się o jej nogę. Nie odsunęła się. Jęknęła tylko i przycisnęła się jeszcze bardziej. Wiedział, że i ona go pragnie. To było szalone, zwariowane, ale było mu wszystko jedno.

– Ruszać się – ryknął na jaszczury nie swoim głosem.

Pobiegły, okrążając szczątki biednego Yirgila. Poszedł za nimi, ciągle trzymając w objęciach Barbarę. Miał nadzieję, że zdoła znaleźć kabinę zanim opadnie napięcie chwili. Numery drzwi w pierwszym korytarzu, do którego zajrzał, były właściwe. Miał szczęście. Otworzył kabinę dziewiątą, kazał Ullhassowi i Ristinowi wejść do środka, zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Potem, razem z Barbarą, pobiegli do numeru czternaście. Kabina była malutka, koja jeszcze mniejsza. Nie przeszkadzało to im. Razem upadli na posłanie. Włożył rękę pod jej sukienkę. Głaskał gładką skórę jej uda w miejscu, gdzie kończyły się pończochy, potem zdjął jednym szarpnięciem jej majtki. Jednocześnie ona ściągnęła mu spodnie akurat tyle, ile było trzeba. Wszedł w nią w tym samym momencie, gdy nabiła się na niego. Nigdy nie doznał takiego podniecenia. Ekspłodował niemal natychmiast. W pierwszej chwili miał wyrzuty sumienia, że był za szybki, żeby ją zadowolnić. Ale było inaczej: wygięła się w łuk, odrzuciła głowę, jęczała lekko i rzucała się. Otworzyła oczy. Zdawało się, że – podobnie jak i on – dochodzi do siebie po ciężkim ataku gorączki. Kiedy wstała, pośpiesznie podciągnął i zapiął spodnie. Oboje zostawili ślady krwi na kocu pokrywającym koję. Barbara obrzuciła kabinę błędnym wzrokiem, jakby widziała ją po raz pierwszy. Może rzeczywiście

wcześniej nie była w stanie niczego zauważyć.

– O Boże – jęknęła.

– Co ja z siebie zrobiłam?

Sam uczynił krok w jej stronę, chciał ją objąć. Powiedział to, co mężczyźni zawsze mówią kobietom po niespodziewanym akcie miłosnym:

– Kochanie, wszystko będzie w porządku...

– Nie mów tak do mnie! – syknęła.

– Nie dotykaj mnie, nie podchodź do mnie – odsunęła się od niego tak daleko, jak tylko mogła.

– Wynoś się stąd natychmiast Nie chcę cię więcej widzieć. Wracaj do swoich cholernych jaszczurów. Będę krzycheć. Będę...

Yeager nie czekał, żeby się dowiedzieć, co jeszcze będzie robić. Wybiegł z kabiny i zamknął za sobą drzwi. Szczęśliwym trafem korytarz był pusty. Przez stalowe drzwi słyszał, jak Barbara płacze. Chciał wrócić i pocieszyć ją, ale powiedziała mu przecież jasno, że nie potrzebuje od niego pociechy. Byli zakwaterowani w tym samym korytarzu. Musieli się zatem wkrótce spotkać. Zastanawiał się, co wtedy będzie.

– Wszystko będzie w porządku – pocieszał się bez większego przekonania.

Opuścił ramiona i poszedł wolno korytarzem, żeby zobaczyć, jak czują się Ullhass i Ristin. Oni nie musieli się troszczyć o sprawy męsko-damskie. Co z oczu, to z myśli – to powiedzenie doskonale pasowało do ich samic. Nigdy nie przypuszczał, że może im tego pozazdrościć.

Rozdział XVII

Jaszczur otworzył nagle drzwi do kościoła we Fiat. Ludzie zamknięci wewnątrz podnieśli głowy z wyrazem zdumienia i niepokoju. O tej porze kosmici zazwyczaj nie przychodzili do nich. Zdążyli poznać już podstawową zasadę wojny i niewoli: wszystko, co niespodziewane jest przerażające. Jens Larssen był równie zaniepokojony jak reszta zatrzymanych. Siedział przodem do wielkich podwójnych drzwi, nie musiał się więc odwracać. Właśnie kibicował grze w karty. Sal grała po mistrzowsku. Nigdy się nie dowiedział, co się stało z rozdaniem. Do kościoła wszedł skradającym się krokiem jaszczur. Broń trzymał w pogotowiu. Dwa inne ubezpieczały go stojąc w drzwiach.

– Piiit Ssmiff? – syknął stwór.

Minęła sekunda, zanim Larssen rozpoznał swoje „pseudo” w ustach kosmity. Odezwał się w chwili, kiedy jaszczur miał je powtórzyć:

– To ja. Czego chcesz?

– Chodź – odparł jaszczur.

Zdaje się na tym słowie kończył się zasób jego słownictwa angielskiego. Nie można było jednak nie zrozumieć, co znaczyło kiwnięcie lufą karabinu

– Czego chcecie? – powtórzył Larssen, ale posłuchał rozkazu i poszedł.

Jaszczury nie miały za wiele cierpliwości dla swoich więźniów.

– Powodzenia, Pete – powiedziała łagodnym głosem Sal, kiedy zmierzał w stronę wyjścia.

– Dziękuję i nawzajem – odparł.

Nie zdążył się do niej dobrać. Był pewien, że Sal by się zgodziła. Ciągle miał jednak nadzieję, że zrobi to w domu, z Barbarą. Dwoje innych ludzi też życzyło mu szczęścia. Jaszczur czekał aż podejdzie, potem stanął za nim. Na zewnątrz budynku zrobiło mu się zimno. Oczy napęłniły się łzami, tak długo już przebywał w ciemnym pomieszczeniu, że błyszczący od promieni słonecznych śnieg prawie go oślepił. Strażnicy zaprowadzili Larssena do sklepu, w którym jaszczury urządziły swoją główną kwaterę w Fiat. Ledwie wszedł do środka, zaczął się pocić. Było tu gorąco jak w piekarniku. Jaszczury to uwielbiały. Trójka, która doprowadziła Jensa, zasyczała z rozkoszy. Zastanawiał się, jak unikają zapalenia płuc od tych nagłych zmian temperatury przy wchodzeniu i wychodzeniu. Być może ziemskie bakterie nie dobierają się do jaszczurów. Miał nadzieję, że i on ich uniknie. Strażnicy podprowadzili Jensa do stołu, przy którym Gnik przesłuchiwał go już wcześniej. Jaszczurzy porucznik – czy kim był – czekał już na niego. W lewej ręce trzymał jakiś dziwny instrument.

– Otwórz usta, Pete Smith – powiedział bez wstępów.

– Co? – zdziwił się Jens.

– Otwórz usta, powiedziałem. Nie rozumiesz własnego języka?

– Nie, panie zwierzchniku. Miałem na myśli... tak, panie zwierzchniku.

Larsen otworzył usta. Tyle wokół było broni, że nie miał wyboru. Gnik próbował sięgnąć mu do twarzy aparatem, który trzymał w ręku.

– Wy, Wielkie Brzydale jesteście za wysokie – powiedział ze złością.

Zwinnie, jak jego ziemski odpowiednik, wdrapał się na krzesło, włożył końcówkę urządzenia w usta Jensa i nacisnął spust Jaszczurzy instrument syknął jak wąż. Strumień jakiejś substancji ukłuł Jensa w język.

– Au! – wrzasnął i cofnął się odruchowo.

– Co ty mi do diabła zrobiłeś?

– Dałem ci zastrzyk – odparł Gnik, zadowolony, że udało mu się go zrobić.

– Teraz poznamy prawdę.

– Zrobiłeś mi zastrzyk? Ale...

Larssenowi zastrzyki kojarzyły się z igłami. Popatrzył na skórę Gnika. Czy igła przebiłaby ją? Nie wiedział. Jaszczury miękką tkankę miały tylko w ustach. Sprężony gaz musiał wprowadzić narkotyk do jego organizmu. Ale co to było?

– Poznacie prawdę? – zapytał.

– To nowość z naszej bazy

Gnik wyraźnie się tym pysznił.

– Nie będziesz kłamać. Nie możesz mnie okłamać. Zastrzyk ci nie pozwoli.

– Teraz Jens zaczął się pocić, nie dlatego że w sklepie było gorąco. Poczul się oszołomiony. Musiał się wysilać, żeby nie widzieć podwójnie.

– Czy mogę usiąść? – zapytał. Gnik zeskoczył z krzesła.

Larssen usiadł. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Gnik stał i czekał przez kilka minut, prawdopodobnie po to, żeby narkotyk mógł zacząć w pełni działać. Larssen obawiał się, że wymiotuje całą żywność z puszek, którą ostatnio jadł. Umysł miał oddzielony od ciała. To było prawie tak, jakby patrzył na siebie z sufitu.

– Jak się nazywasz? – zapytał Gnik.

Jak się nazywam?, zastanawiał się Jens. Dobre pytanie. Zebrało mu się na śmiech, ale nie miał na to siły. Jak się ostatnio nazywał? Przypomnienie sobie tego byłoby osiągnięciem.

– Pete Smith – odparł z dumą.

Gnik syknął. Jaszczury rozmawiały z sobą przez kilka minut. Oficer znowu zwrócił swoje oczy na Larssena.

– Dokąd jechałeś, kiedy złapaliśmy cię na tej... rzeczy? – ciągle nie mógł zapamiętać słowa „rower”.

– Odwiedzić kuzynów mieszkających na zachód, od Montpellier.

Trzymanie się tej historyjki nie było łatwe, ale Jensowi się udało. Może dlatego, że tyle razy ostatnio ją opowiadał, że sam w nią nieomal uwierzył. A może ten narkotyk jaszczurów nie był tak dobry, jak im się wydawało. W historyjce s.f. łatwo było wyobrazić sobie coś jednego dnia, wykonać to następnego, a używać na trzeci dzień. Rzeczywistość była inna, czego nieraz doświadczał w Laboratorium Metalurgicznym: prawa natury są zazwyczaj trudniejsze do odkrycia i wykorzystania niż się to wydaje twórcom s.f. Gnik jeszcze raz syknął. Może nie był do końca przekonany o jakości narkotyku, a może był pewien, że Jens kłamie, a teraz przeżył szok, kiedy okazało się, że pod wpływem zastrzyku nie powiedział niczego nowego? Ale jaszczur był nie tylko uparty. Był również przebiegły.

– Powiedz mi więcej o tym samcu z twojej grupy, o tym kuzynie Osskarze – syknął wymawiając imię fikcyjnego kuzyna.

– On ma na imię Olaf – powiedział Larssen. W samą porę dostrzegł zasadzkę.

– Jest synem brata mojego ojca. Szybko wymienił imiona fikcyjnej rodziny równie fikcyjnego Olafa. Miał nadzieję, że to powstrzyma Gnika od zastawiania następnych pułapek. Pomogło to także lepiej utrwalić w pamięci nie istniejących krewnych. Jaszczury znowu zaczęły gadać między sobą. Po chwili, Gnik zwrócił się po angielsku do Jensa..

– Nadal nie odnaleźliśmy tego... tych twoich kuzynów.

– Nic na to nie poradzę – powiedział Larssen.

– Może to dlatego, że ich zabiliście. Ale mam nadzieję, że żyją.

– Bardziej prawdopodobne jest, że ich sąsiedzi nie chcą nam o nich powiedzieć.

Czy słowa Gnika brzmiały pojednawczo? Larssen nie był pewien.

– Niektórzy z was, Wielkich Brzydali, w ogóle nie liczą się z Rasą.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał Jens.

– To intrygujące

Gnik powiedział to poważnym głosem. Larssen zrozumiał, że jaszczur rzeczywiście jest zaintrygowany. Czy są aż tak głupi, pomyślał. Ale jaszczury nie były głupie. Inaczej nie byłyby w stanie dotrzeć na Ziemię, nie byłyby w stanie skonstruować i rzucić bomby atomowej. Natomiast są naiwne. Czy spodziewały się, że zostaną przez wszystkich przywitane jako wyzwoliciele? Mimo lekko euforycznego oszołomienia wywołanego narkotykiem, Larssen zmartwił się. A co będzie, jeśli jaszczury pozwolą mu odejść i pójdą za nim, kiedy będzie próbował odnaleźć farmę kuzynostwa? To byłby najlepszy sposób, żeby zdemaskować go jako kłamcę. Zawsze będzie mógł wskazać jakiś zburzony dom i powiedzieć, że Olaf i cała jego mityczna rodzina mieszkali właśnie tutaj. Jaszczury znowu ze sobą rozmawiały. Gnik przerwał debatę stanowczym ruchem dłoni. Skierował oczy na Larssena.

– To co mówisz, mając w sobie narkotyk, musi być prawdą. Tak powiedzieli mi moi zwierzchnicy; zatem – tak musi być. A jeśli to prawda, to on... ty nie być niebezpieczny dla Rasy. Możesz iść. Zabierz swoją rzecz i podróżuj dalej, Pete Smith.

– Tak po prostu? – palnął Jens.

W chwilę potem ugryzł się w język i jęknął – bolał go jeszcze po zastrzyku. Przecież nie chce, żeby jaszczury zmieniły zdanie! Następne pytanie było znacznie bardziej praktyczne:

– Gdzie jest mój rower?

Gnik zrozumiał to słowo, mimo że nie potrafił go sobie przypomnieć.

– To pojedzie tam, gdzie przebywałeś. Idź tam teraz i zabierz swoje rzeczy.

Jens, jeszcze pod wpływem wywołanego narkotykiem ożywienia, włożył na siebie ciepłe rzeczy i wyszedł. Prawie biegł po śniegu, gdy zdążał do kościoła baptystów. Ludzie zarzucili go pytaniami:

– Co się stało? Czego chcieli od ciebie?

– Pozwolili mi odejść – odparł.

Ciągle był pochłonięty przeżywaniem swojego wielkiego szczęścia. Gdy był w White Sulphur Springs, pułkownik Groves – a może to był generał Marshall? – powiedział mu, że jaszczury są gorsi od Rosjan, jeśli chodzi o uzależnienie od rozkazów przełożonych. Przełożeni Gnika powiedzieli mu, że ma prawdziwe serum prawdy. Ich słowa były dla niego jak Pismo Święte. Dopóki przełożeni mają rację, taki system jest znośny. Ale kiedy się mylą... Połowa ludzi w kościele podeszła do Jensa, żeby poklepać go po ramieniu i uścisnąć rękę. Pocałunek Sal był tak zdecydowany, że jego ramiona mocno ją objęły.

– Szczęśliwy skurczybyk – szepnęła, odsuwając się w końcu.

– Tak – mruknął oszołomiony.

Nagle odechciało mu się opuszczać kościół... przynajmniej przez najbliższą noc, ale jeśli stąd zaraz nie wyjdzie, jaszczury mogą się zacząć dziwić, dlaczego pozostał i mogą zmienić zdanie. Do tego nie można było dopuścić. Przepchnął się przez przyjazny tłumek, żeby zabrać swoje rzeczy z ławki kościelnej. Kiedy wziął swój tobołek, po raz pierwszy dostrzegł ludzi, którzy nie złożyli mu życzeń. Wyglądali, jakby go nienawidzili. Niektórzy – kobiety i mężczyźni – odwrócili się, żeby nie widział, jak płaczą. Nieomal biegł do drzwi kościoła. Nie, nawet gdyby jaszczury mu pozwoliły, nie zostanie na noc. Nie zostanie nawet dla Sal i jej niechlujnych wdzięków. Nawet kilka sekund ludzkiej zawiści i wściekłości, to było więcej niż zdołałby wytrzymać. Jaszczury były dobrze zorganizowane. Kiedy wyszedł, jego rower już czekał. Wsiadł na niego i jeszcze raz rzucił okiem na blade, wygłodniałe twarze wyglądające przez okno kościoła na wolność, która była nie dla nich. Nigdy się

nie spodziewał, że kiedy go wypuszczą będzie się tego wstydził. Zaczął pedałowac. Śnieg tryskał mu spod kół. W zaledwie kilka sekund wioska Fiat została za nim. Po niecałej godzinie zatrzymał się dla nabrania oddechu. Po kilku dniach siedzenia w areszcie pogorszyła mu się kondycja.

– Muszę się poruszać albo zeszywniej – powiedział na głos.

Siły go opuściły, ale powrócił zwyczaj mówienia do siebie. Kiedy podjechał do tablicy zapowiadającej wieś Montpelier, skręcił z głównej drogi i ominął osadę. Potem wrócił na autostradę nr 18. Przez kilka następnych dni jechał bez przeszkód. Objechał Marion, tak jak wcześniej Montpelier, przejechał przez środek Sweetser i Converse, Wawpekong i Galveston. Kiedy potrzebował żywności, zawsze udało mu się coś znaleźć. Kiedy był zmęczony stóg siana, albo opuszczony dom stały do jego dyspozycji. Pewnego razu w szufladzie jakiegoś biurka udało mu się znaleźć paczkę phillip morrisów. Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz miał papierosa w ustach. Wypalił tyle, że dostał zawrotów głowy i prawie zwymiotował po tej nikotynowej orgii.

– Warto było – powiedział do siebie następnego dnia, kiedy omal nie wykaszłał płuc.

Jadąc przez środkową Indianę widywał niewielu ludzi. To mu odpowiadało. Jeszcze mniej spotykał jaszczurów, co cieszyło go jeszcze bardziej. Jak wytłumaczyłby się z tego, co robi wiele kilometrów na zachód od miejsca do którego, jak powiedział Gaikowi, miał zamiar się dostać? Ale szczęście go nie opuszczało: nie musiał się przed nikim tłumaczyć. Wojna między ludźmi a kosmitami zdawała się bardzo odległa od tej opustoszałej zimowej okolicy. Kilka razy słyszał w oddali wystrzały, pojedyncze warknięcia karabinów i serie z jaszczurzyc automatów. Kilka razy przeleciał mu wysoko nad głową samolot najeźdźców. Zostawiał na niebie białe smugi, kryształki lodu, podpowiedziała mu jego wiedza fizyka. Gdzieś między Young America a Delphi na dotychczasowy hałas nałożyły się nowe dźwięki: nieustanne eksplozje. Im dalej w kierunku na zachód, tym głośniejsze stawały się odgłosy walki. Wkrótce zobaczył wojnę. Uniósł głowę jak tropione zwierzę, które pochwyciło zapach myśliwego.

– To artyleria – krzyknął.

Ogarnęło go podniecenie – ogień z dział oznaczał, że ludzie nadal stawiają zorganizowany opór jaszczurom. Było także oznaką niebezpieczeństwa, ponieważ huk dochodził z kierunku, w który jechał. Pojedynek artyleryjski był dość ospały. W obie strony leciało po kilka pocisków. Przejechał koło jaszczurze baterii. Działa były zamontowane na czymś, co przypominało podwozia czołgów. Jaszczury, które je obsługiwały, nie zwróciły na niego uwagi. Wkrótce, kiedy zostawił za sobą pozycje wroga, zaczął mijać zniszczone wozy pancerne. Większość z nich pokryta była grubą warstwą śniegu. W drodze, dotąd znośnej, zaczęły się nagle pojawiać leje. Niedawno musiała się tu odbyć bitwa. Zsiadł z roweru i wpadł do wypełnionego śniegiem dołu. Mało go szlag nie trafił. Czyżby udało mu się przebyć ziemie okupowane przez jaszczury tylko po to, żeby zostać zabitym przez ludzi? Już zaczął wierzyć, że wkrótce dotrze do Chicago. Pozbawianie go tej nadziei uznał za okrutne i nieuczciwe. Potem dotarł do pierwszej linii pokrytego rdzą drutu kolczastego. Wyglądało to, jak rekwizyt z filmu o pierwszej wojnie światowej.

– Jak ja mam się przez to przedostać? Skierował to pytanie do nieczułych niebios.

– Jak ja mam przenieść przez to rower?

Świsł, gwizd, ryk, wybuch! Po jego lewej stronie wzbiła się fontanna zamarzniętej ziemi. Wraz z nią stalowe odłamki. Jeden z nich wyrwał kilka szprych z tylnego koła. Równie łatwo mógłby wbić się w nogę Jensa. Nagle pojedynek artyleryjski stał się czymś realnym. To nie były już abstrakcyjne pociski lecące po trajektoriach wyznaczonych mechaniką newtonowską i oporem powietrza. Gdyby któryś z tych pocisków uderzył nieco bliżej, wystarczyłby też przypadkowy odłamek, nie musiałby się już martwić, jak dostanie się do Chicago. W chwilę potem rozległ się ponownie podejrzany dźwięk.

Tym razem Larssen zanurkował w śnieg, zanim pocisk wybuchnął. Trafił w środek pasa z drutu kolczastego. Kawałki drutu wyleciały w powietrze razem z odłamkami. Jens pomyślał, że to wszystko jedno, jakim rodzajem ostrego żelastwa się oberwie. Ostrożnie uniósł głowę, z nadzieją, że wybuchy pocisku umożliwią mu drogę przez druty. Pokolenie młodych Anglików, którzy walczyli nad Somną, a w każdym razie ta część pokolenia, która przeżyła, powiedziała mu, że to był nadmierny optymizm. Czołgi mogą przerywać druty, ale pociski nie są w stanie uczynić w nich przejścia. Więc jak przejść? Co chwila w pobliżu rozlegał się wybuch. Jens nie mógł po prostu wstać i poszukać ścieżki prowadzącej na drugą stronę. Popatrzył na lewo i prawo, żeby stwierdzić jak daleko sięga bariera. Okazało się, że dalej niż leżąc sięga wzrokiem. Czy od tego miejsca aż do Chicago rozciąga się ziemia niczyja? Przy jego szczęściu mogło tak być.

– Okay, facet. Nawet nie mrugnij, bo ci zrobię dziurkę kaliber 7.62 – głos dochodził ze strony, w którą Larssen nie patrzył. Posłusznie znieruchomiał.

– Odwróć się do mnie – powiedział głos.

– Grzecznie i powolutku. I lepiej, żebym przez cały czas widział twoje ręce. Jens odwrócił się grzecznie i powolutku. Człowiek w mundurze khaki i hełmie pojawił się jak duch o jakieś piętnaście metrów od niego. Karabin miał wycelowany w klatkę Jensa.

– O Jezu, jak to dobrze znowu zobaczyć człowieka z karabinem – powiedział Jens.

– Zamknij się.

Springfield nawet nie drgnął.

– Wszystko wskazuje na to, że jesteś cholernym szpiegiem jaszczurów.

– Kim? Czyś ty zwariował?

– W ubiegłym tygodniu zastrzeliliśmy dwóch – powiedział stanowczym tonem żołnierz.

Te słowa zmroziły Larssena bardziej niż śnieg, na którym siedział. Ten człowiek nie żartował. Jens spróbował go przekonać:

– Nie jestem szpiegiem i, na Boga, potrafię tego dowieść.

– Powiedz to swojej cioci, facet. Nie tak łatwo mnie nabrać.

– Wysłuchasz mnie, do cholery? – krzyknął Jens.

Był równie wściekły jak wystraszony.

– Wracam z White Sulphur Springs w Zachodniej Wirginii. O Jezu, rozmawiałem z generałem Marshalllem, kiedy tam byłem. Może to poświadczyć, jeśli jeszcze żyje.

– Jasne, chłopie, a ja w zeszłym tygodniu byłem w Rzymie i jadłem obiad z papieżem.

Ale stosunek tego brudnego, nie ogolonego żołnierza do Jensa musiał się zmienić, bo opuścił karabin.

– Dobra, zabieram cię. Możesz wciskać swoje gadki mojemu porucznikowi. Jak kupi to, co nawijasz, to już jego sprawa. Chodź tutaj... Nie, matole, zostaw rower.

Larssen poszedł bez roweru. Myślał, jak ma się przedostać przez gęstwą drutu kolczastego. Ale przez zasieki wiodła ścieżka. Miejscami drut tylko zwisał ze słupków, choć z daleka wyglądał, jakby był przytwierdzony na stałe. Czołganie się za żołnierzem nie sprawiało mu większych trudności, ale sam nigdy by się nie przedostał. Starał się uważać, kilka razy jednak nadział się na ostrza. Próbował sobie przypomnieć, kiedy to po raz ostatni był szczepiony przeciwko tężcowi. Z biegnących zygakiem okopów po drugiej stronie zasieków wyjrzały brudne twarze. Porucznik nie nosił cynowego hełmu w brytyjskim stylu, ale głęboki stalowy hełm wyglądający bardzo nowocześnie i marsowo. Wysłuchał opowieści Larssena, sięgnął do kieszeni na piersi i roześmiał się do siebie.

– Ciągłe szukam peta jak chcę coś przemyśleć, ale nie widziałem żadnego już od tygodni. Do diabła, chłopie, nie wiem, co z tobą zrobić. Poślę cię wyżej. Niech tam ktoś zadecyduje. Larssen,

eskortowany przez żołnierza, który go złapał – nazywał się Eddie Wagner – poznał kolejno kapitana i pułkownika-lejtnanta. Ten ostatni załatwił sprawę krótko:

– Wyślę cię do generała Pattona, chłopcze. Skoro twierdzisz, że spotkałeś się z Marshalllem, to niech generał decyduje, co z tobą zrobić.

Okazało się, że kwatera generała Pattona znajdowała się w Oxford, o jakieś trzydzieści kilometrów na zachód. Wyprawa zaczęła się o świcie następnego dnia, a skończyła o zmroku. Larssen miał poobcierane stopy, był zmęczony i opłakiwał swój utracony rower. Kiedy szedł powoli przez pola, zaczął dostrzegać działa zamaskowane jako pnie drzew. Armaty miały owinięte wokół luf gałęzie. W stodołach i pod kopami siana czołgi, pod siatkami maskującymi stały samoloty.

– Macie tu chłopaki sporo tego żelastwa – powiedział w pewnej chwili.

– Jak wam się udało zgromadzić to wszystko pod nosami jaszczurów?

– Nie było łatwo – odparł Wagner, który najwyraźniej doszedł do wniosku, że Jens nie jest jednak szpiegiem.

– Sprowadzaliśmy sprzęt sztuka po sztuce, głównie w nocy. Jaszczury jakby tego nie widziały. W Bogu nadzieja, że naprawdę nie wiedzą, co tu szykujemy. Ale dowiedzą się. O, do diabła, na pewno się dowiedzą.

Larssen już chciał zapytać, o czym jaszczury się dowiedzą, ale powstrzymał się. Nie chciał znowu wzniecać podejrzeń, że jest szpiegiem. Zresztą, sam mógł się domyśleć. Widać było, że szykuje się jakieś wielkie uderzenie. Zastanawiał się, jaki będzie kierunek ruchu wojsk. Kwatera generała Pattona mieściła się w białym, wiejskim budynku na przedmieściach niewielkiej osady Oxford. Wartownicy na ganku – ukryci przed obserwacją z powietrza byli porządnie ogoleni i nosili eleganckie mundury. Jeden z nich skinął im uprzejmie głową:

– Oczekiwaliśmy pana. Pułkownik-lejtnant Tobin dzwonił do nas i mówił, że jest pan w drodze. Generał chce się z panem natychmiast widzieć.

– Dziękuję – odparł Larssen.

W obliczu takiej, dawno zapomnianej, elegancji poczuł się wyjątkowo obdarty. To uczucie nawiązało się, kiedy wszedł do domu. Generał major Patton nosił po dwie gwiazdki na naramiennikach swojej skórzanej kurtki z futrzanym kołnierzem; był nie tylko gładko ogolony i umyty, miał nawet kanty zaprasowane na spodniach. Żółtawe światło lampy naftowej podkreślało bruzdy na jego twarzy. Musiał się zbliżyć do sześćdziesiątki, ale Jens nie dałby mu tyle. Generał przejechał ręką po krótko przystrzyżonych siwiejących włosach i wskazał palcem na Larssena.

– Zaryzykowałem dla pana połączenie radiowe.

Miał lekki akcent południowca.

– Generał Marshall powiedział, żebym pana zapytał, co mówił o jaszczurach w Seattle. Larssena ogarnęła panika, nie przypominał sobie niczego takiego.

– Panie generale, nie pamiętam, żeby generał Marshall mówił coś o jaszczurach w Seattle – wypowiedział z trudem.

Twarz Pattona złagodniała. Uśmiechnął się.

– Masz szczęście, że nie pamiętasz. Gdybyś pamiętał, to byłbyś jeszcze jednym kłamliwym sukinsynem. Siadaj synu.

Larssen opadł na krzesło. Generał kontynuował.

– Marshall powiedział mi także, że jesteś ważny. Chociaż nie powiedział dlaczego. Nawet szyfrem. Znam Marshalla od lat. Nie używa słowa „ważny” na pokaz. Więc kim i czym, do diabła, jesteś?

– Panie generale, jestem fizykiem przydzielonym do projektu opracowywanego w Laboratorium

Metalurgicznym Uniwersytetu Chicagowskiego.

– Jens spostrzegł, że Pat-tonowi to nic nie mówi, więc wyjaśnił.

– Jeszcze zanim przybyły jaszczury, pracowaliśmy nad bronią uranową, inaczej mówiąc: bombą atomową.

– Boże – powiedział cicho Paton.

– No tak, generał Marshall nie robił sobie kpin, prawda?

Roześmiał się jak młodzieniec.

– No cóż, panie Larssen – raczej, doktorze Larssen – jeśli chce pan wrócić do Chicago, to trafił pan w dobre miejsce, na Boga.

– Jak to, panie generale?

– Mamy zamiar złapać jaszczury za nos i kopnąć je w tyłek – powiedział Paton z satysfakcją.

– Chodź pan do stołu i przyjrzyj się tej mapie. Larssen podszedł i popatrzył. Przypięta pinezkami mapa pochodziła z jakiegoś starego egzemplarza „National Geographic”

– My jesteśmy tutaj – powiedział Patton. Larssen skinął głową.

– Tu mam Drugą Pancerną, inne oddziały, piechotę i wsparcie lotnictwa. A tam – palec generała przesunął się na zachód od Madison w Wisconsin – tam jest generał Omar Bradley. Ma nawet więcej sił niż ja. Teraz czekamy tylko na jakąś solidną, wielką burzę śnieżną.

– Jak to, panie generale? – powtórzył Jens.

– Odkryliśmy, że jaszczury bardzo nie lubią walczyć w warunkach zimowych. Oj, bardzo tego nie lubią – parsknął Patton.

Wiedną jak kwiatki, kiedy jest zimno. Zła pogoda może też wstrzymać ich loty bojowe. Kiedy zacznie padać śnieg, moje wojska pójdą na północny zachód, a siły Bradleya przesuną się na południowy wschód. Jak Bóg pozwoli, podamy sobie ręce gdzieś w okolicach Bloomington w Illinois i zamkniemy czołowe oddziały jaszczurów nacierające na Chicago w okrążeniu. Pokazał rękami, jak zamkną się cęgi amerykańskiej ofensywy. To była szansa na kontruderzenie przeciwko najeźdźcom z kosmosu. Jens zapalił się do tego pomysłu. Ale już tylu ludzi na całym świecie próbowało zadać straty jaszczurom i tak bardzo niewielu się to powiodło.

– Panie generale, nie jestem żołnierzem i nawet nie udaję, że się na tym znam. Ale... czy naprawdę jesteśmy w stanie ich odeprzeć?

– To hazard – przyznał Patton.

– Ale jeśli teraz nam się nie uda, to Stany Zjednoczone zostaną starte z mapy, bo nie damy rady po raz drugi skoncentrować takich środków. A ja nie chcę nawet o tym myśleć, że mój kraj zostanie starty z mapy. W czasie natarcia poniesiemy straty i najemy się strachu, nie wątpię w to ani przez chwilę, ale nieprzyjaciel poniesie większe straty i bardziej będzie się bał. A to dlatego, że my przejmujemy inicjatywę. Hazard. Ryzyko.

Larssen pokiwał powoli głową. Prawdziwe zwycięstwo w walce z jaszczurami podniosłoby morale na całym świecie.

– Musi pan tu teraz zostać, dopóki nie zacznie się natarcie – powiedział Patton.

– Nie możemy pozwolić, żeby poruszał się pan po terytorium opanowanym przez jaszczury, wiedząc to co pan wie.

– Dlaczego nie? Ich serum prawdy nie zadziałało – stwierdził Larssen.

– Doktorze Larssen, jest pan człowiekiem wrażliwym. Żył pan do niedawna w wieży z kości słoniowej – odparł Patton.

– Są inne gorsze sposoby niż narkotyki na wydobycie prawdy z człowieka. Przepraszam pana, ale nie mogę pozwolić na ryzyko. Tak, czy inaczej, wkrótce rozpocznie się zacięty bój. Będzie pan

bezpieczniejszy tutaj niż podróżując na własną rękę.

Jens nie był o tym przekonany. Czołgi i ciężarówki mogły ściągnąć na siebie znacznie więcej ognia niż samotny człowiek na rowerze – albo teraz, na piechotę. Ale nie miał szans w dyskusji z generałem. Tym bardziej że ordynans przyniósł właśnie tacę ze smażonym kurczakiem, pieczonymi ziemniakami i butelką wina.

– Zje pan ze mną kolację? – zapytał Patton

– Tak, dziękuję.

Larssen musiał się powstrzymać z całych sił, żeby nie rzucić się na kurczaka i nie rozszarpać go zębami. Był głodny jak wilk. Po okresie jedzenia żywności z puszek i szybkiej podróży na głodnego, jedzenie wyglądało niesamowicie apetycznie. Niedługo potem, wysysając ostatnią kosteczkę, odezwał się do generała:

– Chcę nade wszystko wrócić do pracy i do żony. Boże, ona pewnie myśli, że nie żyję.

– Skądinąd sam mógł mieć tylko nadzieję, że Barbara pozostała jeszcze przy życiu.

– Tak, ja też tęsknię za moją Beatrice – odparł Patton z ciężkim westchnieniem. Uniósł kieliszek z winem.

– Za śnieg, doktorze Larssen.

– Za śnieg – powiedział Jens.

Stuknęli się kieliszkami. Mosze Rusie już nieraz szedł do studia radiowego jaszczurów, ale nigdy przedtem nie prowadzono go pod karabinem. Zolraag stał przy stole z mikrofonem.

– Tę audycję wygłaszasz pod przymusem, Herr Rusie – powiedział gubernator.

– Ale musisz ją wygłosić.

Zakończył zdanie kasznięciem.

– Tak, czy inaczej, sprowadziliście mnie tutaj.

Rusie był zaskoczony faktem, że nie odczuwa prawie wcale strachu. Prawie trzy lata pełnego udręki życia w getcie było jakby próbą generalną przygotowującą go do śmierci. Teraz, gdy nadszedł ten czas...

– Szema Izrael – zamruczał po hebrajsku.

– Nie chciał umierać bez modlitwy.

– Nie dalibyśmy ci nawet tej ostatniej szansy na to, żebyś udowodnił nam swoją przydatność, gdyby nie okazało się, że naprawdę nic nie wiesz o zniknięciu twojej małżonki i pisklęcia.

– Mówiłeś mi o tym, ekscelencjo

Głos Rusiego był pokorny. Niech jaszczur myśli, że się boi. Wewnątrz Mosze triumfował. Chociaż nie wiedział wszystkiego o zniknięciu Ryfki i Reubena, to jednak znał pewne szczegóły, które mogły spowodować niebezpieczeństwo na wielu ludzi. Poczul pieczenie na języku na myśl o wstrzykniętym gazie. Pomimo zastosowanego przez jaszczury środka i tak je okłamał. Również ludzkie, zachwalane lekarstwa aż nazbyt często nie spełniały pokładanych w nich nadziei; jako były student medycyny, wiedział jak skomplikowany jest ludzki organizm. Bał się jednak, że jaszczurom udało się poznać jego tajniki, szczególnie, kiedy po infekcji stał się senny. Jakoś udało mu się jednak zachować prawdę dla siebie. Zastanawiał się nad składem narkotyku. Chociaż nie działał tak, jak się spodziewano, stanowił obiecujący materiał do dalszych prac. Nie było teraz czasu, żeby myśleć o tym.

– Przeczytaj najpierw tekst na próbę, Herr Rusie – powiedział Zolraag.

– Potem przeczytasz go na głos do mikrofonu. Wiesz, jaka cię czeka kara, gdybyś odmówił. Rusie usiadł na krześle. Wraz ze stołem były to jedyne przystosowane dla ludzi meble w tym pokoju. Jeden z jaszczurów stanął za Rusiem i przystawił mu lufę karabinu do głowy.

Zolraag już nie żartował. Mosze zastanawiał się, kto napisał tekst. Niektórzy nieszczęśni ludzie współpracowali nawet z hitlerowcami, dlaczego więc nie mieliby z jaszczurami? Słowa były takie, jak się spodziewał: pochwała najeźdźców i wszystkiego, co zrobili, łącznie ze zniszczeniem Waszyngtonu. Jaszczurzy inżynier popatrzył na rejestrator czasu. Powiedział coś po swojemu, a potem po niemiecku:

– Cisza. Zaczynamy. Mów, Herr Rusie.

Rusie po raz ostatni wyszeptał do siebie modlitwę i pochylił się nad mikrofonem. Zrobił głęboki wdech i upewnił się, czy będzie mówił wyraźnie.

– Tu mówi Mosze Rusie. Ze względu na chorobę i z innych powodów osobistych, przez jakiś czas nie prowadziłem audycji.

To było napisane na kartce, która leżała przed nim. Tego, co powiedział później nie było na papierze.

– I wątpię, żebym kiedykolwiek w przyszłości miał prowadzić audycję.

Zolraag znał język niemiecki na tyle dobrze, żeby zdać sobie sprawę, że Mosze mówi co innego, niż ma napisane. Rusie czekał, aż kula roztrzaska mu czaszkę. Nie usłyszałby wystrzału. Miał nadzieję, że nie poczułby również bólu. Na Boga! Cóż by to była za przerwa w programie. Ale gubernator nie dawał po sobie poznać, że zauważył coś niewłaściwego. Kuli nie było

– Powiedziano mi, żebym głosił tu pochwały o zniszczeniu przez Rasę Waszyngtonu. Zrobiono to dlatego, żeby pokazać ludzkości, że wszystkich może spotkać to, co spotkało Amerykanów za ich upór i głupie sprzeciwianie się jaszczurom i co może spotkać innych. To wszystko są kłamstwa. Znowu czekał na jakąś reakcję ze strony Zolraaga, na kulę, która roztrzaska mu głowę. Ale Zolraag tylko stał i słuchał. Rusie brnął dalej, starając się wykorzystać dziwny brak reakcji jaszczura wobec jego słów:

– Powiedziałem prawdę o tym, co Niemcy zrobili w Warszawie i na całych ziemiach przez nich podbitych. Dla wszystkich żyjących tam ludzi, a szczególnie wobec nas, Żydów, Rasa odegrała przypadkowo rolę wyzwolicieli. Ale jej celem jest zniewolenie całej ludzkości. To, co Rasa zrobiła z Waszyngtonem dowodzi prawdy moich słów, jeśli ktoś potrzebuje jeszcze dowodu. Walczcie śmiało, może wtedy zachowamy wolność. Inaczej na wieki będziemy poddanymi. Żegnajcie, życzę wam szczęścia. Kiedy skończył, w studio zapadła cisza. Wreszcie odezwał się Zolraag.

– Dziękuję, Herr Rusie. To wszystko.

– Ale...

Przygotowany na męczeństwo Mosze czuł się niemal oszukany, że uniknął śmierci.

– To, co powiedziałem, to co powiedziałem światu...

– Nagrałem to, Herr Rusie – odparł inżynier jaszczurów.

– Pójdzie jutro, o zwykłej porze.

– Och – westchnął Rusie. Nagranie nie pójdzie rzecz jasna jutro. Jak tylko jaszczury dokładnie się przysłuchają i naprawdę je zrozumieją, dowiedzą się o sabotażu, jakiego chciał się dopuścić.

Śmierć nadal krążyła nad jego głową. Jeszcze przez jakiś czas będzie żył w jej cieniu. Miał nadzieję, że zdoła ponownie stawić opór, bał się jednak, że wtedy będzie to dużo trudniejsze.

– Zabrać go – powiedział Zolraag we własnym języku.

Strażnicy wyprowadzili Moszego do jednego ze swoich wozów zaparkowanych przed studio. Jak zwykle syczeli i narzekali na te kilka metrów, które musieli przejść na zimnie. Kiedy Rusie znowu znalazł się we własnym mieszkaniu, zaczął krążyć po pokojach, czytać Biblię i apokryficzną opowieść o Machabeuszach. Potem, z kawalerskim brakiem wprawy, przyrządził sobie kolację. Próbował zasnąć. Wreszcie mu się udało. Rano podgrzał sobie kilka ziemniaków, których nie zjadł

wieczorem. Nie było tego wiele jak na ostatni posiłek skazańca, ale zabrakło mu energii, żeby przyrządzić sobie coś lepszego. Na kilka minut przed wyznaczoną godziną, włączył radio. Nigdy przedtem nie słuchał własnych audycji; poprzednie jego wystąpienia nadawane były na żywo. Dziwiło go, że jaszczury postanowiły tym razem postąpić inaczej. Muzyka – wojskowa fanfara. Potem nagrany tekst zapowiedzi: „Tu wolne Radio Warszawa!” Podobało mu się to wcześniej, zaraz po tym kiedy miasto zostało oswobodzone spod hitlerowskiego jarzma. Teraz brzmiało to jak smutna konia. Tu mówi Mosze Rusie. Ze względu na chorobę i z innych powodów osobistych, przez jakiś czas nie prowadziłem audycji. Czy to był naprawdę jego głos? Prawdopodobnie tak, ale brzmiał inaczej, niż kiedy słyszał się, jakby od środka. Słuchał dalej: Wygłaszam tu pochwały o zniszczeniu przez Rasę Waszyngtonu. Zrobiono to dlatego, żeby pokazać ludzkości, że wszystkich może spotkać to, co spotkało Amerykanów za ich upór i głupie przeciwstawianie się Rasie. Amerykanie powinni się poddać. Lepiej być na wieki poddanymi niż walczyć śmiało. Wtedy może zachowamy wolność. To, co Rasa zrobiła z Waszyngtonem dowodzi prawdy moich słów. Żegnajcie, życzę wam szczęścia. Rusie patrzył z panicznym przerażeniem na głośnik radioodbiornika. Oczami duszy widział, jak Zolraagowi opada szczęka w wybuchu jaszczurzego śmiechu. Zolraag go nabrał. Mosze gotów był oddać życie. Nie chciał żyć po to, żeby ktoś go wykorzystywał dla swoich celów. Nagle zrozumiał, dlaczego mówi się, że gwałt jest gorszy od śmierci. Czyż jego wypowiedź nie została, wbrew jego woli użyta w taki sposób, że wołałby umrzeć, aby temu zapobiec? Starając się opanować, zaczął się zastanawiać, jak jaszczurom udało się zmienić jego tekst. Technika radiowa, którą dysponowały musiała być znacznie bardziej zaawansowana niż to, co najlepszego mieli w tej dziedzinie ludzie. A zatem zagrozili mu śmiercią, pozwolili mu na krzyk rozpaczony w obronie wolności, a potem nie tylko uciszyli ten krzyk, ale jeszcze dokonali na nim operacji chirurgicznej i następnie wysłali w świat. Ludzkość może go teraz śmiało uznać za najgorszego kolaboranta. Narastał w nim gniew. Nie był przyzwyczajony do tak brutalnego postępowania; czuł się oszołomiony Radio nadal coś bredziło. Mosze uniósł radio nad głowę. Pasowało do rozmiarów jego dłoni i było bardzo lekkie – to był produkt jaszczurów, prezent od Zolraaga. Ale nawet gdyby to był ciężki aparat, zbudowany ręką człowieka, Mosze potraktowałby go w ten sam sposób. Wściekłość dodała mu sił. Trzasnął radiem o podłogę. Kawałki metalu, szkła i materiału, który wyglądał jak bakelit, ale nim nie był, rozleciały się na wszystkie strony. Rusie skakał po szczątkach radia, wdeptywał je w dywan. Z aparatu została tylko kupka złomu w niczym nie przypominająca radia. Mosze narzucił długi czarny płaszcz i wybiegł z mieszkania zatraskując za sobą drzwi. Na korytarz wystawiło głowy troje ludzi. Chcieli zobaczyć, kto klóci się z żoną.

– Rebe Mosze! – krzyknęła jakaś kobieta.

Pobiegł dalej, nawet nie patrząc w jej stronę. Jaszczurzy strażnicy nadal stali u wejścia do domu. Mosze przebiegł koło nich. Miał wielką ochotę wyrwać jednemu z nich karabin i zobaczyć, jak obaj padną na chodnik zboczeni krwią. Pamiętał to uczucie, kiedy lufa karabinu dotykała jego kręconych włosów z tyłu głowy. Jakby to było, gdyby samemu trzymać broń i poczuć szarpnięcie, kiedy naciska się spust? Nie wiedział, ale chciałby poznać to uczucie. Sam był wstrząśnięty swoim pragnieniem. Ta perspektywa wydawała mu się mało kusząca. Jako student medycyny wiedział, jak łatwo jest ranić człowieka. Widział to wiele razy od czasów oblężenia Warszawy przez Niemców. Czy teraz sam chce zostać bojowcem? Tak. Jego nogi wiedziały o tym, zanim zdołał to sobie uświadomić. Stwierdził, że zanim zdążył pomyśleć, dokąd pójść, nogi same poniosły go ku kwaterze Mordechaja Anielewicza. W powietrzu wirował śnieg. Na ulicach było niewiele ludzi. Przechodnie kłaniali mu się co chwila. Oczekiwał okrzyków nienawiści. Nic takiego się nie zdarzyło. Gdyby tylko reszta świata przywiązywała tak małą wagę do audycji jak warszawscy Żydzi! W jego stronę ktoś

szedł energicznym krokiem Kto to był? Nie widział dobrze, nawet przez okulary. Ostatnio pogorszył mu się wzrok. Szklą, które dobrze mu służyły w 1939 roku, były już teraz za słabe. Nachmurzył się. Okazał się krótkowzroczny nie tylko w dosłownym tego słowa znaczeniu. Kimkolwiek był ten człowiek, machał ku Moszemu. Rozpoznał człowieka po sylwetce. Opanował go strach. Kiedy Rusie szukał Anielewicza, ten poszukiwał jego. Znaczyło to, że przywódca bojowców słyszał go przez radio.

– Rebe Mosze, czy oszalałeś? – krzyknął Anielewicz.

– Myślałem, że nie zostaniesz jaszczurzym kolaborantem.

Oto, do czego doszło. Upokorzenie mało nie odebrało Moszemu tchu w piersiach.

– Nie zostałem. Bóg mi świadkiem. Nie zostałem – wydusił z siebie.

– Jak to, nie zostałeś? – krzyknął Anielewicz.

– Słyszałem cię na własne uszy.

Rozejrzał się i zniżył głos.

– Czy to zapłata za to, że uratowaliśmy ci żonę i syna? Powiedziałeś wszystko, co jaszczury ci kazały.

– Ależ nie! – zajęczał Rusie.

Twarz Anielewicza wyrażała skrajne niedowierzanie. Jąkając się, niemal ze szlochem, Rusie opowiedział, jak poszedł do studia spodziewając się śmierci, jak chciał w ostatniej godzinie powiedzieć, co myśli i jak Zolraag i jego inżynierowie oszukali go.

– Myślisz, że chcę teraz żyć, żeby moi przyjaciele obrzucali mnie na ulicy wyzwiskami? Zamachnął się niezdarnie na Anielewicza. Bojowiec bez trudności zablokował cios. Schwycił Rusiego za ramię i wykręcił je lekko. Bark Rusiego zatrzeszczał jak sucha gałąź. Poczul ból w stawie. Z jękiem chwycił powietrze.

– Przepraszam.

Anielewicz puścił go natychmiast.

– Nie chciałem cię tak mocno szarpnąć. Siła przyzwyczajenia. Nic ci się nie stało? Rusie delikatnie sprawdzał nadwerężone ramię.

– Jeśli chodzi o ramię nie. W innych sprawach...

– Za tanto też przepraszam – szybko dodał Anielewicz.

– Ale słyszałem to na własne uszy. Jak mam nie ufać własnym uszom? Oczywiście, wierzę ci rebe Mosze; nawet nie musisz mnie o to pytać. Nie mogłeś przewidzieć, że jaszczury będą robić jakieś sztuczki z nagraniem. Przechytrzyli cię; zdarza się. Następne pytanie to, jak się za to zemścić?

– Zemsta.

Mosze smakował to słowo. Tak, to było to. Nie mógł znaleźć lepszego określenia.

– Oto, czego chcę.

– Coś ci powiem

Mordechaj Anielewicz przyłożył palec do nosa.

– Nie brałeś w tym bezpośredniego udziału, ale wszyscy Żydzi zawdzięczają ci wiele z tej wolności, którą się cieszymy. Gdybyśmy nie mogli poruszać się bez skrępowania, nic z tego, o czym mówię nie zdarzyłoby się.

– A o czym mówisz? – zdziwił się Rusie.

– Przecież nic nie powiedziałeś.

– I nie mam zamiaru powiedzieć – odparł Anielewicz.

– Czego nie wiesz, tego nie możesz powiedzieć, a jaszczury mogą znaleźć lepsze, boleśniejsze sposoby zadawania pytań niż ten ich zasrany narkotyk. Ale już niedługo nadejdzie dzień, kiedy

jaszczury zobaczą coś, za co po części ty będziesz odpowiedzialny. Wtedy będzie to twoja zemsta. Przymierzam ci to. Brzmiało to nieźle. Anielewicz nie miał zwyczaju obiecywać tego, czego nie byłby w stanie dotrzymać. Niemniej...

– Chcę więcej – powiedział Rusie.

– Chcę osobiście zemścić się na jaszczurach.

– Rebe Mosze, żaden wojak z ciebie – powiedział Anielewicz. Nie był nieuprzejmy, tylko bardzo stanowczy.

– Mogę się nauczyć...

– Nie – teraz głos przywódcy bojowców był ostry.

– Jeśli chcesz z nimi walczyć, to są inne metody. Będiesz wtedy bardziej przydatny, niż gdybyś dostał karabin do ręki. Zmarnowałbyś się jako prosty żołnierz.

– Cóż więc?

– Mówisz o tym poważnie.

Mosze stwierdził z ulgą, że nie było to pytanie. Anielewicz przyglądał mu się uważnie, jakby oglądał nowy rodzaj karabinu.

– Co ty mógłbyś robić? A chciałbyś może powiedzieć światu, jakimi kłamcami są jaszczury?

– Możesz zorganizować dla mnie audycję? – zapytał z nadzieją.

– Audycji nie. To zbyt niebezpieczne.

Anielewicz pokręcił głową.

– Ale nagranie byłoby możliwe. Moglibyśmy je przemycić. Przez radio puściłby je kto inny. Jaszczury by się wściekły. Jest tylko jeden problem, a właściwie wiele problemów, ale ten powinien szczególnie wziąć pod uwagę. Kiedy już dokonasz tego nagrania, musisz zniknąć.

– Tak, rozumiem. Zolraag nie byłby ze mnie zadowolony, prawda? Ale wolę, żeby się na mnie wściekał, niż żeby miał się ze mnie śmiać, co pewnie teraz robi.

Rusie otworzył szeroko usta naśladując jaszczurzy chichot. Potem, nieśmiało zapytał:

– Czy mógłbyś spowodować, żebym po zniknięciu znalazł się w tym samym miejscu co Ryfka i Reuben?

– Nawet nie wiem, gdzie to jest – przypomniał mu Anielewicz.

– Nie mów, że nie możesz mnie tam wysłać, jeśli nawet dokładnie nie wiesz, gdzie to jest, bo ci nie uwierzę.

– Może powinienś zniknąć. Stajesz się zbyt cyniczny i podejrzliwy, żeby z ciebie był dobry rebe.

– W bladych oczach Anielewicza błyszczało rozbawienie.

– Nie powiem tak i nie powiem nie. Ja nawet nie jestem pewny, czy będę ci mógł zorganizować nagranie, ale jeśli chcesz, to spróbuję.

– Spróbuj – odparł natychmiast Rusie. Przekrzywił głowę i popatrzył z ukosa na bojowca.

– Jak zauważyłem, nie mówisz o kłopotach związanych z przemyceniem nagrania z Warszawy, kiedy już będzie gotowe.

– Och, nie

Anielewicz wyglądał jak kot, który dopiero co zjadł kanarka.

– Jeśli nagranie będzie, to je stąd wyślemy. To możemy zrobić. Mamy doświadczenie. Ludmiła Gorbunowa przyglądała się swojemu dowódcy.

– Ale, towarzyszu pułkowniku – krzyknęła, piskliwym ze strachu głosem – dlaczego właśnie ja?

– Bo twój samolot nadaje się do wykonania tego zadania, a ty nadajesz się na pilota – odparł pułkownik Teofan Karpow.

– Jaszczury strącają wiele różnych typów samolotów. Najmniej strat ponoszą kukuruźniki. A wy, starszy lejtnant Gorbunowa, prowadziliście loty bojowe przeciwko jaszczurom, odkąd przybyły z kosmosu, a przedtem lataliście przeciwko Niemcom. Czy kwestionujecie własne umiejętności?

– Nie, towarzyszu pułkowniku, w żadnym razie – odparła Ludmiła.

– Ale misja, którą przedstawiliście, nie jest – a raczej nie powinna być – związana z walką.

– Nie powinna – zgodził się Karpow.

– I dzięki temu jest ona łatwiejsza. A doświadczony w walkach pilot zwiększa szansę powodzenia. Dlatego wy macie to zrobić. Są pytania?

– Nie, towarzyszu pułkowniku.

– Co mam teraz powiedzieć, pomyślała Ludmiła.

– Dobrze – stwierdził Karpow.

– Oczekujemy jego przybycia jeszcze tej nocy. Upewnij się, że twój samolot jest w dobrym stanie. To świetnie, że masz tego niemieckiego mechanika.

– Tak, jest zdolny – Ludmiła zasalutowała.

– Pójdę teraz sprawdzić z nim samolot. Szkoda, że nie mogę go zabrać. Georga Schultza zastała majstrującego przy kukuruźniku.

– Linka pedału nie była naciągnięta jak należy – powiedział. Umocowałem ją minutę temu.

– Dziękuję, to się przyda – odpowiedziała po niemiecku.

Codzienne rozmowy z mechanikiem bardzo poprawiły jej umiejętność posługiwania się tym językiem. Podejrzewała jednak, że niektóre ze zwrotów, których używała w rozmowach z nim, nie bardzo się nadają do prowadzenia konwersacji z ludźmi, którzy nie mają pobrudzonych smarem rąk.

– Chcę, żeby maszyna była w najlepszym stanie. Jutro mam ważny lot.

– A kiedy to lot nie jest ważny? W końcu chodzi o twój kark.

Schultz sprawdził luz pedału nogą. Zawsze wszystko sprawdzał, zawsze się upewniał. Tak, jak niektórzy mieli smykałkę do koni, on miał smykałkę do maszyn i dar sprawiania, żeby działały tak jak powinny.

– Teraz będzie jak trzeba.

– To dobrze. W tym locie mój kark nie jest najważniejszy. To misja kurierska.

Wiedziała, że powinna na tym skończyć, ale ważność misji przepełniała ją. Więc wypaplała wszystko.

– Dostałam rozkaz, żeby dostarczyć komisarza spraw zagranicznych, towarzysza Mołotowa do Niemiec na rozmowy z waszymi przywódcami. Jestem z tego taka dumna! Schultz szerzej otworzył oczy.

– Cóż, jest z czego być dumnym.

Po chwili dodał.

– Lepiej zrobię dokładny przegląd. Już wkrótce będziesz go znowu musiała powierzyć rosyjskim mechanikom. Pogarda zawarta w tych słowach powinna ją drażnić. Ale nie poczuła wielkiej urazy, bo nieraz już widziała, z jaką troską Niemiec zajmował się jej samolotem.

– Zrobimy to razem – powiedziała zwyczajnie.

Sprawdzili wszystko od sworzni, na którym trzymało się śmigło po śruby mocujące łyżwę na ogonie. Krótki rosyjski zimowy dzień skończył się, kiedy byli w połowie roboty. Pracowali dalej przy świetle lamp naftowych. Ludmiła ufała, że sieć maskująca nie pozwoli, aby oświetlenie zdradziło ich przed jaszczurami. Właśnie kończyli, kiedy dźwięczenie dzwonka zamocowanego przy dyszlu trojki oznajmiło, że do pasa startowego podjechały sanie. Ludmiła nasłuchiwała, kto zbliża się do samolotu. Jaszczury zazwyczaj ignorowały sanie z konnym zaprzęgiem, chociaż strzelały bez

pardonu do samochodów i ciężarówek. Opanowała ją złość. Jaszczury, bardziej nawet niż hitlerowcy, obrabowały ludzkość z osiągnięć dwudziestego wieku.

– Towarzyszu komisarzu spraw zagranicznych! – powiedziała, gdy Mołotow podszedł, żeby obejrzeć samolot, który miał go zabrać do Niemiec.

– Towarzyszko pilot – odpowiedział krótkim ukłonem.

Był niższy i bledszy niż się spodziewała, ale wyraz twarzy miał równie zacięty jak na zdjęciach. Nie mrugnął nawet okiem na widok starego U-2. Krótko skinął głową pod adresem Georga Schultza:

– Towarzyszu mechaniku.

– Dobry wieczór, towarzyszu komisarzu spraw zagranicznych – Schultz odpowiedział łamanym rosyjskim.

Mołotow niczego po sobie nie pokazał, ale zawahał się przez chwilę zanim zwrócił się do Ludmiły:

– Niemiec?

– Da, komisarzu spraw zagranicznych – powiedziała nerwowo. Rosjanie i Niemcy współpracowali, co prawda, w walce przeciwko jaszczurom, ale robili to raczej z desperacji niż z przyjaźni.

– Ma talent do tego, co robi – dodała.

– No.

Słowo zawisło groźnie w powietrzu. Oczy Mołotowa za jego słynnymi okularami były bez wyrazu. W końcu odezwał się:

– Jeśli mogę z nimi rozmawiać po tym, jak najechali nasz kraj, nie ma powodu, żeby nie wykorzystać dla dobra sprawy tych, którzy są u nas. Ludmiła odetchnęła z ulgą. Schultz, który, zdaje się, nie nadał z rozumieniem rozmowy, nie wiedział, w jakim był niebezpieczeństwie. Ale też, odkąd przejechał radziecką granicę, zewsząd groziło mu niebezpieczeństwo. Może się już do tego przyzwyczył? Ludmiła nie udało się dokonać tej sztuki.

– Macie plan lotu, towarzyszko pilot? – zapytał Mołotow.

– Tak – odparła Ludmiła, klepiąc się po kieszeni skórzanej kurtki lotniczej.

To sprawiło, że przypomniała sobie o czymś.

– Towarzyszu komisarzu, wasze ubranie jest dostatecznie ciepłe na ziemi, ale kukuruźnik, jak widzicie, ma otwarty kokpit. Wiatr wywołany ruchem będzie trudny do wytrzymania... tym bardziej, że lecimy na północ. Żeby się dostać do Niemiec, mały U-2 musiał lecieć wzdłuż trzech boków prostokąta. Najkrótsza droga, przez Polskę, kontrolowana była przez jaszczury. Trasa wiodła więc na północ do Leningradu, potem skręcała na zachód do Finlandii, Szwecji i Danii, a wreszcie skręcała na południe, do Niemiec. Ludmiła miała nadzieję, że obiecane na papierze zapasy paliwa będą rzeczywiście na miejscu. Zasięg kukuruźnika przekraczał zaledwie niewiele ponad pięćset kilometrów. W czasie podróży trzeba będzie wielokrotnie napełniać bak. A przecież, gdyby okazało się, że popełniono błędy w przygotowaniach do podróży komisarza spraw zagranicznych Związku Radzieckiego, oznaczałoby to niepowetowaną stratę dla narodu.

– Czy mogę dostać strój lotniczy, taki jak wasz, od komendanta tej bazy? – zapytał Mołotow.

– Jestem pewna, że pułkownik Karpow będzie zaszczycony, mogąc wam, towarzyszu komisarzu spraw zagranicznych, dać taki ubiór – powiedziała Ludmiła.

Była pewna, że pułkownik nie śmie odmówić, nawet gdyby miało to oznaczać, że jeden z jego pilotów zamrznie przy wykonywaniu lotu bojowego. Mołotow opuścił hangar. Schultz zaczął się śmiać. Ludmiła popatrzyła na niego pytająco.

– Rok temu, o tej samej porze – powiedział – gdybym zastrzelił tę krótkonosą świnię, Fuhrer

przypiąłby mi Krzyż Żelazny z Mieczami i Diamentami, i pewnie ucałowałby mnie w oba policzki. Teraz mu pomagam. Cholernie dziwny jest ten świat.

Na takie dictum Ludmiła mogła tylko przytaknąć. Komisarz spraw zagranicznych wrócił po półtorej godzinie. Wyglądał jakby nagle przybrał piętnaście kilogramów na wadze. Był opatulony w podbity futrem skórzany kombinezon lotniczy. Miał wysokie buty i pilotkę. W rękę trzymał gogle.

– Czy będą pasowały na moje okulary? – zapytał.

– Nie wiem, towarzyszu komisarzu spraw zagranicznych.

Ludmiła jeszcze nie słyszała o lotniku radzieckiego lotnictwa wojskowego, który nosiłby okulary.

– Ale możecie spróbować. Mołotow popatrzył na zegarek. Musiał go wydobyć spod paru warstw odzieży.

– Odlot mamy wyznaczony za niecałe dwie godziny. Mam nadzieję, że odbędzie się punktualnie.

– Nie powinno być kłopotów – powiedziała Ludmiła.

Lot będzie się odbywał przeważnie w nocy, żeby zminimalizować niebezpieczeństwo przechwycenia przez wroga. Jedyne problem stanowiło prymitywne wyposażenie nawigacyjne, jakie posiadał U-2: kompas i szybkościomierz. Przy starcie nastąpił jednak kłopot: silnik Świecowa nie chciał zaskoczyć, kiedy Georg Schultz zakręcił śmigłem. Mołotow, siedzący w przedniej kabine, zacisnął zęby. Nic nie powiedział, ale Ludmiła wiedziała, że to zapamiętał. Zmroziło ją to bardziej niż chłodne, nocne powietrze. Znalazło się rozwiązanie, zapożyczone od Brytyjczyków: starter Hicksa zainstalowany z przodu rozklekotanej ciężarówce zakręcił śmigłem z taką siłą, że silnik wreszcie ruszył.

– Cholerna maszyna do szycia! – Schultz ryknął do Ludmiły tylko po to, żeby zobaczyć, jak dziewczyna się złości.

Ale dla niej ostry odór gazów spalinowych jej samolociku był jak zapach perfum. U-2 potoczył się do końca pasa startowego, wykonał kilka podskoków niedbale na byle jak wyrównanej nawierzchni, nabrał szybkości i po ostatnim podskoku wzbił się w powietrze. Ludmiła uwielbiała to uczucie odrywania się od ziemi. Podmuchy powietrza, które omijając owiewkę mroziły jej twarz, były dodatkowym dowodem na to, że unosi się w powietrzu. Tego wieczoru start przyniósł jej ulgę również z innego powodu. Dopóki kukuruźnik leci, ona, a nie Mołotow jest szefem. To uczucie uderzało do głowy jak alkohol. Gdyby teraz gwałtownym szarpnięciem przewróciła samolot do góry nogami, mogłaby się przekonać, czy komisarz dobrze zapiął pasy bezpieczeństwa. Potrząsnęła głową. Szaleństwo, szaleństwo. W czasie czystek lat trzydziestych nagle znikwały całe masy ludzi. Potem był pakt z Hitlerem. Potem nastąpił najazd niemiecki. Niektórzy obywatele radzieccy okazali się chętni, nawet bardzo chętni do współpracy z hitlerowcami. Ale gestapo i SS okazali się nie lepsi od NKWD. A teraz Sowieci i hitlerowcy znowu walczą w obronie wspólnej sprawy. Mają wroga, który jest w stanie pokonać oba kraje. Wroga, któremu ideologia jest zupełnie obojętna. Ludmiła stwierdziła, co nie było zbyt oryginalne, że życie jest jednak bardzo dziwne. Dwupłatowiec terkotał miarowo. Na dole widać było na zmianę śnieżnobiałe pola i czarne w nocy sosnowe lasy. Ludmiła leciała tak nisko, jak tylko było to możliwe: nie tak nisko jak za dnia, bo teraz nie byłaby w stanie spostrzec na czas niespodziewanej wyniosłości terenu. Ominęła szerokim łukiem wzgórze Yaldai, żeby uniknąć ryzyka. Im dalej byli na północ, tym dłuższa stawała się noc. Było to tak, jakby ciemności doganiały samolot. Pierwszy punkt tankowania miał znajdować się między Kalininem a Kaszynem, w górnym dorzeczu Wołgi. Latała w kółko nad obszarem, gdzie spodziewała się znaleźć lądowisko, do chwili gdy wskaźnik zużycia paliwa spadł niebezpiecznie nisko. Miała nadzieję, że nie będzie musiała przymusowo lądować gdzieś na polu. Obawiała się tego, szczególnie ze względu

na osobę pasażera. Kiedy już myślała, że trzeba będzie awaryjnie lądować, wypatrzyła światło latarni albo elektrycznej latarki. Poleciała w jego stronę. Na krótko zapaliło się więcej latarni. Wskazywały granice pasa startowego. Zetknięcie z ziemią było tak łagodne, że sama się zdziwiła. Cokolwiek by Mołotow sądził o jej popisie, zatrzymał to dla siebie. Wstał sztywno. Ludmiła to rozumiała – po ponad czterech godzinach lotu musiał niezłe ścierpnąć. Ignorując dowódcę lądowiska, komisarz spraw zagranicznych poszedł dumnym krokiem na stronę. Szuka jakiegoś odosobnionego miejsca, żeby się załatwić, pomyślała Ludmiła. Był to jedyny ludzki odruch, jaki do tej pory zauważyła u Mołotowa. Oficer nosił na kołnierzu płaszcz błękitne wypustki lotnictwa, skrzydlatą odznakę i dwa szkarłatne romby majora. Teraz zwrócił się do Ludmiły:

– Mamy rozkaz, by służyć wam wszelką pomocą, starszy lejtnancie Gorbunow.

– Gorbunowa, panie majorze – poprawiła go Ludmiła niezbyt urażona: gruby zimowy kombinezon lotniczy dokładnie maskował jej figurę.

– Gorbunowa – przepraszam – powiedział major unosząc brwi.

– Musiałem źle zrozumieć depezę albo zakradł się do niej błąd. Cóż, to bez znaczenia. Jeśli was właśnie wybrano do lotu z towarzyszem komisarzem spraw zagranicznych, to wasze kompetencje nie mogą być kwestionowane.

– Jego uwaga wskazywała na to, że on je kwestionuje, ale Ludmiła puściła to mimo uszu.

– Czego wam potrzeba, starszy lejtnancie? – dodał major bardziej już ożywionym tonem.

– Paliwa dla samolotu, uzupełnienia oleju, jeśli okaże się to konieczne i przeglądu, jeśli macie godnego zaufania mechanika.

Ludmiła powiedziała o sprawach najważniejszych. Po chwili namysłu dodała:

– Jedzenie i ciepły kąpiel, żeby przespać się za dnia, też byłyby mile widziane.

– Byłyby niezbędne – poprawił ją Mołotow, który właśnie wrócił do kukuruźnika.

Jego twarz nadal pozbawiona była wyrazu, ale głos zdradzał lekkie ożywienie. Ludmiła zastanawiała się, jak bardzo musiał powstrzymać się w czasie lotu. Jakby potwierdzając jej myśl, komisarz spraw zagranicznych dodał:

– Teraz i herbata by się przydała.

– Teraz, a nie przedtem, kiedy o mało nie doszło do małej katastrofy, dodała w myśli Ludmiła.

Znała to uczucie.

– Towarzysze, bądźcie uprzejmi pójść ze mną – powiedział major.

Zaprowadził Ludmiłę i Mołotowa do własnej kwatery. Kiedy brnęli przez śnieg, krzykiem wydał rozkazy dla obsługi naziemnej. W poprzedzających świt ciemnościach ludzie krążyli jak widma. Łatwiej ich było usłyszeć niż zobaczyć. Major mieszkał w ziemiance. W środku stał stół na kozłach, na nim lampa. Chybotliwe cienie poruszały się na ścianach małego pomieszczenia. Obok lampy zauważyła samowar i maszynkę spirytusową. Na maszynie bulgotało coś w garnuszku, z którego unosił się wspaniały zapach. Major z dumą napełnił dwie miski barszczem gęstym od kapusty, buraków i mięsa. Mogła to być z równym powodzeniem wieprzowina jak mięso szczura. Ludmiła było wszystko jedno; najważniejsze, że było ciepłe i sycące. Mołotow jadł jak maszyna. Major wręczył im szklanki z herbatą. Też była gorąca, ale miała dziwny smak. Właściwie, to było w niej kilka smaków.

– Obawiam się, że to mieszanka z dodatkiem ziół i kory – powiedział major przepraszająco.

Ośłodzona jest miodem, który sami znaleźliśmy. Od dawna już nie widziałem cukru.

– W tych okolicznościach jest to zrozumiałe – rzekł Mołotow.

Nie była to pochwała, ale w każdym razie wyraz zrozumienia.

– Towarzysko pilot, możecie odpocząć tutaj – powiedział major wskazując na stos koców w

rogu, który najwyraźniej służył mu za łóżko.

– Towarzyszu komisarzu spraw zagranicznych, dla was ludzie przygotowują pryczę. Będzie gotowa za chwilę.

– To nie jest konieczne – stwierdził Mołotow.

– Wystarczą mi dwa koce.

– Co? – major zamrugał oczami.

– Tak, jak sobie życzyacie, oczywiście. Przepraszam, towarzysze.

Wyszedł na dwór i za chwilę wrócił z naręczem koców.

– Proszę bardzo, towarzyszu komisarzu spraw zagranicznych.

– Dziękuję. Pamiętajcie obudzić nas o wyznaczonym czasie – przypomniał Mołotow.

– Oczywiście – odparł major.

Ludmiła, ziewając, zakopała się w stos koców. Czuć je było mocno ich dotychczasowym użytkownikami. Nie przeszkadzało jej to. Zastanawiała się natomiast, jak da sobie radę przyzwyczajony do wygod Mołotow. Zasnęła zanim zdążyła przemyśleć tę sprawę. Obudziła się nagle. Czy ten straszny dźwięk, to jakaś nowa broń jaszczurów? Rozglądała się na wszystkie strony. Była przerażona. Chwilę potem zaczęła się śmiać. Kto by pomyślał, że Wiaczesław Michajłowicz Mołotow, sekretarz spraw zagranicznych ZSRR, druga po wielkim Stalinie postać w Związku Radzieckim, chrapie jakby drzewo piłował? Ludmiła naciągnęła koc na głowę. To nieco przytłumiło hałas. Mogła spać dalej. Zjedli trochę barszczu, napili się tejokropnej herbaty z miodem i polecieci dalej. U-2 leciał na północny zachód. Maszyna była powolna; pociąg pośpieszny mógłby ją dogonić. W dole przesuwały się pokryte śniegiem, wiecznie zielone lasy. Ludmiła trzymała się blisko ziemi. Nagle, drzewa zniknęły. Na ich miejscu pojawiła się wielka biała przestrzeń.

– To Ładoga – powiedziała głośno Ludmiła, zadowolona ze wskazówki nawigacyjnej, jaką dawało jej jezioro.

Leciała południowym brzegiem w stronę Leningradu. Zanim dotarła nad miasto, przeleciała nad księżycowym krajobrazem rozciągającym się wokół radziecko-niemieckich okopów. Jaszczury zbombardowały równo obie strony. Ale zanim przybyły, heroizm i straszliwe cierpienia obrońców Leningradu, stały się słynne w całym Związku Radzieckim. Ileż to setek tysięcy ludzi umarło z głodu w niemieckim okrążeniu? Nikt z pewnością się tego nie dowie. A teraz wiozła Mołotowa na konferencję z Niemcami, którzy doprowadzili Leningrad do takiego stanu. Ludmiła rozumiała racje takiego postępowania, lecz w głębi serca nie była w stanie się z tym pogodzić. Ale kukuruźnik, którym leciała, naprawiany był – i to dobrze – przez Niemca. A major Jager, według tego, co mówił Georg Schultz, walczył u boku Rosjan w jakiejś ważnej akcji. A więc, współpraca była możliwa. Była konieczna. Mimo wszystko, Ludmille nie podobało się to. Lecąc nad Zatoką Fińską, zaczęła się rozglądać. Szukała świateł lądowiska. Następny postój miał być niedaleko od Wyborga. Wreszcie Ludmiła dostrzegła światła. Wylądowała znacznie bardziej twardo niż poprzednim razem. Oficer, który ją powitał, mówił po rosyjsku z dziwnym akcentem. Nie było w tym nic nadzwyczajnego w wielonarodowościowym Związku Radzieckim, ale w chwilę potem zauważyła, że niektórzy z jego ludzi noszą hełmy w kształcie garnka.

– Jesteście Niemcami? – zapytała, najpierw po rosyjsku, potem po niemiecku.

– Nein – odparł.

– Jesteśmy Finami. Witamy w Ylipuri. Uśmiechał się niezbyt przyjemnie; miasto zostało najpierw zagarnięte przez Sowietów w czasie wojny radziecko-fińskiej 1939-40, ale kiedy hitlerowcy uderzyli na ZSRR w 1941 roku, Finowie odebrali swoją własność.

– Czy któryś z waszych mechaników umie obchodzić się z tym typem samolotu? – zapytała. Z

ironicznym błyskiem w oku obejrzał kukuruźnika ze wszystkich stron.

– Bez obrazy, ale sędzę, że każdy dwudziestolatek ze smykałką do mechaniki mógłby się tym zająć – odparł. Ludmiła powściągnęła irytację, ponieważ oficer mówił prawdę.

W fińskiej bazie jedzenie było lepsze od tego, które Ludmiła dostawała na własnych lotniskach. Było tu też znacznie czystiej. Zastanawiała się, czy to dlatego, że Finowie prowadzili mniej akcji przeciwko jaszczurom niż Sowieci.

– Częściowo dlatego – wyjaśnił oficer, który ją powitał, kiedy go o to zapytała.

Po wejściu do budynku zauważyła, że jego płaszcz jest szary, a nie khaki; na mankietach miał trzy wąskie paski. Zastanawiała się, jaka to ranga.

– A i dlatego, proszę wybaczyć, ale jak sama pani pewnie zauważy, ludność wielu innych krajów jest czystsza od Rosjan. Ale to nie ma znaczenia. Czy miałaby pani ochotę skorzystać z sauny? Kiedy spostrzegł, że nie zrozumiała fińskiego słowa, zaczął mówić po niemiecku:

– Łaźnia parowa.

– O, tak! – zawołała.

Wreszcie miała okazję, żeby się umyć, a przy okazji dobrze wygrzać. Nikt na nią nawet nie spojrział, kiedy weszła tam sama. Lecąc nad Finlandią, a potem nad Szwecją, zastanawiała się nad słowami fińskiego oficera. Sam widok nie zrujnowanego działaniami wojennymi krajobrazu był nowy i inny; przeloty nad nie zniszczonymi, schludnymi miastami skierowały jej myśli ku odległym dniom, o których niemal zapomniała w gorączce ciągłych walk. Nawet pod śniegiem widziało się uporządkowaną szachownicę pól i łąk. Wszystko tu było małe w porównaniu z radziecką gigantomanią i tak perfekcyjne, że wyglądało jak wyjęte z pudełka. Zastanawiała się, czy Skandynawowie są porządniejsi od Rosjan, dlatego że mają znacznie mniej ziemi, więc muszą korzystać z niej wydajniej. To wrażenie nasiliło się w Danii, gdzie prawie nie było lasów, a każdy metr kwadratowy powierzchni zdawał się służyć jakiemuś celowi. Minęła Danię i wleciała w obszar powietrzny Niemiec. Od razu spostrzegła, że w Niemczech trwa wojna. Chociaż trasa jej lotu omijała o kilkaset kilometrów Berlin, zobaczyła zniszczenia, których nie dało się porównać z niczym, co widziała w Związku Radzieckim. Najpierw Brytyjczycy, a potem jaszczury prowadziły tu tak skoncentrowane bombardowania, jakich ZSRR, jako całość, nie zaznał. Fabryki, stacje kolejowe, domy mieszkalne – wszystko to stanowiło jedną ruinę. I tak wyglądało każde mijane miasto. Jaszczury ciągle bombardowały Niemcy. Kiedy Ludmiła usłyszała ryk ich odrzutowców, zleciała najniżej jak się dało. Jej U-2 brzęczał jak komar latający przy podłodze; za mały, żeby warto było zwracać na niego uwagę. Niemcy ciągle stawiali opór. Pociski przeciwlotnicze wybuchły jak fajerwerki. Smugi światła z reflektorów krążyły po niebie, starając się wychwycić jaszczurze maszyny. Kilka razy Ludmiła usłyszała w oddali odgłos samolotów śmigłowych. A więc Luftwaffe nadal wysyła w powietrze swoje myśliwce, pomyślała. Dalej na południe ziemia zaczynała się fałdować. Była to czwarta noc lotu. Lądowisko znajdowało się w kartoflisku niedaleko miasta Sulzbach. Obsługa lotniska przetoczyła samolot do kryjówki, a oficer Luftwaffe zawiózł gości konnym wozem do miasta.

– Jaszczury strzelają do samochodów – wyjaśnił przepaszająco.

– U nas jest tak samo – kiwnęła głową. „Prawda” albo „Izwiestia” często pisały, że atmosfera rozmów dyplomatycznych była poprawna.

Ludmiła nie bardzo rozumiała, co to znaczy. Teraz, kiedy widziała, jak Niemcy traktują ją i Mołotowa, zaczęła się domyślać. Byli uprzejmi, ugrzecznieni, ale widać było, że najchętniej w ogóle nie rozmawialiby z Sowiecami. Niechęć była wzajemna, przynajmniej, jeśli chodziło o Ludmiłę. Natomiast Mołotow jak zwykle zachowywał kamienny wyraz twarzy. Ludmiła musiała się hamować,

ażebym nie okazać, jak się cieszy na myśl, że po raz pierwszy od niepamiętnych czasów będzie spała w prawdziwym łóżku. Udało się jej jednak stłumić objawy radości. Inaczej Niemcy uznaliby ją za niecywilizowaną. Ignorowała też ostentacyjnie aluzje oficera Luftwaffe, że nie miałby nic przeciwko temu, żeby przespać się z nią w tym samym łóżku. Ku jej uldze nie był zbyt natarczywy.

– Mam nadzieję, że pani mi wybaczy, Fraulein Gorbunowa, ale odradzałbym nocny lot do Berchtesgaden.

– Jestem starszym lejtnantem – odparła Ludmiła.

– A dlaczego by pan odradzał?

– Nocny lot jest dość trudny...

– Latałam już bardzo wiele razy w nocy, zarówno przeciwko wam, jak i jaszczurom – powiedziała.

Niech sobie o tym myśli, co chce. Zrobił wielkie oczy, ale zaraz się opanował.

– Może i tak, ale to było na rosyjskim stepie, a nie w górach.

– Czekał na jej odpowiedź. Kiwnęła tylko głową i przyjęła uwagę bez słowa.

– Góry są bardziej niebezpieczne: teren jest nierówny, a wiatr porywisty i zmienny. Margines dopuszczalnego błędu jest zbyt wąski w stosunku do wagi pani misji, tym bardziej że będzie chciała pani trzymać się blisko ziemi.

– Co pan zatem proponuje? Lot w dzień? Jaszczury strącają mnie wtedy prawie na pewno.

– To prawda – powiedział Niemiec.

– Dla ochrony pani poderwiemy jednak z ziemi kilka eskadr myśliwców. Nie będą służyć jako eskorta – to by tylko ściągnęło uwagę jaszczurów na pani samolot – odciągną wroga od trasy pani lotu.

Ludmiła przemyślała propozycję. Jeśli wziąć pod uwagę brak równowagi sił między jaszczurami a Niemcami, to kilku pilotów będzie musiało poświęcić życie, żeby wraz z Mołotowem dotarła do tego Berchtesgaden. Wiedziała też, że nie ma doświadczenia w lotach górskich. Jeśli hitlerowcy chcieli jej w ten sposób pomóc w wypełnieniu zadania bojowego, to powinna to przyjąć.

– Dziękuję – powiedziała.

– Heil Hitler! – zawołał na pożegnanie oficer Luftwaffe, co wcale nie poprawiło jej nastawienia do współpracy z Niemcami.

Kiedy następnego ranka poszła z Mołotowem do samolotu, stwierdziła, że obsługa lotniska pokryła skrzydła i kadłub jej U-2 plamami białej farby. Jeden z żołnierzy w kombinezonie wyjaśnił:

– Teraz upodobnicie się do skał pokrytych śniegiem.

Radziecki kamuflaż zimowy był równomiernie biały, ponieważ pokrywa śniegu na stepie też była jednolita. W górach było inaczej. Nie wiedziała, czy nowe maskowanie pomoże, ale pomyślała, że z pewnością nie zaszkodzi. Żołnierz uśmiechnął się, kiedy podziękowała mu po niemiecku. Kiedy dobrze przyjrzała się górom w czasie lotu, była zadowolona, że przyjęła radę niemieckiego lotnika i nie wybrała się w podróż nocą. Lądowisko, które jej wyznaczono, leżało na skraju wioski Berchtesgaden. Podczas lądowania była przekonana, że rezydencja Hitlera znajduje się gdzieś w środku wsi. Tymczasem, czekała ich długa droga wozem na górę. Szczyt, jak się dowiedziała, nosił nazwę Obersaltzberg. Mołotow siedział przez cały czas bez ruchu i patrzył kamiennym wzrokiem przed siebie. Nic nie mówił. Po drodze mijali dwa punkty kontrolne. Mołotow patrzył nie widzącym wzrokiem na żołnierzy, jak również na drut kolczasty, który otaczał budynki. Wreszcie wóz dotarł na szczyt. Widok był wspaniały. Berghof Hitlera skojarzył się Ludmile z luksusowym domem wypoczynkowym zajęтым przez rezydencję wodza jednego z mocarstw światowych. Mołotowa

poprowadzono do Berghofu. Ludmiła wydawało się, że rozpoznaje niemieckiego partnera komisarza, ministra spraw zagranicznych III Rzeszy von Ribbentropa. Widziała go na kronikach filmowych dwa lata temu, kiedy Związek Radziecki i Niemcy zawarły traktat o przyjaźni. Nie była tak ważną osobą, żeby zakwaterowano ją w rezydencji. Niemcy odprowadzili ją do niezbyt oddalonego od Berghofu domu dla gości. Stała we wspaniałym holu i była w stanie myśleć tylko o tym, że wszystko to powstało kosztem wyzysku niemieckich robotników i chłopów. W swej naiwności sądziła, że w bezklasowym Związku Radzieckim nikt nie mieszka w takim luksusie. Po schodach zszedł na dół oficer w czarnym mundurze i berecie wojsk pancernych. Sądząc po naszywkach, był to pułkownik. Na prawej piersi miał wielką, oślepiająco jasną, ośmiopromienną złotą gwiazdę ze swastyką pośrodku. Był szczupły i dobrze ogolony. Doskonale pasował do otoczenia swojego Fuhrera. Ludmiła poczuła się przy nim mała, pękata i zupełnie nie na miejscu. Zrzuciła plecak ze swoimi rzeczami osobistymi – nie było ich wiele – na ramię. Ruch przyciągnął wzrok pułkownika. Stał, spojrzął i szybkim krokiem podszedł do niej.

– Ludmiła! – krzyknął i przeszedł na rosyjski.

– Co ty tu u diabła robisz? Rozpoznałaby jego głos nawet, gdyby nie poznała twarzy.

– Heinrich! – powiedziała, starając się, żeby nie wymówić imienia z rosyjska, przez „g”.

Była tak zadowolona z faktu, że nie zwracając uwagi na wystraszone spojrzenia niemieckiej eskorty i na to, co powie Mołotow, kiedy się o tym dowie, uściśnęła Jagera. Odwzajemnił się jej z entuzjazmem.

– Awansowali cię o dwa stopnie – zauważyła.

– To wspaniale. Uśmiechnął się nonszalancko.

– Dali mi wybór: pułkownik-lejtnant i Krzyż Rycerski albo pułkownik oraz właśnie to „smażone jajko Hitlera” – poklepał się po połyskliwej odznace.

– Przepraszam, Niemiecki Krzyż w złocie. Myśleli, że wybiorę chwałę. Ja wziąłem rangę. Ranga zostaje.

– „Smażone jajko Hitlera”? – powtórzyła Ludmiła z zachwytem.

Jej eskorta ostentacyjnie udawała, że nie widzi jej reakcji. Potrząsnęła głową.

– Oj, mamy sobie tyle do powiedzenia.

– Tak, mamy.

– Twarz Jagera przez chwilę przybrała bardzo ostrożny wyraz, który widziała po raz pierwszy w ukraińskim kołchozie. Potem uśmiech powrócił.

– Tak, mamy – powtórzył.

– I to bardzo wiele.

Rozdział XVIII

Aktvar patrzył na zgromadzonych panów statków. Oni przyglądali się jemu w milczeniu. Starał się wysondować ich nastroje. Już tylko bunt – a nawet i nie to – mógłby go zaskoczyć. Minął już ponad rok kampanii. Wszystko wskazywało na to, że zakończy się ona walkowerem. Jak do tej pory nikt nawet nie wspomniał o zwycięstwie. Pan floty postanowił stawić czoło nastrojom.

– Zgromadzeni samcy, wiem, że prawie co dnia stajemy wobec nowych problemów na Tosev 3. Czasem nawet rozwiązane już problemy stwarzają nowe kłopoty, tak jak w tosewickim cesarstwie o nazwie Italia.

Pan statku Straha stał skulony i czekał, aż Atvar go zauważy. Kiedy pan floty wskazał na niego, zapytał:

– Jak to możliwe, że Deutsche porwali tego, jak mu tam... tego Wielkiego Brzydala, któremu podlega Italia...

– Mussolini...

– Dziękuję, dostojny panie floty. Tak, Mussolini. Jak Deutsche udało się go wykraść, skoro zamknęliśmy go w zamku z dala od wszystkiego, kiedy tylko poddał nam swoje cesarstwo?

– Nie wiemy, w jaki sposób dowiedzieli się, gdzie on jest – przyznał Atvar.

– Są uzdolnieni w dziedzinie prowadzenia nieregularnej wojny. Muszę też przyznać, że to ich posunięcie sprawiło nam niemało kłopotu.

– Niemało kłopotu? Chyba nawet bardzo dużo.

– Straha dodał na końcu zdania kaszlnięcie.

– Jego przemówienia radiowe z Deutschland negują to, co w naszym imieniu mówi Wielki Brzydala z Warszawy, ten który tak przekonywająco występuje przeciwko ludowi Deutsche.

– Rusie – powiedział Atvar, zerknąwszy na ekran komputera. Przeglądany plik przypomniawszy mu coś jeszcze.

– Jeśli o niego chodzi, to osiągnęliśmy punkt krytyczny. Jego ostatnie wystąpienie było takie, że musieliśmy je elektronicznie zmieniać, żeby odpowiadało naszym wymaganiom.

– Wielkie Brzydale jeszcze nie oswoiły się z myślą, że Rasa będzie nimi władać – powiedział ponurym głosem pan statku Kirel.

– A czy powinni? – odparł Straha. Jego ton pełen był sarkazmu.

– To, co widzą, nie sprzyja naszej popularności. Ta sprawa z Mussolinim to tylko jeden z wielu naszych kłopotów. Teraz Italia kipi od sabotaży, podczas gdy wcześniej była jednym z najspokojniejszych cesarstw pod naszą kontrolą. Wtrącił się Feneress, pan statku z frakcji Strahy.

– Co więcej, pozwoliło to Deutsche uczynić bohatera ludowego z tego... – poszukał nazwiska w swoim komputerze – z tego Skorzenego, który dowodził porwaniem. To zachęci innych Tosewitów do współzawodnictwa. Kirel już chciał przyjść z pomocą Atvarowi, ale pan floty podniósł rękę.

– Masz rację Feneress – powiedział.

– W normalnych okolicznościach, za taką porażkę samiec, który odpowiadał za bezpieczeństwo Wielkiego Brzydala Mussoliniego, zostałby poddany surowym sankcjom dyscyplinarnym. Ale zginął w czasie akcji, więc jest to niewykonalne.

Panowie statków zaczęli się wiercić i z cicha rozmawiać ze sobą. Takie szczere przyznanie się do porażki ze strony pana statku było dziwne i niestosowne. Starali się dociec, co może oznaczać ta szczerość. Czy to sygnał do zmiany strategii? Czy to znaczy, że Atvar zrezygnuje ze stanowiska, być może na korzyść Strahy? A jeśli tak, to jakie zmiany przyniesie to dla każdego z panów statków? Atvar ponownie uniósł dłoń. Głosy powoli ucichły.

– Nie wezwałem was na statek flagowy, żeby rozwodzić się nad porażkami, przeciwnie. Wezwałem was po to, żeby wyznaczyć nowy kurs, który jak sądzę, przyniesie nam zwycięstwo.

Oficerowie znów zaczęli szeptać. Niektórzy z nich

Atvar wiedział o tym – byli na skraju desperacji, nie widząc szans na zwycięstwo. Inni nadal uważali, że można je osiągnąć, ale środki, których chcieli użyć oznaczałoby uczynienie z Tosev 3 planety niezdatnej do kolonizacji dla floty osadniczej zmierzającej w stronę niepokornego globu. Gdyby Atvarowi udało się im dowieść, że się mylą, a przy tym pokonać Wielkich Brzydali, osiągnąłby wielki osobisty sukces. Wydawało mu się, że jest to możliwe.

– Pomieszał nam szyki kłopotliwie wysoki poziom techniki zademonstrowany przez Tosewitów – powiedział.

– Gdyby nie to, a przyczyny tego rozwoju nadal badamy, podbój Tosev 3 byłby czynnością rutynową.

– A my wszyscy bylibyśmy znacznie szczęśliwsi – wtrącił Kirel.

Atvar zobaczył, jak panowie statków rozwierają szczęki. To dobry znak, że nadal potrafią się śmiać.

– Być może zbyt wolno dotarło do nas, jak poważne konsekwencje niesie z sobą poziom techniki Wielkich Brzydali. W porównaniu z Tosewitami Rasa jest powolna. Skorzystali z tego faktu w walce przeciwko nam. Ale my jesteśmy także sumienni, dokładni. Porównajcie nasze cesarstwo z tymi efemerycznymi tworam i ich irracjonalnymi systemami administracyjnymi. A teraz znaleźliśmy słaby punkt ich techniki, który – miejmy nadzieję – uda nam się wykorzystać przeciwko nim.

Słowa te przykuły uwagę panów statków. Patrzyli na niego w taki sposób, jak tłum narkomanów na imbirowy proszek. Postanowił teraz o tym nie myśleć. Chciał się zająć przyszłymi osiągnięciami, a nie kłopotami.

– Nasze pojazdy i samoloty napędzane są wodorem i tlenem uzyskiwanym elektrolitycznie z wody za pomocą energii czerpanej ze stosów atomowych naszych statków. Paliwo nigdy nie stanowiło dla nas problemu; jeśli Tosev posiada coś w nadmiarze, to jest to właśnie woda. Ocenialiśmy możliwości Wielkich Brzydali w zaopatrywaniu się w paliwo według naszych kryteriów. Ta ocena okazała się błędna.

Panowie statków znów zaczęli szemrać. Wysoko postawieni członkowie Rasy zazwyczaj nie wyznawali tak szczerze swoich błędów, szczególnie zaś wtedy, gdy mogły ich zdyskredytować w oczach innych. Atvar też nie byłby taki szczery, gdyby korzyści płynące z otwartości nie przewyższały strat wynikających z faktu przyznania się do tego, że wcześniej błędził.

– Zamiast wodoru i tlenu, tosewickie samoloty oraz pojazdy jeżdżące po lądzie i pływające po wodzie wykorzystują jako paliwo różne formy destylowanej ropy naftowej – powiedział.

– Ma to pewne wady, nie ostatnią z nich są toksyczne spaliny wydzielane przez urządzenia w czasie pracy.

– To prawda, na cesarza – powiedział Straha.

– Wystarczy wejść do któregoś z okupowanych przez nas miast i membrany źrenic natychmiast zaczynają palić od tego smrodu, który unosi się w powietrzu.

– To prawda – potwierdził Atvar.

– Ale mniejsza o skażenie. Nasi inżynierowie zapewniają mnie, że mimo to silniki napędzane ropą i jej pochodnymi nie są mniej wydajne niż nasze. W istocie mają pewne drugorzędne zalety: paliwa do nich nie muszą być przechowywane w specjalnie izolowanych zbiornikach, jak tego wymaga płynny tlen, czy wodór i dzięki temu są lżejsze.

– Niemniej, to przestępstwo marnować ropę naftową, spalając ją, zamiast używać ten cenny płyn do znacznie korzystniejszych celów – powiedział Kirel.

– Prawda. Kiedy dokonamy już podboju, skończymy z tą rozrzutną technologią – rzekł Atvar.

– Chciałbym zauważyć, że według naszych geologów na Tosev 3 jest znacznie więcej ropy naftowej niż na planetach należących do cesarstwa. Może nawet więcej niż na wszystkich trzech razem wziętych. Wynika to w dużej mierze z ogromnych obszarów, które zajmuje tutaj woda. Ale te rozważania odwodzą nas od najważniejszego celu, dla którego zwołałem tę odprawę.

– Jaki to cel? – zapytało naraz trzech panów statków. W innych okolicznościach takie bezczelne pytanie byłoby uznane za niebezpiecznie bliskie niesubordynacji. Teraz jednak, Atvar, był skłonny przebaczyć oficerom.

– Rzecz polega na tym, zgromadzeni samcy, że nawet na Tosev 3 ropa naftowa, jak to powiedział pan statku Kirel, jest cennym i względnie rzadkim dobrem – odparł pan floty.

– Nie jest ona rozpowszechniona równomiernie. Cesarstwo, albo raczej nie-cesarstwo Deutschland, na przykład, ma tylko jedno najważniejsze źródło ropy. Jest nim podporządkowane mu cesarstwo zwane Romania. Pokazał na hologramie, gdzie leży Rumunia i gdzie, w jej granicach, znajduje się zagłębienie naftowe.

– Mam pytanie, dostojny panie floty! – zawołał Shonar, samiec z frakcji Kirela. Poczekał, aż Atvar udzieli mu głosu i powiedział:

– Czy mamy okupować regiony wydobywcze ropy naftowej, które do tej pory nie znalazły się pod naszą kontrolą? To może nas drogo kosztować, myślę o życiu wielu samców i o sprzęcie.

– Nie ma takiej konieczności – oznajmił Atvar.

– W niektórych przypadkach nie będziemy musieli nawet atakować obszarów, na których ropa czerpana jest z ziemi. Jak już wcześniej zauważyłem, Wielkie Brzydale nie spalają w swoich silnikach ropy ale jej destylaty. Zakłady, które wytwarzają pochodne ropy są duże i okazałe. Jeśli je odnajdziemy i zniszczymy, to tym samym złamiemy zdolność Tosewitów do stawiania oporu. Czy to jasne?

Sądząc po pełnych podniecenia syknięciach i piskach, zgromadzeni panowie statków jasno zrozumieli przesłanie. Atvar żałował, że Rasa nie zastosowała tej strategii na początku podboju. Nie mógł jednak nikogo za to winić: Tosev 3 tak bardzo się różnił od tego, co spodziewano się zastać, że personel techniczny sił ekspedycyjnych potrzebował trochę czasu, żeby stwierdzić, co jest rzeczywiście ważne na tej planecie. Miał nadzieję, że tym razem ten plan się powiedzie.

– Za rok od tej chwili – powiedział

– Tosev 3 będzie nasza. Samcy zaczęli gulgotać i pohukiwać. Ogólne uznanie napełniło Atvara ciepłym uczuciem dumy. Może jeszcze mu się uda zapisać w annałach jego ludu jako Atvar Zwycięzca, ten, który podbił Tosev 3. Panowie statku zaczęli skandować:

– Niech się stanie! Niech się stanie!

Z początku, Atvar wziął to za wyraz pełnego ufności oczekiwania. Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że okrzyki wyrażają jeszcze coś innego: jeśli Rasa nie podbije Wielkich Brzydali w ciągu nadchodzącego roku, to co ją czeka potem? Znajdowali się wysoko nad Wyspą Wight. George Bagnall miał wrażenie, że jego wzrok sięga w nieskończoność. Dzień był, po raz pierwszy od dawna, bezchmurny. Kanał La Manche, Francja i Anglia po obu jego stronach wyglądały jak arcydzieła kartografii.

– Ciekawe, jak ludzie sporządzali dokładne mapy, zanim potrafili wznieść się w powietrze i popatrzeć na ziemię z góry? '•Ś zastanawiał się. Ken Embry chrząknął.

– Ciekawe, jak widzą Ziemię jaszczury. Są tak wysoko, że jednym spojrzeniem mogą ogarnąć

całą planetę.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał inżynier pokładowy.

– Byłoby na co popatrzeć, prawda?

Ogarnął go nagły gniew, że jaszczury cieszą się przywilejem, którego nie dostąpiła ludzkość. Zdał sobie sprawę, że u podstaw tego gniewu leży zwyczajna, nieklamana zawiść. Embry pochylił się w fotelu, na ile pozwalały mu pasy bezpieczeństwa i pokazał ręką w dół, na szaroniebieskie wody kanału.

– Co sądzisz o tym okręcie?

– Co ty myślisz, że jestem jakimś cholernym obserwatorem?

– Ale Bagnall też się pochylił.

– To łódź podwodna, na Boga! – powiedział zaskoczony.

– Łódź podwodna na powierzchni w kanale... jedna z naszych?

– Mogę się założyć, że to nasza – stwierdził z przekonaniem Embry.

– Jaszczury, czy nie jaszczury, coś mi się widzi, że Winniego szlag by trafił, jakby niemieckie U-booty buszowały przy naszych wybrzeżach.

– Wcale mu się nie dziwię.

Bagnall jeszcze raz spojrział.

– Płynie na zachód. Ciekawe, czy wiezie coś interesującego dla Jankesów.

– Chyba tak. Jaszczury niewiele potrafią zdziałać, jeśli chodzi o wojnę na morzu, prawda? A z łodzią podwodną byłoby im jeszcze trudniej.

Embry znów się pochylił.

– Trochę zgadywanek dla rozrywki, co? Nudno tak ciągle włączyć się w chmurach. Człowiekowi zdaje się, że otula go biała wata.

– Fakt.

Bagnall obrócił się w fotelu, żeby popatrzeć w głąb kadłuba.

Goldfarb widzi więcej od nas. Radar nic sobie nie robi z chmur: przenika je na wskroś.

– Prawda – powiedział Embry.

– Ale gdybym miał wybierać, to wolałbym patrzeć sobie bezpośrednio przez okno na morze albo nawet na chmury, niż siedzieć w bebeczach samolotu i gapić się jak elektrony gonią się na ekranie.

– Nie musisz mnie przekonywać – odparł Bagnall.

– Wcale nie musisz. Ale wiesz co, ten Goldfarb to niezły ptaszek. Tyle czasu uganiał się za tą kelnerką Syla, a jak ją w końcu dopadł, to ją rzucił po paru dniach.

– Może nie była taka dobra, jak się spodziewał. Pilot roześmiał się rubasznie.

– Wątpię – stwierdził Bagnall głosem eksperta.

– Wygląda na niezłą, ale wygląd może być mylący. Należałoby ją sprawdzić – Embry wzruszył ramionami.

– W końcu, to nie moja sprawa. Ale skoro już mowa o Goldfarbie...

Włączył interkom.

– Jest jakiś ślad naszych małych łuskoskórych koleżków, panie radarowicz?

– Nie, pilocie – odparł Goldfarb.

Martwa cisza.

– Martwa cisza – powtórzył Embry.

– Wiesz, całkiem mi się to podoba.

– Mnie też – powiedział Bagnall.

– Jeszcze jeden lot bojowy, po którym mamy szansę wylądować.

Inżynier zachichotał.

– Długo żyliśmy na kredyt Nie chciałbym, żebyśmy musieli go spłacić pewnego dnia.

– Muszę cię co do tego rozczarować, przyjacielu. W dniu, w którym zniesiono limit lotów dla poszczególnych załóg, podpisano na nas wyrok śmierci w zawieszeniu. Każdy musi teraz latać ile mu każą. Sztuka polega na tym, żeby unikać tego, co nieuchronne jak długo się da.

– Po tym, jak bezpiecznie sprowadziłeś nas na dół we Francji, nie wierzę już w rzeczy niemożliwe – odparł Bagnall.

– Wierz mi, byłem tak samo zdziwiony, że to przeżyłem, jak i ty. Po prostu mieliśmy szczęście – Embry roześmiał się.

– Jeśli teraz jaszczury nie namieszają przez następne kilka godzin, to myślę, że będziemy mieli dzisiaj spokojny lot. Od czasu do czasu należy nam się coś takiego, prawda? Jaszczury rzeczywiście nie pojawiały się.

O wyznaczonej godzinie Embry z ulgą zawrócił lancastera w stronę Dover. Lądowanie było tak łagodne, że gdy samolot przestał się toczyć po pasie, pilot powiedział:

– Kapitan i załoga dziękują państwu za lot brytyjskimi liniami lotniczymi.

Żaden pasażer tak szybko nie opuszczał samolotu, jak jego załoga. Kiedy Bagnall wygramolił się z kabiny i zszedł na pas, jeden z żołnierzy obsługi naziemnej uśmiechnął się do niego od ucha do ucha.

– Musieliście się chyba dowiedzieć, że dzisiaj włączyli prąd, że tak się wam spieszy do koszar.

– Naprawdę włączyli?

Bagnall zaczął biec. Jawiły mu się różne rozkoszne wizje: będzie światło, żeby poczytać albo zagrać w karty, będzie ogrzewanie elektryczne i kuchenka, na której da się zaparzyć herbatę, albo podgrzać wodę do golenia, gramofon; możliwości były tak rozległe, jak horyzont wokół lancastera w czasie lotu. Tylko słuchanie BBC umknęło mu z pamięci. Minęło już kilka tygodni, od chwili kiedy w koszarach był prąd, a jednocześnie brytyjska rozgłośnia mogła nadawać. Jaszczury starały się zniszczyć nadajnik, żeby uciszyć audycje nadawane przez ludzi. Samo słuchanie spikera sprawiało, że Bagnall czuł się członkiem szerszej wspólnoty niż tylko jego baza i jej najbliższe okolice. David Goldfarb inaczej reagował na audycje.

– Na Boga, chciałbym umieć tak mówić – wzdychał, przybliżając ucho do radia.

Bagnall miał akcent nabyty w elitarnych szkołach średnich, więc na nim nie robiło to takiego wrażenia. Ktoś mu to zresztą wypomniał. Pochodzenie społeczne Goldfarba zdradzał jego akcent. Widział czasem, jaką zawiść wznieca w Davidzie, chłopaku z londyńskich niższych warstw średnich. Spiker BBC powiedział: „Przedstawimy teraz państwu w całości nagranie, które dotarło niedawno do Londynu z konspiracyjnych źródeł w Polsce. Mówi pan Mosze Rusie, do niedawna znany wielu z państwa jako obrońca jaszczurów. Po jego wypowiedzi usłyszą państwo przekład.” Nagranie poszło w eter. Bagnall znał troszeczkę niemiecki, ale niewiele mu to pomogło; w odróżnieniu od poprzednich audycji propagandowych Rusiego, ta była w języku jidysz. Inżynier pokładowy chciał zapytać Goldfarba, co Rusie mówi. Ale może lepiej nie należało tego robić. Radarowiec czuł się upokorzony, że ma w rodzinie kolaboranta. Goldfarb nie miał kłopotów ze zrozumieniem nagrania. Spoglądał na odbiornik, jakby widział tam kuzyna. Co chwila uderzał pięścią w oparcie krzesła. Po wystąpieniu Rusiego na chwilę zapadła cisza.

– Kłamstwa! Wiedziałem, że to wszystko były kłamstwa! – krzyknął radarowiec.

Zanim Bagnall zdążył zapytać, o co chodzi, usłyszał ponownie głos spikera BBC. Mówił pan Mosze Rusie. A teraz, jak obiecywaliśmy państwu, nastąpi przekład. Przedstawiam państwu członka

naszego zespołu, pana Nathana Jacobiego. Rozległ się szelest papieru, a potem odezwał się wyćwiczony, radiowy głos tłumacza. „Pan Rusie powiedział, co następuje: Moja ostatnia audycja wygłoszona ze studia jaszczurów została od początku do końca sfalszowana. Zmuszono mnie do mówienia, przykładając mi lufę karabinu do głowy i nawet mimo to, jaszczury musiały zmienić mój tekst, by uzyskać taki, który ich w pełni zadowoli. Kategorycznie potępiam ich dążenie do zniewolenia ludzkości i wzywam do stawiania oporu. Niektórzy mogą się dziwić, dlaczego występowałem jako ich rzecznik. Odpowiedź jest prosta: fakt, że jaszczury zaatakowały Niemcy dopomógł memu ludowi skazanemu przez hitlerowców na śmierć. Kiedy naród podlega zagładzie, to niewola wydaje się lepszym wyborem, w tej sytuacji wdzięczność żywi się nawet wobec tych, którzy ją wprowadzają. Ale jaszczury okazały się także mordercami. Mordują nie tylko Żydów, ale całą ludzkość. Niech Bóg nam dopomoże, da nam siły i odwagę, byśmy mogli się im przeciwstawić.” Znowu zaszeleścił papier i odezwał się spiker BBC: „Pan Nathan Jacobi przetłumaczył na angielski dementi pana Moszego Rusiego dotyczące jego ostatnich wystąpień w charakterze rzecznika jaszczurów. Był to cios wymierzony w najeźdźców z kosmosu. Najbardziej na pozór lojalni ich współpracownicy występują przeciwko występnej i agresywnej polityce jaszczurów. Premier, pan Churchill, wyraził swój podziw dla odwagi pana Rusiego i nadzieję, że pan Rusie zdoła ujść zemście jaszczurów. W dalszej części wiadomości... David Goldfarb odetchnął głęboko.

– Nawet nie wiecie, jak się teraz czuję – oznajmił z widoczną ulgą.

– Och, myślę, że wiemy – odparł Ken Embry.

Bagnall też chciał coś takiego powiedzieć, ale pomyślał, że pilot wyraził również jego zdanie. Goldfarb roześmiał się.

– Sposób, w jaki wyrażają się Brytyjczycy doprowadzał mego ojca do szaleństwa. Kiedy tu przybył, dość szybko nauczył się angielskiego, ale nigdy nie rozumiał, jak to możliwe, że ludzie tu są tak niesłychanie powściągliwi w wyrażaniu swych uczuć, kiedy są źli czy się cieszą.

– Za kogo ty nas masz? Za bandę cholernych przekupek?

Bagnall starał się, by wyglądało na to, że jest do głębi urażony. Niezbyt mu to ułatwiał jego akcent nabyty w elitarnej szkole.

– Mówiłem o moim ojcu, a nie o mnie – odparł Goldfarb.

– Ja, mogę to przyznać, potrafię czytać między wierszami i wiem, co macie na myśli. Jesteście cholernie morowymi chłopami. Każdy z was, skurczybyki.

Znowu się roześmiał.

– Wiem, że to więcej, niż powinien powiedzieć rodowity Anglik, ale kto mówi, że jestem rodowitym Anglikiem? Chciałbym dostać jakiś urlop. Już dawno nie byłem w domu. Co za dziwne skojarzenie, pomyślał Bagnall. Związki rodzinne były dla niego bardzo ważne, ale załoga bombowca zastępowała mu teraz bliskich. Dopiero teraz zaczął się zastanawiać, czy Goldfarb ma kogoś, za kim tęskni.

– Dzień dobry panie komisarzu spraw zagranicznych – powiedział za pośrednictwem tłumacza Hitler.

– Mam nadzieję, że spał pan dobrze? Proszę wejść, proszę wejść. Mamy wiele spraw do omówienia.

– Dziękuję, panie kanclerzu.

Wiaczesław Mołotow wszedł za Hitlerem do małej bawialni, która stanowiła ulubiony pokój Fuhrera, zanim nie rozbudowano rezydencji. Mołotow domyślał się, że dopuszczenie go do samego sanktuarium Hitlera było wielkim zaszczytem. Jeśli tak, to chętnie by z niego zrezygnował. W pokoju wszystko było w guście drobnomieszczańskim: ciężkie meble w stylu staro-niemieckim, sztuczne

kwiaty, kaktus i – wielkie nieba! – klatka dla kanarka wykonana z brązu. Stalin będzie się śmiał, kiedy o tym usłyszy. Na krzesłach i kanapach rozłożone były poduszki z wyszytymi swastykami. Stół przykryty był serwetką z deseniem w swastyki. Hitler wydawał się trochę zmieszany.

– Wiem, że panu może się to nie podobać – powiedział pokazując ręką wystrój wnętrza – ale to wszystko wykonały dla mnie niemieckie kobiety, więc nie chcę tego wyrzucać.

Drobnomieszczański sentymentalizm, pomyślał z pogardą Mołotow. Stalinowi to też wyda się śmieszne; jedyne uczucie, które żywił, to zdrowa żądza powiększenia swojej władzy i poszerzenia granic Związku Radzieckiego. Ta pokrętna romantyczna nutka w charakterze Hitlera czyniła go niebezpiecznym partnerem. Jego posunięcie nie dawało się racjonalnie przewidzieć. Najazd na ZSRR przyprawił Stalina o wstrząs; dopiero po kilku dniach stał się zdolny do organizowania obrony. W porównaniu z imperializmem niemieckim, imperializm brytyjski i francuski były nieskomplikowane. Ale tymczasem, cały świat stanął wobec imperialistycznych dążeń kosmitów, których przestarzały system ekonomiczno-polityczny łączył się z supernowoczesną techniką. Mołotow wielokrotnie szukał w pismach Marksa i Engelsa wyjaśnienia tej anomalii, ale nie znalazł w nich niczego na ten temat. Oczywiście było natomiast, że zaawansowane społeczeństwa kapitalistyczne, wspólnie z socjalistycznymi, musiały uczynić wszystko, co w ich mocy, by najazd nie cofnął ich katastrofalnie w rozwoju.

– Może pan podziękować sekretarzowi generalnemu Stalinowi za to, że podzielił się z Niemcami materiałem wybuchowym zdobytym przez połączone siły niemiecko-radzieckie.

– Uczynię to – Mołotow lekko skłonił głowę.

Jak to dobrze, że od tak dawna trenował, aby nie wyrażać uczuć, bo mógł teraz nie okazać Hitlerowi zaskoczenia, które go ogarnęło. A więc temu cholernemu niemieckiemu czołgście udało się jednak przedostać! To bardzo niedobrze. Stalin tylko udawał, że zależy mu na pełnej współpracy. Nie będzie zadowolony.

– Trzeba pochwalić rząd Związku Radzieckiego za to, że uznał materiał za zbyt cenny, by transportować go drogą powietrzną do Niemiec i wysłał go trasą lądową, podczas gdy nawet pan, Herr Mołotow przyleciał tu samolotem – kontynuował Hitler. Ironia nie podzielała na Mołotowa, który nienawidził latania i dopiero na rozkaz Stalina wsiadł do tego okropnego małego dwupłatowca, który przyniósł go do Berchtesgaden. Sekretarz spraw zagranicznych udał, że przyjmuje słowa Hitlera za dobrą monetę.

– Towarzysz Stalin postąpił zgodnie z radą ekspertów wojskowych. Jest bardzo zadowolony z faktu, że wasz udział w zdobyczy dotarł do was zgodnie z obmyślonym przez niego planem.

– Było to bezczelne kłamstwo, ale Hitler nie mógł go na nim przyłapać, tym bardziej, że kurierowi udało się jakoś pokonać niebezpieczeństwa podróży. Hitler kontynuował:

– Proszę też powiedzieć Herr Stalinowi, że zrobiłby lepiej przysyłając materiał drogą powietrzną. Wtedy połowa naszego udziału nie wpadłaby w ręce Żydów.

– Jak to? – zdziwił się Mołotow.

– Nie wpadłaby w ręce Żydów – powtórzył Hitler. Mołotow ukrył irytację. Nie stanowiłaby wygodnego argumentu w rozmowach. Hitler zaczął gwałtownie gestykulować, podniósł głos do krzyku.

Kiedy ten pocziwy niemiecki major jechał przez Polskę, zajęta przez jaszczury, został zatrzymany przemocą przez żydowskich bandytów, którzy zmusili go do oddania połowy cennego skarbu wiezionego przez niego dla dobra niemieckiej nauki. To była nowina dla Mołotowa. Niepokojąca nowina. Nie mógł się powstrzymać i stwierdził:

– Gdybyście tak nie dręczyli Żydów i nie-żydowską ludność w krajach przez was podbitych, to

bez wątpienia nie zatrzymaliby waszego kuriera.

– Ale Żydzi są pasożytami na ciele ludzkości.

Hitler powiedział to zupełnie poważnie.

– Nie posiadają własnej kultury, a środki do życia czerpią z pracy innych. Całkowicie brakuje im idealizmu, woli uczestnictwa w rozwoju ludzkości Proszę tylko spojrzeć, jak dobrze im u boku jaszczurów.

– Proszę tylko przyjrzeć się, dlaczego tak się dzieje – odparował Mołotow. Jego żona, Polina Żemczużyna była pochodzenia żydowskiego, ale nie sądził, żeby Hitler o tym wiedział.

– Tonący brzytwy się chwyta.

– Tak, jak Brytyjczycy, którzy weszli z nami w przymierze w walce przeciwko tobie, pomyślał.

Na głos powiedział co innego.

– Przy okazji, czy były rzecznik jaszczurów, jeden z polskich Żydów, nie potępił ich i nie ukrywa się przed nimi? Hitler nie zwrócił uwagi na ten argument.

– Sami są obcy w Europie, więc stwierdzili, że świetnie się nadają na szpiegów i lizusów, są jeszcze gorsi od kosmitów, którzy nas zadręczają.

– Co pan ma na myśli? – zapytał ostro Mołotow.

– Czy oddali jaszczurom materiał wybuchowy, który zabrali waszemu kurierowi? Jeśli tak się stało, to domagam się natychmiastowego połączenia mnie z moim rządem.

– Stalin musi się dowiedzieć, że jaszczury przeniknęły tajemnicę prac, których celem jest stworzenie repliki najważniejszej z ich broni. Obłoży wtedy sprawę klauzulą szczególnej ochrony tajemnicy.

– Nie, nawet oni nie byliby chyba do tego zdolni – przyznał Hitler. Niechętnie uczynił to małe ustępstwo.

– Więc co zrobili? Zatrzymali to dla siebie?

Mołotow zastanawiał się, co polscy Żydzi mogą zrobić z zatrzymanym materiałem. Czy skonstruują bombę i użyją jej przeciwko jaszczurom, czy może przeciwko Rzeszy? Hitler też musiał się nad tym zastanawiać.

– Nie zatrzymali tego – powiedział Fuhrer.

Mają zamiar przemycić materiał do swoich, czyli do Żydów w Stanach Zjednoczonych. Mołotow myślał o tym, ilu Żydów nie uciekłoby do Stanów, gdyby hitlerowcy nie wypędzili ich ze swego kraju. Pogromy za cara doprowadziły do tego samego zjawiska w Rosji. Za krótkowzroczność imperatora musiał teraz płacić Związek Radziecki. Mołotow był zatwardziałym ateistą i miał absolutnie obojętny stosunek do religii, ale sądził, że Żydzi byli zarówno inteligentni jak i wykształceni. Obie te cechy są bardzo cenne dla każdego narodu. Radziecki minister odsunął na bok te nieistotne przemyślenia i wrócił do sprawy.

– Jestem zmuszony poinformować sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego o takim rozwoju wypadków. Nie była to aż tak pilna informacja, jak w wypadku, gdyby w grę wchodziło odkrycie tajemnicy przez jaszczury, ale i tak trzeba było o tym jak najszybciej powiadomić Stalina. W końcu to Stany Zjednoczone, a nie Niemcy, czy Wielka Brytania, były najpotężniejszym krajem kapitalistycznym, a w rezultacie, najważniejszym przeciwnikiem Związku Radzieckiego w przyszłości, o ile jej jaszczury nie zmienią.

– Zostaną podjęte starania, żeby zapewnić panu łączność – powiedział Hitler.

– Linia telegraficzna wiodąca przez Skandynawię jest nadal względnie sprawna i bezpieczna.

– Proszę to zrobić – rzekł Mołotow. Względnie sprawna – to jeszcze możliwe. Nic przecież nie jest doskonałe. Ale względnie bezpieczna! Ci hitlerowcy to naprawdę partacze, jeśli tolerują

bezpieczeństwo, które jest tylko względne. W głębi ducha sowiecki minister uśmiechnął się. Niemcy nawet nie mają pojęcia, jak dokładne informacje na temat ich poczynań otrzymuje Stalin od swoich agentów.

– Ci podli Żydzi o mały włos nie spowodowali, aby naszym wspaniałym aryjskim uczonym zabrakło odpowiedniej ilości materiału do badań – powiedział Hitler.

Mołotow zapamiętał to sobie; znaczyło to, że i Amerykanie mają zaledwie wystarczającą próbkę do dyspozycji, a Związek Radziecki ma tego metalu pod dostatkiem. Zatem Stalin ma prawo oczekiwać, że radzieccy uczeni go nie zawiodą. Ale Hitlerowi nie o to chodziło; jego umysł opętany był myślą o zemście.

– Najpierw przyjdzie kolej na jaszczury – stwierdził.

– Przyznaję, stanowią obecnie największe zagrożenie dla ludzkości. Ale potem ukarzymy żydowskich zdrajców, którzy zgodnie ze swą naturą przyłączyli się do obcych w walce przeciwko twórczej aryjskiej ludzkości. W ostatnim zdaniu podniósł głos niemal do krzyku. Nagle przerwał i niemal konspiracyjnym szeptem zapytał:

– A wy, Rosjanie, jesteście coś winni Polakom, prawda?

– O co chodzi?

Zaskoczony Mołotow chciał zyskać na czasie. Mimo, że korzystał z usług tłumacza, słyszał, z jakim mistrzostwem Hitler panuje nad swoim głosem. Czyniło to z niego świetnego mówcę, z pewnością lepszego od Stalina, który w swoich przemówieniach był pedantyczny i nie potrafił się pozbyć gruzińskiego akcentu.

– Ejże, ejże – powiedział niecierpliwie Hitler.

– Musiał pan słyszeć, co mówią Polacy o tak zwanej masakrze ich oficerów w Katyniu. Starają się podważyć autorytet Związku Radzieckiego tak jak Żydzi, którzy dyskredytują Rzeszę oczerniając ją w haniebny sposób.

– Nie interesują mnie audycje propagandowe jaszczurów – powiedział Mołotow i była to prawda.

Miał ludzi, którzy je słuchali. A co do Katynia, to myślał, że Polacy nie powinni z tego powodu czynić tyle szumu. Po tym, jak ZSRR przyłączył do macierzy wschodnią połowę Polski – która przecież należała do Rosji przez ponad wiek zanim chaos rewolucji sprawił, że odłączyła się, a Piłsudski ustanowił tam swoje faszystowskie państwo – coś trzeba było zrobić z reakcyjnymi oficerami, którzy wpadli w ręce Armii Czerwonej. Czy należało ich wypuścić, żeby stali się zarodkiem rebelii? Wykluczone! Według sowieckich norm, pozbycie się tych kilku tysięcy niegodnych zaufania ludzi było zaledwie małą czystką.

– Ludność byłego terytorium Polski sprawia kłopoty zarówno memu rządowi, jak i pańskiemu. Mądrze postąpiliśmy dzieląc te ziemie między nasze państwa. Teraz, ze względu na współpracę części tej ludności z jaszczurami, możemy połączyć swe siły w wymierzeniu jej kary, na którą w pełni zasługuje.

– Za pomocą bomb z materiału wybuchowego, o którym mówiliśmy? – zapytał Mołotow. Hitler przytaknął.

– Nie mogę uznać tej propozycji za korzystną – odparł Mołotow. Nasi uczeni twierdzą, że wiatry rozwiewają truciznę powstałą w wyniku użycia tej broni na obszarze znacznie większym niż samo miejsce eksplozji. Z uwagi na to, że większość wiatrów wieje z zachodu na wschód, Związek Radziecki ucierpiałby w wyniku wybuchu, bez względu na to, jak bardzo Polacy zasługiwali na taką karę.

– No cóż, możemy to omówić w późniejszym terminie.

Hitler powiedział to zdawkowym tonem, ale wyglądał na niezbyt zadowolonego. Czy oczekiwał, że Mołotow weźmie udział w niszczeniu własnego kraju? Może tak. Niemcy mieli jeszcze gorsze zdanie o Rosjanach niż o Polakach. Ale rosyjscy uczeni i inżynierowie okazali się już nieraz lepsi, niż spodziewali się tego po nich Niemcy

– Nie, omówmy to teraz – powiedział Mołotow.

Hitler zrobił jeszcze bardziej kwaśną minę niż w 1940 roku, kiedy to Mołotow domagał się dokładnego określenia zobowiązań wynikających z niemiecko-radzieckiego traktatu o nieagresji. To zrozumiałe, że tak wtedy zareagował; od początku planował atak na ZSRR. Co teraz knuje?

– Omówmy to teraz – powtórzył sowiecki minister spraw zagranicznych. Załóżmy, że udało się nam całkowicie pokonać jaszczury. Co w takiej sytuacji będziemy nazywać właściwymi stosunkami wzajemnymi, jakie granice uznamy za odpowiednie? Zarówno ja, jak i sekretarz generalny Stalin z wielkim zainteresowaniem czekamy na pańską opinię w tej sprawie.

Tłumacz kilkakrotnie zająknął się na tym zdaniu; być może starał się złagodzić szczerą wypowiedź. Hitler obrzucił Mołotowa spojrzeniem pełnym nienawiści.

– Kiedy jaszczury zostaną całkowicie pokonane, wtedy zweryfikujemy nasze stosunki ze Związkiem Radzieckim i innymi narodami świata – odparł Fihrer.

– To, w jaki sposób jaszczury zostaną pokonane, na pewno wpłynie i to w znacznym stopniu na rodzaj tej weryfikacji.

Mołotow już chciał się poskarżyć, że Hitler nie odpowiedział mu na pytanie, ale pohamował się. Przywódca nazistów wiedział, co mówi Sytuacja różnych krajów w świecie, zmienionym po pokonaniu przybyszów z kosmosu, będzie zależała od tego, w jakiej mierze kraje te przyczynią się do zwycięstwa... o ile ono nastąpi Nie skarżyć się, tylko go ostrzec, pomyślał Mołotow.

– Musi pan być świadomy jednej rzeczy – powiedział Hitlerowi, który okazał zaskoczenie.

– Pańska wcześniejsza wypowiedź wskazuje na to, że chciał pan wykorzystać naszą niewiedzę na temat oddziaływania bomb z metalu wybuchowego. Nie da się tolerować takiego podejścia do sprawy. Zaczynam rozumieć, dlaczego Żydzi z Polski woleli jarzmo jaszczurów od naszego. Potrzebujemy się teraz wzajemnie, ale towarzysz Stalin nigdy więcej nie zaufa wam tak, jak zufał po sierpniu 1939 roku.

– Ja nigdy nie ufałem waszej zgrai Żydów i bolszewików – krzyknął Hitler.

– Lepsze są syczące jaszczury niż życie pod czerwonym sztandarem.

Zaczął dygotać na całym ciele, ale po chwili, wysiłkiem woli, opanował się.

– Można jednak współżyć z czerwonym sztandarem. Jak pan powiedział, Herr Mołotow, potrzebujemy się nawzajem.

– Da – odparł Mołotow. Mocno nacisnął Hitlera – tak jak Stalin mu kazał – a ten Niemiec nadal mówił o współpracy, choćby i na jego własnych warunkach.

– Myślę, że co do jednego się zgadzamy – stwierdził Hitler.

– Kiedy to wszystko się skończy, na mapie Europy nie może się znaleźć miejsce dla tworu, który nazywa się Polska.

– Być może. Istnienie tego narodu bywało czasem niewygodne zarówno dla Związku Radzieckiego, jak i dla Niemiec – powiedział Mołotow.

– Gdzie umieściłby pan granicę między obszarami pozostającymi pod kontrolą niemiecką a radziecką? Czy na linii, którą nasze kraje wyznaczyły w 1939 roku?

Hitler wyglądał na zboląłego. Nie ma chyba wyboru, pomyślał Mołotow z satysfakcją. Hitlerowcy podbili okupowane przez Sowietów ziemie polskie w kilka dni po swojej zdradzieckiej agresji; linia frontu przebiegała setki kilometrów dalej na wschód, kiedy przybyły jaszczury. Ale jeśli

na serio chcą współpracować ze Związkiem Radzieckim, to muszą za to zapłacić.

– Jak już powiedziałem, szczegóły możemy omówić we właściwym czasie – powiedział Hitler.

– Teraz chciałbym się porozumieć co do pryncypiów: najpierw jaszczury, potem Untermenschen – podludzie na ziemiach leżących między naszymi krajami?

– Co do pryncypiów, tak – odparł Mołotow.

– Ale tak to już jest z pryncypiami, że najistotniejsze są szczegóły, które pomagają wcielić je w życie. Pozwolę sobie przypomnieć, że skoro mowa o pryncypiach, to był czas, kiedy niemiecka propaganda częstokroć nazywała narody Związku Radzieckiego podludźmi. Jest to jeszcze jedna trudność na drodze do harmonijnych stosunków między nami.

– Po opublikowaniu komunikatu z naszych rozmów, nie będziemy już was tak nazywać – zapewnił go Hitler.

– Obaj dobrze wiemy, że język propagandy bywa często pozbawiony związku z prawdziwymi przekonaniem tego, kto z propagandy korzysta.

– To z pewnością prawda – powiedział Mołotow.

Przez myśl przemknęły mu proniemieckie artykuły w gazetach podczas roku i dziesięciu miesięcy przed 22 czerwca 1941 roku. Nie miał jednak złudzeń co do tego, jakie są prawdziwe przekonania hitlerowców.

– Zje pan ze mną oczywiście obiad – powiedział Hitler.

– Dziękuję – odparł zrezygowany Mołotow.

Posiłek był skromny, tak jak się tego spodziewał: rosół z wołowiny, sucha pierś bązanta – Hitler nie tknął swojej porcji – i sałata. Fuhrer wiódł proste życie. Tym trudniej było z nim przestawać.

– Nie jechałem furą z sianem odkąd opuściłem gospodarstwo – powiedział Sam Yeager.

Siedział na wozie jadącym w kierunku przedmieść Detroit Lakes w Minnesocie.

– A tutaj nie byłem od dwudziestego ósmego, może dwudziestego siódmego roku? Grałem wtedy w Lidze Północnej. Jeździliśmy między Fargo a Duluth.

– Wiem co to Duluss, bo tam zsiadliśmy z tej okropnej łodzi – powiedział Ristin, który kucnął w wozie obok Yeagera – ale co to jest... Fargo?

Jaszczur wymówił tę nazwę jakby pochodził z Bronxu.

– Średniej wielkości miasto, jakieś osiemdziesiąt kilometrów – odparł Yeager.

Barbara Larssen też siedziała na furze. Trzymała się od Yeagera jak mogła najdalej.

– Czy jest jakieś miejsce w Stanach Zjednoczonych, którego nie odwiedziłeś? – zapytała obojętnym głosem.

– Niewiele bywałem na Północnym Wschodzie – w Nowym Jorku, Nowej Anglii. Tamtejsze miasta należą do Ligi Międzynarodowej albo do naszych najlepszych zespołów. Nie udało mi się nigdy z nimi zagrać.

Yeager powiedział to bez żalu. Po prostu stwierdzał fakt. Barbara skinęła głową. Yeager ostrożnie się jej przyglądał. Po tych kilku szalonych minutach w jej kabinie na „Caledonii”, więcej jej nie dotykał. Nawet nie pomagał jej przy wsiadaniu i zsiadaniu z wożą. Przez pierwsze trzy dni na statku nie odezwała się do niego ani słowem. Na czwarty dzień wymruczała tylko kilka monosylab. Ale odkąd wyszli na brzeg w Duluth i rozpoczęli powolną wędrówkę na zachód, jechała w tej samej grupie konwoju, co on, a od niedawna, na tym samym wozie. Wczoraj rozmawiała więcej z Ullhassem i Ristinem niż z Yeagerem. Ale dzisiaj wszystko było... może nie to, że w porządku, ale w każdym razie nie najgorzej. Rozejrzył się. Niskie wzgórza pokryte były śniegiem. Biała pokrywa leżała również na lodzie, który skuwał niezliczone jeziora Minnesoty.

– Latem jest zupełnie inaczej – powiedział.

– Wszystko jest gładkie i zielone, a jeziora błyszczą jak diamenty, kiedy promienie słońca padają pod właściwym kątem. Dobrze się tu łowi ryby. Słyszałem, że łowią tutaj również zimą. Wycinają przeręble i zarzucają wędki. Osobiście nie widzę w tym większego sensu. Wychodzi człowiek na dwór i tylko marznie.

– Tyle wody – powiedział Ullhass, zwracając jedno oko na lewo, a drugie na prawo.

– To nie wydaje się naturalne.

– Ja też tak uważam – powiedziała Barbara.

– Jestem z Kalifornii. Trudno mi sobie wyobrazić, że może być tyle naturalnych basenów wodnych na małym obszarze. Ocean to co innego, ale słodka woda? To nie na mój rozum.

– Ocean też nie jest naturalny – upierał się Ullhass.

– Widziałem obrazy z Tosev 3, waszego świata. Robiono je – jak wy to nazywacie, z przestrzeni kosmicznej, tak?

– Wygląda jakby tu była sama woda. To źle.

– Zakończył zdanie kasznięciem.

– Zobaczyć Ziemię z kosmosu – rozmarzył się Yeager.

Ile czasu minie, zanim uda się to człowiekowi? Pokolenie? Może. Na północnym brzegu jeziora Detroit, trochę na południe od miasta Detroit Lakes, znajdowała się baza turystyczna z domkami i miejscami na pikniki. Były tam też dwa większe hotele. Po sezonie wyglądały na opuszczone i zaniedbane.

– Tu aż kipi w lipcu – powiedział Yeager.

– Urządzają sobie nie kończący się letni karnawał z pływaniem, nurkowaniem, zawodami kajakarskimi i wyścigami motorówek, kąpiącymi się pięknościami...

– Tak, tobie się to pewnie podobało – mruknęła Barbara. Sam zaczerwienił się po uszy, ale odważnie brnął dalej.

– ... i piwem, którego można się było napić do woli, mimo że nadal obowiązywała prohibicja, kiedy tu przyjechałem. Nie wiem, czy sprowadzali je z Kanady, czy sami warzyli, ale cała drużyna była wstawiona. Dobrze, że droga do Fargo była prosta i gładka, bo inaczej kierowca wyprawiłby nas wszystkich na tamten świat. Chociaż domki nadawały się do zamieszkania latem, kilka z nich było otwartych. Obok stały wozy.

– Niektóre nie są z naszego konwoju

– powiedziała Barbara.

– To grupa, która przyjechała autostradą numer 34.

– Cieszę się, że im się udało dotrzeć – stwierdził Yeager.

Uciekinierzy z Laboratorium Metalurgicznego nie podróżowali wszyscy razem przez Minnesotę, bojąc się, że tak długi sznur furmanek przyciągnie samoloty jaszczurów. W niektórych miejscach jednak ich trasy się łączyły. W Detroit Lakes wyznaczony był postój. Woźnica odwrócił się i powiedział:

– Patrzcie na to drewno.

Ludzie z okolicy porąbali je dla nas na opał. To tak, jakby na powitanie upiekli nam ciasto. Kiedy Yeager zsiadł z wozu, przekonał się, że miejscowi naprawdę upiekli ciasto. I to bardzo dużo ciasta, choć część zrobiono z mąki kartoflanej, a na żadnym nie było kruszonki. Ale te szczegóły były mało ważne wobec obfitości jajek, indyków, steków, pieczonych kurczaków, udźców jagnięcych... Yeager stracił rozeznanie, czym się zajada, kiedy napychał sobie brzuch.

– Po żarciu z puszek w Chicago, prawie zapomniałem jak wygląda porządnie zastawiony stół –

powiedział do mieszkańca Detroit Lakes, który przyniósł jeszcze jeden talerz kurzych udek.

– Jeśli chodzi o żywy inwentarz, to mamy go tyle, że nie wiemy, co z nim zrobić – odparł gospodarz.

Zanim przybyły te przekłete jaszczury, wieźliśmy wszystko statkami na Wschodnie Wybrzeże. Teraz zwierzęta zostają tutaj. Niedługo zabraknie nam paszy i będziemy musieli zacząć ubój, ale jak do tej pory, jakoś sobie radzimy. Cieszę się, ludziska, że mogę się z wami podzielić. To po chrześcijańsku... nawet wobec tych stworów. Miejscowy gospodarz przypatrywał się Ristinowi i Ullhassowi z nieskrywaną ciekawością. Jaszczury miały maniery, choć niezupełnie według ziemskich kryteriów. Teraz jadły kurze udka: nabijały je na widelec i obgryzały po kawałku. Co chwila wysuwały języki, żeby oblizać tłuszcz z twardych nieruchomych warg. Wozy podjeżdżały w okolice Detroit co piętnaście, dwadzieścia minut. Konwój był bardzo rozciągnięty, żeby zmniejszyć straty na wypadek ataku z powietrza. Do tej pory to się nie zdarzyło, za co Yeager dziękował Bogu; jeden atak, który przeżył, wystarczał mu aż nadto. Miejscowi witali każdą furmankę z wielką serdecznością. Kiedy rozdzielano noclegi, Yeager dostał dwuizbową chatkę przystosowaną wcześniej do przetrzymywania jeńców. Każdy z obu pokoików miał własny piec i duży zapas drewna na opał. Ullhass i Ristin nauczyli się już podtrzymywać ogień. Okno w izbie zajmowanej przez jaszczury zabite było deskami, żeby uniemożliwić im ucieczkę. Yeager gotów był się założyć, że nie uciekną z dobrze ogrzanego miejsca. Drzwi łączące oba pomieszczenia zamykane były tylko z jednej strony. Na wieczór wprowadził Ullhassa i Ristina do ich pomieszczenia i wrócił do swojej części chaty. Nie była luksusowo umeblowana. Stał tam stół z lampą naftową, wieszak na ubrania, prycza z kilkoma kocami i kubek na nieczystości; lepsze to, niż wychodzenie na dwór w środku nocy – pomyślał. Usiadł na pryczy. Żałował, że nie ma czegoś do czytania – na przykład „Astounding”. Zastanawiał się, co się stało z tym magazynem po przybyciu jaszczurów. Ostatni numer miał w ręku, gdy jechał pociągiem, który ostrzelali kosmici. Ale science fiction nie będzie już takie samo, odkąd potwory z wyłupiastymi ślepiami, raczej ze ślepiami jak kameleon, przybyły na Ziemię i właśnie ją zdobywają. Nachylił się, żeby rozwiązać sznurowadła. Na noc miał zamiar zdjąć tylko buty. Tak przyzwyczał się już do sypiania w mundurze, żeby było ciepłej, że rozbieranie się do łóżka zaczęło mu się wydawać czymś nienaturalnym. Właśnie złapał za sznurowadło, gdy rozległo się skrobanie do drzwi.

– Kto tam? – zawołał Yeager. Pomyślał, że to pewnie w sprawie jaszczurów, ale czy nie można było poczekać do rana. Widać nie można było, bo skrobanie powtórzyło się. Mruczając pod nosem wstał i otworzył drzwi.

– Och – to nie chodziło o jaszczury. To była Barbara Larssen.

– Mogę wejść? – zapytała.

– Ooo – powtórzył.

– Jasne. Wychodź, bo całe ciepło ucieknie.

Usiadła na pryczy, bo nie było innego miejsca. Po tym, co zdarzyło się na „Caledonii” i po jej reakcji na to zdarzenie, Yeager nie był pewien, czy może usiąść obok niej. Zaczął się przechadzać przed kominkiem. Barbara obserwowała go przez chwilę.

– W porządku, Sam – powiedziała.

– Nie sądzę, żebyś chciał mnie molestować. Przy okazji, to jest właśnie to, o czym chciałam z tobą porozmawiać.

Yeager przysiadł się ostrożnie u wezglowia pryczy, w pewnej odległości od Barbary.

– O czym tu mówić – powiedział.

– To była po prostu jedna z tych szalonych rzeczy, które czasem się zdarzają. Jeśli chcesz udawać, że to się nigdy nie zdarzyło... – już chciał powiedzieć „to w porządku”. Ale przecież nie

byłoby to w porządku. Dokończył zdanie inaczej – ... to możesz udawać.

– Tak brzmiało lepiej.

– Nie – jestem ci winna przeprosiny.

– Nie patrzyła na niego. Wzrok miała wbity w stare, poszarzałe deski podłogi.

– Nie powinnam cię tak potem potraktować. Przepraszam. To dlatego, że kiedy to zrobiliśmy, naprawdę uświadomiłam sobie, że Jens nie żyje. Że już go nie ma. I to wszystko spadło na mnie w jednej chwili. Przepraszam. Zakryła twarz rękami. Po chwili zorientował się, że dziewczyna płacze. Usiadł przy niej na pryczy i z wahaniem położył jej dłoń na ramieniu. Zesztywniała, ale potem odwróciła się i położyła głowę na jego piersi. Nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie objąć.

– Już dobrze – powiedział, chociaż wcale nie był pewien, czy jest dobrze. Nie wiedział nawet, czy ona go słucha.

– Już dobrze. Po chwili szloch przeszedł w łkanie. Odepchnęła go, sięgnęła do torebki i wyciągnęła chusteczkę.

– Muszę okropnie wyglądać – powiedziała smutnym głosem.

Sam zastanowił się nad tym. Łzy wciąż błyszczały na jej policzkach i rzęsach. Nie miała makijażu, który mógłby się rozpuścić. Jeśli miała nabrzmiałą od płaczu twarz, to nie było tego widać w świetle latarni. Ale jeśli nawet miała, no to co?

– Barbaro, ty mi się naprawdę podobasz – powiedział powoli.

– Podobasz mi się od dawna.

– Naprawdę? – zapytała.

– Więc nie zrobiłeś tego dopóki...

– To nie było moje miejsce – odparł.

– Nie zrobiłeś tego dopóki była jakaś nadzieja, że Jens żyje, to chciałeś powiedzieć – dokończyła za niego. Kiwnął głową.

– Sam, jesteś dżentelmenem, wiesz?

– Ja? Nie wiedziałem. Jedyne, co wiem to... – przerwał w pół zdania. Chciał powiedzieć: Jedyne co wiem, to jak rzucać piłkę. Robiłem to cholernie długo. To była prawda, ale nie musiał teraz mówić o tym Barbarze. Zaczął zdanie jeszcze raz.

– Jedyne, co wiem, to że powinienem być dla ciebie dobry, jeśli tego chcesz.

– Tak, chcę tego – odparła poważnie.

– W takich czasach, jak te, nikt nie poradzi sobie sam. Gdybyśmy sobie wzajemnie nie pomagali, nie trzymali się razem, to cóż wszystko byłoby warte?

– Ty masz mnie

Yeager spędził wiele lat w podróży, ale tak naprawdę, to nigdy nie był samotny. Zawsze była z nim jego drużyna, rozgrywki, nadzieja, choć coraz słabsza, że pójdzie w górę – namiastki rodziny, celu w życiu i marzeń. Potrząsnął głową. To bez znaczenia, jak głęboko związany był z baseballlem. Teraz nie czas, by o tym myśleć. Ciągle ostrożny, ciągle trochę niepewny, jeszcze raz objął Barbarę. Popatrzyła na podłogę i tak głęboko westchnęła, że mało jej nie wypuścił. Ale potem potrząsnęła głową. Dobrze wiedział, o czym chciała zapomnieć. Uniósł ku niemu twarz.

– Czy chcesz, żebym zgasił lampę – zapytał po chwili.

– Jak wolisz – odparła.

Prawdopodobnie mniej od niego krępowała się rozbierać przy zapalonym świetle. Przypomniała sobie, że nie po raz pierwszy jest z mężczyzną. Razem weszli pod koce. Nie ze wstydu, tylko żeby się ogrzać. Kiedy już się rozgrzali, zrzucili koce na podłogę. Leżeli objęci ramionami. Prycza była tak wąska, że nie mieli wyboru. Yeager przesunął rękę po plecach Barbary. Starał się

zapamiętać jej kształty i gładkość skóry. Nie było na to czasu na pokładzie „Caledonii”; nie było czasu na nic innego, jak tylko na zaspokojenie dzikiej, niepohamowanej żądzy. Nie mógł znaleźć porównania do tego, co wtedy się stało. Może tylko noc, kiedy stracił dziewictwo. Ale i to, co robili teraz, było bardzo przyjemne. Czulo się pewność, że potrwa długo. Piersi Barbary ześlizgnęły się z jego klatki, kiedy oparła się na łokciu. Leżała między nim a lampą. Twarz miała w cieniu. Ale kiedy przemówiła, dalekie to było od jego wyobrażeń o romantyce:

– Czy mógłbyś jutro sprawdzić, gdzie tu można kupić gumy, Sam? Ta miejscowość wygląda na nienaruszoną. W aptece powinni mieć jeszcze zapas.

– Hm, okay – powiedział, trochę zaskoczony. Naprawdę była przyzwyczajona do towarzystwa mężczyzny.

– To chyba dobry pomysł.

Postarał się, żeby jego głos brzmiał rzeczowo.

– To na pewno dobry pomysł – poprawiła go.

– Za pierwszym razem udało się. I nie mam nic przeciwko temu, żeby od czasu do czasu zaryzykować. Ale jeśli mamy się kochać wiele razy, to lepiej bądźmy ostrożni. Nie chcę zająć w ciążę, skoro musimy podróżować furmanką przez pola i lasy.

– Rozumiem cię – powiedział.

– Postaram się coś znaleźć. Hm... a jak mi się nie uda?

Żałował, że to powiedział. Barbara jeszcze pomyśli, że zależy mu tylko na tym, żeby z nią sypiać. Chciał tego, ale zdążył się już nauczyć, że nie osiągnie wiele z kobietą, jeżeli będzie dostrzegał tylko jej ciało, szczególnie z taką kobietą, która była żoną fizyka i sama dużo wie. Miał szczęście. Nie była zła na niego. Sięgnęła nisko ręką.

– Jeśli ci się nie uda – powiedziała – to będziemy musieli coś wymyśleć. Zacisnęła łagodnie dłoń. Nie był pewien, czy mu zależy na tym, żeby w aptece Detroit Lakes znalazły się prezerwatywy. Z tyłu, za Muttem Danielsem palił się Preemption House. Staremu żołnierzowi pękało serce. Z kilku powodów. Zawsze to smutno patrzeć, jak idzie z dymem taki kawał historii, a dwupiętrowy budynek w stylu greckiego odrodzenia był dumą Naperville od 1834 roku. Gorzej, że nie był to jedyny dom, który stał w płomieniach. Mutt nie wyobrażał sobie, żeby udało się utrzymać miasto. A bezpośrednio za Naperville leżało już Chicago. A co najgorsze, Preemption House był głównym saloonem Naperville. Daniels był w mieście krótko, ale już zdążył wypić buteleczkę dobrego burbona. Nosił teraz trzy belki na rękawie. Kiedyś chłopaki brały z niego przykład, jak być zawodnikiem. Teraz musiał im pokazać, jak zostać dobrym żołnierzem. W kął poszły jego menażerskie zwyczaje. Obecnie wzorował się na sierżancie Schneiderze. Co kilkadziesiąt sekund, w Preemption House, jak pocisk w płonącym czołgu wybuchała butelka z alkoholem. Mutt obejrzał się za siebie. Zobaczył, jak w czerwonym żarze płonących belek stropowych pełgają małe błękitne płomyki alkoholowego ognia. Westchnął i powiedział:

– Co za cholerne marnotrawstwo.

– Racja, sierżancie – powiedział stojący obok niego szeregowiec, mały okularnik o nazwisku Kevin Donlan. Widać było, że chłopak niedługo zacznie się golić.

– Ten budynek musiał mieć ponad sto lat

– Niezupełnie o budynek mi chodziło

Daniels znowu westchnął. Narastające wycie i ryk sprawiły, że obaj dali nurka do najbliższego okopu. Pocisk wybuchnął nad ziemią, odłamki przeleciały ze świstem. Poza odławkami poleciały jeszcze małe twarde przedmioty, które spadły na ziemię jak grad.

– Teraz musisz uważać, gdzie stawiasz nogi, synu – powiedział Daniels.

– Ten sukinsyn właśnie wypluł wiązkę bombek – min. Po raz pierwszy widziałem to pod Shabbona. Nadepniesz na coś takiego i przez resztę życia będziesz chodził jak Pete Kuternoga z filmów Disney'a, Nadleciało więcej pocisków. Rozsiały małe kuliste miny. Dwie z nich wybuchły z trzaskiem niewiele głośniejszym niż krzyki, które potem nastąpiły.

– Oni nas tym tak obrzuca, że nie będziemy się mogli ruszyć, sierżancie Daniels – powiedział Donlan.

– Na tym to polega, synu – stwierdził sucho Mutt.

– Przez jakiś czas będą nas ostrzeliwali, przycisną nas tutaj do ziemi, potem wprowadzą do akcji czołgi i wykurzą nas stąd. Gdyby mieli więcej czołgów, to już dawno daliby nam kopa w tyłek. Donlan jeszcze tego nie widział z bliska. Dołączył do oddziału w czasie odwrotu z Aurory.

– Jak to jest, że dają nam takiego łupnia? Przecież to nawet nie ludzie – powiedział.

– Musisz zrozumieć jedną rzecz i to szybko, chłopcze. Kuli, albo pociskowi jest wszystko jedno, kto go wystrzelił i w kogo trafi – rzekł Daniels.

– Poza tym, jaszczury mają ikrę. Wiem, że w radio nazywa się ich ołowianymi żołnierzami, żeby wyglądało jakby to nie one, ale ich sprzęt dawał nam wycisk, i żeby pocieszyć cywilów, ale nie daj sobie wmówić, że nie potrafią walczyć.

Ogień artyleryjski nie ustawał. Mutt był w stanie to wytrzymać, tak jak przetrwał ostrzał z dział we Francji. Tam, pod pewnym względem, było gorzej. Pociski jaszczurów były bardziej śmiertelne niż te, które wystrzeliwali Bosze, ale za to Niemcy zrzucali na amerykańskie okopy całe tony żelastwa. Żołnierze mieli wrażenie, jakby to huta waliła im się na głowy. Ludzie od tego wariowali – nazywano to szokiem okopowym. Od jaszczurzych salw łatwiej było zginąć, ale nie dostawało się od nich kręcka. Ogień na chwilę ucichł. Daniels usłyszał, że za nim ktoś biegnie. Odwrócił się błyskawicznie z tomiganem gotowym do strzału; może jaszczury użyły swoich żyroskopowych maszyn latających, żeby znowu dokonać desantu na tyłach. Ale to nie był jaszczur. To był siwowłosy Murzyn w niebieskich džinsach i znoszonym płaszczu. Biegł wzdłuż Chicago Avenue, pod pachą niósł wielki wiklinowy kosz. Dwa pociski wybuchły niebezpiecznie blisko niego. Wrzasnął i skoczył do rowu, w którym siedzieli Daniels z Donlanem.

– Chłopcze, trzeba być cholernym, stukniętym czarnuchem, żeby włączyć się tu, kiedy to gówno leci z góry – krzyknął Daniels. Nie miał zamiaru urazić go tymi słowami. W stanie Missisipi tak się mówiło do czarnych. Ale to nie był stan Missisipi i czarny popatrzył na niego, zanim odpowiedział:

– Nie jestem chłopcem i nie jestem czarnuchem, ale chyba jestem stuknięty, skoro pomyślałem, że może przyniosę żołnierzom trochę pieczonych kurczaków i nie obrzuca mnie wyzwiskami.

Mutt otworzył usta i zaraz je zamknął. Nie wiedział, co powiedzieć. Rzadko się zdarzało, żeby Murzyn mu w ten sposób odpowiedział, nawet tu, na Północy. Mądrzy Murzyni znali swoje miejsce... ale mądry Murzyn nie byłby tak odważny, żeby przynosić jedzenie pod ostrzałem artyleryjskim. Odwaga – to było właściwe słowo. Daniels nie wyobrażał sobie, że mógłby wyjść teraz z okopu. Chciał się zwrócić do Murzyna bezpośrednio, ale brakowało mu słów. Jak się do niego odezwać? Chyba nie „wuju” – to by tylko pogorszyło sprawę. Nie mógł się zmusić, żeby powiedzieć „proszę pana”. Spróbował inaczej:

– Przyjacielu, bardzo ci dziękuję.

– Nie jestem twoim przyjacielem – odparł Murzyn.

Chciałby pewnie dodać jeszcze parę niezbyt uprzejmych słów, ale Daniels miał sierżanckie naszywki i tomigana w garści, a on stary płaszcz i koszyk z kurczakami. A poza tym, Mutt, przecież na swój sposób go przeprosił. Murzyn westchnął i pokręcił głową.

– Nie ma sprawy. Macie, jedzcie. Kurczak był tłusty, ziemniaki zdążyły już wystygnąć, a bez

soli i masła pozbawione były smaku. Daniels i tak zjadł wszystko, co dostał.

– Musisz jeść, kiedy masz okazję – powiedział Kevinowi Donlanowi – bo może się okazać, że taka szansa szybko się nie powtórzy.

– Masz rację, sierżancie – chłopak wytarł usta w rękaw i odezwał się do Murzyna.

– To było wspaniałe, pułkowniku. Uratowałeś mnie od śmierci głodowej.

– Pułkowniku?

Murzyn splunął na ziemię.

– Wiesz dobrze, do cholery, że nie jestem pułkownikiem. Dlaczego nie mówicie mi po prostu po imieniu? Jestem Charlie Sanders. Mogliście się tego dowiedzieć, jakbyście zapytali.

– Charlie, to był dobry kurczak – powiedział uroczyście Mutt.

– Jestem ci zobowiązany.

– Hm – chrząknął Sanders. Potem wygramolił się z dziury i przebiegł do następnych pozycji, odległych o jakieś trzydzieści metrów.

– Uważaj na te małe miny, które rozrzucają tu jaszczury – krzyknął za nim Daniels. Odwrócił się do Donlana.

– Mam nadzieję, że mu się uda. Ale jak tak będzie tutaj łąził, to szybko nadejdzie jego ostatnia godzina.

– Tak.

Donlan wyglądał w stronę, w którą pobiegł Charlie Sanders.

– Do tego trzeba mieć odwagę. On nie ma nawet karabinu. Nie myślałem, że czarnuchy mogą mieć taką ikrę.

– Pod ostrzałem artyleryjskim nie ma znaczenia, czy nosisz karabin – odparł Mutt.

Ale nie w tym była rzecz; zdawał sobie z tego sprawę.

– Jeden z moich pradziadków, nie pamiętam już który, walczył przeciwko czarnym żołnierzom w czasie wojny domowej. Mówił, że niczym się nie różnili od reszty cholernych Jankesów. Może miał rację. Ja się na tym nie znam.

– Ale jesteś sierżantem – powiedział Donlan dokładnie takim samym tonem, jak zawodnicy Danielsa, kiedy wołali: „Przecież jesteś menażerem”.

– Ale to nie znaczy, że znam odpowiedzi na wszystkie pytania, synu – westchnął Mutt – i mogę je w każdej chwili wyciągnąć z mego blaszanego kapelusza. Do diabła, ja wcale wszystkiego nie wiem. Przekonasz się, jak to jest, kiedy będziesz w moim wieku.

– Tak, sierżancie – powiedział Donlan. Wiele wskazywało na to, że chłopak nie ma szans, żeby dożyć do wieku sierżanta.

– Nie – powiedział Patton.

– Nie, do cholery.

– Ale, panie generale...

Jens Larssen rozpostarł ręce i przybrał bolesny wyraz twarzy.

– Chcę tylko skontaktować się z moją żoną, powiedzieć jej, że żyję.

– Nie – powtórzył Patton.

– Nie, powtarzam, nie będzie łączności w sprawach związanych z Laboratorium Metalurgicznym i jego personelem, chyba że w kwestiach najwyższej wagi, a do takich nie zalicza się spraw osobistych. Doktorze Larssen, takiej treści rozkazy dostałem osobiście od generała Marshalla i nie mam zamiaru ich nie wykonać. To jest podstawowy środek bezpieczeństwa stosowany przy każdym ważnym projekcie badawczym, a tym bardziej przy projekcie o takim znaczeniu. Marshall powiedział mi o nim niewiele, a ja nie chcę więcej na ten temat wiedzieć. Nie muszę wiedzieć i

dlatego – nie chcę wiedzieć.

– Ale Barbara nie pracuje nawet w Laboratorium Metalurgicznym – zaprotestował Jens.

– Rzeczywiście. Ale pan pracuje – powiedział Patton.

– Czy z pana taki mięczak, że chce pan wydać tajemnicę państwową jaszczurom dla osobistej satysfakcji? Na Boga, panie doktorze, mam nadzieję, że nie.

– Nie rozumiem, co to połączenie może mieć wspólnego z wydawaniem tajemnic – powiedział Larssen.

– Jaszczury prawdopodobnie nawet go nie zauważą.

– Prawdopodobnie – przyznał Patton.

Podniósł się zza biurka i wyprostował. Patrzył teraz na Jensa z góry.

– Prawdopodobnie, ale nie na pewno. Jeśli doktryna jaszczurów przypomina naszą – a nie mam powodów, żeby w to wątpić – monitorują jak największą ilość wysyłanych przez nas sygnałów i starają się z nich ułożyć zrozumiałą całość. Nikt – powtarzam, nikt – nie może z góry wiedzieć, który z kawałków tej układanki pozwoli wrogowi ogarnąć całość. Mówię to z własnego doświadczenia. Jens wiedział o środkach bezpieczeństwa.

W Laboratorium Metalurgicznym było ich na kopy. Ale nigdy dotąd nie był poddany wojskowej dyscyplinie, więc domagał się natrętnie dalej:

– Może pan przesłać wiadomość, nie podając mojego nazwiska, po prostu: Pani mąż jest żywy i zdrowy, albo coś takiego.

– Nie; pańska prośba została odrzucona – powiedział Patton i, jakby czytając w myślach Larssena, dodał – jakakolwiek próba obejścia mojego zakazu, namawianie oficerów łączności, żeby potajemnie wysłali taką informację skończy się na tym, że zostanie pan aresztowany i odosobniony, jeśli nie gorzej. Przypominam panu, że mam własne tajemnice wojskowe i nie pozwolę, żeby pan je wydawał. Czy wyraziłem się dosyć jasno?

– Tak, panie generale – odparł Larssen przygnębionym tonem.

Bez względu na to, co powiedział Patton, był zdecydowany znaleźć jakiegoś współczującego radiowca. Nie wierzył, żeby taka nieszkodliwa wiadomość odkryła tajemnicę Laboratorium Metalurgicznego. Ale nie był w stanie stwierdzić, czy wysłany stąd komunikat radiowy nie narazi na szwank przygotowywanej tu ofensywy. Ta ofensywa musiała się powieść, bo w przeciwnym razie przesyłanie informacji do Chicago stanie się bezcelowe; miasto znajdzie się bowiem w rękach jaszczurów.

– Jeśli panu to w czymkolwiek pomoże, doktorze Larssen, to współczuję panu – powiedział Patton.

Jens pomyślał, że na swój burkliwy sposób, generał rzeczywiście mu współczuje.

– Dziękuję, panie generale – rzekł i wyszedł z gabinetu dowódcy.

Ziemia pokryta była topniejącym śniegiem i kępami żółtawej trawy. Po niebie płynęły ciężkie, szarozółte chmury. Od północnego zachodu wiał mroźny wiatr. Zimne powietrze wkrótce sprawiło, że perkaty nos Jensa zamienił się w sopel lodu. Wszystko wskazywało, że zanoszą się na burzę, ale śnieg jeszcze nie padał. Larssen zatopiony w myślach równie przygnębiających jak pogoda, wszedł do miasteczka Oxford. Z lotu ptaka miasteczko musiało wyglądać jak każda inna pozbawiona paliwa osada na Środkowym Zachodzie. Ale pod domami, garażami, kopami siana i stosami drewna, ukryte były siły pancerne, które byłyby w stanie dać szkołę Niemcom. Problem polegał na tym, że miały stawić czoło groźniejszemu wrogowi. Larssen wstąpił do „Bluebird Cafe”. Przy barze siedziało kilku miejscowych i kilku żołnierzy w cywilnych ubraniach; w mundurach nie wolno było pokazywać się na ulicy – znowu te środki bezpieczeństwa, pomyślał Jens. Za kontuarem kucharz smażył naleśniki.

Zamiast bezużytecznej teraz kuchenki gazowej, do smażenia używał rusztu opalanego drewnem. Nie było wentylacji; dym wypełniał pomieszczenie. Popatrzył przez ramię na Larssena.

– Co pan zamawia?

– Miałbym ochotę na langustę z rusztu z masłem, szparagi w sosie holenderskim i chrupiącą zieloną sałatę. No, dobrze, co pan ma?

– Szczęścia życzę z tym homarem, chłopie – powiedział kucharz.

– Mam tu naleśniki, jajka w proszku i wieprzowinę z groszkiem z puszki. Nie podoba się, to idź pan na ryby.

– Biorę to – powiedział Jens.

Nie jadł jeszcze niczego od czasu spotkania z Pattonem, który ugościł go cudownym kurczakiem na obiad. Larssen nie był już taki chudy jak wtedy, kiedy zgarnęło go wojsko, ale przysiągł sobie, że nie spojrzy na groszek aż do końca tej wojny. Jediną zaletą tego posiłku było to, że nie trzeba było za niego płacić. Patton przejął kilka jadłodajni w miasteczku i włączył je do wydziału kwatermistrzowskiego. Larssen uważał, że właściciele potraktowano przyzwoicie: bez dostaw wojskowych już dawno musieliby zamknąć swoje lokale. Żeby jeszcze lepiej ukryć swoich żołnierzy, Patton zakwaterował ich u mieszkańców. Jens wiedział, że nie pytał nikogo o zgodę. Jeśli Patton miał z tego powodu wyrzuty sumienia, to nie okazywał ich. Może miał rację; ojcowie założyciele, kładąc fundamenty wolności amerykańskich, nie przewidzieli inwazji z kosmosu. Ale kiedy zacznie się już dokonywać zmian w konstytucji powołując się na konieczność militarną, to czym to się skończy? Jens żałował, że nie może przedyskutować tego z Pattonem. Mogłaby to być interesująca dyskusja filozoficzna, gdyby generał nie zwymyślał go za to, że chciał wysłać wiadomość Barbarze. Teraz Patton albo skrzyczałby go, albo by go zignorował. Żadna z tych możliwości nie dawała szans na przeprowadzenie racjonalnej wymiany poglądów.

– Ma ktoś papierosa? – zapytał jeden z żołnierzy po cywilnemu.

Jediną odpowiedzią, jak spodziewał się Larssen, był wybuch gromkiego śmiechu. Żyłasty cywil w myśliwskim kapeluszu, wyglądający na siedemdziesiątkę popatrzył na chłopaka i wychrypiął:

– Synu, gdybym nawet miał, to nie jesteś aż taki śliczny, żebyś mógł mi za niego dać to, czego bym chciał.

Twarz młodego żołnierza przybrała barwę płomienia. Kucharz z uroczystą miną podniósł kciuk do góry, Larssen gwizdnął. Stary tylko zachichotał na znak, że wcale nie jest pod wrażeniem własnego dowcipu i nachylił się nad filizanką płynu, który armia, z braku innego terminu, nazwała kawą. Hen, nad chmurami, przeleciał odrzutowiec jaszczurów. Ryk jego silnika, stłumiony przez odległość, zanikł w oddali. Larssen zadrżał, choć nie było mu zimno. Zastanawiał się, w jakim stopniu aparaty wykrywające będące w posiadaniu kosmitów są w stanie przeniknąć burą powłokę chmur zalegającą nad Oxford i okolicą, i w jakim stopniu udało się Pattonowi ukryć cały zgromadzony tu arsenał. Wkrótce się to okaże. W rogu kawiarni stał uszkodzony bilard automatyczny. Stanowił jedyny potencjał rozrywki w tym zakładzie. Jens oddał talerz i sztucce kucharzowi i wyszedł na ulicę. Wiatr tymczasem przybrał na sile. Larssen cieszył się, że ma płaszcz. Odczuwał też zadowolenie, że dzięki wiatrowi mógł oddychać świeższym powietrzem. Oxford z racji koncentracji wojska i braku sprawnej kanalizacji miało złe powietrze. Gdyby koncentracja sił miała się przedłużać, jaszczurom nie potrzebne byłyby czujniki wizyjne, żeby znaleźć wroga: wystarczyłby im węch. Coś dotknęło policzka Jensa. Odruchowo podniósł rękę, ale wyczuł tylko małą plamkę wilgoci. Znowu coś go dotknęło, tym razem nadgarstka. Zobaczył jak na rękę topnieje mu płatek śniegu. W powietrzu unosiło się więcej wirujących na wietrze płatków śniegu. Przez chwilę tylko patrzył. Pierwszy śnieg zawsze przypominał mu jego dzieciństwo w Minnesocie, lepienie bałwanów

i kuł śnieżnych strącających wełniane czapki z głów. Ale rzeczywistość oddaliła nostalgiczny nastrój. Ten śnieg nie ma nic wspólnego z dziecięcymi zabawami. Śnieg oznacza ofensywę.

Rozdział XIX

Yi Min czuł, że rośnie; czuł się tak, jakby był ucieleśnieniem Ho Tei, tłustego bożka szczęścia. Kto by pomyślał, że można się tak wzbogacić dzięki przybyciu małych łuskoskórych diabłów? Z początku, gdy porwały go z jego rodzinnej wioski i zabrały do samolotu, który nigdy nie ląduje, samolotu, w którym nic nie ważył, a jego biedny żołądek cierpiał okropne męki, myślał, że to najgorsza katastrofa, jaka mogła mu się przytrafić. Ale teraz... Uśmiechnął się szeroko. Teraz życie stało się dobre. Prawda, nadal mieszkał w obozie, ale mieszkał jak pan wojny, prawie tak, jak jeden z cesarzy minionej dynastii mandzurskiej. Jego mieszkanie było chatą tylko z nazwy. Drewniane ściany chroniły przed najgorszym nawet zimowym wiatrem, koksownik z brązu dawał ciepło, miękkie dywany tłumiły każdy krok, a piękne figurki z nefrytu i porcelany cieszyły oko za każdym razem, kiedy na nie popatrzył. Gdy miał ochotę, zabawiał się z kobietami, w porównaniu z którymi Liu Hań wyglądała jak chora sowa. Jedna z tych kobiet czekała teraz na materacu. Zapomniał jej imienia. Cóż to ma za znaczenie? I to wszystko dzięki proskowi, którego pożądały łuskoskóre diabły! Roześmiał się na głos.

– Co się stało, mężczyzno pełen yangl – śliczna dziewczyna zawołała z drugiego pokoju. Niecierpliwiła się, żeby do niej przyszedł.

– Nic... dowcip, który usłyszałem dzisiaj rano – odpowiedział.

Choćby był wypełniony esencją męskości po brzegi, to nadal miał na tyle zdrowego rozsądku, żeby nie wtajemniczać kobiety wynajętej do łóżka o czym myśli. O tym, co usłyszy po południu jedna para uszu, do poranka dowie się kilka par, a rano będzie wiedział cały świat. Bez fałszywej skromności, Yi Min i tak niewiele miał skromności, mógł o sobie powiedzieć, że jest największym dealerem imbiru w obozie, prawdopodobnie w Chinach, a może i na świecie. Podlegali mu nie tylko plantatorzy przyprawy i inni ludzie, którzy doprawiali ją wapnem, by jeszcze bardziej smakowała łuskoskórym diabłem. Wśród istot od niego zależnych było kilkadziesiąt łuskoskórych diabłów, które kupowały u niego towar i sprzedawały swoim przyjaciołom, bezpośrednio, albo przez własną sieć dealerów. Jakiż to dawało zysk!

– Czy przyjdiesz wkrótce, Tygrysie Płynnego Świata? – zawołała dziewczyna.

Bardzo się starała, żeby być kusicielską; była jednak kobietą interesu, a za mało aktorką, żeby powściągnąć piskliwą nutkę w głosie. Co cię zatrzymało, brzmiało prawdziwe przesłanie jej nawoływań.

– Tak, przyjdę za moment – odpowiedział tonem, który wskazywał na to, że dziewczyna nie jest warta pośpiechu.

Zależało mu nie tylko na przyjemności, ale i na kontroli. Co zrobimy, jak tam w końcu pójdę, zastanawiał się. Takie rozważania zawsze sprawiały mu przyjemność. Coś, co jej się nie spodoba – zdenerwowała go. Może użyje jej jakby była chłopcem? Strzelił palcami z zachwytu. To jest właśnie to! Kobiety są takie dumne ze szparki, którą mają między nogami. Zignorowanie jej na rzecz innego sposobu zawsze wprawiało je w złość. Poza tym, będzie ją to trochę bolało. Zapamięta dzięki temu, że jest człowiekiem stanowczym. Przenikało go gorąco. Czuł pobudzenie. Zrobił krok w kierunku sypialni, ale zatrzymał się. Oczekiwanie to też przyjemność. Poza tym, niech i ona się podnieci. Po minucie, czy dwóch zawołała:

– Pośpiesz się, proszę! Pożera mnie tęsknota.

Też była graczem, ale jej kostki mahjonga nie dorównują jego. W końcu doszedł do wniosku, że czas dojrzał. Nie zrobił trzech kroków, gdy usłyszał skrobanie do frontowych drzwi. Zasycał ze złości. Do jego domu dobijał się łuskoskóry diabeł. Dziewczyna będzie musiała poczekać. Chociaż

kontrolował diabły, które kupowały od niego imbir, to nadal utrzymywał złudzenie, że on jest sługą, a one panami. Otworzył drzwi. Poczł zimno na twarzy i dłoniach. To był mały, łuskoskóry diabeł, ale żaden z tych, których widywał – nauczył się już je rozróżniać nawet wtedy, kiedy owijacze chroniące ich ciała od chłodu zasłaniały malowidła na łuskach. Nauczył się też płynnie ich języka. Skłonił się nisko i powiedział:

- Panie zwierzchniku, zaszczytasz mą skromną chatkę. Wejdz, proszę i ogrzej się.
- Wejde.

Mały diabeł przeszedł koło Yi Mina. Zamknął za sobą drzwi. Aptekarz był zadowolony, że diabeł odpowiedział mu w swoim języku. Nie będzie musiał odsyłać kurtyzany, żeby w spokoju dobić targu. Musi na niego dłużej poczekać, a on będzie miał okazję, żeby oszołomić ją swoimi kontaktami z łuskoskórymi diabłami. Diabeł rozejrzał się po pokoju, jego oczy poruszały się niezależnie jedno od drugiego. To już nie deprymowało Yi Mina; przyzwyczał się. Przyjrzał się dokładnie łuskoskóremu diabłowi. Zauważył silne zaczerwienienie wnętrza jego nozdrzy i drżenie szponiastych dłoni. Uśmiechnął się w głębi duszy. Może i nie znał tego diabła, ale znał objawy. Ten tutaj potrzebował imbiru; i to coraz bardziej, z minuty na minutę.

- Czy wyjawisz mi swoje imię, panie zwierzchniku, abym mógł ci lepiej służyć?

Yi Min ukłonił się jeszcze raz. Mały łuskoskóry diabeł syknął, jakby przypomniał sobie o obecności Yi Mina.

- Tak, nazywam się Drefsab. A ty jesteś Wielki Brzydala YiMin?
- Tak, panie zwierzchniku, jestem Yi Min.

Obrażliwe przezwisko, którego używała Rasa na określenie ludzi nie dotyczyło Yi Mina. W końcu, on myślał o samcach Rasy jako o małych łuskoskórych diabłach.

– Jak mogę ci się przysłużyć, panie zwierzchniku Drefsab? Łuskoskóry diabeł skierował na niego oba oczy.

- Ty jesteś Wielkim Brzydalem, który sprzedaje Rasie proszek zwany imbirem?

– Tak, panie zwierzchniku. To ja jestem tą skromną osobą. Mam zaszczyt i przywilej zaopatrywać Rasę w przyjemność, jaką daje to ziele.

Yi Min pomyślał, czy nie należałoby zapytać małego łuskoskórego diabełka, czy życzy sobie imbiru, ale powstrzymał się od tego. Chociaż diabły były w takich sprawach bardziej bezpośrednio od Chińczyków, to czasem uznawały osobiste pytania za niegrzeczne. Nie chciał obrazić nowego klienta.

- Dużo masz tego ziele? – zapytał Drefsab.

- Tak, panie zwierzchniku – Yi Mina zaczęła nużyć ta konwersacja.

– Tyle, ile może pragnąć każdy waleczny samiec. Można powiedzieć, że dałem samcom więcej rozkoszy płynącej ze sproszkowanego imbiru niż którykolwiek inny Tosewita.

Użył mniej obraźliwej nazwy, którą małe diabły nazywały ludzi. Teraz on z kolei zapytał.

– Jeśli pan zwierzchnik Drefsab życzy sobie skosztować próbkę tego towaru, zaszczytem dla mnie będzie ofiarowanie mu jej. Nie żądam niczego w zamian.

- Tym razem, dodał w myśli.

Myślał, że Drefsab ucieszy się, kiedy to usłyszy; rzadko mu się zdarzało widzieć łuskoskórego diabła na takim głodzie imbirowym. Ale Drefsab najwyraźniej wolał rozmawiać.

– Ty jesteś tym Wielkim Brzydalem, którego machinacje skierowały samców Rasy przeciwko własnemu rodzajowi, a jego proszki rozsiały zgniliznę na naszych błyszczących statkach?

Yi Min przyglądał się bez słowa; chociaż dobrze znał język diabłów, potrzebował chwili, żeby zrozumieć słowa Drefsaba. To było zupełnie coś innego, niż spodziewał się usłyszeć. Ale odpowiedź

jego była szybka i spokojna:

– Panie zwierzchniku, ja przecież tylko daję walecznym samcom Rasy to, czego szukają.

Zastanawiał się, jaką grę prowadzi Drefsab. Jeśli ten mały łuskokóry diabeł sądzi, że uzyska wpływ na jego operacje, to się zdziwi. Proszek imbirowy pozwolił Yi Minowi kupić kilku adiutantów i nawet paru oficerów. Już oni się zajmą łuskokórym diabłem, który zbyt śmiało poczyną sobie z dostawcą cennego ziela.

– Ten imbir jest jak nowotwór pożerający witalność Rasy – powiedział Drefsab.

– Wiem o tym, bo i mnie pożarł. Czasem nowotwór trzeba wyciąć.

Yi Min znów musiał się zastanowić, żeby zrozumieć sens tych słów; jak do tej pory nie rozmawiał o nowotworach z żadnym łuskokórym diabłem. Nadal starał się zrozumieć, co to słowo może znaczyć, kiedy Drefsab sięgnął pod ubiór ochronny i wyciągnął stamtąd pistolet. Strzelał raz za razem. Strzały te w chacie brzmiały niewiarygodnie głośno. Kule powaliły Yi Mina na dywan. Poprzez huk słyszał, jak dziewczyna w sypialni zaczyna krzyczeć. Yi Min poczuł najpierw tyko uderzenia. Ból nadszedł później. Świat poczerniał, strzeliły szkarłatne płomienie. Próbował krzyczeć, ale wydał tylko bełkotliwy jęk. Z ust płynęła mu krew.

Mgliście, coraz mgliściej, widział, jak Drefsab zdejmuje głowę tłustego Buddy znajdującego się na stoliku z laki. Ten śmierzący mały diabeł wiedział, gdzie schowany jest imbir. Drefsab Uznał szczyptę, syknął z rozkoszy i przesypał resztę proszku do przezroczystej torby, którą też wyciągnął spod okrycia. Potem otworzył drzwi i wyszedł. Kurtyzana ciągle krzyczała. Yi Min chciał jej powiedzieć, żeby przestała wrzeszczeć i zamknęła drzwi; robiło się coraz zimniej. Słowa nie opuściły jego krtani. Sam próbował pod-czołgać się do drzwi. Zimno dotarło do jego serca. Szkarłatne płomienie zniknęły. Została tylko ciemność. Harbin, który stanowił kluczowy punkt ważnego odcinka, był bliski upadku. Każdego dnia można się było spodziewać, że Rasa wejdzie do miasta. Będzie to ważne zwycięstwo. Teerts byłby z tego bardziej zadowolony, gdyby mury miasta nie waliły mu się na głowę. I to dosłownie. Podczas ostatniego nalotu na Harbin, bomby padły tak blisko jego więzienia, że kawały tynku spadły z sufitu i o włos tylko chybiły jego głowy. Na zewnątrz zaczęła strzelać armata przeciwlotnicza. Teerts nie słyszał samolotów; może Wielki Brzydala był po prostu nerwowy. Jazda, marnuj amunicję; nie będziesz potem miał czym strzelać, kiedy moi przyjaciele wedrą się tutaj, pomyślał Teerts. Usłyszał zamieszanie na korytarzu, rozkazy wypowiedziano po nipońsku za szybko, żeby zrozumiał. Do jego celi wszedł jeden ze strażników. Teerts uklonił się. Z Wielkimi Brzydalami można jakoś współżyć, jeśli się im nisko kłania. Nie pożyje, jeśli się nie ukloni. Więc lepiej się kłamać. Strażnik nie odklonił się; Teerts był jeńcem, więc zasługiwał tylko na pogardę. Za żołnierzem ukazał się major Okamoto. Teerts uklonił się jeszcze głębiej swojemu sędziemu śledczemu i tłumaczowi. Okamoto też mu nie odpowiedział ukłonem. Kiedy otwierał drzwi celi, mówił w języku Teertsza:

– Pójdiesz ze mną. Opuszczamy miasto. Teerts znowu się uklonił:

– Tak jest, panie zwierzchniku.

Nie miał pojęcia, jak mają tego dokonać i czy eskapada się powiedzie, ale nie on za to odpowiadał. Jako jeńiec miał tylko jeden obowiązek; być posłusznym. Zresztą, zanim dostał się do niewoli było tak samo. Z jedną różnicą, w przeciwieństwie do zwierzchników z Rasy, Nipończycy nie musieli rewanżować się lojalnością. Major Okamoto rzucił mu czarne spodnie i workowaty niebieski płaszcz, w którym zmieściłoby się dwóch samców jego rozmiarów. Potem Okamoto założył mu spiczasty słomkowy kapelusz na głowę i zawiązał mu pod szyją podtrzymującą nakrycie głowy tasiemkę

– Dobrze – powiedział z satysfakcją Nipończyk.

– Jeśli teraz twoi zobaczą cię z góry, to pomyślą, że jesteś jeszcze jednym Tosewitą.

Teerts pomyślał w popłochu, że to prawda. Kamera przy działku, a może nawet aparat zamontowany na satelicie wyłuskałyby go z tłumu Wielkich Brzydali. Zakutany tak, jak teraz, będzie po prostu ziarenkiem ryżu wśród miliona innych ziarenek. Pomyślał, żeby rzucić przebranie, kiedy nadleci samolot Rasy. Niechętnie odszedł od tego zamiaru. Major Okamoto sprawiłby, że odechciałoby mu się żyć, gdyby tak postąpił, a Nipończycy i tak będą mogli go zabić, zanim jego własny rodzaj, niezbyt przecież ceniący pośpiech, zorganizuje akcję ratunkową. Poza tym, w Harbinie było bardzo zimno. Kapelusz dawał trochę ciepła, a jeśli odrzuci płaszcz, to pewnie zamieni się w bryłkę lodu, zanim Nipończycy albo Rasa zdążą cokolwiek przedsięwziąć. Czapka i okrycie Okamoty wykonane były z futer tosewickich zwierząt. Rozumiał, dlaczego zwierzętom potrzebna była izolacja w tym tak okrutnym klimacie, a jednocześnie dziwił się, dlaczego Wielkie Brzydale mają na ciele tak mało włosów, że muszą je kraść zwierzętom. Przed budynkiem, w którym Teerts był więziony, leżało więcej gruzu niż kiedykolwiek wcześniej. Niektóre leje wyglądały jak kratery po uderzeniu meteorytu w powierzchnię pozbawionego atmosfery Księżyca. Teerts nie miał wiele czasu, żeby się im przypatrzeć. Major Okamoto wepchnął go na dwukołowy środek lokomocji. Między dwoma dyszlami, zamiast zwierzęcia pociągowego, stał Wielki Brzydał. Okamoto powiedział do niego coś w języku, który nie był nipońskim. Wielki Brzydał chwycił za dyszle, stęknął i ruszył. Strażnik maszerował przez cały czas obok pojazdu. Tosewici wylewali się z Harbina na wschód. Uciekali, spodziewając się rychłego upadku miasta. Zdyscyplinowane kolumny nipońskich żołnierzy wyróżniały się na tle piszczących, wydzierających się przeraźliwie cywilów. Były wśród nich samice, niewiele większe od Teerts'a; dźwigały na plecach toboły z dobytkiem dorównujące im prawie rozmiarami. Inne Wielkie Brzydale niosły ciężary zwieszające się z dwóch końców drąga trzymanego na ramionach. Ten widok uderzył Teerts'a. Była to jakby scena z prehistorii Rasy, sprzed tysięcy stuleci. Strażnik musiał wkrótce przenieść się przed pojazd i krzykiem torować dla niego drogę. Kiedy nie dało to rezultatu, zaczął rozdawać ciosy kolbą karabinu. Piski zamieniły się w krzyki. Teerts nie zauważył, żeby ta brutalność w jakikolwiek sposób przyspieszyła ich podróż. W końcu dotarli do stacji kolejowej. Hałas był tu większy, ale nie panował taki bałagan jak w mieście. Rasa wielokrotnie bombardowała stację. Było tu więcej ruin niż nienaruszonych budynków, ale całość jakoś funkcjonowała. Gniazda karabinów maszynowych i zwoje drutu z kolcami utrzymywały cywilów z dala od peronów. Kiedy zatrzymał ich wartownik, major Okamoto uniósł kapelusz Teerts'a i powiedział kilka słów po nipońsku. Wartownik uklonił się nisko i powiedział coś przepaszającym tonem. Okamoto zwrócił się do Teerts'a.

– Od tej chwili idziemy na piechotę. Na stację mają wstęp tylko Nipończycy i ty.

Teerts szedł między Okamoto a strażnikiem. Przez chwilę kawałek muru i dachu, który się nie zapadł, chronił ich przed ostrym wiatrem. Potem znów przedzierali się przez rumowisko. Z ponurego, szarego nieba padał śnieg. Za stacją, żołnierze ładowali się do wagonów. Wartownik ponownie zatrzymał Okamoto. Major jeszcze raz użył Teerts'a jako przepustki. Zajął połowę wagonu dla siebie, Teerts'a i wartownika.

– Jesteś ważniejszy niż żołnierze – powiedział z nutką zarozumiałstwa.

Pociąg ruszył gwizdząc długo i żałośnie. Teerts ostrzeliwał tosewickie pociągi, kiedy jeszcze był wolny. Długie pióropusze dymu sprawiały, że nie było trudno je zauważyć. Nie mogły też uciekać w bok, toczyły się tylko do przodu po szynach. To był łatwy, rozrywkowy cel. Miał nadzieję, że żaden samiec nie uzna tego pociągu za tarczę strzelniczą.

– Im dalej jesteśmy od Harbina, tym bardziej bezpieczni – powiedział major Okamoto.

– Nie mam nic przeciw temu, żeby zginąć za cesarza, ale rozkazano mi, bym dowiódł cię

bezpiecznie na Wyspy.

Teerts też nie miał nic przeciwko temu, by oddać życie za cesarza, ale swojego cesarza, nie za cesarza tych Wielkich Brzydali, który uzurpuje sobie taki sam tytuł. Gdyby jednak miał wybór, to wolałby nie oddawać życia za nikogo. Ostatnio jednak miewał niewielkie możliwości wyboru. Pociąg toczył się na wschód. Rzucalo, aż zęby szczękały. Rasa bombardowała nie tylko pociągi, ale i szyny. Ale Wielkie Brzydale – czego dowiodły na całej planecie – były pomysłowymi istotami. Mimo bombardowań sieć kolejowa działała. Tak przynajmniej myślał Teerts, dopóki po dłuższej jeździe pociąg nagle nie zahamował. Teerts syknął przejęty paniką. Wiedział z doświadczenia, jak znakomitym celem jest stojący pociąg.

– Co się stało? – zapytał majora Okamoto.

– Prawdopodobnie wy, samce Rasy, znowu zniszczyliście tory.

Okamoto był raczej zrezygnowany niż zły; wojna to wojna.

– Siedzisz przy oknie, powiedz mi, co tam widać. Teerts wyrztał przez brudną szybę.

– Widzę cały tłum Tosewitów pracujących przed nami, tam gdzie tory skracają.

Ilu Wielkich Brzydali tam pracowało? Na pewno setki, a może i tysiące. Za całe wyposażenie służyły im kilofy, szpadle albo łomy. Gdyby nadleciał jeden z samolotów Rasy, na śniegu zostałyby wielkie dymiące sadzawki krwi. Ale samolotów nie było. Wielkie Brzydale dokonywały zdumiewających czynów. Teerts, zanim przybył na Tosev 3, uważał, że używanie maszyn jest rzeczą normalną. Nie wyobrażał sobie, że masy istot uzbrojonych w ręczne narzędzia są w stanie zastąpić maszyny i pracować niemal równie szybko.

– Wybacz głupie pytanie, panie zwierzchniku – zapytał – ale co robicie, żeby nie zmarli z zimna albo obrażeń przy tej ciężkiej, niebezpiecznej pracy?

– To są tylko chińscy chłopci – powiedział major Okamoto z mrozącą krew w żyłach obojętnością.

– Kiedy zużyjemy jednych, łapiemy innych, aż praca zostanie wykonana.

Z jakiś powodów Teerts sądził, że Wielkie Brzydale lepiej traktują osobników własnego gatunku niż traktowali jego. Ale dla Nipończyków, miejscowi Tosewici nie byli ich gatunkiem, bez względu na to, jak podobni wydawali się z punktu widzenia samca Rasy. Powód, dla którego Nipończycy traktowali miejscowych Wielkich Brzydali jak gatunek niższy, pozostawał dla Teertsza niejasny. Traktowali ich gorzej niż części maszyn i niewiele interesowali się ich losem. Tego też Teerts nie wyobrażał sobie zanim przybył na Tosev 3. Na tym świecie ciągle widział rzeczy, których wolałby nie poznawać. Wielka gromada robotników odsunęła się od toru po zaskakująco krótkim czasie. Pociąg potoczył się powoli naprzód. Kilku robotników leżało w śniegu. Byli zbyt zmordowani, żeby przejść na inny odcinek zbombardowanych torów. Nipońscy strażnicy, samcy ubrani znacznie cieplej niż ci, których pilnowali, podeszli i zaczęli kopać wyczerpanych chłopów. Jednemu udało się chwiejnie wstać i przyłączyć do towarzyszy. Strażnicy podnieśli łomy i metodycznie roztrzaskali czaszki tych, którzy pozostali na śniegu. Teerts żałował, że to zobaczył. Wiedział już, że Nipończycy bez skrupułów zrobią z nim coś strasznego, jeśli nie będzie z nimi współpracować, albo przestanie być dla nich użyteczny. Teraz miał przed oczami potwierdzenie swoich obaw. Pociąg przyspieszył po przejechaniu naprawionego odcinka

– Czy to nie wspaniały sposób podróżowania? – powiedział Okamoto.

– Jak szybko jedziemy!

Teerts przebył przestrzeń między gwiazdami z połową szybkości światła. Oczywiście – był wtedy w stanie hibernacji. Przemierzał niebo nad główną masą lądową Tosev 3 z szybkością znacznie przekraczającą prędkość dźwięku. Czy teraz miał mu zaimponować ten dychawiczny

pociąg? Był szybki tylko w porównaniu z tamtym biednym, zaharowanym Tosewitą, który wioził go na stację. Rasa spodziewała się zastać na Tosev 3 właśnie takie pojazdy, jak ten, z którego korzystał w Harbinie. Może pociąg, przestarzały w oczach Teertsy, był nowością dla Wielkich Brzydali? Wolał się jednak nie sprzeciwiać majorowi Okamoto.

– Tak, jedziemy bardzo szybko – powiedział z takim entuzjazmem, jaki tylko potrafił z siebie wykrzesać.

Przez brudną szybę Teerts widział, jak inni Tosewici – pewnie chińscy wieśniacy – wypruwali z siebie żyły budując nowe linie obronne dla Nipończyków. Nie szło im łatwo; okropny lokalny klimat sprawił, że ziemia zmarzła na kamień. Nawet nie wiedział, jak koszmarnie będzie się czuł w pociągu. Ciągłe nim trzęsło, siedzenie nie było dostosowane do jego pleców – brakowało podpórki pod ogon, z końca wagonu dochodził go nieustanny jazgot nipońskich żołnierzy, smród, który wydzielali stawał się coraz intensywniejszy, w miarę jak podróż się przedłużała. Zaczął wreszcie tęsknić za swoją celą. Podróż zdawała się nie mieć końca. Ile czasu może zająć przejechanie małej części powierzchni planety? Gdyby miał paliwo do swego myśliwca, byłby w stanie okrążyć cały ten nieszczęsny świat kilka razy w czasie potrzebnym do przejechania zaledwie odcinka ich trasy. Wreszcie zaczęło mu to za bardzo doskwierać. Postanowił powiedzieć, co o tym myśli – jakże nieostrożnie – majorowi Okamoto. Wielki Brzydał popatrzył na niego przez chwilę i zapytał:

– A jak szybko mógłbyś lecieć, gdyby ktoś ciągle rzucał bomby przed nos twojego samolotu?

Jechali na wschód przez półtora dnia. Potem pociąg skręcił na południe. Teerts był zaskoczony.

– Myślałem, że Nippon leży w tamtym kierunku, za morzem – powiedział do swego nadzorcy.

– Tak – odparł Okamoto.

– Ale port Władywostok, najbliższy nam, należy do Związku Radzieckiego, a nie do Nipponu.

Teerts nie miał umysłu dyplomaty Nigdy nie myślał, jakie komplikacje mogą wymknąć z faktu, że planeta podzielona jest między wiele cesarstw. Teraz jedna z tych komplikacji zmuszała go do dalszej jazdy pociągiem. Gromadziła się w nim pogarda dla Wielkich Brzydali, chociaż wiedział, że Rasa zyskuje na ich braku jedności. Pociąg jechał brzegiem morza, ale nie stanął. Toczył się dalej krainą, którą major Okamoto nazwał Chosen.

– Wakarimasen – powiedział Teerts w swojej podłej japońszczyźnie.

– Nie rozumiem. Tu jest ocean. Dlaczego nie zatrzymamy się i nie wsiądziemy na statek?

– To nie takie proste – odparł Okamoto.

– Potrzebny nam jest port, miejsce, w którym statki mogą bezpiecznie podpłynąć do brzegu i nie są niepokozone przez sztormy.

Nachylił się w stronę Teertsy i pokazał przez okno fale rozbijające się o brzeg. Jeziora na rodzimej planecie otoczone były lądem, rzadko bywały na nich burze. Tu było odwrotnie: woda otaczała lądy. Wpadnięcie statku na skały, to była jeszcze jedna rzecz, która nie przyszła Teertsowi do głowy, dopóki nie zobaczył jak wielki ocean rzuca swe wody z potężną siłą na brzeg. Widok był fascynujący, z pewnością znacznie bardziej interesujący niż góry, które ciągnęły się z drugiej strony toru, dopóki Teerts nie pomyślał o czymś strasznym.

– Musimy przepłynąć ten ocean, żeby dostać się do Nippon, prawda?

– Tak, oczywiście – odpowiedział z obojętnością jego nadzorca.

– To cię niepokoi? Niedobrze.

W Chosen, z dala od frontu, sieć kolejowa była w lepszym stanie. Pociąg jechał szybciej. Wreszcie dojechał do portu w miejscu o nazwie Fusan. Tu kończył się ląd. Teerts na własne oczy przekonał się, co miał na myśli Okamoto, mówiąc o porcie: statki stały w szeregu przy drewnianym chodniku, który wybiegał w morze na palach. Pełno tu było Wielkich Brzydali i towarów, które

załadowywano i rozładowywano. Teerts uświadomił sobie, że choć port był prymitywny i zakopcony, to przechodziło przez niego wiele dóbr. Przyzwyczajony był do transportu lotniczego i kosmicznego. Ten sposób przewożenia towarów powodował, że ładunki musiały mieć ograniczony ciężar; tymczasem każdy z tych dużych, brzydkich statków Wielkich Brzydali, mógł przewozić ogromne ilości żołnierzy, maszyn i worków mdłego, obrzydliwego ryżu. A Tosewici mieli wiele, bardzo wiele statków. Na planetach cesarstwa transport wodny prawie nie istniał; towary przewożono drogami i po torach. Teerts bardzo często bombardował drogi i tory na Tosev 3. Ani razu nie zaatakował statku. Z tego, co zobaczył w Fusan, wnioskował że oficerowie, którzy planowali jego loty bojowe, pomijali bardzo ważny cel.

– Wysiadać – powiedział Okamoto.

Teerts posłusznie wysiadł z pociągu. Za nim wyszli oficer i strażnik. Po tak długim czasie spędzonym w trzęsącym się wagonie, odnosił wrażenie, że ziemia kołysze się pod jego nogami. Na rozkaz nadzorców wszedł po trapie na jeden ze statków; pazury przy stopach uderzały o goły, zimny metal. Podłoga, Wielkie Brzydale miały na to specjalne słowo, ale zapomniał go, poruszała się pod stopami. Ze strachu aż podskoczył.

– Trzęsienie ziemi! – krzyknął we własnym języku.

Tego słowa major Okamoto nie znał. Kiedy Teerts wytłumaczył mu jego znaczenie, Nipończyk wykonał długą serię głośnych wydechów, która u Wielkich Brzydali oznacza śmiech. Okamoto zwrócił się we własnym języku do strażnika. Ten, choć przez całą drogę z Harbina nie wypowiedział więcej niż trzy słowa, także się roześmiał. Teerts gapił się na każdego z nich jednym okiem. Nie widział tu niczego śmiesznego. Później, kiedy już nie było widać lądu, statek naprawdę zaczął się huścić i przewalać z fali na falę. Wtedy zrozumiał, dlaczego Wielkie Brzydale śmiały się z jego strachu. Ale Teerts miał wówczas ochotę umrzeć, a nie śmiać się z siebie. Łódź wiosłowa przewiozła pułkownika Leslie Grovesa przez Charles River do portu marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Z mostu Charlestown, który łączył stocznię z Bostonem pozostały tylko kikuty. Saperzy naprawiali go kilka razy, ale jaszczury ciągle burzyły konstrukcję. Wioślarz podpłynął do jednego z przyczółków mostowych.

– Jesteśmy na miejscu, przyjacielu – powiedział z rozlewnym, bostońskim akcentem, wskazując na rozchwiane drewniane schody wiodące do Main Street.

Groves wygramolił się z łodzi. Schody zatrzeszczały pod jego ciężarem, chociaż, jak większość ludzi, zdążył już nieźle schudnąć od czasu, gdy przybyły jaszczury. Człowiek w łodzi wracał na przeciwległy brzeg, by znów kogoś przewieźć. Kiedy Groves skręcił w Chelsea Street, myślał o tym, jak naturalnie zabrzmiał w jego uchu bostoński akcent, chociaż często go słyszał od czasów, kiedy ponad dwadzieścia lat temu ukończył MIT. Wtedy też była wojna, ale od nieprzyjaciela oddzielał ich ocean. Teraz wróg zadomowił się na amerykańskiej ziemi. Marynarze z karabinami chodzili wzdłuż długiego, wysokiego muru, otaczającego port. Groves zastanawiał się, czy ten mur przyda się do czegokolwiek. Jeśli powstanie wyrwa w murze, można wkroczyć prosto do portu. Ale pułkownik już dawno zdążył się przyzwyczać do tego, że armia stosuje środki bezpieczeństwa dla zasady. Podeszedł i dotknął orzełka na naramienniku swego płaszcza. Marynarze zasalutowali i przepuścili go. W porcie nie było już tylu okrętów jak przed przybyciem jaszczurów. Te, które przetrwały, rozproszone były wzdłuż wybrzeża, żeby w gromadzie nie stać się interesującym celem ataku z powietrza. Stary, USS „Constitution” nadal był zacumowany w stoczni. Jego widok przypominał Grovesowi czasy, kiedy studiował na MIT. Zwiedzał wtedy okręt kilka razy i mało nie rozbił sobie głowy o dźwigary międzypokładzia: każdy marynarz mierzący ponad metr pięćdziesiąt wzrostu rozbiłby sobie głowę biegnąc na stanowisko bojowe. Patrząc na wysokie maszty sterczące w niebo, Groves pomyślał, że

pojawienie się jaszczurów z ich techniką, sprawiło, że cała marynarka wojenna stała się równie przestarzała jak ta fregata pamiętająca czasy wojny domowej. Nie była to optymistyczna refleksja. Cel jego podróży znajdował się o kilka nabrzeży za „Constitution”. Okręt tam przycumowany nie był wiele dłuższy od pięknego żaglowca, był za to znacznie brzydszy. Pokryte rdzą żelazo nie mogło konkurować ze smukłymi burtami fregaty. Tylko kobieta może mieć piękniejsze kształty od żaglowca, pomyślał Groves. Wartownik przechadzający się wzdłuż nabrzeża nosił mundur marynarki wojennej różniący się od tych, do których przyzwyczał się Groves. Flaga łopocząca na stożkowatym kiosku okrętu podwodnego też była inna. Nie były to amerykańskie „Strips and Stars”, ale brytyjski „Union Jack”. Groves zastanawiał się, czy jakikolwiek okręt Royal Navy korzystał z tego portu od czasów, gdy Amerykanie odebrali Massachusetts królowi Jerzemu III.

– Ahoj na „Seanymph!” – zawołał, gdy zbliżył się do wartownika. Z bliska zauważył, że marynarz ma karabin Lee-Enfield, a nie amerykańskiego springfielda.

– Ahoj – odpowiedział wartownik; jego akcent zdradzał, że pochodził z Londynu.

– Zechce się pan przedstawić, jeśli łaska.

– Jestem pułkownik Leslie Groves z armii Stanów Zjednoczonych. Oto moje dokumenty.

Wartownik przyjrzał im się i porównał twarz pułkownika ze zdjęciem. Wreszcie kiwnął na znak, że to mu wystarczy. Groves powiedział.

– Dostałem rozkaz, żeby spotkać się tu z kapitanem Stansfieldem i zabrać przesyłkę, którą przywiózł do Stanów Zjednoczonych.

– Proszę tu poczekać, panie pułkowniku.

Wartownik wszedł po trapie na „Seanymph” i zniknął pod pokładem. Pojawił się po kilku minutach.

– Ma pan pozwolenie na wejście na pokład. Proszę ostrożnie schodzić, panie pułkowniku.

Groves zastosował się do rady; nie pozował na marynarza. Kiedy powoli opuszczał się do łodzi podwodnej, cieszył się, że stracił trochę na wadze. Właz było niepokojąco wąski. Znalazł się w długiej stalowej rurze. Nie poprawiło mu to nastroju. To było tak, jakby schodził w głąb słabo oświetlonego termosu. Nawet przy otwartym włączniku powietrze było stęchłe i przejmująco wilgotne. Czuć w nim było zapach metalu, potu i rozgrzanego oleju silnikowego. Podszedł do niego oficer z trzema złotymi paskami na rękawach kurtki mundurowej.

– Pułkownik Groves? Jestem Roger Stansfield, kapitan „Seanymph”. Czy mógłbym zobaczyć pańskie pełnomocnictwo?

Przejrzał papiery Grovesa z taką samą uwagą jak wartownik. Oddał je i powiedział

– Proszę mi tego nie mieć za złe, ale jak mi powiedziano, środki bezpieczeństwa są tu sprawą zasadniczą.

– Proszę sobie nie czynić wyrzutów, panie kapitanie – rzekł Groves beztruskim tonem.

– Zapewniam pana, że to samo usłyszałem od swoich zwierzchników.

– Nawet nie wiem dokładnie, co wam przywiozłem, Jankesi – stwierdził Stansfield.

– Wiem tylko tyle, że mam traktować ten materiał z największą ostrożnością. Tak też zrobiłem.

– To dobrze

Groves ciągle się dziwił, jak to się stało, że wplątał się w tę sprawę z materiałem do bomby atomowej. Może rozmowa z fizykiem – nazywał się chyba Larssen – skojarzyła generałowi Marshallowi jego osobę z uranem. A może za często narzekał, że prowadzi wojnę z za biurka. No, to już przestał siedzieć za biurkiem i nie zasiądzie tam Bóg wie jak długo.

– Skoro już przekazałem panu ten... materiał, pułkowniku, czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić?

– zapytał Stansfield.

– Cholernie ułatwiłby mi pan życie, kapitanie, gdyby popłynął pan „Seanymp” do Denver, a nie do Bostonu – odparł chłodno Groves.

– Dostałem rozkaz, żeby tutaj doprowadzić łódź – powiedział Anglik zaskoczonym tonem.

– Jeśli wasi szefowie chcieli, żeby dostarczyć ten materiał w inne miejsce, to powinni o tym powiedzieć Admiralicji. Jestem pewien, że zrobilibyśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby wam pomóc. Groves potrząsnął głową.

– Niechący nabrałem pana.

– Skąd marynarz Jego Królewskiej Mości ma znać miasto, które szczerze mówiąc nie jest portem.

– Colorado to stan śródlądowy.

– Och, rozumiem.

Ku uldze Grovesa, Stansfield nie zdenerwował się. Uśmiechnął się, pokazując ostre zęby, które pasowały do jego lisich rysów i rudawych włosów.

– Mówią, że okręty podwodne nowej generacji będą miały znacznie większe możliwości, ale temu wyzwaniu chyba nie podołałyby.

– Niedobrze – powiedział poważnym tonem Groves.

– Teraz będę musiał sam przewieźć ten materiał.

– Może uda nam się choć trochę ułatwić panu zadanie – rzekł Stansfield.

Jeden z podoficerów podniósł płócienny plecak i podał go ceremonialnie Grovesowi. Stansfield mówił dalej.

– To powinno panu ułatwić przewożenie pojemników, które są w środku. One są, proszę wybaczyć wulgaryzm, cholernie ciężkie. Nie byłbym zdziwiony, gdybym dowiedział się, że wyłożono je ołowiem, chociaż bardzo mi zalecano powściągnąć ciekawość.

– Chyba to rzeczywiście ołów

Groves wiedział, że pojemniki wyłożone były ołowiem. Nie wiedział natomiast, w jakim stopniu ołów ochroni go przed promieniowaniem materiału radioaktywnego znajdującego się w środku; była to jedna z tych rzeczy, których musi doświadczyć na własnej skórze. Rząd uznał, że jeśli nawet ta misja odejmie mu parę lat życia, to i tak cena nie będzie za wysoka, skoro ma to dopomóc w pokonaniu jaszczurów. Groves całe swe dorosłe życie służył rządowi, więc przyjął ten szacunek ze spokojem. Zrzucił plecak na ramię. Rzeczywiście, poczuł ciężar. Jeśli będzie musiał chodzić z tym przez dłuższy czas, to nieźle się napoci.

– Rozumiem, że pan wie, jak się pan dostanie do, hm... Denver z tym bagażem – powiedział Stansfield.

– Bardzo przepraszam, że nie mogę panu pomóc, ale jest to tylko łódź podwodna, a nie podziemna.

– Znów się uśmiechnął. Musiał mu się spodobać pomysł pożeglowania do Colorado.

– Obawiam się, że nic tu się nie poradzi – rzekł Groves.

– Nie powinienem panu nawet mówić, dokąd się udaję.

Kapitan Stansfield skinął głową ze zrozumieniem i współczuciem. Groves pomyślał, że kapitan współczułby mu jeszcze bardziej, gdyby wiedział, jak niepewna będzie ta podróż. Zakazano mu używania samolotu. Było za duże prawdopodobieństwo, że maszyna zostanie strącona. Kursowało tylko niewiele pociągów i jeszcze mniej samochodów. Pozostawał koński grzbiet i hit szczęścia. Groves, jako realista, nie bardzo ufał szczęściu. Sprawy jeszcze bardziej komplikował fakt, że jaszczury kontrolowały Środkowy Zachód. Wybrzeże było przez nie tylko bombardowane, ale w głębi lądu usadowiły się na dobre. Groves zastanawiał się, dlaczego kosmici tak mało uwagi

poświęcają oceanowi i przyległemu do niego pasmu lądu. Atakowali transport lotniczy i lądowy na całym świecie, ale małe statki nadal miały pewne szansę na dotarcie do celu. Może jest w tym jakaś wskazówka dotycząca geografii planety, z której przybyły. Groves potrząsnął głową. Miał teraz inne, ziemskie zmartwienia. Nie ostatnim z nich była sprawa bitwy, która ma się rozegrać w połowie drogi stąd do Denver. Jeśli zakończy się porażką, to Chicago padnie, a Stany Zjednoczone znajdą się w takiej opresji, że poza Wschodnim Wybrzeżem pozostanie im tylko prowadzenie wojny partyzanckiej przeciwko jaszczurom. Dlatego, jeśli bitwa zostanie przegrana, to, czy Groves dotrze do Denver, przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ale pułkownik nie przerwie podróży. Chyba, żeby zginał, albo dostał rozkaz powrotu. Musiał mieć ponury wyraz twarzy, bo kapitan Stansfield powiedział:

– Pułkowniku, słyszałem, że na waszych okrętach wprowadzono zakaz picia trunków. Na szczęście, Royal Navy nie ma takich zwyczajów. Czy zechciałby pan wypić odrobinę rumu, żeby się wzmocnić przed podróżą?

– Na Boga, kapitanie, będę zachwycony – odparł Groves.

– Dziękuję panu.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Myślę, że to dobrze panu zrobi. Proszę tu poczekać. Zaraz wracam.

Stansfield poszedł w głąb stalowej rury kadłuba na tył łodzi podwodnej; na rufę, pomyślał Groves. Patrzył, jak oficer zagląda do małego pomieszczenia. Jego kajuta, domyślił się Groves. Kajuta była mała. Prycze ustawione były po trzy, jedna nad drugą. „Seanymp” wyglądała jak urzeczywistnienie koszmarnego snu chorego na klaustrofobię. Zawartość pękatej karafki z brązowego szkła bulgotała obiecująco w ręku kapitana.

– Prosto z Jamajki; nie ma lepszego – powiedział i wyciągnął korek. Groves poczuł bogaty aromat unoszący się nad naczyniem. Stansfield nalał dwie solidne szklaneczki i wręczył jedną z nich Grovesowi.

– Dziękuję

Groves przyjął poczęstunek z należyтым szacunkiem. Uniósł szklanekę wysoko, przy czym mało nie otarł sobie kostek palców o rurę biegnącą wzdłuż niskiego sufitu.

– Zdrowie Jego Królewskiej Mości! – powiedział z powagą.

– Zdrowie Jego Królewskiej Mości! – powtórzył Stansfield.

– Nie wiedziałem, że wy, Jankesi znacie ten toast.

– Czytałem gdzieś o tym

Groves wypił rum jednym haustem. Był łagodny w przełyku, ale eksplodował mu w żołądku jak pocisk z mózdzierza rozgrzewając całe ciało. Pułkownik popatrzył na szklanekę z prawdziwym szacunkiem.

– To było niezłe, kapitanie.

– Tak

Stansfield popijał wolniej. Znów sięgnął po karafkę – jeszcze jednego? Groves pokręcił głową.

– Jeden jest jak lekarstwo. Po dwóch zachce mi się spać. Niemniej, doceniam propozycję.

– Sam pan wie, co dla pana jest najlepsze. Podziwiam pana.

Stansfield odwrócił się tak, że twarz skierowaną miał na zachód. Zdawało się, że widzi przez pancierz okrętu trzy tysiące kilometrów niebezpiecznej przeprawy do ziemi obiecanej Denver, gdzieś wysoko w Górach Skalistych. Po chwili dodał.

– Nie zazdroszczę panu, pułkowniku. Groves wrzucił ramionami. Z ciężkim plecakiem czuł się jak Atlas dźwigający cały świat.

– Zadanie trzeba wykonać. I ja to zrobię.

Ryfka Rusie potarła zapalną o podeszwę buta. Zapaliła nią pierwszą ze świec szabasowych, potem następną. Nachylając głowę, wyszeptała szabasowe błogosławieństwo. Siarczany dym z zapalniczki wypełnił podziemny pokój i sprawił, że Mosze zaczął kaszleć. Grube białe świece były znakiem, że przetrwali jeszcze jeden tydzień, że jaszczury ich nie znalazły. Świece oświetlały też schron, który stał się schronieniem rodziny. Ryfka zdjęła ceremonialną serwetkę z chały.

– Mamo, daj mi kawałek! – krzyknął Reuben.

– Pozwól, że najpierw pokroję – powiedziała Ryfka do syna.

– Patrz: mamy nawet trochę miodu do posmarowania.

Jak w domu, pomyślał z ironią Mosze. Nie mieszkali we własnym mieszkaniu, ale w schronie wykopanym pod jakąś warszawską kamienicą. Ironia była głębsza. Schron został przygotowany po to, żeby chronić Żydów przed Niemcami, a nie jaszczurami. Tymczasem, Mosze używał go, żeby ukryć się przed stworzeniami, które wybawiły go z łap hitlerowców. A jednak nie tylko z ironią myślał o tym. Ogromnej większości warszawskich Żydów żyło się znacznie lepiej pod panowaniem jaszczurów niż wtedy, gdy siepacze Hitlera rządili miastem. Pszeniczna chała posypana makiem byłaby nie do wyobrażenia w głodującym warszawskim getcie

Rusie aż nadto dobrze pamiętał ten kawałek tłustej, nadpsutej wieprzowiny, za którą dał srebrny świecznik w noc, kiedy przybyły jaszczury.

– Kiedy będę mógł znowu wyjść i pobawić się? – zapytał Reuben.

Patrzył to na Ryfkę, to na Moszego. Miał nadzieję, że jedno z nich da mu odpowiedź, na jakiej mu zależało. Rodzice popatrzyli na siebie. Mosze czuł się wyczerpany.

– Nie wiem dokładnie – powiedział synowi; nie mógł się zmusić, żeby skłamać wobec chłopca.

– Mam nadzieję, że nastąpi to wkrótce, ale najprawdopodobniej ten dzień długo jeszcze nie nadejdzie.

– Szkoda – powiedział Reuben.

– A nie sądzisz, że moglibyśmy...?

Ryfka przerwała i znów podjęła.

– Kto mógłby wydać takiego małego chłopca jaszczurom? Mosze zwykle zostawiał sprawy domu żonie, zwłaszcza z tej przyczyny, że była w tym lepsza od niego. Ale teraz powiedział – nie – tak ostro, że Ryfka popatrzyła na niego zdumiona.

– Nie pozwolimy mu wyjść. Pamiętasz, ilu Żydów gotowych było wydać hitlerowcom swoich współbraci za kawałek chleba. Nie zwracali uwagi na to, co Niemcy nam uczynili. Ludzie mają powody, żeby naprawdę lubić jaszczury, przynajmniej, kiedy porównają je z Niemcami. Nie będzie bezpieczny, jeśli ktokolwiek go zobaczy.

– W porządku – powiedziała Ryfka.

– Jeśli uważasz, że na górze grozi mu niebezpieczeństwo, to zostanie tutaj.

Reuben jęknął z rozczarowaniem, ale zignorowała to.

– Każdy, kto ma ze mną coś wspólnego, narażony jest na niebezpieczeństwo – odezwał się z goryczą Mosze.

– Jak sądzisz, dlaczego nawet nie możemy porozmawiać z bojowcami, którzy przynoszą nam jedzenie?

Drzwi do schronu ukryte były za przesuwaną płytą zbitą z desek i pokrytą tynkiem. Kiedy panel był zasunięty, wejście z tamtej strony wyglądało jak goła ściana Moszemu nietrudno było wyobrazić sobie, jakie polecenia wydał Anielewicz. Kazał bojowcom zostawiać jedzenie w piwnicy, nie mówiąc nawet dla kogo jest przeznaczone. Czego się nie wie, tego się nie wyda jaszczurom. Mosze

zrobił kwaśną minę: uczył się myśleć jak żołnierz. Wszystko, czego pragnął, to leczyć ludzi, a kiedy przybyły jaszczury, jak znak dany z nieba – wyzwolić swój lud. I jaki był rezultat? Oto siedział tu, w ukryciu jak zbój. Wkrótce po kolacji, Reuben ziewnął i poszedł spać bez zwykłego w takich przypadkach grymaszenia. W ciemnym, dusznym schronie, dzień i noc nie miały już większego znaczenia dla chłopczyka. Gdyby bojowcy nie wyposażyli pomieszczenia w zegar, Mosze też by nie wiedział, jaka jest pora dnia. Pewnego razu zapomniał go nakręcić. Czas przestał wtedy płynąć. Szabasowe świece ciągle płonęły. Przy ich świetle, Mosze pomógł Ryfke pozmywać naczynia po kolacji, schron nie miał elektryczności, ale zaopatrzony był w bieżącą wodę. Uśmiechnęła się do niego:

– Te parę dni, kiedy musiałeś mieszkać sam, nauczyły cię czegoś. Jesteś w tym znacznie lepszy niż byłeś.

– Jak coś trzeba robić, to trzeba się tego nauczyć – odparł filozoficznie.

– Podaj mi ścierkę.

Właśnie kładł ostatni talerz na stertę naczyń, kiedy usłyszał hałas w piwnicy przylegającej do schronu. Chodzili tam ludzie w ciężkich butach. Razem z Ryfką zamarli. Miała przerażony wyraz twarzy; był pewien, że po nim też widać strach. Czy ktoś zdradził ich tajemnicę? Jaszczury nie będą krzyczeć „Juden heraus!” tak, jak hitlerowcy, ale konsekwencje będą te same. Żałował, że nie ma broni. Jednak nie był jeszcze żołnierzem, bo poprosiłby o nią, zanim dał się tu zamknąć. Ale było już za późno, żeby się o to martwić. Kroki zbliżyły się. Rusie natężył słuch. Starał się wychwycić dreptanie i syczenie, które oznaczałoby, że wraz z ludźmi przyszły jaszczury. Zdawało mu się, że coś usłyszał. Bał się coraz bardziej. Ludzie – i kosmici? – zatrzymali się tuż przed zamaskowanym wejściem. Mosze spojrział na świecznik z szabasowymi świecami. Był z gliny, a nie ze srebra. Tamten wymienił na żywność. Ale był ciężki i wysoki. Mógł posłużyć w charakterze maczugi. Nie poddam się bez walki, obiecywał sobie. Ktoś zastukał w płytę. Rusie chwycił za świecznik, ale opanował się: dwa puknięcia, przerwa i znowu puknięcie. Tego sygnału używali ludzie Anielewicza, kiedy przynosili mu zapasy. Ale dostarczyli je zaledwie dwa dni temu i w schronie nadal było pełno żywności. Działali według pewnego planu i chociaż sygnał się zgadzał, to czas był niewłaściwy. Ryfka też o tym wiedziała.

– Co robimy? – zapytała bezgłośnie.

– Nie wiem – odpowiedział tak samo Mosze.

Wiedział natomiast, że jeśli to jaszczury, to przyszły po niego. Nie powiedział tego, żeby nie przygnębiać żony. Ale kroki zaczęły się oddalać. Czy rzeczywiście słyszał odgłosy wydawane przez jaszczury? Ryfka podniosła głos do szeptu:

– Poszli już?

– Nie wiem – powtórzył Mosze.

Po chwili dodał – sprawdźmy. Gdyby to były jaszczury, nie musiałyby czekać, aż wyjdzie. Podniósł świecznik, zapalił świece, które nadal w nim tkwiły, odryglował drzwi i odsunął płytę. Przed wejściem nie stało pudło z jedzeniem, na cementowej podłodze leżała koperta. Podniósł ją, zasunął płytę i cofnął się do kryjówki.

– Co to jest? – zapytała Ryfka, gdy wszedł do środka.

– Notatka albo jakiś list – odparł, podnosząc kopertę.

Rozdarł ją, wyjął złożony kawałek papieru i przybliżył go do świecy, żeby móc przeczytać. Jednym z najgorszych stron podziemnego życia był brak światła, przy którym można by czytać. Do krótkiej lektury wystarczała jednak świeca. Rozwinął papier. List napisany był na maszynie po polsku. Przeczytał go na głos, żeby Ryfka mogła poznać treść. „Jak już wiesz, twoje ostatnie

przesłanie zostało szeroko rozpowszechnione wśród wielu kręgów. Reakcja jest taka, jakiej się spodziewaliśmy. Wzrosła dla nas sympatia. A niektórzy bardzo się czerwienili i chcieliby pogratulować ci dowcipu. Lepiej, żeby cię chwalili na odległość.”

– To wszystko? – zdziwiła się Ryfka gdy skończył.

– Żadnego podpisu?

– Nie – odpowiedział.

– Ale mogę się bez trudu domyśleć, kto to wysłał. Ty też.

– Anielewicz – powiedziała.

– Tak właśnie sędzę – zgodził się Mosze. Wiele wskazywało na to, że list napisał przywódca bojowców. Nic dziwnego, że był po polsku: Anielewicz był przed wojną całkowicie zasymilowany. Pismo było maszynowe, żeby utrudnić śledztwo, gdyby list wpadł w niepowołane ręce. Z tego samego powodu treść była tak mało zrozumiała: ktoś, kto nie znał sprawy, nie domyśliłby się o co chodził Anielewicz jest bardzo ostrożny. Mosze był pewien, że przywódca bojowców na wszelki wypadek wolał nie wiedzieć, jak list trafił do schronu.

– A więc nagranie przedostało się za granicę – powiedziała Ryfka. Dzięki Bogu. Nie chciałam, żeby uważano cię za marionetkę w ręku jaszczurów.

– Dzięki Bogu nią nie jestem.

– Mosze zaczął się śmiać.

– Chciałbym zobaczyć, jak czuje się Zolraag.

Po tym, co jaszczurzy gubernator mu uczynił, chciał go wprawić w złość i zakłopotanie. Z tego, co napisano w liście wynikało, że jego życzeniu stało się zadość. W schronie była butelka śliwowicy. Jak do tej pory Mosze nie zwracał na nią uwagi, teraz zdjął ją z górnej półki, odkorkował i nalał do dwóch szklanek. Wręczył jedną Ryfke, a drugą wzniosł w toaście.

– Za kłopoty dla jaszczurów. Oboje wypili po łyeczku. Mosze poczuł miłe ciepło. Potem ona podniosła szklankę. Cichym głosem powiedziała:

– Za wolność dla naszego ludu, a pewnego dnia i dla nas.

– Tak

Mosze dokończył śliwowicę. Jedna z szabasowych świec zgasła wypełniając bunkier zapachem gorącej stearyny. W pomieszczeniu pociemniało. Otoczyły ich cienie.

– Druga też zaraz zgaśnie – powiedziała Ryfka, patrząc, jak płomyk dochodzi prawie do nasady świecy.

– Wiem – powiedział ponuro Mosze.

U góry, wysoko, żeby Reuben nie mógł ich zrzucić, płonęły dwa kaganki oliwne. Poza tym, że zrobiono je z puszek, nie różniły się zapewne wiele od tych, których używali Machabeusze, kiedy odebrali świątynię w Jerozolimie Antiochowi i jego Grekom. Mosze starannie uzupełniał w nich olej. Przebudzenie w całkowitej ciemności w zatłoczonym podziemnym pokoiku był to koszmar, który przeżył tylko raz. Kiedy gorączkowo szukał pudełka zapalek, przysiągł sobie, że to się już więcej nie zdarzy. Jak do tej pory udawało mu się dotrzymać obietnicy. Spali razem na wąskim łóżku. Delikatnie przesunął syna pod ścianę. Reuben wymamrotał coś, zaczął się rzucać, ale się nie obudził. Mosze położył się koło niego i podniósł przykrycie tak, żeby Ryfka mogła się pod nie wśliznąć. I Kiedy ją przykrywał, dotknął ręką jej ust. Odwróciła się ku niemu. Lampki dawały akurat tyle światła, że zobaczył pytający wyraz jej twarzy. Dotknięcie było raczej przypadkowe, ale i tak przytuliła się do niego. Pytający wyraz twarzy zamienił się w uśmiech. Później leżeli wtuleni w siebie. Była odwrócona do niego tyłem. W ten sposób było im łatwiej i nie budzili synka. Mosze pogłaskał Ryfkę po głowie. Roześmiała się cicho.

– Co cię rozśmieszyło? – zapytał. Głos miał senny. Znów się roześmiała.

– Nie robiliśmy... tego tak często, kiedy byliśmy świeżo po ślubie.

– No cóż, może nie – odparł.

– Właśnie zaczynałem studia, byłem przez cały czas zajęty, potem przyszło na świat dziecko...

Co mamy teraz do roboty, pomyślał. Jest za ciemno, żeby czytać, spiamy razem; jeżeli nie dawalibyśmy sobie teraz wzajemnie przyjemności, źle świadczyłoby to o naszym małżeństwie.

Gdyby powiedział na głos, że zainteresował się ciałem Ryfki, bo nie ma niczego ciekawszego do roboty, na pewno nie zdobyłby tym jej serca. Zamiast tego, oświadczył z kpiącą powagą:

– Jak słyszałem, większość kobiet jest niezadowolona, kiedy mężowie za mało się nimi zajmują.

Czy narzekasz, że ja zajmuję się tobą zbyt często?

– Ja nie narzekałam.

Odwróciła się w jego stronę. Przyciśnięty do jej ciała znów poczuł podniecenie. Ona też. Bez słowa ułożyła się tak, by mógł ją mieć. Westchnęła, gdy to zrobił. Nie ma co się śpieszyć, pomyślał. Nigdzie się nie wybieramy. Bez pośpiechu postarał się, by było im dobrze. Drzwi do celi Bobbiego Fiore otworzyły się z sykiem. To nie była pora na posiłek. Mógł to ocenić bez zegarka. Spojrzał z nadzieją. Może jaszczury przyprowadziły Liu Hań. Ale to były tylko jaszczury: ci strażnicy, co zwykle i jeszcze jeden. Ten ostatni miał bardziej skomplikowane malowidła. Domyślił się, że to oznaka pozycji wśród jaszczurów. Tak jak wśród ludzi: ten, kto nosi elegancki garnitur jest na pewno ważniejszą figurą od tego, kto nosi kombinezon. Jaszczur z bogatszym malowidłem powiedział coś we własnym języku, ale za szybko, żeby Fiore mógł zrozumieć. Odparł więc, że nie wie o co chodzi.

– Chodź – rzekł jaszczur po angielsku.

– Tak jest, panie zwierzchniku.

Fiore wstał i podszedł do jaszczura, ale nie za blisko, bo jak zdążył się już zorientować, strażników bardzo to denerwowało. Jaszczury ustawiły się wokół niego w takiej odległości, żeby nie mógł wyrwać któremuś z nich karabinu. Fiore nie miał tego ranka samobójczego nastroju – o ile był to ranek; tylko Bóg i jaszczury wiedziały o tym na pewno. Kiedy jaszczury zabierały go do celi Liu Hań, skręcali od drzwi w prawo. Tym razem, skręcili w lewo. Był zaintrygowany i przestraszony zarazem. Taki spacer w nieznaną stronę mógł być niebezpieczny, ale też dawał możliwość poznania czegoś nowego. Tyle czasu przebywał w zamkniętym pomieszczeniu, że właściwie cieszyła go ta odmiana. Ale fakt, że coś jest nowe nie musi oznaczać, że jest interesujące. Korytarz z nieprzyjemnie niskim sufitem był równie mało interesujący jak cela. Miejscami metalowe ściany były pomalowane na biało. Jaszczury, które go prowadziły, nie zwracały na niego większej uwagi niż na psa wyprowadzanego na spacer. Miał ochotę na nich wrzasnąć tylko po to, żeby zobaczyć, jak podskakują ze strachu. Ale wtedy mógłby zarobić kulę, więc dał spokój. Znacznie ciekawsze było zagłębienie się po drodze w otwarte drzwi. Starał się odgadnąć, co jaszczury robią w tych pomieszczeniach, które nie są celami. W większości przypadków nie był w stanie tego odgadnąć. Gromady kosmitów siedziały przed czymś, co wyglądało jak mały ekran filmowy. Fiore nie widział dokładnie obrazów. Spostrzegł tylko, że są kolorowe: jaskrawe kwadraty wylaniające się z srebrnego białego tła. Potem zobaczył coś nowego: dziwnie ukształtowana klatka schodowa. Fiore schodząc odkrył, że nie czuje stromizny. Gdy znalazł się na dole, stał się lżejszy niż kiedy był na górze. Poruszył kilkakrotnie ciałem. Tak rzeczywiście było, nie przywidziało mu się. O rany, gdybym miał takie lekkie odbicie, to już dawno trafiłbym do pierwszej ligi, pomyślał. Potem pokręcił głową. Chyba nie. Zawsze dość lekko się poruszał. Jaszczury uznawały dziwaczne schody i zmianę ciężaru jako rzecz normalną. Prowadziły go dalej, niższym poziomem, który niczym się nie różnił od wyższego. W końcu zaprowadziły go do jednego z pokojów z ekranem filmowym. Jaszczur, który

kazał go wyprowadzić z celi, zwrócił się do drugiego, który był już w pokoju. Ten drugi był jeszcze cudaczniej wymalowany. Fiore nie rozumiał, o czym jaszczury mówiły, ale kilkakrotnie usłyszał swoje nazwisko. Jaszczury wymawiały je z jeszcze gorszym akcentem niż Liu Hań. Kosmita, do którego go przyprowadzono, zaskoczył Bobbiego zwracając się do niego w zupełnie przyzwoitej angielszczyźnie:

– Czy ty jesteś Bobby Fiore, samiec tosewicki, ten, który złączony został z samicą Liu Hań?

– Tak, panie zwierzchniku – odpowiedział Fiore, również po angielsku.

Postanowił podjąć niewielkie ryzyko i zadał pytanie

– Kim jesteś, panie zwierzchniku? Jaszczur nie zdenerwował się.

– Jestem Tessrek, starszy psycholog. Chcę zbadać dokładniej to... złączenie.

– Co chcesz wiedzieć?

Fiore zastanawiał się, czy jaszczury domyśliły się, że Liu Hań jest w ciąży. Wiedziały więcej niż sądził. Tessrek przekręcił gałkę na biurku. Fiore usłyszał własny głos: Do diabła, kto by pomyślał, że moje pierwsze dziecko będzie w połowie Chińczykiem? Tessrek jeszcze raz przekręcił gałkę i zapytał:

– Czy to znaczy, że samica Liu Hań złoży jaja – nie, będzie się reprodukować, wy Wielkie Brzydale nie składacie jaj – czy zatem samica Liu Hań będzie się reprodukować?

– No... tak – odparł Fiore.

– Czy to wynik waszego złączenia?

Tessrek pokręcił inną gałką. Mały ekran za jego plecami, który do tej pory był pustym błękitnym kwadratem, zaczął pokazywać obrazy. Film pornograficzny, pomyślał Fiore. Widział ich kilka swego czasu. Ten był w kolorze, świetnej jakości, w odróżnieniu od tamtych – czarno-białych, na poły amatorsko nagrywanych. W ułamek sekundy później zorientował się, że obraz przedstawia Liu Hań i jego. Zrobił krok naprzód. Miał ochotę ścisnąć Tessreka za kark, aż mu jego dziwaczne oczy wyjdą na wierzch. Żądza mordy, która rysowała mu się na twarzy, musiała być rozpoznawalna nawet dla strażników, bo syknęli ostrzegawczo i skierowali lufy w jego stronę. Opanował się z wysiłkiem. Tessrek zdawał się tego nie zauważać. Beztrosko kontynuował wywiad.

– To złączenie – stosunek, jak mówicie – czy będziecie je kontynuować?

– Myślę, że tak – wymamrotał Bobby.

Za plecami jaszczura dalej szedł film. Widać było odprężoną w ekstazie twarz Liu Hań i jego – skupioną, nachylającą się nad nią. Jakby z oddali napłynęło zdziwienie, że jaszczurom udaje się wyświetlać film w oświetlonym pokoju i bez widocznego projektora. Ale zmusił się, by wrócić do pytania.

– Tak, o ile wy – bydlaki – nam pozwolicie.

– Czy to będzie, jak wy to nazywacie, rodziną?

– Tessrek wymówił to ostatnie słowo z wyjątkową starannością, żeby Fiore na pewno je zrozumiał.

– Tak, rodziną – odparł Bobby. Starał się patrzeć tylko na jaszczura, ale ekran ciągle przyciągał jego wzrok. Coś z jego zakłopotania i gniewu objawiło się w słowach:

– O co chodzi, czy wy, jaszczury, nie macie własnych rodzin? Musieliście przylecieć na Ziemię, żeby wtykać wasze pyski w nasze rodziny?

– Nie, my nie mamy rodzin – powiedział Tessrek – nie w waszym rozumieniu tego słowa. U nas samice składają jaja i wychowują pisklęta. Samce robią inne rzeczy.

Fiore gapił się na niego z otwartymi ustami. To wyznanie – bardziej niż niezwykle otoczenie, bardziej niż bezwstyd z jakim jaszczury sfilmowały akt miłosny – uświadomiło mu, że ma do

czynienia z obcymi. Człowiek pewnego dnia zbuduje statki kosmiczne. Przypomniał sobie, że Sam Yeager ciągle czytał o wysyłanych raketach na Marsa; Bobby zastanowił się, czy jego kumpel jeszcze żyje. Wielu ludzi pozbawionych było wstydu, ale żeby nie wiedzieć co to jest rodzina... Tessrek mówił dalej, nieświadomy zamętu uczuć, jaki spowodował.

– Rasa musi poznać wasze życie, żeby lepiej i łatwiej wami rządzić. Musi was rozumieć, żeby mieć... kontrolę. Czy to właściwe słowo?

– Tak, jest w porządku – odparł Fiore matowym głosem.

Królik doświadczalny, przebiegło mu kilkakrotnie przez myśl. Już wcześniej nasuwało mu się to określenie, ale nigdy nie myślał o tym tak intensywnie. Jaszczurom nie zależało na tym, by się nie dowiedział, że dokonują na nim doświadczenia; a zresztą czy mógł się temu sprzeciwić? Z ich punktu widzenia był jak zwierzę w klatce. Zastanawiał się, co króliki doświadczalne myślą sobie o naukowcach, którzy używają ich do eksperymentów. Jeśli nic dobrego, nie mógł im tego mieć za złe.

– Kiedy nastąpi wylęg? – zapytał Tessrek.

– Dokładnie nie wiem – odparł Fiore.

– To trwa dziewięć miesięcy, ale nie wiem, kiedy zaszła. Skąd niby mam wiedzieć? Wy nawet nie wyłączacie światła w moim pokoju.

– Dziewięć... miesięcy?

Tessrek postukał w coś na biurku. Pornos zniknął z ekranu, a na jego miejsce pojawiły się krzaczki, których jaszczury używały jako pisma. Zmieniały się, w miarę jak stukał. Patrzył na nie jednym okiem.

– To jest półtora roku wedle rachuby czasu stosowanej przez Rasę? Powiem ci, jak to jest. Jeden rok Rasy to mniej więcej pół roku na Tosev.

Bobby Fiore nie zajmował się arytmetyką od czasów szkoły średniej. Miał z nią kłopoty, co jeszcze bardziej skłaniało go do profesjonalnego zajęcia się baseballlem. Musiał się dobrze napocić zanim w końcu przytaknął.

– Tak, myślę, że to coś koło tego, panie zwierzchniku.

– Dzzziwne

– Syknął Tessrek.

– Wy, Wielkie Brzydale potrzebujecie tyle czasu, żeby urodzić potomstwo. Dlaczego?

– A skąd, u diabła, mam wiedzieć? – odparł Fiore; znów ogarnęło go uczucie, że pisze klasówkę, do której się nie przygotował.

– Tacy już jesteśmy. Nie kłamię, panie zwierzchniku. Można to sprawdzić.

– Sprawdzić? To znaczy, potwierdzić? Tak, zrobię to.

Jaszczurzy psycholog powiedział coś po jaszczurzemu do urządzenia, które wyglądało jak mały mikrofon. Na ekranie pojawiły się inne znaczki. Fiore zastanawiał się, czy urządzenie zapisuje to, co powiedział Tessrek. Musiał to być nie najgorszy aparat.

– Nie sędzę, żebyś kłamał – powiedział jaszczur.

– Jaką miałbyś z tego korzyść? Dziwię się tylko, że wy Tosewici tak bardzo różnicie się od Rasy i innych gatunków zamieszkujących cesarstwo.

– Powinieneś pogadać z naukowcem, doktorem, albo kimś takim.

Fiore podrapał się w głowę.

– Mówisz, że wy, jaszczury, składacie jaja?

– Oczywiście.

Z tonu Tessreka wynikało, że tak czyni każde szanujące się stworzenie. Bobby pomyślał o kurczakach w małym kurniku za domem swoich starych w Pittsburghu. Bez tych kurczaków i bez jajek

on i jego bracia i siostry często chodziliby głodni. Ale nie to miał na myśli.

– Jajo nie może urosnąć, jak się je już złoży. Kiedy kurczę w środku – albo mały jaszczur – jest za duże, to skorupka pęka i pisklę wychodzi na zewnątrz. Ale dziecko w kobiecie ma więcej miejsca, żeby urosnąć. Tessrek skierował na niego oczy. Bobby wiedział, że jaszczury robią tak wtedy, kiedy coś przyciągnęło ich całą uwagę; zdążył się też nauczyć, że często nie jest dobrze zwracać ich uwagę na siebie.

– To może być warte dalszych badań – powiedział psycholog.

Jego ton sprawił, że zabrzmiało to jak pochwała. Nachylił się do mikrofonu i przeszedł na własny język. Na ekranie znów ukazało się jaszczurze pismo. To naprawdę był notatnik, uświadomił sobie Fiore. Zastanawiał się, jakie jeszcze funkcje spełnia to urządzenie, poza pokazywaniem filmów, których nikt nie miał prawa nakręcić.

– Wy, Wielkie Brzydale, należycie do tego rodzaju tosewickich stworzeń, których samica karmi pisklę płynem wydostającym się z jej ciała?

– Mimo, że na końcu zdania chrząknął pytająco, to brzmiało ono tak, jakby znał już odpowiedź. Bobby Fiore musiał chwilę się zastanowić, zanim zrozumiał o czym mówi jaszczur. Po chwili wiedział już o co mu chodziło.

– Masz na myśli mleko, panie zwierzchniku? Tak, karmimy niemowlęta mlekiem.

– On sam karmiony był z butelki, ale nie chciał komplikować sprawy. Poza tym – co było w butelce?

– Mleko. Tak.

Teraz głos Tessreka brzmiał tak, jakby Bobby przyznał, że ludzie karmią dzieci tym, co wydłubią z nosa, albo jakby był damą z towarzystwa, która z jakichś powodów musi mówić o syfilisie. Przerwał i zmobilizował się.

– Robią to tylko samice, prawda? Samce nie?

– Nie, samce nie, panie zwierzchniku.

Wyobrażenie niemowlęcia przyssanego do jego owłosionego, płaskiego sutka sprawiło, że Fioremu zrobiło się trochę niedobrze, a jednocześnie zachciało mu się śmiać. I znowu musiał stwierdzić, jak obce są dla ludzi jaszczury. Nie miały pojęcia o tym, co to znaczy być człowiekiem. Choć, rozmawiając z Liu Hań musieli używać niektórych słów z języka jaszczurów, to jednak stosowali je tak jak je rozumieją ludzie, po prostu dlatego, że byli ludźmi. Prawdopodobnie, gdyby użyli je w znaczeniu jaszczurzym, nie miałyby one dla nich sensu. To sprawiło, że zaczął się zastanawiać, czy Tessrek – mimo płynnej znajomości angielskiego – naprawdę rozumie znaczenie pojęć, których używa. Mogli sobie wzajemnie przekazywać informacje, jaszczurzy psycholog pod tym względem miał opanowany język. Ale co jaszczur pocnie z informacją, którą pozyska, skoro jej istota jest różna od wszystkiego, do czego był przyzwyczajony.

– Jeśli wy, samce, nie dajecie... mleka pisklętom – powiedział Tessrek – to jaki jest sens w tym, że pozostajecie przy samicach

– Mężczyźni pomagają kobietom opiekować się dzieckiem – odparł Fiore.

– Mogą też karmić dzieci, gdy te są na tyle duże, żeby jeść normalne jedzenie. Poza tym, mężczyźni zazwyczaj zarabiają pieniądze na utrzymanie rodziny.

– Rozumiem, co wy, Wielkie Brzydale robicie. Nie rozumiem dlaczego – zdziwił się Tessrek.

– Nie rozumiem, dlaczego samce chcą pozostawać przy samicach? Dlaczego macie rodziny, a nie żyjecie z różnymi samicami, jak Rasa i inne gatunki, które znamy? Bobby pomyślał, dość abstrakcyjnie, że współżycie z różnymi samicami to mogłaby być przyjemna sprawa. Przyjemnie mu było z kobietami, do których prowadziły go jaszczury zanim nie trafił na Liu Hań. Ale z nią też mu

było przyjemnie, choć to uczucie było inne i chyba głębsze.

– Odpowiedz – zażądał ostrym tonem Tessrek.

– Przepraszam, panie zwierzchniku. Zastanawiałem się, co odpowiedzieć. Może tak jest trochę dlatego, że mężczyzna i kobieta czują do siebie miłość.

– Miłość – Tessrek wypowiedział to z prawie taką samą odrazą, jak wcześniej słowo mleko.

– Wy, Wielkie Brzydale, często wypowiadacie to słowo. Ty, Bobby Fiore, powiedz mi co znaczy słowo miłość.

– Hm – mruknął Bobby. To było zamówienie dla poety, filozofa, albo nawet Cole Portera, a nie dla zawodnika trzeciej ligi. Strzelił jednak, jakby zależał od tego wynik meczu.

– Miłość jest wtedy, kiedy się dba o kogoś i chce się to robić i pragnie, żeby ten ktoś był szczęśliwy przez cały czas.

– Powiedziałeś „co”. Ja chcę wiedzieć „dlaczego” – stwierdził jaszczurzy psycholog z pełnym niezadowolenia syknięciem.

– Czy to dlatego, że Wielkie Brzydale bez przerwy mają okres parzenia się i uczyniły z tego spoiwo społeczeństwa? Czy to dlatego tworzą rodziny? Fiore nie był myślicielem. Nie rozmyślał też wiele o naturze rodziny: rodzina to miejsce, gdzie się dorasta. A potem zakłada się własną rodzinę. Ale nie tylko o to chodziło. Rozmowy o seksie, nawet z jaszczurem, zawstydzaly go.

– Myślę, że masz rację – wymamrotał. To co mówił Tessrek miało sens.

– Ja mam rację – powiedział Tessrek i zakończył zdanie emfatycznym kasznięciem.

– Pomogłeś mi udowodnić, że to wasze obrzydliwe obyczaje winne są temu, że jesteście tacy dziwni, tacy – jak to się mówi? – nienormalni. Tak, nienormalni. Dowiodłem tego. Tak, dowiodłem.

We własnym języku przemówił do strażników. Zaprowadzili go z powrotem do celi. Po drodze rozmyślał o tym, że jaszczury są wielkimi ignorantami w sprawach dotyczących ludzkości. Ale pod pewnymi względami są podobne do wielu ludzi, których Fiore znał: Tessrek uwielbiał mieć rację i musiał sobie udowadniać, że się nie myli.

Rozdział XX

Mięśnie karku Jensa Larssena nie były przyzwyczajone do ciężaru hełmu. Od wyfasowanego karabinu, ciężkiego i masywnego springfielda rozwijało mu się prawostronne skrzywienie boczne kręgosłupa. Jak większość dzieci wychowywanych na wsi, strzelał trochę z strzelby kaliber 5,6 mm, ale karabin wojskowy był znacznie cięższy. Formalnie rzecz biorąc, nie był żołnierzem. Generał Patton nie wziął go do wojska

– Pański zawód cywilny jest ważniejszy niż cokolwiek mógłby pan zrobić dla mnie – podkreślał, ale nalegał przy tym, żeby Jens był uzbrojony.

– Nie mamy czasu, żeby rozpieszczać cywilów. Brak konsekwencji w tym co mówił był oczywisty, ale Jens nie potrafił przekonać generała.

Popatrzył na zegarek. Fosforyzujące wskazówki pokazywały, że zbliża się czwarta nad ranem. Noc była ciemna i pochmurna. W powietrzu wirowały płatki śniegu. Wokół było coraz głośniejsze. Ryczały silniki. Włączały się kolejne. Przybywało warkotu i smrodu spalin. Cienka wskazówka przesuwała się po tarczy zegarka. Za minutę czwarta... za pół minuty. Zegarek był nieźle nastawiony, ale nie perfekcyjnie. O 3.59:34 według jego wskazówek zagrzmiały działa. Odnosiło się wrażenie, jakby strzelała artyleria zwieziona z całego globu. Niska pokrywa chmur zajaśniała na kilka sekund żółtawą poświatą od błysków ognia z luf setek armat. Siedemdziesięciosześcioletnie haubice i dziewięćdziesięcioletnie działa przeciwlotnicze, użyte jako artyleria polowa, oddawały salwę za salwą tak szybko, jak tylko ich obsady nadążały z ładowaniem. Jens wrzeszczał z całych sił, tak jak mu powiedziano, żeby zrównoważyć ciśnienie na bębny. Jego krzyk utonął w kakofonii artyleryjskiego ognia. W kilka minut później nadeszła odpowiedź jaszczurów. Do tego czasu czołgi i piechota Pattona były już rozwinięte do natarcia. Amerykański ogień zaporowy raptownie ucichł.

– Naprzód, na następne stanowisko ogniowe! – ryknął oficer stojący niedaleko Larssena.

– Jaszczury szybko was namierzą, jeśli będziecie stali w jednym miejscu. Niektóre haubice zamontowane były na samojezdnym podwoziu. Pojazdy półgąsienicowe ciągnęły pozostałe działa. Parę armat wiozły zaprzęgi konne albo popychali żołnierze. Jeśli natarcie pójdzie zgodnie z planami Pattona, raczej nadziejami, poprawił się w myśli Larssen, to niezmotoryzowana artyleria wkrótce pozostanie z tyłu. Na razie, liczył się każdy pocisk.

– Jazda lenie, brać dupy w troki! – ryczał sierżant tonem, którego zawsze używali wszyscy sierżanci.

– Co? Boicie się? Poczekajcie tylko, a zobaczycie, co zostanie z jaszczurów, jak im dołożymy.

To była ewangelia według Pattona. Dopiero czas miał pokazać, czy spełnią się jej przepowiednie. Jens ruszył z wszystkimi w pole. Nisko nad głową słychać było warkot samolotów. Starannie chowano je aż do dziś. Teraz rzucono je do boju: zwyciężaj albo giń. Larssen machał do przelatujących maszyn. Nie sądził, żeby wielu pilotów wróciło. Atakowanie pozycji jaszczurów w ciemnościach i śnieżnej zadymce równało się samobójstwu. Nagle uświadomił sobie, że sam wykonuje samobójcze zadanie, chociaż nie siedzi w kabinie myśliwca. Jakiś żołnierz idący z boku krzyknął łamiącym się od mutacji głosem:

– Czy to nie ekscytujące!

– Chyba nie, jeśli już o to pytasz – powiedział Larssen.

Inspektor artylerii Svallah krzyczał w słuchawkę telefonu polowego:

– Co to ma znaczyć, że nie możesz mi przysłać natychmiast amunicji? Wielkie Brzydale nacierają. Słyszysz, co mówię! Odkąd wylądowaliśmy na tej nędznej kupie zamarznętego błota, nie było walk na taką skalę.

– Otrzymuję także meldunki o ciężkich bojach na północno-zachodnim skrzydle naszego frontu przed wielkim miastem nad jeziorem – odpowiedział opanowany głos w słuchawce.

– Oficerowie kwatermistrzostwa ciągle jeszcze szacują priorytety. Gdyby Svallah miał włosy jak Wielki Brzydał, zacząłby je sobie wydzierać z głowy. Zaopatrzeniowcom nadal się wydawało, że są na rodzimej planecie, gdzie zwłoka o pół dnia, a nawet o pół roku nie miała znaczenia. Niestety, Tosewici działali według innego czasu.

– Słuchaj – wrzasnął – brakuje nam szrapneli; krążowniki lądowe mają za mało pocisków odłamkowych i przeciwpancernych, skończyły się nam rakiety przeciwkrążownikowe dla piechoty... Na cesarza, to nie moja sprawa, ale słyszałem, że nie starcza nam nabojów do broni strzeleckiej! Nie tylko twoje oddziały są w opałach – odparł głos w słuchawce ze spokojem, który mógł doprowadzić do szaleństwa.

– Zrobimy wszystko, żeby jak najszybciej dostarczyć uzupełnienia. Ale nie licz na zbyt wiele; są braki, a zużycie pocisków było przez długi czas za duże. Mimo to zapewniam cię, że zrobimy wszystko, co można w tych okolicznościach uczynić.

– Niczego nie rozumiesz!

Svallah już nie wrzeszczał, ale ryczał. Miał powód: Tosewici zaczęli się wstrzeliwać w jego pozycje.

– Słyszysz te wybuchy? Czy je słyszysz? Obyś nie dostąpił widoku zmarłych cesarzy w przyszłym życiu, to nie są nasze działa! Te śmierdzące Wielkie Brzydale mają amunicję. Nie jest tak dobra jak nasza, ale oni strzelają, a my nie. Wiesz na czym polega różnica?

– Zapewniam cię, inspektorze artylerii, że uzupełnienia nadejdą tak szybko, jak to tylko będzie możliwe – odparł samiec z kwatermistrzostwa, który nie był jeszcze pod ostrzałem.

– Zapewniam cię też, że nie tylko twoje oddziały pilnie potrzebują zaopatrzenia. Robimy co można, żeby zrównoważyć potrzeby z... Tosewickie pociski padały coraz bliżej. Odłamki uderzały o drzewa.

– Słuchaj – mówił Svallah – jeśli nie przyślesz mi natychmiast trochę amunicji, to moje zamówienie nie będzie już miało znaczenia, bo zginiemy. Czy to dla ciebie jasne? Na cesarza, ta perspektywa sprawia ci chyba przyjemność, bo pozbędziesz się jednego kłopotu z głowy.

– Twoje podejście nie jest konstruktywne, inspektorze artylerii – samiec bezpiecznie siedzący na tyłach powiedział to urażonym tonem.

– Zgadnij, co mnie to obchodzi – odparł Svallah.

– Powiem ci, żebyś wiedział: mam zamiar dać rozkaz odwrotu, zanim porozrywają nas tu na strzępy. Tylko to mi zostało, skoro nie możesz dostarczyć mi amunicji. Ja. Tosewicki pocisk upadł o wyciągnięcie ręki od Svallaha. Z inspektora artylerii pozostały krwawe szczątki rozrzucone po śniegu. Kaprys wojny sprawił, że telefon wyszedł cało z wybuchu.

– Inspektorze artylerii – zachrypiało w słuchawce.

– Jesteś tam? Odpowiedz proszę... Przez pierwsze dwa dni było łatwiej niż Larssen sobie wyobrażał. Pattonowi rzeczywiście udało się zaskoczyć jaszczury i rozbić je tam, gdzie ich linie obronne były zbyt słabe. Jak gromko wiwatowali żołnierze, kiedy przekraczali granicę między stanami Indiana i Illinois! Już nie uciekali, nie słaniali się na nogach jak oszołomiony bokser trzymający się z przeciwnikiem w kłinczu. Nacierali. Byli jakby innymi ludźmi: poczuli, że mają jaja, wyłożył to po swojemu sierżant. I nagle pojawiła się poważna przeszkoda. W otwartym polu, przed zabitą dechami dziurą o nazwie Cissna Park, stał czołg jaszczurów. Stał wyzywająco bez osłony, jego pole obserwacji rozciągało się na wiele kilometrów. Naprzeciw niego dopalały się wraki co najmniej sześciu lee i shermanów. Niektóre zostały zniszczone z odległości pięciu kilometrów. Nie

były w stanie nawet dosięgnąć czołgu jaszczurów, nie mówiąc już o jego zlikwidowaniu. Czołg wyposażony był nie tylko w pociski przeciwpancerne, ale i odłamkowe.

– Ten skurwysyn sam jeden jest w stanie zatrzymać całą brygadę – powiedział ktoś.

W głosie słycać było śmiertelne przerażenie. Człowiek, który wyglądał zbyt młodo, żeby nosić złote liście dębowe majora, zaczął wskazywać żołnierzom palcem

– Ty, ty, ty, ty i ty zajdziecie go z prawej strony.

Niech ten sukinsyn was zauważy. Idę z wami. Zobaczymy, co da się zrobić. Jens był drugi spośród wyliczonych. Chciał już zaprotestować: podobno jest cennym fizykiem, a nie żołnierzem piechoty. Ale nie miał czelności wyklócać się, gdy reszta oddziału poszła naprzód i wszyscy patrzyli na niego. Ze strachu uginały mu się kolana, ale schyłony pobiegł za innymi. Czołg wydawał się zupełnie samotny. Jeśli miał jakąś osłonę, to wstrzymała ona ogień. Larssen obserwował oddaloną wieżę. Była coraz bliżej, a to znaczyło, że jest coraz bliższy śmierci. Jeśli wieża obróci się w tę stronę, wiem że zaczęę uciekać, pomyślał, ale biegł dalej. Jeden z żołnierzy położył się na ziemi i otworzył ogień z karabinu automatycznego Browninga. Miał mniej więcej takie same szansę na uszkodzenie czołgu, jak komar na przebicie skóry słonia.

– Naprzód, ruszać się! – ryknął wyglądający jak młody chłopak major.

Jens biegł naprzód. Im dalej od odważnego wariata z browningiem, tym lepiej. Kilkaset metrów dalej, za krzakami, których nie byłoby tutaj, gdyby od ubiegłego lata ktoś uprawiał ziemię, przyciął się inny żołnierz z automatem. On też zaczął wypuszczać krótkie serie w stronę czołgu. Larssen był już tak blisko, że mógł dostrzec iskry krzesane przez pociski na bokach wieży. Nadal nie rozumiał, czemu ma służyć ta strzelanina.

– Reszta niech się rozproszy, znajdzie osłonę i zacznie strzelać – powiedział major.

– Mamy przyciągnąć uwagę działonowego.

Jaszczurzy działonowy musiał mieć niezłą zabawę zabijając ludzi, którzy w żaden sposób nie mogli mu się odplacić. Ale oto, przed Jensem ukazała się pokryta śniegiem kępa zaschłych chwastów. Rzucił się za nimi na ziemię. Nawet przez kilka warstw ubrania czuł zimno od śniegu. Naprowadził muszkę na czołg i nacisnął spust springfielda. Nic się nie wydarzyło. Zmarszczył czoło i obejrzał karabin. Zapomniał odbezpieczyć.

– Ty idioto! – parsknął pod swoim adresem przesuwając rygiel.

Wycelował jeszcze raz i wystrzelił. Odrzut kopnął go w ramię znacznie mocniej niż wtedy, gdy zabawiał się wiatrówką. W jego duszy zwyciężył fizyk: Ten pocisk waży więcej i porusza się z większą szybkością, więc to oczywiste, że karabin mocniej kopie. Drugie prawo Newtona, pamiętasz? $F = m \cdot a$. Nastawił celownik na daleki dystans. Jego pierwszy wystrzał – przy nastawie na czterysta metrów – nie mógł trafić do celu. Ponownie pociągnął za spust. Tym razem mocniej przyciskał kolbę. Nadal nie wiedział, czy trafił. Strzelał przez cały czas, tak jak mu rozkazano. Pozostali żołnierze z pododdziału także robili wiele hałasu. Gdyby któryś miał szczęście, może trafiłby w peryskop albo szczelinę obserwacyjną. Przyciąganie uwagi, o którym mówił major polegało na tym, że wystawiali się na strzał w gołym polu. Brakowało tylko, żeby nosili napisy: „Zastrzel mnie”. Po jakimś czasie dowódcę czołgu jaszczurów musiało znużyć, że służy za tarczę strzelniczą dla piechoty przeciwnika. Wieża obróciła się w stronę jednego z żołnierzy z browningiem. Larssen widział amerykańską broń pancerną w akcji. Był przerażony szybkością, z jaką poruszały się mechanizmy czołgu jaszczurów. Z wieży wystrzelił język ognia. To nie było działo główne – nie zabija się młotem kowalskim – tylko sprzężony z nim karabin maszynowy. Śnieg i grudy ziemi wystrzeliły w powietrze wokół żołnierza z browningiem. Seria nie była długa. Działonowy strzelał na postrach. Po kilku sekundach milczenia, żołnierz z automatem ponownie

ustawił browninga na dwunożnej podpórce i wysłał kilka pocisków. Zdawało się, że mówi: „Widzisz, nadal tu jestem!” Działonowy kropnął w odpowiedzi dłuższą serię. Po niej zapadła cisza. Tym razem żołnierz z browningiem nie odpowiedział. Zabity albo ranny, pomyślał ponuro Larssen. Wieża czołgu obróciła się w stronę drugiego człowieka z browningiem. Ten miał lepszą osłonę, więc wytrzymał dłużej niż jego poprzednik. Wymiana ognia trwała o kilka serii dłużej. Człowiek z automatem miał rozkaz, żeby ściągnąć na siebie uwagę przeciwnika i był na tyle odważny, że dokładnie wykonał polecenie. To znaczyło, że musi się wystawić na ogień, a osłony z ziemi i krzaków, za którą leżał nie można było porównać do kilkunastu centymetrów stali kryjącej jaszczurzego działonowego. Kiedy następny automat ucichł, wieża czołgu obróciła się o kilka stopni. Larssen obserwował ją z pełną przerażenia fascynacją: teraz celowała w niego. Leżał w brudzie. Kiedy karabin maszynowy znowu zaterkotał, Jens rozpląszczył się jak żaba. Miał nadzieję, że ziemia da mu jakąś osłonę. Modlił się o to. Ten drugi z zabitych żołnierzy z automatem pożył przeciw dłużej chwilę. Kule smagały ziemię wokół niego. Przemarznięte grudy padały na jego płaszcz i kark. Nie był w stanie unieść się i zacząć strzelać do kaemu ukrytego za pancernymi płytami. Czy to znaczy, że był tchórzem? Mało go to obchodziło. Czołg przestał strzelać. Jens uniósł głowę. Gdyby za sprawą cudu, wieża obróciła się i zaczęła polowanie na kogoś innego, mógłby wznowić ogień, a potem przeskoczyć na inną pozycję. Ale niestety. Armata, a więc i karabin maszynowy, nadal wycelowana była w niego. Za czołgiem jaszczurów zauważył jakiś ruch. To byli inni żołnierze. Zakradli się w pobliże stalowego potwora, kiedy Jens z kumplami odwracali jego uwagę. Zastanawiał się, czy wskoczą na pancerz i wrzucą materiały wybuchowe przez kopułkę obserwacyjną. Niszczono już w ten sposób czołgi jaszczurów, ale przy takich próbach ginęło znacznie więcej żołnierzy. Jeden z Amerykanów oparł sobie coś o ramię. To nie był karabin: to było dłuższe i grubsze. Z tylnego końca rury buchnął płomień. Z drugiej strony wyleciała jakby mała rakietka. Przez całą drogę, około dwustu metrów dzielących żołnierza od czołgu, wypluwała języki ognia. Uderzyła od tyłu, w przedział silnikowy, dokładnie tam, gdzie pancerz jest najcieńszy. Z trafionego pojazdu trysnęły niebieskie i pomarańczowe płomienie. Włazy na wieży otworzyły się; wyskoczyły trzy jaszczury. Jens, krzycząc ze wszystkich sił, zaczął do nich strzelać z pełnym wściekłości zapamiętaniem. Nagle role się odwróciły. Kaci znaleźli się na łasce ofiar. Upadł jeden jaszczur, potem drugi. Wtedy w czołgu zaczęło się gotować. Płomień dotarł do głównego baku z paliwem. Ogień objął całą maszynę, z wieży buchnął dym. Krótkie eksplozje świadczyły o tym, że zaczęła wybuchać amunicja. Ostatni jaszczur, któremu udało się wydostać, padł pod gradem pocisków. Major o wyglądzie młodego chłopca wstał i zaczął machać rękami jak wiatrak. Odległy ryk silników dochodzący od wschodu oznaczał, że ruszyły czołgi i działa samobieżne powstrzymywane dotąd przez maszynę jaszczurów. Wtedy major pobiegł, żeby zobaczyć, co się stało z żołnierzami, którzy obsługiwali automaty. Jens biegł wraz z nim. Jeden z żołnierzy nie żył. Pocisk kaemu ściał mu wierzchołek czaszki. Śnieg zbryzgany był szaroczerwonym mózgiem. Drugi miał ranę brzucha. Stracił przytomność, ale oddychał. Major odciągnął rannego za ubranie, posypał krwawiącą ranę proszkiem sulfamidowym, przyłożył na wierzch opatrunek i wezwał sanitariusza.

– Wiesz co? – zwrócił się do Larssena.

– Myślę, że się nam udało!

– Może.

Jens wiedział, że w jego głosie nie ma entuzjazmu. Nie był przyzwyczajony do widoku takich jatek. Starał się o tym nie myśleć.

– Czego użyto do zniszczenia tego czołgu?

Jakby dla podkreślenia jego słów, w płonącej maszynie jaszczurów eksplodowały dalsze

pociski.

– To rakiet! Czy to nie było wspaniałe?

Kiedy major się uśmiechał, wyglądał jakby dopiero co ukończył siedemnaście lat.

Oficjalnie nazywa się to wyrzutnia rakiet sześćdziesięcimilimetrowych, ale żołnierze nazywają to od tego zwariowanego instrumentu, na którym Bob Burns grywa w radiu.

– Bazooka?

Larssen też się uśmiechnął.

– Podoba mi się to.

– Mnie też.

Majorowi nieco zbladł uśmiech.

– Chciałbym tylko, żebyśmy ich mieli znacznie więcej. Skonstruowano ją w ubiegłym roku i było cholernie mało czasu na produkcję zanim przybyły jaszczury. Ale wykorzystujemy to, co mamy.

– Czy nie powinny pójść naprzód, panie majorze?

Jens wskazał na lee i shermany mijające właśnie wrak czołgu jaszczurów.

– Potrzebują nas – odparł major.

– One tworzą wyłom, my w niego wchodzimy i wspieramy je. Gdyby jaszczury miały piechotę do wsparcia swojej maszyny, nie moglibyśmy jej podejść w ten sposób, w jaki to zrobiliśmy. Mają wspaniałe sprzęt i nie można powiedzieć, żeby zbywało im na odwadze, ale ich taktyka jest do niczego.

Larssen przypomniał sobie, że pułkownik Groves mówił to samo. W swoim czasie wydawało się to bez znaczenia. Czołgi kosmitów niszczyły wszystko, co stało im na drodze. Ale teraz okazało się, że jednak można je zwalczać. Major pobiegł już dalej. Jens poczłapał za nim ciężkim krokiem omijając szerokim łukiem płonący czołg jaszczurów.

– Nie, nie mogę wysłać więcej krążowników lądowych do twojego sektora – powiedział dowódca sił uderzeniowych Relhost.

– Ale ja ich potrzebuję! – dowódca północnego skrzydła, Zingiber mówił przez radio znekłym głosem.

Wielkie Brzydale rzuciły na mnie tyle swego śmiecia, że spychają mnie z pozycji. A poza tym, to już nie są śmieci: od tych przebrzydłych rakiet, których zaczęli używać, straciłem dziś trzy czołgi. Nasze załogi nie zostały wyćwiczone do zwalczania piechoty zaopatrzonej w broń przeciwpancerną, a nie możemy ich wycofać, żeby poddać je szkoleniu.

– Nie możemy

Relhost nie chciał wiedzieć, czy Zingiber mówi to poważnie. Być może: niektórzy samcy nadal nie potrafili się dostosować do tempa narzucanego przez wojnę prowadzoną na Tosev 3. Relhost kontynuował – powtarzam, nie mam więcej krążowników lądowych dla ciebie. Na południowym skrzydle też straciliśmy kilka. Zagrożenie rakietami powoduje, że i tutaj używamy ich bardzo ostrożnie.

– Ale one są mi potrzebne – powtórzył Zingiber, jakby jego naleganie mogło wyczarować dodatkowe krążowniki

– Sprawy tak się mają, panie zwierzchniku, że tracimy teren. Nacierające z dwóch stron Wielkie Brzydale mają szansę na połączenie się.

– Tak, wiem. Też patrzę na mapę.

Relhostowi również nie podobało się to, co widział na ekranie. Jeśli Wielkim Brzydalom uda się połączyć, odetną dopływ zaopatrzenia do jego głównych sił uderzeniowych, które dotarły w końcu na przedmieścia Chicago. Straty były wielkie. Tosewici w ruinach swoich miast walczyli jak

ssvapi broniący swoich nor na Rabotev 2.

– Jeśli nie możesz wysłać mi krążowników lądowych – powiedział Zingiber – to przyślij mi helikoptery, żebym mógł zniszczyć więcej tosewickich czołgów.

Relhost postanowił odsunąć Zingibera od dowodzenia, jeśli wystąpi z jeszcze jednym podobnie idiotycznym żądaniem. Syknął z wściekłością zanim nacisnął guzik z napisem „transmisja”.

– Mamy mniej helikopterów niż czołgów. Musimy je chronić. Ci nędzni Tosewici nauczyli się czegoś nowego.

– Uczą się szybciej od nas, ta myśl zaniepokoiła go. Zmusił się, żeby kontynuować:

– Wysuwają artylerię przeciwlotniczą jak najdalej do przodu. Holuje ją, sprzęt lżej opancerzony i zwyczajne wozy. Helikoptery mają pancierz odporny tylko na pociski karabinowe. Nie można ich zaopatrzyć w cięższą osłonę, bo nie wzniosą się w powietrze.

– To mech nam dostarczą krążowniki z innych części tej cuchnącej planety – powiedział Zingiber.

– Logistyka! – jęknął Relhost.

– Krążowniki są tak wielkie i ciężkie, że tylko dwa mieszczą się w największym samolocie transportowym. A my mamy tutaj zaledwie kilka takich samolotów. Nie spodziewaliśmy się, że będą nam tak bardzo potrzebne. Poza tym, transportowce są nie uzbrojone i stanowią łatwy cel przy coraz większej ostatnio aktywności Tosewitów w powietrzu. Wystarczy, żeby tylko jeden z tych ich przebrzydłych samolocików przedarł się przez osłonę naszych myśliwców i transportowiec wraz z krążownikami lądowymi spadnie w płomieniach na ziemię.

– Ale jeśli nie dostaniemy skądkolwiek posiłków, to przegramy tę bitwę – stwierdził Zingiber.

– Niech załadują krążowniki na statek kosmiczny, jeśli inaczej nie można.

– Posadzić statek kosmiczny pośrodku pola bitwy, narazić go na ogień artylerii i wszelki sabotaż, jaki tylko mogą wymyśleć Wielkie Brzydale? Chyba żartujesz.

Relhost podjął trudną decyzję – wycofam kilka krążowników z głównych sił uderzeniowych... może więcej niż kilka. Wrócą jak tylko sprawią, że się poprawi twoje położenie. Mam nadzieję, dodał w myśli. Krążowniki muszą mieć paliwo, a Tosewici robili wszystko, żeby przerwać linie zaopatrzenia. Nikt nie kocha logistyki, ale bez niej armia jest martwa. Tosewici mieli, rzecz jasna, własne problemy z paliwem. Zgromadzili zapasy tej toksycznej substancji, którą spalają ich maszyny, ale zakłady ją produkujące były łatwe do zniszczenia z powietrza. Relhost znowu popatrzył na mapę. Miał nadzieję, że Rasa wkrótce dokonanalotu na te zakłady. Dwóch Wielkich Brzydali w długich czarnych płaszczach i szerokoskrzydłych kapeluszach popychało wózek z zaopatrzeniem w kierunku eskadry myśliwców. Gefron nie zwrócił na nie uwagi. Ostatnio Tosewici wykonywali wiele czynności pomocniczych, żeby samce Rasy mogły bez reszty poświęcić się podbojowi Tosev 3. Gefron udzielał Rolvarowi i Karolowi, pilotom ze swojej eskadry, ostatnich instrukcji.

– Zapamiętajcie, bo to jest ważne. Musimy naprawdę zetrzeć z powierzchni ziemi to Ploesti; Wielkie Brzydale z Deutschland czerpią stamtąd dużą część swego paliwa.

– Tak jest – odpowiedziały chórem oba samce. Gefron mówił dalej:

– Tyle kazano mi wam przekazać. We własnym imieniu chciałbym zadedykować tę misję duchowi mego poprzednika na stanowisku dowódcy tego oddziału, Teertsowi. Musimy osiągnąć to, żeby Wielkie Brzydale nie mogły już więcej zabić albo wziąć do niewoli jakiegokolwiek dzielnego samca, takiego jak Teerts. Dzięki nam, podbój Tosev 3 wkrótce zostanie zakończony.

– Tak jest – ponownie powtórzyły samce.

Mordechaj Anielewicz szedł Nowolipiem, słuchając Natana Brodzkiego. Przywódca bojowców już dawno przyzwyczał się do tego rodzaju spacerów. Prowadził podczas nich rozmowy, które nie

miały prawa dotrzeć do uszu jaszczurów. Była to właśnie jedna z takich rozmów: Brodzki pracował jako robotnik na lotnisku i poznał niezły język jaszczurów.

– Nie mam żadnych wątpliwości – powiedział Brodzki.

– Lecą na Ploesti; mówili o zniszczeniu całego zagłębia. No, ja wiem, że to ważne, więc powiedziałem jaszczurowi, który jest tam szefem, że jestem chory i przyszedłem prosto do ciebie.

– Tak jest – odpowiedział Anielewicz.

– Nie myliłeś się; to ważne. Teraz muszę się zastanowić, co z tym począć.

– Zatrzymał się.

– Chodźmy do mojej kwatery.

Brodzki posłusznie zawrócił. Anielewicz szedł z opuszczoną głową i wciśniętymi do kieszeni rękami. Myślał bardzo intensywnie. Jakakolwiek współpraca z Niemcami nadal go mierzła. Ciągłe miał wątpliwości, czy dobrze zrobił wypuszczając tego majora-czołgistę z połową zawartości jego ładunku. I znowu podobna sprawa. Jeśli jaszczury zniszczą Ploesti, hitlerowska machina wojenna prawdopodobnie zatnie się i zatrzyma; Niemcy, którzy u siebie nie mieli ropy naftowej, nie mogli się obejść bez tego, co dostarczało im rumuńskie zagłębie. Hitlerowcy nadal prowadzili ciężkie walki przeciwko jaszczurom i od czasu do czasu zadawali im nawet straty: nikt nie może zaprzeczyć, że okazali się dobrymi żołnierzami. Załóżmy, że Niemcy w końcu wygrają. Czy zadowolą się przedwojennymi granicami? Anielewicz parsknął. To absolutnie niemożliwe! Ale przypuśćmy, że Niemcy wraz z nimi ludzkość, przegrają. Czy pod panowaniem jaszczurów ludzie będą mogli robić coś więcej niż wykonywać najbardziej prymitywne czynności fizyczne? Anielewicz skreślił za róg ulicy, przy której mieściła się kwatera główna bojowców. Jego rower, pośród wielu innych, stał przed domem. Ten widok pomógł mu w podjęciu decyzji. Poklepał Brodzkiego po plecach.

– Dziękuję za wiadomość, Natanie. Zajmę się tym.

– Co zrobisz? – zapytał Brodzki.

Anielewicz nie odpowiedział; w przeciwieństwie do Brodzkiego doceniał wszelkie środki bezpieczeństwa. Czego się nie wie, tego się nie wygada. Anielewicz wskoczył na rower i szybko popedałował w stronę domu znajdującego się poza gettem. Zapukał do drzwi. Otworzyła jakaś kobieta.

– Czy mogę skorzystać z telefonu? – zapytał.

– Przepraszam, ale to bardzo pilne.

Kobieta szeroko otworzyła oczy: członkowie organizacji podziemnej bywają zaskoczeni niespodziewanym pojawieniem się innych spiskowców, ale po chwili skinęła głową.

– Tak, oczywiście. Proszę wejść. Telefon jest w saloniku. Anielewicz wiedział, gdzie jest telefon. Zainstalowali go jego ludzie. Zakreślił korbką i czekał na zgłoszenie się operatorki. Kiedy usłyszał głos, powiedział:

– Proszę mnie połączyć z operatorką trzy-dwa-siedem.

– Chwileczkę – po chwili usłyszał.

– Trzy-dwa-jeden, proszę mówić.

– Tak. Tu Icchak Bauer. Muszę zadzwonić do wujka w Satu Mare. To pilne. Operatorka należała do jego grupy. Pseudonim, który podał, oznaczał stan alarmowy. Dziewczyna zrozumiała. Bez chwili wahania odpowiedziała:

– Spróbuję pana połączyć. To trochę potrwa.

– Jak najszybciej, proszę.

W zasięgu ręki stało krzesło. Przysunął je i usiadł. Słuchawkę trzymał przyciśniętą do ucha. Co jakiś czas słyszał dźwięk przełączania i odległe głosy telefonistek. Czas upływał powoli. Gospodyni

przyniosła mu filiżankę zbożowej kawy. Dawno już przyzwyczał się do namiastek, a poza tym, napój był gorący. Jeśli szybko nie uzyska połączenia, to niepotrzebnie dzwonił. Jaszczury zdążą już zbombardować Ploesti i odlecieć. Ile czasu zajmie uzbrajanie ich samolotów, zastanawiał się. To była największa zagadka. Lot stąd do miejscowości położonej niedaleko na północ od Bukaresztu nie potrwa długo przy szybkości, którą rozwijają samoloty jaszczurów. Znowu usłyszał dźwięk przełączania, odległe głosy, a potem, telefonistka trzy-dwa-siedem powiedziała głosem tak wyraźnym, jakby siedziała mu na kolanach:

– Jest połączenie z Satu Mare, proszę pana. Usłyszał, już mniej wyraźny, głos innej telefonistki.

Mówiła po niemiecku z dziwnym akcentem.

– Proszę mówić, Warszawa. Z kim pan chce rozmawiać?

– Z wujkiem Michaeliem... Michaeliem Spieglem – powiedział Anielewicz.

– Proszę mu powiedzieć, że to jego kuzyn Icchak. Pułkownik-lejtnant Michael Spiegel, jak mu powiedziano, dowodził hitlerowskim garnizonom w Satu Mare, najbardziej wysuniętym na północ rumuńskim miastem nadal znajdującym się w niemieckich rękach.

– Łączę, proszę czekać – powiedziała telefonistka. Anielewicz wysłuchał następnej serii dźwięków, a wreszcie odgłosu dzwonka telefonicznego. Ktoś podjął słuchawkę. Odezwał się energiczny męski głos:

– Bittel

– Telefonistka powiedziała, kto dzwoni. Nastąpiła dłuższa przerwa, a potem:

– Icchak? To ty? Nie spodziewałem się, że cię usłyszę. Ja też nie spodziewałem się, że do ciebie zadzwonię, ty hitlerowski sukinsynu, pomyślał Anielewicz; czysta niemczyzna Spiegła sprawiła, że zacisnął zęby. Ale przemógł się i powiedział:

– Tak, to ja wujku Michaelu. Dobrze, żebyś wiedział, że nasi przyjaciele chcą kupić od twojej rodziny trochę tłuszczu do smażenia... tyle, ile uda ci się zdobyć. Wiedział, jak kulawy jest ten zaimprovizowany kod. Na szczęście, Spiegel natychmiast zorientował się o co chodzi.

– Będziemy musieli przygotować się na ich przyjęcie – powiedział Niemiec.

– Wiesz, kiedy przyjadą?

– Nie byłbym zdziwiony, gdyby już wyruszyli – odparł Anielewicz.

– Przepraszam, ale właśnie dowiedziałem się o ich planach.

– Takie jest życie. Zrobimy, co będzie w naszej mocy. Heil-do widzenia.

To był koniec rozmowy. Chciał powiedzieć Heil Hitler, pomyślał Anielewicz. Dobrze, cholera, że się w porę powstrzymał na wypadek, gdyby jaszczury podsłuchiwały. Gdy tylko odłożył słuchawkę, kobieta zajrzała do saloniku.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała nerwowo.

– Mam nadzieję, że tak – odparł i dodał.

– Jeśli ma pani krewnych, u których mogłaby pani zamieszkać, to może byłby to dobry pomysł, żeby się do nich przenieść. Szeroko otworzyła błękitne oczy. Kiwnęła ze zrozumieniem głową.

– Zawiadomię męża – powiedziała.

– Teraz lepiej, żeby pan już poszedł.

Anielewicz szybko wyszedł. Nie podobało mu się to, że narażał rodzinę cywilów. Jeszcze mniej podobało mu się, że robił to, aby pomóc hitlerowcom. Mam nadzieję, że postąpiłem słusznie, myślał, gdy wsiadał na rower. Ciekawe, czy kiedykolwiek będę tego pewien. Na ekranie przed oczami Gefrona pojawiły się błyski.

– Wielkie Brzydale na ziemi musiały nas dostrzec – powiedział.

– Podnoszą samoloty, żeby nie dopuścić nas do Ploesti.

Rozwarł szczęki na myśl o absurdalności takiego pomysłu. Obaj piloci potwierdzili, że na ich ekranach też widać tosewickie maszyny.

– Posłali mnóstwo samolotów – zauważył Xarol.

– To paliwo jest dla nich ważne – odparł Gefron.

Wiedzą, że muszą go strzec. Nie wiedzą tylko, że na nic im się to nie zda. Udowodnimy im to. Przyjrzał się dokładnie wektorom szybkości samolotów Wielkich Brzydali. Dwa z nich były to nowe odrzutowce, których zaczęli używać Niemcy. Były dość szybkie i piloci Rasy mieliby z nimi kłopoty, gdyby zostały wyposażone w radary. Ale nie miały radarów; Gefron wiedział, gdzie one są, podczas, gdy one szukały go na ślepo.

– Przejmuję odrzutowce – powiedział do samców.

– Wy dwaj zajmiecie się samolotami śmigłowymi. Straćcie kilka i lećcie dalej. Nie mamy czasu na zabawę z nimi.

Wybrał cele dla swoich rakiet i podał dane komputerowi. Kiedy dźwięk w słuchawkach potwierdził, że cel został namierzony, nacisnął guzik odpalający. Myśliwiec podskoczył lekko, w chwili, kiedy umocowane do końców jego skrzydeł rakiety wystartowały. Jeden z odrzutowców nawet nie wiedział, co go uderzyło. Gefron przyglądał się za pośrednictwem elektronicznych oczu swojej maszyny, jak myśliwiec wroga zostaje zmieciony z nieboskłonu. Drugi tosewicki pilot musiał spostrzec przeznaczoną dla niego raketę. Starał się zrobić unik, ale jego samolot był na to zbyt powolny. Został również strącony. Skrzydłowi Gefrona oddali salwę z wszystkich rakiet do samolotów Deutsche. Myśliwce przeleciały przez dziurę, którą salwa wyrwała w formacji. Rolvar i Xarol krzyczeli w upojeniu. Nie widzieli tak zmasowanych sił wroga odkąd wojna się zaczęła. Gefron też był zadowolony, ale trochę się niepokoił. Piloci Wielkich Brzydali nie rozproszyli się; starali się przegrupować lecąc w ślad za nimi. W czasie lotu powrotnego tylko on będzie miał rakiety. To nie powinno mieć znaczenia, powiedział do siebie Gefron. Gdybyśmy nie mogli się przedostać dzięki naszej szybkości, wysokości, radarowi i działku nie zasługivalibyśmy na opanowanie tej planety.

– Niemniej, była to jeszcze jedna rzecz, o którą musiał się martwić. Przyjrzał się ekranowi radaru.

– Zbliżamy się do celu – oznajmił.

– Pamiętajcie, że Deutsche zbudowali sztuczny cel na północ od prawdziwych instalacji. Jeśli zbombardujecie go przez pomyłkę, to przyrzekam wam, że nigdy nie wsadzicie waszych ogoniastych tyłków do maszyn. Właściwe Ploesti leżało w małej dolinie.

Gefron widział je na swoim radarze. Spojrzał przez szyby kabiny, gotów, by namierzyć rafinerię promieniem lasera naprowadzającego bomby. Ale zamiast wież wiertniczych i rafinerii ropy oraz wielkich przysadzistych zbiorników, w których gromadzono oczyszczony produkt, zobaczył rozszerzającą się, grubą chmurę szaro-czarnego dymu. Syknął. Deutsche byli przebiegli. Jego samcy skrzydłowi dostrzegli problem równocześnie.

– Co mamy teraz robić? – zapytał Rolvar.

– Jak mamy namierzyć cel przez całe to świństwo? Gefron chciał już odwołać misję i wracać do bazy. Ale był przecież dowódcą. Gdyby coś poszło źle, wina spadłaby na niego.

– Rzucamy bomby mimo wszystko – oznajmił.

– Zadamy im straty bez względu na to, co kryje się pod tym dymem.

– Jasne – potwierdził Xarol.

Kontynuowali lot. Gefron przełączył się na celownik laserowy z nadzieją, że pozwoli mu to przeniknąć chmurę. Miał też nadzieję, że znajdzie jakąś lukę w powłoce dymu. Nic z tego. Zamiast

ciągłego dźwięku, który pragnął usłyszeć, w słuchawkach rozlegał się przerywany pisk systemu. Aparatura namierzająca nie mogła znaleźć celu. Artyleria przeciwlotnicza ustawiona wokół wież wiertniczych i rafinerii otworzyła ogień ze wszystkich dział. Coraz więcej dymu zasnuwało niebo. Tym razem były to obłoczki dymu koncentrujące się wokół, ale zwłaszcza za myśliwcami: Wielkie Brzydale przy działach nie były w stanie nadążyć za myśliwcami Rasy. Ale mimo wszystko, pokaz siły ognia był imponujący. Wybuchy następowały jeden za drugim. Gefron odniósł wrażenie, że mógłby wysiąść z samolotu i przejść się po nich. Kilka razy usłyszał ostry grzechot, jakby żwiru rzucanego na blachę. Były to odłamki pocisków przeciwlotniczych, które dziurawiły kadłub i skrzydła jego samolotu. Niespokojnie sprawdził wskaźniki. Na szczęście nie zapalało się żadne światełko ostrzegające o awarii. Deutsche bronili Ploesti w każdy dostępny im sposób. Nad chmurami dymu żeglowały balony przymocowane do solidnych lin, które mogły zniszczyć samolot, gdyby na nie wleciał. Spod warstwy dymu odzywało się coraz więcej dział. Nie mieli radaru, nie mogli widzieć celu, ale ślali w niebo tony metalu.

– Czy któryś ma zamiar laserowy? – zapytał z nadzieją Gefron. Oba samce skrzydłowe zaprzeczyły. Gefron westchnął. Nie osiągnie rezultatów, na jakie mieli nadzieję jego zwierzchnicy.

– Przystąpić do bombardowania wizualnego.

– Tak jest, dowódcu – powiedzieli chórem Xarol i Rolvar.

Lecieli nad kłębiącym się dymem. Gefron położył pazur na guziku zwalniającym bomby. Myśliwiec-niszczyciel stracił na wadze i zyskał na prędkości, kiedy pozbył się ładunku.

– Zadaliśmy im straty, na duchy zmarłych cesarzy! – powiedział Xarol w uniesieniu.

Samiec skrzydłowy miał rację. Nagle, nowe kłęby czarnego, tłustego dymu wypłynęły nad powłokę rozpościerającą się nad Ploesti. Przez stare i nowe warstwy dymu Gefron dojrzał pomarańczowe kule ognia rozkwitające jak ogromne, straszliwe kwiaty.

– Wielkie Brzydale długo będą to naprawiały – powiedział uradowany. Nadał przez radio raport o odniesionym sukcesie i przeszedł na łączność między samolotami.

– Teraz wracamy do domu.

– Jakbyśmy mieli prawdziwy dom na tej zimnej kuli błota – powiedział Rolvar.

– Niektóre jej części, te położone bardziej na południe, mogą być całkiem przyjemne – odparł Gefron.

A nawet w tutejszych okolicach nie jest tak źle latem. Obecne warunki są zupełnie czymś innym. Zapewniam was, że zamarznęta woda jest dla mnie równie odpychająca jak dla każdego normalnego samca. Położył myśliwca na kurs powrotny. W tym momencie jego radar wychwycił samoloty Wielkich Brzydali; te same, które próbowały powstrzymać ich na drodze do rafinerii. Nie leciały bezpośrednio za myśliwcami-niszczycielami, lecz kręciły się w okolicach ich prawdopodobnej drogi powrotnej i starały się zyskać wysokość, podczas gdy Gefron z samcami skrzydłowymi bombardowali Ploesti. Gefron nie miałby nic przeciwko temu, żeby przemknąć się niepostrzeżenie, ale jeden z Wielkich Brzydali dostrzegł samoloty Rasy. Ci Tosewici nie mieli, co prawda, radarów, ale mieli radia. Jeden coś powiedział, a inni natychmiast się o tym dowiadywali. Ich samoloty zaczęły atak. Odległość zmniejszała się zastraszająco szybko. Wielkie Brzydale miały nieporównywalnie gorsze maszyny, ale latały odważnie i po mistrzowsku. Zmierzały prosto ku Gefronowi i jego skrzydłowemu. Dowódca wystrzelił swoją przedostatnią raketę, a w chwilę potem, ostatnią. Dwa tosewickie samoloty zamieniły się w kule ognia. Pozostałe nadal leciały w ich stronę. Gefron zobaczył na ekranie, jak spada w płomieniach następny samolot wroga, a później jeszcze jeden. Rolvar i Xarol umieli używać swoich działek. Ale Wielkie Brzydale także strzelały. Gefron widział przez szyby kabiny jak z luf ich działek wydobywa się bładny płomień. Zwrócił dziób swego

samolotu w kierunku najbliższego Wielkiego Brzydala i oddał krótką serię. Z silnika maszyny wroga zaczął wydostawać się dym; samolot spadał. Nagle znaleźli się po drugiej stronie tosewickiej hordy. Gefron odetchnął z ulgą: Wielkie Brzydale nie miały szans na pościg. Włączył radio:

– Wszystko w porządku, skrzydłowi samcy?

– Wszystko w porządku, dowódco – odparł Rolvar. Ale Xarol powiedział:

– Nie wszystko, panie zwierzchniku. Dostałem kilka trafień, kiedy przelatywaliśmy przez szyk Wielkich Brzydali. Straciłem napięcie w niektórych układach sterowania, obniża się ciśnienie hydrauliczne w układach pomocniczych. Nie jestem pewny, czy zdołam dolecieć do bazy.

– Obejrzę to.

Gefron zyskał wysokość i wytracił szybkość. Przepuścił Karola przed siebie. To, co zobaczył, sprawiło, że syknął z przerażenia: cześć ogona myśliwca-niszczyciela została odstrzelona, a po prawej stronie kadłuba i na prawym skrzydle widniały dwie linie przerażająco wielkich dziur.

– To nie jest tylko kilka trafień; porąbali cię na kawałki. Możesz dalej lecieć?

– Przez jakiś czas tak, panie zwierzchniku, ale coraz trudniej jest mi utrzymać wysokość.

– Rób, co możesz. Jeśli uda ci się wylądować na jednym z naszych lotnisk, to będzie można naprawić twój myśliwiec zamiast spisywać go na straty.

– Rozumiem, panie zwierzchniku.

Rasa straciła na Tosev 3 więcej sprzętu niż przewidywały to najbardziej nawet pesymistyczne szacunki. Utrzymanie na chodzie tego, co działało, stawało się z dnia na dzień coraz ważniejsze. Ale Xarol nie miał jednak szczęścia; udało mu się jedynie utrzymać maszynę w powietrzu dopóki nie osiągnął terytorium kontrolowanego przez Rasę.

– Żałuję, panie zwierzchniku, ale nie mam wyboru. Muszę opuścić samolot – powiedział Xarol.

W chwilę potem błękitno biała eksplozja zaznaczyła miejsce, w którym maszyna runęła na ziemię. Gefron przesłał wiadomość o kłopotach swego samca skrzydłowego na najbliższe lotnisko. Kiedy wylądował w Warszawie, dowiedział się, że jego podwładny katapultował się bezpiecznie i został uratowany. To go ucieszyło, ale w co wsiądzie Xarol, kiedy znów powinien odbyć lot bojowy? W Naperville słychać było grzechot karabinów. Mutt Daniels przykucnął w rowie strzeleckim przed ruinami Preemption House. Co chwila, kiedy ogień przygasał, wystawiał swojego tomigana nad obrzeże rowu i oddawał krótką serię w kierunku jaszczurów. Potem znów przykucnął.

– Coś spokojnie dzisiaj, prawda, sierżancie? – stwierdził Kevin Donlan w chwili, gdy po takiej właśnie krótkiej serii kosmici odpowiedzieli burzą ognia. Najbardziej wysunięte posterunki najeźdźców były odległe zaledwie o kilkaset metrów. Mutt wcisnął twarz w ścianę okopu. Kule świsnęły mu tuż nad głową.

– Ty to nazywasz spokojem? – powiedział, sądząc, że trochę ironii ochłodzi smarkacza. Ale Donlan nie dał się speszyć.

– Tak, sierżancie, tak to nazywam. A bo co, czy nie jest tak? Teraz mamy tylko ogień karabinowy. I to przez cały dzień. Całkiem długo. Powiem ci, że wcale nie tęsknię za ostrzałem artyleryjskim.

– Ja także. Karabiny też są groźne, ale zabija tamto.

Daniels przerwał i odtworzył w pamięci przebieg dzisiejszych walk.

– Wiesz co, ty masz rację. Nawet nie zauważyłem zmiany. Niewiele dziś narozrabiali tymi swoimi wielgachnymi armatami, co?

– Pewnie. Ale co to może znaczyć?

– Nie mam pojęcia.

Mutt żałował, że nie ma papierosa, prymki do zucia, albo chociaż fajki.

– Wcale mi tego nie brakuje, że nie walą w nas z dział. Ale dlaczego tak jest... synu, nie mam zielonego pojęcia. Im więcej o tym myślał, tym bardziej go to niepokoiło. Jaszczury nie przeważały liczebnie; ich siłą zawsze była artyleria, czołgi i działa samobieżne. Jeśli je wycofali...

– Może nasza ofensywa naprawdę ich przycisnęła i musieli się wycofać – próbował domyślić się Donlan.

– Możliwe

Daniels nadal nie był o tym przekonany. Odkąd najeźdźcy ostrzelali pociąg, ciągle brał udział w wycofywaniu się z pozycji. Drażniła go myśl, że inne oddziały mogły iść do przodu; to było tak, jakby nie zrobił niczego, co było warte uwagi. Ani on, ani sierżant Schneider, najlepszy żołnierz, który kiedykolwiek żył. Nie mógł w to uwierzyć. Za jego plecami, gdzieś od strony Chicago zaczęła strzelać amerykańska artyleria. Kładła ogień zaporowy na pozycje jaszczurów. Była to dziwna, jakby niepoważna, strzelanina. Pociski padały to tu, to tam. W niczym nie przypominała tego deszczu pocisków, który towarzyszył walkom we Francji. Jeśli działo nie zmieniało pozycji po oddaniu dwóch, trzech strzałów, jaszczury namierzały je i niszczyły. Mutt nie wiedział, jak to robią, ale domyślał się, że nie mają z tym problemów. Widział już zbyt wielu martwych artylerzystów i zniszczonych armat, żeby budziło to jakiegokolwiek wątpliwości. Czekał, aż rozpocznie się w odwecie ich ogień. Z samozachowawczym egoizmem, który po krótkim czasie cechuje większość żołnierzy, wolałby, żeby jaszczury ostrzeliwały pozycje położone o wiele kilometrów za nim, niż żeby zrzucały swoje „upominki” do jego rowu. Amerykańskie pociski nadal padały na pozycje jaszczurów. Kiedy przez pół godziny nie było odpowiedzi, Daniels stwierdził:

– Wiesz co, chłopcze, ty chyba miałeś rację. Cholernie przyjemnie jest poczuć, że im się dokłada, a samemu się nie dostaje, co?

– Jasne, że tak, sierżancie. Do ich rowu podbiegł ciężkim krokiem łącznik.

– Sierżancie, żołnierzu, nastawcie zegarki – powiedział.

– Uderzamy na nich – spojrzał na swój zegarek – za dziewiętnaście minut. Pobiegnął dalej rowem, ku następnej grupie ludzi.

– Masz zegarek? – zapytał Donlan.

– Tak – odparł Mutt roztargnionym głosem. Uderzać na jaszczury! Nie słyszał takiego rozkazu od Shabbony, o pół stanu stąd. Tam była klęska. Ale tym razem..

– Może rzeczywiście dajemy im łupnia. Cholera, mam nadzieję, że tak właśnie jest.

Osobistym samochodem generała Pattona był wielki i niezgrabny dodge, wóz dowódczy i rozpoznawczy, jeden z tych, które nazywano dżipami, zanim mały kwadratowy willys nie przejął od nich tej nazwy. Wóz Pattona miał zamontowany karabin maszynowy kalibru 12,7 mm. Pozwalało to generałowi zarówno strzelać jak i dowodzić. Jensowi Larssenowi, który właśnie jadł suchary na tylnym siedzeniu i starał się nie rzucać się w oczy, karabin wydawał się zbyt ciężki. Ale nikt nie pytał fizyka o zdanie. O ile zdążył zauważyć, w wojsku nikt nikogo nie pyta o zdanie. Albo wydajesz rozkazy, albo idziesz i robisz co ci kazano. Patton odwrócił się do niego i powiedział:

– Żałuję, że rzucono pana na linię frontu, doktorze Larssen. Jest pan zbyt cenny dla kraju, żeby tak brawurowo narażać pańskie życie.

– W porządku – odparł Larssen.

– Przeżyłem to.

– Jakoś – dodał do siebie.

– Przy okazji, gdzie my właściwie jesteśmy?

– Widzi pan tamto małe wzgórze, to, na którym stoi ten biały budynek? – zapytał Patton wskazując przez okno dodge'a. Na płaskiej prerii środkowego Illinois, każde wzniesienie, choćby

małeńkie, natychmiast rzuciło się w oczy.

– Ten budynek to zarząd państwowych ubezpieczeń rolnych, a to miasto – przerwał, żeby uzyskać dramatyczny efekt – to miasto, doktorze Larssen, nazywa się Bloomington.

– Nasz cel.

Larssen miał nadzieję, że zdziwienie w jego głosie nie obrazi generała. Jaszczury zdawały się być nieomal niezwyciężone odkąd przybyły na Ziemię. Jens nie miał odwagi, by uwierzyć w to, że Patton nie tylko dokona przełomu i wykorzysta go następnie do natarcia.

– Nasz cel – zgodził się z dumą Patton. Jakby odpowiadając na pytanie nurtujące Jensa, dodał

– Kiedy już przebiliśmy ich pancierz, okazało się, że pod spodem jest pusto. Bez wątpienia byliśmy pełni obaw, atakując tak strasznego przeciwnika. Ale oni sami byli bardziej przerażeni, proszę pana. Między innymi dlatego, że to oni zostali zaatakowani.

Z zamontowanego z tyłu radia dobiegł pisk. Patton chwycił słuchawki i mikrofon. Słuchał przez jakąś minutę i łagodnie powiedział jedno słowo:

– Wyśmienicie.

– Schował oprzyrządowanie radiowe i zwrócił się do Larssena.

– Nasi zwiadowcy spotkali się z wysuniętymi oddziałami armii generała Bradleya na północ od Bloomington. Teraz siły, które nacierały na Chicago, zostały przez nas otoczone stalowym pierścieniem.

– To... wspaniale – powiedział Larssen. Ale czy nie wymkną się z pułapki?

– Uzasadnione pytanie – odparł Patton.

– Wkrótce się dowiemy; z raportów wynika, że broń pancerna, której używali jako szpicy w natarciu na Chicago, użyta została teraz na innym kierunku.

– Zmierzają w naszą stronę?

Jens poczuł strach, ten sam, który towarzyszył mu, kiedy brał udział w niszczeniu czołgu jaszczurów. Widział, co ten potwór robił z amerykańskimi czołgami, pamiętał te wraki wozów bojowych zalegające pokryte śniegiem równiny Indiany i Ulinois. Jeśli w ich kierunku zmierza większa liczba takich czołgów, to jak Druga Pancerna zdoła je zatrzymać?

– Rozumiem pańskie zaniepokojenie, doktorze Larssen – powiedział Patton.

– Ale aktywna walka połączona ze strategiczną obroną pozwoli zadać im ciężkie straty. Pododdziały piechoty odpalające z zasadzki rakiety przeciwpancerne są dla nich wyzwaniem, którego wcześniej nie doświadczyli.

– Mam taką nadzieję – rzekł Larssen.

– Jeśli nadchodzą od strony Chicago, panie generale, to kiedy będę mógł wybrać się do miasta, żeby sprawdzić, co się dzieje z Laboratorium Metalurgicznym?

– A co ważniejsze, co się dzieje z Barbarą, pomyślał. Ale zdążył się już nauczyć, że od Pattona można się wiele dowiedzieć, jeśli nie wspomina się o sprawach osobistych.

– Oczywiście, jak tylko zniszczymy siły pancerne jaszczurów – odpowiedział z pełnym przekonaniem Patton.

– Zrobimy im to, co Rommel robił co pewien czas Brytyjczykom na pustyni: zmusimy ich do ataku wzdłuż naszych linii ogniowych. I nie tylko to; nasze siły wysunięte dalej na wschód przeszły już do natarcia i wyrzucają ich z Chicago. To będzie rzeź. Ale czyja, pomyślał Jens.

Czołgi jaszczurów to nie powolne, prymitywne, często psujące się maszyny, których używali Anglicy. Czy jakkolwiek obrona powstrzyma je, kiedy będą usiłowali dotrzeć do celu? Jakby dla podkreślenia jego niepokoju, o prawie kilometr przed nimi pojawił się nad ziemią helikopter jaszczurów. Wystrzelił raketę, która unicestwiła amerykański pojazd półgąsienicowy wraz z

wszystkimi pasażerami. Patton zaklął i zaczął strzelać ze swego ciężkiego karabinu maszynowego. Hałas był ogłuszający. Było to tak, jakby stało się obok młota pneumatycznego. Pociski smugowe wskazywały, że generał strzelał celnie, ale mocna maszyna nie reagowała na to. Nagle, musiał ją trafić pocisk większego kalibru. Helikopter zakołysał się niezgrabnie w powietrzu; Patton mało nie odstrzelił ucha swemu kierowcy, starając się utrzymać maszynę na celowniku. Helikopter pospiesznie odleciał na zachód, gdzie jaszczury ciągle jeszcze utrzymywały zajęte tereny. I wtedy trafił go jeszcze jeden pocisk. Być może helikopter stał się celem nie tylko dla pocisków wystrzeliwanych przez Pattona, lecz również dla innych Amerykanów znajdujących się w polu widzenia; pilot jaszczurów mógł też, uciekając pod silnym ostrzałem, popełnić po prostu jakiś błąd. Rotor śmigłowca ściał drzewo. Maszyna przekoziółkowała i uderzyła o ziemię. Patton wydał dziki okrzyk. Tak samo Jens i kierowca dżipa. Generał poklepał Jensa po ramieniu:

– Widzi pan, doktorze Larssen? Widzi pan? – krzyczał.

– Nie są niezwykłeni. Ani trochę.

– Prawda, nie są – przyznał Jens.

Ale czołgi jaszczurów miały większą siłę ognia i grubszy pancerz niż śmigłowce. Może i nie były niezwykłe, ale zanim zaczęto stosować tę zwariowaną bazookę, wydawało się, że jest inaczej. Nawet rakietą nie mogła ich zniszczyć przy frontalnym uderzeniu, lecz tylko wtedy, kiedy trafiała w lżej opancerzony przedział silnikowy.

– Tak jest Larssen. Już niedługo będzie pan mógł wybrać się do Chicago jako zdobywca – grzmiał Patton.

– Jak ma pan już coś zrobić, to na Boga, niech pan to robi w dobrym stylu!

Jensa nic nie obchodził dobry styl. Z chęcią poszedłby do Chicago niekoniecznie jako zwycięzca, gdyby tylko można było się przedostać do miasta. A jeśli Patton będzie koniecznie chciał go dłużej przetrzymać, to dotrze do Chicago na własną rękę. Dlaczego nie? – pomyślał. Przecież nie jestem żołnierzem. Atvar podkręcając gałkę powiększył mapę sytuacyjną. Ruchy wojsk Rasy oznaczone były czerwonymi strzałkami; ruchy Wielkich Brzydali – białymi, niezbyt wyraźnymi, co odzwierciedlało niepewne rozpoznanie. Pan floty zasyczał z niezadowolenia.

– Nie wiem, czy uda nam się wyrwać stąd nasze wojska. Kirel także patrzył na mapę.

– Czy to jest ta kieszeń, w której Tosewici z mniejszej masy kontynentalnej zamknęli nasze oddziały uderzeniowe, dostojny panie floty?

– Tak – powiedział Atvar.

– Dali nam tutaj nauczkę: nigdy nie należy tak bardzo koncentrować się na celu ataku i zaniedbywać flanki.

– Istotnie.

Kirel skierował jedno oko na mapę, a drugie na Atvara.

– Wybacz, dostojny panie floty, ale nie sądziłem, że będziesz taki, hm... zadowolony, mimo naszej porażki w, hm... nie-cesarstwie zwanym Stany Zjednoczone.

– Nie zrozumiałeś mnie, panie statku – odparł ostro Atvar. Kirel przepaszająco spuścił wzrok.

– Nie podoba mi się, kiedy widzę, jak Wielkie Brzydale zadają straty naszym dzielnym samcom. Co więcej, nadal mam nadzieję, że uda nam się wielu z nich wydostać. Jak tylko skończy się ta okropna pogoda, działania naszych samolotów otworzą korytarz, przez który przeprowadzimy odwrót. Gdyby to się nie udało, mamy jeszcze krążowniki lądowe.

– Straty krążowników w czasie tych działań były wyjątkowo duże.

– Wiem.

Ta myśl sprawiała ból Atvarowi; bez tych krążowników jego siły naziemne będą miały znacznie

więcej kłopotów z przeprowadzaniem niezbędnych działań.

– Wielkie Brzydale znowu wymyśliły coś nowego.

– Tak.

Kirel wypowiedział to z niesmakiem, przeklinając w duchu Tosewitów za ich pomysłowość. Rasa miała wiele do tego powodów; gdyby Wielkie Brzydale były mniej pomysłowe, Tosev 3 dawno już zostałby wcielony do cesarstwa.

– I jak to bywa z większością ich wynalazków – stwierdził Atvar – potrzebny nam będzie czas, żeby opracować odpowiednie środki zapobiegawcze.

– A kiedy będziemy je mieli, to Wielkie Brzydale wynajdą nową broń, pomyślał. Kontynuował myśl na głos.

– A jednak. Jeśli weźmiemy pod uwagę, jak różny jest ten świat od tego, co ukazały nam sondy, powinniśmy uważać się za szczęśliwców, że Tosewici nie przytrząskują nam częściej ogonów.

– Jak uważasz, panie floty.

– Ale Kirel nie wyglądał na przekonanego. Atvar rozwarł szczęki.

– Na wypadek, gdybyś miał wątpliwości, panie statku, to nie zacząłem lizać imbiru i nie doznaję szaleńczej pewności siebie, w którą wprawia ten narkotyk. Mam powód, żeby być zadowolony, jak to określiłeś. Patrz.

Nacisnął szponem guzik. Z ekranu zniknęła mapa sytuacyjna i zastąpił ją film nakręcony kamerą pokładową myśliwca-niszczyciela. Bomby spadały w kłębiący się dym. W chwilę później wykwitły kule ognia i pojawiło się więcej dymu. Nastąpiła nagła zmiana ujęcia, kiedy myśliwiec-niszczyciel dokonał uniku, by ująć desperackim próbom zestrzelenia go przez tosewicką artylerię przeciwlotniczą.

– To jest, panie statku pożar tosewickiej rafinerii ropy naftowej – oświadczył Atvar.

– Tak się składa, że ten zakład zaopatruje Deutschland, ale w ostatnich dniach dokonaliśmy również uderzeń na kilka innych. Jeśli dalej będziemy postępować według tego wzorca, kłopoty, jakie mieliśmy w okolicach tego miasta, zwanego Chicago, wkrótce zmaleją i okażą się nieistotne wobec osiągnięcia, jakim będzie pozbawienie Tosewitów paliwa.

– Ile procent wynoszą zniszczenia w stosunku do ogólnej zdolności produkcyjnej tego zakładu?

– zapytał Kirel. Atvar jeszcze raz puścił taśmę. Z zadowoleniem patrzył, jak składy paliwa nieprzyjaciela poszły z dymem.

– Czy te obrazy nie mówią same za siebie? Nad tym, hm... Ploesti nadal kłębi się dym. To znaczy, że Tosewici nie ugasili jeszcze wznieconych przez nas pożarów.

– Ale tam był dym jeszcze przed nalotem – upierał się Kirel.

– Czy to aby nie jest część stałego kamuflażu stosowanego przez Tosewitów?

– Zdjęcia w podczerwieni wskazują na coś innego – powiedział Atvar.

– Niektóre z gorących plam ciągle utrzymują się w miejscach, gdzie nasze myśliwce-niszczyciele wznieciły pożary.

– To pomyślna wiadomość – przyznał Kirel.

– To najlepsza z możliwych wiadomości, a w innych rafineriach jest podobnie – powiedział pan floty.

– Są bardziej podatne na zniszczenie niż myślałem, kiedy planowałem serię nalotów. Do tej pory w wojnie o Tosev 3 istniała równowaga, ale teraz przechyliliśmy zdecydowanie szalę zwycięstwa na naszą korzyść.

– Oby tak było.

Ostrożny, jak zwykle, Kirel nie akceptował nowin, dopóki nie zostały w pełni potwierdzone.

– Od tego zależy przyszłość Rasy. Za nami leżą statki kolonizacyjne.

– Lecą.

Atvar jeszcze raz puścił film z płonącą rafinerią.

– Na cesarza, musimy być gotowi na ich przyjęcie.

Obaj oficerowie opuścili wzrok na znak szacunku dla suwerena. Georg Patton skierował lufę karabinu maszynowego do góry i nacisnął spust. Kaem hałasował, a generał krzyczał tak głośno, jakby chciał zagłuszyć terkot broni. Po kilku sekundach przestał strzelać i odwrócił się do Jensa Larssena. Szturchnął fizyka pięścią i zawołał na cały głos:

– Udało nam się, na Boga! Zatrzymaliśmy tych sukinsynów.

– Naprawdę nam się udało?

Larssen wiedział, że mówi raczej tonem wyrażającym zdumienie niż radość, ale nie mógł się od tego powstrzymać. To właśnie czuł. Patton nie zdenerwował się; Jens pomyślał, że tego ranka nic nie zdoła wyprowadzić generała z równowagi.

– To największe zwycięstwo w wojnie z jaszczurami – powiedział.

Także pierwsze i jedyne, jak dotąd, zwycięstwo w walce przeciwko kosmicznym najeźdźcom, pomyślał Jens, ale nie chciał drażnić generała.

– Teraz, skoro już wiemy, że to możliwe, będziemy stale odnosić zwycięstwa – dodał Patton.

Generał wyglądał, jakby zszedł z plakatu werbunkowego. Policzki miał, jak zwykle, gładko wygolone, mundur czysty, buty wyczyszczone do połysku. Pachniał mydłem i płynem po goleniu. Jak mu się to udawało w trakcie kampanii, tego Larssen nie był w stanie pojąć. On sam miał brodę jak szczotka ryżowa, jego płaszcz był cały w plamach, buty brudne, a sznurowadła pozrywane. Patton uważał, że schludny żołnierz ma lepsze morale. Ale zwycięstwo znacznie wyżej podniosło morale niż estetyczny wygląd.

– Cholerna szkoda, że niektórym jaszczurom udało się wymknąć – powiedział Jens.

– Doprawdy, szkoda – zgodził się Patton.

– Tłumaczę jednak sobie, że perfekcja jest atrybutem należnym tylko Bogu. Tym łatwiej jest mi się pocieszyć, że załataliśmy tak szybko wyłom, uczyniony przez czołgi. Tylko niewielu piechurom udało się uciec w ślad za nimi.

Wskazał na wypalony czołg jaszczurów, stojący nie opodal.

– A większość ich pojazdów pancernych skończyła w ten sposób.

Larssen przypomniał sobie rozwalone lee i shermany przed czołgiem jaszczurów, na który zapolował wraz z innymi żołnierzami.

– Wiele naszych też tak skończyło. Czy zna pan proporcje?

– Około tuzina do jednego – odparł beztrąsko Patton.

Jens z przerażenia otworzył usta; nie sądził, że te krwawe rachunki są tak wysokie. Patton uniósł rękę.

– Zanim pan będzie czynić mi wymówki, doktorze Larssen, pozwolę sobie przypomnieć, że to najlepsza proporcja, jaką uzyskaliśmy w walce z jaszczurami. Jeśli się utrzyma, to ostateczne zwycięstwo będzie należało do nas.

– Ale...

– W czołgu jaszczurów siedziała trzyosobowa załoga, w shermanie było pięciu ludzi, a w lee sześciu. Pod tym względem proporcja strat była znacznie większa – przypomniał generałowi Jens.

– Wiem, wiem – przerwał mu Patton.

– My ciągle jednak produkujemy czołgi, a o ile wiem, jaszczury nie mogą uzupełnić swoich strat. To samo dotyczy załóg: my możemy zawsze wyszkolić nowe; oni tego nie mogą.

Dwóch ludzi z naszymi sierżantów wojsk technicznych wdrapało się na wrak czołgu jaszczurów. Jeden z nich zajrzał do środka przez otwarty właz. Zawołał swego towarzysza, który też się wgramolił, żeby popatrzeć. Patton uśmiechnął się do nich promiennie.

– Widzi pan, za każdym razem, jak badamy ich sprzęt, uczymy się czegoś nowego o tym, jak ich pokonać. Coś panu powiem, doktorze Larssen. Przechyliliśmy szalę zwycięstwa na naszą korzyść.

– Oby pan miał rację.

Jens postanowił kuć żelazo póki gorące:

– Skoro wygraliśmy tę bitwę, panie generale, czy mógłbym wreszcie dostać pozwolenie na wyjazd do Chicago, żeby zobaczyć, co się stało z Laboratorium Metalurgicznym? Generał zmarszczył czoło; wyglądał jak pokerzysta zastanawiający się, czy wejść do puli. W końcu powiedział:

– Nie mam racjonalnych powodów, żeby panu tego zabraniać, doktorze Larssen. I bez wątpienia kraj potrzebuje pańskiej obecności przy tym projekcie. Nie powiedziałby, czym Laboratorium Metalurgiczne się zajmuje nawet przy własnym kierowcy. Środki bezpieczeństwa, pomyślał Jens. Patton dokończył myśl – chcę też panu podziękować za cierpliwość, z jaką zniósł pan pobyt z nami. Larssen skłonił się uprzejmie, chociaż wydawało mu się, że generał nieco przesadził. Przynajmniej z jego punktu widzenia tak to może wyglądało.

– Dam panu eskortę, która doprowadzi pana do miasta – powiedział Patton.

– Na terytorium, po którym będzie się pan poruszał, pozostały punkty oporu jaszczurów.

– Panie generale, jeśli nie robi to panu różnicy, to chciałbym zrezygnować z tego zaszczytu – odparł Larssen.

– Podróż z eskortą uczyniłaby ze mnie lepszy cel, niż gdybym był sam. Wolałbym znaleźć gdzieś jakiś rower i pojechać sam.

– Doktorze Larssen, jest pan częścią majątku narodowego, co w pewnej mierze zobowiązuje mnie do dalszej dbałości o pańską pomyślność.

Patton przygryzł dolną wargę.

– Ale może ma pan rację. Kto może wiedzieć, jak to będzie? Czy odmówi pan również pomocy w formie hm., znalezienia gdzieś jakiegoś roweru i wypisania panu listu żelaznego?

– Nie, panie generale – odparł natychmiast Jens.

– Byłbym bardzo wdzięczny za tę formę pomocy.

– Dobrze – Patton uśmiechnął się.

Potem machnął ręką, żeby przyciągnąć uwagę kilku żołnierzy przechodzących niedaleko. Podbiegli, żeby dowiedzieć się, o co mu chodzi. Kiedy powiedział, roześmieli się i rozeszli w różne strony, żeby wykonać polecenie. Czekać na ich powrót, wyciągnął papier listowy – ku zdziwieniu Jensa – ozdobiony dwiema złotymi gwiazdkami i wieczne pióro. Osłonił papier jedną ręką od śniegu, a drugą szybko coś napisał, potem wręczył kartkę Larssenowi.

– Czy to wystarczy? Jens uniósł brwi. To było więcej niż list żelazny: generał nie tylko przykazywał wojsku, żeby żywiło fizyka, ale nieomal przyznawał mu władzę wojskową. Jens nie chciałby znaleźć się w skórze żołnierza, który zignorowałby to, a wiadomość o tym dotarłaby do Pattona. Złożył kartkę i wsadził ją do kieszeni spodni.

– Dziękuję, panie generale. To bardzo wspaniałomyślne z pańskiej strony.

– Dałem panu niezłą szkołę, odkąd pojawił się pan na moim progu. I nie przepraszam za to; konieczność wojskowa ma pierwszeństwo nad prywatnymi potrzebami. Ale teraz naprawiam to, na ile potrafię.

W niecałe pół godziny żołnierze wrócili z kilkoma rowerami do wyboru. Nikt nie mówił, żeby oddał springfielda, więc zatrzymał go sobie. Wsiadł na najbardziej solidny i popedałował na

północny wschód.

– Chicago – mruknął do siebie, kiedy jechał drogą.

Ale uśmiech zadowolenia związany z uwolnieniem się od armii, wkrótce znikł. Przez krainę między Bloomington a Chicago dwukrotnie przechodził front. Po raz pierwszy, kiedy jaszczury nacierały w kierunku jeziora Michigan, a potem, gdy próbowały wyrwać się z okrążenia. Larssen przekonał się osobiście, jak koszmarne jest krajobraz po bitwie. Jedyną rzecz, którą do tej pory wiedział o Pontiac w stanie Illinois, to było powiedzonko „iść do Pontiac”, co znaczyło tyle, że ktoś szedł do więzienia znajdującego się na południowym skraju miasta. Więzienie było teraz po zbombardowaniu ruiną. Wrak amerykańskiego myśliwca leżał tuż przed więzienną bramą. Jedyną jego ocalałą częścią był sterczący pionowo ogon. Był to też zapewne krzyż nagrobny, pod którym spoczywały szczątki pilota. Pozostała część miasta nie wyglądała lepiej. Ślady pocisków karabinu maszynowego pokrywały usmarowane sadzą mury sądu powiatowego. Larssen mało co nie wjechał na pogiętą brązową tablicę leżącą na ulicy. Zatrzymał się, żeby ją przeczytać. Odkrył, że wcześniej była przyśrubowana do wykonanego z głazów cokołu pomnika wodza indiańskiego, którego imieniem nazwano miasto Pontiac. Jens popatrzył na trawnik przed sądem. Cokołu już nie było. Pozostały z niego rozrzucone kamienie. Wyjechał z miasta tak szybko, jak tylko mógł. Często słyszał ogień karabinowy. Na odległość brzmiał on absurdalnie wesoło, jak fajerwerki na 4 Lipca. Ale i tak ogarniał go strach. Te odgłosy znaczyły, że ktoś chce kogoś zabić. Następnego dnia wjechał do Gardner. Krajobraz miasteczka zdominowany był przez hałdy żużlu. Gardner nie było przyjemną miejsciną także i przed wojną. Teraz, gdy przeorały je walki, wyglądało jeszcze gorzej. Ale na jednej z hałd powiewała amerykańska flaga. Kiedy Larssen zobaczył obok niej żołnierzy, postanowił wypróbować działanie listu żelaznego od Pattona. Okazało się doskonałe. Dostał pełną miskę gulaszu, który właśnie jedli i łyk bimbru do popicia, a potem zarzucili go pytaniami o generała. Dowódca plutonu, zmęczony, zwalisty sierżant, którego rzadka siwiejąca czupryna świadczyła o tym, że mógł być weteranem pierwszej wojny, podsumował to, co żołnierze mieli do powiedzenia o Pattonie:

– Cholera, chłopie, fajnie jest popatrzeć sobie, jak ktoś posuwa się do przodu, zamiast się cofać. Myśmy się już za długo wycofywali. Mówił z wyraźnym południowym akcentem i zdaje się, że na imię miał Mutt

– Wiele nas to kosztowało – powiedział cicho Larssen.

– Odwrót w stronę Chicago też nie był tani – powiedział sierżant.

Jens mógł temu tylko przytaknąć. Dotarł do Joliet tuż przed zmrokiem. W mieście było również więzienie. Miało grube mury z piaskowca, wzmocnione przyporami. Leżało w ruinie. Zamieniono je w fortecę, żeby powstrzymać jaszczury, które potem zbombardowały je i ostrzelały ogniem artyleryjskim. Jens zastanawiał się, co się stało z więźniami. Tak, jak to robił w czasie wędrówki przez objęte wojną połacie Stanów, wyszukał sobie na nocleg opuszczony, na wpół zrujnowany dom. Dopiero gdy rozwinął śpiwór, spostrzegł kości rozsiane po podłodze. Wgnieciona czaszka była bez wątpienia ludzka. Przed przybyciem jaszczurów nie zostałyby w takim miejscu ani minuty dłużej. Teraz, po prostu, wrzucił ramionami. Widział już gorsze rzeczy. Znowu pomyślał o więźniach. Upewnił się, czy jego Springfield ma nabój w komorze i czy jest odbezpieczony. Potem położył karabin obok śpiwora. W nocy nikt go nie napadł. Kiedy się obudził, zabezpieczył zamek, ale zostawił nabój. Przed nim leżało Chicago. Dotarcie do miasta zajęło mu więcej czasu niż się spodziewał. Najcięższe, najbardziej uporczywe walki toczyły się na samym skraju przedmieść. Nigdy jeszcze nie widział tak ogromnych zniszczeń i nie musiał się przedzierać przez takie ruiny. Na niektórych odcinkach nie mógł nawet jechać na rowerze. Musiał ciągnąć swój pojazd, co jeszcze

bardziej opóźniało jego wędrówkę. Ludzie grzebali w ruinach. Niektórzy, ci w mundurach, badali zniszczone pojazdy i samoloty jaszczurów albo zbierali wyposażenie armii amerykańskiej. Ci bez mundurów brali to, co im w ręce wpadło. Jens znów odbezpieczył springfielda. Kiedy był już w samym mieście, jazda stała się łatwiejsza. Na ulicach były co prawda rumowiska, ale przynajmniej można było domyślić się, gdzie jest jezdnia. Na niektórych budynkach widniały napisy: „W CZASIE OSTRZAŁU TA STRONA ULICY JEST BEZPIECZNIEJSZA”. Ostrzał musiał być piekielny. Poza gruzami na ulicach byli także cywile. Jens widywał ostatnio przede wszystkim żołnierzy. Kiedy zaczynały się walki, cywile ginęli albo uciekali. W Chicago też dużo zginęło, część uciekła z miasta, ale metropolia liczyła przed wojną trzy miliony mieszkańców, więc wielu też pozostało. Byli chudzi, brudni i obdarci. Wielu miało smutne, przerażone spojrzenie. Bardzo różnili się od tych Amerykanów, do których widoku Larssen był przyzwyczajony. Wyglądali tak samo jak ludzie z ostatnich, które widział, kronik filmowych; ludzie dotknięci przez wojnę. Nigdy się nie spodziewał, że zobaczy coś takiego w Stanach Zjednoczonych. O słup latarni opierała się dziewczyna. Sukienkę miała za krótką na taki chłód. Zakręciła biodrami, kiedy Jens koło niej przejeżdżał. Długo żył w celibacie, ale pojechał dalej; twarz miała twardą i bezlitosną jak stary żołnierz.

– Tani sukinsynu! – ryknęła za nim.

– Zawszony frajerze! Żeby ci zgnił!

Pomyślał, czy klientów traktuje w taki sam sposób. Chyba nie. Murzyni w Bronzeville wyglądali jeszcze gorzej niż biali w innych częściach miasta. Jens czuł na sobie spojrzenia, kiedy jechał ulicą. Był w wojskowym płaszczu i miał karabin, więc kończyło się na spojrzeniach. Kamienica, w której mieszkał z Barbarą, stała na skraju dzielnicy. Skręcił za ostatni róg i zahamował. Przed nim leżała kupa cegieł, dachówek i stłuczonego szkła. Domu nie było. Musiał zostać bezpośrednio trafiony. Dwoje czarnych dzieci grzebało w ruinach. Jedno z nich krzyknęło triumfalnie i wyciągnęło długą, trzydziestocentymetrową deskę. Włożyło ją do worka.

– Wiecie co się stało z panią Larssen? Taką białą panią, która tu mieszkała? – zawołał Jens do dzieci.

Ale dzieciaki po prostu pokręciły głowami.

– Nie słyszeliśmy o niej, psze pana – powiedziało jedno z nich.

Wróciły do szukania opału. Larssen pojechał do kampusu Uniwerstetu Chicagowskiego. Nie mógł znaleźć Barbary, ale personel Laboratorium Metalurgicznego powinien być na miejscu. Może nawet będą wiedzieli, co się stało z jego żoną. Chociaż nie było studentów, uniwersytet nie był w tak opłakanym stanie jak sąsiadujące z nim dzielnice. Może dlatego, że budynki kampusu były rozrzucone na większej przestrzeni. Jens jechał Pięćdziesiątą Ósmą, a potem przez usiane lejami trawniki. Stojący po prawej stronie Swift Hali był wypaloną ruiną; Bóg nie oszczędził wydziału teologicznego. Ale Eckhart Hali, poza powybijanymi szybami, był nienaruszony. Jens był wyczerpany, ale nadzieja sprawiła, że do wejścia podjechał jakby go ktoś gonił. Chciał zostawić rower na zewnątrz, ale po namyśle zabrał go z sobą. Po co kusić złodziei?

– Jest tu kto? – krzyknął na korytarzu.

Odpowiedziało mu tylko echo. Jest już po godzinach pracy, pomyślał, ale nadzieja w nim przygasła. Podszedł do schodów i wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Nie ma znaczenia, że sekretarki poszły do domu. Naukowcy byli tu prawie przez okrągłą dobę. Ale korytarze na piętrze były puste i ciche, laboratoria nie tylko puste, ale również pozbawione sprzętu. W Uniwersytecie Chicagowskim nie było już Laboratorium Metalurgicznego. Wlókł się powoli schodami w dół. Ktoś stał przy jego rowerze. Już zaczął ściągać karabin z pleców, gdy rozpoznał tę postać.

– Andy! – krzyknął.

Siwowłosy woźny odwrócił się zaskoczony.

– Jezus, Maria, to pan, doktorze Larssen. Już myślałem, że nigdy więcej pana nie zobaczę.

– Mnóstwo czasu minęło, odkąd po raz ostatni tu byłem – odparł Jens.

– Gdzie, u diabła, podziało się Laboratorium Metalurgiczne? Woźny nie odpowiedział, tylko pogrzebał w kieszeni na piersiach i wyciągnął stamtąd wymiętą, poplamioną kopertę.

– Pańska żona prosiła, żebym to panu przekazał, jeśli kiedyś pan wróci. Nie bardzo w to wierzyłem, ale pamiętałem o tym. Zawsze jest jakaś szansa...

– Andy, jesteś cudowny.

Jens rozdarł kopertę. Aż krzyknął z zadowolenia, gdy rozpoznał pismo Barbary. Notka była poplamiona i zamazana – prawdopodobnie od potu woźnego – ale treść nadal była czytelna. Larssen potrząsnął głową z rozpaczą. Tyle już przebył mil, tyle przeżył.

– Denver? – powiedział na głos.

– Jak ja mam, do diabła, dotrzeć do Denver? Jego podróż, tak jak wojna, miała potrwać jeszcze długo.

Koniec

Główni bohaterowie powieści (Osoby, których nazwiska napisano dużymi literami, są postaciami historycznymi. Pozostali bohaterowie powieści są fikcyjni.)

Ludzie Aloysius, internowany w miejscowości Fiat, Indiana
ANIELEWICZ MORDECHAJ, przywódca powstania w getcie warszawskim
Arenwald Michael, inżynier, batalion ciężkiej artylerii,
Dora Bagnall George, inżynier pokładowy w załodze bombowca RAF
Bauer Klaus, działonowy w czołgu Heinricha Jagera
Becker Karl, inżynier, batalion ciężkiej artylerii,
Dora Bell Douglas, celowniczy-bombardier w załodze bombowca RAF
BÓR-KOMOROWSKI TADEUSZ, generał, dowódca Armii Krajowej
Brodzki Natan, żydowski robotnik na warszawskim lotnisku
dr Burkett, profesor biologii w Uniwersytecie Chicagowskim
Chase Otto, robotnik cementowni w Dixon, Illinois
CHURCHILL WINSTON, premier Wielkiej Brytanii Collins, pułkownik Armii Stanów
Zjednoczonych
COMPTON ARTHUR, kierownik Laboratorium Metalurgicznego Uniwersytetu Chicagowskiego
Daniels Pete, „Mutt”, menażer, „Decatur Commodores” (III liga)
Daphne, kelnerka w oberży „White Horse”, Dover, Wielka Brytania
Dawid, dziecko bojowca z getta warszawskiego
Doi, pułkownik, Japończyk przesłuchujący Teertsą
Donlan Kevin, szeregowiec Armii Stanów Zjednoczonych w Naperville, Illinois
Embry Ken, pilot bombowca RAF
FERMI ENRICO, fizyk jądrowy w Laboratorium Metalurgicznym Uniwersytetu Chicagowskiego
Finkelstein Sam, lekarz
Fiore Bobby, zawodnik drużyny baseballowej „Decatur Commodores” (m liga)
Fuchs Stefan, ładowniczy w czołgu Heinricha Jagera
Goldfarb David, żołnierz z obsługi radaru RAF w Dover, Wielka Brytania
Gorbunova Ludmiła, pilotka Armii Czerwonej
Gordon, internowany w miejscowości Fiat, Indiana Groves Leslie, pułkownik Armii Stanów
Zjednoczonych
HITLER ADOLF, dyktator III Rzeszy, przywódca (Führer) i twórca nazizmu
Hócker Maumilian, pułkownik-lejtnant armii niemieckiej w Paryżu
HULL CORDELL, sekretarz stanu 1933-44 Stanów Zjednoczonych
Jacobi Nathan, spiker BBC
Jager Heinrich, major armii niemieckiej, 16. dywizja pancerna
Jones Jerome, żołnierz z obsługi radaru RAF w Dover, Wielka Brytania
Karpow Teofan, pułkownik Armii Czerwonej
Kaszerina Jewdokia, pilotka Armii Czerwonej
Kobajashi, pułkownik-lejtnant, Japończyk przesłuchujący Teertsą
Kraminow Wiktor, pułkownik-lejtnant Armii Czerwonej w Moskwie
Lane Edward, „Ted”, radiooperator z załogi bombowca RAF
Larssen Barbara, absolwentka wydziału angielskiej literatury średniowiecznej; żona Jensa
Larssen Jens, fizyk jądrowy, Laboratorium Metalurgiczne Uniwersytetu Chicagowskiego
Lea, bojownicza z getta warszawskiego
Lejb, żyd z Hrubieszowa

Lidow Borys, pułkownik-lejtnant NKWD, Moskwa
Liu Hań, chińska chłopka Marie, internowana w miejscowości Fiat, Indiana
MARSHALL GEORGE, szef sztabu Armii Stanów Zjednoczonych
Maks, Żyd, który przeżył Babi Jar, partyzant radziecki
MOŁOTOW WIACZESŁAW, komisarz spraw zagranicznych ZSRR
Okamoto, major, japoński tłumacz przesłuchujący Teertsu
Stary Sun, krawiec chiński
PATTON GEORGE, generał-major Armii Stanów Zjednoczonych
Pawluczenko Kliment, kierownik kolchozu na Ukrainie
Popowa Jelena, pilot major Armii Czerwonej
RIBBENTROP JOACHIM von, niemiecki minister spraw zagranicznych
Riecke Ernst, kapitan armii niemieckiej, 16. dywizja pancerna
Risberg Buck, żołnierz w miejscowości Aur ora, Illinois
Rodney, internowany w miejscowości Fiat, Indiana
Rusie Mosze, były student medycyny, getto warszawskie
Rusie Reuben, syn Moszego
Rusie Ryfka, żona Moszego Sal, internowana w miejscowości Fiat, Indiana
Sanders Charlie, Murzyn, karmiący żołnierzy podczas walk na froncie w Naperville, Illinois
Schmidt Dieter, kierowca czołgu Heinricha Jagera
Schneider, sierżant z komisji poborowej Armii Stanów Zjednoczonych
Schultz Georg, działonowy czołgu Heinricha Jagera
Sebring Gerald, fizyk jądrowy, Laboratorium Metalurgiczne Uniwersytetu Chicagowskiego
Simpkin Joe, tylny strzelec bombowca RAF
SKORZENY OTTO, SS-Sturmbannfuhrer.
Spiegel Michael, pułkownik-lejtnant armii niemieckiej w Satu Mare, w Rumunii
Stansfield Roger, kapitan Royal Navy, dowódca HMS „Seanymph”
Sullivan Joe, członek drużyny „Decatur Commodores” (III liga)
Sylvia, kelnerka w oberży „White Horse” w Dover, Wielka Brytania
SZILARD LEO, fizyk jądrowy, Laboratorium Metalurgiczne Uniwersytetu Chicagowskiego
THOMSEN HANS, ambasador Niemiec w Stanach Zjednoczonych
Thomsen Pete, reporter „Rockford Courier-Journal”
TOGO SHIGENORI, japoński minister spraw zagranicznych
Tompkins Charlie, mechanik ze Strasburgha,
Ohio Virgil, marynarz na statku handlowym „Caledonia”
Wagner Eddie, szeregowiec Armii Stanów Zjednoczonych, okolice Delphi, Indiana
Whyte Alf, nawigator bombowca RAF
Yeager Sam, zawodnik drużyny „Decatur Commodores” (III liga)
Yi Min, aptekarz chiński Josel, bojowiec z warszawskiego getta
ZINN WALT, fizyk jądrowy, Laboratorium Metalurgiczne Uniwersytetu Chicagowskiego
Rasa Atvar, pan floty, flota inwazyjna
Breltan, technik radarowy, „67-my Cesarz Sohrheb”
Drefsab, oficer wywiadu ze sztabu
Atvara Erewlo, wódz niższej rangi, wydział komunikacji
Feneress, pan statku – członek frakcji
Strahy Gefron, pilot myśliwca-niszczyciela, dowódca eskadry

Gnik, dowódca placówki w miejscowości Fiat, Indiana
Hassov, pan statku – członek frakcji Kirela
Horrep, pan statku – członek frakcji Strahy
Kirel, pan statku, „127-my Cesarz Hetto”
Krefak, oficer baterii rakietowej Krentel, dowódca krążownika lądowego
Mozzten, pan statku stacjonującego w Stanach Zjednoczonych
Relek, pan statku, „16-ty Cesarz Osjess”
Relhost, dowódca sił uderzeniowych atakujących Chicago
Ristin, żołnierz wzięty do niewoli przez Armię Stanów Zjednoczonych
Rolvar, pilot myśliwca-niszczyciela
Shonar, pan statku – członek frakcji Strahy
Ssofeg, oficer z obozu dla internowanych w Chinach
Straha, pan statku, „206-ty Cesarz Yower”
Svallah, inspektor artylerii biorącej udział w natarciu na Chicago
Teerts, pilot myśliwca-niszczyciela, dowódca eskadry
Telerep, działonowy krążownika lądowego
Tessrek, starszy psycholog
Ullhass, żołnierz pojmany przez Armię Stanów Zjednoczonych
Ussmak, kierowca krążownika lądowego
Yotal, dowódca krążownika lądowego
Xarol, pilot myśliwca-niszczyciela
Zingiber, dowódca północnego skrzydła atakującego Chicago
Zolraag, gubernator Warszawy

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Rozdział I.	4
Rozdział II.	30
Rozdział III.	55
Rozdział IV..	84
Rozdział V..	111
Rozdział VI.	138
Rozdział VII.	163
Rozdział VIII.	190
Rozdział IX..	218
Rozdział X..	242
Rozdział XI.	267
Rozdział XII.	295
Rozdział XIII.	321
Rozdział XIV..	350
Rozdział XV..	378
Rozdział XVI.	404
Rozdział XVII.	429
Rozdział XVIII.	458
Rozdział XIX..	486
Rozdział XX..	512